

A N T O L O G I A

POLACY W ZSSR

(1939-1942)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

POLACY W ZSSR
(1939-1942)

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom LXXXVIII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

POLACY W ZSSR

(1939-1942)

ANTOLOGIA

Opracowanie i Wstęp
MARII CZAPSKIEJ

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

Na niniejszą Antologię składają się fragmenty prac pisanych na uchodźstwie, w ogromnej większości już dziś wyczerpanych, a przede wszystkim prawie nieznanych, gdyż ukazywały się w czasie wojny lub zaraz po wojnie. Prace te dotyczą losu obywateli polskich w Związku Sowieckim w latach 1939-1942.

WSTĘP

22 sierpnia 1939 r. został podpisany w Moskwie pakt nieagresji pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim. Mocarstwa zachodnie potwierdziły 25 sierpnia uprzednio powzięte w stosunku do Polski zobowiązania natychmiastowej pomocy na wypadek zagrożenia. Od wschodu granica Polski zdawała się zabezpieczona potwierdzonym przez rząd sowiecki paktem nieagresji.

1 września Niemcy zaatakowały Polskę. Wszystkie lotniska, węzły kolejowe i dworce zostały zbombardowane już pierwszego dnia wojny. Mobilizacja była sparaliżowana, kraj sterroryzowany. Lato pogodne i suche trwało do końca września, pancerne wozy niemieckie szły po ścierniskach jak po szosie. Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom. Ale już z 4-go na 5-ty września ewakuowano z Warszawy urzędy, ministerstwa i złoto Banku Polskiego, potem korpus dyplomatyczny opuścił stolicę, a w nocy z 6-go na 7-y Rząd i Naczelne Dowództwo. Tegoż dnia zarządzono ewakuację szpitali, wraz ze zmobilizowanymi lekarzami. Płk. Umiastowski nakazał przez radio opuścić stolicę wszystkim mężczyznom zdolnym do noszenia broni. Nowa linia oporu miała stanąć za Bugiem. Z rozkazu Naczelnego Dowództwa Warszawa, pozbawiona rezerw wojskowych, szpitali i sanitarnego personelu, miała stawić opór nieprzyjacielowi. Spodziewano się ofensywy francuskiej, angielskiej pomocy lotniczej, przegrupowania u wschodnich granic rozbitych armii. Radio podało mowę ministra Edena oraz wiadomość, że armie sojusznicze stoją w defensywie... Co to znaczy? — pytano w przerażeniu. — To musi być pomyłka! Pomyłka druku!

Tajna klauzula układu Ribbentrop-Mołotow z 22 sierpnia podzieliła już Polskę na strefy wpływów; granica miała przechodzić po linii Narew-Bug-San. Ribbentrop naglił (3.IX.) o niezwłoczne wykonanie zobowiązań czyli zajęcie Wschodniej Polski. 17 września rząd sowiecki oznajmił ambasadorowi Grzybowskiemu w Moskwie, że państwo polskie i jego rząd przestały istnieć, że więc umowy zawarte poprzednio z Polską straciły swoją ważność. Wobec zaś groźnych wypadków zaszłych na terytoriach polskich Związek Sowiecki jest zmuszony śpieszyć na pomoc braciom swoim, Białorusinom i Ukraińcom, pozostawionym bez obrony.

W południe 17 września radio podało wiadomość, że Czerwona Armia przekroczyła granice Polski. Prasa powtórzyła komunikat radiowy i ogłosiła oświadczenie prezydenta Mościckiego nadane z Kut. Mówił o sprawiedliwości dziejowej, składał hołd bohaterskiej stolicy, wspominał też Opatrzność Bożą.

Następnej nocy przez most na Czeremoszu uchodził z Polski do Rumunii Rząd, Naczelne Dowództwo, Sztab Główny i Fundusz Obrony Narodowej.

Warszawa, Lwów, Modlin, Hel broniły się jeszcze. Pozostałe 22 polskie dywizje walczyły w rozproszaniu, nad Bzurą, koło Tomaszowa Lubelskiego, pod Lwowem. Po krwawej bitwie pod Kockiem poddała się ostatnia walcząca armia gen. Kleeberga.

26-go niemieckie działa pod Warszawą umilkły. Deszcz ulotek zrzuconych z samolotu wirował na niebie bez chmurki. Ultimatum: Poddajcie się, inaczej miasto będzie zbурzone. Warszawa się nie poddała. Popołudniu Niemcy wznowili ostrzał, a nazajutrz, 27 września dwie dywizje pancerne i dwie armie lotnicze — sam Hitler kierował natarciem — przypuściły szturm. Ziemia drżała, miasto stało w ogniu, zabrakło wody w studniach, zabrakło amunicji. Nie było chleba. — Prezydent Starzyński podpisał kapitulację.

Armia Czerwona posuwała się w głąb kraju. W miastach i miasteczkach kresowych część proletariatu polskiego i żydowskiego przyjmowała ją kwiatami. Ludność wiejska, białoruska i ukraińska była zaskoczona. Przyszli wyzwolić kraj od krzywdy polskiej i zaboru niemieckiego, głosili równość i sprawiedliwy podział ziemi, ale jednocześnie

zgarbiali wszystko, od igieł i nici z żydowskich sklepików do koni i bydła, maszyn rolniczych, ziarna, siana, nawet słomy.

Poszczególne oddziały zapędziły się aż pod Warszawę.

Za armią postępowała wszechpotężna NKWD, aparat tajnej policji, mobilizujący szpiegów i donosicieli. Zdobycie władzy polegało na zaskoczeniu ludności, stworzeniu klimatu grozy niepojętymi zarządzeniami. Ludzie z miast uciekali na wieś, ze wsi chronili się do miast, rozbitki wojska polskiego wszelkiej broni przedzierali się na Węgry, nieraz zatrzymywani przez wroga Polakom ludność ukraińską lub rozstrzeliwani przez straż graniczną. Warszawski proletariát żydowski przez Bug i San przedzierał się pod okupację sowiecką, następnie z powrotem usiłował wracać pod Niemców; za Bugiem, podejrzani o szpiegostwo byli ładowani do bydłowych wagonów i wysyłani masowo do „poprawczych obozów pracy”.

Sieć głośników radiowych objęła zajęte kraje ogłuszając propagandą, тумaniąc obietnicami i oszczerstwem. Po miastach zmobilizowano literatów i dziennikarzy, nieustające wiece i zebrania poniżały, ośmieszały, pisano „na rozkaz”, wykonywano „obstalunki społeczne”, szpiegowano się wzajemnie. Na wiecach blade twarze oklaskiwały jednomyślnie każde zarządzenie władz.

„Ja nie chcę oklaskiwać — lecz muszę” — wyznawał Mieczysław Braun, poeta warszawski i patriota polski. „Ja nie chcę by Lwów stał się sowiecki, lecz sto razy dziennie mówię co innego... Śród tych ludzi staję się zbrodniarzem. U Niemców grozi śmierć fizyczna, tu jest śmierć ducha...”.



Pod okupacją niemiecką, bez wstępów, wieców i obietnic zaczęto masowo wywozić ludność do obozów koncentracyjnych, areszty i egzekucje były na porządku dziennym.

We Lwowie areszty rozpoczęły się przed końcem roku. Motor w ciszy nocnej był wyrokiem, kroki na schodach podrywały z snu całą dom. Wybierano poszczególnych ludzi wedle ustalonych spisów i niewiadomego klucza: uchodźców z ziem zachodnich, ziemian zbiegłych do miasta, byłych

działaczy politycznych, adwokatów, sędziów, urzędników... Próbowano przewidywać — na próżno. Ludzie w czas uprzedzeni kryli się u znajomych, ale człowiek niemeldowany zagrażał całemu domowi. Sieć szpiegowska działała sprawnie. Więzienia wypełniły się po brzegi, bezsilna rozpacz gnała ludzi do kościołów. Już w styczniu zaczęły się wywózki. Chodziło o oczyszczenie kraju z elementów niepożądanych, ludzi uświadomionych, formacją umysłową, stanowiskiem, wyznaniem opornych komunizmowi. Na wozy, sanie, ciężarówki, a następnie do wagonów towarowych ładowano służbę bezpieczeństwa, nauczycielstwo, straż leśną, wojskowych, duchowieństwo, sędziów. Na Białej Rusi wysiedlano ludność z polskich zaścianków, z Galicji Wschodniej polskich kolonistów i polskie wsie w całości. W ciągu okrutnie surowej zimy ewakuowano w ten sposób setki tysięcy ludzi z ich ręcznym, na przedce zgarniętym bagażem, albo zaledwie tylko w pośpiechu odzianych, nie oszczędzając starców, chorych, rodzące kobiety, niemowlęta. Aresztowanych odstawiano do więzień na długotrwałe tortury, śledztwa i wyroki od 5 do 10 lat karnych obozów; wysiedlani szli na „wolną zsyłkę” do Turkiestanu, na bezwodne stepy środkowej Azji, do kołchozów lub posiołków.

Wedle z konieczności niedokładnych obliczeń, ze wschodnich ziem polskich wywieziono w ten sposób z górą półtora miliona mieszkańców, z tego wysiedlono około miliona, aresztowano około 250 tysięcy, zmobilizowano do Czerwonej Armii około 200 dalszych tysięcy. Regularne formacje wojskowe i żandarmerię osadzano w specjalnych obozach. Pomordowanych, oprócz jeńców z tych specjalnych obozów (Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa) nie da się obliczyć nawet w przybliżeniu. Ale z tego półtora miliona wysiedlonych i aresztowanych wiele tysięcy zginęło w czasie transportów zimowych 1940 roku, rozstrzelanych po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w więzieniach, dobiegłych w pieszych transportach przy ewakuacji tychże więzień, zmarłych z głodu i wyczerpania w łagrach, kołchozach i posiołkach. Dalsze tysiące zmarły już po zwolnieniu, po tzw. amnestii 1941 r., zarażeni tyfusem w przepętnionych nędzarskim tłumem uchodźców poczekalniach stacyjnych, w kluczających po kraju eszelonach, w przygodnych szpitalach.

Wedle świadectwa Antoniego Ekarta po 1937 władze sowieckie postanowiły zahamować masowe zsyłki do obozów ludzi zasądzonych wedle paragrafu 58 (kontrrewolucja); chodziło władzom o zaoszczędzenie siły roboczej wobec ogromnej śmiertelności w obozach północy. Nowy kodeks karny był w opracowaniu. Winni przekroczenia złowrogiego paragrafu zamiast wieloletnich wyroków byłiby za pierwszym jego przekroczeniem skazywani jedynie na kary pieniężne. Ale zajęcie w 1939-40 trzech krajów bałtyckich, wschodniej części Polski i Besarabii z Bukowiną przyniosło Związkowi Sowieckiemu około 22 milionów obywateli, z których znaczny procent zasilł obozy pracy, wolne warsztaty i przedsiębiorstwa całego Związku. Projekt reformy kodeksu karnego został zarzucony, a ci co go opracowywali aresztowani i zasądzeni wedle dawnego. Jednym z nich był urzędnik Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości, informator Ekarta i jego współwięzień — Noskow.

Oficjalne dokumenty i dane liczbowe ogłoszone przez rząd sowiecki a dotyczące pracy przymusowej w ZSSR, dane odnoszące się do lat 1933-1935 zainteresowały ONZ dopiero w 1949 roku. W początkach tego 10-lecia zaludnienie łagrów, zwanych w skrócie ITŁ (Ispravitelniyje Trudowyje Łagiera) obliczano na 5 milionów, w latach 1937 i 1938 na 10 do 15-tu, w latach 1939-1940 na 20 do 22 milionów. Cyfry te nie mogły być nawet urzędowo ustalone ze względu na płynność tej wielomilionowej masy ludzkiej, na śmiertelność więźniów oraz transporty aresztowanych, nieustannie i masowo przerzucanych z obozu do obozu. Jednym z najbardziej zdumiewających zjawisk w umysłowym życiu „martwych domów” — zauważa Gustaw Herling-Grudziński — to wyostrzona czujność doświadczonego więźnia. W każdej celi można było natrafić na jednego chociaż statystyka pogrążonego dniem i nocą na rekonstruowaniu otaczającej go rzeczywistości więziennej. Z drobnej mozaiki faktów i relacji, ze strzępów gazet, zarządzeń administracyjnych, rozmów z więźniami, ruchu pojazdów na dziedzińcu, ilości cel więziennych, ilości więźniów w każdej celi, wyciągali ci przenikliwi statystycy wnioski oraz przybliżone dane cyfrowe. W każdym razie były to wielomilionowe masy ludzkie.

Liczba amnestiowanych katorżników po ukończeniu budowy dwóch kanałów (Bałtycko-Białomorskiego oraz ka-

nału Moskwa-Wołga, w latach 1935-1937) wynosiła, wedle oficjalnych danych, 127 tysięcy, co się równało nieomal ogólnej ilości więźniów carskiej Rosji 1914 roku.

14 października 1941 r. Komisarz Ludowy Spraw Zagranicznych Andrzej Wyszyński oświadczył ambasadorowi Kotowi w Moskwie, że do dnia 1.X. tegoż roku władze sowieckie „amnestiowały” 345.511 polskich „przestępców”, przesiedlonych ze wschodnich dzielnic Polski do ZSSR. Ale Wyszyński nie ujawnił polskiemu ambasadorowi ilu polskich obywateli, dla tych czy innych przyczyn nie zwolniono wtedy i nigdy później, ani też ile setek tysięcy polskich „przestępców” pochłoneły tajgi Północy, ilu zmarło na głodnych stepach Turkiestanu, ilu zepchnięto na dno wielkich rzek syberyjskich i w mętne wody Amu-Dariu, dawnego Oksus.

Wszelkie wiadomości dotyczące poprawczych obozów pracy stanowiły w Związku Sowieckim tajemnicę państwową. Surowa odpowiedzialność za nieumyślne chociażby ujawnianie szczegółów bytowania więźniów była jeszcze zaostrzona zarządzeniem z 1947 roku. Przewidziane kary wahały się od 5 do 20 lat. Nawet pomoc udzielana zwalnianym z obozów nędzarzom groziła donosem. Ludność lękała się wymieniać słowo „łagier” zastępując je niekiedy określeniem „sanatorium”. Tajna była ilość obozów, ich rozmieszczenie i zaludnienie. Józef Czapski w trakcie swojej wizyty u naczelnika Gułagu (Gienieralnoje Uprawlenie Łagieriej) gen. Nastietkina w Czakatowie (dawny Orenburg). zauważył za jego plecami olbrzymią mapę Związku Sowieckiego, na której gwiazdami i kółkami były oznaczone obozy. Rzucając ukradkiem łapczywe spojrzenia na tę mapę spostrzegł skupiska największych gwiazd na półwyspie Kola i Komi SSR, a także na Kołymie. Gwiazdy pierwszej wielkości widniały też w okolicach Jakucka i Wierchojańska (bieguna zimna Syberii), podobnej wielkości gwiazda znać była port Magadanu u podnóża Kamczatki, największego wyładunkowego portu obozów kołymskich, centrali administracyjnej Kołymłagu. Cały północny obszar Rosji europejskiej oraz północnej Syberii, od Uralu aż do Morza Ochockiego był państwem NKWD. Więcej niż trzy czwarte ludności stanowili tam więźniowie i ich straż. Obszar podzielony był na jednostki organizacyjne: uprawlenja, otdzielenja, łagpunkty, kałonny, uczastki i toczki. Więźnio-

wie pracowali tam przy wyrobach lasów, budowie kolei, dróg, kanałów, zastaw, w kopalniach węgla, ołowiu, miedzi, żelaza, nafty, cynku, rtęci i złota.

W obozach można było spotkać obywateli wszystkich krajów Związku Sowieckiego. Od Gruzinów, Czerkiesów i Tatarów po Samojedów, Jakutów i Tunguzów. Duży procent stanowili Ukraińcy, po 1939 r. Polacy i Białorusini; w obozach spotykano również komunistów i sympatyków komunizmu z wszystkich krajów europejskich, a nawet innych części świata. Ludzi, którzy dążyli do Rosji jak do ojczyzny swego ducha pragnąc przyłożyć rękę do budowy państwa pokoju i sprawiedliwości: czerwoni Hiszpanie, Francuzi — wielbiciel Stalina, Niemcy — wrogowie Hitlera, Żydzi — wyznawcy Marksa i Engelsa; posądzeni o szpiegostwo, na podstawie zeznań wymuszonych torturą szli do obozów i tam ginęli.

W 1939, wedle informacji Herlinga-Grudzińskiego, barak pieresylny obozu w Jercewie gościł jeszcze resztki wielkiej czystki z 1937 r. W 1940 widział rytmiczny przyływ Polaków, Ukraińców, Białorusinów i Żydów z Polski wschodniej, następnie Białych i Ukraińców z Rusi Zakarpackiej. Potem nadeszły transporty Finów i Krasnoarmiejców z „Finskawo plena”, winnych poddania się. Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej zjawili się w pieresylnym niedobitki zruszczonych Niemców nadwołżańskich, grupy Ukraińców i Białorusinów zbiegłych przed ofensywą niemiecką oraz wszystkich podejrzanych o sprzyjanie Niemcom. Ojczyzna potrzebowała niewolników.

Normy pracy w obozach były tak wysokie, że nawet dobrze odżywiony robotnik nie byłby w stanie ich wykonać. Obliczane były dowolnie, zależnie od brygadierów, przeważnie kryminalistów i od zarządu obozów, Za kromkę chleba, za miskę zupy ludzie zrywali mięśnie, serca i płuca, odmrażali ręce i nogi.

Na wolnej zsyłce karczowano lasy, rozbijano glinę skamieniałą w słońcu. Na bezwodnych stepach kobiety bosymi stopami tłamsiły gnój bydłęcy ze słomą na opał, wyrzywały zdrewniałe korzenie bawełny, pracowały przy zbiorach „waty”. W zasobniejszych kołchozach uprawiały sady i ogrody warzywne, bez prawa korzystania z ich plonów, co wieczór, po pracy, pilnie rewidowane. Płatne były garścią zboża, jęczmiennym podptomykiem albo szklanką ryżu.

Toteż zesańcy jedli wszystko co było lub zdawało im się jadalne: myszy polne, wróble i pisklęta wronie pieczone nad ogniem, gotowali węże i zwabione — równie głodne jak oni — psy. Inni szukali jadalnych korzeni na polach, ssali badyle nadrzecznych szuwarów, łowili drobne rybki i często ginęli zatruci nieznanym, żarłocznie połkniętym jadem.

Kto pisze cokolwiek o bytowaniu ludzi w Związku Sowieckim, a zwłaszcza o obozach sowieckich, powinien wspomnieć szpitale. Szpital był w obozie czymś w rodzaju przystani. Dla człowieka nie nawykłego do kontrastów życia sowieckiego, powiada Herling-Grudziński, urastał one do rozmiaru kościołów pośrodku szalejącej inkwizycji. W warunkach istnienia, gdzie wszystko składało się na to by człowiek dla człowieka stawał się wilkiem, szpitale najbardziej przypominały wolność. Personel lekarski, to byli ludzie, którzy mieli prawo być ludzcy, mieli prawo otoczyć chorego opieką i w najciaśniejszych ramach obowiązujących przepisów udzielać mu pomocy. Człowiek, który „z tamtego świata” trafił do szpitala nie zapomni nigdy ofiarnego trudu lekarzy, a zwłaszcza dobroci siostr szpitalnych: chłodnej dłoni na rozpalonym czole, miłosiernego spojrzenia, uśmiechu, słowa. O siostrach szpitala jercewskiego obozu pisze Grudziński, macierzyńską opiekę Niny Fiodorówny, pracowite i łagodne ręce Gali Ukrainki wspomina Czapski. Czuchnowski kreśli niezapomnianą postać siostry Nataszy w szpitalu taszkienckim. Lipski — 20-letnią skośnooką lekarke, dobrą i mężną Olgę. Pobyt w szpitalu dla więźniów był tak upragniony, że ludzie dobrowolnie się okaleczali, umyślnie nabawiali ciężkiego zapalenia płuc, byle się tam dostać na kilka chociaż dni lub tygodni. Ale tuż za progiem tej błogosławionej przystani, zaledwie postawiony na nogi ozdrowieniec stawał się z powrotem niewolnikiem i wracał do baraku bardziej jeszcze złamany niż kiedy go opuszczał.

W 1941, 1942 i później jeszcze, na podstawie umowy Sikorski-Majski dziesiątki tysięcy Polaków zostało zwolnionych z łagrów dalekiej Północy. Niebawem w dziejach tych łagrów zdarzenie. Jedni byli ładowani do wagonów i ekspediowani, niekiedy nawet z honorami (jako nowi sprzymierzeńcy), do formującego się wojska polskiego. Inni szli nieraz piechotą setki kilometrów żarci przez komary, ponownie aresztowani, osadzani w więzieniach. Wydostawali

się z nich i znowu dążyli na tratwach rzecznych, w towarowych wagonach, wlokących się eszelonach, na południe.

Od Kamczatki po półwysep Kola można poznać grobami szlaki, którymi się przedzierał wyzwoleniec łagrów, przyszedł żołnierz polski. Przychodzili bladzi, obrzękli, ze szkorbutem, skreśleni ręką, pokryci wrzodami, z odmrożonymi palcami u rąk i nóg, z przepuklinami od taczek i kłóców przymarzłych, z rękami i nogami złamanymi w kopalniach, złożonymi niedbale, krzywo, z klatkami piersiowymi zniekształconymi, ze splekanymi żebrami, zatruci miedzią, ołowiem, zarażeni malarią. Taki był materiał powstającej w ZSSR polskiej armii. Ale ci, którzy dotarli do polskich placówek opieki — poza dziećmi, które niejednokrotnie nie dawały się już odratować — odzyskiwali w zadziwiająco szybkim tempie smak i wolę życia.



Los zwolnionych obywateli sowieckich był gorszy: nie mieli prawa wracać do dawnych miejsc zamieszkania, napiętnowani, pod nadzorem policji, o byle co ponownie aresztowani, z trudem zdobywali najgorszą nawet pracę. Jedynie co im zapewniało jakieś bezpieczeństwo i jakiś chleb powszedni, to osiedlanie się w pobliżu obozów, gdzie mogli zabiegać o pracę u dawnych swoich nadzorców i nie stanowili wyjątku, ale regułę.

To nie ich rzekome zbrodnie niepokoiły władze państwowe, ale ich niewinność, to czego doznali na śledztwach na katordze, to czego byli świadkami. Milcząca wrogość tych ludzi zagrażała władzy sowieckiej.

Wówczas, w r. 1943, gdy pierwsi Polacy zwolnieni z obozów sowieckich dotarli do Anglii, Rosja była cennym a więc nietykalnym sprzymierzeńcem. Każda uwaga czy wzmianka dotycząca rzeczywistości sowieckiej mroziła słuchaczy, budząc niechęć i niesmak. „Po co tak przesadzać” — mówili jedni. — „Co za bezczelność. My przecie też znamy Rosję”.

„To skutki odwiecznych porachunków Polska — Rosja, żadnego obiektywizmu!” — dorzucali inni...

Towarzysze pozostali w obozach, na granicy życia i śmierci, z rozpaczą i nadzieją powtarzali wyzwolonom:

„Powiedzcie Zachodowi!... Mówcie całą prawdę, jacyśmy byli, mówcie do czego nas doprowadzono!”

I wyzwoleńcy przysięgali, że powiedzą całą prawdę, niczego nie pomijając, prawdę o upodleniu człowieka.

Nikt jednak o tę prawdę ich się nie pytał, nikt jej słuchać nie chciał, nikt nie był jej ciekawy, a ich zeznania „z tamtego świata” nie znajdowały nakładców.



Dlaczego więc w 1963 r. przypominać doznaną przez braci naszych mękę wygnania i sponiewierane, bezimienne ich zgony?

Po co i na co — powie niejeden — zadrażniać tymi opowieściami i tak niełatwe stosunki pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim?

Nie żeby jątrzyć została wydana niniejsza antologia, ale by ujawnić, bo tylko ujawnienie zła może oczyścić polsko-sowieckie stosunki, zneutralizować trucizny. I została wydana także dlatego, bo wielkich zbrodni, które napiętnowały XX wiek ery chrześcijańskiej nie wolno nam zapominać, bo każdy z nas ponosi za nie jakąś część odpowiedzialności, a pamięć — to ostrzeżenie.

Nie wolno nam zapominać więzień i łagrów sowieckich, zagłady Żydów, niemieckich obozów śmierci, mordu katyń — także gorzkiej prawdy o degradacji człowieka — kata i ofiary.

Maria CZAPSKA

BEATA OBERTYŃSKA

Urodzona w 1898 r. w Małopolsce Wschodniej, odziedziczyła po matce, Maryli Wolskiej talent poetycki. W latach 1925-1935 wydała kilka tomików poezji, które wyszły nakładem Biblioteki Medycznej. — Po ukończeniu Państwowego Instytutu Sztuki Dramatycznej w r. 1933 przez cztery lata występowała na scenach lwowskich.

Aresztowana w lipcu 1940 r. we Lwowie, osadzona w więzieniu w Brygidkach, zasądzona na 5 lat ciężkich robót przeszła następnie przez osiem kolejnych więzień sowieckich oraz przez łagry Starobielska i Workuty. Zwolniona w r. 1941, pracowała w kółchozie bawełnianym pod Bucharą jako „wolna” siła najemna. Przyjęta do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet przy Armii Polskiej na Wschodzie opuściła z nią razem Związek Sowiecki w r. 1942. Po zakończeniu wojny osiedliła się w Londynie gdzie wydała 5 dalszych tomów poezji i prozy. Swoje dzieje w więzieniach, łagrach i na wolnej zsyłce opisała w książce pt. „W domu niewoli”, wydanej pod pseudonimem „Marta Rudzka”, w Rzymie, w r. 1946, w Bibliotece „Orla Białego”. Z książki tej zostały wybrane poniższe fragmenty.

W DOMU NIEWOLI

Prolog

Chleb można dostać już tylko w ogonku. Na wszystkich ulicach szare smugi godzinami do muru przypartych ludzi. Czekają... czekają... czekają... Zdobycie bochenka chleba to pół dnia czekania. Na szczęście dzieci u nas pod dostatkiem. Dla nich to polowanie na chleb, jest sportem. Kto wypatrzy lepszy ogonek, kto prędzej zdobędzie chleb, czyj bochenek większy? Wylatują o świcie, wracają w południe.

Sklepy przeważnie zamknięte. Nie wiem, czy na rozkaz władz, czy ze strachu, czy z powodu braku towaru. Idą złote i ruble. Po równym kursie. Najgorsza bieda z opałem na zimę. W całej willi ogrzewanie centralne, a węgla w piwnicy, tyle co nic. Na sowiecki nie ma pono co liczyć. Trudno. Chodzę po ogrodzie i wydaję wyroki śmierci na przyjaciół szczęśliwego dzieciństwa — na domowe drzewa. Ślascy powstańcy, którzy nie mogli wrócić „pod Niemca”, pomagają mi je rąbać.

Sowiecka milicja już czynna.

Pewnego dnia pojawia się u nas nowy, rejonowy milicjant. Miejski płaszcz, beret z gwiazdą i karabin. Twarda, sucha, sympatyczna nawet twarz. Niewątpliwie czeski akcent utopiony nieporadnie w rosyjskim. Rekwiruje dla siebie jeden z pokoi na piętrze.

— Tu nie ma pieców, tylko kaloryfery — próbuję go jeszcze zrazić. — Węgla brak. Dom będzie w zimie nie do opalenia.

— *Niczewo*. Mnie zimno nie straszne — i zwycięski, zjadliwie bolesny jakby, uśmiech fanatyka. — W Hiszpanii było zimniej. W górach w śniegu po pas. *Niczewo*.

To był nasz pierwszy przymusowy lokator.

Nazwała go Hanusia. Wszystko nierozumiane — jak szmer w wodociągu, cień w kącie, obce kroki na schodach — wszystko trochę straszne, trochę niesamowite a przecie ciekawe — określała jednym swoim własnym, nic nie znaczącym słowem: *habicha*. Od pierwszej chwili sowiecki milicjant był dla niej „*habicha*” też. I tak już zostało. Nikt z nas nie nazywał go już potem inaczej.

Czech. Półinteligent. Ideowiec. Ochotnik hiszpańskich walk. Komunistą zaprzysięgły na śmierć i życie. Pracował w fabrykach Skody. Zarabiał paręset koron miesięcznie. Miał wszystko i wszystko rzucił. Dla sprawy! Walczył, głodował, marzył. Jest gotów dalej walczyć, marznąć, głodować. Umysł, jak rozłopotany na wietrze transparent z komunistycznym sloganem. Głowa trzeszczy od doktryn, serce buzuje hasłami „Szczęście mas”, „Szczęście ludu”, „Szczęście proletariatu”. — Pod wszystkim zaś nie dotłuczone komunizmem, zdrowe przywiązanie do ojczystego kraju. Nad wszystkim dech zapierająca nienawiść do Hitlera. Poza tym — dobre, proste, uczciwe chłopczyśko, przynoszące dla Hanusi zdobyte w ogonku cukierki...

Oto pokrótce *Habicha*.

Zaczynają się aresztowania. Czasem w obławie na ulicy, częściej jednak nocami, po domach. Carskim, wypróbowanym sposobem.

To trochę tak jak z bombą. Nie podobna przewidzieć na kogo spadnie. Reguły żadnej. Wyłapują doktorów, profesorów, kolejarzy, studentów, nauczycieli, harcerzy, urzędników, księży, kupców. Właściciele wszystkich większych firm już siedzą. Towar zarekwirowany. Sklepy zamknięte.

A potem „plebiscyt”!

Wynik z góry przesądzony: W komisji zasiadają tylko ich ludzie. Kontroli z naszej strony żadnej. Do tych „mężów zaufania” zaufania właśnie nie ma nikt. Wiadomo. Podadzą potem cyfry, jakie sami zechcą.

Mało kto zresztą się tym przejmuje. Wiemy, że wedle międzynarodowych praw, żaden plebiscyt nie jest ważny, póki wojska którejkolwiek ze stron znajdują się na danym terenie. Miasto jeży się od wrogich bagnetów, a tajność głosowania więcej, niż problematyczna. Głos jednak musi oddać każdy, czy chce, czy nie. Jeśli kto sam, do jedenastej w nocy nie zgłosił się w lokalu wyborczym w dniu plebiscytu, przynosili mu urnę do domu. Wtedy już trudno mówić o „tajności” bo otrzymaną kartkę musiał w ich obecności albo przekreślić, albo rzucić taką, jaką ją otrzymał. Istna komedia, nie plebiscyt!

Wiemy o tym, ale dla osobistej satysfakcji unieważniamy głosy, jak się da. Na niektórych kartkach poszły pono do urny dość zwężłe, niedwuznaczne propozycje, czynione Stalinowi.

Po całej tej perfidnej komedii władze ogłosiły oficjalnie, że zgodnie z jednogłosną wolą ludu, okupowane tereny nie! przepraszam — „oswobodzone” tereny — zostają z tym a tym dniem przyłączone do Związku Socjalistycznych Republik Rad, jako „Zachodnia Ukraina”!

Zima spada na nas wczesna, jak nigdy. Mrozy w listopadzie takie, że ziemia brzęczy. Opału mamy tylko garstkę. Tyle, co do kuchni.

Udaje mi się cudem kupić dwa małe, żelazne piecyki. Wybija się dziury w ścianie — tak po prostu, bez komina: w ogród — i pali przeważnie papierami. Papierów pod dachem dość. Niektóre nawet lepiej spalić. Na pół godziny robi się w pokoju ciepło. Na ogół jednak temperatura —

w nocy zwłaszcza — nie mija czterech stopni powyżej zera.

Habicha ma noc w noc służbę na ulicy. Wraca rano siny i skostniały. Mundury dla milicji jeszcze nie nadeszły. Musi mu wystarczyć letni płaszcz i idea!

W salonie, na piętrze jest już drugi przymusowy lokator. Żyd. Komunista. Pracuje w warsztatach kolejowych. Tak jak Habicha, przyszedł pewnego dnia i oświadczył, że będzie mieszkać. Raczej spokojny, nieszkodliwy na oko człowiek. Nie ma go całymi dniami. Wraca dopiero na noc.

A potem śnieg. Obfity, głęboki, puszysty. W hall'u robi się ciemno, bo szklany dach zawalony śniegiem. Poza-tykałam jeszcze w jesieni wybite szyby deskami, a że jest mróz i domu się nie opala, na razie jakoś nie kapie.

Woda w łazienkach zamarza. Siostra moja ma ręce tak odmrożone, że jej skóra pęka na każdym zgięciu. Dzieci chodzą okutane, jak cebule. Hanusia drepce po domu w mojej pelerynce z popielic, która jej sięga do ziemi. Wygląda, jak puszysty, futrzany dzwonek o różowej gębusi i strasznie niebieskich oczach.

W sam dzień wilii, z godziny na godzinę, bez jakichkolwiek uprzednich zapowiedzi, władze odmawiają nagle ważności złotemu polskiemu. Dotąd, na równi z rublem, był monetą obiegową. Ludzie zostają bez grosza. Wszystkie oszczędności są już jedynie garstką bezwartościowych świstków. Żaden urząd ich nie zmienia. Żaden sklep nie przyjmuje.

Zaczynamy sprzedawać rzeczy.

W pierwszych dniach stycznia siostra moja dostaje listowne wezwanie do Banku. Nieopatrznie, zaraz po wybuchu wojny, złożyła w safe'ie całe srebro, biżuterię, i rodzinne papiery. Wraca po kilku godzinach, ze zwitkiem tychże właśnie papierów i kilkoma miniaturami w kieszeni. Reszta została urzędowo zarekwirowana na rzecz sowieckiego skarbu.

Aresztowania trwają w dalszym ciągu. Każdy dzień przynosi nowe nazwiska. Lista rośnie. Nikt nie wie, co się dzieje z tymi ludźmi.

Po pewnym czasie ustala się jedno: Zamarstynów, dawne polskie wojskowe więzienie — jest najgorsze. Zza tych murów nic nie przesiąka na zewnątrz. Do więzienia

„św. Brygidy”, czyli do „Brygidek” można się jeszcze jakoś dobić. To znaczy można raz na miesiąc oddać dla więźnia paczkę z bielizną i dostać jego własnoręczne pokwitowanie. Z Zamarstynowa, czy na Zamarstynów — nic.

Władze wiedzą — i my wiemy — że całe to pozornie uległe miasto pokryła z nagłą sieć tajnych, polskich organizacji. Coś niby naczynia krwionośne zatajone pod skórą. Wiedzą — i my wiemy — że nie wszystkich oficerów wyłapano. Są powielacze, na których drukuje się wysłuchane w tajemnicy i wbrew zakazowi alianckie komunikaty. Są kolporterzy, którzy te świstki roznoszą. Są podrabiający dokumenty, dowody osobiste, kartki meldunkowe. Są wydeptane dróżki, z postojami, z noclegami, którymi przekradają się ku węgierskiej czy rumuńskiej granicy, wszyscy, którzy chcą do naszego wojska. Do Francji! Są kurierzy i kurierki chodzący przez granicę tam i z powrotem. Raz zjawia się na parę godzin pod dachem strzępek jedwabiu, mały jak dłoń. Wkradł się do kraju wszyty pod podszewkę czyjegoś płaszcza. Druk na nim czarny, wyraźny, choć drobny, jak mak. Rozkaz gen. Sikorskiego do wojska. Dnia tego a tego. Angers. I podpis. — Czasem, po czymś wyjściu znajduje na biurku świstek bibułki z najnowszym alianckim komunikatem.

Ach! Te alianckie komunikaty! Londyn. Paryż. Boże dobry! Trudno powiedzieć, czego się po nich spodziewamy. Ze jednak spodziewamy się czegoś, to pewne! Oczywiście. Wiemy. Ani Anglia, ani Francja nie mogą ruszyć zaraz. Muszą się przygotować. Na szczęście mają czas. Do wiosny Hitler nie uderzy. Czas jest. Francja ma linię Maginota a Anglia to przecie potęga! Czujemy je obie za sobą. Liczymy na nie. Ufamy im. Niech się tylko raz zaczną, niech no się tylko ruszy na zachodzie.

Jesteśmy, jak ktoś wrzucony do głębokiej studni, kto ma na szczęście pewność, że przyjaciele o nim wiedzą. Trzeba się tylko czepiać sztywniejącymi z wysiłku rękami śliskich ścian naszej studni i przetrwać, przetrwać. Byłe do wiosny!

Całym naszym pokrzepieniem i radością, jest Finlandia! Dzielną, Finlandia, której pomaga mróz!

W te same dla Finlandii tak opatrnościowe mrozy, mrozy dochodzące teraz i u nas do kilkudziesięciu stopni, zaczynają nagle „rugować” ludzi z mieszkań. Po prostu:

won na ulicę! Na ich miejsce sprowadzają się sowieckie komandiry z żonami i dziećmi.

W mieście panika. Nikt nie jest pewny dnia i godziny. Dziś oni, jutro my. O różnych porach dnia i nocy, widuje się na ulicach ludzi z tobołkami pościeli, ludzi z walizkami, ludzi pchających dziecinne wózki, pełne kuchennego naczynia, ludzi ciągnących na saneczkach swoich chorých. Zrozpaczeni, zaśpiesszeni, bezdomni, o oszronionych biało wąsach i brwiach, cali w obłokach zziających oddechów.

Perspektywa zostania na ulicy z taką ilością dzieci w ten mróz w dodatku i bez pieniędzy, jest gorsza od choroby. Jak maniak stoję teraz całymi dniami w oknie i patrzę w bramę. Idą, czy nie idą? Wyrzucą czy nie wyrzucą?

Gdzieś w końcu stycznia, czy w początkach lutego, Habicha oświadcza, że wyjeżdża na parę dni na prowincję. „W teren” się to nazywa. Mrozy takie, że paraliżuje wprost płuca. Dali mu wreszcie granatowy, ciepły płaszcz, buty i czapkę milicjanta. Podziwu godne jest jego zaparcie się siebie, z jakim znosił dotąd bez słowa buntu czy goryczy te psie warunki pracy. Sprawa poborów milicji nie jest jeszcze uregulowana. Wiemy, że całymi dniami chodzi bez jedzenia, że całymi nocami patroluje po ulicach. Kaszle wprawdzie, aż się w hallu rozlega, ale to nic. To wszystko dla „szczęścia mas”. Niech mu będzie. Pojechał.

Nim wrócił wiedzieliśmy już wszyscy gdzie jeździł i po co!

Władze zarządziły bestialski wywóz polskiej ludności ze wsi i osiedli, na całym zajęтым terenie! Wiadomości, które nadchodzą włosy wprost podnoszą na głowie. W ten wściekły, kilkudziesięcio-stopniowy mróz, wywożą całe wsie! I znów nie wiadomo, czemu te a nie tamte. Z tych na które padnie los wyganiają całą ludność, ładują do pociągów i wysyłają w głąb Rosji. Nie podobna opisać wrażenia! Jesteśmy wszyscy zrozpaczeni, chorzy, rozbici. Niedobitki tych pogromów kryją się po miastach i miasteczkach.

Po paru dniach Habicha wraca. Jest zielony, do siebie niepodobny, roztrzęsiony, tak prawie jak my. Widać, że coś się w tym człowieku dzieje, że coś w nim kipi, buntuje się. Wreszcie wybucha.

Jeszcze jedna taka ekspedycja — a zwariuję! To ponad ludzkie siły! Te wyjące, czołgające się u nóg kobiety, ta rozpacz bezbronnych, oszalałych trwogą, nocą zaskoczonych ludzi. Mróz, Sanie przed chatami. Wyganianie całych rodzin z domów, odrywanie czepiających się progu chaty rąk. Piekło! Piekło! Wszystko, co człowiek musi wytrzymać sam, to nic to nic. Ale patrzeć na te dzieci których nie ma w co odziać na to zimno, na te małe broniące się, krzyczące dzieci.

— Ja nie mogę, no nie mogę patrzeć, jak dzieciom dzieje się krzywda... — mówi z rozpaczą, i widzę, jak mu mięśnie szczęk drgają konwulsyjnie pod skórą. — A tu stój i patrz, jak taki chłop — bieda z nędzą po prostu... bieda z nędzą... owija dzieci w słomę — bo w co je wszystkie naraz odzieje na ten mróz — i tka je w skrzynię no taką z wiekiem, drewnianą skrzynię na rzeczy, — ciasno, jedno koło drugiego, jak słoiki w siano i w tej skrzyni dopiero — na sanie! Ten krzyk, ten płacz... ten strach... Nie mogę... no nie mogę... Rozumiecie?!

Rozumiemy...

W jakiś czas po tym Habicha popada w niełaskę. Nie dowiedzieliśmy się nigdy za co. Może równie szczerze jak nam, opowiadał jeszcze innym o tym wywozie, choć wątpię. Dość, że z końcem lutego czy w początkach marca, dostaje rozkaz natychmiastowego wyjazdu, gdzieś aż za Ural do fabryki. To degradacja i kara. Chłopczyśko chodzi jak strute, rozgoryczone, ale milczy. Żal nam go bardzo. Komunista, bo komunista, głowa ciasna, bo ciasna, ale z kośćcami poczciwy człowiek. Wbrew wszelkiej oczywistości wierzy dalej w cały ten swój komunizm. Pojedzie... Będzie pracować. Do upadłego. Aż mu krew spod paznokci pójdzie. Dla dobra mas. Dla wszystkich wyzyskiwanych i nieszczęśliwych. Dla ubogich i bezdomnych.

Kotchoz pod Bucharą

Nim zacznę mówić o Stalinie, chciałabym najpierw odgarnąć z pamięci wszystkie brudy, ohydy i okropności, w których nurzałam się dotąd, odcedzić z pamięci całe to bezbarwne, posępne śmiecie, z którego składały się poprzed-

nie miesiące — bo wspomnienie tego czarownego zakątka waży się we mnie osobno i tęczo, jak wnętrze dużej, odciętej od reszty świata bańki.

Dawniej miejscowość ta nazywała się inaczej. Dziś przezwali ją Stalinin — jeszcze jeden Stalinin — bo na nowe pomysły nie stać już nawet ich lizuństwa. Stalininów w samej bucharskiej obłasci jest pono kilkanaście!

Ale mniejsza z tym... Niech się to nazywa jak chce! Żadne przewroty świata nie zdołają tu zetrzeć z powietrza światła a z ziemi barw. Nieporównany czar tej uzbeckiej wioszczyny zaczął się w nas sączyć od pierwszej chwili, kiedy z polecenia zarządu kolchozu, czyli tzw. kantoru, obarczone workami, ruszyliśmy ku wyznaczonej nam kwaterze.

Wieś podzielona jest na dwie jakby połowy: żywą i umarłą. Nie umiem sobie zdać sprawy, dlaczego jedna jej część jest już tylko wspomnieniem samej siebie, podczas gdy druga żyje. Czy ludzi zabrakło, czy z musu i nędzy ścisnęli się wszyscy w jednym krańcu wsi? Nie wiem. To jedno wiem, że wszystko tu rozsuwa się powoli w gliniany pył. Szczątki lepiarek, zarysy zagród, parę samotnych ścian i niebo. Niebo — parę samotnych ścian, kilka zarysów zagród i znowu nic. Nie wiem, czy co na świecie kończyło się słoneczniej, pogodniej, ciszej. Bez śladu buntu, czy goryczy. Cudownie prosta konieczność przemijania, powolny mądry powrót z „jest” do „nie ma”, uległe wsiąkanie, rozpadanie, osuwanie się w niebyt.

A nad tym wszystkim jest powietrze. Powietrze, jak żadne inne. Powietrze, które *widać* choć jest czyste, przejrzyste i słoneczne. Nie wiem jak to określić? Powietrze puszyste, jak pastel, jak pył motyli skrzydeł, powietrze sypkie, mieniące się światłem, cieniem, kolorami. Nigdy i nigdzie nie widziałam takiego! Człowiek brodzi w rozpylonej wokół niego tęczy, oddycha nią i widzi świat, jak przez miazgę, przejrzysty opar.

Drogę zastępuje nam teraz sunący głęboko między piaszczystymi brzegami bury strumyk. I ta woda właśnie, zdaje się być granicą między żywą a umarłą częścią wsi. Gliniane czworoboki zagród stają się od razu zamieszkałe. Każda jest jakby małą, glinianą twierdzą, zjeżoną zwalonymi tu na dachy i przymurki, suchymi badylami bawełny. Dudniące trzcina mostki, przeskakują wodę na wprost drewnianych, szeroko rozsiadłych bram. Każda więc brama po

tamtej stronie wody ma swój mostek, każdy mostek swoją bramę. Żeby nikomu nie było krzywdy.

Nie wiemy, czy ustrój uszanował tu prawo własności. Nie wiemy, czy ludzie są właścicielami tych ulepionych przez siebie, glinianych zagród. W każdym razie nazywa się, że w takim zamkniętym czworoboku są u siebie. A mimo tego zarząd kolchozu rządzi się u nich jak szara gęś. Helena — która wszystko musi spenetrować i wybadać pierwsza — wie już, że „kantor” wyznaczył nam kwaterę u jednego z Uzbeków. Na siłę. Nikt się go nie pytał, czy chce, dostał rozkaz i musi. Helena mówi, że przyszła nasza klitka, jest strasznie przyjemna! Oczywiście, już ją rano oglądała!

Zagroda naszego Uzbeka jest ostatnią na tym skraju wsi. W złotobury mur ogrodzenia wpiera się brama ogromna, rzeźbiona, srebrzysta od starości. Cudownie spatynowane drzewo grubych belek, popodpierany kroksztynkami okap, wysoki próg, wreszcie duże, zardzewiałe koła antab — wszystko to tchnie tak nieskazitelną, archaiczną dawnością, że nagle — nigdy nie zgadnę jakim cudem — zawiąło ku mnie wyraźnie Helladą i Homerem! Czas wahał się raptem o parę tysięcy lat wstecz, zrobiło się zupełnie „gdzie indziej”, nie teraz i nie tu. Nie umiem tego zanalizować. rozebrać na style, motywy, podobieństwa, nie mam pojęcia dlaczego tak i skąd — dość, że wrażenie to zaskoczyło mnie samą i narzuciło mi się tak nieodparcie, że nie otrzepałam się z niego do końca.

Z bramy wychodzi naprzeciw nas niesłychanie malownicze dziadziśko, Uzbek stary jak świat, o brązowo złotej, zsiekaney zmarszczkami twarzy, cienkim pasmie białej brody i olbrzymim, staroświeckim turbanie jakich tu już nikt nie nosi. Dżouma na nim wypłowiła, pełna łat i pełna dziur, z których wylazi brudna wata. To nasz gospodarz. Łzawiące się ze starości, kaprawe oczy, skaczą po nas bystro i przebiegle, porachowały już nasze worki, zlustrowały ubranie. Choć wie chyba, że nie rozumiemy słowa po uzbecku, gada jak najęty i gestykułując szeroko, wschodnim, czołobitnym ruchem zaprasza nas do wnętrza. Przystępujemy wysoki, jak kłoda próg i dostajemy się w to małe, gliniane królestwo, jakim jest każda taka uzbecka zagroda.

Planu to nie ma żadnego. Są ściany i podwórka, daszki i wnęki, są gładko lepiące zakosy glinianych murków przez które zaglądają, umaczane w błękicie bezlistne teraz,

morelowe drzewka. Izby nie mają tu żadnych okien. Światło pada do wnętrza od niskich, stale otwartych drzwi. Izby są prawie puste, wyścielone całe matą i wojskami, a nazywają się z rosyjska „kibitkami”.

Przeznaczona dla nas kibitka mieści się przy bramie, tuż za jej szerokim skrzydłem, a wiodą do niej małe, jak do szafy, nie mające żadnego zamka drzwiczki. Komórka ma może dwa i pół metra w kwadrat, klepisko i cztery chropawe ściany. Oknem — bo jest tu okno, o dziwo! — jest kawałek krzywo zbitej szybki, z pełnym uwzględnieniem jej przypadkowego kształtu, wmulonej po prostu w ścianę. W klitce panuje bura, puszysty mrok. — Jedyne narzędzie pod ścianą w głębi jest łóżko. Nie. Nie łóżko wcale, tylko prycza. I nie prycza właściwie, tylko szeroka, długa ława, opisana wokoło misternie rzeźbioną listwą, podobną żywcem do starogóralskich łyżników. Drzewo jest stare, zjedzone przez robaki i robi wrażenie lekkiego, jak korek. Poza tym kibitka jest pusta.

Cóż nas to jednak może obchodzić?! Pierwszy raz od niepamiętnych czasów jesteśmy wreszcie — same! Same! Bez mężczyzn, bez obcego, czy wrogiego elementu! Tylko my trzy. Zgrane, rozumiejące się, zżyte. Cóż to za cudowne uczucie! Mamy ochotę całować ściany, głaskać drzwi, śpiewać, śmiać się. Człowiek nauczył się być tak łatwo szczęśliwy, tak bezgranicznie wdzięczny za każdą najdrobniejszą pomyślność! Helena miała rację! Nasza kibitka jest cudowna!

I to wrażenie zostało mi do dziś. Choć przyszło nam w niej przeżyć trzy bardzo ciężkie, bardzo zimne i bardzo głodne miesiące, wspomnienie Stalina trwa we mnie, jako najmiłosierniejszy, najznośniejszy okres naszej tułaczki po Rosji.

.....

Nie wiem czemu to przypisać, że od samego początku byliśmy w kołchozie na wyjątkowych jakby prawach. Czy dlatego, że nie miałyśmy tu zostać na zawsze, czy dlatego, że Helena była taka odważna, zadziorna i nieustępliwa? Nie wiem. To pewne jednak, że patrzono tu na naszą pracę przez palce i że wymagana od nas norma była o wiele niższa, od normy obowiązującej ludność tutejszą.

.....

Pierwszą robotą, którą nam dano, było łuszczenie bawełny. Spędzono całą brygadę bab w jedno ciasne podwórko i tam od rana do nocy wydłubywałyśmy z zaschniętych bodiaków, wilgotną, twardo ubitą watę. Robota lekka, tylko nudna i bezmyślna. Za to słoneczne podwórko, drewniane jego podcienia i przymurki zawalone kolorowo odzianymi kobietami, robiły wrażenie głębokiego kosza, pełnego bądź jak pourywanym i narzucanym w ten kosz, przewidywanych w słońcu dali...

Potem kazano nam trzem wywindować na płaski dach stajni kilkanaście cetnarów półzgniętej bawełny. Miała tam wyschnąć przed łuszczeniem... Robota to była wściekła i nad siły, po której chodziłyśmy wszystkie, jak połamane. Jedna z nas stała na dachu, a druga przywiązywała jej do spuszczonego sznura nawilgły, ciężki wór, który trzeba było wywlec na górę i rozesłać w słońcu. Helena, jako najsilniejsza, taszczyła wory po prostu na grzbiecie, donosiła je po drabinie pod sam dach, skąd już ta, która „urzędowała” na szczycie, zwlekała go jej z pleców i rozsypywała cienką warstwą po nagrzejonej glinie.

Potem kazano nam oczyszczać pola z badyli po bawełnie. Gdyby nie wiatr i przejmujące zimno tych właśnie tygodni, robota nie byłaby zbyt ciężka. Helena ścinała motyką krzaki a my z Marysią układałyśmy je w wysokie kupy na polu. Przy tym umiałyśmy już wtedy błagować w robocie. Badyle kładło się na sobie lekko i przejrzyste tak, aby kupa wyglądała przepisowo wysoka i okazała. W ten sposób można było prędzej odwalić normę. Nie pamiętam już dziś ile ich dziennie musiałyśmy ułożyć.

A potem wreszcie przeznaczono nas do ziemnych robót przy kanałach.

Nie mam pojęcia, jak wygląda w Stalinie praca na wiosnę, w lecie czy w jesieni. Widziałam tylko zimową.

Stalin uprawia wyłącznie prawie bawełnę. Bo taka tu moda w Rosji. W danym okręgu wolno uprawiać to tylko, co któremu ogólny plan gospodarki rolnej całego kraju przeznaczy i narzuci. Wszystkie południowe republiki mają rozkaz uprawiania tego, co się w północnych uprawiać nie da. Nie można zaprzeczyć, że ma to zapewne pewien sens. Ale dlaczego nie wolno im — dla własnego użytku tylko — uprawiać po trochu i tego także, co by im zapewniło wyżywienie? Dlaczego sztucznie uzależniać całe połud-

nie od dostaw zboża z północy? I przy tych obłąkanych odległościach zwłaszcza! Dlaczego? — Potem już zrozumiałam dlaczego... To bardzo chytrze i celowo pomyślane wszystko. Gdyby każda rodzina miała tutaj prawo zasiać sobie obok chaty łanik choćby jakiegokolwiek zboża — któż by ją potem zmusił do tak forsownej pracy, do jakiej zmusić ją może głód i świadomość, że tylko codzienne odwalenie normy zapewni jej tych parę garści otrzymywanego z kantoru ziarna? Grządka melonów, cebuli czy rzepy, tych parę krzaków winogron pod murkiem i parę drzew dzikiej moreli — nie wyżywi rodziny. A jest to jedyne co im wolno mieć tu dla siebie z tym, że pewną część tych ubogich zbiorów, muszą oddać bezpłatnie do kantoru. W ten sposób zarząd kołchozu ma ich w ręce, a o to przecie chodzi.

Zależnie od wyrobionej, czy nie wyrobionej normy. Kantor wydaje dziennie po ćwierć kilo zboża na osobę. Czasem jest to jęczmień, czasem owies lub dżugara — nieznanym u nas gatunek gruboziarnistego, białego prosa, rosnącego w suchych, szklitych kiściach — kiedy indziej zwykłe proso, najrzadziej pszenica. Prócz tego, w czasie kiedyśmy tam były, wydawali jeszcze po jednej rzepie dziennie. Mięso jest na kołchozie taką rzadkością, że mówi się potem... „To było wtedy, kiedy wydawali gusz” — albo „To było właśnie po wydaniu guszu...”. Epokowe wprost zdarzenie! Coś jeszcze działa się w związku z mlekiem. Jakichś kusych parę litrów rozdzielali kantor dziennie między ludzi, ale nie co dzień i nie wszystkim. Zdaje mi się, że pierwszeństwo miały te chaty, w których skwierczał noworodek, ale mówię to raczej na własny domysł, bo się nam nigdy nie udało wypenetrować dokładnie, jak się w istocie przedstawia rozdział tego mleka. My dostałyśmy je dwa razy w ciągu trzech miesięcy. Po szklance na każdą.

To jedno pewne, że ludzie są tu stale głodni. Zagadnienie: co będziemy dziś jeść i co kantor wyda: arpahon, burdoj, czy arzak — jest jedynym tematem, rozstrząsanym na wszystkie tony w czasie pracy, po pracy i przed pracą. W zasadzie, temu, kto wypracował więcej niż nakazana norma, należało się jeszcze wynagrodzenie w pieniądzu... Mówiono nam jednak, że teraz, w czasie wojny, kantor winien jest ludziom z tytułu tych nadwyżek po paręset rubli, o które nikt upominać się nie śmie, a których nikomu nie przychodzi nawet na myśl — płacić. W dodatku obra-

bowano ich ostatnio z jednego dnia odpoczynku, do którego mieli dotąd prawo raz na dziesięć dni!

Normą dla tutejszych kobiet jest 400 kopców którymi muszą obsadzić wyznaczony im odcinek pola. W kopiec taki wchodzi mniej więcej dwa normalne wiadra ziemi. Nie mam pojęcia ile tego mogło być na kubiki, tyle wiem, że raz, do spółki z Heleną, pracując tego dnia naprawdę do upadłego, zdołałyśmy nabrać na nosilki i usadzić w rzędzie 270 kopców. To znaczy, że wypadło tylko po 270 wiader mniej więcej na każdą z nas — a i tak zdawało się nam, że nam krzyż pęknie. Dożywotnie tutejsze niewolnice jednak, ażeby wieczór dostać jeść, muszą wynieść 800 wiader! Nigdy nie pojmę, jak się to działo, że mogły! Prawda, że pracowały od świtu do nocy, że umiały już wiadra napełniać i opróżniać z niepojętą szybkością, że zawsze nosiły po dwa równocześnie i że kopce sypało się blisko, jeden obok drugiego. Ale i tak, gdyby przyjąć 12 godzinny dzień pracy, dawało to w sumie po jednym kopcu ziemi na niespełna dwie minuty! Gdybym tego nie była widziała, nie byłabym dała wiary. Jak mieściły to w czasie, skąd brały siły — nie wiem. Rano przed wyjściem, piły tylko gorącą wodę z rozgotowanym w niej urugiem, a w czasie całodziennego pracy parę garści suchego urugu będzie znów całym ich pożywieniem! Czasem któraś z kobiet bierze z domu miedziany dzbanek z „czajem”, z jasno żółtą, nie cukrzoną, cierpkawą wodą, którą się potem podgrzewa przy kupach palonego perzu i bodiaków. To wszystko na cały dzień do wieczora. I to od lat tak. Od całych długich lat. Niewiarygodny, o pomstę do nieba wołający wyzysk pełni się tu nad ludźmi, terroryzowanymi głodem i widmem tiurmy grożącej każdemu, kto by się „odkazał” od roboty.

Nie odkazuje się jednak nikt. Nikt nie śmie. Nikt nie śmie pary z ust puścić. Od nikogo nie słyszałyśmy tu słowa buntu, czy sprzeciwu. Jednego słowa skargi. Boją się własnego cienia. Boją się własnych myśli. Boją się własnych snów. To już nie tiurma i nie łagier, gdzie wolno szczerze mówić, bo nic gorszego nikomu tam nie grozi. Całym ich sprzeciwem jest milczenie, są te uparcie ku ziemi spuszczone oczy i wyraz twarzy zakrzepły, tragiczny a zaprzysięgły czemuś, co gdyby śmiało być sobą, nazywałoby się chyba:

zemsta i nienawiść. Odrabiają jednak swoje, jak maszyny, w zapamiętaniu, w transie jakby, nie patrząc na boki i nie podnosząc głów.

...Taka Muslima na przykład. Siedemnastoletnia córka naszych sąsiadów z przeciwka. Choćby już było dawno po zachodzie, ta wątła, cicha, pracowita jak koń dziewczyna, nie zeszła nigdy z pola, póki nie wysypała swojej ostatniej putni. Mam w oczach jej smukłą, dziecinnie drobną sylwetkę, obciążoną dwoma wiadrami ziemi. Oba ważą chyba więcej od niej samej. Toteż kręgosłup od tego napięcia i ciężaru zdaje się w niej dygotać, jak struna. Z oczyma wbitymi w ziemię z tą samą uwagą, z jaką linoskoczek patrzy w linę po której idzie — biega zdyszana po bruzdach tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak małe, zaczarowane, tkackie czółenka. Kalosze człapią jej na zziębniętych nogach, wiatr nadyma perkalowe izory i czuje się, że jej po prostu ramiona wyłażą ze stawów. Ale za to wzdłuż jej drogi wyrastają wysokie, sypane kretowiny, wszystkie takie same, zawsze tak samo w równych odstępach sadzane między bruzdami, póki ich wreszcie nie wyrosnie czterysta. I wtedy dopiero Muslima podnosi oczy. Śliczne, czarne, o kolczato podwiniętych rzęsach i uśmiecha się do ojca, krepiego jak żuk „bobo”, który od wczesnego rana rąbał kitmanem skamieniałą glinę nasypu. Bobo — co znaczy dzadzio, — ma lat 67 i pracuje jak maszyna, bez wytchnienia, bez słowa, z jakąś maniacką, tępą zjadłością.

.....

Niech nikt nie myśli, że na tych 400 kopcach kończył się roboczy dzień takiej małej Muslimy na przykład! Wracała do domu piechotą, a potem do późna zwoziła burym osiołkiem pachtę na opał dla domu. Już samo dźwignięcie i przymocowanie snopa tych badyli, wymagało dużego wysiłku. A potem — dreptając piechotą obok obładowanego osła, zwał pachtę na dach, czy przymurek i trzęść się znów na oklep w zmierzchłe, ostygłe pola, po nowy ładunek, I tak kilkanaście razy pod rząd.

W czasie kiedy Muslima jeździ z tą pachtą, bratowa jej, Husnija, czeka pod magazynem na wydanie im dzisiejszego zboża. Zboże to, późnym już wieczorem, w zimnej komórce w głębi zagrody u naszego Uzbeka mełła też zawsze Muslima, mełła ostatkiem sił, rozkiwana rytmicznie

nad olbrzymim, szorstkim kamieniem, którego głuchy, monotony bełkot słyszało się w naszej „kibitce” do późnej nocy nieraz. Kołchoz ma wprawdzie obracany wielbłędami młyn, ale rzadko kiedy wydaje ludziom gotową mąkę. Przeważnie mleć ziarno muszą sami na prymitywnych, ciężkich żarnach, których w kołchozie jest tylko kilkanaście. Toteż często po kilkanaście całodzienną pracą zmęczonych kobiet, czeka rzędem z pełnymi miseczkami dzugary, czy prosa pod komórką naszego Uzbeka.

Nie wyobrażałam sobie nigdy, że mielenie na żarnach jest tak strasznie ciężką, żmudną i dłużącą się robotą! W otwór kamienia wsypywać można na raz szczypteczkę tylko ziarna, którą się potem miażdży bez końca, pchaniem w kółko wypukłego, kamiennego bochna. Drażek, który go obraca, wetknięty w wyskrobaną na jego obrzeżu dziurę jest śliski, jak szkło i raz po raz wyskakuje ze swego płytkiego wgłębienia. Wprawienie w ruch tego bochna i zatoczenie nim koła, to wysiłek wszystkich mięśni szyi, ramion, brzucha a nawet nóg, — wytężone, zdysane, kiwanie się nad wysokim, w ścianę wpuszczonym, kamiennym blatem, na którego środku, na czop drewniany nabite, krąży i krąży to olbrzymie, żujące ziarna kamienisko! Obrotami spod niego wymiatana nikła warstewka mąki narasta białym pierścieniem wokół chodzącego w kółko obrzeża, ale narasta ociągłiwie, nieznacznie, niemiłosiernie wprost wolno. W komórce panuje w dodatku piwniczny ziąb. Kurczowo na drażku zaciśnięte palce, grabieją z zimna i bolą. Warkot kamienia i monotonne kołatanie drażka w drewnianych widłach nad głową, usypia i męczy równocześnie.

.....

I znowu niech nikt nie myśli, że na tych żarnach kończyły się zawsze codzienne obowiązki Muslimy! Parę razy w tygodniu, po przełknięciu w pośpiechu rozbełtanej w gorącej wodzie mąki, musiała gnać do klubu na meeting. A jakże! Musiała tam słuchać — pół przytomna ze zmęczenia — jak bardzo jest szczęśliwa. Jak ojcowski jest dla niej reżym. Jak pożalowania godne są kraje, które go nie znają. Z jakiego ucisku i z jakiej niewoli wydobył ich komunizm, jakimi dobrodziejstwami ich otoczył i jak bezgranicznie wdzięczni winni być ukochanemu Stalinowi!

Co się dzieje w sercach tych — siłą do klubu zagnanych — głodnych, śpiących, bezbronnych ludzi, kiedy tego wszystkiego słuchają, to pozostanie ich tajemnicą. Milczą. Słuchają i milczą. Tak jak pracują i milczą. To jedyny ich sprzeciw i obrona.

.....

W wysokich trawach na nasypie, wśród pętających się tu licznie dzieci, pasie się parę kóz i baranów. Widocznie zarząd kołchozu pozwala ludziom brać je ze sobą w pole, aby na kępach traw czy na wyłupanych razem z ziemią korzonkach popasły się trochę w czasie dnia. Najlepiej znamy barana i owce Muslimy. „Guaspany” te są własnością Muslimy. Ona je wychowała, ona je czesze, strzyże i głaska. Jak psy chodzą za nią krok w krok a zawołane przychodzą do ręki. Nie można Muslimie zrobić większej przyjemności, jak je głośno, przy wszystkich pochwalić. Widujemy ją czasem, przycupniętą na grobli, gładzącą wiecznie rozmrużany, wąski pyszczek jednej z nich i przemawiającej do niej, jak do dziecka. Owce te są na pewno jedyną radością Muslimy.

.....

W zagrodzie naprzeciw — żałoba, bo tylko tak można to nazwać. Kantor kazał im oddać na „dobrowolny fundusz wojenny” albo krowę, albo barany Muslimy. Kiedy zgłosili gotowość zrzeczenia się na to konto wszystkich rubli, które im kantor był winien, odpowiedziano, że to zupełnie dwie inne sprawy i że muszą dać albo motgau albo guaspany.

Poszły więc „dobrowolnie” barany. Muslima milczy i nie podnosi od pracy zlepionych łzami rzęs. Bobo wali z furią w nasyp, aż ziemia jęczy, babusia zaś chodzi po obejściu, jak błędna.

.....

Nie pozostaje nam jednak nic, jak czekać co jutro przyniesie.

To „jutro” nazywało się w kalendarzu dwudziesty szósty luty 1942. Historyczna data, którą zapamiętałam dobrze.

Dzień szedł sobie do południa razem z cieniami drzew na piasku — jak gdyby nigdy nic. Wróciliśmy z pola wcześ-

nie, stwierdziwszy z ulgą, że nikt widocznie o niczym nie słyszał. Bobo rąbał nasyp, jak co dzień, Muslima, jak co dzień nosiła bez wytchnienia wiadra. Po prostu dzień, jak każdy inny.

Korzystając z ciepłej pogody, wyszliśmy sobie z Marysią przed bramę. Ona kończyła — pamiętam jak dziś — parę małych „dżilop”, skarpetek dla jakiegoś dziecka, ja prućam moje stare rękawiczki, które Marysia obiecała mi przerobić na nowe. Zaś z głębi „kibitki”, za nami, Helena przybijała właśnie kamieniem obcas u swoich buciorów. Znalazła w magazynie na ziemi jeden bezcenny „gulmiech”, a że gwoździe są tu czymś wprost niespotykanym, postanowiła użyć go do ratowania podstawy swej egzystencji — butów.

Zdarzało się często, że kiedyśmy tak siedzieli pod bramą, ludzie przechodzący mimo drogą, przysiadali się na przyjacielską pogawędkę. Toteż i wtedy, zobaczywszy urzędnika kołchozu zmierzającego w naszą stronę, nie zwróciliśmy na to uwagi. Przykucnął zresztą przy nas, jak każdy z nich, gadał coś o pogodzie, kręcił machorkę, oglądał skarpetki na patyczkach, milczał, pluł, a potem zmrużonymi oczyma patrzył długo w słoneczny opar nad kołchozem.

— A gdzie Hil-Hila — zapytał w końcu.

— W kibitce...

— *Puskaj — haj prydiot... Ja tu imieju bumażku...*

— sięgnął w zanadrze, a potem zaczął rozprostowywać na kolanie jakiś pomięty papier.

Zawirowało mi w głowie! Masz babo placek! Zatem stało się! Przyszedł widocznie po Helenę, w związku z wczorajszym zajściem... Nie mam wprost siły ruszyć się z miejsca, podczas gdy nasz urzędnik, jeżdżąc dla ułatwienia palcem po literach, zaczyna dukać kolejno nasze nazwiska.

Po krótko: był to rozkaz odstawienia nas wszystkich trzech natychmiast do Rejonu. Podpis NKWD. Pieczęć i data.

Wesoło!

Dużo by gadać, a właśnie szkoda słów. Tego nie podobna opowiedzieć. Zaskoczone, nie mogące się od nikogo doprosić żadnych wyjaśnień, prócz tych kilku słów na papierku, gubimy się w domysłach, które nie są bynajmniej różowe i na które w dodatku nie ma czasu. Już w chwili

potem jest u nas drugi urzędnik z kantoru. Był urgens telefoniczny z rejonu, żeby natychmiast, bez chwili zwłoki... I znów ani słowa wyjaśnienia.

Jeśli chodzi o mnie, nie mam najmniejszych wątpliwości. Pakują nas znowu do tury! To jasne. Ledwie wiem, co się wokoło dzieje...

„Kibitka” już pełna ludzi. Jedni przyszedli się pożegnać, drudzy patrzeć, jak się pierwsi żegnają, trzeci odebrać pożyczone wówczas na rozkaz prycze i kołdry, jeszcze inni po zwrot kłębów „sardös”, przyniesionej na rękawiczki włóczki..

W pół godziny później zajeżdża przed bramę rozklekotana arba i siedzący na niej Uzbek popędza nas, niecierpliwi się, woła... Jest! Zaczyna się znowu to przekłete *pa bystrej, pa skorej* od którego odwykłyśmy już trochę... Łapię się znowu na tym, że myślę dawnymi kategoriami: gdzie ukryć igłę, żeby jej przy rewizji nie znaleziono? Co zrobić z uzbeckim słowniczkiem? nitkami, ołówkiem? Boże dobry! Węc będzie znowu zamknięcie, ścisk, smród, transporty! Byle razem! Już tylko to jedno zastrzeżenie i prośba tłucze się we mnie na pół przytomnie, poprzez cały zamęt pakowania, pośpiechu, rozpacz. Byle nas nie rozdzielili w więzieniu!

Wylegli na drogę wszyscy nasi przyjaciele... Zapłakana Muslima, babusia, bobo, Husnija z Osiwem na ręce... Wypęzła z głębi zagrody bibi, zadyszana wzruszeniem i astmą. Kaprawa żona Karapczyka krztusi się głupekowato za skrzydłem bramy, a on, pięknym, wschodnim ruchem, przykładając raz po raz dłoń do piersi i czoła... Inna rzecz, że musi być wściekły, że mu się nie udało smyknąć czegoś w zamieszaniu... Jest już i Czarny Kogut i Mafi-Srocza i piękny Sali i cały tłum innych, ledwie z widzenia znanych nam ludzi. Dziw — jak się to prędko rozniosło po kołchozie! Dołem, w piasku, furka stado dzieci niecąc pod niskie światło zwały mętnego kurzu. Słońce stoczyło się już między pręty przydrożnych drzew i zachodzi, jak na silny wiatr, ogromne i purpurowe.

A potem kolejne ściskanie wyciągających się do nas, wielu par chropawych, zacnych rąk, bezładne słowa pożegnania i bezradne, łzami popłynięte uśmiechy. Płaczącą Muslimę ściskamy wszystkie trzy, długo i serdecznie. Jej żal nam najwięcej... Takie to ciche, pracowite i bezbronne...

Nie mogąc jej pomóc niczym więcej, kreślę szybki krzyżyk na czole tej małej, pogańskiej męczenniczki, której komunizm odebrał wszystko. Wszystko, od Boga — po barany!

Jeszcze jedno pożegnalne spojrzenie na cudowną, srebrzystą bramę o rzeźbionych skrzydłach, na wyzierający ponad murek bury, cynamonowy o zachodzie sad, na ślepą szybkość naszej pocziwej „kibitki”...

No a potem... skrzypnęła arba, wahnęło nas wstecz i wprzód, po czym grzęznącym w piasku stępem, ruszamy wolno przed siebie...

Bardzo dziwnie jest człowiekowi, który znów skosztował wolności, jechać taką cudownie otwartą przestrzenią na powrót do więzienia...

.....

Cała rzecz w tym, żeby się przygotować, żeby nic na człowieka nie spadło zbyt nagle, żeby miał czas siły zebrać, zaciągnąć się dobrą wolą przyjęcia i pogodzenia się ze wszystkim, co mu sądzone, żeby się po prostu nie dać zaskoczyć — ot co — żeby się nie dać zaskoczyć...

A to, co nas zaskoczyło, było właśnie ze wszystkiego na całym świecie, najbardziej nieprzewidziane!

Kiedy późną nocą arba nasza wtoczyła się na uliczkę rejonu, na bielejącym w mroku moście, zamajaczyła przed nami jakaś drobna, biegnąca postać, pętająca się w za długim, wojskowym płaszczu i głos czyjś znajomy zawołał do nas po polsku:

— Zlitujcie się! Nareszcie! Trzy dni czekam tu na was i trzy dni rozbijam się po wszystkich urzędach. O mało nie rozniosłam całego NKWD! Latało wszystko, jak z pieprzem... Nareszcie! Moje złote! Złazcie... To ja. Staszka.

Na miłosierdzie boskie! Staszka z Lidy?! W mundurze? W czapce, w pasie?! Stoi przy arbie i krzyczy zadyzana:

— Komendantka Przystajko przysłała mnie po was z Guzaru. Tam nasz Ośrodek. Idziecie do wojska! Mam papiery, bilety, pieniądze. Już myślałam, że was po tych kołchozach nie odszukam. Gdzie tknąć, jakiś Stalin... Dziś jeszcze jedziemy do Buchary!

MARIA CZAPSKA

Spisane jesienią 1941 r., w Warszawie, zeznania Haliny N.N., aresztowanej w Brześciu Litewskim w końcu października 1939 r. Halina, skazana na 8 lat obozów poprawczych, przeżyła 18 miesięcy w więzieniu mińskim. W pierwszym dniu wojny niemiecko-sowieckiej więzienie mińskie zostało zbombardowane; część więźniów politycznych, przeważnie cudzoziemców — Francuzów i Anglików, zbiegłych z niewoli niemieckiej — rozstrzelano następnej nocy; resztę, w kolumnach po dwa tysiące osób, pod strażą ewakuowano piechotą w kierunku na Czerwień (dawny Ihumeń). Ale już następnego dnia, ponieważ ofensywa niemiecka zbliżała się gwałtownie, strażnicy przeprowadzili ponowną segregację więźniów, wyłączając z gromady prawie wszystkich mężczyzn, których na miejscu rozstrzelano. Zaraz potem ciężarówki z konwojentami znikły. Reszta ocalałych — przeważnie kobiety — skierowała się na Zachód. Pierwsze napotkane oddziały Wehrmachtu odstawiły ich do Mińska, skąd Halina po kilku miesiącach odpoczynku mogła wrócić do Warszawy.

Maria Czapska ogłosiła zeznanie Haliny w nrze 12 „Wiadomości” z dn. 23 czerwca 1946 r. pt.: „Harcerka z Pińska”. Artykuł podpisany był pseudonimem „Dorota Obuchowicz”. „Nim kur zapieje” drukował londyński tygodnik „Życie”.

NIM KUR ZAPIEJE...

Kawiarnia, w której miałam się spotkać z Haliną, mieściła się na piętrze w dawnej antykwarni Mieczysława Sterlinga, róg Chmielnej i Nowego Świata.

Dwie salki wiszące starymi szerniałymi obrazami w ciężkich złożonych ramach były zastawione stolikami.

Na małej estradzie w głębi — fortepian. Dwa razy na tydzień najlepsi nasi muzycy koncertowali na tej estradzie. Chopin był od początku okupacji niemieckiej skreślony z programów muzycznych, ale od czerwca 1941 roku, tj. od ofensywy na Rosję, cenzura wzbronila też kompozytorów rosyjskich, w wyjątkowej dotychczas łasce.

W programie tego popołudnia późnej jesieni 1941 r. była *Chaconne* Bacha i koncert Mozarta nr XVII, w interpretacji kwartetu Umińskiej, z fortepianem.

Zastałam Halinę już przy stoliku. Zapalono światła, dwie jasne blondynki w koronkowych fartuszkach szczerze zaciemniały okna. Goście zamawiali kawę lub herbatę.

W czasie koncertu obowiązywała zupełna cisza.

Halina miała na sobie swój gruby czarny sweter i ciemną chusteczkę zawiązaną pod brodą; jej uśmiech w połączeniu ze spojrzeniem miał przejmującą ekspresję.

Otwarto fortepian, światła przygasły i pierwsze akordy Bacha wypełniły mroczną salkę.

Obie nie należałyśmy do żadnej kategorii znawców. Ale muzyka jako najbardziej abstrakcyjna ze sztuk działała wtedy na nas chyba najbardziej wyzwalająco, ratując od tej monomanii, w którą popadliśmy prawie wszyscy.

Akordy organowych harmonii szły ku nam z innego świata.

Więc jeszcze jest ten świat, gdzieśmy go zagubili?

Nie było Warszawy w gruzach i jej więzień, codziennej trwogi, powszedniej zgryzoty, tylko te chorały-modlitwy i wielogłosy kościelnych dzwonów.

Zawiaływały się przyciszone rozmowy.

— Mamy półgodzinny antrak — zaczęłam nieśmiało — czy mogę panią pytać?

— Oczywiście, odparła Halina całkiem rzeczowo — muzyki dawno nie słyszałam, ale nie przyjechałam tu przecie, żeby chodzić na koncerty... Słucham panią — zwróciła ku mnie drobną, zniszczoną twarz i uważne spojrzenie.

— Najbardziej interesuje mnie człowiek w Sowietach — zaczęłam. — Pani śledztwo trwało ile czasu?

— Przeszło rok.

— I była pani w rękach ilu śledczych?

— Trzydziestu trzech. Niektórzy trzymali mnie tylko jedną noc, inni po kilkanaście... Cóż mogłabym pani powiedzieć o moich śledczych?

Mówiła z zastanowieniem opuściwszy swoim zwyczajem wzrok na splecione na kolanach ręce; tak samo zapewne siedziała przed swymi trzydziestu trzema „sędziami” — pomyślałam.

— Jeszcze w Brześciu przed uwięzieniem miałam takiego na kwaterze i sporo się od niego dowiedziałam. Sowieccy *sledowatiele* są przeważnie rekrutowani z bezdomnych dzieci tzw. *biezprizornych*, wychowanych w *dietdomach*, w duchu ściśle ortodoksyjnym. Są to prawdziwe dzieci państwa sowieckiego — pozbawieni związków rodzinnych i, okazuje się, bardziej od innych odporni na wszelkie ludzkie uczucia i wpływy zewnętrzne. Na ten użytek dobierają sobie — jak mogłam zaobserwować — przystojnych chłopców, albo odwrotnie, ułomnych, o powierzchowności odrażającej, zeszpeconych na twarzy, garbatych. Mój brzeski sublokator należał do ładnych chłopców, opowiadał mi z dumą, że przechodził specjalne przeszkolenie aktorskie w celu opanowania mimiki, jako sposobu zastraszenia podsądnych. Z własnego doświadczenia wiem, że sędziów urodziwych, ujmujących obietnicami, nawet uwodzicieli zastępowano od razu ohydnyimi brutalami. Po obietnicach i słodkich słówkach następowały wrzaski, szczerzenie zębów, wytrząsanie pięściami i stek plugawych wyzwisk; dopiero w razie niepowodzenia, czyli odmawiania zeznań, stosowano bicie.

— Czy pani była bita?

— Nigdy do utraty przytomności — odparła Halina ze zwykłą prostotą — dzięki temu nie powiedziałam nic ponadto co chciałam powiedzieć; ale muszę przyznać, że bili po mistrzowsku, to też jest „szkoła”...

— Czy bardzo bała się pani tych nocy?

— Była wtedy ciężka zima — ciągnęła Halina, jak gdyby puszczając mimo uszu moje pytanie i patrząc przed siebie, a raczej w siebie, w tamte wspomnienia. — W okresie śledztwa siedziałam przeważnie w karcerze; głód, chłód, bezsenność... Każda zmiana jest wtedy pożądana. Mogłam wymienić kilka słów, niekiedy ludzkich, z dozorcą, odetchnąć świeżym powietrzem. Przewozili nas z więzienia do gmachu sądowego pojedynczo z konwojującym żołnierzem, w osobowych zamkniętych samochodach.

A noce zimowe, roziskrzane, zawsze piękne — to było jedno olśnienie po karcerze. Gmach sądowy mieścił

się w dawnym pałacu gubernatora, przy katedrze. Zabudowania poklasztorne były zdaje się włączone do tego budynku, sędziowskich gabinetów było bardzo dużo, sądząc po numeracji chyba ze dwieście. Mogłam usiąść na krześle w ciepłej izbie. A czym było dla nas ciepło — to trudno wyrazić.

Niekiedy dawano mi jeszcze gorącą herbatę. W gmachu był bufet dobrze zaopatrzony i posługaczki roznosiły piwo, bułki z szynką, wino, lub dymiącą herbatę.

Co mnie ratowało, to moja senność. Krzyczeli, grozili, bili, wylewali na mnie stek swoich plugawych wyzwisk, ale mnie to ciepło bijące z pieca tak mroczyło, że musiałam się trzymać krzesła, żeby nie upaść. Wszystko było dzięki temu jakby stłumione, wrażliwość przytępiona. Byle by tak nie krzyczeli — myślałam — i zapadałam w półsen. Budziło mnie szarpnięcie, wytrącenie spode mnie stołka, cios w głowę — a chwytali mieli przeróżne. I jeszcze ta ich plugawa „briań”, to kruszy odporność nie gorzej od bicia, człowiek doznaje jakiejś głębokiej moralnej krzywdy, duchowego pohańbienia. Posiadają zaś tę „sztukę” w skali tak rozległej, że to chyba też wchodzi w skład ich zawodowego wykształcenia, podobnie jak mimika.

Zasunęła pod chustkę wymykające się pasemka włosów.

— A ta blizna? — spytałam, śledząc ruch jej spracowanej ręki — ta blizna koło ucha?

— To nie od bicia, to cynga, awitaminoza, pamiętka z karceru. Podniosła na mnie oczy o wyjątkowo intensywnym wyrazie. Podobnie niemą wymowę wzroku mają niektóre zwierzęta. Takiej wymowy nabywają oczy ludzi, co przeszli długotrwałe śledztwa, gdzie każde pytanie jest pułapką i zapiera dech w piersi, w tym kraju, gdzie „za słowo” idzie się na długie lata katorgi.

— I zawsze nocą? — ciągnęłam moją indagację.

— Zawsze. Brali albo z wieczora i trzymali do 2-giej, 3-ciej, albo od 2-giej, 3-ciej do rana. Widziałam wtedy jak nieraz sami już byli znużeni, ziewali, wychodzili na korytarz. Zostawałam wtedy sama. Z dalszych izb dochodziły krzyki, dźwięczały dzwonki, za ścianą słyszałam głosy. Przemagałam senność, żeby się czegoś dowiedzieć, mało się czego dowiedziałam. Prawda, że raz to posłyszałam ciekawe wyznanie: „Wiesz co” — mówił jeden młody sędzia do drugiego podnieconym głosem — „udało mi się. Pod-

pisał. (Drzwi były niedomknięte, słyszałam wyraźnie)". Tamten o coś spytał. — „Miałem co prawda do pomocy czterech ludzi” — odpowiedział pierwszy *śledowatiel* — „oskarżonego wynieśli na noszach — ale podpisał”. —

W tonie opowiadającego brzmiał triumf. Tak przemawiałby lekkoatleta po rekordowym biegu lub skoku, albo myśliwy po udanym polowaniu, cieszył się rezultatem być może wielotygodniowej „pracy”, nadzieją odznaczenia? Był dzieckiem rewolucji, wierzył, że się istotnie zasłużył radzieckiej ojczyźnie, która go z nicości wyniosła na swego obrońcę. A że podsądny miał wybite zęby i połamane zębra, do krwi zdeptane obcasami oprawców stopy, odbite nerki lub wątrobę — to było normą i niczym jego „sędziego” nie obciążało. Człowiek skatowany mógł poczynić fałszywe zeznanie, podpisać protokół w bezprzytomności — to cóż z tego? Sędzia spełnił swoją powinność, wymusił zeznanie, podjął ptaka na strzał.

„Rozmówcy się odalili, sen mnie morzył. Jakies drzwi otwarły się z trzaskiem. *Bratcy pomilujcie!* — buchnęło na korytarz. Potem ktoś krzyknął: *Ubierajcieś!* W sąsiednim gabinecie uporczywie dzwonił telefon”.

Widziałam jak Halinę męczy to „zeznanie”, ale mówiła w podnieceniu i czułam, że wypowiadając się do końca, chce się wyzwolić.

„Trudno mi wprowadzić ład w te strzępy wspomnień — podjęła po chwili — te dnie i noce takie były do siebie podobne, tak mi się w pamięci zlewają.

Ale jedno jeszcze muszę pani opowiedzieć. To było nad ranem... Pamiętam, że grubo oszronione szyby nasiąkały już sinością świtu, a światło żarówek żółkło; kiwałam się na stołku a mój *śledowatiel* ziewał raz po raz od ucha do ucha. Nagle porwał się, jakby sobie coś przypomniał i wybiegł z gabinetu. (Ten miał twarz bladą i spłaszczoną o typie wybitnie mongolskim, prawie chińskim, ale olbrzymiej postawy, szerokich barów, ręce miał też duże, kształtne, o wydłużonych palcach).

Po czym rozsiadł się zamasyżuje za biurkiem i krzyknął z jakimś akcentem triumfu w głosie, a jego czarne, drobne oczka świeciły się jak u kota:

— Nie chcesz gadać? (Zawsze chodziło o te początki ruchu podziemnego w Brześciu i o jego filiacje w zaborze niemieckim). Ty i wy wszyscy *gospoda Poliaki* — cedził

przez zęby z ironią — liczyliście na jakąś pomoc Zachodu? Myślicie, że mocarstwa zachodnie będą bronić waszej pańskiej Polski? *Nu tak posłuszaj, umnica!*... i rozwinął gazetę”.

(Na estradzie zaczął się ruch, przesunięto fortepian, wniesiono pulpity).

Weszła Umińska w czarnej aksamitnej sukni z jasnymi skrzypcami w rękach, za nią Roman Padlewski, drugie skrzypce, (zginął jak bohater trzy lata później w Powstaniu Warszawskim), potem oboje Wiłkomirscy — wiolonczella i fortepian.

Halina dotknęła mego ramienia: „Później” — szepnęła.

Mozart...

Allegro... Andante...

Ślad Boga, niepokalane dzieciństwo. Trel skrzypiec...

Fortepian, dźwięczał ostatnim *Allegro*.

Przypomniał mi się świt zimowy w tym samym Mińsku, przed wielu laty, skrzyp sań po śniegu dźwięcznym jak szkło i pierwsze białe dymy kominów bijące w mroźne, blado-zielone niebo, jak całopalna ofiara Abła, dymy już zaróżowione pierwszymi brzaskami zorzy.

Goście zaczęli wychodzić i my z nimi

Wysoko na niebie rozjaśnionym, w gromadach pierzastych obłoczków nurkował drobny księżyc listopada.

Ruch tramwajowy na Nowym Świecie był wstrzymany. Długa kolumna aut ciężarowych przechodziła na prawy brzeg Wisły, Jerozolimską i Alejami 3-go Maja.

Die Räder rollen für den Sieg! — głośiły rozlepione plakaty.

Łoskot niemieckich motorów wypełniał po brzegi ulice.

— A więc co było w tej gazecie?

— W więc było tak, że mój *śledowatiel* — to były *Izwestia* — podniósł ją do oczu tak, że mogłam dojrzeć tylko odwrotną stronę i zaczął płynnie czytać.

Czytał, że Anglia i Francja zawarły układ z Hitlerem, mocą którego dają mu wolną rękę na Wschodzie i godzą się na jego arbitraż w sprawie Polski; że układy pokojowe są w toku... i coś jeszcze, zdaje się o krajach bałtyckich, czy o Bałkanach — ale tego już nie dosłyszałam.

Wiosenna ofensywa mocarstw zachodnich — tą nadzieją wszyscyśmy przecie żyli. Jeszcze na wolności, potem w więzieniach, na śledztwach... Taki układ to byłaby śmierć Polski.

Nie przyszło mi na myśl, że mógł mieć wkładkę w gazecie — uwierzyłam.

Wtedy to musiałam stracić przytomność, spaść ze stołka.

Obudziło mnie szarpnięcie, ktoś postawił mnie na nogi, może niepamięć moja trwała tylko chwilę, bo lampy jeszcze się paliły, ale w pobliskich podwórzach już piał koguty.

HARCERKA Z PIŃSKA

Jako stolica sowieckiej republiki białoruskiej, Mińsk gubernialny, zwany też „Litewskim”, zmienił swoje oblicze i charakter. Polacy, przeważnie inteligencja i wolne zawody, wyemigrowali albo zostali zesłani w głąb Rosji. Pozostała ludność podawała się za Białorusinów, narodowość za carskich czasów nie uznawana. W tej liczbie byli też katolicy, Polacy ze sfer uboższych, od pokoleń z tą ziemią związani, i białoruscy katolicy. Ci ze względu na wyznanie i język kościołów oscylowali ku Polsce, ale ojczyzny swej („bačkouszczyzny”) opuścić nie chcieli.

W ciągu sowieckiego 20-lecia Mińsk rozbudował się na wielkiej przestrzeni, choć bezładnie. Obok wielopiętrowych drapaczy pozostały małe parterowe albo piętrowe budynki murowanego śródmieścia i szeroki pas drewnianych dzielnic podmiejskich. W centrum, przy dawnej ulicy Zacharzewskiej powstały nowe gmachy urzędowe oraz olbrzymie wielopiętrowe więzienie. Pałac gubernatora przeznaczono na gmach sądowy. Katedrę zamieniono w r. 1938 na garaż samochodowy, czerwony kościół, tzw. Woyniłłowiczowski, służył już od lat za kino miejskie, Złotogórski był składem towarów, sobór prawosławny spalono w r. 1920. Na głównym placu i skwerach stały przepisowe, żelazobetonowe odlewy pomników Lenina i Stalina.

W końcu 1939 i na początku 1940 więzienie mińskie napełniło się wielotysięczną rzeszą ludzi aresztowanych przez władze sowieckie w dzielnicach wschodniej Polski. W celach kobiecych, poza obywatelkami polskimi wszelkiego wieku i stanu, były też kobiety miejscowe ze wsi i miasta, kryminalistki i polityczne. Polityczne siedziały za nielegalne przekraczanie granicy polskiej, za udział w rzekomych spiskach antysowieckich, za nacjonalizm białoruski, za sympatie polskie. Młodą poetkę mińską aresztowano za wiersz napisany w r. 1939 po białorusku na cześć bohaterskich lotników polskich.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Jakimś cudem ludzkiej przemysłności, mimo krat i zamków, bram i straży strzępy wiadomości ze świata przenikały do więzienia i obiegały z szybkością iskry elektrycznej cały gmach. Wiedzano więc, że nieprawdą jest, jakoby Churchill miał się układać z Hitlerem i oddawać losy Polski w jego ręce (wiadomość głoszona przez *śliedowatieli*), wiadano, że Anglia się trzyma, że Hitler wyszczerbił zęby w nalo- tach na Londyn, że narasta konflikt pomiędzy Niemcami a Rosją. Takimi wieściami więźniowie żyli, dzięki tym wie- ściom mogli trwać w oporze.

Po wielomiesięcznym śledztwie, wyrokiem sądu miń- skiego N.K.W.D. jesienią 1940 Halina została skazana na 8 lat ciężkich robót za „działalność kontrrewolucyj- ną”. (Była kierowniczką gimnazjum przyrodniczego w Brze- ściu i utrzymywała po klęsce wrześniowej kontakty z par- tyzantką polską). Elę zaś, córkę lekarza z Pińska, skazano w tym samym czasie na 4 lata katorgi za należenie do har- cerstwa, „organizacji kontrrewolucyjnej”.

Halina miała 35 lat. Ciemne jej włosy były gładko zaczesane, piwne oczy patrzyły śmiało i szczerze. W uśmiechu odsłaniała równe, białe zęby, uśmiech ten, pełen uroku, był radosny i krzepiący zarazem.

Ela miała lat 17, niewyrobite, dziecinne jeszcze rysy, twarz jakby spuchniętą i rudozłote, krótko ostrzyżone wło- sy. Nad niebieskimi oczami łuki brwi ścigały się z wy- razem skupienia i powagi.

Kobiety już zasądzone należały do „arystokracji” wię- ziennej. Nie wzywano ich po nocach na śledztwa, nie gro- żyły im wielogodzinne indagacje, obleśne zalecanki, ordy-

narne wyzwiska i wymyślne tortury, nie stosowano wobec nich „wodnych” czy „gnojnych” karcerów. Mimo ciężkich wyroków były śmielsze, swobodniejsze, często nawet pełne nadziei na jakąś zmianę — wojnę, amnestię? One rej wodziły w celach, gdzie normalnie na przestrzeni 6 x 10 m. koczowało na pryczach i betonowej podłodze około stu kobiet w ciasnocie, brudzie i zaduchu, zdawałoby się nie do wytrzymania.

Nad całą kobiecą, w której siedziały Halina i Ela, była cela cudzoziemców, Francuzów i Anglików, zbiegłych z niemieckiej niewoli, których władze sowieckie po przekroczeniu linii Ribbentrop-Mołotow, zamiast przekazywać pod opiekę właściwych ambasad, jak się tego zbiegli jeńcy spodziewali, wyłapywały pod zarzutem szpiegostwa i często rozstrzeliwały. Halina i Ela znając jako tako język francuski nawiązały korespondencję z ciałą cudzoziemską. Pisano na bibułkach od papierosów zaostrzoną zapalką, z początku krwią, później rozpuszczoną pigułką od bólu gardła. Korespondencję spuszczano i wciągano na nitce.

Rozmawiano też całymi dniami, stukając w ściany albo w rury kanalizacyjne. W przepełnionych celach, w nieustannym gwarze rozmów, nieraz kłótni, można było przy pewnych ostrożnościach zataić te poczynania przed okiem dozorczy.

Niedzielami odprawiała Halina wspólne nabożeństwa i rozmyślenia pod kierunkiem księży z tegoż więzienia.

Wśród uczestniczek nabożeństw były kobiety, które nie znały słowa bożego, i takie, które zatraciły w ciągu lat wspomnienie tych słów i ich znaczenie. Nie mogąc się oprzeć wzruszeniu, wybuchały nieraz płaczem, płakać zaś, równie jak modlić się głośno, było wzbronione.

W dni powszednie pracowały obie „w szkole”. Uczyły czytać i pisać po polsku białoruskie dziewczęta. Nauka odbywała się węglem na ścianie lub patykami na rozsypanym popiele, a uczennic chętnych i gorliwych było zawsze dużo. Umieć czytać i pisać po polsku było dla tych dziewcząt awansem kulturalnym.

O szarej godzinie toczyły się długie gawędy. Niezliczoną ilość razy musiała Halina opowiadać spragnionym tych wieści kobietom, jak też odbywają się w Polsce nabożeństwa, odpusty, procesje, jak się obchodzi w Polsce wielkie święta, jak wygląda Ostra Brama, jak klasztor

jasnogórski... i wciąż powracały też pytania dotyczące Piłsudskiego: jak wyglądał, co mówił, jak umarł i jak był pochowany „Naczelnik Polski”?

— On to chciał przyłączyć Mińsk do Polski, on jeden... A inni nie chcieli — wspominały starsze kobiety, — i już go nie ma, już umarł... Tak nas wydaliście na ten zły los. I kto się dziś o nas upomni?

Potem następowała noc więzienna, przerywana wywoływaniem kobiet na śledztwo.

Niebawem wykryło się, w skutek kilku nieostrożności, że w celi nr NN wzbronione poczynania organizuje Halina przy pomocy Eli. Jako winne przekroczenia regulaminu zostały obie skazane na cztery dni karceru.

Karcer dla Haliny nie był nowiną. Siedem miesięcy z przerwami siedziała w karcerze w okresie śledztwa, w ciągu pierwszej zimy wojennej. Przechodziła wówczas przez ręce 33 *śledowatieli*, i każdy próbował na niej swoich sposobów, karcer zaś, zwłaszcza zimą, był jednym ze skuteczniejszych do wymuszenia zeznań. Ale Ela nie знаła karceru, a zima jeszcze trwała, druga zima wojenna, równie nieubłagana w swojej surowości jak pierwsza.

Poszły więc w asyście dwóch uzbrojonych enkawudzystów.

Karcery znajdowały się w podziemiach mińskiego więzienia. Podłoga betonowa, ściany bielone wapnem, cementowe wzniesienie, stanowiące siedzisko i legowisko zarazem; ani siennika, ani koca; jako pożywienie 1 litr wody i 250 gramów chleba dziennie; nie było światła poza słabą żarówką u sufitu.

Okazało się, że dano im karcer „gnojny”. Karcery gnojne były to cele, których podłogę zalewano kilku wiadrami nieczystości, opróżniając w nich „parasze” z cel zbiorowych. Karcery gnojne dawano tym, którzy byli pod śledztwem. Halina zaprotestowała energicznie, obie były już zasądzone, ukarane dyscyplinarnie na przepisowy karcer. Karcer „gnojny” im się nie należał. Żądała miotły i ścierki, krzyczała, groziła, póki dozorca nie ustąpił. Znał przepisy.

Ale poza zalaną nieczystościami podłogą okazało się, że ściany celi były gęsto pokryte pornograficznymi rysunkami i napisami — dzieło poprzedniego jej mieszkańca, jak się później okazało, sowieckiego oficera. Te „freski”,

wykonane z pasją i nawet umiejętnie, postanowiła Halina również czym prędzej usunąć. Nie chciała, aby oczy 17-letniej Eli patrzyły na to przez jedną nawet godzinę.

Zabrały się do roboty. Po oczyszczeniu karceru, wymieceniu i zlaniu wodą, Halina kazała Eli odpocząć, a sama drewnianymi chodakami zabrała się do zacierania „fresków”. Potem wspólnie pracowały nad ścianami, póki ich doszczętnie nie wybieliły. Noc zastała je na tych zajęciach, słyszały bowiem, że na korytarzach zmieniano wartę. Ułożyły się na betonie, przytulone jedna do drugiej, przykryte płaszczem, ale spać nie mogły, coraz to musiały wstać, chodzić, rozgrzewać się gimnastyką.

Karcery sąsiadowały z celami śmierci. Skazańcy czekali tam po kilka lub po kilkanaście miesięcy na wykonanie wyroku. Kilku z tych skazańców znały z imienia i nazwiska. Janek tam siedział, brat Serafina, towarzyszek z celi więziennej. Skazano go za działalność spiskową w r. 1938. Przekradał się przez granicę polską, co mu dowiedli, do reszty rzekomych zbrodni (antysowieckiej konspiracji) przyznał się na torturach. Wykonanie wyroku śmierci odwlekano, sędziom bowiem chodziło o „oczną stawkę” z siostrą, aresztowaną dopiero w dwa lata później, i o wykrucie dalszych rozgałęzień spisku. Serafina, skonfrontowana z bratem, ujrzała, zamiast pięknego chłopca, jakim był Janek w r. 1938, marę ludzką, żałosny łachman człowieka. Drewnianym głosem oskarżał ją o działalność kontrrewolucyjną, patrząc na nią tak jakby jej nie widział. Skoczyła ku niemu z krzykiem, biła go, przeklinała, dowodziła, że zawsze jej nienawidził, chciał zgubić, że jest oszczercą, łajdakiem, sukinsynem... (Musiała się przecież ratować, gdzieś na wsi, koło Kojdanowa, zostawiła dwoje drobnych dzieci...).

Odprowadzona do celi, wpadła w skrajną rozpacz, szlochała spazmatycznie, rwała włosy, tłukła głową o mur. Janek! Brat ukochany! Ręce i nogi by mu całowała, klękałaby przed nim, męczennikiem, a ona go biła po skatowanej głowie, szarpała, znieważała!

— Bożeczka, Bożeczka! — jęczała po nocach — już by lepiej przepaść z nim razem! Bożeczka, zbaw od męki! Moje biedniutki dzieci!...

Gdzieś w pobliżu karceru Haliny i Eli była zapewne cela tego Janka (sprawa nie była jeszcze zakończona), i cela drugiego chłopca z partyzantki grodzieńskiej, narzecz-

nego innej towarzyszeki więziennej, i cela jednego z Anglików, skazanego również na śmierć. A w innych celach przebywali prawdopodobnie też Polacy albo Białorusini, może i Rosjanie, wojskowi czy urzędnicy z terenów okupowanych. Działalność N.K.W.D. w owe lata sięgała daleko i głęboko w nowozajęte dzielnice wschodniej Polski, rozciągając baczność nad 19 kategoriami „podejrzanych” obywateli polskich i nad własną okupacyjną armią. Ludzie w tych karcerach byli żywcem pochowani.

Kiedy dozorca o świcie otworzył drzwi celi, by zabrać paraszę, podać wodę i chleb, Halina natarła nań tak gwałtownie, że się cofnął na korytarz.

Skorzystała z tej chwili jego zaskoczenia, żeby bardzo głośno rzucić kilka zdań po polsku: ostatnie wiadomości polityczne.

— Opór Anglii rośnie, lotnictwo polskie broni Londynu, w Szkocji tworzy się nasza armia. W kraju...

Ale dozorca pchnął ją brutalnie do celi; nie zrozumiał, co mówiła, ani do kogo, krzyknął więc jak na wariatkę i zatrzaskał okute drzwi.

Tak nastał ich drugi dzień w karcerze.

U sufitu tliła się rudym światłem żarówka. A na dworze było może słońce? Śnieg się iskrzył... dymy wznosiły się prosto ku niebu?

W Polsce to już pewnie pachnie wiosną, — rozważały, — dzwonią rynny, ćwierkają wróble, wierzby już puściły bazie, srebrzyste, puszyste kotki...

— Pina wylała, — westchnęła Ela, — może już ptaki wracają?...

Przy sprzątanii znalazły kawałek cegły — o radości! Skarb „bezludnej wyspy”! Kawałkiem cegły można pisać, można rysować na ścianie. Postanowiły więc ozdobić karcer po swojemu. Oddechowały ręce, rozplanowały „kompozycję” i zabrały się do dzieła. Rysowały na zmianę wieże kościelne i kwitnące gałęzie: palczaste liście kasztanów i pierzaste akacji, ich stożki i grona kwietne, harcerskie „Czuwaj!” wśród dzwonów i krzyżów. Ela wdrapała się na ramiona Haliny, żeby sięgnąć aż do sufitu i umieścić tam symbol wiary, nadziei, miłości i jeszcze ostatnie słowa harcerskiego hejnału: „Bóg jest tuż!”

Cegła kruszyła się w zgrabiących palcach, do łez bolały wzniesione w napięciu ręce, chwiały się na giętkich ramio-

nach przyjaciółki — ale nie ustała, póki nie wykonała zamierzenia.

„Bóg jest tuż!” — pięknie to wykaligrowała ostatnim ułamkiem cegły. Zeskoczyła na ziemię, rozcierając skostniałe dłonie. Obie opadły na swoje siedzisko, Eli zrobiło się słabo, Halina silniejsza, rozcierała jej ręce i nogi.

Potem wróciła znów nękająca świadomość istnienia sąsiadujących z nimi skazańców, tych żywcem pochowanych, do których nie docierał żaden głos ze świata, ani ludzkie spojrzenie; byli jak umarli, mimo męki cielesnej. Postanowiły zaśpiewać dla nich.

Ela była pierwszą śpiewaczką w swojej drużynie, miała głos dźwięczny, metaliczny, choć nieuczony. Lubiła śpiewać przy ogniskach, w czasie marszu ona intonowała, jej głos zawsze wybijał się nad innymi. Szum lasu, trzask płonących gałęzi, plusk rzek i potoków towarzyszył jej pieśniom na niezapomnianych harcerskich wycieczkach; teraz miała śpiewać w tym lochu dla skazańców.

Ela wstała, złożyła ręce jak do modlitwy, i karcer mińskiego więzienia nr NN zabrzmiał nutą starej, ulubionej piosenki:

*Za Niemen tam precz,
Już gotów koń, zbroja,
Dziewczyno ty moja,
Uściśnij, daj miecz...*

Z każdą zwrotką głos dziewczynki się rozgrzewał, nabierał dźwięku i mocy. Halina wtórowała.

Dozorca przyczłapał, zaczął stukać do drzwi, potem walić pięściami:

— *Mołczat’* — krzyczał. — *Piet’ nielzia!*

Ale one śpiewały pieśń za pieśnią. Na zakończenie Ela zaintonowała „Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny...” i wieczorny harcerski „Hejnał”.

Tak minął drugi dzień, i nastała druga, bezsenna noc w karcerze. Tej nocy płakały obie z zimna i wyczerpania. Ale nad ranem, kiedy zjawił się inny dozorca, Halina znów skoczyła ku drzwiom i zdążyła krzyknąć:

— Będzie wojna z Rosją!

Drzwi trzasnęły, i żołnierz skłął po swojemu polskie „buntowszczyce”, zasuwając rygle.

Zjadły chleb bardzo wolno, wypily mętą wodę i zaczęły znowu śpiewać. Dozorca milczał. Śpiewały pieśni religijne, narodowe, harcerskie, żołnierskie, kolędy, hymny i marsze, wszystko co pamiętały, wszystko co tylko mogły sobie przypomnieć z lat nawet dziecińczych. Ela z trudem wyciągała już w końcu wyższe tony, chrypiała.

Zbliżał się wieczór trzeciego dnia.

Cóż mogła dać tym, którzy tu zostaną? Tylko te pieśni — a w pieśniach całą duszę.

Gdy śpiewała „Pod Twoją obronę” głos załamał się jej łkaniem:

„...o Pani nasza, Orędowniczko nasza, o Pocieszycielko nasza, o Pośredniczkę nasza, z Synem Twoim nas pojednaj, Synowi Twojemu nas oddawaj”...

W korytarzu rozległ się tupot żołnierskich butów, odsunięto rygle, zgrzytnęły klucze:

— *Stupajcie!*

Wyszły. Mijały jedne za drugimi głuche, okute drzwiami cel śmierci. Jeden żołnierz z przodu, drugi z tyłu. Echo ich poczwórnego kroku odbijały ściany podziemnych korytarzy. Schody, galeria, jeszcze schody — wreszcie ich cela, ich dawna izba więzienna, zatłoczona, cuchnąca. Przywitano je okrzykami, serdecznie:

— No, jakże tam, — pytały kobiety, — bardzoście zmarzły? bardzo zesłabły?

Zrobiono im miejsce na pryczy. Halina uśmiechała się, ściskając ręce towarzyszek, patrzyła na Elę. Ela podniosła ku nim swoją zsiniałą twarzyczkę, ściągnęła brwi i — zająknawszy się — zawołała nagle z uniesieniem:

— To były najpiękniejsze dni w moim życiu!...

HERMINIA NAGLEROWA

Urodzona w 1890 r. w Małopolsce Wschodniej, zmarła w Londynie w r. 1957. Autorka historyczno-obyczajowej trytomowej powieści „Krauzowie i inni” oraz szeregu mniejszych prac. Aresztowana we Lwowie w r. 1940. Przeszła losy podobne do wszystkich kobiet, włączonych po więzieniach i skazanych na ciężkie roboty w łagrach Północy, albo na pracę w kolchozach Azji Środkowej.

Zwolniona w r. 1941, wstąpiła do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet przy Armii Polskiej na Wschodzie. Przez szereg lat redagowała pismo „Ochotniczka”. Po wojnie osiadła w Londynie, gdzie wydała pierwszy tom niedokończonej powieści psychologicznej na tle warunków więziennych, pt. „Sprawa Józefa Mosta”.

Zamieszczone opowiadania „Dunia” i „Kazachstańskie noce” wzięte są ze zbioru pt. „Ludzie sponiewierani”, wydanego w 1945 r. w Rzymie, w Bibliotece „Orla Białego”.

DUNIA

Kiedy wpełniono nas do celi, Halina krzyknęła, cofając się jakby teatralnym gestem. Strażnik stał z pękiem kluczy przy samych drzwiach i milcząc zagradzał odwrót.

Była późna noc, kobiety w celi już spały, ale przebudzone naszym wejściem, podniosły wrzawę, która brzmiała w mrocznej i gęstej czeluści rozpaczliwym protestem. Na trzech piętrach narobiły zdawały się wć w konwulsjach. Unosiły głowy, nie mogąc usiąść pod niskim pułapem. Ugrzęźliśmy na progu w nawarstwieniu ciał. Strażnik stał bez ruchu. Nawet klucze nie zadzwoniły w jego ręce. Milczał.

Wtedy z pierwszego piętra zsunęły się nogi. Ogromne, guzowate stopy i łydki szare, jak pnie odarte z kory. Głos, który teraz się rozległ, był rykiem goryla: — „Nowe niech staną koło paraszy! Nowe tam!” — Zrobiło się nagle cicho. Za naszymi plecami zatrzasnęły się drzwi, klucz zazgrzytał. Ogarnęło nas smrodliwe, gorące powietrze.

Halina powiedziała mi szeptem do ucha: — „A zewnątrz wygląda jak stary wiejski dwór”. Tak to w istocie wyglądało kiedy po kilkugodzinnym marszu z dworca zobaczyliśmy pietropawłowskie więzienie. Ganek, drewniane skoble w bramie, kołatka i zapach obornika. Zapach, jak się w prędcie przekonaliśmy, pochodził z parowej dezynfekcji brudnej odzieży więźniów. „Dwór” okazał się kaźnią.

Stojąc przy drzwiach, zaczęliśmy wędznąć, wiotczyć, omdlewać. Na moich plecach opierała się głowa Janki, wilgotna od potu. Wanda jęczała cienko, a kiedy upadła, leżąc na podłodze kobieta uszczypnęła ją w twarz. Ocucona bólem, Wanda płakała tak samo cienko i żałośnie. Cela oddychała, burczała, chrzypiała.

Zacząłem się mocować z tym, co się nazywa „czasem”, „godziną”, „minutą”. Pchałem to, jak naładowany wóz — przed siebie, przed siebie. Jeszcze trochę wysiłku, a przetoczy się noc. Przepona brzuszna, wspierana wetchniętym powietrzem, najdłużej mocowała się z oporem. Ale zabrakło powietrza i krzyknęłam głośno. Odpowiedział mi ryk goryla: — „Jeszcze nie zdechła, jeszcze, przekłeta, ludziom spać nie daje!” — Cela milczała, urzeczona tym zwierzęcym i groźnym głosem. Godziny i minuty ugrzęźły w nieprzytomności.

Ranek miał kolor i gęstość mleka. Na policzkach Wandy, opartej głową o nakrywę paraszy, mazały się czerwono-brązowe smugi krwi, która, ciekąc z nosa, zakrzepła przez noc. Natomiast wszystkie twarze lśniły zielonym potem. Na wargach szara, zeskorpiała pleśń pękała przy ziewaniu.

Z nary na pierwszym piętrze wysunęła się wielka ręka w stronę lufcika otwartego jakby nie w celi, ale w żółcym się niebie. Ręka tkwiła nieruchomo rozczapierzonymi palcami, ciemna, podobna do liścia kasztanu. Ziewnięcie zakończone skowytym oznajmiło nam przebudzenie się niewidzialnego potwora. Po celi poszedł szept: — „Dunia wstała” — i zaraz skotłowało się na legowiskach. Odepchnięte od paraszy, wpadłyśmy między skłębione ciała i w

ten sposób dopiero każda z nas posiadała swoje miejsce w celi. Było nim — zarzucona cudzymi łachami szparczka, albo trójkącik, kwadracik, kółko.

Tak umieściliśmy się na dole. Na narach za to toczyła się walka o każdy centymetr. Czyjeś ręce podepchnęły Wandę — najsłabszą z nas — na pierwsze piętro, ale dwie wielkie stopy ustawiły się sztorcem i ryk zmroził nam serca. Już wiedzieliśmy, że to Dunia grozi „rozwaleniem czerepu” i „chłeptaniem krwi z gardła”.

Sto trzydzieści kobiet zamarło, zastygło. Te, które czesały włosy, zatrzymały posuwanie się grzebienia; te, które wdziewały koszule, wpięły palce w płótno; bohomółki-tatarki przestały poruszać wargami. Znowu najpierw zsunęły się stopy i łydki-pnie, potem beczkowate uda nie zupełnie przykryte ubraniem. Wreszcie spod daszku nar wychylił się tors i głowa. Wszystkie na parterze cofnęły się ku ścianie. Zrobił się luz i Dunia zeszła. Wyprostowała się, stanęła.

Głowę sięgała drugiego piętra. Ogromnym ciałem wypełniła prawie trzecią część celi. Ramionami zagarnęłaby połowę. Owszem, zamachnęła się ramieniem, ale wszystkie stłamsiły się, aby Dunia mogła przeciągnąć się, otrząsnąć, wierzgnąć nogami. Twarz Duni, zbyt drobna do ogromu postaci i szerokości bar, nie była zresztą potworna. Pobrzdżona znakami po ospie, miała liliową barwę wrzосу. Oczy wepchnięte między czoło i wystające kości policzkowe były zielonawo szare, migotliwe jak źrenice drapieżca. Znikomy nos podciągał górną wargę, do której dolna dostosowywała się wyrazem nadęsania. Mała broda zachowała szczątkowy wdzięk kobiecy.

Dopiero, kiedy wrzasnęła na nas: — „Patrzą się, jakby nigdy nie widziały kobiety!” — objawiła się jej straszność. Usta stały się paszczką o wilczych, tygrysiach czy też gorylich zębach. Widząc nasze przerażenie, zaczęła się śmiać — brzmiało to jak rzenie. Śmiejąc się, przestępowała na nogach jak słoń. Z wielkiej uciechy zmierzwiła rękami włosy płowe jak lwia grzywa. Była jak gdyby dziwotworem o cechach rozmaitych zwierząt.

Halina, mówiąc dobrze po rosyjsku, próbowała obłaskawić Dunie, która zaskoczona dzwięcznym szczebiotem rodzimej mowy, zastrzygła małymi uszami, ujawniając czujny niepokój. I tak już zostało: czujnie, nieufnie w sto-

sunku do nas. Leżąc całym obszarem swojej postaci na narze, przewieszała przez jej krawędź głowę i patrzyła w dół, czając się migotliwymi źrenicami. Przysłuchiwała się rozmowom Haliny z docentką moskiewskiego uniwersytetu, aby przedrzeć i lżyć. Bywało jednak, że wtrącała się układnym zdaniem. Wtedy mówiły kobiety: — „Gdyby Dunia zawsze chciała być taka „kulturalna”, zrobiliby ją brygadierką celi”. — Dunia odpierała te oferty grubym słowem. Nie, nie była demagogiem. Była tyranem.

Kim właściwie była? Jeżeli inne sowieckie kobiety zwierzały się ze swoich tajemnic, szybko wychodziło na jaw, że ta, która przyznawała się do „rozstraty”, była bandytką. A ta, skromna i dziewczęca, poderznięta kochankowi gardło we śnie. Polityczne natomiast zatajały się, dobrze już znając cenę swoich przewinień. Ceną Duni była kara śmierci zamieniona na dwadzieścia pięć lat więzienia. Bo Dunia, wbrew pozorom, nie była pospolitą zbrodniarką. Uczyniła coś, co najwyższe czynniki państwowe wprawiło w zdumienie, a może nawet w popłoch.

Siedząc na moim tobołku i garbiąc się bez oparcia dla pleców, mogłam właściwie patrzeć już tylko spode łba. Ale żaden kąt widzenia nie potrafił uzasadnić nieprawdopodobieństwa. Docentka Roza z niezmiennym, łagodnym wyrazem twarzy zabijała pluskwy pantoflem zdjętym z nogi. Inne robiły to pięścią. Krew splamiła więc ściany, układając się w nieumyślne arabeski. Za każdym stuknięciem obcasa Rozy, Halina wzdrygała się, nie przerywając jednak inteligentnych dyskusyj. Mózg jej pracował sprawniej niż serce. Ale o chorym sercu rozmawiała tylko ze mną i wtedy jej pragnienia ograniczały się do czegoś nieosiągalnego — do odrobiny świeżego powietrza. Jej smagła drobna ręka, wachlując, usiłowała rozrzedzić zgęstniałą, duszącą masę. Patrząc na tę bezradną rękę, musiałam zawsze pocieszyć Halinę komplementem: — „Taką piękną ma pani rękę”. — A Halina zawsze odpowiadała tak samo: — „Osoby chore na serce mają ładne ręce”.

I Dunia zauważyła ręce Haliny. Patrzyła na nie z daleka, złośliwie i nienawistnie. Rozczapierzała wtedy swoje palce, zwijała rękę w pięść i wybuchała triumfalnym śmiechem. Widząc to, siliłam się na żart. — „Czy ubezpieczyła pani swoje ręce? Czy duże dostanie pani odszkodowanie?” — Halina uśmiechała się: — „Dam sobie radę

z Dunią". — Niecierpliwiło to nawet docentkę Rozę: — „Czym? tymi rękami?”.

Upał w celi wzrastał się z każdym dniem, choć na dworze dał ze stepu suchy i zimny wiatr. Nieznacznie zwlekały z siebie kobiety odzież. Ale i koszule lepiły się do skóry. Wreszcie zdjęły bieliznę. Nagie ciała, mokre i gorące ślizgały się o siebie. Powstawała wtedy nienawiść, niezależna od uczuć, które przecież niekiedy wiązały się w sympatię a nawet w przyjaźń. Dlatego pobiły się dwie młode złodziejki, leżąc obok siebie. Dlatego też Roza obrzydziła sobie intelekt Haliny. Dunia zaś, schodząc z nary, mięsiła ciała nogami, jak ciasto w piekarni.

Któregoś dnia przyszła do celi kobieta prawie piękna, w sukni kwiecistej, modnej, paryskiej. Mogłaby mieć na imię Yvonne albo Germaine, ale nazywała się zwyczajnie — Masza. Witano ją po dłuższej nieobecności, bo wróciła tu ze wznowionej rozprawy sądowej. Dunia zapięła jak kogut wysokim dyszkantem i rzuciła się na Maszę z niweczającą tkliwością. Gdy jednak Masza z tobołka wyjęła chleb i garnuszek baraniego tłuszczu, gdy zaczęła częstować znajome, Dunia, bijąc się pięściami po głowie i szczerząc kły, zażądała wszystkiego dla siebie. Pochwyciwszy chleb i garnek, skoczyła na swoje piętro. Młaskanie, zucie, łykanie odbywało się wśród ciszy niemal pustynnej. Zwierz spożywał swoją zdobycz. Nasyciwszy się, powiedziała: jest wielka i mocna, dlatego potrzeba jej więcej pożywienia niż innym. Czteryście gramów chleba, „kipiatok” bez cukru i cienka zupa raz na dzień — czyż wytrzymałaby o tym dwadzieścia pięć lat więzienia? Czy zobaczyłaby jeszcze kiedy swoje dzieciątko? — Mówiła to głosem gruchającego gołębia, aby natychmiast wybuchnąć lamentem Hagary: — „O synku mój — o, zły losie — o, straszliwa władza nad nami!”.

Po tym niebosiężnym krzyku, usnęła. Tuląc pod pachą Wandę, — która trwała obok niej dla tej odrobiny chłodniejszego powietrza pod oknem — leżała tak, wielka i budząca postrach nawet we śnie. Masza powiedziała poetycznie: — „Nawiedzona”. Zatem Dunia o nadludzkich kształtach wymykała się człowieczeństwu jeszcze jakąś nadwyżką — ducha.

Kimże była Dunia naprawdę? Masza manierycznym szeptem opowiedziała mi jej historię: Wypasała byki na

stepie i rozmyślała o różnych sprawach. Potem mówiła o tych sprawach na głos. Najpierw słuchał jej tylko step i byki, wkrótce jednak zaczęli się zbiegać ludzie jak na mitingi. Ach, czytać i pisać przecież nie umie, ale mowa nawiedzonych ma pociągający czar. Uwierzyli więc w nią, w tę Dunię. A potem — donieśli i zgubili. Męża miała małutkiego, nieznacznego. Zabili go w jej oczach, choć go broniła. Za silna jest i sama, broniąc go, rozszarpała do reszty. I dziecko miała. Może jeszcze jest to dziecko gdzieś u ludzi, ale najpewniej w „dietdomie”. Młoda jest — dwadzieścia dwa lata. — Ciągłe jeszcze nie pojmując, zapytałam: — „Czym zawiniła?” — Masza spojrzała na mnie spłoszonym wzrokiem i zawaławszy się trochę, wyrecytowała: — „Dunia dostała najwyższy wymiar kary”. — Tym zamknęła historię Duni w turmnie na dwadzieścia pięć lat.

Masza, wyłuskawszy się już z paryskiej kreacji, tak samo jak wszystkie, gotowała się we wrzącym powietrzu. Obok niej dyszały bohomołki, parując obyczajnie w swoich łachmanach. Ich śniade płaskie twarze polerował pot, gdy podkuliwszy pod siebie nogi żuły chleb albo modliły się ruchem sino-czarnych warg. Uchylały tylko szparki powiek kiedy Dunia wykrzykując: — „Ach, bydlę, bydlę — śmierdzą mi tu gnojem!” — zrzuciła je z nar na dół jak tobołki. Trzeba jej było więcej miejsca i więcej powietrza dla siebie. Chciała śpiewać. Głos wymierzony na przesterzeń stepu, zderzając się ze ścianami celi, zalewał uszy ogłuszającym strumieniem. „Słońce wschodzi i zachodzi — w mojej turmnie wieczna noc...”.

Od tego śpiewu powietrze w celi zaczynało wibrować. Nic już nie zatrzymywało swojego kształtu. Z płataniny ciała ledwie można było wyzwolić poszarzałą twarz Haliny. W prędcę jednak zostawał tylko zarys jej bladych ust, układających z uporem inteligentne zdania. Osobne oczy i nosy, głowy nie osadzone na szyjach, ramiona nie przytwierdzone do barków — miały zamazany kontur maligny. Na błękitnych smugach wybliskiwały emalią źrenice Jadwigi, wciśniętej w kącie celi.

Wtedy Halina krzyknęła: — „Zamilcz!”. Zdumienie uporządkowało chaos. Dunia przerwała śpiew i zamilczała Halinie. Słuchać tylko było jej dyszenie. Czar nawiedzonej

jakby przestał działać. Kilka kobiet odważyło się: — „Tak z nią trzeba!”.

Tej nocy, leżąc obok Haliny i mając jak zwykle przy twarzy nigdy nie zdejmowane z nóg walonki Marfy, przebudziłam się o niewiadomej godzinie. Mała żarówka nad drzwiami napełniała całą brunatnym światłem. Ciała leżących przypominały rozkopisko rudej ziemi. — „Halino — szepnęłam — Halino!” — Nie przebudziła się, jej niespokojne serce biło przy moim ramieniu. Musiałam moje złe myśli snuć dalej sama. Były mroczne, oczadziały zaduchem. Od czasu do czasu podnosiło się czyjeś ramię i opadało z powrotem, zadając komuś cios. Krótki okrzyk bólu nie zapobiegał już niczemu. Sen tutaj nie był przecież niczym innym jak dogorywaniem.

Nagle rozległ się głos Duni. Zabrzmiało jak pasterski pokrzyk. Od razu też, zaniechawszy konania, obudziły się śpiące. Chórem i w pojedynkę alarmowano: — „Dunia idzie!” — W istocie zsunęła się z nary i szła, tratując. Kto zdążył umknąć jej stopom, prawie chichotał ze szczęścia. Dunia szła prosto do swojego celu — do paraszy. Szła mściwie, dostrzegając te, które chciała unicestwić. Rozjuszona i wspinała zawisła na moment nade mną swoją stopą, nie dla mnie jednak przeznaczoną. Mierzyła w Halinę. — „Ach ty!” — warknęła. Halina zakwiliła przeciągle i zwinęła się w kłębek. Dunia miała już uderzyć drugą stopą, ale opasałam ją obiema rękami i postawiłam na pustym, uprzątniętym miejscu.

Lzy Haliny spływały po moim ramieniu. Inne strątowane płakały głośniejsze, nie znajdując w swoich sercach sprzeciwu. Wkrótce jednak znowu ciągnął się sen chrapliwie przez gęste powietrze: — „Halino! — szepnęłam — Halino!” — lecz i jej sen już skleił powieki zasychającymi łzami. Dźwignęłam głowę, aby to, co pełzało w moich myślach mogło nabrać wartości. Ale w każdej pozycji tak samo pełzał strach i tak samo dławiał wstręt. Po twarzach śpiących lały pluskwy, a ciała zdawały się puchnąć jak w rozkładzie. Z uporem podnosiłam coraz głowę, która opadała, chwiała się na sen, na śmierć... Nie chciałam umrzeć, choć zapach życia był tu kłiwym jak woń padliny. Ciężki obrót ciała Duni na narzę nade mną — wydał mi się prawie ratunkiem. — „Dunia — nie wiem, czy powiedziałam to, czy tylko pomyślałam — Dunia, nie śpisz?” — Odezwała

się z góry cichutko, jakby szanując sen innych. — „Nie śpię, nie mogę spać. Myślę o moim dzieciątku”. — Nie odpowiedziałam, bardziej niż rykiem potwora przerażona tą czułością. Ale Dunia szeptała dalej: — „Jutro, zobaczysz, co będzie jutro...” — I to brzmiało tklawie, choć niosło groźną zapowiedź.

Już z rana ostrzegłam Halinę, która tym razem nie powiedziała: „Dam sobie z nią radę”. Szukała raczej sojuszniczek w Maszy i Rozie. Masza, od wczoraj brygadierka celi, wymówiła się swoją oficjalną funkcją. A Roza już bezopornie poddawała się przemocy. Na razie jednak nie działo się nic. Dunia przez wiele godzin siedziała na swojej narze ściszona i smutna. Nie odczuwając jej obecności, kobiety pofolgowały sobie. Wybuchwały drobne swary i nie Dunia, ale kto inny śpiewał długą pieśń o prokuratorze, który oskarżał swoich rodziców, a potem, dręczony wyrzutami sumienia, zabił się na ich grobie. I wtedy właśnie Dunia zeskokczyła z nary, rozdając razy i kopnięcia. — „Dunia — usiłowała ją poskromić brygadierka Masza — Dunia, bądźże człowiekiem!” — Dunia zatrzymała się przy drzwiach i parsknęła: — „Ty, generalsza, ty mi nie nakazuj! Podeptane depcę, a mnie — nikt, nikt!”.

Masza dała nura w tłok, ale pięści Duni uderzyły w blachę drzwi. Potem bluznęła Dunia w otwarty wziernik: — „Do naczelnika!”. — Klapnęło lekko okrągłe okienko. W celi zrobiła się cisza duszna od strachu. Masza, odpowiedzialna za spokój i porządek, słaniała się błada. Dziewczęca morderczyni nie potrafiła się opanować i pisnęła: — „To Polki zaczęły z Dunią!”. — I zaraz spieniło się, że Polki, Polki! Śpiewać jej zabroniły! Halina zerwała się z miejsca i zasłoniła Jadwigę, jak gdyby tej najcichszej z nas groziło niebezpieczeństwo. Skoczyłam i ja, ale pchnięta o ścianę, rozplaszczona na niej, miałam tylko czarny gniew na oczach.

Tymczasem Dunia, po kilku minutach spokojnego czekania, zaczęła znowu bić pięściami o drzwi. Chwyciła jakiś dziki rytm i blacha, odskoczywszy od drzewa, wydawała jazzowe dźwięki. Przez wziernik wpadło kilka obelżywych wyrazów. Dunia załkała krótko: — „O dzieciątko chcę się dowiedzieć!”. — Okrągłe usta wziernika plugawiły się raz po raz.

Strach z miejsca przeobrażony we współczucie zatrzymał jednak swoje brzmienie. Tylko, że już nie nas obwiniano, ale kogoś bezimiennego. Kiedy jednak Dunia, krwawiąc pięście, wyrwała ze ściśniętego gardła strzępy krzyku: — „Stalin, Stalin! gdzie twoja konstytucja!” — wrzask kobiet urwał się nagle. Każda dopadła swojego miejsca i zastygła jak owad udający trupa. Masza zbieleńcami war-gami mamrotała: — „Nawiedzona, nawiedzona” — i zatkała rękami uszy, żeby nie słyszeć. Dunia, szczerząc zęby obwoływała jednak ciągle to imię i gryzła pokrwawione pięści.

To tylko mogłam zobaczyć w oka mgnieniu, że Dunia nagle jakby wpadła w czeluść otwartych drzwi.

Mijały godziny i kiedy już rozdano wrzątek, który napęłnił parą celę, otworzyły się drzwi. Wepchnięto przez nie coś ogromnego i bezwładnego, coś, co zważyło się ciężko jak kłoda, przygniatając siedzące na podłodze. I Halinę, Halinę także. Lecz nawet te, które poparzyły się wrzątkiem, przemilczały ból. Jakże tu leżała ta wielka i potężna Dunia, jakże płakała rzewnym, kobiecym szlochaniem! Halina, wydobywszy się spod Duni, nachyliła się nad nią: — „Dunia, co z tobą zrobili?”

Dunia odsłoniła twarz spuchniętą i fioletową. Zranione wargi składały ułamkowe wyrazy: — „Zbili — mieli prawo — do dzieciątka nie mieli — a zabili — umyślnie — w dietdomie — i już dla mnie nic — tylko te moje — dwadzieścia pięć lat — w tiurmie”. — Halina pogładziła ją po nastroszonych lwich włosach, po opuchłych policzkach.

I wtedy — zobaczyłam, jak mała ręka Haliny znalazła się w łapczywym chwycie ręki Duni. Chciałam krzyknąć: — „Ratujcie!” — ale stało się coś jeszcze straszniejszego — Dunia podniosła rękę Haliny do ust.

KAZACHSTAŃSKIE NOCE

Zachody i wschody słońca sąsiadowały z sobą na horyzoncie. Brząsk zachodu, przez wiele godzin przykryty nocą, przedzierał się znowu i tym samym złotozielonym mżeniem rozświetlał brzeg nieba jako wschód.

Były to dwa krańcowe momenty, zamykające czas mojej nocnej służby w kazachstańskim łagrze, w Burmie. Zanim jeszcze zupełnie zmierzchno, dopomagałam przyrodzie, wzniecając kłęby kurzu kilkupiętową miotłą. Wtedy nad wielkim dziedzińcem unosił się już wysoki, gęsty i krztuszący zmrok. Po sześciokrotnej wyprawie do stawu (6 razy po 1500 kroków), gdzie nabierałam za każdym razem wiadro wody dla sześciu drzewek powiędłych od upału dnia — zastawałam już prawie noc na ziemi. Na niebie trwał jednak jeszcze turkusowy blask jako tło dla oficera z „kantoru” i dla inżynierki Nataszy. Odbyszał się właśnie ceremoniał pieczętowania zamków i kłódek u drzwi dwóch pomieszczeń składu trucizn. Składow tych i ich zawartości strzegłam noc w noc.

Kiedy oficer schodził na dół do „łozku” aby wcisnąć pieczęć w gorącą smołę, zawsze przypominałam sobie to samo: — Przygarbioną postać gumienego z latarnią zawieszoną na guziku kurtki i wesołego chłopaka, wywijającego blaszaną bańką. W porze turkusowego zmierzchu, który nie sięgał już grządek pietruszki, a postaci idących wyrzucał z siebie jako czarne sylwetki — szli do łozku po naftę, po „kanfinę”, jak się to w moich stronach mówiło.

Wyczerpanie fizyczne odbierało mi zdolność do urozmaiconego odtwarzania treści uzbieranej przez wszystkie lata mojego życia. Dlatego, zapewne, siedząc na ławce pod ścianą składu trucizn, patrzyłam na światelka, które gdzieś w dole tliły się jeszcze do oznaczonej godziny w oknach baraków — jak na wieś, zamieszkałą przez ludzi, dobrze mi kiedyś znanych. I dlatego też niebo pełne gwiazd było niebem Wojskiego z „Pana Tadeusza”.

Wyobrażnia ubożała od tych ułatwień, po czym już zamazującymi się konturami gasła i pustoszała w niedozwolonym drzemaniu. Ocknienie przychodziło z nagłą wywołane jakby uderzeniem pięścią albo ukłuciem szpilką. Trzeba było utrzymać się w granicach rzeczywistości, trwając w niej przytomnie i gniewnie.

Noc, która pięknem nie zawiniła ludzkiej krzywdzie, spełniała swoje czary według nakazanego programu. Gwiazdy, mocno osadzone na niebie, przetaczały się wraz z nim w miarę posuwającego się czasu. I te, które tworzą rysunek grup, i te trwające samotnie, i te drobiazgi się w miriady. Niektóre opalowe w rozmruganiu, inne miedziane lub mo-

siężne, zastygłe w punkty i kulki. Nie widziałam ich promienności na wysokim, szklistym niebie. Natomiast widziałam, jak bladły, gdy księżyc zamrażał swoim światłem niebo i ziemię.

Księżyc, nieodparty, straszliwy, pojawiał się za zarysem „sopków”, przesuwając się za każdym razem miejsce swoich wschodów. Wylaniał się prawie zniecka, czerwony i ogromny, bez względu na to, czy pełnił, czy też tylko ćwiartką, rogiem, sierpem wychodził na niebo. Tracąc czerwień, choćby był tylko rąbkiem, rozjaśniał ziemię, odsłaniając daleko obszar stepu aż do jego zetknięcia się z ciemną ścianą północy. Tu bliżej ściany domku, w którym spała inżynierka Natasza, i ściany składu trucizn rzucały cień, wygładzający nierówność dziedzińca.

Na stepie prychały konie, w głębi łagru łomotał jakiś młyn, młynek czy motor. Za łagrem gasły i znowu zapalały się latarnie wzdłuż toru kolejowego. O godzinie jedenastej przebiegał ciemny pociąg. Księżyc na chwilę srebrzył smugę dymu, w sopkach podwajał się echem stukot tłoków, a gwizd parowozu brzmiał już gdzieś dalej zwalniającym oddechem przy stacji.

Głosy i widma nocy obchodziły się długo bez ludzi. Nie było ich w mojej wyobraźni i świat zdawał się ich nie potrzebować. Sopki, zachowując swój niezmienny falisty rysunek, górowały nad dachami baraków. Niekiedy wielkie sowy, lecąc nisko, miękkimi skrzydłami przesłaniały na moment księżyc. Nietoperze natomiast trzepotem wprawiały w popłoch moje powieki. Czasem też komar szczególnie natarczywy, nie przegnany chłodnym światłem księżyca, brzęczał zjadliwie przy uchu. Zdarzały się wtedy omyłki słuchowe, bo trudno było odróżnić brzęczenie komara od grania motoru samochodów, które od czasu do czasu biegle po niewidocznej szosie. Muzyka motoru rozdrażniała wilki stepowe, krążące koło pasących się koni. Wycie-szczekanie rozdzierało wtedy noc, która na pewien czas stawała się piekłem pełnym żalobnej wściekłości. Pastuchy — więźniowie z łagru — podnosząc wrzawę, wprowadzali wreszcie głosy ludzkie na scenę nocy. Ale były to głosy podobne do wilczych, tym tylko się różniące, że brzmiały w nich ponadto strach. Konie w przerażeniu uciekając ze stepu, pędziły przez dziedzińiec składu trucizn, aby moje „stróżowskie” noce upiększyć balladowym widowiskiem.

Bywało jednak, że przerażenie nadchodziło z daleka, z przestrzeni nieobjętych nawet domysłem. Łagodząc przecucia, ustalam byle jakie miejsce. Mówiłam: „To za zonią. Palba karabinów oklaskiwała rozrzutnie jakąś scenę, którą odgrywał samotny człowiek. Gdzieś tam biegł, przykucał, pełzał. Zdradzony światłem księżyca, odpychał swój cień, klucząc po stepie. Jeżeli jeszcze nie padł przygwożdżony kulami, jeżeli jeszcze biegł — wciągał go w siebie step pustką nie obliczoną na dnie i noce. Ale karabiny podjęły koncentryczny ogień ze wszystkich posterunków łagru. Więc człowiek stał już tam bezradny, w oczekiwaniu niezawodnej wolności. Konającego dopadła kolba, dyszała nad nim plugawe słowo, wysuszona ziemia smakowała słono na wargach. Step uciekał w swoją nieskończoność, przeganiając się ze sklepieniem nieba. A niebo pozostawało przecież nade mną i miało płynność głębokich, ciemnozielonych wód. Po tym, co się tam gdzieś dokonało, zostawał tylko lęk przestrzeni. Step. — Step...

Innym razem, gdy księżyc schodził z nieba, na dróźnie, mijającej składy trucizn, skrzypiały karawany wozów, zaprzężonych w woły. Toczyły się więc wolno i długo, zanim dotarły do magazynu po jarzyny przeznaczone dla stołówek NKWD i ładowane w Karagandzie do Moskwy dla Kremla. Odbywało się to zawsze w głębokiej ciemności i tajemnie, jakby w ukryciu przed nieprzyjacielem. Ale Kazacy, nie zważając na surowe zakazy, śpiewali w rytm wlokącej się karawany swoje płaczliwe: ajajaj. Może to były miodlitwy, może baśnie, a może tylko skargi, które pręły ciemność nieprzychylną ludziom. Słuchając tych zawodzeń — łam w długie, nieżnośne majaczenia głodowe. Jarzyny — surowe, soczyste, ich chrzęst między zębami, słodycz na podniebieniu, ostrość ich zapachu, ich mączność wtłaczająca się w przełyk... Osłabiony z głodowania żołądek spełniał urojoną pracę aż do omdlałego zmęczenia. Papieros, skręcony z papieru gazetowego i ze szczypty suszonych kwiatów, szczypał w język i wysuszał ślinę, nie dając nikotynowych omamień.

Nic już nie było omamieniem w takich chwilach. Głód, niedospanie ścinały ciało dręt看ą i łachmaniły duszę. Chwiejąc się na nogach, usiłowałam chodzeniem zwal-

czyć bezżycie. Musiałam jednak przystanąć na jakimś miejscu dziedzica, które mogło być tak samo środkiem kuli ziemskiej. Stałam pod zenitem nieba, wepchnięta w noc. Raz w takim momencie pogłaskał mnie Bóg błyskawicą, otrzeźwił piorunem i pokarał nawałnicą deszczową. Od tej chwili zaczęłam się modlić bardziej żarliwie.

Odczekawszy „hudok” — wieczorny sygnał trąbki, dającej znak do gaszenia świateł w barakach, zaczynałam modlitwy. Były różne — i te prawidłowe, nauczone, i własne układane ze słów pokornych i pysznych, prostych i patetycznych. Do modlitw dołączałam potem wiersze, wydobywane z zastygającej pamięci. Te świeckie strofy i rymy ofiarowywałam również Bogu. Spokojniałam, nabierając jakby pewności życia, mimo, że słowa wierszy dotyczyły śmierci: „Tej samej nocy Hafne i Amina umarły, leżąc na łożu przy sobie...”, „Zbrodnia to niesłychana, Pani zabiła pana...”. Cierpienie i grzech „wierszowych” ludzi oddawałam boskiemu miłosierdziu tak samo, jak swoje własne cierpienia i grzechy.

Ale tuż blisko był człowiek, istota nieznana — inżynierka Natasza. Mieszkała w swojej izdebce, w niejakim wyróżnieniu. Za to, że umiała truć pasożyty na roślinach i odkażać stepową pszenicę, zaznawała tego szczęścia samotności. Legowisko na stojakach, stół, skrzynia i własna kopcząca lampa w izdebce-komórcie, przesiąkniętej zapachem owych jadowitych chemikaliów, określały pozycję inżynierki. Jako mieszkanka „baraku 100”, gdzie natłok ludzki, pluskwy, wszy, pchły i muchy, gdzie smród powietrza, rozmów i łagiernego obyczaju truły gorzej wszystkich jadów — wchodziłam do izdebki Nataszy jak do zacisznej kapliczki.

Natasza była jeszcze młoda i miła wzrokowi. Miała okrągłą, przepaloną od słońca twarz, niebieskie oczy o zaczerwienionych białkach, włosy pszennego koloru, splecione w warkocze ułożone obficie wokół głowy, która przez to robiła wrażenie zbyt dużej. Żyjąc w nieco lepszych warunkach, zachowała czerstwość jakby wieśniaczka. Jej powściągliwość odnosiła się najwyraźniej do mojej obcości narodowej. Opowiedziałyśmy sobie krótko, kim jesteśmy i za co tu jesteśmy. Takie obowiązywały zwyczaje „towarzyskie”, nie zmieniające jednak wzajemnej nieufności. Natasza była komunistką, osadzoną, jak tyłu innych, w łagrze za jakieś

niepojęte dla mnie odchylenia czy też kacerstwa ideowe. Pozbawiono ją wolności „za męża”, który również czymś zawinił przeciw dogmatom i reżymowi.

W systemie łagrowym, choć wszystko odbywało się na jednakowej płaszczyźnie nadmiernej pracy, głodu i sporniewierania, istniały jednak różnice i hierarchie. Toteż inżynierka Natasza okazywała mi swoją łaskawość słowem i gestem właściwym osobom wyżej postawionym. A może tak właśnie — powściągliwie i oficjalnie — objawiał się jej beznadziejny smutek po niespełnionych zamiarach nauki i pracy, po zawiedzionych uczuciach i zgaszonych ogniach osobistego życia.

Obserwowałam ją z oddalenia. Weszła w bezludzie moich nocy, abym znowu ćwiczyła się w spostrzegawczości, w wysnuwaniu wniosków, w wiązaniu akcji. Jednocześnie jednak wyzwałam się z egotyzmu, tak bardzo dokuczliwego w tamtych warunkach. Ciągłe przecież usiłuje człowiek pozbawiony wolności docierać do swojej istoty, aby biec jej na ratunek przed zagubą. Wspominając przeszłość, przeciwstawiając się teraźniejszości, w rozżaleniu czy w oporze, odbywa się ta zapobiegawcza praca, przy jednoczesnym zdawaniu sobie sprawy z utraty sił fizycznych i zasobów duchowych. Tak umiera człowiek chory na raka albo na rozpadową gruźlicę, tak właśnie, jak kona powoli, uporczywie walcząc o swoje przebrzmiałe „ja” — sowiecki łagiernik.

Natasza zaludniła mój nocny, księżycowy, gwiazdny albo zaciemniony świat nie tylko sobą. Odwiedzali ją niekiedy znajomi, których także usiłowałam rozpoznać ze spłowiwałych oznak życia. W skojarzeniach tłumaczyli się wyraźniej, a nabierając znajomych mi cech ludzkich, budzili współczucie. Nie wiedząc o tym, stali się moją troską i niepokojem.

Odczuwałam to zwłaszcza wtedy, gdy przychodziła Szura. Nie przychodziła, tylko przemykała się o zmierzchu. Jej biały fartuch — była bowiem pomocnicą inżynierki, więc czymś w rodzaju laborantki — wyływał niespodziewanie ze stepu. Stamtąd szła, unikając spotkania ze „strielkami”. Natasza ryglowała wtedy drzwi od wewnątrz i po długich minutach a nawet kwadransach ciszy, domek zaczynał jakby drzeć od wzburzonych, rytmicznych słów. To deklamowała Szura. Czasem mogłam uchwycić dobie-

gające do siebie rymy, czasem krzyknęło słowo protestem albo rwało się płaczem, aby potem powoli i długo zamierać, jak człowiek umęczony torturą. Bywały jednak i zwroteczki pełne czułości, młodziutki, kapryśne, kolorowe.

Natasza powiedziała mi, że Szura była na wolności aktorką. Mówiąc to, jakby usprawiedliwiała przyjaciółkę, która ciągle jeszcze nie chciała zapomnieć o tym, co przepadło. Kilka razy widziałam Szurę niemal za widna. Miała cygańską urodę, ale jej zgrubiła cera była chropawa i cynobrowego koloru, jakby natarta cegłą. Szura była drobna i tak chuda, że biały fartuch zdawał się mieścić w sobie tylko rozwidloną gałązkę. Tym dziwniejsze wydawały się więc jej zbyt wielkie ręce jakby rozpląszone pod kowalskim młotem. Kiedy, witając się z Nataszą, brała jej twarz w te swoje ręce, wyglądało to tak, jak gdyby niosła w nich pękaty garnek albo kawon.

Po deklamatorskich wybuchach, wypadała Szura z domku Nataszy — wcale nie uspokojona. Płacząc, prawie krzycząc, wołała „dobranoc!” i można ją było widzieć jeszcze przez jakiś czas fruującą jak biała ćma nad suchymi, księżycem posrebrzonymi badyłami stepu.

Zostawał po niej niepokój. Kiedy odchodziła tak wzburzona, Natasza długo w noc stała na progu domku i mówiąc zdawkowo: „piękna noc”, albo „duszno w izbie”, patrzyła jak przewijam bandażem rany od cyngi na nogach, jak z płóciennnej torby wydaję stwardniałe kruszyny po dziennej porcji chleba i skąpo je sobie wydzielam, żeby starczyły na całą noc. Nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia i tak przecież wiedząc, jak z nami jest. Milczenie nasze przebiegało dzieląc nas dwu, trzymetrową przestrzeń, jak nitki na motku utrzymanym w obu rękach. Ktoś — tak mi się zdawało wtedy — zwijał z tych nitek kłębek, nie — kłęb tak już wielki, jak piłka nożna. Ktoś tę piłkę podbijał nogą. Podbijał tak wysoko, aż zawisała księżycem na niebie.

Tak myślałam, również pełna niepokoju, zdziczała w milczeniu i nie zdolna już do kontrolowania przywidzeń. Natasza mówiła rzeczowo: „Trzeba wam witamin, bo macie cyngę”. Odchodząc, przypominała tak samo rzeczowo, żeby ją zbudzić rano, jak zatrąbi „hudok”. Zostawałam znowu sama wobec wyścielającej się nocy. I znowu wra-

całam do przywidzeń, które trzeba było teraz przymuszać aby zjawiły się z powrotem.

Nie wystarczało bowiem samo pragnienie, więc niejako wewnętrzne wytwarzanie kształtów i barw. Musiało się pomagać mrużeniem powiek, naciskaniem skroni, nawet powstrzymaniem oddechu. Wtedy dopiero ukazywał się obraz, zawsze ten sam. Za sopkami, właściwie nad nimi — łuna, a na niej zarysy miasta, wieże kościołów, drapacze chmur, kominy fabryczne, zygzakowata linia dachów. Miasto było czarne na tym czerwonym tle. Na nieco bliższym planie jawiły się słupy telegraficzne połączone drutami. Na drutach siedziały jaskółki. To wszystko.

Zapatrzona w to dalekie miasto, posiadałam w istocie już wszystko to, co mogłam wydobyć z nicości. Ani nie pragnęłam być w tym mieście, ani wiedzieć, co to za miasto. Dziwiły mnie tylko jaskółki. Skąd się tu mogły wziąć, kiedy nawet wróbli było niewiele w tej Burmie. Ptaki unikają głodnych ludzi, a może głodni ludzie wytepiłi ptaki, nie nasyciwszy się nimi. Wystarczyło jednak zdziwić się tym jaskółkom, żeby nagle po łunie nad miastem zaczęły lecieć stada ptaków. Leciwały tak, płynęły, kłębiły się w drobniutkim rozkruszeniu niby roje komarów. Ten ruch ptasi stawał się wreszcie monotony jak sen. Niewątpliwie też był zasypianiem.

Budziłam się jakby ostrzeżona. Bo właśnie — z daleka od magazynu jarzyn, od stajen, od garażu odzywały się w przerwach głosy innych stróżów nocnych: „Kto idiota!” i głuche odpowiedzi: „Swoj!” — To szła „prowierka”, ront, inspekcja nocna. Czy stróże stróżują, czy nie posnęli? Słychać było pomruk krótkiej rozmowy, albo podniesiony głos nagany i zapowiedź kary. Czekałam już na skraju dziedzińca, uzbrojona w słowa: „Kto idiota!”. Jeden albo dwa cienie schodziły z drogi i mówiąc „swoj!”, szły do zamków i kłódek aby zbadać pieczęcie.

Kiedy przychodził tylko jeden wysoki cień, było zawsze jeszcze dodatkowe pytanie: „Inżynierka śpi?”. — Odpowiadałam: „Śpi”. Cień wchodził do domku i przez okamgnienie tłumił się w izdebce. Po czym wypadał gniewny, kłąc, spluwając, krzycząc w moją stronę: „A ty nie śpij, pilnuj jak pies majątku sowieckiej własności!” Po chwili wychodziła na próg Natasza w kusej koszulinie i to już musiała powiedzieć „obcej”, to już musiała wyjaśnić: „Nie

wolno zamykać drzwi od środka, taki nakaz w łagrach". A potem niemal czule: „A wy nie spali, jak przyszedł?”.

Nie wiem, czy o tych nocnych wizytach opowiadała potem Natasza inżynierowi Iwanowi Kiryłyczowi. Ten przychodził z wieczora, po pracy i zostawiał na żwirze ślad zakosu kulawej nogi. Nie zastawszy Nataszy, siadał obok mnie na ławeczce i niby trochę rozmawialiśmy z sobą. Iwan Kiryłycz mówił po francusku i po niemiecku, ścisząc głos do szeptu. Odbýwał swoją karę już szósty rok i cały stał się jakby szarym szeptaniem. Jego pociągła, zapadła twarz inteligenta była także szara. A w płucach miał szarą flegmę nieco tylko zabarwioną żyłkami krwi.

Nasze rozmowy nie były osobiste. Ale raz, patrząc przed siebie na zachodzące słońce, na tę rozlewającą się skrajem ziemi czerwoną lawę — wyznałam mu, że modłę się. Uśmiechnął się dziecinnie i zapytał: „Na co się to zda?”. Spieraliśmy się o te sprawy zapalczywie, po studencku. Inżynier trzymał w rękach bukiet stepowych kwiatów, bo zawsze przychodził do Nataszy z bukietem. Na kołnierzu jego wytartej marynarki chodziła wesz, duża, majestatyczna. Paliliśmy papierosy z suszonego zieleń i dociekaliśmy prawd bytu. Nie chcieliśmy siebie wzajem przekonać, bo każdy z nas rozumiał swoje tak niezbitcie, że już tylko precyzował końcowe tezy. Wreszcie twarz Iwana Kiryłycza rozjaśniła się ekstazą. Z daleka zobaczył nadchodzącą Nataszę. Nie była jednak sama — obok niej fruwał biały fartuch Szury.

Przez uchylone drzwi dolatywała mnie rozmowa niegłośna i stateczna. Napływał też ostry zapach cebuli i rzodkwi. Do tego właśnie był potrzebny szeroki fartuch Szury — domyśliłam się. Jedli ukradkiem kradzione z ogrodu jarzyny. Kiedy skończyli, najpierw wymknęła się Szura, uspokojona tym razem. Dźwięcznym głosem „aktrisy” powiedziała mi „dobranoc”. Jej spękane wargi były zwilżone. Po niedługim czasie pokuszył się dziecinie Iwan Kiryłycz. Natasza wyniosła obierki, żeby je zakopać w ziemi. Spełniała te czynności rozważnie. Przydeptała starannie ziemię, jak zbrodniarz, który zakopuje swoją ofiarę i zacierza ślady. Przechodząc obok mnie, nie patrzyła w moją stronę.

Gdy noc już zupełnie ściemniała, Natasza niespodzianie wyszła do mnie. Po ciemku dotknęła mojej ręki swoją ciepłą ręką, a potem poczułam chłód jakichś przedmiotów.

Wzdrygnęłam się, zanim rozpoznałam ich kształt. Pierwej jeszcze ujawniły się zapachem jarzyn i ziemi. Natasza powiedziała: „Poprawiajcie” — i jeszcze dodała przestrożę, żeby nikt nie zobaczył, bo nie wolno, bo wielka za to kara.

Nadgryzłam ogórek. Ale nawet zęby nie miały do niego ochoty. Wydawał się w ustach kawałkiem korka, którego przelyk nie chciał już zupełnie przepuścić. Kiedyś w dzieciństwie podpatrzyłam żebraka, który, siedząc pod drzwiami kuchni, żuł leniwo jakieś wyniesione mu jadlo. Przelykał je, dławiąc się. Resztki rzucił do worka. Pomyślałam wtedy, że nie jest znowu tak bardzo głodny, skoro nie zjadł wszystkiego. Teraz i ja włożyłam resztki do mojego płóciennego woreczka. Tak samo.

Któregoś dnia pod wieczór zerwał się „buran”. Ruda od piasku wichura szła wysokimi falami. Łagiernicy z krzykiem trwogi uciekali do baraków, ale kto miał nocną służbę musiał o oznaczonej porze iść na stanowisko. Przedzierałam się przez „buran”, który dał na mnie. Żwir ciął po twarzy, po ranach cyngi. Pęd wiatru uderzał twardo, jak taran. Na dziedzińcu składów trucizn okręcał się wicher. Miał tu wysoką postać secesyjnej damy. Zaplatałam się w rozwiany tren jej sukni i nie mogłam ruszyć z miejsca. Nagle „buran” opadł i jakby zgasł.

Noc jednak była burzliwa. Błyskawice szczyrzyły się na widnokręgu, albo rakietami spadały po łuku nieba. Gro-my zbliżały się niebezpiecznie, to znowu burczały gdzieś za sopkami. Niekiedy chmury odsłaniały swój kształt na częściowo oczyszczonym niebie. Za to ulewa spłynęła z jednostajnej już czerni, pluszcząc i szumiąc. Stałam pod okapem, który był złudną osłoną. Jak zwykle przebiegł pociąg, jak zwykle turkotał młyn czy motor. Z dachu sto-czył się, jak grudka błota, zabity przez ulewę nietoperz.

Kiedy burza ustała, wilgotna ciemność przygarnęła się do mnie tak ciasno, że musiałam dalej trwać nieruchomo pod okapem. Wreszcie zdecydowałam się odszukać ławeczkę. Zgarnęłam z niej wodę i zdawało mi się, że siedząc odpoczywam po ogromnym trudzie. Po trudzie, który jednak zmogłam. Ciszę dzielił plusk spadających z dachu kropli. Należało teraz uporządkować mój nocny świat. Najpierw strony tego świata, potem miejsca w nim oznaczone: garaż na prawo, nieco z lewa magazyn jarzyn, obory i stajnie na wprost, za barakami. W porządku. Potem ludzie: Na-

tasza śpi w swojej izdebce. Dobrze sypia się w czasie burzy. Iwan Kiriłycz na pewno nie rwał dziś kwiatów na stepie. Leży na narach w baraku, wypłwua flegmę, pali śmierdzące papierosy. Szura domierza wiersze do wiatru, do piorunów. Wstrząsnął mną śmiech czy dreszcz, bo ubranie moje przemokło. Ale naprawdę śmiałam się z Szury, która deklamowała tylko wtedy, kiedy była głodna.

Rozweseliłam się tym, jak żartem dobrze utrafiłam. Śmiałam się półgłosem, chcąc słyszeć jak brzmi wesołość. Nagle usłyszałam już nie mój śmiech, ale krótkie tępe strzały rewolwerowe. Po kolei — sześć. Biły po czymś krzyku trwogi. Kiedy ustały, rozciągnął się długi jęk kobiety. Potem w odstępach powtórzył się kilkakrotnie i zamilkł. Wszystko to działo się gdzieś koło magazynu jarzyn. Porwałam się z ławeczki. Zawahałam się, czy zbudzić Nataszę, czy zawiadomić ją. Zrobiłam to jednak.

Kiedy powiedziałam Nataszy o strzałach i krzyku kobiety, nie uniosła nawet głowy. Leżała dalej pod cieniem, popielatym kocem, malutka w skuleniu. Zapytała sennie: „Gdzie tak strzelali?” — Zdawało się, że jej to nie obchodzi, czy strzelanina była koło magazynu, na ogrodzie, za „zoną”, albo gdziekolwiek. Zobaczyłam tylko tyle, że zaczęła drżeć. Wiedząc o tym, wparła się policzkiem mocniej w sienniczek-poduszkę, wtuliła usta w powłóczkę i zamknęła oczy jakby znowu zapadała w sen. I jak przez sen zaczęła bełkotać: — „Wyzdychamy... zamęczą... zabiją... nie ludzie...”.

Noc była czarna, pachnąca wodą i ziemią. Ale świt wzbierał różowy i staw załśnił w dole jak muszla. Jak zawsze o świcie dzwoniły zęby i dreszcz marszczył skórę. Trębacz ogłosił dzień roboczy wraz ze słońcem, które zaczęło promienieć za soppkami.

Wracając do baraku, stawiałam sztywno stopy zdrętwiałe po nocy. Omijałam kałuże i witałam się z małym kundlem o kaprawych oczkach. Jego sierść zjeżona od strupów miała zielono-szarą barwę, podchodzącą pod kolor błota. Zawsze biegł za mną kawałek drogi. Dnia tego, towarzysząc mi dłużej, niespodziewanie zaszczekał. Nigdy dotąd nie słyszałam jego głosu, który tak nagle i jaskrawo rozległ się i przeciągłym ujadaniem jakby mi coś sygnalizował. Prawie go pojęłam, ale nie zaraz popatrzyłam w tamtą stronę. Dopiero, gdy piesek, bardziej niż zwykle zje-

zony, tam pobiegł, spojrzałam nieznacznie. Magazyn jarzyn stał w środku warzywnego ogrodu, wśród młodych, nie-rodnych jeszcze drzewek owocowych. Jego gliniany dach był wygładzony i błyszczący po nocnej ulewie.

Patrzyłam, nie zatrzymując się, gdyż tak nakazywał łagrowy przepis. Byli tam ludzie na ogrodzie. Czapki strielków znaczyły się barwami. Dostrzegłam, że ludzie ci coś podnoszą z ziemi, że ustawiają się, że wreszcie ruszają z miejsca. Między szarymi postaciami noszących, zabielało to, co nieśli. Przecież wiedziałam o tym już wczoraj w nocy, wiedziałam o tym już dawniej, już od tamtej chwili, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Szurę w białym fartuchu!

MELCHIOR WANKOWICZ

Urodzony w 1892 r. w ziemi mińskiej. Pisarz i publicysta. Przed wojną wydał szereg prac, m.in. wspomnienia pt. „Szczęsne lata”, reportaż o polskiej ludności na Mazurach pt. „Na tropach Śmętka” oraz „Sztafetę” — o osiągnięciach Dwudziestolecia Polski niepodległej.

Jako korespondent wojenny Polskiej Armii na Wschodzie, towarzyszył jej od pustyni Irackiej aż do Włoch, do bitwy o Monte Cassino. Odważny, uparty i obdarzony dociekliwą uwagą, umiał zarówno wykorzystać sztabowe mapy i plany operacyjne jak i dotrzeć do wysuniętych placówek linii natarcia. Stąd powstało jego 3-tomowe dzieło pt. „Monte Cassino”.

Po wojnie Wańkowicz przebywał początkowo w Anglii, a następnie w Stanach Zjednoczonych, stale pisząc i podróżując. Wydał w tym czasie szereg książek i wygłosił setki odczytów po polsku i po angielsku. W r. 1958 wrócił do Polski.

Będąc wysłany z ramienia tygodnika „Orzeł Biały” do Persji, w stołowie Polskiego Czerwonego Krzyża w Teheranie spotkał Hankę, którą znał dzieckiem w domu jej rodziców, na Śląsku, i spisał jej historię — „szablonową historię” wielu tysięcy rodzin polskich, ukraińskich, żydowskich, białoruskich i litewskich, zagubionych na obszarach sowieckiej Rosji, rodzin, które niejednokrotnie nie pozostawiły po sobie ani jednego świadka.

Obszerne fragmenty z „Dziejów rodziny Korzeniewskich” podajemy według edycji amerykańskiej, wydanej przez National Committee of Americans of Polish Descent, Inc., New York 1944 r.

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

Raz dałem komuś przybyłemu z Rosji spisana przeze mnie historię 1600 więźniów Polaków, pędzonych przez

pięć dni bez jedzenia i wody z więzienia w Starej Wilejce do Borysowa, tak, że ludzie próbowali pić własną urynę z czapek, filtrowaną przez chusteczki. W tym czasie z liczby 1600 strażę dobiły 400, zbyt osłabionych, a rozbestwieni dozorczy złapawszy jednego, który rzucił się do ucieczki, kazali innym pędzonym, którym nie pozwalano załatwiać naturalnych potrzeb, oddawać kał na trupa. Znajomy mój odczytał nazwiska skrzętnie zebrane, miejscowości, daty i godziny i rzekł z uwagą:

— Szablonowa historia...

Hanka Korzeniewska opowiedziała mi też — szablonową historię.

Najprzód był — jakże „szablonowy” — wrzesień.

Ojciec odesłał rodzinę do Krakowa a sam pozostał w Katowicach.

W dużym domu Związków Zawodowych, w domu, w którym poroztasowywały się wycieczki harcerskie, znalazła się cała rodzina.

Zapamiętajmy:

Matka — pięćdziesięcioletnia.

Ola — dwudziesto-dwuletnia.

Hanka — siedemnastoletnia; właśnie na wiosnę otrzymała maturę.

Jurek — dwunastoletni.

Antosia — służąca, będąca w rodzinie od urodzenia Jurka.

Najstarsza, Krystyna, była w Poznaniu. Mąż, z którym właśnie się pobrała, poszedł na wojnę i zginął; potem już narodził się pogrobowiec. Jeśli nie żyje obecnie — również wszystko będzie — według szablonu. Ale Hanka nie wie, co dzieje się z Krysia.

Bracia ojca — jeden został jeńcem, dwaj — rozstrzelani przez Niemców w Bydgoszczy. Żony ich wzięte do szorowania podłóg.

56-letni ojciec miał dołączyć niebawem.

Oto *dramatis personae* tej szablonowej historii.

Matka jeszcze pojechała do Katowic, do ojca, Dzieci same w wielkim mieście. Jurek oczarowany Sukiennicami. Tyle barwnych straganów! Dzieci sypią groch gołębiom na Placu Mariackim. Hanka — jak zwykle dziewczęta — otacza małego nieznosnego Jurka macierzyńską opieką.

— Chodź na Wawel, na Skałkę... Taki duży chłopak — aż wstyd że nie znasz tego. Może tego nigdy nie zobaczysz...

Różne głupstwa wygadują dziewczynki, bawiące się w mamusie, strofując lalki albo młodszych braciszków.

Dzieci przepadają na cały dzień w krainie baśni. Poczynając od Smoczej Jamy, w której smok pożerał składane sobie na ofiarę dziewice — poprzez Kurzą Stopkę, którą zamieszkiwała Święta Królowa, składająca miłość w ofierze nawróceniu Litwinów, poprzez sarkofagi królów i panteon narodowy — aż po wieżę Srebrnych Dzwonów, w której leży wskrzesiciel Państwa, zagrożonego teraz.

A kiedy wracają — tłumy ludzi stoją przed plakatami mobilizacyjnymi.

Wieczorem — jak spłoszona kokosz, nie wiedząca kogo najpierw zaślaniać skrzydłami — przyleciała matka z Katowic.

Nazajutrz, w piątek, rozpoczęła się wojna. Hanka włożyła swój mundur Przysposobienia Wojskowego. Pamiętamy wszyscy tę młodzież, pilnie szukającą każdej posługi. W domu Związków Zawodowych, w którym mieszkali harcerze, znaleźli bombę zegarową. Z przerażeniem patrzyły dzieciinne oczy — że to tak środkiem Polski, pomiędzy nimi, chodzi nieuchwytna — zdrada.

W sobotę wieczorem chlusnęła przez Kraków biedota ze Śląskiego Rybnika. Wielu było tylko w koszulach — tak uciekli spod pierwszego ataku.

Jest drugi dzień wojny. W nocy przyjeżdża ojciec. Matka w schronie obcina sobie włosy. Świat poczyna wirować wkoło dzieci.

W niedzielę rano cały bombardowany Kraków emigruje. Jest w samochodzie znajomych miejsce na dwie osoby — wykorzystuje je matka z małym Jurkiem. Reszta — ojciec, Ola, Hanka, Antosia — idą piechotą.

Jakż długi ten Kraków. Sukiennice są pozamykane i puste. Na jakiejś łączce na którymś kilometrze odpoczywają. Pszczoły brzęczą po kwiatach. Wtem nadlatuje samolot niemiecki. Tuż obok wysuwa się jak żądło długa lufa działa przeciwlotniczego — było tak zakamuflowane, że nie widzieli. Ziemia kole ukrytymi żądlami a niebo pełne jest niebezpieczeństw.

Czekają na jakiejś stacyjce, pełnej takich uciekinierów jak oni. W przeciwnym kierunku — pod front — jadą promienne, szczęśliwe, rozśpiewane eszelony naszego wojska. Na każdej stacji sznury ludności, która ciśnie się z żywnością dla żołnierzy.

Trzy dni jadą do Lwowa. Dużo bomb, dużo trupów — ale coraz to coś z nadziei: bądź to bielutki jak z igły pociąg Czerwonego Krzyża, bądź to rozśpiewany, ukwiecony oddział żołnierzy.

Kiedy przybywają do Lwowa — widzą morze ognia. To płoną składy spirytusu. Mieszkają z rodziną w starym klasztorze o grubych murach, który przed trzema wiekami dał schronienie królowi szwedzkiemu. Nieustanne ataki bombowców. Matce się wydaje, że każda nurkująca „Stuka” mierzy specjalnie w jej dzieci. Stale siedzą na beczkach z ogórkami w piwnicy. Chwilami beczki są „wniebowzięte”.

Tymczasem na górze nad piwnicą dzieją się inne sprawy. Tam stoi oddział żołnierzy, którym dowodzi jakiś podchorążak. Dwunastego podeszły pancerne dywizje niemieckie pod Lwów, który nie miał załogi, leżąc daleko na tyłach. Nim napłynęła pomoc, miejscowe szczupłe oddziały dwoiły się i troiły. W oddziale stacjonującym w klasztorze był kapral — typowy lwowski batiar. Co noc przed świtem wyprawiał się z kilku kolegami i ciężkim karabinem maszynowym pod Niemców. Wracali zawsze pełni animuszu, opowiadając cuda o „Zośce”. Tak nazywali swój karabin maszynowy.

Po dziesięciu dniach walk, 22 września bolszewicy podeszli pod Lwów. Miasto już nie mogło się bronić. Wiadomość o kapitulacji przysłała, kiedy ci z „Zośką” byli na zwykłym wypadzie.

Wojna skończyła się dla Lwowa; w rodzinie Korzeniewskich zaszedł ewenement: Ola zaręczyła się z tym dowodzącym podchorążym i wkrótce się pobrała.



Dni pod okupacją rosyjską nieraz gdzie indziej były opisywane. Już wkrótce wiedzieli, że periodyczne branki ludzi, to nie przypadek. Po prostu mają ponownie miejsce wtedy, kiedy powracają po nowe ofiary „więźniarki” —

wagony towarowe okratowane, przeznaczone do wywożenia porwanych ludzi.

Dla rodziny Korzeniewskich taka noc przyszła dopiero w lipcu 1940 r. Najprzód przyszli o godzinie drugiej w nocy po mieszkającą w ich mieszkaniu rodzinę wiedeńskich Żydów. Ciężko było patrzeć, jak wyprowadzali te bezbronne bezjeczne figurki. Reszcie kazali kłaść się spać. Ale nikt nie spał. Obławy kończyły się dopiero o siódmej rano.

Około czwartej nad ranem posłyszeli kroki. Uzbrojeni ludzie kazali im się zabrać w ciągu piętnastu minut. Spieszącymi rękami miotali do rozwartych waliz co się trafi. Pytali enkawudystów, czy brać ciepłe rzeczy, czy brać żywność. Odpowiedź była stereotypowa:

— Wszystko otrzymacie na miejscu.

Kiedy ich wieźli było jasno. Przechodnie zatrzymywali się i żegnali ich znakiem krzyża. Nie było między nimi ojca, który był w Dublanach ani Oli, która z poślubionym podchorążakiem mieszkała na Persenkówce. Pisali kartki i rzucali na jezdnię. Wszystkie co do jednej doszły i na Persenkówkę i do Dublan.

Jurek, dwunastoletni Jurek, kiedy ojca nie było i matka znajdowała się w śmiertelnej trwodze — począł szybko przeobrażać się w mężczyznę. Pakował rzeczy, nosił, w wagonie towarowym, w którym już było 38 osób, walczył o miejsce.

Przez szczeliny zamkniętego wagonu widać peron i co na nim się dzieje. Najprzód przybiegła Ola z mężem i z jego rodzicami. Skrzyknęli ich pod wagon. Potem nadbiegł, powiadomiony w Dublanach ojciec. I ojciec i Ola z mężem chcą dzielić los wywożonych ale straż nie puszcza. O tym decyduje N.K.W.D. w mieście.

Pod wieczór — wszyscy całą rodziną znaleźli się w wagonie. Teściowie Oli zdążyli przywieźć dwa męskie ubrania, aby było co sprzedać w Rosji, otrzymali od jakiejś zakonnicy gruby ciepły wełniany szal i przynieśli nieco jedzenia. Robione to było w pośpiechu, bo lada chwila przecież pociąg mógł ruszyć. Ale pociąg ruszył dopiero po dwóch dobach oczekiwania, w niedzielę rano.

Przez szpary patrzyli na uciekającą ziemię polską. Kiedy mijali granicę, była noc ale ktoś rozeznał. Śpiewali

„Jeszcze Polska”. Po tej demonstracji skurczone w kątach postacie kobiece odmawiały „Pod Twoją obronę”.

Jechali dziesięć dni, mimo lipcowego upału raz na kilka dni otrzymywali nieco wody. W ciągu dziesięciu dni cztery razy na stacjach karmiono ich jałową kaszą. Za każdym razem nocą. Zafatwiali potrzeby naturalne do dziury wybitej w podłodze. Najgorzej było z niemowlętami, dla których nie było mleka ani wody. Pieluchy rozpościerano na plecach i tak starano się suszyć.

Dziesiątego dnia wywagonowano 380 osób na stacji Afanasiewskij Razjezd Swierdłowskiej Obłasti, Aczyckiego Rejonu.

Rodzina Korzeniewskich wraz z dwustu innymi osobami była wysłana na miejsce pracy do miejscowości oddalanej o 16 kilometrów. Szczęściem był księżyc. Szli, uginając się pod ciężarem wleczonych rzeczy. Teren był mocno górzysty i wszędzie lśniły kałuże. W powietrzu po prostu widniała kasza komarów. Ci, którzy mieli obie ręce zajęte, byli bezbronni. Ale ostatecznie nie było sposobu się obronić. Kiedy wstał świt — pochod widm katorżniczych okazał się pochodem pokrwawionych rozpuchłych masek. Okrutny karnawał.

Zalokowano ich w dwu barakach, nie mających prycz ani podłóg. Wyległy takie masy pluskiew, że było czerwono. Jurek pytał, co to za żuki.

Koło dziewiątej nastąpił obchód władz. Szli — w zbutwiałych szynelach o ziemistych apatycznych twarzach. Zatrzymali się przy baraku:

— *Wsiem dowolny?* (Czyście zadowoleni ze wszystkiego?).

Antocha — poznanianka gruba i bardzo wymowna, poczęła trajkotać jak karabin maszynowy — że takie coś to ona pierwszy raz w życiu widzi.

Apatycznie bawole spojrzenia:

— *Niczewo, priwyknietie!* (Głupstwo, przyzwyczajcie się...).

Straszna beznadziejność ogarnęła wszystkich. Jakby stali przed szarą, wysoką, posępną i niemą ścianą.

Siedemnastoletnia Hanka wraz z pięćdziesięcioletnim ojcem i Antochą — otrzymali pracę przy ziemnych robotach na tamie. Tama była spartolona i należało z powrotem z niej wydobywać glinę z głębokości dwudziestu metrów.

Glina tak lgnęła do łopaty, że woleli ją nakładać rękami do niewywrotnej wagonetki, którą trzeba było naładowywać przez wierzch. Pracowali w upale, glina schła szybko i wracali do domu w sztywnej skorupie gliny. Ubrań roboczych nie dawano.

„Potem nas przenieśli na drzewne roboty. Fachowiec drzewny, który był wywieziony wraz z nami, obliczał, że w dolinie gnije narąbanego i naspławianego materiału na 40 milionów złotych”.

Ola z mężem najpierw pracowali przy drodze a potem również przy drzewie. Matka i Jurek byli zwolnieni od roboty ale też nie dostawali pełnej racji. Pełna norma leśna wynosiła osiem i pół rubla dziennie ale jej wyrobić nie mogli. Gdyby wyrobili nawet, to by też na wiele się nie przydało, bo i tak książeczka robotnicza dawała prawo na kupienie maksimum półtora kilograma chleba dziennie na osobę za cenę 1 rubel 35 kopiejek. Matka i Jurek otrzymywali tylko 300 gramów. Dla czytelnika krajów normalnych, gdzie chleb jest dodatkowym pożywieniem — trudno będzie zrozumieć, co to znaczy. Bo poza chlebem nie można było niczego kupić w sklepiu robotniczym. Tylko w socjalistyczne święto pierwszego maja i w rocznicę rewolucji sprzedawano trochę kaszy na osobę.

Ale i to wszystko było teoretyczne. Trust drzewny do którego ich przyłączono, był zbankrutowany, zadłużony u państwa i wobec tego nie otrzymywał żadnych kredytów, bo wszystko co dostarczał, szło na pokrycie zadłużenia i spartolonej tamy. Trust więc nie miał pieniędzy na wypłatę robotnikom ani pozwolenia na ich zwolnienie.

Po upałach nastąpiły krótkie roztopy i nie obejrzeli się, jak przyszła sroga zima uralaska.

Hanka ścina toporem ogromne wiekowe drzewa. Pracuje nieraz literalnie po ramiona w sypkich, głębokich śniegach. Wieczorami przy rozpalonym ognisku paruje przez pół godziny. Gorączkuje. Ale regulamin zwalnia od roboty tylko o ile temperatura nie jest niższa niż 38 stopni. Pewnego razu silnie gorączkowała, poszła do doktorki ale okazało się, że ma tylko 37,8 stopni i lekarka uznała zgłoszenie za nieuzasadnione ale wydała kartkę zaświadczącą, że robotnica była u niej.

Rozwścieczony brygadier skonfiskował kartkę i chciał zapisać tzw. „progu”, to znaczy uchylenie się od roboty

bez usprawiedliwienia. Tego rodzaju zapis za pierwszym razem oznacza obniżenie przez pół roku zarobków o 25 procent a przy powtórzeniu się — więzienie.

Głód i tak nękał straszliwie. Zwłaszcza ten Jurek, który przecie rośnie...

Właśnie ma paść olbrzym uralski.

— *Storoniś* (Umknij!) — krzyczy brygadier.

— Wszystko mi jedno — mówi rozgoryczona dziewczyna.

Blady — w ostatniej chwili zwrócił jej wyłudzone świadectwo.

Przy ścinaniu pracuje z Tataram i Tatarką. Tatarce nie dawali ubrania ze składów od lat. Marzła nieludsko. A mrozy były takie, że rąbane drzewo nagle się rozpekało i waliło się w nieprzewidzianą stronę. Był wprawdzie przepis, że przy mrozach ponad 45 stopni drzew się nie rąbie ale go nie przestrzegano.

Tatarka była głucha, zupełnie zdrętwiąła z mrozu. No i drzewo ją przytłukło. Włoczyli ją do skrzyni, mającej służyć za trumnę. Skrzynia była za krótka, więc trzeba było zgniatać ciało. Siedmioletnie dziecko Tatarki chore na świerzb, skamlało, pętając się między ludźmi. Wszyscy wiedzieli, że musi teraz umrzeć.

Magazynier Dudakow, który utył na okradaniu magazynu (tak i tak skończy się na więzieniu za te czy owe niedokładności), ciągnie Tatarczątko za ucho i dowcipkuje: „Ech ty — trupeczek”. Dziecko patrzy skośnymi oczkami i zdaje się rozumieć. Zona Dudakowowa wybucha śmiechem. Ma pasję przychodzić do Hanki i przeglądać grubymi palcami jej fotografie. Oto aleja w Rabce, tego lata kiedy wybuchła wojna. Ona stoi z ojcem w jasnej sukience, ojciec w białych spodniach. Oto ich willa w Katowicach. Pani Dudakowowa przegląda te fotografie jak my ilustracje do bajek Andersena.

Po kilku miesiącach oboje Dudakowowie zostali aresztowani. Dudakow był na to przygotowany psychicznie.

— Ludność Rosji — wykladał — składa się z tych, którzy siedzieli w więzieniu, z tych, którzy siedzą i tych, którzy będą siedzieć.

Idzie dzień za dniem. Hanka wciąga na nogi łapcie plecione z kory brzozonej, okręciwszy tego nogi szmatami. Wstaje się przed świtem przy kopciuchu wetknię-

tym w słoik. Po ciemku kopnymi drogami brną na robotę trupy za żywa pogrzebane, dla których nie ma nadziei.

Zaczęto gasić światła. Musieliśmy kończyć rozmowę.
— Mieszkam obok. Dam panu pamiętnik Oli — powiedziała Hanka.

Z zeszytem z szarego ziemistego papieru, na którego okładce były wyrysowane jakieś emblematy sowieckie, jak zwykle napuszone, przyszedłem do swego hoteliku i zapadłem w czytanie dzienniczka Oli — dzienniczka z tamtego świata.

Podaję z niego wyjątki:

30. V. 41. „Jesteśmy dziś poruszeni. Jurkowi ofiarowano posadę pastucha. Będzie zarabiał więcej niż każde z nas, a kto wie czy nie więcej, niż my wszyscy razem. Dostanie 150 rb. miesięcznie i 15 litrów mleka (co przedstawia wartość 45 rubli). Podobno będzie również otrzymywał różne prezenty w postaci jaj, masła czy śmietany od poszczególnych chazajów. Jurek jest wniebowzięty. Po prostu stoi na głowie! Obiecuje sobie, że zawsze będzie najedzony”.

30. V. 41. „Jurek nie otrzymał jednak wymarzonej posady pastucha. Dziecko jak może nam pomaga — nosi drzewo zamożniejszej rodzinie żydowskich wygnańców, rąbie, nosi wodę”.

Już mija rok ich pobytu tutaj. 12 czerwca minęła rocznica ślubu Oli.

„Rok gorszy niż rok najcięższego więzienia (chleb-woda, woda-chleb i tak w kółko) zmógł nas. Praca stała się piekłem, mimo, że wydajność nasza spadła do jednej piątej. Głód jest czymś strasznym! Jakże okropne budzi uczucia, jakże wstrętne myśli! Jeżeli mi Bóg pozwoli wrócić do świata — będę szukać ludzi głodnych.

2. VI. była rocznica naszego ślubu. Tyle miałam na nią planów! Ale przeżywaliśmy tak straszliwe głodowanie, takie wyczerpanie, że trudno opowiedzieć.

Myślałam rano po przebudzeniu, że jednak bardzo się zmieniłam. Nie czułam żalu, że dzień, jak mi się zdawało

tak bardzo uroczysty, nie będzie niczym uświetniony, że nie będę miała po nim żadnych wspomnień. Tymczasem mama, moja niezawodna mama, wyczarowała nam do lasu po dwa kawałki chleba i manierkę kawy z mlekiem. Wieczorem odebrałam całą masę życzeń. Jurek nie umiał sobie nic wyobrazić, co się życzy; życzył tylko, żebyśmy już nigdy więcej nie byli głodni”.

2.VII.41. Ola cierpi bardzo na newralgię i ma zapalenie nerwu trójdzielczego. Lekarka jej nie zwolniła tylko dała trzy proszki weronalu... dla zażycia na miejscu pracy, w puszczy, jeśli już nie będzie mogła pokonać bólu.

„Przez cały dzień przeleżałam w lesie na wpół przytomna po dwóch proszkach weronalu (nie miałam zresztą pojęcia, że to weronal), częściowo śpiąc, częściowo płacząc, a stale jęcząc. Deszcz lał jak z cebra. Heniusz pocieszał mnie, że już idziemy do domu ale czyż ta perspektywa przebycia pięciu kilometrów po dzikich bezdrożach z tysiącem przeszkód w postaci drzew poprzewracanych, pni, błot i rzeczułek — mogła mi dodać otuchy?”

„Dawniej nie myślałam nigdy, żeby można było godzinami wyobrażać sobie i marzyć o szafie z białą wyprasowaną (podkreślone w tekście p.m.) pachnącą bielizną, o zapachach mydła, o garnuszkach, rondelkach, rynkach, o serwetkach, obrusach!”

Odtąd już przez cały ciąg pamiętniczka opowieść jest przeplatana... przepisami kulinarnymi, których zbieranie po wygnańcach stało się istną manią głodującej.

6.VII.41. „Noc dzisiejsza była wprost upiorna. Pluskwy gryzły strasznie; pewno się znów wyroili. Komary zaś tak cięły, zrobiły taki koncert brzęczący, że do świtu nie mogliśmy zmrużyć oka”.

7.VII.41. Mały mężczyzna stara się brać na siebie część brzemienia. „Zawchoz” (kierownik) dał tyle toporów Oli i jej mężowi do ostrzenia, że nie mogli pójść na kolację.

„Topory nowe są takie okropne, że będziemy je wieki całe ostrzyli. Byliśmy też mocno zważeni, dopiero Jurka kolacja wróciła nam humor. Była pyszna: szpinak z porzryw i kasza. Dawno się tak nie najadłam”.

11.VII.41. Pamiętnik pod tą datą jest wypełniony marzeniami o tym, że podobno trust wypłaci część zaległych poborów, że da jakieś szanse.

14.VII.41. Marzenia na wypłacenie zaliczki rozwiąły się. Natomiast:

„Dziś wprowadzony został dwunastogodzinny dzień pracy. Hanka musi wstawać o 5-ej, żeby o 6-ej wyruszyć na 60-ty kwartał, wracać zaś będzie o ósmej. Nas z chwilą wyzdrowienia p. Wnęka czeka to samo. Tymczasem w obecnej sytuacji, której nam wszyscy zazdroszczą, noc nasza będzie się składała w najlepszym wypadku tylko z 4-ch godzin. Ostrzyć topory będzie można najwyżej do dwunastej w nocy, zatem wykańczać bieżącą robotę będziemy musieli od 4-ej rano.

A teraz zagadka — co to jest? „Nie je, nie pije a chodzi i żyje?” Zagadka stara jak świat i żadne dziecko nie miało wątpliwości, że istnieje jedna tylko odpowiedź. Ale istnieje druga odpowiedź na Uralu jedyna (ładnie bym się musiała namęczyć, żebyś chciała wytłumaczyć np. Rebecę Goldberżance, gdy podrośnie, co to jest zegarek!). Tutejsze dzieci na te zagadkę odpowiadają jednogłośnie; „Uralczyk!”.

Obecnie mamy już przed sobą konkretną wizję śmierci głodowej. Nie mogę określić, jak długo będziemy jeszcze chodzili i żyli”.

15.VII.41. Przykuci do pracy za którą im nie płacono na skutek zadłużenia trustu u władz centralnych, wygnaćcy oczekują tzw. „wychodniego dnia” czyli dnia wolnego od roboty, aby szukać żywności.

„Wczoraj, ponieważ był wychodnoj, Hanka poszła szukać grzybów, Antosia na pokrzywę a my z Heniem przez cały dzień łowiliśmy ryby na wędkę. Z tego wszystkiego prawdziwą pociechę mieliśmy tylko z grzybów. Rybki były pyszne ale żałośnie mało a szpinak czyli pokrzywa, nagotowana w słonej wodzie bez maki i masła, była wstrętna. Jedliśmy ją ze szczerego głodu.

Jesteśmy jak te rybki, które łowiłam. Żyjemy jeszcze, mamy nadzieję, że nam odrobina wody wystarczy. A koniec?”.

16.VII.41. „Stoimy znowu przed perspektywą pójścia do lasu (jakiś czas Ola z mężem miała sobie przydzieloną pracę ostrzenia toporów). Strach mnie opanowuje! Być wydanym przez 14 godzin na pastwę komarów, much, muszek, bąków, kleszczy i wszelakiego rodzaju robactwa, odbywać codzienny 10-cio kilometrowy marsz po wertepach i przymierać głodem! Nie mam już sił, naprawdę nie mam sił!

Boże, zlituj się nad nami!

Jezu, usłysz nas!

Jezu, wysłuchaj nas!

Bądź nam miłościw,

przepuść nam, Jezu!

Bądź nam miłościw,

wysłuchaj nas, Jezu!

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,

zmiłuj się nad nami...”.

Zamęczona dusza ludzka w ciągu długich godzin kręcenia kamienia, stara się uciekać w świat marzeń, które po powrocie z roboty zapisuje w pamiętniku. Pamiętnika trzyma się wytrwale — nie chce umierać, chce myśleć, chce sycić się chociaż marzeniem. Te jej marzenia robią czasem wrażenie półmaligny. Rozpisuje się, jakie będzie miała suknie, serwety do kawy, jak będzie robić bardzo ciepłe rękawice dla pracujących na mrozie, jak siedząc w wygodnych fotelach będą robić z mężem zabawki na choinkę dla ich dziecka. Te marzenia są podane z najdrobniejszymi detalami. Kończą się jednak zawsze tak, że wdziera się nagle świadomość:

„Żle jednak, jeżeli w czasie takich marzeń spojrzę na Henia, mojego drogiego wychudłego biedaka, z podkrążonymi oczami i zatroskanym spojrzeniem. Wiem, że jest głodny, stale głodny i wiem też, że równocześnie w domu wymizerowana do ostateczności mama zachodzi w głowę skądby nam wydostać kawałek chleba. Wtedy lodowata obręcz ściska mi serce i... tracę wiarę”.

18.VII.41. „Wczoraj popołudniu, kręcąc kamień w piłoprawce, zdałam sobie jasno sprawę z tego, że zbliża się nasz koniec. Jesteśmy wymęczeni bezgranicznie i nie do opisania głodni! Pracowaliśmy do 11-ej w nocy i do 11-ej

plakałam z rozpaczy nad mamą, która leży chora i męczy się nieładnie, wiedząc, że do jutra nie zdobędziemy już ani kopiejki na chleb i że Hanka pójdzie na cały dzień do lasu bez jedzenia a i dla nas nie ma lepszych widoków. Modliłam się żarliwie o jakiś cud a równocześnie w skołowanej głowie szukałam możliwości zdobycia chociażby jednego rubla. Henuś pracował z zaciśniętymi zębami. Kilka razy, gdy się spotkały nasze spojrzenia, mówił cicho ale z taką skargą bolesną, że nie zapomnę tego do końca życia: „Babuś, ja już nie mogę!”. Byłam taka udręczona, taka umęczona... Ponieważ nie mogłam się wypłakać dobrze ze względu na piłoprawów (p.m. — robotników-niewolników przy ostrzeniu toporów), przez cały czas okropny skurcz ścisnął mnie za gardło. Równocześnie chwilami zdawało mi się, że lada moment stracę przytomność: przedmioty trzymały mi się przed oczami, zdawało mi się, że krew to odpływa mi od mózgu, to znowu gwałtownie uderza i to specjalnie do uszu.

I Bóg sprawił cud. Wieczorem Fiedienow wziął od Dudakowa 500 rb. i dawał awanse (p.m. — awanse na dawno zaległą wypłatę). Dostaliśmy na 7 osób 15 rb. Dzisiaj na śniadanie i obiad poszło 9 rb. Antosia zarobiła na grzybach 4 rb. Może p. Mocheńska sprzeda moją bluzkę rumuńską. Jutro jest „wychodnoj” — postaram się znaleźć siły i iść na ryby”.

22.VII.41. „Od dwóch dni pracujemy znowu w lesie. Nie chcę pisać o brudnych metodach i brudnych ludziach. Zresztą to wszystko już jest bez znaczenia. Głód dochodzi do szczytu. Piszac to, zdaję sobie sprawę, że niebawem głód ten będzie nam się wydawał ideałem, szczytem marzeń. Z dnia na dzień odwołują wypłatę. Dzisiaj w nocy może dostaniemy jakieś awanse. Nowy naczelnik, zastępca Rożenki, powiedział nam dzisiaj, że wniesiono podanie o umorzenie długu, jaki ma trust — u państwa. W najbliższych dniach zatem albo trust zostanie rozwiązany, albo doczekamy się nareszcie wypłat. Tak on mówi.

Ludzie są w rozpaczy i w większej części zdeterminowani”.

24.VII.41. „Wieczorem przyjechał kasjer i wypłacił 30 procent dwutygodniowego zarobku. Straciliśmy noc, ale

za to mamy w kasie 50 rb. Właściwie nie tyle mamy, ile mieliśmy o godzinie 1-ej w nocy. Rano wykupiliśmy chleb oraz — w stołówce była kasza perłowa — każdy z nas jadł po jednej porcji. Do lasu dała nam mama również jedną porcję kaszy”.

26.VII.41. „Partia uchwała, że robotnicy nie będą mogli kończyć pracy, dopóki nie wykonają normy. 11-to godzinny dzień pracy przysługuje zatem tylko stachanowcom. Wszyscy słabsi robotnicy obowiązani są pracować aż dopóki można, tzn. do zapadnięcia ciemności.

Z dnia na dzień oczekuję objawów ostatecznego wyczerpania spowodowanego głodem. Henuś uporczywie twierdzi, że na pewno w końcu ulegnie atakowi wścieklizny, ja natomiast przypuszczam, że niebawem będę popadała w uporczywe omdlenia. Przez cały dzień a nawet w nocy, gdy usiądę na pryczy, mam zawroty głowy, chwilami robi mi się czarno przed oczami, chwilami wszystko się troi i tańczy.

Nie mając gorączki, nie mam również prawa do lekarskiej opieki, nie mam również jedzenia jako lekarstwa, ani jedzenia jako jedzenie. Ponadto muszę rąbać las, prowadzić walkę z kornikami, korując wszystkie drzewa oraz wypełniać normę ustaloną dla silnego, zdrowego, dobrze odżywionego mężczyzny”.

Ojciec nasz, któryś jest w niebie...
Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja... na ziemi...
Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj
Odpuść nam nasze winy.
Zlituj się nad nami.

I zaraz bezpośrednio, zamglonym piśmem bladego ołówka:

„*Torcik czekoladowy*”

10 dkg. czekolady utrzeć z 10 dkg. masła i 10 dkg. cukru. Pianę z 6 białek utrzeć na śnieg, dodać 10 dkg. mąki, wymieszać z masą — piec. Polać glazurą czekoladową”.

A potem szeregi innych przepisów: ogórki marynowane p. Nidenthalowej; tort p. Nieciengiewiczowej; nadzie-

wanka do biszkoptów „Delikatna Pycha”; nalewka wiśniowa „Pani Maria” itd.

27.VII.41. „Niedziela... Boże, czy to słowo nie jest ironią! Wczoraj w lesie odrąbałam sobie czubek palca wraz z paznokciem. Ręce miałam brudnie, niemożliwie oblepione żywicą, od korowania i nie miałam odwagi pójść do lekarki na opatrunek. Palec strasznie mi dokuczał, zwłaszcza, gdy rąbałam toporem. Gdy zapadły ciemności i skończyliśmy pracę, poszłam do wraczki (p.m. „lekarki”) ale okazało się, że nie ma żadnych środków opatrunkowych”.

Dalej pamiętnik opowiada, że wczoraj były imieniny Hanki i jak matce udało się dostać dla niej jedno jajko i kubek zsiadłego mleka i jak była szczęśliwa, że mogła uczcić imieniny najmłodszej córki.

Ową niedzielę wykorzystali jak tylko mogli. Od świtu matka, Ola i Hanka aż do zmroku były na grzybach i nazywały za trzy i pół rubla. Mąż Oli natapał rybek za rubla.

„Mamy znowu na jutro krwawo zarobione trzy kawałeczki suchego chleba na osobę. Piszę krwawo, bo — trzeba było największego wysiłku woli, by nie skorzystać z dnia wolnego i nie odpoczywać od rana do nocy”.

28.VII.41. Pracowała z mecenasem Mintzem, który dał jej kawałek chleba. Piszę, jak trudno było brać ten chleb i jak nie była w stanie go odmówić. I nagle ten kawałek chleba, w zmaltretowanej duszy ludzkiej, która już tylko się modli, marzy o jedzeniu i tępo pracuje, wywołuje zryw gorących słów wdzięczności:

„Nie zapomnę tego nigdy, tak jak nie zapomnę Peli Błaszczukówny tego, że podzieliła się ze mną swoim chlebem, mimo że sama nie miała go wiele i mimo, że wtedy był biały, jak również p. Grzybkowej, która dała nam obojgu z Heniem szarego chleba, jak również Gizi Kalbowej, która dała mi kawałek chleba, mimo, że miała w ogóle tylko dwa”.

Wyrabia się popęd do szukania wróżb, które by podtrzymały na duchu:

„Och, tuż przy mnie na dależniku usiadł ptaszek. (Ola zabiera od pewnego czasu swój pamiętnik ze sobą na robotę; zdania często są nierówne, dopisywane ad hoc

p.m.). Tak ich teraz mało, że chyba ten będzie zwiastunem dobrych wieści. Może będzie zapowiedziana na dziś wypłata...”.

29.VII.41. „Byliśmy znowu wczoraj z ultimatum u komendanta i majstra. Popłakałam się całkiem nieoczekiwanie przed Fedieniowem, gdy mu tłumaczyłam jak to mama padła w lesie, wybraawszy się dla nas na grzyby i jak Jurek zachorował ciężko, przeziębwszy się przy łowieniu ryb (Przypominam, że na rodzinę złożoną z 6 osób, licząc służącą Antosię, dwie z powodu wieku tzn. matka i Jurek byli „żywieńcami” tzn. takimi, których wyżywić powinni byli inni pracujący członkowie rodziny. „Żywieńcy”, którzy powinni być obciążeniem, w tych warunkach byli błogosławieństwem, bo nie przytwierdzeni do roboty za którą trust niemal nie płacił, mogli zbierać grzyby, jagody i łowić ryby. Płacz Oli poza uczuciami rodzinnymi jest zrozumiały, jeśli wziąć pod uwagę, że ci jedyni nędzni żywiele — rozchorowali się).

Szykował się otwarty bunt. Niech będzie co chce — mieli rzucić robotę i iść do puszczy w poszukiwaniu żywności. Ale serca ich drżały z trwogi, bo taki akt samowoli, to przybycie oddziału karnego, to rozparcelowanie w poje dynkę po różnych więzieniach Rosji.

„Tymczasem Bóg nas nie opuścił i tym razem: Fedienko dał nieco awansów. Otrzymałyśmy z Hanką po 5 rubli i to, zdaje się dzięki moim łzom. Nie potrafię opisać piękła, jakie się przechodzi przy zdobywaniu tych kilku groszy!”.

31.VII.41. Zapis tego dnia jest poprzedzony mottem z „Dziadów”:

*„Tyran wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda!
Co widzę? Długie białe dróg krzyżowych biegi.
Drogi długie nie dojrzeć — przez puszcze, przez śniegi
Wszystkie na północ!.. Tam, w kraj daleki
Płyną jak rzeki...
Płyną... Ta droga prosto do żelaznej bramy,
Tamta, jak strumień, wpadła pod skałę, w te jamy
A tamtej ujście w morzu... Patrz, po drogach leci
Tłum wozów — jako chmury wichrami pędzone*

*Wszystkie tam... W jedną stronę...
Ach, Panie — to nasze dzieci!
Tam, na północ, Panie, Panie!
Takiż to ich los — wygnanie!"*

W Polsce nabrały ponownego życia dawne naiwne śpiewy z okresu martyrologii narodowej, dawna symbolika cierpiących pokoleń, dawne marzenia. W notatkach pod dniem w którym swoje zapiski poczęła mottem ze starego poematu, opisującego cierpienia wywiezionych przed wiekiem na wygnanie dzieci polskich, Oleczka daje upust marzeniom, jak będzie przyjmować towarzyszy wygnania jeśli wróci do Polski:

„Mam zamiar upiec miodownik według przepisu p. Perły w wysokim rondlu, następnie polukrować boki na biało, a gdy lukier zastygnie, wymalować na nim niesymetrycznie mnóstwo kreseczek, co będzie improwizowało korę brzoźową. Wierzch polukruję lukrem kremowym (dodam odrobinę szafranu), co będzie wyobrażało naturalną barwę drzewa w przekroju. Dalej mam zamiar podać ciastka w postaci ciurek (wiórów? — p.m.), piernik upieczony w formie chleba uralskiego; ciastka kruche wycinane foremką w kształcie topora, przy czym barwę stali będzie imitowała czekolada a toporzyśko będzie cięsielskie oraz wycinane foremką w kształcie piły — ciastka. Na jednym z tortów jako dekorację ustawię sąg drzewa z pałeczek marcepanowych — och, na ten temat mogłabym pisać godzinami...”

Stara polska piosenka z katorg sybirskich zawiera marzenia o tym, co więzień robi z rudy, którą mu każą kopać, z konopi, które każą plantować. Wszystko posłuży — zemście. Ale pamiętnik Oli jest pisany ostrożnie. Jest tylko rejestracją faktów, nigdzie nie ma słowa potępienia. Bo nad wszystkimi nimi ciąży wszechobecna wszystkowiedząca N.K.W.D.

4.VIII.41. Ustęp wpisany ręką męża:

„Żono Moja Najdroższa! Gdyby nie Ty i nasza miłość, jużbym nie żył na tym świecie mąk. Już wiele razy zamierałem skrócić swoje męczarnie, już wiele razy byłem prawie samobójcą. Zawsze jednak powstrzymała mnie myśl, że muszę żyć dla nas, że mam najbardziej kochającą żonę”.

5.VIII.41. „Tak wszystko wygląda, jakby Bóg nas zupełnie opuścił... Nie wolno dociekać woli Boskiej, bo tym samym daje się dowód niewiary i braku ufności we Wszechmoc i Najwyższe Miłosierdzie. A ja wierzę, wierzę! Tylko o jedno błagam Cię Panie, skróć czas męki! My jesteśmy tylko ludźmi, nie mamy sił cierpieć tak, jak Ty, Panie!... Upadamy pod krzyżem, który nam przeznaczyłeś, męczymy się tak okrutnie...”

6.VIII.41 Nagle — w tym pamiętniku cierpienia — jako motto zapisu na dzień 6-go sierpnia — tryska hymn narodowy. Skostniałe palce, z których jeden jest ścięty toporem, piszą nie o racjach chleba, nie o zarobkach a o tym — że „Jeszcze Polska nie zginęła!”, piszą te same słowa, które prowadziły Legionistów polskich w rewolucyjnej armii Napoleona „z ziemi włoskiej do polskiej”.

Do tajgi Uralskiej przyszła wieść, że 1-go sierpnia w Moskwie została podpisana umowa między rządem polskim i sowieckim. Przyjechał jakiś naczelnik Zotow. Ola nie mogła pójść na zbiórkę z nim, bo ją wezwano do buchalterii. Naczelnik robót zdecydował obniżenie jej zarobków o połowę z tego powodu, że to jest niemożliwe, by w ciągu doby mogła wytoczyć tyle toporów. A przecie ona tylko kręciła kamień, wyrobienie więc normy nie mogło od niej zależeć. Ta „kolosalna” kwota, której według naczelnika nie mogła w ciągu miesiąca zarobić, to była suma 68 rubli. „Zważywszy, że spodeczek grysiku kosztuje 70 kopiejek a zarobić mogę najwyżej 31 rb. 50 kop. za dwa tygodnie, przeto mogę każdego dnia spożywać trzy spodeczki grysiku. Taka porcja nie wystarczyłaby niemowlęciu a przecie ja mam jeszcze „żywieńców”, których teoretycznie muszę utrzymywać”.

Czekała w kolejce do buchaltera do drugiej w nocy, aby dowiedzieć się o nowej jeszcze klęsce: buchalter wciągnął pod rubrykę lipcową awanse, które pobrała w czerwcu i dowodził, że wobec tego nie będzie uczestniczyła w wypłatach.

Opowiedziano więc jej tylko o zebraniu z Zotowem. Na tym zebraniu nędzarze zagłodzeni i bliscy śmierci oświadczyli, że „nie spodziewamy się, ani życzymy sobie, by rosyjska armia uwalniała naszą ojczyznę”.

Nie życzą sobie...

8.VIII.41. Wiadomości o jakiejś akcji polskiej poczynają przychodzić do tajgi. Podobno aeroplanem przyleciała z Londynu misja wojskowa polska. Podobno tworzy się armia polska spośród uwięzionych w Rosji.

„Taka jestem szczęśliwa! Henuś pójdzie do wojska, ja do służby sanitarnej. W każdym żołnierzu będę widziała swojego męża i tak go będę pielęgnowała taka będę nie-skończenie cierpliwa i dobra... I każdy ranny będzie mi przypominał Jurka naszego dzielnego (poległy w kampanii wrześniowej mąż starszej siostry Krystyny p.m.) i stracone szczęście Krysi i osieroconą Ewunię”.

10.VIII.41. „Hanka zachorowała. Ma silny ból głowy i gorączkę 39,3. Mnóstwo ludzi choruje”.

14.VIII.41. „Jedrek Wnęk miał taki straszny atak! Boże, jacy my bezsilni i bezradni... Sine, sztywne dziecko leżało przed nami, matka odchodząca od zmysłów błagała o ratunek, a my nie wiedzieliśmy nawet co mu jest”.

Ponieważ Jędrus choruje już od 10 dni, jest więc bardzo wycieńczony. Przez trzy ostatnie dni prawie nic nie jedli, bo pieniędzy również już nie mają. Dzisiaj Jadzia przyniosła maliny z lasu i Jędreka dosyć się ich najadł. Zwracał to wszystko w chwilę potem.

Brzezina umiera bez pomocy lekarskiej na zapalenie opon mózgowych.

15.VIII.41. Jest to dzień „wychodnej” (wolny od pracy), który nagle kazano przepracować. Zbuntowali się, ofiarowując wzamian, jako obywatele „sprzymierzonego państwa” — cały jednodniowy zarobek, co naturalnie włądzom do smaku przypaść nie mogło, skoro zarobków i tak nie wypłacały. Było wiele trwogi o następstwa ale musieli przecie żyć, a żyli przeważnie z tych wolnych dni i pracy „żywieńców”. Aby zagłuszyć obawy, tym ostrzej rzucili się do zdobywania żywności. „Henuś z Jurkiem przynieśli tyle grzybów, że sprzedali za 10 rb., trochę podarowali w charakterze rewanżu a z reszty ugotowała mama duży garnek do kaszy. Jesteśmy najedzeni do syta, mamy szklankę masła topionego w zapasie, trochę rubli. Ukoronowaniem dnia były Antosi maliny. Przyniosła duży dzbanek od wody. Objedliśmy się niemożliwie.

Trwoga też skończyła się nieoczekiwanie. Nikitin zakomunikował starszym baraków, że Polacy przestają podlegać władzy N.K.W.D. I niezwłocznie wypuszczono tych, których już zdążono zaaresztować za nie wyjście na robotę.

22.VIII.41. „Jesteśmy u kresu sił i u szczytu wyczerpania nerwowego. Raz mamy na chleb, potem nie mamy na obiad, buntujemy się, dostajemy jakieś zaliczki.

...wolniutko wracaliśmy z kantoru: kasjer nie przyjeżdże ani dziś, ani jutro”.

25.VIII.41. Ponieważ wydano zarządzenie, że Polacy mogą wyjeżdżać więc wśród wygnańców panuje wzburzenie. Polacy chcą za wszelką cenę dostać się do armii.

27.VIII.41. „Przyjechał komisarz Nikitin z instrukcjami. Otrzymamy dokumenty, stwierdzające naszą przynależność państwową, będziemy mogli wyjechać, dokąd zechcemy, z wyjątkiem miast pierwszej i drugiej kategorii oraz pasa granicznego, dostaniemy wypłatę, urlopowe, bezpłatny przejazd do miejsca wybranego i diety. Te dwa ostatnie punkty nie wiem dlaczego po chwili odwołał.

29.VIII.41. „Wyłoniliśmy spośród siebie komitet, który uzyskał od Zotowa zwłokę do godziny 8-ej wieczorem oraz pozwolenie na skomunikowanie się z poselstwem polskim w Moskwie drogą depesz iskrowych.

Jest obecnie godzina 17-ta i pół. Odpowiedzi dotychczas nie ma.

Godzina dziewiąta. Jedziemy do Kujbyszewa. Podobno są tam fabryki, można zarobić. Zotow już nam wystawił dokumenty. Jesteśmy przecie bezsilni, nie wiemy nic, nie znamy możliwości, jedziemy w nieznane.

*Kto się w opiekę odda Pan Swemu
A całym sercem szczerze ufa Jemu,
Śmieie rzec może mam obrońcę Boga
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga”.*

2.IX.41. Władze rosyjskie dały im znać, że obywatele, pragnący wstąpić do tworzącej się armii polskiej, winni złożyć deklaracje.

„Jesteśmy tacy szczęśliwi! Zorganizowaliśmy w jednym z baraków biuro werbunkowe. Za mamy inicjatywę poszyliśmy biało-czerwone kokardki. Niebawem wszyscy ochotnicy mieli je przypięte.

Żal mi niezmiernie mamy. Umówiliśmy się z Hanką, że ona zostanie przy mamie. Tymczasem Hanka chce też iść do pomocniczej służby kobiecej. Ojciec też złożył deklarację, mimo, że ma 58 lat. Ale ja przecie muszę z Henkiem... Nie będzie chyba granic mego poświęcenia. Tylko — taka jestem słaba. A przytem... mam pewne obawy, że jestem w ciąży. Nie wiem wobec tego, jaka by była moja powinność. Ciężko, strasznie ciężko...

Bądź wola Twoja”.

3.IX.41. — 7.IX — 9.IX — 11.IX — 12.IX.41.
Notatki pod tymi dniami omawiają dwa różne tematy.

Okazało się że do Kujbyszewa wjazd zamknięty. Wygnańcy wobec tego są zupełnie zdezorientowani. — Trwają ciągle obrady — rozbili się na grupy. Każda grupa obrała inną miejscowość wyjazdu. Tymczasem wszystkie są trzymane na miejscu przez to, że rząd nie finansuje przejazdu, że koszt przejazdu mogliby zapłacić tylko po otrzymaniu zaległych należności za pracę. To im obiecują, ale wypłacają drobnymi awansami, które rozejdą się na jedzenie. Chodzi więc o to, aby te zaliczki nie były rozpraszane a w całości szły na pokrycie należności poszczególnych grup, które w kolejności mogłyby wyjeżdżać. Na tym tle w głuchej tajdze odciętej od świata i nadziei, rozgrywają się spory podyktowane obawą, że ci, co zostaną w dalszej kolejności — mogą pozostać na zawsze.

Drugi temat jest ponęśniejszy, co wygląda na paradoks: ludzie utracili zarobkowanie w truście sowieckim, a ściślej powiedziawszy — przestali być adscripti do niewolniczej i niemal nieopłacanej roboty. Zamiast więc jednego dnia „bezrobocia”, mają ich siedem w tygodniu i los ich znakomicie się poprawia. Mąż Oli wypuszcza się w dalekie wyprawy po żywność. Upatrzył więc o 22 kilometrów po ciężkiej drodze górami i podejmuje się mniej przedsiębiorczym czy słabszym, a więcej zasobnym wygnańcom nosić dla spieniężenia ubrania, zegarki itp. przedmioty codziennego użytku; ściślej powiedziawszy — codziennego użytku w zgniłej Europie; w powrotnej drodze nosi im żywność.

„Henuś bardzo się o mnie teraz troszczy. Mam u siebie oddzielny słoik miodu, jadam jaja. Przynosi mi również ze wsi pierogi rosyjskie, małe chlebki. Śmieje się z niego, że dba o syna. Tak bym już chciała wiedzieć, czy naprawdę będę miała dziecko, czy to tylko taka słabość okropna. Mam stale nudności.

Mówiłam zawsze Heniowi, że Bóg da nam dziecko dopiero wtedy, gdy już będzie dobrze na świecie, gdy już będę w takich warunkach, że nie będzie mnie to napawało rozpaczą i lękiem. Gdybym teraz zdobyła pewność, że istotnie jestem w ciąży, wiedziałabym niezbicie, że chwila wyzwolenia jest bliska.

„Wiele rzeczy mnie ominęło: suknia ślubna, własne mieszkanko i gwiazdka u siebie. Czyżby i przygotowywanie wyprawki dla dziecka i to dla pierwszego dziecka również nie miało być moim udziałem? Ale przecie rozumiem, że Bóg jeśli zsyła małe przykrości, to po to, aby zaoszczędzić na wielkich”.

Tymczasem Bóg poczyną zsyłać i małe radości. Mąż dzięki swoim wyprawom jest w stanie być ich sprawcą:

„Rano przed wyruszeniem w tajemnicę kupił mi w magazynie karafkę, ronderek malowany zieloną farbą, pieprzniczkę i paczkę pieprzu. Ogromnie się ze wszystkiego cieszę, bo to załazek naszego gospodarstwa. Mamy sporo zapasów: dwa słoiczki miodu, puszkę maki, paczkę pieprzu”.

15, 17, 19, 20, 24, 25 września, 1941 roku.

Notatki z tych dni zawierają opis wyruszenia do stacji kolejowej i pobytu na niej. Po wyjechaniu innych grup przysła kolejka na grupę jadącą do Pierwouralska, do której zdecydowała się przyłączyć rodzina Korzeniewskich. Wiele kłopotów z zakupem skrzyni na rzeczy. Ostatniej nocy pluskwy tak strasznie gryzą, że wszyscy są śmiertelnie niewyspani. Dawniej z roboty w lesie walili się nieprzytomni na prycze i nie spali tylko w noc, kiedy następował nowy wyrój pluskiew. Obecnie nie są widać tak zmęczeni i absolutnie nie mogą sypiać. Ola więc ratuje się pisaniem pamiętnika przy świetle knota, bo ma nadzieję, że światło powstrzyma pluskwy.

Poza tym ciągle konieczność znajdowania się na miejscu, bo w każdej chwili każą wyruszyć znowu — ogranicza możliwość poszukiwania żywności.

„Dzisiaj wyjątkowo jestem najedzona, bo cały niemal barak mnie dożywił a wszystko à conto mego spodziewanego dzieciątka. Więc p. Ala Silbermanowa dała mi kawałek chleba z marynowanym śledziem (nie silę się wcale opisywać, co to była za pycha!) oraz kawałek chleba z miodem, p. Lederkramerowa — jak to w baraku — słysząc przez ścianę o moich dolegliwościach, przysłała mi zaraz wspaniały przysmak: kawałek chleba z rzepą, zaś pani Adlerowa dolała mleka do moich klusek na wodzie.

W ogóle ludzie byli dla nas tacy dobrzy dzisiaj, że trudno opowiedzieć. Kochana, najlepsza Zula Erbesfeldowa podarowała mnie i Hance po parze pończoch a mnie ponadto jedwabną granatową bluzeczkę; Hanka już przedtem dostała podobną od Natki. Ponadto Zula przysięgła, że nie przyjmie od nas zwrotu pieniędzy, które od niej pożyczaliśmy — woli odebrać dług w Polsce. Ponieważ reszta naszych wierzycieli a więc p. Blanksteinowa, pp. Honigbaumowie i pp. Turnheimowie złożyli identyczne oświadczenia, skonstatowaliśmy ze zdumieniem, że została nam na rękę cała wypłata i znaleźliśmy się w posiadaniu sumy, o jakiej nie marzyliśmy — 500 rb.” (na 7 osób, przy czym należy wziąć pod uwagę, że pieniąż w Rosji nic niemal nie znaczy, jeśli się nie ma uprawnień do nabywania produktów po normalnych cenach. Dalsza więc droga i dalsze losy rodziny Korzeniewskich zależały nie od tej „astronomicznej” cyfry, a od tego czy będą mieli te uprawnienia).

Droga na przystanek kolejowy była ciężka. Rzeczy wiozły fury, ludzie szli. Padał deszcz. Matka zaniemogła. Wstąpili do wsi przydrożnej, tam matka wróżyła z kart, zbiegła się cała wieś. Cała rodzina niesłychanie się najadła, a nadto udało im się kupić dwa kilogramy soli i dwanaście paczek zapalek. Wreszcie dobrnęli do przystanku kolejowego:

„Spaliśmy dziś w klubie — myślałam, że umrę z zimna, nerki mnie rozboleły. Głodujemy okropnie. Stołówka bardzo droga. Jest jedna tania zupa za 54 kopiejki — poza tym dania po kilka rubli”.

Na drugi dzień wynajęli izbę, w której mieściła się chłopka z trzema synami. Siedzieli na podłodze, ale było im przynajmniej ciepło. Niestety na trzeci dzień przyjechał gospodarz ze spławu drzewa i trzeba było się wynosić.

Koniec września na Uralu — to nie żarty! Pozwolono im zamieszkać w pustej izbie gminnej. Zimno! „Tak mnie nerki bołą, że chwilami zwijam się po prostu”.

Na następny dzień zapisuje: „Jestem taka chora, taka chora... W nocy miałam silną gorączkę, nerki bołą mnie nieustannie, męczą mnie ciągle dreszcze. Co godzinę przynajmniej muszę chodzić na dwór, tak jak zresztą wszyscy. Wszyscy jesteśmy też poprzeciębiani w niemożliwy sposób.

Cała grupa postanowiła starać się o zmianę obranego miejsca zamieszkania. Dowiedzieliśmy się, że w Pierwo-uralsku jest tylko przemysł wojenny z 11-stogodzinnym dniem pracy. Podobno o wyżywienie tam bardzo trudno — kartofle 35 rb. pud (16 kilo — według więc tej miary „astronomiczny” kapitał sześciuosobowej rodziny Korzeniewskich równałby się ćwierci tony kartofli — produktu w Rosji stosunkowo najtańszego. Jak zobaczymy dalej, cena kartofli w istocie była wyższa — po 54 rb.)”.

27 września, 1941. Oczekiwanie na pociąg się przeciąga. Pod wpływem wieści o trudnościach aprowizacyjnych, wszyscy chcą jechać dalej, na południe. Nikt dobrze nie wie, czy na tym południu nie będzie jeszcze gorzej ale nędzarzy przeraża zbliżająca się zima. Mąż Oli wyrusza w szerokim promieniu, aby sprzedać futerko Jurka, bluzkę Antosi i wielki czarny szal, chce zdobyć pieniądze na bilet kolejowy na południe. Ten wielki czarny szal, który teściowa Oli, kiedy siedzieli zamknięci w wagonie na peronie lwowskim, kupiła w ostatniej chwili od zakonnicy — ten wielki szal ma poczesne miejsce w pamiętnikach. Wiem na pamięć, jak był wielki i gruby i ciepły i puszysty i jak się ogromnie podobał gospodyniom sowieckim, bo był czarny i że za taki szal powinno by się na stosunki sowieckie żądać 2500 rb.; oni już go gotowi byli oddać za 250 rb. ale nie mogli go zbyć. We wszystkich ważniejszych momentach życiowych od czasu zwolnienia z przymusowych robót, kiedy cokolwiek się dzieje — zbiórka informacyjna, przyjazd sowieckiego dygnitarza, wypłacanie awansów, nagły wyjazd na przystanek kolejowy — męża Oli nie ma. Pamiętnikarka z całym poczuciem ważności jego nieobecności komunikuje: „Henusia właśnie nie było, bo poszedł sprzedawać szal”.

W beczynnym tygodniowym oczekiwaniu na pociąg, uskarża się pamiętnikarka na konieczność ciągłego obcowania w zbitym i nieszczęsnym stadzie ludzkim. I jak przedtem przez pamiętnik przewijały się przepisy kulinarne — tak nagle teraz — widzę starannie wypracowany plan własnej willi sześciopokojowej. Co najgorsza — nawet z takimi wymysłami jak oszklony balkon, w którym by hodowały się rośliny. Jak — kominek!

Ma jednak rację władza sowiecka, że niezmiernie ciężko jest „pierekować” (przekuć — termin powszechnie używany w załganej deklaracji o przerobieniu więźnia na nowe życie. Uwaga: sam zbytnio ulegam wrażeniu, czytając te pamiętniki, do tego stopnia, że poczynam się posługiwać niewłaściwą terminologią; rodzina Korzeniewskich, to nie byli więźniowie, nie mieli żadnego wyroku ani nawet zsyłki administracyjnej tak powszechnej w Rosji. To byli — „wolnoosiedleńcy”).

27 września, 1941. „Od wczoraj wieczorem stoimy na głowie. Zawiadomiono nas o 11-ej w nocy, że na rano będzie wagon, jeden na 60 osób. Henka nie ma — poszedł sprzedawać szal. Ci co wrócili z Krasnoufimska, mówią, że zamierzał zostać na jutro, bo jutro jest „wychodny dzień” w Krasnoufimsku i dopiero będzie prawdziwy targ.

„Dzisiaj odmówiono nam chleba”.

28 września, 1941. „Jesteśmy zarośnięci brudem. Stoimy już 24 godziny na stacji — nie mamy pojęcia, kiedy nas przyczepią do jakiegoś pociągu. Ale przez to się Henuś znalazł. Szala nie sprzedał. Przywiózł okropne wiadomości. Wszyscy nieszczęśliwi „wolni” Polacy czekają tygodniami po stacjach kolejowych. Keszenbergowie postanowili zrezygnować z podróży i zostać na miejscu”.

1 października, 1941. Chrompik koło Pierwouralska. „Jechaliśmy owe 80 klm. — trzy doby. Odstawiano nas na skrzyżowaniach na całe godziny. Pozwolono nam kupić po 40 dkg. chleba na osobę.

W Pierwouralsku można zdobyć pracę w lesie. Ale pud kartofli kosztuje 54 ruble. W całym Pierwouralsku obecnie można zdobyć tylko dwa artykuły, po które ustawiają się w kolosalne ogonki ludzie zaraz po przyjeździe z

pracy, aby na rano, po otwarciu sklepu, móc mieć nadzieję, co dostać. Jeden ogonek jest po mięso końskie, drugi — po miód. Konina po 10 rubli za kilogram, miód po 30 rb., ale miodu już podobno nie ma.

Mamuchna z Hanką poszły sprzedać szal. Najbardziej się boję, że znowu nie zdecydują się sprzedać tej ostatniej rzeczy za grosze i że nie będziemy mogli jechać dalej i zostaniemy tutaj”.

3 października 1941 r. — Chronyńk. „Stoimy tu na stacji już trzy doby. Większość czasu spędzamy na naszej pryczy na trzecim piętrze, bo gdzie indziej miejsca nie ma”.

7 października 1941 r. — Swierdłowski. „Już trzecią dobę stoimy na stacji w Swierdłowsku”. Okazuje się, że szala nie sprzedano ale „na szczęście” Rada Miejska Chronyńka wystąpiła do władz z protestem, z zaświadczeniem na piśmie, że w Chronyńku miejsca nie ma. Wobec tego przepchnięto ich do Swierdłowska — przestrzeń 40 kilometrów, oddzielających Chronyńk od Swierdłowska — jechali 12 godzin. Pozwolono im wyjść na Swierdłowsk — dawny Ekaterynburg, bogate miasto carskiej Rosji. Było to w ogóle pierwsze większe miasto rosyjskie, jakie widzieli. Na głównej ulicy rzuciły im się w oczy na wystawach sklepów zwoje kiełbasek, bochenki białego chleba, sery szwajcarskie... I żadnych ogonków? — Okazało się, że są to makiety z *papier-maché*.

Znowu upadła nadzieja: przedstawiciel władz polskich, recydujący w Swierdłowsku, został wydalony. O tym rządzie polskim, o tym wojsku — skąpe dochodzą wieści przez gazety rosyjskie. Wezwania do wstępowania do wojska... Ale jak?...

Tymczasem nowa katastrofa — brzemenna Ola nawiedzona została idiosynkrazją do kartofli. Są one jedynym produktem żywienia na równi z chlebem, który mają nie co dzień. Po zjedzeniu kartofli niezwłocznie następują torsje. „Tak bym nie chciała stracić mojej słodkiej nadziei”...

17 października, 1941 r. — Orenburg. Ponieważ i Swierdłowsk zaprotestował przeciw przyjmowaniu polskich wygnańców, więc znowu ich posłano dalej bez obowiązku kupowania biletów.

W Czelabińsku mieli czekać, aż zbierze się partia 800 osób. Tymczasem bez żadnej zapowiedzi pociąg ruszył, zostawiając na stacji 23 osoby, przeważnie młodzież, która poszła starać się o jedzenie. Rozpacz matek nie było granic. Przyszedł na szczęście z pomocą nieporządek. Wagon z naszymi wygnańcami gdzieś odczepiono po drodze jako „mylnie skierowany”. Pozostawieni przeważnie zdołali się czepiać idących pociągów i dołączali.

Okazało się, że kierują wygnańców do Orenburga.

„Wlekliśmy się odtąd niemożliwie. Przystawaliśmy co 10, co 15 kilometrów i to na kilka godzin. W końcu, staliśmy dwie doby na niewielkiej stacyjce wśród bezkresnych stepów, bo zapomniano o naszym odczepionym wagonie. Wreszcie wyruszyliśmy z kopyta i tak dojechaliśmy do Orenburga bez możliwości zakupienia czegokolwiek — jak okręt-widmo (ta podróż „z kopyta” między Swierdłowskiem a Orenburgiem trwała 8 dni p.m.)”.

18 października 1941 r. Orenburg ich nie przyjął, skierowano ich do Taszkientu. „Ostrzeżono jednak, że do chleba ani żadnej żywności w drodze nie mamy prawa. Ostatnia nadzieja na sprzedanie ciepłych rzeczy rozwała się niespodziewanie. Mamy na siedem osób 50 rb. i po 40 gramów chleba w zapasie. Co to będzie?”.

22 października 1941 r. „Wciąż jedziemy... Pierwsze dni jazdy były tragiczne. Nie jedliśmy przez pierwsze dwa dni niczego. Rozpacz zaglądała nam do serc. Pociąg przeżywał jak błyskawica przez stepy a co gorsza — przez stacje. Od dwu dni zaczynamy łapać to kawał przesłonego sera owczego, to przedrobie mięso wielbłądzie, a najczęściej kawony.

Choruję okropnie na nerki. Wstrząsy wagonu są niewypowiedzianą męką. Czasami wyję z bólu”.

24 października 1941. Taszkient ich nie przyjął. Skierowano ich do Wrewska. Ale Wrewek ich nie przyjął... „Nikt nie wie, czy nie chce nam powiedzieć, gdzie jest miejsce naszego przeznaczenia. Dojechaliśmy obecnie do Samarkandy. Ale i tu zabroniono wysiadać... Pieniądzy nie mamy. Jesteśmy niestłuchanie głodni. Mama sprzedała mój śliczny sweter za 50 rb. Biedna okropnie się denerwowała

— musieliśmy wszyscy zapewniać, że to cudowna transakcja”.

To była ostatnia strona pamiętnika. Świt wsączył się do numeru hotelowego. Odsunąłem mustikierę — pamiętnik upadł na podłogę. Wypadła z niego — biało-amarantowa wstążeczka — pamiątka tego dnia nadziei, kiedy ochotnicy przypięli sobie takie wstążeczki. I fotografia niemowlęcia — tak, to Ewunia, córeczka pozostałej pod niemiecką okupacją siostry Krysi, której męża zabito. I jeszcze dwie kartki na szarym sowieckim papierze, blade pisane ołówkiem. Jedna — to „sprawka” od nadzorcy o przepracowanej robocie. Druga — to kartka od Hanki: „Kochana Olu! Przy okazji przysyłamy trochę jedzenia. Jutro będzie znów. Olu — lekarz mówił, żebyś dobrze się odżywiła, toteż prosimy Cię, żebyś to, co dostaniesz, zjadała od razu. My będziemy się starali zawsze coś dostać”.

Data na kartce niewoli była zamazana. Daty na kartce miłości nie było. I już dalej nie było nic wiadomo o losach pamiętnikarki, która w tym swoim pamiętniku pod datą 29 sierpnia 1941 r. zapisała: „Myślę, że z tego pamiętniczka będę czerpała niejedno dobre natchnienie”.

Wiedziałem już — że z tych marzeń nie spełniło się nic. Że zmarnowały się zbierane przepisy kuchenne. Że zielono malowany garczek i pieprzniczka, kupione na zadatek nowego życia, kiedy poczuła płód pod sercem — nie stały się zaczątkiem sześciopokojowego własnego, słonecznego domku.

Opowiadanie Hanki

Nazajutrz byłem już od rana w świetlicy Czerwonego Krzyża. Uzyskałem zwolnienie Hanki. Kiedy jadłem pierwsze śniadanie, zwróciłem uwagę, że porcja masła jest niebywale duża, że Czerwony Krzyż źle kalkuluje, że przy tych cenach dając takie porcje będzie miał deficyt.

Dziewczyna kręciła się zakłopotana, aż wreszcie musiała wyznać, że idąc z miasta, kupiła dla mnie to masło. Kompleks głodu, waga najprymitywniejszego zadania — nasycenia się — ciążył jeszcze nad nią. Ola w swych pa-

miętnikach marzyła, że kiedyś, na swobodzie, będzie gościom dawała suchy chleb, odmrażany, rozmaczany i przysuszany na patyku — głód jej kazał wierzyć, że jest to wybitny delikates. Żołnierze przyjeżdżający z Rosji, kupowali w piekarniach po kilka chlebów — na zapas, nie wierząc podświadomością silniejszą niż logika, że jutro w tym samym miejscu będzie znowu świeży chleb.

Hanka wie, że chodzi mi o szczegółową relację. Hanka otrzymała moje wielokrotne zapewnienia, że mnie historia życia ich rodziny wzrusza i boli, że nie jestem obojętnym słuchaczem. Hanka wie, że tu chodzi o dokument — o jeden z tych tysięcy krwawych dokumentów, mówiących o śmierci, o męczarniach setek tysięcy ludzi, dokumentów, które trzeba będzie rzucić w twarz temu naiwnemu światu, okłaskującemu na ekranach każde pojawienie się Stalina.

Hanka jest wierząca, Hanka jest gorącą patriotką, Hanka jest całkiem z kultury zachodniej, a przecież w jej opowiadaniu nie spostrzegam tonu głębokiego oburzenia. Relacja jej jest ponura jak wschodni kismet, czasami po prostu się zdaje, że uważa za rzecz naturalną fakt, iż człowiek nie ma żadnych praw.

To jest w jej matowym toku opowiadania najstraszniejsze. Zwłaszcza dla Polaka, który czuje, jak z łądu Eurazji idzie obezwładniająca fala niewolnictwa.

A więc — zawieziono ich aż do Samarkandy, do kraju, który długi czas był na skraju ważenia się wpływów Anglii i Rosji — jak teraz Persja. Aż w 1842 r. za poduszczeniem Rosji emir Nasrullah uwięził i zamordował towarzyszy rozrywki rosyjskiego posła — pułkownika C. Stoddarta i kapitana A. Connolly'ego. Potem już poszło łatwo i kraj ostatecznie zagarnięty został przez Rosję jako protektorat (nomenklatura totalistów, jak widzimy, istniała już na długo przed wkroczeniem von Neuratha jako Protektora Czech) Chiwy i Buchary.

Kraj ten musiała po raz drugi Rosja podbijać w 1921 roku, zgniółtszy opór Enwera-Paszy. Obecnie — to, co carscy urzędnicy nazywali protektoratami, bolszewicy nazywali — Respublikami. Samarkanda jest stolicą Respubliki Uzbekiej.

Pędzona przez światy rodzina Korzeniewskich wiedziała z tego wszystkiego, że na niebie miedzianym nie ma ani

jednej chmurki a na spłowiałej ziemi — ani jednego bochenka chleba.

Wyrzucono ich na plac nadrzeczny, jak drwale zrzucają na spław pnie ściętego drzewa. Gdy przyjechali — na piasku nad rzeką Amu-Darią konało w dzień z upału i trzęsło się nocą z zimna ponad tysiąc polskich wygnańców. Pociągi dowoziły dalszych.

Mętna Amu-Daria, starożytny Oxus, toczyła swoje wody gdzieś z Pamiru, z jakichś niebotycznych wzniosłości. Tu po tych wzniosłościach został tylko prąd ale rzeka już była rozlana szeroko, brudna i pełna mielizn. Szeptano, że zostaną wysłani w dół tej rzeki — na północ, ku morzu Aralskiemu, w stepy jałowe, gdzie tylko przy brzegach Amu-Darii zalegają płaszczyzny bawełniane. Przed półtora wiekiem na pola bawełniane Luizjany wieziono porwanych Murzynów, ale świat zaprotestował i ostatni okręt niewolników zakończył swój rejs przed stuleciem.

— Rozdawano nam chleb — mówi z uznaniem Hanka — ludzie nabierali otuchy: skoro rozdają chleb, to zapewne nas wiozą za wiedzą NKWD.

Jakże niedawno cieszyli się, że polscy „amnestiowani” (od czego? p.m.) wygnańcy zostają wyłączeni spod opieki tej straszliwej instytucji.

Wreszcie któregoś dnia holownik przyciągnął cztery barki.

Włóczono na każdą po siedmiuset wygnańców z Polski. Holownik ruszył w dół rzeki, ku morzu Aralskiemu. A więc domyślali się, że do bawełny, że do Karakalpakstanu. Usta z trudnością wymawiały trudną wschodnią nazwę. Dzieci płakały. — Starcy rżęzili, stłoczeni w kątach przy burcie, gdzie im starano się zrobić rezerwaty.

Trudno opisać cierpienia, jakie powodują ciągle skurczone nogi. Bezwładne stłamszone kadłuby ludzkie pokrył żółty dywan wszy. Barki były holowane po dwie w jednej linii — dwie więc szły naprzód, dwie z tyłu. Ci z przednich barek mogli czerpać z rzeki szlamistą wodę, ale ci z tylnych musieli czerpać ją wraz z ekskrementami 1400 jadących przed nimi osób.

Następnej nocy nagle skonstatowali że hol ich barki został złuzowany, że barka została. Krzyki nic nie pomagały — statek z pozostałymi barkami oddalał się i znikł. Enkawudziści pochowali się.

Było jasne, że barka jest odczepiona celowo. Ale co będzie dalej?

Gdy zaświtało — wyłonił się niski mokry brzeg, pokryty nieznanymi krzewami.

Poczęli wychodzić na brzeg — nikt nie bronił. Krzewy okazały się obciążone jakimiś dużymi owocami. Ktoś wiedział, że owoce nazywają się „dzida” i są jadalne. Były mączyste i słodko-mdłe z pestką w środku wielkości daktyla.

Kiedy już zrobił się dzień, posłyszeli niesamowity skrzyp. Od środka ładu ciągnęła cała karawana arb — wózków krajowców na ogromnych dwóch kołach dwumetrowej średnicy, o drewnianych osiach; koła były nie okute, tylko nabijane gwoździami.

Na wozach siedziały dzikusy, którym ledwo widać było oczy spod ogromnych czap futrzanych; jedna czapa była robiona ze skóry całego barana. Dzikusy nie umiały mówić po rosyjsku; wskazywali gestami, aby ładować rzeczy na arby, że to niedaleko, że to zaledwie trzy kilometry.

Resztki poczucia praw osobistych tłukły się w ludziach: przecież nigdy w ogóle nie mieli wyroków ani zsyłki administracyjnej jak tylu innych Polaków, a od czasu umowy z rządem polskim byli obywatelami alianckiego państwa. Chcieli wiedzieć, gdzie są wysyłani. Dowiedziawszy się, że osada nazywa się Szabas, wysłali do niej delegację.

Słońce wschodziło coraz wyżej i prażyło niemiłosiernie. Dzikusy obojętnie porozsiadali się na ziemi. Dzieci płakały, nikt dziś nie wydawał chleba. Dzikusy pokazywali na usta, że w osadzie jest przygotowane jedzenie.

Kiedy delegacja nie wracała — ruszyli do tej osady. Był to jakiś punkt lokalnej administracji; był przy nim szpitalik, do którego odesłano natychmiast wijącą się z bólów Olę.

Istotnie zastali przygotowany kocioł z kaszą. Po posiłku poczęto ich rozsyłać po kołchozach jako siłę roboczą do bawełny.

Rodzinnie Korzeniewskich udało się otrzymać lepiankę, w której przedtem mieściła się szkoła.

Rozpoczęła się praca na polach bawełnianych. Jakże wiele ten biały, niewinnie wyglądający puch może zadać cierpienia nienawykłym palcom... Pracowało się w okropnej spiece. Norma wymagana — 30 kg. na osobę dziennie.

Chleba — tego jedyne i podstawowe produktu, którym, poza kartoflami w pewnych porach, odżywia się Rosja — nie było. Jadło się podpłomyki z „dżugary”, słodkiej maki jakiejś rośliny w rodzaju kukurydzy.

Białe pola bawełny w palącym słońcu...

Od świata dzieli mętna Amu-Daria, szeroka na kilometr. W Polsce ich uczono, że Wisła jest trzecią rzeką w Europie. (W Polsce mówiąc „Europa” nigdy nie uwzględniało się Rosji). A tymczasem ta trzecia rzeka w Europie miała 1.000 km. długości a Amu-Daria, jedna z licznych, ma dwa i pół tysiąca kilometrów. Wszystko tu jest w innych wymiarach, jak w krainie Guliwera. Tu już, odcięta Amu-Darią, leży „Mavera-un-Nahr” — kraj za Amu-Darią.

Ludzie niemi w swoim gardłowym języku, patrzą jak ryby głębinowe; przez nich też szła wielka fala cierpienia a przecie dusze ludzkie na wszystkich szczeblach są jednakowe.

— Czy w Polsce są „kołchozy?” — można wyrozumić z okrzyków „kołchoz”, pytania w oczach i gwałtownej gestykulacji.

— „Jok, jok” — „nie” zaprzeczają energicznie Polacy.

Ci odmienni tajemniczy ludzie z głębinowego świata rzucają się do rąk Polaków, całują te ręce...



W Samarkandzie zdarzył się taki fakt. Później już, o wiele później, kiedy dzieje rodziny Korzeniewskich były definitywnie skończone i przypieczętowane — pojawiły się w Samarkandzie oddziały formującego się wojska polskiego.

Z żywnością było źle, ale fantazji nie brakowało tym żołnierzom odradzającym się z nędzarzy. Pojawili się trębacze.

Trębacze zrobili nieoczekiwane wrażenie. Do dowódcy zjawiła się delegacja starców w pasiastych chałatach z kolorowymi krymkami na głowach, z tłumaczem rosyjskim.

Obyczajem wschodnim — nie można się pytać o cel przybycia. Siedzą w koło, ciągną z filiżanek ofiarowaną herbatę. Pytają o żony, o dzieci; stare jak świat konwencjonalne pytania wschodu, cytowane z uśmiechem przez

podróżników, tutaj jakże tragiczną mają wymowę! Bo ci wojacy nie wiedzą przeważnie, gdzie są ich żony i dzieci, a często je świeżo utracili.

Wreszcie — wychodzi sprawa:

— Zagrajcie w piątek wieczorem przed naszym meczetem...

Uśmiechnął się pod wąsem dowódca: że to — polscy żołnierze będą kulturtraegerami na Wschodzie, że się tym pocziwcom muzyki na skwerze zachciewa... Co by im zagrać? No, już się tam coś wybierze... raz coś zawodzącego wschodniego a raz obertasa na odwyrtkę...

Ale goście mają jakieś życzenia co do programu muzycznego. No, proszę...

...żeby jeden żołnierz grał na trąbce. Jeśli wojsko polskie chce, żeby grali wszyscy, owszem, oni nic przeciwko temu nie mają... Ale oni tu przyszli prosić, żeby jeden grał na trąbce i żeby grał to, co kiedyś przerwał, kiedy oni byli w Lechistanie i ustrzelili trębacza na wieży świątyni w czasie grania...

War uderzył do głowy słuchającym oficerom. Każde dziecko to wie, że od siedmiuset lat hejnał grany na wieży kościoła Mariackiego, hejnał grany co dzień o godzinie dwunastej na wszystkie cztery strony świata, urywa się nagle na najwyższej nucie. To na pamiątkę tego najścia Tatarów w wieku XIII-ym, kiedy strzała tatarska przeszła trębaczowi gardło w czasie grania hejnału. Ludność, według legendy, pod przewodnictwem cechu „włóczków”, tzn. flisaków, ten napad odparła i od siedmiuset lat w rocznicę odbywa się po ulicach miasta barwny pochód „lajkonika”, gdzie członek tej samej rodziny, która wówczas przewodziła włóczkom, przebrany za Tatarzyna z ogromną trefioną brodą, włożony w makietę wspaniale przybranego konia, którą opływa średniowieczny „kropież” — barwna opończa do ziemi, tak, że nóg dźwigającego tę makietę nie widać i sprawia wrażenie, że harcuje na koniu — uwija się na czele barwnej świty po ulicach, tłukąc przechodniów ogromną buławą.

Każde dziecko wie o tym w Polsce. Siedemset lat... Nie wiadomo już, co legenda, a co rzeczywiste zdarzenie. A tu oni?

„Oni” też mają swoją legendę, związaną z tym zdarzeniem, która powstała w czasie odwrotu i klęski. Z nie-

zdarnych słów ich starszyny, ze stękania tłumacza można wyrozumieć, że ich kapłani wytłumaczyli klęskę tym, że zastrzelono „polskiego muezzina”, wzywającego do chwaleń Boga. Że czasy sprawiedliwości są ciężkie. Że nie przeważa się zadośćuczynienia, nie będą miały ludy nad Amu-Darią pokoju ani wolności, dopóki trębacz z Lechistanu nie odegra tego samego hejnału w Samarkandzie.

Poradlone twarze starszyny prześwietlają się uśmiechem:

Myśleliśmy, że przyjdziecie jako wrogowie... a ot, Allah, niech będzie pochwalone imię Jego, sprawił, że zdejmiecie klątwę tego czynu z nas jako przyjaciele.

W oznaczony dzień stanęli trębacze kolorowo i buńczucznie, z fanfarami, z „płomieniami” przy świecących trąbach przed turkusową kopułą Bibi-Khanum.

Wypełży z ubogich lepieńców, stał tłum milczący i nieruchomy. A kiedy hejnał wspiął się na najwyższą nutę i zamarł — tłum przebiegł dreszcz jakby dopełniło się siedemsetletnie przeznaczenie i pękł urok.

2-go grudnia. Ola, leżąca w szpitalu w Szabasie, dowiedziała się, że pojedzie transport z powrotem w górę Amu-Darii, rzekomo na skutek interwencji władz polskich, które obejmą opiekę. Jak zwykle w Rosji — kazano wyjeżdżać natychmiast a kto nie zdąży, ten zostanie przy bawelnie. Ola dała tuziemcowi obrączkę złotą, dwa bochenki chleba częściowo oszczędzone, częściowo wyskamlane i 150 rb., otrzymanych ze sprzedaży ostatniego łącha. Dała jednym słowem wszystko, co posiadała, aby tylko zawiózł rodzinie kartkę z wiadomością, że mają natychmiast przyjeżdżać. Wydobyła też z „reispolkomu” (zarządu gminy) i przysłała kartkę na danie przez „kołchoz” podwoły pod rzeczy.

Wodostan o tej porze był niski, więc przysłano im „barzę” płaskodenną, niską, płytką, krytą brezentem. Jak pływający grób...

Barza jednak nie mogła wziąć ludzi, tylko bagaże. Ludzie mieli przebyć 40 kilometrów, gdzie rzeka się zwężała i stan wody był lepszy. Ola błagała, by ją zostawić. Trudno było patrzeć na jej cierpienia.

Kiedy wtoczono partię pod brezent — leżała w niej miazga ludzka nie reagująca na wszy, na brak jedzenia,

na odrętwiałość nóg i na coraz częstsze śmierci wśród siebie.

W udręczonej półprzytomności tliło jedno pytanie: jeśli ich wysadzą na brzeg przeciwny od dawnego obozowiska, po stronie zachodniej — może i prawda, że tu jest kontakt z władzami polskimi, że pojadą do Persji, pod opiekę swoich, gdzie otrzymają pomoc aliantów. Ale jeśli po stronie wschodniej... Już stały brudne czerwone skrzynie śmierci, towarowe wagony dla przewożenia materiału ludzkiego, cuchnące otworami wyciętymi w podłodze, robaczywe i ponure.

„Sadis!”... (siadać!).

Wtłoczyli się... Może znowu będą jechać miesiąc, może dwa... Może czerwonemu caratowi zbrakło akurat niewolniczego mięsa w tundrze pod kręgiem polarnym?

Biedni, bezwolni ludzie...

Ale ich wyładowano o kilkadziesiąt kilometrów na wschód, w miasteczku Kara-Kul, które należało do Oblaści Bucharskiej.

Ola została w szpitalu, jeśli tak można nazwać te miejsca, w które zwałają chorych. Rodzinę Korzeniewskich wysłano do pracy do kołchozu „Woroszyłow”. Jak wiadomo w Rosji Sowieckiej istnieje oryginalny zwyczaj nazywania miast, ulic i skwerów imionami żyjących ludzi, jak również stawiania im pomników. W tym względzie, o ile mi wiadomo, mógł z republiką Sowietów konkurować tylko były Szach, który postawił sobie za życia kilkadziesiąt pomników, z czego pięć w samym Teheranie. Pisarz rosyjski Katajew w swojej powieści „Defraudanci” pisze, że w pewnym mieście prowincjonalnym nazwano muzeum, główną ulicę, skwer i park miejski imieniem jakiegoś wybitnego towarzysza Iwanowa, który jednak potem „przekradł się”. Ponieważ wydobywanie nowych tabliczek emaliowanych nastroczało trudności, a poza tym obywatele przywykli do tych nazw, więc ograniczono się na domalowaniu literki b. na każdym szyldziku. „Ulica byłego towarzysza Iwanowa”.

Kołchoz „Woroszyłow” był odległy od stacji 5 klm. i 8 klm. od miasteczka, w którym leżała Ola.

Rodzina Korzeniewskich ulokowała się w lepieńcu z gliny. Nie było w nim najmniejszego sprzętu, tylko przez

całą długość biegła ogromna nara drewniana, zostawiająca jedynie wąskie przejście wzdłuż ściany.

Uważając, że sześciu osobom będzie za luźno, dodano im na mieszkanie niejakiego Prokopa, chłopca z Lubelszczyzny, z tej właśnie prowincji Polski, do której wyniszczenia zabrał się bratni niemiecki totalizm w 1943 r., otaczając kraj kordonem, porywając ludzi do roboty, niszcząc fizycznie starców i słabe dzieci w obozach śmierci i wywożąc wyrwane matkom wybrane fizycznie dzieci do sierocińców w głębi Niemiec.

Praca była tego rodzaju, że całymi tygodniami nosiło się nosidłami po dwie osoby ziemię z jednego końca pola w drugi. Hanka nie umie objaśniać, po co to było potrzebne. Świadczy to tylko o tym, jak daleko w dusze ludzkie zapuściło korzenie niewolnictwo pracy.

Płaca teoretycznie wynosić miała na osobę pracującą pół kilograma mąki dziennie, w której było 50 procent jakiejś domieszki. „Żywnienie” tzn. niepracujący miał otrzymywać 300 gramów dziennie. W gruncie rzeczy tragedia uralska miała tu się powtórzyć w silniejszym jeszcze stopniu. Mąki nie dawali prawie nigdy. Czasem dawali po 300 gramów ziarna na osobę.

Zaczyna się straszny głód. Tłum uzbecki naokoło jest kompletnie wrogi. Któż może wiedzieć, co powiedziano tym ludziom?

Jest przeraźliwie zimno. Prokop poczyną z gliny lepić piec. Nigdy tego nie robił. Spartolony komin wypycha z powrotem do wnętrza kłęby dymu. Powstaje pożar, który ledwo ugasili. Zebrał się tłum uzbecki, grożąc, że ich rozszarpie.

Boże! — co też ci ludzie sobie wyobrażają? Żeby wiedzieć... Żeby wytłumaczyć...

Po dwóch tygodniach pobytu w kołchozie, na samo Boże Narodzenie, przywiózł Uzbek skrzypiącą arbę Olę ze szpitala. Szpital zdecydował, że nie może jej trzymać, więc ją odesłano, a ponieważ był „wychodny dzień” i nie można było odebrać jej ubrania — odesłano ją owiniętą w koc, który kazano Uzbekowi zabrać z powrotem.

Ola jęcząc, przy pomocy matki wdrapała się na prycę. Zbliżała się wilia. Wrócił ojciec, który ostatnimi dniami chodził jak cień, z garstką kaszy. Matka spytała, skąd ją zdobył. Wobec bojkotu ludności niczego nie można było

dostać. Długo czas nie mówił nic. Wreszcie pokazał na rękę, na której nie było obrączki.

Złoto nie miało żadnej wartości w Uzbekistanie, nic więc dziwnego, że za obrączkę Korzeniewski dostał nieco kaszy. Niespodziewanie przekonali się, że bardzo są poszukiwane różne świecące guziki. Mieli ich trochę. Rozpoczął się każdym guzikiem zajął handel. Każdy sprzedany guzik, to był targ o własne życie.

Nic nie pomaga. Jest jasne, że targ jest przegrany.

U 58-letniego Korzeniewskiego następuje szybki zanik mięśni. Przestaje chodzić na robotę. Przechodzi do kategorii „żywieńców”.

Matka „poderwała się” w robocie. Nastąpiło osunięcie się macicy. Stara się robić po domu. Jest „żywieńcem”.

Ola leży i jęczy. I ona nie chodzi na robotę.

Mały Jurek też jest zaliczony do kategorii „żywieńców”, chociaż spala się chęcią pomóżenia rodzinie. Ale ustawy sowieckie są liberalne; nie można zatrudniać małoletnich.

Antosia ma prawo i zarazem obowiązek pracy — ale to wisi na nitce. Przestała panować nad sobą. Pod pozorem handlu guzikami lata po wioskach i opowiada Uzbekom po polsku, jak to w Polsce było.

Nastrój — jak w łodzi podwodnej, której się wyczerpały akumulatory, która nie wypłynie... Cóż poradzą ci trzej — ten twardy chłop z Lubelszczyzny, na którym skóra wisi na kościach jak materiał na strachu na wróble — ten były podchorąży, zdający sobie sprawę z tego, że mu żona umiera i nie umiejący nic poradzić — ta osiemnastoletnia dziewczyna, słaniająca się na nogach, z rozpaczą patrząca na konanie ojca, matki i siostry, na płonące gorączką głodową oczy młodszego braciszka?

Cóż poradzą, biorąc świtanie ciężkie motyki, zwane na wschodzie „turje”, tutaj „ketmany”, aby kopać ziemię i nosić, kopać i nosić...

Wkoło stoi wieś szara, martwa, za lepionymi murami bez okien.

Gotują w wodzie — makuchy wytłoczone z ziaren bawełny. Kiedy Hanka podaje matce kubek z nakruszonymi makuchami, matka długo ją gładzi po głowie i mówi cichym głosem:

— Kiedy umrę — pamiętaj o dziecku...

Dziecko — to Jurek.

I teraz jeszcze czasem coś się zdarza. Jest bardzo zimno. Uzbeki w porze letniej porobili zapasy uschłych łodyg bawełnianych. Ale rodzina Korzeniewskich ich nie ma. Więc ci, co mogą chodzić, w godzinach po skończonej robocie idą do miejsca odległego o trzy kilometry, gdzie są zostawione suche badyle. Pewnego razu jakiś Uzbek uderzył Prokopa za to „ketmanem” w pierś. „Ketman” zadał ranę, ale zleciał z trzona i Prokop go zatrzymał jako zastaw, grożąc, że poskarży się władzy. Władzy Uzbeki bardzo się boją. Dla załagodzenia i wykupienia „ketmana” dali owcę zdechłą przy porodzie. Było jedzenie.

Pewnego razu, w końcu stycznia, wlaź do lepieńca jakiś bezdomny parszywy psiak. Spojrzał kaprawymi oczami na ludzi szukając ratunku przed śmiercią głodową. Henryk z Jurkiem wymienili prędkie spojrzenia. Hanka z matką wyszły za drzwi.

Odtąd — polują na psy i koty — zwierzęta nieczyste w pojęciu Uzbeków. Lepieniec stojący za wsią — otacza powszechna pogarda. Spluwają przechodząc koło miejsca, w którym siedmiu pariasów czepia się życia.

Trudno jest, będąc szpiegowanym przez wszystkie dzieciaki wsi, polować na psy lub koty. Więc w „wychodnoy dień”, (który już nie może tak ratować jak na Uralu, bo nie ma ani grzybów, ani malin, ani ryb, ani nawet pokrzywa w tej ziemi przeklętej nie rośnie) Hanka chodzi z Jurkiem pod odległy o osiem kilometrów Kara-Kul i dzieci zasadzają się na własnającego psa. Następuje obrzydliwa scena przywabiania pieszczotliwymi słowami zwierzęcia, które zbliża się z ufnością. Zabite zwierzę dzieci pakują do plecaka, aby nikt nie poznał co niosą.

Ale te dziecinne bohaterstwa, te słabe dziecinne ręce nie mogły już postawić tamy wypadkom.

Dziesiątego lutego ojciec traci przytomność. Kona dziewięć dni. Kiedy przychodzą godziny przytomności, jest taki jak dawniej, jak w Katowicach... Oczy promienieją dobrocią. Wróciła troska o byt najbliższych, poczucie przynależności rodzinnej. Matka stale siedzi przy nim. Nie puszcza jej ręki. Jest to niestety, jedyny środek uspokajający, jedyne lekarstwo, które mu dać może.

Dziewiętnastego lutego, jak zwykle wieczorem, leżeli

bezwładnie na tej długiej jednej pryczy. Palił się, jak zwykle, kaganek bez klosza. Kaganek koło dwunastej zgasł. W tej chwili posłyszeli westchnienie ojca. Kiedy zbudzili się rano, był już zimny. Zrozumieli, że to wtedy zapewne konał.

Trzeba grzebać...

Hanka biegnie do gminy. Nauczona doświadczeniem z „ketmanem” i ekspiacyjną owcą, grozi prawem, władzami, sama już nie wie czym. Muszą dać trumnę!...

Pomogło o tyle, że dali stare drzwi, zbyt krótkie, tak, że nogi zmarłego wisały. Ciało leżało bez wieka na tych za krótkich drzwiach na dwukołowej arbie, podtrzymywane przez rodzinę. Wyładowano je na wydmuchu odległym o trzy kilometry. Prokop wykopał płytki dół, zagrzebał, potem stanął nad grobem i wygłosił chłopskie, komiczne i wzruszające przemówienie.

Tak pierwszy zmarł — senior rodziny Korzeniewskich.

Hanka nerwowo grzebie w torebce. Podaje mi szary porubrykowany kawałek papieru. Jest to metryka śmierci wydana przez „sielsowiet” — urząd gminny. Metrykę podpisał lekarz, urzędujący w innej gminie, który chorego nie widział. W rubryce „przyczyna śmierci” wypisał — „głód”.

Każdy naród ma swoje ulubione wyrażenie. Amerykanie mówią — „Okey”, Anglicy „All right”. Te wyrażenia w uproszczonym skrócie oddają ducha narodu.

Naród rosyjski ma takie swoje słowo: „Oczeń prosto” (co dosłownie znaczy: „całkiem prosto” i ma sens: „zupełnie zrozumiałe, nie ma się czemu dziwić”).

Dlatego lekarz gminny w metryce wystawionej siłą wywiezionemu i bez sądu pozbawionemu życia obywatelowi „sojuszniczego państwa”, mającego już wówczas swoje poselstwo w Rosji, wypisał jako przyczynę śmierci — głód.

Oczeń prosto...



W początku marca pojechał do wojska polskiego Prokop.

Mąż Oli, podchorąży, snuł się z kąta w kąt. Kiedyś

na Uralu mówił żonie, że na pewno skończy wściekлизną. Teraz zdawał się bliski tego.

W połowie marca byli już opuchnięci z głodu. Matka powiedziała do zięcia:

— Idź...

— Ola czeka na kwiecień... — odpowiedział chrapliwie.

— Idź — przymknęła oczy — bo jeśliby ciebie kiedy spytali w Polsce, coś o tym czasie robił...

Na Uralu jeszcze mówili: „jeśli pytają...”. Tu mówiło się w trybie warunkowym. Przymierzali się do tej teoretycznej ojczyzny, której nie zobaczą.

Mąż Oli poszedł.

— Stąd nie dam ratunku, stamtąd może się da — powiedział Hance.

Od chwili pogrzebania Korzeniewskiego w tym dołku na straszliwym bezludziu, które bez reszty zawiąły piaski, bez księdza i ostatniej pociechy, bez obleczenia i bez trumny i bez ogrodzenia grobu — ogarnął Antosię strach przed śmiercią. Biega jak pies kilometrami po Uzbekach, skamląc o lepioszki (podpłomyki). Ale Uzbeki nie mają litości dla brudasów moralnych, pożeraczy psów i kotów. Strach przed taką śmiercią trzęsie Antosią. A przecież „tam” („tam” — oznacza zawsze Polskę) była członkinią Bractwa Dobrej Śmierci, miała w skrzyni suknię do grobu i gromnicę, miała gwarancję, że poprowadzą ją na miejsce wiecznego spoczynku białe ubrane członkinie Bractwa Dobrej Śmierci, że msza będzie śpiewana, ksiądz poprowadzi kondukt aż na sam cmentarz a na samym cmentarzu... na samym cmentarzu legnie sobie w pięknie opatrzonym grobie, kwiaty na nim będzie bractwo hodować i zawsze, czy za lat dwa czy za trzy dziesiątki gdyby kto przyszedł, tabliczka pod krzyżem powie wyraźnie, że tu leży Antosia taka to a taka, zmarła wtedy to i wtedy, opatrzona świętymi sakramentami i prosi przechodnia o westchnienie do Boga.

Antosia biegnie czasem na ów wydmuch, gdzie zasypano Korzeniewskiego. Stara się nawarstwiać, umacniać wzgórek piasku. Wypadający z wąwozów Pamiru wichery jednym uderzeniem niszczy jej śmieszna praca. Wówczas Antosia skrada się pod osiedla i kradnie rzodkiewki. Jeżeli Uzbeki złapią, zabijają bez litości karabszczuka (złodzieja).

Do pracy zostaje właściwie sama Hanka i ten Jurek, któremu jednak pracy w kołchozie nie dają, bo ustawodawstwo jest robotnicze i dzieci ochrania. Podobno też ochrania kobiety ciężarne... Ale na osiem dni przed porodem opuchła Ola, leży w wiecznych ciemnościach pryczy.

Hanka na opuchniętych nogach chodzi do pracy. „Ket-man” w opuchniętych rękach złości rany, które w rozdeptaniu przez puchlinę głodową ciele nie chcą się goić. Kiedy wraca z pracy, przygarnia Jurka. Wie, że jeśli się kto uratuje, to chyba on... Pamięta, co zalecała matka...

Kłęka z bratem i modli się. Stare słowa modlitwy są jak dobrze wypieczone pachnące chleby. Czasem po takiej modlitwie budzi się w opuchniętym Jurku dziecko:

— Pamiętasz, Hanka, jak gniewaliście się na mnie za strzelanie z procy w pokoju, gdzie stała ta meisseńska porcelana?... No i co — przynajmniej postrzelałbym sobie. Wszystko jedno... Niemcy wzięli.

„Wszystko jedno, postrzelałbym sobie” — Hanka patrzy na opuchniętego nędzarza w szmatach, mówiącego zachrypłym głosem, który nagle rewindykuje sobie prawa do dziecinnych psikusów.

Hance łyzy płyną po twarzy. Więc żeby przeciąć sprawę, każe bratu się modlić. Dzieci z trudem kłękają na popuchłych kolanach:

„Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzi-cielko! Naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach...”

Drży przed porodem, który się zbliża. Rozpoczyna się w Wielki Piątek w południe. Na tę chwilę już przedtem uprosiły i przygotowały lekarza — wygnańca z Polski pracującego o trzy kilometry. Siedział przy położnicy cały dzień i całą noc. Nad ranem powiedział, że kurcze zanikają. że trzeba wieść do szpitala.

Na szczęście jechała na stację dwukółka naładowana skórkami owczymi. Umieszczono Olę na szczycie tej góry ze skórek, Hanka szła koło wózka. Ledwo Olę wzięli — trzeba było odjeżdżać z arba na stację. Nie pozwolono jej zostać i wrócić piechotą, bo i tak traci dzień pracy dla kołchozu — niech pilnuje chociaż konia.

Jedzie więc z nim przed stacją; poszli pić — jej kazali pilnować konia. Przed stacją nie ma ani drzewka. Siedziała w skwarze głodna cały dzień.

Boże — co teraz z Olą? A co z Jurkiem, z mamą?...

Przed wieczorem przechodziła jakaś Rosjanka. Spojrzała na opuchłą twarz dziewczyny i pokiwała ze zrozumieniem głową. Poszperała w torbie, dała dwa sucharki.

Dziewczyna jeden sucharek jadła z nabożeństwem, rozcierając drobne okrucy językiem o podniebienie. — Drugi schowała dla Jurka...

Chwilę ją zdjęła pokusa: przecież ten Jurkowy sucharek na pewno był większy. Więc przecie, będzie sprawiedliwie, jeśli go wyjmie i odłame ten mały kawałeczek, który będzie stanowił wyrównanie. Zdjęła ją nagle trwoga. Poczuli skurczem szczęk, że wchłonięłyby cały sucharek. Zwinęła się całym ciałem nad tkwiącym w zanadrzu sucharkiem. Sprężeniem całego ciała walczyła z pokusą silniejszą, niż ona sama. Z tego napięcia pot ją chwycił i słabość; sucharek ocalał.

Wracali po ciemku; tubylcy ziejąc wódką, śpiewali jakieś swoje chrapliwe i zawodzące pieśni.

W domu Jurek zgotował zupę z narwanej w polu koniczyny; podobno to więcej syci, niż odwar z trawy.

Nazajutrz — musi iść do pracy. Więc matka, mimo, że już od dawna chodzić nie mogła — powlekła się tych osiem kilometrów, wybrawszy się za świtania, żeby jednak dojść.

Późnym wieczorem wróciła. Miała czarne usta, które poruszały się bezdźwięcznie. Hanka zrozumiała ten szelest słów:

— Wygnali mnie... Nie dopuścili... Chorych nie można odwiedzać... Służąca ze szpitala... zlitowała się... Powiedziała... Nie ma rezultatu...

Nazajutrz już niedziela — *wychodnoj dzień*.

— Haneczko — mówię — ależ to był pierwszy dzień Wielkiejnocy!...

Spojrzała na mnie wzrokiem, wracającym z jakichś dalekich przestrzeni:

— Tak — powiedziała z roztargnieniem — rzeczywiście. Nie uświadamiam sobie tego. Szykowałam się, żeby iść. Wieczorem „baba” — straszna czarna Uzbeczka, wbrew bojkotowi sprzedała mi lepioszkę. Zdobyłam lepioszkę dla Oli.

Świtaniem poszłam osiem kilometrów do szpitala.

Panie, pan nie wie, co to jest chodzić na opuchłych nogach...

Spojrzałem mimowoli na jej nogi. Miały kształt normalny, tylko powyżerane były wielkimi czarnymi plamami — śladami szkorbutu. Te „wizy sowieckie” zresztą miała większość przybyłych z Rosji.

Hanka zaczęła się, wyczekała chwilę i wślizgnęła się do izby, w której leżała siostra. Z zapuchniętej twarzy przez wąskie szczeliny patrzyły nieruchome oczy.

— Ola, czy dziecko rusza się w tobie?

Obrzmiałe wargi poruszają się bez dźwięku. Wreszcie — jakby z radiowego głośnika, kiedy się lampy nażarzą — dopiero dochodzi głos:

— Nie. Módl się, żebym umarła.

Rozległy się kroki. Hanka rzuciła na koc lepioszkę i czmychnęła. Za przekroczenie regulaminu wyrzuca się chorych ze szpitala.

Nazajutrz poniedziałek. Hanka musi iść do pracy. Powłokła się matka.

Wróciła po ciemku, przygarbiona, nosąc coś w plecaku. Jurek w nadziei, że to może żywność — podskoczył; otworzył plecak. Buchnęła woń trupia. Trup noworodka, niesiony dzień cały w straszliwym upale, rozłożył się.

„Ketmanami” Hanka i Jurek rozłupywali zeschnięty grunt. Matka nie mogła wyjść. Na pogrzeb ojca nie mogła wyjść tylko Ola. Głupie zagonione dzieci nie zmówiły nad tym ciałkiem nawet „Ojcie Nasz”.

Czy może im się to coś nienarodzone i cuchnące zdawało tak obce, tak nie człowiecze?

Czy może, tak jak zapomnieli Wielkanocy, tak opadało z nich wszystko ludzkie?

Jak pójść do Oli, kiedy jutro robota? Idzie jeszcze gdy jest ciemno, aby na rano na robotę na czas się stawić.

Jest jeszcze szaro, gdy się wślizguje do siostry. Cofa się, przerażona, że źle trafiła: na łóżku leży — kościotrup; w fałdach zwisającej skóry, ostro rysują się sterczące kości.

Ola zeszłego dnia powiesiła się na prześcieradle. Odcięto ją i odratowano. Dziecko wyszło martwe a spuchlizna opadła.

Szpital uważa, że już jest po porodzie i absolutnie grozi wyrzuceniem. Boże, przecież kołchoz nie da arby!...

Idzie z powrotem owych osiem kilometrów. Byle nie spóźnić się na robotę, byle ich nie zgniewać teraz, kiedy arba potrzebna.

Po drodze, jak zwykle, dzieci uzbeckie szczują ją psami. Zwykle miała wyrobioną metodę — chwyciła grudek ziemi i biegła w kierunku psa, który się cofał. Tak samo zrobiła teraz. Ale nie zauważyła, że z tyłu natarł drugi pies. Nie zdążyła się obrócić. Wpił się zębami w udo. Krwawiąc, doszła do domu. Rana potem nie goiła się tygodniami w niezdrowym ciele.



Gdzieś tam, z daleka, pełzła pomoc, o której nic nie wiedzieli. Po wybuchach radości patriotycznej na Uralu długi czas nie było niczego. Do wagonów widm, z których w biegu wyrzucano trupy zmarłych, do zawieszonych, zaduszonych brezentem i wszami barz, po rzekach azjatyckich, do kopalń węgla i złota, do „lesopowalów” w tajgach północnych, do zamulisk kanałów, kopanych w bagnach, do delt rzecznych zięjących malarią, do pól białej bawełny wżerającej się w poranione palce — do tych wszystkich „wolnych obywateli” czasem tylko jakieś niejasne dochodziły wieści przez gazety rosyjskie, gdzieś tam trąbki grały, maszerowały pułki i sypało się dużo, ile kto chce „corned beef’u”.

Potem znikli mężczyźni, dążący do wojska, tak jak w rodzinie Korzeniewskich poszli do wojska Prokop i mąż Oli. Tak było wszędzie. Rodzina Korzeniewskich była na południu — jej mężczyźni mieli niedaleko do wojska, bo koncentracja wojska następowała na południu. Ci co mieli do przebycia tysiące mil, ginęli rodzinom z oczu. O ogromnych ich ilościach wiadomo w rodzinach, że wyjechali i w wojsku, że nie dojechali.

Pomoc dla rodzin — nie nadchodziła. O wysiłku polskim i o trudnościach organizacyjnych — piszemy gdzie indziej. Wskutek tych hamulców pomoc przebiegała się o wiele wolniej, niż śmierć. W wyścigu ze śmiercią ta organizacja pomocy była poważnie handikapowana, kiedy śmierć miała wspaniałą dopping.

Przyszły wieści, że do miasteczka przyjechał przedstawiciel polskiej akcji opieki.

Inne rodziny polskie z sąsiednich kołchozów, mające w swoim składzie „żywieńców” mogących chodzić, skomunikowały się z nim wcześniej. Hanka, jako głowa rodziny, teraz musiała czekać „wychodnego dnia”.

Delegat miał bardzo małe możliwości finansowe. Wyznał rodzinie Korzeniewskich 100 rubli miesięcznej zapomogi, co się równało cenie kilograma pszenicy. Ale delegat miał mnóstwo darów amerykańskich — rzeczy bezcennych.

Chciałbym, ażeby ci litościwi ludzie, którzy przyczynili się do zbiórki odzienia na wygnańców polskich, przeczytali to moje opowiadanie i skonfrontowali swoje myśli, kiedy dawali te ofiary z tym momentem, kiedy ofiary były wręczane.

Jedni — może ziewnęli, dając te „łachy” i przestali myśleć o tym więcej.

Inni może pogardliwie wzruszali ramionami na manię filantropijną zbierających dam, które muszą jakoś czas zabić.

A może młode dziewczyny ofiarowujące znoszone sukienki wstydziły się, że dają takie rzeczy... nie modne.

Chciałbym, ażeby wszyscy oni czytali tę książkę a zwłaszcza, ażeby ją przeczytał ofiarodawca starej męskiej koszuli jedwabnej.

Bo tę koszulę jedwabną i parę butów, grzebiąc w kupce darów, pozostałej po całotygodniowym wybieraniu przez wygnańców, ofiarował rodzinie Korzeniewskich delegat.

A nadto ofiarował rzecz większą. W ośrodku pomocy nadrzędnym nad nim, w Bucharze, ktoś zainteresował się losami rodziny Korzeniewskich, której ojciec był znanym w Polsce antyniemieckim działaczem i powiadomiono delegata w Kara-Kul, że Hanka otrzyma posadę w biurze polskim w Bucharze. Delegat ofiarował się zaraz wystawić przepustkę, uprawniającą do zakupu biletu do Buchary.

A więc — powrót do życia... Powrót do życia... Czysty pokój, stół, syci i swoi ludzie naokoło, gazety... I kąpiel pewnie!...

Fala krwi uderza Hance do głowy. Wybawienie jest takie nieoczekiwane, szczęście tak zawrotne!

— Pan delegat wystawi przepustkę dla całej rodziny?

Ale delegat wyraża żal — ma wyraźne instrukcje —

przysłać Korzeniewską Hannę, lat dziewiętnaście z kołchozu „Woroszyłow”.

— Drogie dziecko — zmienia nagle ton — przecie w tej sytuacji jest podobno dwa miliony. Nie możemy uratować wszystkich naraz. Najprzód żołnierze, potem młodzież...

I wówczas Hanka spełnia największą ofiarę swego dziewiętnastoletniego życia. Nie wzięwszy papierów, wychodzi ze spuszczoną głową.

Delegat mieszka w drewniaku rosyjskim z ganeczkiem. Zaraz za drzwiami tak straszna rozpacz chwytą dziewczynę, że czarno robi się przed oczami. Siada na ławce, na której czekają kolejni interesanci.

Więc to już teraz — na pewno śmierć... Na nic się jej ofiara rodzinie nie przyda. Przecie wie, że jeszcze jutro zwlecze się do roboty z „ketmanem”, jeszcze pojutrze. A potem koniec.

Jedwabna męska koszula — ta ofiara dana w roztarzieniu przez kogoś w Detroit czy Chicago, zwisa bezradnie. Sąsiadka na ławce maca ją wprawnym gestem, szepcząc w ucho Hanki żarliwym szeptem:

— Wie pani, co koszula znaczy? Za dwie takie koszule można osła kupić. Ile mięsa...

Zachłystuje się z przejęcia:

— Zobaczmy, co mi delegat da; może zrobimy spółkę?

I nim nowa znajoma załatwiła z delegatem swoje sprawy, w Hanczynej głowie powstaje plan: kupić osła, zostawić im jedzenie, jechać natychmiast, wziąć posadę i stamtąd działać.

Obie kobiety wyprawiają się na drugi koniec Kara-Kul, bo jakby tak delegat przydybał, że sprzedają dary, które są przecie po to przeznaczone, żeby je nosić, a nie przemarnowywać!

Dobijają targu. Koszula jedwabna wyniosła udział pięćdziesięcioprocentowy rodziny Korzeniewskich w enterpryzie. Prowadzą osła w strasznym żarze osiem kilometrów do posesi Hanki. Osioł się opiera, trzeba go pchać. Pod posesi należy wyteżyć całą czujność. Osioł jest też u Uzbeków „tabu” do jedzenia i jeśliby spostrzegli, że pożeracze psów i kotów zabierają się do osłów, gotowiby byli ich zlinczować.

Ale upał jest tak rozprężony (jest samo południe), że kupa sypiących się lepieńców z gliny, która stanowi kołchoz „Woroszyłów” wygląda jak zamarte staroegipskie rozsypiska. Nie widać żywego ducha. Opierający się osioł zostaje wepchnięty do lepieńca Korzeniewskich, w wąski przesmyk między długą wspólną narą i ścianą. Pętają nogi osła, owijają mu głowę, żeby nie ryczał. Dwa półżywe życia na pryczy czekają aż wejdzie w nie fala życia zarzynanego zwierzęcia. Oszalała Antosia gdzieś biega po polach.

Zarzyna Jurek jako jedyny mężczyzna w rodzinie. Potem przez dwie godziny sprawiają mięso. Starannie wycierają krew.

Trzeba się spieszyć. Trzeba coś zrobić, zanim się skończy te pół osła na te cztery osoby.

Hanka ponownie idzie do Kara-Kul po przepustkę, którą nierozsądnie odrzuciła. Trzeci to raz dzisiaj odmierza tę ośmiokilometrową przestrzeń. Jutro jest znowu dzień roboczy, ale ona już się nie stawia.

Przybywa zbyt późno. Okna delegata nie świecą. Siada na stopniu ganeczka. Niebo potężnie wyiskrza się gwiazdami. Dziewiętnastoletnie serce przepełnia się po brzegi wdzięcznością. Do Boga, do rodaków, do nieznanego dawcy jedwabnej koszuli, że jej nie dali zginąć. Do całego świata.

Czyż wiele trzeba dla dziewiętnastoletniego serca? Hanka opiera głowę o słupek ganku i śpi.

Nazajutrz otrzymała przepustkę i ruszyła na stację. Butów — twardych jak skała, nie mogła włożyć na rozpućnięte nogi, więc je niosła związane sznurowadłami, przewiązane przez ramię i szła boso.

W drodze zaczepiają ją przechodzący Uzbegy, ażeby wymienić buty. Patrzą na te buty pożądliwie, ofiarowują duży bochenek chleba...

Bochen chleba. Ale przecie już go z powrotem rodzinie nie poniesie, a przy tym — jakże zjawiać się po posadę boso. Włoży je na siłę przed domem urzędu.

Mimo przepustki, biletu kupić nie może — do tego potrzebne różne inne zwolnienia z pracy i inne zaświadczenia. Wciska się w pociąg chyłkiem, wysiada, nie dojechawszy do dworca. W Bucharze, idzie do miasta okólną drogą, przechodzi pas muru otaczającego Bucharę, pyta

o urząd polski: sami już ludzie tu ujrzawszy nędzarza wskazują polskie biuro.

Wielką siłę regeneracji ma człowiek. Biuro delegata w Bucharze składa się wyłącznie z ludzi wyciągniętych z dna niewolnictwa. A przecie woźny urzęduje jak za dawnych dobrych czasów z miną królewską, a przecie biurowe aniołki fruwają w zgrabnie przykrojonych i przystosowanych fularach z darów amerykańskich — tylko na łydkach noszą „sowieckie wizy”.

Przed tym świetnym towarzystwem, przesuwają się widma ludzkie z bólem na wtłoczonych w buty opuchliznach, w spodniach skleconych z dwu spódnic, każda innego koloru, w resztkach jakiejś bluzki, z sękatymi rękami i zapuchniętą twarzą, z warkoczykami, podwiązanymi taśmami.

Czeka na krzeselku, aż wróci delegat z miasta.

Delegat nie okazuje żadnego zdziwienia wyglądem kandydatki na urzędniczkę. Daje pióro.

„Pani” — „Pióro” — „Podanie”...

Drży ręka...

A teraz:

Kartka do składu na suknię.

Kartka do składu na koszulę.

Kartka na — codzienną! — rację chleba.

Urzęduje. Liczy kartki kartotek i wciąż myśli, bo równocześnie liczy dni, na które stanie osła. Nie odważa się prosić. Jeszcze przecie nie zjedli... Jutro na pewno pójdzie do pana delegata. Stara się. Stara się bardzo. — Może delegat oceni. Bo jak odmówi — śmierć tamtym czworgu.

I... pamiętajmy, że to jest dziewiętnaście lat — obawa, że może nie ma prawa prosić, że i tak na ich jedną rodzinę za wiele wyświadczyła zrabowana, powalona, biedna i krwawiąca ojczyzna... Ją wzięli... Henka wzięli do wojska...

I tak przyszedł — czwarty dzień i wyrok doktora, że nie może pracować, że ma leżeć w łóżku, bo ta opuchlina może zostać na całe życie.

Rozpłakała się:

— Muszę pracować, bo nie sprowadzę rodziny!...

Ledwo położyła się — nastąpił zapad półprzytomności. Po tygodniu chce wstać. Jest Boże Ciało. Przez te lata w

Rosji ani razu nie była w kościele. Idzie do biura. Widzi znajomego z Uralu, sędziego T. Sędzia zdetonował się widocznie i postarał się zniknąć. Czemu?

Mówią że sędzia przyjechał z Kermine, gdzie stoi oddział Henka. Dlaczego się uchylił od mówienia z nią? W widoczny sposób się uchylił.

Ciężki niepokój przywalił dziewczynę. Wyszedłszy, spostrzegła auto z proporczykiem wojskowym.

— Czy to z panami przyjechał sędzia T.? — pyta szofera.

— Tak jest — odpowiada szofer. Ale nie może wskazać, gdzie się obraca sędzia.

— Czy pan nie mógłby udzielić mi informacji o podchorążym Henryku K.?

Szofer wpatruje się w Hanke:

— A pani?

— To mój szwagier.

— To pani jest panna Korzeniewska? — mówi ze zdumieniem; a mnie sobie pani nie przypomina?

Teraz dziwi się Hanka.

Szofer pracował z nią razem na Uralu. Dostał się już dosyć dawno do wojska. I dlatego on wygląda o tyle lepiej a ona o tyle gorzej, że się poznać nie mogli.

— Wie już Pani, że pani Ola nie żyje?...

A z Olą było tak. Mąż wystarał się o możliwość zabrania rodziny. Wówczas w Rosji robiło się po prostu tak, że żołnierze dzielili się swymi racjami z polską ludnością cywilną. Im więcej tych biedaków zjeżdżało, tym bardziej malały racje.

Przywiózł rodzinę na stację ale wywieźć mógł tylko Olę. Żołnierze zanieśli ją z dworca do jakiegoś kąta wynajętego przez męża. Tam dogorywała trzy dni i zmarła.

Trzy dni też czekała na stacji kolejowej pozostała rodzina: matka, Jurek i Antosia. Kiedy dojechali na rano czwartego dnia do Kermine, komendant polskiej placówki na dworcu, którym był współtowarzysz uralskiej niewoli, Wnek, skierował ich — wprost do kostnicy „jeśli pani jeszcze chce zobaczyć córkę”.

W kilka dni po otrzymaniu wiadomości o śmierci siostry Hanka, leżąc w stanie zupełnego wyczerpania, otrzymała list od Wnka. Przysłał go korzystając, że z

Kermine szła ciężarówka do Buchary po mąkę. Wzywał ją do skorzystania z ciężarówki i przyjechania do Kermine, bo „choć liczę na miłosierdzie Boskie, stan matki pani jest bardzo zły”.

Ciężarówka ma ruszyć dopiero wieczorem. Wieczorem zajmuje w niej miejsce, ale na próżno. Ci co mieli jechać, nie zjawiają się. Siedzi całą noc w ciężarówce i myśli o matce.

Na drugi dzień rano ruszono, ale nie od razu do Kermine. Ciężarówka miała polecenie jechać do Kahane po lekarstwa. W Kahane znowu wszyscy się rozbiegli. Słońce niemiłosiernie praży. Dziewczyna boi się opuścić wóz i siedzi na nim do wieczora.

Ruszyli na noc, zblądzili. Chociaż Kermine odległe od Kahane o 136 kilometrów, jechali całą noc.

Po 36 godzinach nie wysiadania z wozu, po 48 godzinach od otrzymania listu, Hanka dojrzała do matki. I do Jurka. Antosia gdzieś zapadła w obozie dla wygnańców, gdzie łatwiej było zebrać o żywność.

W uzbeckiej chałupie leżeli matka i syn. Chodzić już nie mogli. Opuchlizna z nich zeszała i zarysował się szkielet... straszny... jak wtedy u Oli... Jurek ma twarz starego człowieka, całą w zmarszczkach.

O zapyłone okienka chałupy uderza śpiew rześkich głosów. To obóz junaków. To tacy jak Jurek!... Ratowani przez przejeżdżające eszelony żołnierskie, biedne dzieci konające z głodu po stacyjkach trasy, którą szło wojsko, hodowani z całą miłością, z całą troską tych żołnierzy, którzy też nie wiedzieli, co z ich dziećmi się stało.

Jurek podniósł swoją starczą twarz, słuchał i opadł na legowisko.

Hanka zakrzętała się koło porządków. Śpiew oddalał się jak odchodzące życie. Chora wodziła oczami za córką.

— Skąd ta Hanka bierze w sobie siły? — szepnęła do Jurka.

Dwa tygodnie Hanka pielęgnuje matkę. Pomaga jej przewracać się na drugi bok, bo chora nie ma już na to siły. Przychodzą chwile nieprzytomności, coraz dłuższe. Wreszcie biorą ją do szpitala.

W szpitalu wiele młodych, zdrowych pielęgniarek.

Hanka słyszy śmiech. Ten śmiech przychodzi do niej z jakiejś przejrzystej powierzchni dawno zapomnianych wspomnień życiowych. Za długo pełzała po dnie nędzy.

Odwiedza matkę co dzień; trzyma chorą za rękę, ale matka jej nie poznaje.

Piątego dnia pobytu w szpitalu — był to 29 czerwiec 1942 r. — wchodzącą do szpitala spotkała jakaś wyfio-kowana pielęgniarka:

— O! Panna Haneczka... A pani mamusia już w kostnicy.

Kostnica zamknięta, ktoś z kluczem się zapodział... Powtarza sobie: „Trzeba mamusię ubrać, trzeba mamusię ubrać”...

Dopiero wieczorem dostała się do zmarłej. Oddawszy ostatnie posługi, biegła do samotnego, cały dzień brata.

— Co się stało? — wlepił w nią wzrok od progu.

Przysiadła przy nim na tapczanie, wzięła starczą mę-czeńską głowę tak, jak widziała, że to robiła matka. Przy-tuliła do siebie z całą żarliwością:

— Jurku — zostaliśmy sami.

...Trumien było brak. Pożyczano więc tylko trumnę na dowieszenie do cmentarza. Tam ciało wyjmowano z tru-mny i kładziono w dół a trumna wracała. Jurek na po-grzebie nie był, Hanka na próżno starała się o jakieś deski. Wróciła i zaniemogła.

Dziesięć dni leżały dzieci na łasce innych ludzi. Dzie-sięć dni patrzyły w kwadrat małego okienka, w którym wstawały świty i zasnuwały się zmierzchy. Za tym okien-kiem — już nigdzie nie mieli nikogo. Antosia zmarła. W trwodze przed śmiercią — jadła, gorączkowo jadła. W dniu śmierci wyklócała się o chleb.

Czasem w nocy Jurek pytał z niepokojem:

— Hanka — ty umierasz?...

— Nie, Jurku. Czemu ty nie śpisz?

— Staram się nie zasypiać. Takie straszne sny przy-chodzą.

Zapalała kaganek, żeby mu dodać odwagi. Chyłkiem patrzyła w lusterko; z lusterka widniała zielona pomar-szczona twarz.

Po dziesięciu dniach gorączka Hanka spadła. Ale Jurek zaczął mieć ataki serca. Dziewczyna cały wysiłek

wkłada, aby go ratować. Przychodzi powrotna biegunka. Chłopak czasem nie ma sił podnieść głowy.

Punkty sanitarne są tak przeciążone, że do domu wez-wać lekarza nie można, a Jurek nie ma sił, żeby na punkt dojść.

Pusta ulico! — Przecież są gdzieś jakieś środki, przyjdzie skądś jakaś pomoc!?...

— Pomoc — przyszła. Tak jak przyszła pomoc Oli i matce. Zapisano ich na transport do Persji jako sieroty. Znowu począł się wyścig pomocy ze śmiercią.

Wyjazd naznaczono na 7-go sierpnia 1942 roku.

Ale mogły jechać tylko dzieci zdrowe.

Jurek zaciął zęby.

— Pojadę — powiedział zdecydowanie.

W dniu wyjazdu dwaj żołnierze spleli ręce w krze-sełko — donieśli go na peron. Na dworcu czekali od rana do wieczora. Wieczorem, kiedy trzeba było siadać do wa-gonu — Jurek wstał nadludzką mocą i poszedł. Szaro było. Nikt im się nie przyjrzał. Z trwogą szła za nim siostra, gotowa chwycić go pod ramiona.

Evakuacyjne rozkazy dotyczyły tylko tych dzieci, któ-re miały jakąś szansę wyżycia i odratowania.

W wagonie osunął się na ławkę.

— Jurku!...

— Może wróć... do Polski... — wyszeptał.

Pociąg zwolna ruszył. Za oknami sunęły wydmy pia-skowe — to tysiące grobów polskich, zacieranych przez wiatr. Kermine — co znaczy po uzbecku „Dolina Śmierci” — została za nimi. Jurek nie był na grobie matki. Starał się patrzeć przez okno w kierunku, który wskazywała siostra. Potem ją objął rękami i trząsł się w płaczu. Gładziła jego włosy, myśląc ze smutkiem, że nie mogła pójść pożegnać matczynego grobu, bo nie mogła opuścić Jurka.

Z ponowną siłą przypomniła słowa umierającej — „pamiętaj o dziecku”... Ale chłopak w jej objęciach był wiotki i ledwo oddychał.

W pociągu jednak okazało się wielu takich, co dowle-kli się resztką woli. W drodze opróżniono jeden z wago-nów, przeznaczając go na sanitarny.

Kiedy przenoszono Jurka, sanitariusz powiedział obo-jętym fachowym głosem:

— Po co go pani wiezie? Przecie on nawet do Krasnowodska nie dojedzie.

W Aschabadzie mają zostawić beznadziejnych. Jurek to słyszy i znowu skądś w nim się biorą siły: kiedy w Aschabadzie wchodzi sanitariusze, podnosi się i o własnych siłach idzie do ustępu. „Bo przecież ciebie w Rosji zostawiliby przeze mnie”.

Zostali w Aschabadzie ludzie leżący na noszach z oczami bezbrzeżnie smutnymi. Rozumieli, że tu, po tylu bohaterskich wysiłkach, skończyły się bezpowrotnie ich porywy powrotu do Polski.



Trzy dni jechali do Krasnowodska. Jurek żył. Może się przesilił? Są już przecież lekarze... lekarstwa... dieta... To nie lepianka w Kara-Kul... Może się przesilił...

W Krasnowodsku znieśli go na noszach do ogromnej hali. Po hali idzie komisja sanitarna. Komisja sanitarna już jest coraz bliżej. Jurek zrobił ruch — chciał użyć dawnego triku — powstać czy choćby sięść. Ale już nie mógł.

Komisja — doszła. I ogłosiła wyrok: „Zostawić w Krasnowodsku”.

— Ja zostanę z nim! — woła siostra.

— Pani pojedzie. Doślemy go jak wyzdrowieje.

Sanitariusze go ponieśli do szpitalnego namiotu.

— Niech pani nie histeryzuje.



Patrzyła, tropiła z daleka, żeby nie dostrzegli. Widziała do którego namiotu go wnieśli. Odczekała. Pobiegła. Wkradła się do namiotu jak suka, której zabrano małe.

— Jurek! Zostaję z tobą.

— Hanka, jedź — musisz jechać... Uściskaj ode mnie mocno... Krysię... w Polsce...

Przepędzono ją. Krążyła dookoła namiotów rozbitych na tym piasku... Wpadła do tobołków, wzięła z nich coś, znowu schwytała chwilę, wślizgnęła się do namiotu:

— Jurek... Jureczku!... — przyniosłam ci fotografie...

Na kołdrę posypały się fotografie — i ta z ojcem w Rabce w białych spodniach przed samą wojną... I ich domek z ogródkiem.

Jurek położył na tym wszystkim przeźroczystą dłoń:

— Nie żal ci, Hanka?

— Przecież przywiez... chciała powiedzieć „przywieziesz”, ale skurcz jej zdławił bardzo. Jakby ktoś krzyknął brutalnie: „Nie kłam!”.

Wpadli z krzykiem. Że izolacja...

Nawet go nie pocałowała.



Potem jechała przez morze. Potem w porcie Pahlewi, na tamtej, perskiej stronie, trzy tygodnie kulgała się w swoich podkutych butach od Polskiego Czerwonego Krzyża do Delegatury Ministerstwa Opieki Społecznej, od Delegatury do Ewidencji.

Nigdzie nic nie wiedzieli o Jurku...

Potem ją zawieźli do Teheranu, gdzie pracowała jako kelnerka w polskiej świetlicy. Potem zachorowała na tyfus, na zakażenie krwi w nodze, a kiedy w końcu października odzyskała przytomność, otrzymała w Duszpasterstwie akt zejścia Jerzego Korzeniewskiego.

Akt zejścia był wystawiony w dniu śmierci — 10-go sierpnia 1942 r. — tego samego dnia, w którym zegnała się z „dzieckiem”.



Takie były dzieje wymordowanej rodziny Korzeniewskich.

JERZY GLIKSMAN

Urodzony w Warszawie, w r. 1902. Zmarł w Stanach Zjednoczonych w r. 1958. Studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Czynny w Socjalistycznej Partii Żydowskiej „Bund”. Aresztowany po raz pierwszy w Kowlu w związku ze sprawą swego przyrodniego brata, Wiktora Altera, zaś drugi raz przy próbie przekroczenia granicy litewskiej, po ciężkim śledztwie, bez rozprawy sądowej, skazany został w drodze administracyjnej z paragrafu 120 KK (nielegalne przekroczenie granicy) na 5 lat obozów poprawczych. Łagier przejściowy w Kotłasie, pobyt w Uchtizłagu (obóz nad Uchtą i Izmą) i praca w lesie — jako rezultat: szkorbut, malaria i wada serca. Zwolniony, po miesiącach tułaczki, dociera do Taszkientu, gdzie zostaje mianowany polskim delegatem w południowym Kazachstanie (Gazalkent), następnie wstępuje do Armii Polskiej.

W Palestynie, z ramienia Delegatury Rządu Polskiego w Londynie, organizuje biuro pomocy dla zesłańców polskich, pozostałych w Związku Sowieckim (wysyłka wielu tysięcy paczek). To samo robi dla amerykańskiego Jewish Labor Committee.

Po wojnie, w r. 1946, wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych i tam oddaje się pracy pisarskiej i społecznej. Wykłada w Roosevelt University w Chicago, pracuje w Russian Institute Uniwersytetu Harvard, (następnie w Rand Corporation w Washingtonie). W ciągu tych lat odbywa wielokrotne podróże po Stanach wygłaszając odczyty na temat zagadnień ekonomicznych, prawnych i politycznych Rosji Sowieckiej i Europy Wschodniej. Ogłasza broszury, artykuły i recenzje związane z tą tematyką.

Umiera na atak serca w r. 1958. Po śmierci, nakładem Harvard University Press (1960) wydano kilka jego mniejszych prac. W przygotowaniu jest książka pt.: „Soviet Labor Control”.

Jego książka pt. „Tell the West” (*Powiedz Zachodowi...*), wydana w r. 1946 przez Graham Press, N.Y., ukazała się następnie w tłumaczeniach szwedzkim, duńskim oraz hiszpańskim (w Chile): we fragmentach w językach niemieckim i francuskim, w odcinkach w języku żydowskim (gazeta „Forwaerts”) oraz w skróconej formie w językach polskim, angielskim i wietnamskim. Zamieszczone poniżej fragmenty pochodzą ze skróconej wersji polskiej.

*Pamięci mego brata Wiktora
Altera i jego towarzysza w życiu
i śmierci — Henryka Erlicha.*

POWIEDZ ZACHODOWI...

Dobrze zapamiętałem noc 24 grudnia, gdy więźniowie katolicy w naszej „polskiej zonie” postanowili uczcić święto Narodzenia Pańskiego. Małe gromadki zebrały się w kątach baraku, do jednej z nich zaproszono i mnie. Pryczkę nakryto czystym ręcznikiem, a zatknięta obok gałąź sosnowa zastępowała choinkę. Na wilię podano czarny chleb z kawałkiem śledzia. Po tej uczcie przełamano się opłatkiem, który jeden z więźniów zdołał ukryć przez tak długi czas, i życzo no sobie wzajemnie powrotu do rodzin w wolnej Ojczyźnie. Niejeden z więźniów nie mógł powstrzymać łez. Wieczór zakończył się cichym śpiewem — smutno i wzruszająco rozbrzmiewały kolędy w ciemności baraku.

Nazajutrz nad ranem nadbiegł zaspany oficer, który rozkazał nam ustawić się czwórkami. Nawet chorych nie uwolniono od tego.

Maszerowaliśmy przez wiele zon, ciągnąc za sobą nasze worki, otoczeni uzbrojonymi żołnierzami. W całym obozie panował ruch. Oddziały więźniów posuwały się wszędzie w jednym kierunku.

Zbliżał się świt. Był trzaskający mróz i z trudem ciągnęliśmy nogi po zmarzniętych grudach ziemi.

Po godzinny marszu znaleźliśmy się na wielkiej polanie, pokrytej grubą warstwą twardego śniegu. Na widnokręgu ciemniał gęsty las. Ustawiono nas w szeregu, po szesnastu w rzędzie. Nie widać było ani końca ani początku tej ogromnej ludzkiej gromady.

Godziny mijały. Trzymano nas cały dzień w lesie bez jedzenia i picia. Mróz był nie do wytrzymania i nikt z nas

nie mógł ustać w miejscu. Próbowaliśmy się rozgrzać, przytupując nogami, podskakując, uderzając się rękami w piersi, obracając się w różnych kierunkach. W zbliżającym się zmierzchu wyglądaliśmy jak jakiś gigantyczny balet, wykonujący groteskowy *danse macabre* na kolosalnej scenie. Niekiedy któryś z więźniów padał na śnieg. Strażnicy i oficerowie wybuchali przekleństwami, a żołnierze w pośpiechu zabierali chorych, ciągnąc ich w kierunku obozu jak kłody drzewa.

Przez cały dzień jacyś nieznani przedstawiciele władz, wojskowi i cywilni, kręcili się między więźniami, oglądając ich, obmacując muskuły rąk i nóg, każąc im się schylać i pokazywać dłonie. Niekiedy zaglądali nawet w zęby więźnia, jakby kupowali konia na jarmarku.

Widziałem już wiele dziwnych rzeczy w ciągu ostatnich miesięcy, ale to przekraczało wszystkie nasze dotychczasowe przeżycia.

Z dala dobiegł mnie głos „wszechwiedzącego” fryzjera Schildkrauta, udzielającego wyjaśnień innemu więźniowi z wielką pewnością siebie.

— Przyjechali wybierać towar — zaczął i opowiadał dalej, że urzędnicy z obozów pracy, dokąd miano nas wywieźć po krótkim pobycie w Kotłasie, zazwyczaj od czasu do czasu przybywają tu dla wyszukania odpowiednich robotników. Niektórym potrzebni są inżynierowie lub wykwalifikowani ślusarze, innym cieśle lub stolarze, a najbardziej zawsze poszukiwani są silni, zdrowi ludzie do pracy w lesie, w polu, w kopalniach węgla lub szybach naftowych. Niekiedy też wybierają szewców i krawców do warsztatów obozowych, albo paru lekarzy i buchalterów. Najbardziej zaś wystrzegają się kierownicy obozów, aby im nie wpakowano inwalidów, chorych i kalek, jednym słowem takich ludzi, których by musieli karmić, nie mając z nich żadnej korzyści. Do tego była potrzebna dzisiejsza inspekcja, ten bezprzykładny, nigdzie w cywilizowanym świecie niespotykany targ niewolników.

Po tej ogólnej kontroli rozeszły się pogłoski, że zbliża się nasz wyjazd z Kotłasu.

Kilku więźniów Rosjan zjawiało się w naszej zonie. Zapewniali oni, że mają wielkie wpływy i możliwości. Tłumaczyli nam, że teraz rozstrzyga się dla nas kwestia życia

i śmierci, gdyż władze obozowe wyznaczają kto do jakiego obozu będzie przeznaczony, i że oni przez swoje stosunki mogą nam pomóc. To przecież jasne, powtarzali, że lepiej być wysłanym do obozu na południe, np. na Ukrainę lub na Kaukaz, gdzie jest ciepło, niż pojechać tysiące mil w głąb Syberii, do Dalstroju na Dalekim Wschodzie lub do Jakucka, na Kamczatkę, na Sachalin, albo do najgorszego miejsca ze wszystkich — do kopalni złota nad rzeką Kołymą. Być wysłanym tam — to pewna śmierć. Czy kto kiedy widział, na przykład, takich więźniów, którzy by wrócili z Wierchojańska, uchodzącego za najzimniejsze miejsce na globie ziemskim?

Co prawda, Kotłas był punktem rozdzielczym tylko dla północno-wschodnich obozów Rosji Europejskiej. Te inne straszne okręgi miały swe własne punkty tranzytowe (np. Buchta Nachodka, Magadan, etc.). Ukraina i Kaukaz też nie są zasadniczo obsługiwane przez Kotłas. Ale te „wpływowe osobistości”, które obiecywały nam swą pomoc, miały gotowe tłumaczenie: w Kotłasie można wszystko załatwić przy ich pomocy i za dobrą cenę. Można nawet być wysłanym do „dobrego” obozu na południu. Zapłacić jednak trzeba słono, odać wszystko co się posiada: ubranie, obuwie, bieliznę, złote zęby, gotówkę...

Nie miałem wątpliwości, że większość tych pośredników to byli zwykli oszuści. Możliwe, że w paru wypadkach udało im się coś załatwić, przeważnie jednak wyłudzali tylko co się dało od zrozpaczonych a naiwnych więźniów.

Ale w biurach obozowych, gdzie pracowano nad sortowaniem masy więźniów, rzeczywiście decydował się nasz los. Najpierw zarządzono oględziny lekarskie. Wiele godzin wyczekiwaliśmy przed drzwiami baraku komisji lekarskiej, a następnie badano nas przez kilka sekund. Nie trzeba się było nawet rozbierać. Doktor przystawiał drewniany stetoskop do piersi więźnia i mechanicznie pytał: „Zdrow?” „Zdrowy”. Nie czekając zresztą na odpowiedź, dyktował sekretarce: „Zdrowy”. Niektórzy więźniowie upierali się i skarżyli się na różne choroby, na serce, na gruźlicę, na szkorbut. Lecz doktor tylko niecierpliwie machał ręką i wołał: „Zrozumieć, że nie mam czasu! Następny! Prędzej!”. Tylko zupełnie kaleki zapisywano jako inwalidów.

Po badaniu lekarskim odbyło się spisywanie więźniów wedle zawodów i specjalności. Bardzo cieszyła nas ta reje-

stracja i wiązaliśmy z nią duże nadzieje. Ja zarejestrowałem się jako „*planownik-ekonomist*” ze względu na swe paryskie studia ekonomiczne.

Wkrótce po tej rejestracji nadszedł czas naszego wyjazdu.

Szczególnie utkwiał mi w pamięci jeden z ostatnich dni pobytu w Kotłasie, gdy wypadło mi z grupą więźniów spędzić kilka godzin w baraku dla nieletnich przestępców.

Było to nieprawdopodobne przeżycie. Znaleźliśmy się w ciemnym brudnym budynku, przesiąkniętym nieznosnym zaduchem. Wielki barak był przepełniony wyrostkami w wieku od 13 do 17 lat, rozłożonymi na pryczach, półnagimi, szczerbami z brudu. Serce ścisnęło mi się żalem, gdy spojrzałem na te młode, wynędzniałe ciała, istne szkielety, na znieprawiony wyraz dziecinnych twarzy, skrzywionych cynicznym grymasem doświadczonych przestępców. Jakież przeżycia, jakież cierpienia doprowadziły te dzieci do tego stanu, odebrały im wszelkie ludzkie cechy?

Zaraz przy wejściu otoczyli nas, rzucili się na nas jak stado małp, plując na nas, oblewając nas moczem. Uzbrojeni w noże i w kawały drzewa próbowali wyrwać nam nasze worki. Broniliśmy się przed nimi, skupiając się w jedną zwartą grupę i zakrywając całymi ciałami nasze węzłki. Mimo to zauważyłem potem, że rozciąli w paru miejscach mój plecak i wyciągnęli z niego kilka rzeczy. Kilku z nas zdołało też lekko poranić nożami. Ledwo udało nam się wyrwać z tego piekła.

Przypomniało mi się Bolszewo pod Moskwą, wzorowy obóz dla nieletnich przestępców, który zwiedzałem jako turysta w 1935 roku. Przypomnił mi się kolorowy plakat z napisem: „Dziękujemy Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo”.



Była już późna noc, gdyśmy przybyli do miasteczka Czibiu w Autonomicznej Sowieckiej Republice Komi. Po wyładowaniu, poprowadzono nas pieszo przez gęsty las. Ziemia pokryta była grubą warstwą śniegu, a mróz kęsał nas aż do bólu.

Nasz obóz, *Uchtiżmłag*, leżał u zbiegu rzek Uchty i Iżmy. Był on podzielony na przeszło dwadzieścia tzw. Oddzielnych Punktów Obozowych (skrót rosyjskiej nazwy brzmi O.L.P.). Nas przekazano do oddziału Nr 2, dziesięć mil od Czibiu.

Wkrótce po przybyciu zorientowaliśmy się, że nasze nowe władze nie uznają dokonanej w Kotłasie selekcji więźniów. Do dziś nie mogę zrozumieć, po co przeszliśmy uprzednio wszelkiego rodzaju rejestracje i oględziny lekarskie, skoro w nowym miejscu wszystko zaczęło się od początku.

W obszernej szopie ustawiono z dziesiątek biurków i przy każdym z nich odbywał się spis innego rodzaju specjalistów. Rzemieślnicy, lekarze, obsługa szpitalna, inżynierowie, technicy, kucharze, artyści, malarze, biuraliści i wielu innych byli wezwani do rejestracji. Kto zaś nie posiadał żadnego przygotowania zawodowego, miał być skierowany do „ogólnych robót”, tj. do ciężkiej pracy fizycznej. Podobnie jak w Kotłasie zarejestrowałem się znów jako *planownik-ekonomist*. Ale pytania, jakie mi zadawano, nie miały nic wspólnego z moją przyszłą pracą. Były to zwykłe w Sowietach pytania, dotyczące mego pochodzenia socjalnego, zajęcia ojca i dziadka, podróży zagranicę, przynależności partyjnej itp. Było dla mnie jasne, że więzień polityczny nie ma wielkich szans otrzymania pracy w swoim zawodzie.

Niektórzy moi towarzysze podróży wcale nie zgłosili się do rejestracji, natomiast w jakiś tajemniczy sposób nawiązali kontakt z przedstawicielami władz obozowych i szybko udało im się znaleźć właściwe drogi i dostać dobrą pracę. Powiodło się tym, których zatrudniono w kuchniach, w *chleborezce* (miejsce, gdzie kraje się chleb) czy w magazynach — ci z pewnością nie zaznali już głodu. Kilku wybranych dostało się do łaźni, pralni i odwieszalni odzieży, gdzie mając do rozporządzenia pewną ilość mydła, bielizny i ubrań, potrafili to z pewnością wykorzystać. Nienajgorzej też zapowiadał się los tych, których przyjęto jako pielęgniarzy i posługaczy do szpitala.

W bardzo niewielu wypadkach więźniowie dostawali rzeczywiście pracę, odpowiadającą ich kwalifikacjom.

Utalentowany fizyk rosyjski, Lidin, na próżno marzył o pracy w swoim zawodzie. Był to prawdziwy typ naukow-

ca, pozbawionego koniecznego w życiu obozowym praktycznego sprytu. Przypadkiem byłem świadkiem rozmowy, którą Lidin prowadził z Sawczenką, kierownikiem działu kadr w obozie. Fizyk dowodził głosem pełnym entuzjazmu i nadziei, że jego wiedza z pewnością znajdzie zastosowanie w jednym z laboratoriów rafinerii naftowej, gdzie jednocześnie będzie mógł wrócić do porzuconej pracy naukowej.

Sawczenko spokojnie wysłuchiwał Lidina, kiwając potakująco głową i żując koniec fajki. Gdy uczony skończył, Sawczenko splunął w kąt pokoju i poklepał Lidina po ramieniu.

— To wszystko święta prawda — powiedział z wolna — ale ty, przyjacielu, pójdziesz od jutra do lasu. Tam właśnie trzeba takich jak ty...

Zaśmiał się głośno i odszedł.

Okazało się wkrótce, że ogromna większość z nas została wyznaczona do pracy w lesie, przy wyrębie drzew. Młodzi i starzy, słabi i silni, z zawodem lub bez, rejestrowani i nierejestrowani — wszyscy niemal poszli do lasu. Ta właśnie praca przypadła i mnie w udziale, jak i memu przyjacielowi, staremu profesorowi Strowskiemu.

Już o 4 nad ranem budzi nas przenikliwy gwizd, rozlegający się po całej zonie. Dyżurny w baraku woła: „*Padiom! Pobudka! Wstawać!*”. Wkrótce nadbiega *nariadczyk* (nadzorca), do którego należy pilnowanie, abyśmy wyruszyli do pracy o oznaczonej porze. Jest to wysoki, silny chłop, niemal olbrzym, odziany w nową ciepłą *fufajkę* i parę wysokich filcowych *walonek*. Na próżno krzyczy i gniewa się, że niedość szybko wstajemy. Wyczerpani i zmęczeni więźniowie nie mają dość sił, aby się podnieść, i dozorca, z kijem w ręce, ściąga ich z prycz. Długo będzie się czuło ciężkie dotknięcie jego dłoni. Opowiadają o nim, że tymi samymi dłońmi udusił młodą żonę. Za tę zbrodnię skazano go na dziesięć lat i w naszym obozie odbywa swą karę.

Ze wszystkich stron rozlegają się jęki, krzyki, wymysły i przekleństwa. Tak zaczyna się pierwszy nasz dzień w obozie.

Ubierać się nie mamy potrzeby, bo spaliśmy w odzieży. Jest jeszcze ciemno i mróz tak ostry, że tylko kilku więźniów zdobywa się na odwagę i w sionce przed bara-

kiem myje twarz i ręce odrobiną wody, nabranej do misek. Mało kto ma na własność ręcznik, jakaś szmata lub po prostu rękaw bluzy musi wystarczyć. Wszyscy biegną do stołówki, gdzie wydają właśnie naszą poranną kaszę. Trzeba się śpieszyć, bo przestrzenie są wielkie, a punktualnie o piątę przypada ważne wydarzenie naszego dziennego programu — *razwod*, tj. ustawianie więźniów w brygady robocze przy bramie obozu i wymarsz do pracy.

Czekamy na apel. Mróz ledwo pozwala nam ustać w miejscu. Myślimy z przerażeniem, czy wytrzymamy na takim zimnie przez cały dzień: dwanaście godzin pracy i długa droga do lasu i z powrotem. O tym wszystkim już nam zdołali opowiedzieć nasi towarzysze, lepiej obeznani z tu-tejszym życiem. Oni też pokazują nam z dala urzędników obozu, nie szczędząc przerażających szczegółów o każdym z nich. I tak oto stoimy, drżąc, w strachu przed strażnikami, mrozem, pracą ponad siły i lasem...

Nagle z oddalenia wiatr przynosi dźwięki muzyki. Gdzieś widocznie gra dęta orkiestra. Dziwnie brzmią różne urywki marsza w tej ponurej ciemności. Na dawnych więźniach jednak to nie robi wrażenia.

— Co rano tak grają — ktoś wyjaśnia. — Chcą w ten sposób dodać nam ochoty do pracy i obudzić w nas radość życia!

Wreszcie przychodzi nasza kolej wymarszu. Otaczają nas żołnierze i słyszymy zapowiedź, że nie wolno nam wystąpić ani krokiem z szeregów, bo straż będzie strzelać bez uprzedzenia, uważając to za próbę ucieczki. Zbędna to i niedorzeczna groźba. Żaden człowiek, będący przy zdrowych zmysłach, nie pomyśli tu o ucieczce. Odłączenie się od gromady więźniów oznaczałoby niechybną śmierć z głodu, zimna i wyczerpania — śmierć w śniegu — „białą śmierć”.

Bez końca, wydawało się, ciągnęła się nasza droga przez gęsty las, w głębokim śniegu, w otaczających nas ciemnościach. Kilku młodych, silnych *urków* (kryminalistów) wybiło się na czoło kolumny i nadaje szybkie tempo naszemu marszowi swoim śmiałym chodem. My, starsi i słabsi, nie możemy im nadążyć. Chwilami wydaje mi się, że nie wytrzymam już dłużej, że za chwilę padnę z wyczerpania.

Na koniec przybywamy na miejsce. Czekamy z rozpoczęciem pracy aż się rozwidni. *Urki* rozpalają ognisko.

Ledwo świt przebił się przez wierzchołki drzew, brygadier podszedł do mnie i podał mi ciężki topór. Wskazując ręką ogromną sosnę, zawołał:

— Bierz się do roboty!

Z krótkimi przerwami pracowałem w lesie niemal do końca zimy, która w tych północnych okolicach trwa aż do maja. Spędzaliśmy ogromną część życia wśród ogromnych, odwiecznych sosen, przez których gęste gałęzie ledwo przedostawał się szary blask krótkiego arktycznego dnia.

Ledwo radziłem sobie z pracą, szczególnie na początku. Robota ta wymaga nie tylko znacznej siły fizycznej, ale także zręczności w obchodzeniu się z toporem. Nikt nam nie dał żadnych wskazówek; przyglądaliśmy się pracującym w pobliżu dawnym więźniom i staraliśmy się naśladować ich ruchy.

Brak dobrych narzędzi także utrudniał nam pracę. *Urki* i inni spryciarze wybierali zawsze najlepsze dla siebie.

Według przepisów obozowych więźniowie powinni być zwalniani od pracy w lesie, gdy temperatura sięga minus 35° C. Słusznego tego prawa często jednak nie przestrzegano i pędzono nas nieraz do pracy na mrozie — 50° C.

Regulamin przewidywał także, że w północnych okęgach więźniowie powinni otrzymywać nie tylko watowaną odzież i ciepłą bieliznę, ale i parę *walonek* i ciepłych rękawic. W rzeczywistości jednak niewiele nam dano dla uchronienia nas przed zimnem, i jedynym naszym ratunkiem były różne stare szmaty i łachy. Przed pójściem do pracy otulaliśmy też w co się dało szyję, głowy i uszy. Owijanie nóg w rozmaite szmaty stało się ważną częścią naszej porannej toalety.

Wieczorami, po powrocie do ogrzanych baraków, brakło nam już sił do zajęcia się suszeniem przemoczonej odzieży. W ubraniu rzucaliśmy się na prycze i usypialiśmy. z rana budziliśmy się w izbach, przesiąkniętych zapachem naszych przegniłych szmat.

W lesie jedynym ratunkiem przed mrozem była nieustanna praca, ruch; bez tego bylibyśmy narażeni na odmrożenie.

Strażnicy pozwalali nam rozpalać wielkie ognisko, przy którym sami zasiadali, grzejąc się, i do którego pozwalali nam zbliżać się w czasie nieczęstych przerw w pracy, gdy

wolno nam było wypalić papierosa, jeśli ktoś go miał. *Urki* natomiast godzinami siedzieli przy ogniu. Ci zupełnie nie bali się strażników. Pracowali, kiedy im się chciało, a trzeba przyznać, że pracować umieli. Byli to przeważnie silni mężczyźni, nawykli do fizycznych robót. Ale rzadko mieli ochotę do pracy, woleli siedzieć w ciepłym ognisku, opowiadać sobie przeróżne historie i pogryzać chleb, którego zawsze mieli więcej niż my. Niekiedy przynosili ze sobą wódkę — Bóg wie, jak ją zdobywali — i częstowali nadzorców i strażników. Nas, nie należących do ich bandy, nie dopuszczali do ciepła wcale albo, w najlepszym razie, pozwalali nam przykucać z daleka.

Rzadko miałem odwagę zbliżyć się do ogniska. Zaraz pierwszego dnia spotkała mnie tam wielka przykrość. Miałem ze sobą kawałek czarnego chleba, żeby móc choć cokolwiek przegryźć w ciągu długiego dnia w lesie. Schowałem chleb do kieszeni *buszlata*, gdzie jednakże zmarzł zupełnie i stał się twardy jak kamień. W czasie przerwy „na palenie” zbliżyłem się do ogniska i położyłem mój chleb w pobliżu płonącego stosu drzewa. Siedząc na pobliskim pnieniu nie spuszczałem oka z mego skarbu, który jednak mimo to nagle zniknął. Widziałem, jak jeden z *urków* zajadał moją kromkę przy wtórze głośniego śmiechu całej bandy, a ja patrzyłem na to bezsilnie. Prawda, była to maleńka kromka, ale tak bardzo chciało mi się jeść i tak się cieszyłem na myśl o kawałku ciepłego chleba...

Potem już zawsze, idąc do lasu, kładłem mój chleb za pazuchę, gdzie ciepło mego ciała chroniło go przed zamarznięciem.

Praca była daleko ponad nasze siły, a mimo to staraliśmy się wykonać ją jak najlepiej. W części chodziło nam o uniknięcie grózb i wymysłów nadzorców i dziesiętników, ale głównie pragnęliśmy otrzymać jak najwięcej jedzenia. Albowiem wielkość naszych dziennych porcji zależała najzupełniej od ilości wykonanej przez nas roboty. Polityka władz obozowych polegała na stałym utrzymywaniu nas w stanie pół-głodu, a jednocześnie obiecywano nam więcej jedzenia, jeśli będziemy lepiej pracować. W ten sposób głód zmuszał nas do większego wysiłku.

Każda najmniejsza czynność w obozie miała swoją przewidzianą i starannie wykalkulowaną normę, ujętą w specjalne tabele. Było tam wyliczone, ile desek należy

dziennie zheblować, ile metrów kwadratowych gruntu oczyścić, ile gwoździ wbić i ile towaru załadować lub wyładować. Normy te były bardzo wysokie. Nawet wyjątkowo silnemu mężczyźnie niełatwo by je było wykonać, cóż dopiero mówić o nas, wiecznie głodnych i wyczerpanych niewolnikach.

Najcięższy był los tych, którzy nie dociągali do 10% normy. Uważano ich za *otkazczyków*, tj. ludzi odmawiających pracy. *Otkazczyk* taki bywał zamykany w izolatorze, gdzie otrzymywał trochę wody i 300 gramów chleba dziennie. Gdy to nie pomagało, sprawę jego kierowano do sądu i zazwyczaj otrzymywał dodatkowy wyrok.

Niewiele lepiej wiodło się tym więźniom, którzy wykonywali poniżej 30% normy. Ci otrzymywali te same 300 gramów chleba i nieco wodnistej nieokraszonej zupy z tzw. „karnego kotła”. Wystrzegałem się jak ognia dostania się do tej kategorii, bo ci, co do niej wpadli — a wielu zdarzyło się to nieszczęście — byli już straceni. Po kilku dniach takiego przymierania głodem człowiek zupełnie podupadał na siłach i nigdy już nie był w stanie wrócić do wyższej kategorii. Prawdziwe błędne koło!

Na przeciwnym krańcu znajdowali się więźniowie zwani *udarnikami* albo *stachanowcami*. Ci otrzymywali do kilograma chleba dziennie, lepszą zupę i kaszę, soloną rybę, a czasem nawet po kawałku mięsa lub po białej bułeczce.

Między tymi dwoma kategoriami istniał szereg pośrednich, obejmujących lwią część mieszkańców obozu. Porcje chleba dla poszczególnych grup wahały się między 400 a 700 gramami. Z tym podziałem łączył się również rodzaj otrzymywanej zupy, ryby, kaszy itp. W obozie była aż dziesięć rozmaitych kotłów dla różnych grup robotników.

Co wieczór nadzorcy i dziesiątnicy pracowali ciężko przez wiele godzin, wyliczając dla każdego robotnika wykonany przez niego procent normy. Nie był to bynajmniej prosty rachunek. Przygotowywano długie raporty i „*normirowsczycy*”, buchalterzy i rachmistrze opracowywali staranne wykazy, od których zależały nasze porcje następnego dnia.

Zresztą większość raportów była fałszywa. Nadzorcy i dziesiątnicy chcieli się wykazać jak najlepszymi rezultatami pracy swoich brygad. A że szukali jednocześnie dodatkowych zarobków, niejednokrotnie wypisywali wyższy pro-

cent normy tym więźniom, którzy potrafili okazać im swą „wdzięczność”. Niekiedy robili to kosztem innych, którym dla wyrównania rachunku zmniejszali ich normę.

Ich zwierzchnicy również nieco upiększali swoje sprawozdania i w ten sposób do Moskwy dochodziły piękne obrazy wielkich osiągnięć obozu. Od czasu do czasu wszystkie te kręactwa wychodziły na jaw. Wówczas komendantów obozu surowo karano, a nadzorców degradowano. Nas nie można już było zdegradować. My pracowaliśmy po dawnemu, a nasi nowi władcy po krótkim czasie wracali do praktyk swych poprzedników i cała historia zaczynała się od nowa.

W naszej zonie, w pobliżu stołówki, mieścił się w małej budce sklep dla więźniów. Więzień-kryminalista, odziany w dobrą, ciepłą *fufajkę* i watowaną czapę, był tam sprzedawcą. Koślawy, wypalony stół służył mu jako lada. Na niemal pustych półkach znajdowało się nieco flaszek z kolorowymi naklejkami. Przed sklepem stała długa kolejka.

— Przywieźli świeży towar — mówili więźniowie.

Zadziwiła mnie wiadomość, że jedynym sprzedawanym tego dnia towarem była woda kolońska i pomadki do warg, a już zupełnie oszołomił mnie widok więźniów, którzy natychmiast po wyjściu ze sklepu wypijali pachnący płyn. W ten sposób widać zaspakajali swój głód alkoholu, bo wódka była zakazana i bardzo trudna do zdobycia.

W kolejce zauważyłem także kilkanaście kobiet. Te oprócz wody toaletowej kupowały też pomadki do warg. Czy wypijały spirytus, nie wiem, widziałem za to, jak po wyjściu ze sklepu polewały się nim obficie.

Widok ten wywarł na mnie silne wrażenie. Od dawna już nie widziałem żadnych kobiet, a takie jak te spotkałem w ogóle po raz pierwszy w życiu. Były to oczywiście więźniarki. Ruchami, ochrypłym głosem i ciężkim chodem przypominały raczej spracowanych chłopów niż kobiety. Były brudne i obdarte, niektóre stare, inne bardzo młode i może nawet ładne. Tu, na mrozie, w *fufajkach* i watowanych spodniach, z głowami i nogami owiniętymi w szmaty, wyglądały wszystkie jak bezkształtne tłumoki.

W twarzach ich było coś ponurego. Dziwnie wyglądały, sine z zimna, przedwcześnie postarzałe, zniszczone ciężką pracą na wietrze, deszczu i mrozie, a mimo to po-

kryte szminką. Nieumyte, nieuczesane, kobiety te jednak nakładały na policzki grubą warstwę różu, a wargi powlekały jaskrawą pomadką. Były to zaiste upiorne maski. Szminka była wszystkim, co pozostało z ich utraconej kobiecości.

Moi towarzysze niedoli

W obozie można było spotkać mieszaninę wszystkich ras i narodów świata. Widziałem tam Chińczyków, Niemców, Węgrów, Greków, Austriaków, Czechów. Moi znajomi z innych obozów spotykali Francuzów, Hiszpanów i Anglików.

Jednakże liczba cudzoziemców była stosunkowo mała w porównaniu z ilością przedstawicieli ludów Związku Sowieckiego, szczególnie Rosjan, Ukraińców i Białorusinów.

W obozie wyraźniej niż gdziekolwiek widziało się, jaki konglomerat ludów, ras, religii i kultur mieści się w granicach ogromnego państwa sowieckiego, kraju, gdzie obok cywilizacji europejskiej trwają przestarzałe azjatyckie formy życia, gdzie krzyżują się wzajemnie różne epoki historii ludzkości, gdzie tuż obok współczesności z jej wspinałymi naukowymi, technicznymi i przemysłowymi osiągnięciami istnieje odwieczna przeszłość, trwająca w niezminionej formie w obyczajach pół-dzikich, koczowniczych plemion Azji. W moim własnym baraku czy w najbliższym sąsiedztwie przy stole spotykałem więźniów, należących do narodów, których nazwy zaledwie znałem.

Byli tu przedstawiciele sowieckich republik Azji Środkowej: wysocy Kirgizi o surowych rysach i skośnych oczach; spokrewnieni z nimi Uzbegy o miłych okrągłych twarzach i dużych czarnych oczach; przystojni Tadżycy o charakterystycznych obliczach, pełnych dzikości a zarazem wojowniczej odwagi. Były tu ludy Kaukazu: malowniczy Gruzini, sprytni Ormianie i mieszkańcy Azerbejdżanu. Byli ruchliwi Tatarzy, przystojni i weseli. Były niezliczone plemiona Syberii: Tunguzi, Jakuci, Czuczecy, Buriaci...

Najdziwniej wyglądali Karakalpacy w swych wielkich czarnych czapach, zrobionych z całych owczych skór. Temu

nakryciu głowy zawdzięczają swą nazwę, gdyż „Karakalpak” oznacza czarną czapę.

Tu oto, w obozie, wszystkie te ludy były zjednoczone w jedną przedziwną gigantyczną „Międzynarodówkę”

W obozie człowiek nigdy nie był sam, zawsze wśród innych. Nie można było nawet marzyć o chwili samotności.

W ciągu normalnego dnia pracy każdy był pochłonięty swoimi sprawami i troskami. W stosunku do innych więzień przejawiał przeważnie wrogie uczucia, zaczepność, podejrzliwość i instynktowną niechęć. Na drugiego człowieka patrzano jak na współzawodnika, przeszkodę lub przedmiot zazdrości. Niedolę bliźniego przyjmowano obojętnie, a nie raz nawet z jawną satysfakcją.

W te rzadkie dni jednak, kiedy byliśmy wolni od pracy, nastroj zmieniał się. Nabierało się znów ludzkich uczuć w stosunku do towarzyszy niedoli. Szukano towarzysztwa, interesowano się losem innych i próbowano znaleźć u współwięźniów trochę ciepła i zrozumienia.

W jeden z takich wolnych dni Put, pułkownik koreański, podszedł do mnie, usiadł na mojej pryczy i oparł ciemną mongolską głowę o drewnianą ścianę. Domyślałem się, że ma ochotę pogadać o swoich smutkach.

— Myślisz pewnie — zaczął — jestem jedynym z zawodowych przestępców albo *bytowików*, zesłanych tu za defraudację lub oszustwo?

Pierwszy to raz w naszych rozmowach Put poruszył kwestię przyczyn, które go zawiodły do więzienia.

— Przybyłeś tu z dalekiego kraju, który znam jedynie z mapy — mówił dalej stylem charakterystycznym dla ludzi Wschodu. Ale uważam cię za przyjaciela i chciałbym, abyś wiedział, jakie to drogi przywiodły mnie w to miejsce.

Put był miłym, mądrym i inteligentnym człowiekiem. Był wysoki, o podługnej twarzy, której żółtawa barwa była jeszcze uwydatniona przez gruźliczą błądź. Mimo chorobliwego wychudzenia byłby przystojnym mężczyzną, gdyby nie szpeciły go nagie dziąsła z kilkoma zaledwie sterczącymi zębami.

Kiedyś Put był wysokiej rangi oficerem i dowodził jednym z oddziałów armii Dalekiego Wschodu, zwanej niegdyś Armią Marszałka Blüchera. Dowództwo armii sowieckiej utrzymywało te oddziały na Dalekim Wschodzie na wypadek wojny z Japonią. Put wybił się bardzo w

czasie służby i posiadał wiele sowieckich odznaczeń i orderów.

— Zupełnie nieoczekiwanie — mówił Put zniżonym głosem — wezwano mnie pewnego dnia do prokuratora. Byłem przekonany, że jestem potrzebny w jakiejś sprawie urzędowej, może jako świadek. Po moim przybyciu prokurator, mój dobry znajomy — wiesz, jak się wszyscy znają w takich małych miasteczkach — nie przywitał się ze mną. Nie patrząc w moją stronę wezwał trzech żołnierzy, którzy zabrali mi rewolwer i zerwali mi ordery i oznaki oficerskie. Nie rozumiałem, co to ma znaczyć, i z początku nawet próbowałem się opierać. Żołnierze obeszlą się ze mną brutalnie, związali mi ręce i nogi. Wtedy prokurator podszedł do mnie i zaczął mnie obrażać najgorszymi słowami. „Ty łotrze, szpiegu, zdrajco, sprzedajesz się wrogom Związku Sowieckiego” — krzyczał, nie przebierając bynajmniej w wyrażeniach. Wrzucono mnie do ciemnicy, gdzie przebyłem kilka dni. Nie mogłem tego zrozumieć. Byłem przecież starym członkiem partii, miałem „dobre” pochodzenie klasowe — jestem synem ubogiego chłopca — zawsze też byłem w najwyższym stopniu lojalny w stosunku do władz i gotów do daleko idących poświęceń. Byłem wysokim oficerem, pułkownikiem, i naprawdę nic nie można mi było zarzucić. Polityczne „czystki” nie mogły się do mnie odnosić — nigdy nie brałem udziału w sporach politycznych, poświęcając cały mój czas sprawom wojskowym i pracy dla armii. O tym wszystkim rozmyślałem, leżąc w ciemnicy. Ale w żaden sposób nie potrafiłem rozwiązać zagadki, domyślić się, skąd to nieszczęście na mnie spadło.

— Jednakże musiały być jakieś powody aresztu — wtrąciłem, zaciekawiony.

Put myślał przez długą chwilę. Następnie wymienił kilka możliwości, które jego zdaniem wchodziły w grę. Może został wydany przez przyjaciela, również pułkownika, przy którym powiedział raz kilka nieostrożnych słów, wypiszący za dużo; może na dnie tej historii leżała intryga, spowodowana przez zazdrość. Put nie wyjaśnił mi, co oznaczały te słowa, ale łatwo się było domyślić, że chodziło tu o kobietę. Również, mówił Put, mogła mu zaszkodzić, jak to w Rosji bywa, znajomość obcych języków — japońskiego, chińskiego i nawet angielskiego, tym bardziej, że kilka lat wcześniej przebywał przez pewien czas zagranicą w

jakiejś misji wojskowej. Ale to wszystko były tylko domysły. Kto wie, może suma tych wszystkich przyczyn złożyła się na jego klęskę?

Nawet z przebiegu dochodzenia Put niczego nie mógł odgadnąć. Śledczy ciągle domagał się od niego przyznania, że był szpiegiem japońskim, niemieckim i na dodatek jeszcze angielskim. Zamęczano go najbardziej absurdalnymi zarzutami. Próbowano wszystkich środków, by wymusić zeń zeznanie, poczynając od uprzejmych pytań, a kończąc na groźbach zastrzelenia go na miejscu. To obiecywano mu specjalne względy, to znów trzymano tygodniami w karcerze. Ale mimo wszystko nie przyznał się.

— Nawet trzymanie mnie twarzą do ściany nic im nie pomogło — opowiadał Put. — Gdy tak się stoi bez ruchu choćby pół dnia, człowiek dostaje zawrotu głowy, ściany pokoju i cały świat zaczynają krążyć. Traci się powoli przytomność. Ale to także wytrzymałem...

Z kolei zabrano się do okrutnego bicia.

— Wtedy to straciłem niemal wszystkie zęby — ciągnął. — Uszkodzono mi płuca i nerki. Zmarnowali mi zdrowie, a byłem kiedyś naprawdę mocny, nigdy nie chorowałem. Ale zniósłem wszystko, bo jakże mogłem przyznać się do fałszywych oskarżeń, w dodatku tak absurdalnych? Milczał długą chwilę, potem podjął opowiadanie.

— A jednak w końcu przyznałem się do wszystkiego, czego żądali, i nawet więcej...

— Jak to być może? — wykrzyknąłem ze zdumieniem.

— Znaleźli jeszcze jeden sposób, gorszy dla mnie niż bicie, i tego już nie potrafiłem znieść. Wzięli mnie do specjalnego pokoju, umieścili w ostrym świetle lampy i zaczęli przepytывanie bez przerwy, dzień i noc. Śledczy zmieniali się co parę godzin, a ja siedziałem ciągle, bez jedzenia, picia czy papierosa. Sędziowie po drugiej stronie biurka spokojnie zjadali, pili i palili. Po czterdziestu ośmiu godzinach głód przestał mi dokuczać, za to pragnienie paliło mi wnętrzności. Gorsze jeszcze było zmęczenie i ogarniająca mnie coraz mocniej senność. Chwilami zapadałem w drzemkę i wówczas budzono mnie szczypaniem w policzki. Gdy omdlewałem i zsuwałem się na podłogę, dawano mi parę łyków wody i znów sadzano na krześle. „Przyznaj się — powtarzali bez końca — a natychmiast dostaniesz jedzenie,

picie i pozwolimy ci spać". Czwartego dnia — a może już trzeciego, straciłem wówczas rachubę — załamałem się...

Gdy tylko Put zgodził się podpisać zeznanie, życie stało się dla niego lżejsze. Od razu podali mu ocukrzoną herbatę, papierosy i nawet kieliszek wina. Później pozwolono mu spać.

„Jesteś inteligentnym człowiekiem”, następnego dnia powiedziano mu. „Najlepiej będzie, jeśli sam napiszesz szczegółową historię twojej przestępczej działalności”. Dostarczono mu tyle papieru, ile sam chciał, i Put zasiadł do pisania. Pisał przez wiele tygodni i w ciągu całego tego czasu traktowano go dobrze, dostawał dość jedzenia i papierosów.

W swym długim zeznaniu Put napisał, że od wczesnej młodości był chciwy i ambitny, że już przed laty postanowił zużytkować swoją pozycję w Czerwonej Armii dla własnych celów. Dalej opisał swoją szpiegowską działalność. Nie pominął szczegółów spotkania z cudzoziemskim dyplomatą w czasie swej urzędowej misji zagranicą, i wymienił nawet jego nazwisko. Wyjaśnił, w jaki sposób ów dyplomata, kierujący w tym okresie siecią szpiegowską, utrzymywał z nim kontakt w ciągu długich lat. Wyliczał ważne tajemnice wojskowe, sprzedane obcym rządowi. Opowiedział o późniejszych kontaktach z japońskim wywiadem, o swej kochance, pięknej tancerce chińskiej, również wpłatanej w tę szpiegowską aferę. Dokładnie opisał swoje spotkania z przedstawicielami obcych wywiadów, tajną podróż do Tokio łodzią podwodną. Cytował fakty, daty, nazwiska, nazwy miast i ulic, sumy w obcej walucie, które otrzymywał jako wynagrodzenie. Nie pominął zabaw i hulańek, w których brał udział. W końcu wymienił wszystkie szkody, jakich dzięki jego działalności doznał Związek Sowiecki, wszystkie akty zdrazieckiego sabotażu, które planował na przyszłość, na wypadek wojny. Wyliczył nawet mosty kolejowe, które zobowiązał się wysadzić w powietrze w odpowiednim czasie.

Prowadzący śledztwo Puta urzędnicy prowincjonalnego oddziału NKWD byli zachwyceni. Oskarżony dostarczył im materiału, którego starczyłoby nie na jeden a na dziesięć wyroków śmierci. Żaden z nich, nawet prokurator, nie zadał sobie trudu starannego przestudiowania materiału. Sprawę skierowano do sądu wojskowego.

Sędziowie wojskowi byli przekonani, że sprawa pójdzie szybko. Oskarżony przyznał się do wszystkiego. Wyrok — kara śmierci — był z góry przesądzony i wydanie go sprowadzało się do załatwienia formalności.

Ale zaraz po rozpoczęciu tajnej rozprawy zdarzyła się rzecz nieoczekiwana. Put zaprzeczył wszystkim punktom oskarżenia. Opowiedział on sądowi o okrutnych metodach śledztwa, pokazał wybite zęby i obnażył plecy, pokryte niezagojonymi jeszcze ranami.

Sąd, złożony z generałów i pułkowników, niełatwo dał się przekonać. „Jeśli to, co oskarżony mówi o metodach śledztwa jest prawdą — spokojnie oświadczył przewodniczący — zachodzi tu wypadek poważnego naruszenia obowiązujących przepisów, które wyraźnie zabraniają bicia i złego traktowania więźnia w śledztwie. Ale nawet dziecko zrozumiałoby, że takimi zakazanymi metodami śledczy mogliby co najwyżej zmusić oskarżonego do podpisania przyznania. Tu zaś mamy całe sto stronic, napisanych własnoręcznie przez oskarżonego, zeznanie dokładne, szczegółowe...”

— Zeznanie? — zaśmiał się Put. — Dokładne i szczegółowe? Proszę, przeczytajcie nieco staranniej to, co napisałem.

I Put dowiódł sądowi, punkt za punktem, stronica za stronicą, że całe jego „zeznanie” było sprytnie obmyśloną bajką, fortelem, sfabrykowanym dla zaspokojenia jego prześladowców, prymitywnych urzędników prowincjonalnego oddziału NKWD. Dziwić się tylko należy, oznajmił Put, że sędziowie sami nie zorientowali się w jego podstępnie. Wykazał on jasno, że nie było ani jednego ważnego szczegółu w jego historii, który byłby prawdziwy lub mógł choćby wydawać się prawdopodobny przy uważniejszym czytaniu.

Dyplomata, który rzekomo wciągnął Puta w robotę szpiegowską, umarł jeszcze przed wojną 1914 roku. Chińską tancerkę, swą rzekomą kochankę, nazwał Put imieniem pierwszej lepszej aktorki hollywoodzkiej. A w okresie, gdy miał odbyć swą tajną podróż do Tokio, uczęszczał codziennie do wyższej szkoły wojskowej w Moskwie, co można było z łatwością sprawdzić...

Nazwy hoteli i ulic zagranicznych miast, które wymie-

nił, w ogóle nie istniały. A daty wydarzeń nie zgadzały się ze sobą i przeczyły jedna drugiej.

— Kiedyś lubiłem czytać kryminalne powieści — ciągnął Put swoje opowiadanie — i zastosowałem ich technikę w moim „zeznanii”. Był to istny romans detektyw, najgłupsza bujda na świecie.

Tu Koreańczyk uśmiechnął się, ubawiony wspomnieniem.

Wypadek był tak jaskrawy, że jedynym wyjściem dla sądu było odroczenie rozprawy. Nakazano przeprowadzenie dochodzenia, w rezultacie którego usunięto prokuratora i kilku wyższych urzędników miejscowego NKWD. Put wygrał walkę z NKWD i wyszedł zwycięzcą — złamanym zwycięzcą bez zębów i z odbitymi nerkami.

Ale to jeszcze nie był koniec. Sprawę skierowano znów do NKWD i nowe śledztwo przeciągnęło się wiele miesięcy. Na koniec NKWD postanowiło nie kierować sprawy do sądu po raz wtóry, ale nie chciano również uwolnić Puta. Został on skazany zaocznie przez OSSO na pięć lat obozu pracy. I w ten sposób spotkaliśmy się w Uchtizmlagu, Put i ja...

Nie można tu pominąć podstawy prawnej wyroku Puta. Było to tzw. w Rosji *P. Sz.*, skrót wyrazów Podejrzenie Szpiegostwa. Takie niezwykle oskarżenie jest nieznane kodeksom karnym cywilizowanego świata. Normalnie albo istnieją dostateczne dowody winy i oskarżony podlega surowej karze do wyroku śmierci włącznie — albo w braku dowodów musi być uniewinniony. W Związku Sowieckim jednakże wynaleziono trzecie wyjście. Wystarczy samo podejrzenie i nawet przy braku wszelkich dowodów oskarżony — na wszelki wypadek — dostaje „łagodny” wyrok OSSO — trzy do ośmiu lat.

Spotkałem w obozach sporo osób, które były skazane za *P. Sz.* Między nimi znajdowali się także oficerowie, weterani świeżo zakończonej wojny rosyjsko-fińskiej.

Putowi udało się uniknąć formalnego wyroku śmierci. Ale w rzeczywistości pięć lat, które miał spędzić w obozie, równały się karze śmierci dla tego schorowanego, wiecznie plującego krwią człowieka. NKWD wiedziało o tym i również Put dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Tym właśnie zakończył z gorzkim uśmiechem swe opowiadanie.

Put był poważnym i godnym zaufania człowiekiem. Jestem przekonany, że jego niezwykła historia była prawdziwa.

Dziś już Put byłby wolny — pięć lat dawno minęło. Ale nie wątpię ani przez chwilę, że nie doczekał oswobodzenia; kości jego spoczywają z pewnością w zmarzniętej ziemi północnych tajg.

Staremu mojemu przyjacielowi, rosyjskiemu profesorowi Strowskiemu, było chyba najciężej w lesie. Zgarbiony i bezradny ledwo włókł się za nami, ale mimo to nie skarżył się nigdy. Duma i poczucie godności osobistej były od niego jak dawniej.

Pewnego dnia, po szczególnie wyczerpującej robocie, dostałem silnego krwotoku z nosa. Musiałem przerwać pracę i oprzeć się o drzewo. Stary profesor podszedł do mnie i umoczoną w śniegu chustką stał mi krew z twarzy. Zauważył to brygadier i rzucił się w jego stronę.

— Co ty się nim opiekujesz — wrzasnął. — Nie bój się, nie zdechnie! A tobie nie wolno tracić czasu...

Po raz pierwszy zdarzyło się, że Strowski stracił panowanie nad sobą.

— Zamilcz! — krzyknął w stronę brygadiera, i odwracając się ku mnie powiedział cicho:

— Nie myśl, przyjacielu, że Rosjanie są złym narodem. Wierzej mi, że cierpiący ludzie rosyjscy są naprawdę dobrzy. To tylko życie nazbyt trudne czyni ich nieczułymi na niedolę bliźnich — cierpienie, nędza i praca ponad siły, i wieczna walka, i ta nieprzebyta, okrutna tajga wokół nas...

Pewnego dnia zauważyłem grupę może dwustu kobiet stojących w pobliżu łaźni. Kobiety zbiły się w gromadkę, jakby pragnąc odgrodzić się możliwie najbardziej od tłumu otaczających je mężczyzn. Zachowywały się, jakby nie słyszały zaczepki i wulgarnych dowcipów, którymi je atakowano. Wydawały się przerażone i bezradne.

Domyśliłem się od razu, że pochodziły one z dużych miast. Jak na sowieckie stosunki, były ubrane dobrze i nawet gustownie. Niektóre miały futra. Głowy miały owinięte kolorowymi wełnianymi chustkami, a niektóre nawet nosiły ładne rosyjskie czapeczki z futra. Większość miała

ciepłe rękawiczki lub mufki i dobre obuwie, boty i *walonki*. Łatwo było zauważyć, że odzież ich, choć zgnieciona i podniszczona, była uszyta z dobrych materiałów. Te kobiety musiały być kiedyś zamożne i dbać o swoją powierzchowność.

Postaci ich nie były pozbawione wdzięku. Ruchy, którymi poprawiały włosy lub zawiązywały chusteczki, były lekkie, powabne, kobiece. Miałem nawet wrażenie, że nie brakło im pewnej zalotności. Od dawna już nie widziałem tego typu kobiet i zapomniałem nawet o ich istnieniu.

Więźniowie z ciekawością przyglądali się temu nieznajomemu w naszych warunkach zjawisku.

— *Żentagiera* — odezwał się któryś.

Profesor Strowski opowiadał mi kiedyś dokładnie o tych obozach dla kobiet. Znajdują się w nich, poza zwykłymi zesłankami, także tysiące kobiet, których jedyną zbrodnią było to, że były matkami, żonami lub córkami skazańców politycznych.

Każdy obywatel sowiecki jest zobowiązany do donoszenia władzom o osobach, podejrzanych o „kontrewolucyjną” działalność. Niewypełnienie tego obowiązku podlega surowym karom. Istnieje przy tym domniemanie, że osoby pozostające w bliskim kontakcie z oskarżonym o szkodliwą działalność polityczną — np. krewni lub współlokatorzy — musieli być świadomymi przestępstwa. I dlatego każdy niemal areszt polityczny pociąga za sobą deportację żony i dzieci więźnia.

Łatwo było odgadnąć, że wszystkie te kobiety, stłoczone dokoła naszej łaźni, należały niegdyś do najwyższej klasy społeczeństwa sowieckiego. Ich mężowie czy ojcowie musieli być dygnitarzami i wraz z rodzinami korzystali ze wszystkich przywilejów sowieckiej biurokracji żyjąc z dala od beznadziejnej nędzy ogółu ludności. I dlatego teraz kobiety te patrzyły z przerażeniem na nasz obóz, nasze brudne baraki. A przede wszystkim na nas samych, bandę obdartych nędzarzy.

Większość z nich najpewniej nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że oto i one przekraczały już próg prawdziwego życia obozowego, że wstąpiły już na drogę wiodącą w głąb piekła, z którego nie ma powrotu. Patrząc na nie, zastanawiałem się, ile czasu przejdzie, nim te delikatne istoty ulegną ciężkim warunkom obozów i zmieniają się w wykole-

jone, wynędzniałe stworzenia, jakimi były kobiety w naszym obozie.

Zazwyczaj oprócz specjalnych zon kobiecych, w obozach męskich znajduje się pewna ilość baraków, zamieszkałych przez kilkadziesiąt lub kilkaset kobiet.

Te żeńskie oddziały uchodzą za istne dno znieprawienia. Mówiono, że nasza własna męska banda razem z *urkami*, bandytami, złodziejami i donosicielami była freblówką dla dzieci w porównaniu z piekłem kobiet.

Dużą część zesłanek stanowiły zawodowe przestępczynie, pochodzące z mętów społecznych lub takie, które zeszyły na złą drogę w młodości i spędziły życie w środowiskach złodziei, bandytów i sutenerów. Każda z nich przeżyła z pewnością wszystkie stopnie poniżenia i upadku, nim dotarły do obozu, który miał się stać ukoronowaniem ich edukacji.

Te wykolejone kobiety — w języku obozowym zwano je *szatman* — rządziły innymi więźniarkami jak *urki* wśród mężczyzn.

Inną grupę kobiet stanowiły tzw. *bytowiczki*, skazane za defraudację, drobne przywłaszczenia czy kradzieże w sklepach, itp. Niektóre z nich były zatrudnione w biurach obozowych. Wyglądały one czyściej niż *szatman* i lepiej też się zachowywały. Cieszyły się powodzeniem u *pridurków*, tj. więźniów zatrudnionych w urzędach obozowych, a nawet i u enkawudzystów.

Warunki obozowe były jeszcze cięższe do zniesienia dla kobiet niż dla nas. Tak samo dokuczał im głód i mróz, tak samo musiały pracować. Były przecież, zgodnie z konstytucją, „równouprawnione”. Naturalnie, normy pracy były dla nich za ciężkie, szukały więc sposobów, aby się jakoś ratować. Jedyną drogą dla nich było znalezienie protekcji urzędników, dziesiętników i wpływowych *urków*. W ten sposób większość zesłanek zaczynała uprawiać prostytutkę — specjalną obozową odmianę, w której ceną miłości jest kęs strawy, nędzny łach albo dzień wolny od pracy. Niemal każda z nich była skazana na upadek, a wstąpiwszy raz na złą drogę, przechodziła z rąk do rąk i staczała się coraz niżej.

Więźniowie w swej ogromnej większości byli tak osłabieni i wymęczeni, że nawet myśleć nie mogli o szukaniu miłosnych przygód. Prawdą okazały się dawne przepo-

wiednie naszych więziennych dozorców: „Jeść tam w obozie będziesz i pracować będziesz; ale „kochać” nie będziesz miał siły”. Natomiast *urki* i *pridurki* którzy odżywiali się lepiej i umieli wykręcać się od pracy, szukali stosunków z obozowymi kobietami. Było powszechnie wiadome, że mimo surowych zakazów zakradali się nocą do baraków kobiecych, gdzie niemal publicznie odbywały się najdziksze orgie.

Była jednak w obozie inna, bardzo liczna kategoria kobiet — zesłanki polityczne. Tak jak wśród mężczyzn i wśród nich było wiele osób, które właściwie nigdy nie mieszały się do życia politycznego. Były to żony *kułaków*, kobiety skazane za nieostrożne słowo lub za propagandę religijną. Bywały jednak także prawdziwe zesłanki polityczne, przeważnie inteligentki, wywiezione za takie czy inne „odchylenia”. Wiele z nich również ulegało wykołajeniu i nie było w tym nic dziwnego. Ale inne oparły się wszelkim pokusom. Można je było rozpoznać na pierwszy rzut oka, tak różniły się od otoczenia wyglądem i zachowaniem. Życie tej garstki było chyba najcięższe. Te kobiety musiały posiadać niezłomną siłę moralną.



Nie mogę zapomnieć o młodej Rosjance, Nataszy. Była to smukła brunetka, o drobnej, szczupłej twarzy i dużych ciemnych oczach. Rysy miała delikatne i prawidłowe, ale jakiś gorzki grymas warg nadawał jej wyraz znużenia i dziwnie ją postarzał. W rzeczywistości była jeszcze z pewnością młoda, musiała mieć niewiele ponad trzydzieści lat.

Natasza opowiedziała mi, że w 1937 roku ona i jej mąż padli ofiarą „czystek”. O mężu słyszała potem już tylko raz, i wiadomości były złe. Mówiąc to, Natasza nie patrzyła na mnie. Jej czarne brwi były ściągnięte jeszcze boleśniej niż zazwyczaj.

Ale najwięcej bólu ułowiłem w jej głosie wtedy, gdy mówiła o losie swej nieszczęsnej ojczyzny, którą gorąco kochała, o rewolucji zwycięskiej a jednak przegranej — i o partii, do której należała wraz z mężem i której poświęciła najpiękniejsze lata młodości. Jeszcze teraz czuła się z nią związana. Powiedziała mi, że osobiste przeżycia

ostatnich lat nie zniszczyły jej wiary w wielkość i sprawiedliwość idei, którą ukochała od najwcześniejszej młodości.

Nie da się zaprzeczyć, stwierdzała, że partia zbłądziła na złą, być może nawet zbrodniczą drogę; ale w ostatecznym wyniku, wciąż jeszcze wierzyła Natasza, że wielkie i piękne cele komunizmu będą osiągnięte.

Ze słów Nataszy można było wyczuć dręczące ją wątpliwości. Walczyła sama ze sobą, pragnąc zrozumieć, dlaczego losy rewolucji były aż tak tragiczne. Często wymieniała nazwiska poszczególnych wodzów rewolucyjnych — o niektórych mówiła z nienawiścią, o innych z sympatią i ufnością. Jedyne, którego nigdy nie wymieniła, było imię Stalina.



Po wybuchu wojny władze obozowe zaczęły się do nas, polskich więźniów, odnosić jeszcze bardziej wrogo i podejrzliwie. Trudno to było zrozumieć. Przecież Polska była pierwszym krajem, który stawiał zbrojny opór wobec agresji hitlerowskiej i to w czasie, kiedy Związek Sowiecki był związany paktem przyjaźni z nazistowskimi Niemcami. Jeśli zaś chodzi o Żydów, to — jak wiadomo — byli oni pierwszymi ofiarami hitleryzmu i jego najzaciętszymi wrogami. Jednak wbrew wszelkiej logice traktowano nas coraz gorzej i z niezrozumiałych przyczyn uważano nas za szczególnie niebezpiecznych ludzi, kto wie nawet, czy nie za szpiegów niemieckich.

Pewnej nocy, w początkach lipca, przeniesiono mnie wraz z innymi do specjalnej, ściśle izolowanej zony. Stworzono w ten sposób jakby dodatkowe więzienie w obozie. Moi towarzysze niedoli byli to przeważnie obcy obywatele, zdarzali się jednak między nami i poddani sowieccy, skazani za ciężkie przestępstwa polityczne, jak szpiegostwo, propaganda kontrrewolucyjna itp.

Z tej grupy szczególnie utkwiał mi w pamięci inżynier Szaniawski, Polak zupełnie zrusyfikowany. Umiał trochę mówić po polsku, ale unikał tego, jak również kontaktów z nami, przybyszami z Polski. Robił wrażenie bardzo zstraszonego, ale mimo to pewnego razu udało mi się z nim pogadać i dowiedzieć się wielu interesujących szczegółów o jego przeszłości.

Dziadek Szaniawskiego brał udział w Powstaniu Styczniowym w 1863 roku i został wraz z żoną zesłany na Syberię. Jego syn — ojciec mego towarzysza obozowego — urodził się już na Syberii i nigdy nie był w Polsce. Ożenił się z Rosjanką i dlatego jego syn był już tylko pół-Polakiem, nosił nawet rosyjskie imię Igor.

Igor byłby może zapominał zupełnie o swym polskim pochodzeniu, ale przypomniano mu o nim nader dotkliwie w 1937 roku, gdy wraz z tysiącami innych Polaków padł ofiarą gwałtownych „czystek” tego okresu. Wyrzucono go wówczas z pracy i wywieziono do obozu.

Po wysłuchaniu tej historii zrozumiałem, dlaczego Igor nas unikał i w ogóle był taki lękliwy. Na jego barkach ciążyła rodzinna tradycja trzech pokoleń zesłańców.

W pierwszych dniach sierpnia kilkunastu nowych więźniów, którzy dotychczas byli zatrudnieni w miasteczku Czibiu, zostało sprowadzonych do naszej zony. Opowiadali oni, że radio moskiewskie nadało podobno wiadomość o amnestii dla wszystkich polskich obywateli, zamkniętych w sowieckich obozach i więzieniach.

Zaprzysiężeni z nami więźniowie rosyjscy nie wierzyli ani przez chwilę tej nowinie.

— Masowe zwolnienie z obozów jest zupełną niemożliwością — zapewniali nas. — Nic podobnego nie zdarzyło się nigdy w sowieckiej historii. Nie róbcie sobie zbędnych złudzeń. NKWD nie wypuszcza swoich ofiar.

Ale mimo wszystko my wierzyliśmy w ten nieprawdopodobny cud, i okazało się, że mieliśmy rację.

Pewnego wieczoru, w połowie sierpnia, wszyscy obywatele polscy w naszej zonie zostali zgromadzeni na wielkim placu. Staliśmy tam w oczekiwaniu i napięciu. Szmer głosów pełnych podniecenia rozbrzmiewał w zapadającym zmierzchu.

Nagle wszystko ucichło: ujrzeliśmy drobną postać Pełnomocnika NKWD, najgroźniejszej osobistości obozu.

Wszedłszy na przygotowane podium, zaczął swe przemówienie od wojny i ciężkiego oporu, jaki Związek Sowiecki stawia Niemcom. Polski Rząd w Londynie, z Generałem Sikorskim na czele, mówił dalej, podpisał układ z Rządem Sowieckim, dotyczący walki ze wspólnym wrogiem. Na terytorium sowieckim zostanie zorganizowana

Polska Armia i wszyscy polscy obywatele będą zwolnieni z obozów i więzień, aby móc do niej wstąpić.

Odpowiedzieliśmy długim, żywiołowym „Hura!”. Rozległ się śpiew hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”. Niektórzy płakali.

Urzeczywistnił się dla nas ten nieprawdopodobny cud: byliśmy zwolnieni z sowieckiego obozu.

Dopiero w końcu sierpnia powiedziano nam, że wszystkie formalności, związane z naszym zwolnieniem, są już załatwione. Każdemu z nas wydano zaświadczenie zwolnienia, tzw. *udostowierienie*. Mój dokument był wydany w dniu 30 sierpnia 1941 roku i nosił numer 6337221.

Wyjazd z obozu

Pragnąłem przed wyjazdem pożegnać moich obozowych przyjaciół i mimo zakazów wymknąłem się do miasteczka Czibiu. W moim dawnym biurze zarówno więźniowie jak i ludzie „wolni” patrzyli na mnie ze zdumieniem i zawiścią.

Sergiej pożegnał mnie po swojemu.

— Nie sądz Rosji po tym, co widziałeś w obozach — powiedział. Milczałem, a on ciągnął:

— Wiem, co myślisz o sowieckich obozach. Ale zastanów się nad jednym: czy byłeś tu traktowany inaczej niż rosyjscy więźniowie? Czy dano ci odczuć, że jesteś Żydem i cudzoziemcem?

Nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Wiedz także, że nasze cierpienie w obozach nie jest daremne. Naszą pracą, naszym potem i naszą krwią budujemy potężny kraj. To my, zesłańcy, tworzymy przemysł, budujemy drogi, koleje żelazne; my to kopimy węgiel na Uralu i złoto na Kołymie. My zbudowaliśmy Dnieprostroj i Magnitogorsk...

Sergiej mówił to wszystko w nerwowym podnieceniu i głos mu drżał, gdy domawiał ostatnich słów. Trudno było osądzić, czy wstrząsał nim gniew, zwątpienie czy też entuzjazm.

Godzinę później powtórzyłem tę rozmowę mojej najlepszej przyjaciółce biurowej, Sarze Aronownie. Była właś-

nie po pracy. Wyszliśmy razem z biura i odprowadzałem ją do domu. Sara nie lubiła Sergieja, ale wysłuchawszy mego opowiadania powiedziała:

— W gruncie rzeczy Sergiej nie jest złym człowiekiem. Wierzy naprawdę w to, co panu powiedział... Każdy z nas ma swoje własne prawdy...

Sara zaprosiła mnie na herbatę. Teraz, gdy już byłem wolny, nie bała się zaprosić mnie do siebie. Rozpaliła ogień i postawiła imbryk na piecu.

Patrzyłem z żalem na jej mały, biedny, szary i smutny pokój. Okno ledwo przepuszczało resztkę dziennego światła. Wąskie łóżeczko mało co się różniło od naszych obozowych nar.

Sara była zapewne jedyną wśród moich obozowych znajomych, która ucieszyła się moim zwolnieniem szczerze. Ja jednak doznawałem w jej towarzystwie uczucia zmieszania i jakby winy. Oto wkrótce będę na wolności, a ona zostanie tutaj bez żadnej nadziei na przyszłość. Bez przekonania i tylko dla uspokojenia własnego sumienia zapytałem, czy nie będę mógł jej czymś pomóc, gdy opuszczę łagier. Może powinienem szukać jakichś dróg, aby uzyskać dla niej zezwolenie na wyjazd z tego strasznego miejsca. Ale Sara wstrząsnęła tylko swą siwą głową.

— Nie — powiedziała w zamyśleniu. — Nie będzie pan mógł mi pomóc. Może pan tylko utrudnić mi sytuację i sam narazić się na przykrości. Najlepiej nie wspominać o mnie nikomu i zapomnieć w ogóle o moim istnieniu. Niech już wszystko zostanie po dawnemu...

Tyle było rezygnacji w jej głosie, że serce mi się ścisnęło. Zapytałem, dlaczego tak biernie znosi swój los; jak w ogóle mogą — ona i wszyscy Rosjanie — tak cierpieć i nie stawiać nawet najmniejszego oporu. Czyż nie powinni, mówiłem, przynajmniej próbować zrzucić z siebie jarzmo, skoro i tak nie mają już nic do stracenia?

— O czym pan mówi, na Boga? — zdziwiła się Sara. — Zna pan przecież życie obozowe i wie, jaką siecią jesteśmy tu opłatan, jakim tysiącem łańcuchów, które wiążą naszą wolę i zdolność działania, i którym trudniej się wymknąć niż karabinom strażników i donosicielstwu *urków*. Widział pan przecież, jak w tym bezmiarze cierpienia, w codziennej walce o przetrwanie, niektórzy więźniowie zdobywają sobie drobne przywileje, które wydają się ich wyróżniać

na tle ogólnej nędzy. Jednemu przypada w udziale nieco lepsza praca, drugiemu dodatkowa porcja chleba, trzeciemu jakiś ciepły łach, a jeszcze innym odrobina władzy nad resztą towarzyszy. Każdy trzyma się pazurami tego co posiada, boi się to stracić i ma nadzieję, że jeszcze coś zdobędzie. To stwarza stałe poczucie rywalizacji, wieczną walkę wszystkich przeciwko wszystkim, i niszczy najmniej odzuchy solidarności między więźniami...

Westchnęła.

— Naturalnie, jest wielu więźniów bez *blatu* i bez przywilejów. Ale ci tak szybko ulegają fizycznemu załamaniu, że gdzieby mogli myśleć o oporze. Wam, Polakom, przydarzył się cud. Bez tego cudu bylibyście w tym samym beznadziejnym położeniu...

Milczeliśmy przez chwilę. Potem zapytałem cicho, dlaczego ona sama, Sara, nie próbuje ucieczki. Było to niebezpieczne, prawda, ale czegoż nie warto zaryzykować dla wolności. Opowiedziałem jej o ucieczce z Sybiru mego brata Wiktora, o jego szczęśliwym wydostaniu się zagranicę. Powtórzyłem jej wszystkie zasłyszane od Wiktora szczegóły, które zapamiętałem z dzieciństwa — jak udało mu się zmylić czujność straży, jak przyjaciele dostarczyli mu fałszywego paszportu.

— Kiedy to wszystko było? — zdziwiła się Sara.

— W 1913 roku.

— Oh! — zaśmiała się — W tych sentymentalnych carskich czasach...

Podziękowałem Sarze za wszystko, co dla mnie zrobiła, i pożegnałem ją z żalem.

— Jedno i tylko jedno może pan dla nas uczynić — były jej ostatnie słowa do mnie. — Jeśli uda się panu wydostać zagranicę — a mam nadzieję, że się uda — niech pan powie ludziom tam, w wolnym świecie, to wszystko co pan wie o nas... Powiedz Zachodowi...

Długą kolumną przemaszerowaliśmy przez zonę obozową po raz ostatni. Było nas przeszło tysiąc — odzianych w podarte łachmany, często bosych, ze starymi torbami na plecach. Byliśmy gromadą ogłuszonych ludzi, oderwanych od rodzin, wydartych z normalnego życia. Wielu z nas było chorych, ze szkorbutowymi wrzodami, z odmrożonymi rękoma i stopami. A jednak byliśmy szczęśliwi, my, którym

dane było doczekać dnia wyzwolenia, podczas gdy tyłu spomiędzy nas pozostało na zawsze w bezimiennych grobach tajgi.

Szliśmy w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach. Mieliliśmy za sobą ciężki rozdział życia i wyruszyliśmy w przyszłość z niepokojem, choć nie bez nadziei. Grupa oficerów stała spoglądając za nami, gdy przekraczaliśmy bramę obozu: jeszcze tak niedawno temu byliśmy całkowicie zdani na ich łaskę i niełaskę.

Brama obozowa zamknęła się za nami. Z wieżyczek strażniczych spoglądali jak zwykle nieruchomi żołnierze.

Szliśmy szybko i raźnie, po raz ostatni przechodząc drogą, która tyle razy wiodła nas do pracy i z powrotem. Właśnie skończył się dzień roboczy i gromady więźniów pod strażą wracały z lasu i od robót ziemnych, każda do właściwej zony obozu.

Szli ciężkim krokiem ludzi zmęczonych, smutnych i zrezygnowanych, krokiem, który nam samym był tak dobrze znany. Patrzyli na nas — opuszczających obóz w drodze do wolności — ze zdumieniem, niedowierzaniem i goryczą.

Na szerokiej drodze nad rzeką Uchtą dwie kolumny wymięły się w milczeniu.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

Urodzony w 1919 r. Pisarz i krytyk literacki. Po klęsce wrześniowej która przerywa jego studia na Uniwersytecie Warszawskim, redaguje jedną z pierwszych gazetek podziemnych. Pragnąc wstąpić do wojska polskiego we Francji usiłuje przedostać się na Litwę. Aresztowany na granicy, po przewlekłym śledztwie zostaje skazany na 5 lat ciężkich robót za „zamierzone przekroczenie granicy sowiecko-litewskiej w celu prowadzenia wojny ze Związkiem Sowieckim”. Po dłuższym okresie więzień w Grodnie, Witebsku, Leningradzie i Włodgrodzie zostaje przesłany stołypką do stacji Jercewo pod Archangielskiem. W łagrze jercewskim znajduje się od października 1940 do stycznia 1942. Zwolniony, wędruje poprzez Wologdę, Swierdłowsk, Czelabińsk, Orsk, Orenburg, Aktiubinsk, Kizil-Orda, Czinakent do Ługawoje, gdzie zostaje przyjęty do 10 PAL'u 9-tej Dywizji Piechoty, złożonej z najpóźniej zwolnionych i najbardziej schorowanych więźniów. Dywizja ta wyjeżdża z Rosji z pierwszą ewakuacją poprzez Taszkient, Samarkandę, Bucharę, Aszchabad do Kranowodska nad morzem Kaspijskim. 2 kwietnia 1942 r. ląduje w Pahlewi (Persja).

Pozostaje w wojsku do końca wojny i bierze udział w walkach 2 Korpusu a także w bitwie pod Monte Cassino. Po rozwiązaniu 2 Korpusu poświęca się pracy pisarskiej. Przebywa najpierw w Angli, potem w Monachium a następnie osiedla się na stałe w Neapolu. Współpracuje z „Kulturą” paryską, z „Il Mondo” i „Tempo Presente”.

Zaraz po wojnie wydaje tom szkiców literackich „Żywi i umarli” i opracowuje dla „Instytutu Literackiego” Antologię noweli wojennej „W oczach Pisarzy”, wydaną w Rzymie w 1947 roku. W tym czasie pisze swoje wspomnienia z obozów i więzień sowieckich, które ukazują się najpierw w r. 1951 po angielsku pt. „The

World Apart" z przedmową Bertranda Russella (dwa nakłady w W. Brytanii i 2 nakłady w St. Zjednoczonych). Wspomnienia te ukazują się w języku polskim dopiero w r. 1953 (Gryf Publications, Ltd., Londyn) pt. „Inny świat”, a następnie w przekładach na języki: włoski, hiszpański (Argentyna), niemiecki, szwedzki, japoński, chiński (Hong-Kong) i arabski.

Poniżej drukujemy jeden rozdział z polskiego wydania „Innego świata”. Książka ta jest — wśród wielu innych — niewątpliwie najlepszą i najbardziej wyczerpującą relacją o łagrach sowieckich. Inteligencja, dar czujnej uwagi i pamięci, umiejętność grupowania i komentowania faktów i zjawisk, bezpośredniość narracji i wysoka klasa talentu pisarskiego stanowią o wartości tego dzieła. „Nie twierdzą” — pisze w przedmowie do tej książki Bertrand Russel — „że zrozumieć to wybaczyć... ale twierdzą, że trzeba absolutnie zrozumieć, jeśli się chce zapobiec rozprzestrzenieniu się podobnego zła na całym świecie”.

W ostatnich latach wydaje w „Bibliotece 'Kultury' ” tom opowiadań „Skrzydła Ołtarza”, tłumaczony na włoski, oraz tom esejów po włosku „Da Gorki a Pasternak”.

INNY ŚWIAT

Głód

Z moich obserwacji obozowych wynika, że kobiety znacznie gorzej znoszą głód fizyczny i seksualny niż mężczyźni. Proste prawo życia obozowego głosiło tedy, że łamiąc opierającą się kobietę głodem fizycznym, zaspokajają się jej obie potrzeby naraz. Mówię o tym bez cienia cynizmu. Jeżeli wspomnianie tego wszystkiego co działo się w Europie w czasie ostatniej wojny ma mieć w ogóle jakiś sens, to trzeba abyśmy zapomnieli na chwilę o zasadach zwykłej moralności, jaką żyli nasi dziadowie i ojcowie w drugiej połowie dziewiętnastego wieku i pierwszych dziesięciokilku lat stulecia, które zdawało się urzeczywistniać na naszych oczach pozytywistyczny mit postępu. Ortodoksyjni marksiści twierdzą, że nie istnieje w ogóle moralność absolutna, gdyż wszystko co dzieje się z człowiekiem uwarunkowane jest jego położeniem materialnym. Znaczyłoby to, że każda epoka, każdy kraj i każda klasa społeczna tworzy swoją własną moralność, lub że wszystkie te trzy czynniki razem tworzą coś, co nazywamy niepisany kodeks postępowania ludzkiego w danym miejscu na ziemi. Doświad-

czenia niemieckie i sowieckie potwierdzają do pewnego stopnia to przypuszczenie. Okazało się mianowicie, że dolna granica instynktownej wytrzymałości i przebiegłości ciała ludzkiego, poza którą zwykliśmy dotąd liczyć na moc charakteru lub świadome działanie wartości duchowych, nie istnieje w ogóle; słowem — że nie ma takiej rzeczy, której by człowiek nie zrobił z głodu i bólu. Ta „nowa moralność” nie jest już kodeksem uczciwego postępowania ludzkiego, ale kodeksem umiejętnego postępowania z ludźmi, i najeżona dziś wyostrozonymi kłami, tradycją swą sięga jeszcze do ząbkującej dzieciennie Inkwizycji Hiszpańskiej. Nie przeoczaźmy zbyt pośpiesznie tego faktu. Wspólne w obu tych nurtach jest przeświadczenie, że człowiek pozo-
stawiony sam sobie — bez wiary w objawiony system wartości duchowych, lub narzucony system wartości materialnych — jest bezkształtną kupą gnoju. Rewolucja genetyczna Łysienki odwróciła pokrewne w gruncie rzeczy tendencje w kościele katolickim. Tam człowiek ginie w odmętach grzechu i potępienia jeśli nie spłynie nań światło łaski nadprzyrodzonej, tu może być taki, jakim go uczynią zmienione sztucznie warunki przyrodzone; i tu i tam jednak jest bezwolnym przedmiotem w czyichś rękach, a od wstępnego sformułowania celu życia ludzkiego na ziemi zależy jedynie, czy na kupie gnoju wyrośnie żądany okaz hodowli biologicznej, czy błogosławiony kwiat duszy ludzkiej. Osobiście nie należę ani do ludzi, którym potworne przeżycia wojenne kazały złożyć akces do „nowej moralności”, ani do ludzi którzy widzą w nich jeden więcej dowód tego, jak kruchą istotą jest człowiek we władzy Szatana. Przekonałem się wielokrotnie, że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, i uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądzenia go według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich — tak jakby wodę można było mierzyć ogniem, a ziemię piekłem. Rzecz jednak w tym, że kiedy chcę obiektywnie opisać obóz sowiecki, muszę zstąpić do najgłębszych czeluści piekieł i nie szukać na przekór faktom ludzi tam, gdzie z dna wody letejskiej spoglądają na mnie twarze umarłych i żyjących może jeszcze towarzyszy, przekrzywione drapieżnym grymasem osaczonych zwierząt i szepczące zsiniałymi od głodu i cierpienia wargami: „Mów całą prawdę jacyśmy byli, mów do czego nas doprowadzono”.

Na obronę kobiet wypada jednak może dodać, że moralność obozowa — jak każda zresztą moralność — wytworzyła również swoją własną hipokryzję. I tak na przykład, nikomu by do głowy nie przyszło obwiniać o cokolwiek młodego chłopca, który dla polepszenia swej doli został kochankiem starej lekarki, ale ładna dziewczyna oddająca się z głodu odrażającemu starcowi z „chleborezki” była, rzecz prosta, „bladzią”. Nikt nie kwestionował jako „prostituowania się” dobrego prawa niemal wszystkich brygadierów i techników do comiesięcznego wypłacania się donosami w Trzecim Oddziale, ale kobieta wychodząca za zonę do naczelnika była „ prostytutką”, i to najgorszego typu, bo łamiąca solidarność więźniów wobec ludzi wolnych. Było rzeczą naturalną, że nowoprzybyły więzień oddawał brygadierowi resztki swego ubrania z wolności, aby uzyskać pewne względy przy procentowym obliczaniu normy (od którego zależała wysokość racji obozowej) i podziale pracy, ale gorszyło niektórych gdy uboga dziewczyna, uginająca się pod ciężarem toporu w lesie, oddawała mu pierwszego lub drugiego wieczoru wszystko co posiadała, czyli własne ciało. Ta hipokryzja zależała zresztą najczęściej od charakteru przedobozowych powiązań środowiska. Więzień kradnący chleb swemu towarzyszkowi zginąłby prawdopodobnie pod razami „urków”, którzy byli na ogół najwyższymi prawodawcami i sędziami w zakresie etyki obozowej, ale wśród Polaków znany był pewien ksiądz, ukrywający swą godność duszpasterską w łachmanach więźnia, który za spowiedź i rozgrzeszenie brał 200 gramów chleba (czyli o 100 gramów mniej, niż stary Uzbek wróżący z ręki) i chodził po swojej parafii w aureoli świętości. Gdy się zastanawiam nad przyczynami tego złożonego i trudnego zjawiska, dochodzę do wniosku, że w każdym większym skupisku ludzkim istnieje podświadoma dążność do wleczenia pod pręgierz „opinii publicznej” przychwyconych na gorącym uczynku ofiar, aby się tym tanim kosztem nieco samemu wybielić. Kobiety nadawały się do tego znakomicie, bo rzadko miały szanse do kupczenia czym innym poza własnym ciałem, a poza tym przyniosły ze sobą do obozu obciążenie konwencjonalnej obłudy moralnej z wolności, w myśl której każdy mężczyzna biorący kobietę w czasie pierwszych paru godzin flirtu uważany jest zazwyczaj za zabójczego uwodziciela, a każda kobieta oddająca się świeżo poznane-

mu mężczyźnie uchodzi za ładacznicę. Dla Rosjan, nawykłych do „ślubów za pięć rubli” i kopulacji uprawianej na wzór potrzeb fizjologicznych w wychodkach publicznych, nie był to właściwie problem istotny i służył raczej za przedmiot drwin z równouprawnienia kobiet w nowym ustroju, ale więźniowie cudzoziemscy (nie wyłączając komunistów) nie raz załamywali ręce nad „ogólnym upadkiem obyczajów moralnych w Rosji”. Tak czy owak prawdą jest, że głód najczęściej łamał kobiety, kiedy je zaś raz złamał, nie było już zaporę na równi pochyłej, po której staczały się na samo dno upodlenia seksualnego. Niektórym przyświecała w tym nie tylko nadzieja polepszenia swej doli lub znalezienia możnego opiekuna, ale i nadzieja macierzyństwa. Nie należy tego rozumieć zbyt sentymentalnie. Cała rzecz polega na tym, że kobiety ciężarne zwolnione są w obozie od pracy na trzy miesiące przed rozwiązaniem i na sześć miesięcy po urodzeniu dziecka. Sześć miesięcy to był okres przewidziany na odkarmienie dziecka do stanu, w którym można je było odebrać matce i uwięzić w niewiadomym kierunku. Barak macierzyński w Jercewie pełny był zawsze ciężarnych kobiet, które z wzruszającą powagą popychały przed sobą niewidzialne wózki swych pękających brzuchów, spiesząc do kuchni po supę. O uczuciach natomiast, o prawdziwych uczuciach, trudno jest mówić, gdy się uprawia miłość na oczach współwięźniów, lub w najlepszym razie w składzie starych ubrań, na przepoconych i śmierdzących łachach obozowych. Po latach zostaje z tego wspomnienie wstrętu, podobne do grzebania się w szlamie opróżnionej sadzawki, głęboka niechęć do siebie i do kobiety, która zdawała się niegdyś tak bliska...

W parę tygodni po moim przyjeździe do obozu — o ile mnie pamięć nie myli, w styczniu 1941 roku — przyszła etapem z więzienia młodzieńca Polka, córka oficera z Mołodeczna. Była naprawdę śliczna: smukła i wiotka, jak kłosa chwiejący się na wietrze, o dziewczęco świeżej twarzyczce i małych piersiach, ledwie rysujących się za granatową bluzeczką mundurka gimnazjalnego. Jury złożone z „urków” oceniło młodą klaczkę bardzo wysoko i nazywało ją otdąd — prawdopodobnie dla zaostrenia swego proletariackiego apetytu — „generalską doczką”. Dziewczyna trzymała się jednak świetnie; wychodziła do pracy z podniesioną dumnie główką i błyskawicami gniewnych spojrzeń

przeszywała każdego mężczyznę, który ośmielił się do niej zbliżyć. Wracła wieczorem do zony trochę pokorniejsza, ale dalej nieprzystępna i skromnie wyniosła. Prosto z wartowni szła do kuchni po zupę i nie wychodziła już nigdy z baraku kobiecego po zmroku. Wyglądało więc na to, że nie wpadnie tak łatwo w sidła nocnych łowów, a możliwość złamania jej głodem przy pracy utrudniał fakt, że przydzielona została do mieszanej kobieco-inwalidzkiej brygady 56-ej, która na bazie żywnościowej przebierała jarzyny lub latała worki. (Więźniowie z 56-ej nie mieli wprawdzie dostępu do naszych źródeł kradzieży, ale praca ich była stosunkowo lekka). Nie znałem jeszcze wówczas na tyle obozu, aby móc przewidzieć jak się ta cicha walka skończy, toteż bez wahania przyjąłem zakład o pół pajki chleba z inżynierem Polenko, zawiadowcą składu jarzyn na bazie, że dziewczyna nie ulegnie. Cała ta gra podniecała mnie w sposób, że tak powiem, patriotyczny — zależało mi na tym, żeby barwy biało-czerwone załopotwały dumnie na maszcie zwycięskiej cnoty. Po siedmiu miesiącach pobytu w więzieniu ani mi w głowie były jeszcze kobiety i naprawdę skłonny byłem uwierzyć pogrożkom sędziego śledczego, że „żyć będę, ale przespać się z kobietą nie zachcę”. Wykorzystując swą pozycję tragarza zaprzyjaźnionego z „urkami”, zagrałem więc nieuczciwie wobec Polenki i przedstawiając się dziewczyną jako student z Warszawy (żeby uniknąć pozorów megalomanii), zaproponowałem jej fikcyjne małżeństwo, które w ramach etyki obozowej uchroniłoby ją na pewien czas od łapanek przez osobliwe *ius primae noctis*. Nie pamiętam już teraz co odpowiedziała, ale musiało to być coś w rodzaju „jak Pan śmie”, bo dałem za wygraną. Polenko dostał ją do składu jarzyn i pilnie doglądał, żeby nie kradła nadpsutych marchewek i solonych pomidorów z beczek. Mniej więcej w miesiąc po zakładzie przyszedł wieczorem do naszego baraku i bez słowa rzucił na moją prycę podarte majtki kobiece. Odważyłem mu dokładnie, i również w milczeniu, pół pajki chleba.

Odtąd dziewczyna odmieniła się zupełnie. Nie spieszyła się jak przedtem po zupę do kuchni, ale wróciwszy z bazy goniła się po zonie do późnej nocy jak nieprzytomna kotka w okresie marcowego parzenia. Miał ją kto chciał, pod pryczą, na pryczy, w separatkach techników, w składzie ubrań. Ilekroć mnie spotykała, odwracała głowę, zaciskając

konwulsyjnie usta. Raz tylko, gdy zaszedłszy przypadkowo do składu kartofli na bazie, przyłapałem ją na kartoflisku z brygadierem 56-ej, garbatym pokurczem Lewkowiczem, wybuchną spazmatycznym płaczem i wracając wieczorem do zony tamowała łyzy dwiema drobnymi piastkami. Spotkałem ją w roku 1943 w Palestynie. Była już zupełnie starą kobietą. Zmęczony uśmiech na pomarszczonej twarzy odsłaniał szczyrby w spróchniałych zębach, a przepocona koszula drelichowa pękała od dwóch obwisłych piersi, wielkich jak u karmiącej matki.

W Jercewie znany był powszechnie inny epizod, nie dlatego zresztą żeby był wyjątkowy lub niecodzienny, ale dlatego że jego bohaterka stawiała również dość długi, jak na precedensy obozowe, opór. Tym razem chodziło o kruczową Tanie, śpiewaczkę Opery moskiewskiej, która przypłaciła wyrokiem dziesięcioletnim parę nadprogramowych tańców na balu dyplomacji zagranicznej. Skierowano ją z miejsca jako „politycznie podejrzaną” do brygady „lesorubów”. Cóż ta filigranowa dziewczyna o wąskich, delikatnych dłoniach mogła robić w lesie? Chyba tylko dorzucać gałęzie do ogniska, gdyby trafiła na ludzkiego brygadiera. Miała jednak nieszczęście podobać się niskiemu „urce” Wani i olbrzymim toporem oczyszczała zwalone jodły z kory. Wlokąc się o parę metrów za brygadą rosnących chłopów, przychodziła wieczorami do zony i resztkami sił ruszała do kuchni po swój „pierwszy kocioł” (400 gramów chleba i dwa talerze najrzadszej zupy — poniżej 100% normy). Było widoczne że ma gorączkę, ale „lekpom” (pomocnik lekarza, coś w rodzaju felczera) przyjaźnił się z Wanią i nie chciał jej dać za nic zwolnienia. Trwało to wszystko dwa tygodnie; po upływie tego rekordowego, jak na brygadę leśną, terminu Tania przydreptała wieczorem do baraku „lesorubów” i nie patrząc w twarz brygadierowi zwała się ciężko na jego prycę. Miała ten szczęśliwy instynkt, że potraktowała całą sprawę na wesoło i została czymś w rodzaju markietanki brygadowej aż do chwili, gdy jakaś pożądliva łapa naczelnika wyciągnęła ją za włosy z grzęzawiska i posadziła za stołem rachmistrzów obozowych. Słyszałem ją potem parę razy, śpiewając ładne piosenki rosyjskie w baraku „chudożestwiennej samodejatelnosti” przy wtórze głuchych pomruków „moskowskaja bladź”, które dochodziły z brygady „lesorubów”. Co by

było, gdyby przestała się podobać swemu „naczalniczkwowi” i wróciła do „chłopców z lasu”?

Głód, głód... Potworne uczucie, zamieniające się w końcu w abstrakcyjną ideę, w majaki senne, podsycane coraz słabiej gorącą istnieniem. Ciało przypomina przegrzaną maszynę, pracującą na zwiększonych obrotach i zmniejszonym paliwie, zwłaszcza gdy w okresach przesilenia zwirotczate ręce i nogi upodobniają się do starganych pasów transmisyjnych. Jaka jest granica jego działania, poza którą chyląca się do upadku godność ludzka odzyskuje na nowo swą zachwianą równowagę? Nie ma żadnej. Ileż to razy ja sam, rozpląszczywszy palającą twarz na oblodzonej szybie kuchni, zebrałem niemym spojrzeniem u złodzieja leningradzkiego Fiedzki o jeszcze jedną chochlę „rzadkiego”? A czyż najlepszy mój przyjaciel, stary komunista i towarzysz młodzieńczych lat Lenina, inżynier Sadowski, nie wyrwał mi raz na opustoszałym pomoście obok kuchni blaszanki z zupą, aby nie dobiegłszy z nią nawet do wychodka, wychłęptać po drodze gorącą ciecz spragnionymi wargami? Jeżeli istnieje Bóg, niech karze bezlitośnie tych, którzy łamią ludzi głodem.

Jedyne możliwości dorywczego zaspokajania głodu mieli tragarze w okresach zmniejszonej czujności na bazie żywnościowej i więźniowie bez konwoju, którzy wychodzili do pracy za zonę na mocy specjalnych przepustek. Za zoną nie było jednak również najlepiej. Z wartowni widzieliśmy nieraz ogonki przed małym, drewnianym domkiem u wejścia do miasteczka. Cała straż i administracja obozowa miały prawo kupować w nim codziennie poza normalnym przydziałem dwa kilogramy czarnego chleba i kawałek końskiej kielbasy, a raz na tydzień pół litra wódki. W głębi miasteczka istniał wprawdzie jeszcze jeden sklepik, tzw. specłarok, ale otwierał on swoje podwoje tylko dla dzieci wymienionym imiennie dygnitarzom obozowym. Na czele tej listy kroczył naczelnik obozów Kargopolskich, „kapitan gosudarstwiennoj bezopasnosti” Kolicyn, za nim szedł naczelnik Trzeciego Oddziału N.K.W.D. obozów Kargopolskich, na trzecim miejscu figurował naczelnik zaopatrzenia obozów Kargopolskich Blumen, na czwartym naczelnik obozu w Jercewie Samsonow, a potem sześciu naczelników głównych „łagpunktów”. Z nich wszystkich najlepiej pamiętam Blumenę, ponieważ cała baza żywnościowa

trzęsła się ze strachu, ilekroć przychodził na inspekcję. Opasłego wieprza, z olbrzymim złotym zegarkiem na przegubie prawej ręki i niezliczoną ilością pierścieni na palcach obu rąk, poprzedzał zawsze w mroźnym powietrzu niewidoczny obłoczek perfum. Mówił mało i prawie zawsze to samo: „Nada czestno rabotat’, zakluczonnnyje, eto wam nie kurort”, ale jak żywa stoi mi przed oczyma jego wściekła, nalana gęba, gdy spostrzegłszy nadgniłą marchewkę za pazuchą jednej z robotnic, rozerwał jej bluzkę i koszulę na piersiach, i wychłostał pulchną łapką po obu policzkach. Ten fakt był na bazie przedmiotem nietrudnych do odgadnięcia komentarzy. Nikt, kto nie przeżył obozów sowieckich nie potrafił zdać sobie sprawy z rozmiarów antysemityzmu w Rosji, tym gwałtowniejszego i bardziej zacieklego, że tłumionego i tępionego od góry. Tak więc gruba dziesiątka zaopatrywana była nieco lepiej i nieraz nasz dobroduszny konwojent nie umiał powstrzymać westchnienia skargi, gdyśmy wyładowywali „szampanskoje” lub „konfietti” dla „specłarka”. Mieli i oni — tam na wolności — swoją hierarchię, swoje drobne zawiści i kłopoty...

Jedynie w łaźni ocenić można było naocznie skutki głodu, w barakach bowiem więźniowie spali na ogół nierozdziani. Mała izdebka tonęła zawsze w szarówce sączącego się przez brudne szyby światła i w kłębach pary, unoszących się z wielkiej, drewnianej kadzi wrzątku. Przed wejściem do niej oddawało się na żelaznych obręczach ubranie i bieliznę do odwszenia, i otrzymywało w zamian za to mały kawałek szarego mydła wielkości kamienia, jakiego używa się do gry w domino. Odwszone ubrania, nawleczone żelaznymi kolczykami na długi drąg, przynosił po trzydziestu minutach z dezynfektora stary pop i opuściwszy żerdź do tyłu, zrzucił na podłogę w sionce. Przyjemnie było poczuć na czystym ciele twarde plastry rozgrzanego płótna. Innej formy zmiany bielizny nie było; chodziliśmy do łaźni mniej więcej co trzy tygodnie i były to jedyne chwile kiedy myliśmy się naprawdę, nie poprzestając na wilżeniu śniegiem zaropiałych oczu, twardych jak skorupa nozdrzy i zamulonych ust. Chudy i półnagi nauczyciel z Nowosybirska —

podobny do jogi hinduskiego, gdy zaciągniętymi mętną błoną oczami przyglądał się kąpiącym — wydzielał nam w łaźni po dwa cebrzyki wody: jeden wrzącej i jeden zimnej. Blade cienie o zapadniętych brzuchach i klatkach piersiowych, na owrzodzonych nogach sterczących jak dwie połamane zapalki ze szpulki bioder i o sflaczałych genitaliach zwisających w przekłutym worku, ugiwały się pod ciężarem cebrzyków, dysząc ze zmęczenia w parnym zaduchu izdebki. Nauczyciel z Nowosybirsk spełniał tu rolę eunucha z łaźni tureckiej, bo wykonywał niezmiennie swe funkcje, gdy do kąpeli przychodziły kobiety. Za szczyptę machorki na papierosa można się było od niego dowiedzieć, czy mają ładne piersi i uda czy stare spłaszczyły się już jak kloce uderzane młotem mechanicznym tak, że ich głowy wyrastają wprost z rozdętych monstrualnie bioder i nóg powykręcanych na podobieństwo sękatych konarów, a młode czy zachowały jeszcze resztki dziewczęcej wstydlivosti i wyraźną linię ramion.

W ów dzień ukradł mi ktoś z ławki kawałek mydła i mimo woli zakląłem wściekle w języku ojczystym. Stojący obok nad cebrzykiem gorącej wody niski, siwiejący starszek podniósł na mnie łagodne oczy i zapytał, z trudem wymawiając każde słowo po polsku:

— Znał pan może Tuwima?

— Osobiście nie — odpowiedziałem, ogłuszony tym niezwykle pytaniem, — ale z czytania...

— No, to niech mi pan umyje plecy.

Gdy nacierałem jego wychudłe plecy mydłem, wyjaśnił mi wszystko, pokaszlując bez przerwy. Profesor Borys Lazarowicz N. skończył przed wojną gimnazjum rosyjskie w Łodzi i wyjechał po rewolucji do Rosji. Z tych czasów pamiętał młodszego od siebie gimnazjalistę Tuwima, a dopiero potem dowiedział się o nim z prasy jako o znanym poecie polskim. W roku dwudziestym piątym p. N., wówczas już profesor literatury francuskiej w klasie prozy Instytutu Briusowa w Moskwie, sprowadził z Łodzi młodszą dziewczynę Olę, ożenił się z nią, umieścił ją na Politechnice i po paru latach postarał się dla świeżo upieczzonego inżyniera-elektryka o posadę w jednej z fabryk moskiewskich. W roku 1937 państwo N. zostali aresztowani i skazani na dziesięć lat za prowadzenie salonu literackiego w Moskwie, w którym zajmowano się wyłącznie literaturą

polską. Po trzech latach rozłąki spotkali się przypadkowo w jednym z „łagpunktów” Kargopolskich i przyjechali teraz razem (wypadek nie notowany w kronice obozów sowieckich) do Jercewa.

Tegoż jeszcze wieczoru poznałem p. Olę, młodą i ładną kobietę, która spojrzeniem pełnym smutku i niemego uwielbienia wodziła za swym nieporadnym mężem, a nazajutrz byliśmy już wszyscy troje serdecznymi przyjaciółmi. Miły starszek wyrzucony został niedawno jako wybrakowany robotnik na szmelc i z kartką „pierwszego kotła” odesłany do „trupiarń”, jego żonę przydzielono w Jercewie do 56-ej brygady na bazie żywnościowej, gdzie łątała worki i przebierała zgniłe jarzyny. Profesor N. nie potrafił znieść głodu i żył myślą o jedzeniu jak największą, starczą namietnością swego życia. Przynosiłem mu nieraz z bazy parę pieczonych kartofli lub skrawek solonej „treski” (olbrzymiej ryby północnej, podobnej w smaku do stokfisa) i dopiero gdy połknął łapczywie wszystko co wsunąłem mu niepostrzeżenie do ręki, udawało mi się wyciągać go na zwierzenia. W Instytucie Briusowa — który pomyślany był jako szkoła przyszłych pisarzy z klasami prozy, poezji, dramatu i krytyki literackiej — wykładał prozę francuską, głównie Balzaca. Opowiedział mi o dziwnych kolejach losu, jakie przeżyła twórczość Balzaca w Rosji sowieckiej, sterowanej wśród burz i nawałnic zmieniającymi się nieustannie kursami politycznymi. W pierwszych latach po Rewolucji Balzac był czczonym powszechnie autorem „Chłopów”; w latach trzydziestych ten entuzjazm opadł w krzyżowym ogniu krytyki marksistowskiej, która przypuściła gwałtowny szturm na jego rojalistyczno-zachowawcze Okopy Św. Trójcy; tuż przed Wielką Czystką stał się znowu modny jako niezrównany piewca porastających w tłuszcz nuworiszów z każdej gwardii przybocznej panującego reżymu. Pamiętam również, że wygłodzony starszek zaklinał mnie ze łzami w oczach, żebym — jeśli wyjdę kiedykolwiek na wolność — czytał tylko największego pisarza rosyjskiego Gonczarowa, a zwłaszcza jego „genialne studium o Cervantesie”. Raz zaś, w dowód przyjaźni i zaufania, przyniósł mi numer „Internacjonalnej Literatury” i z niepomowanym obrzydzeniem kazał mi przeczytać artykuł jakiegoś komunisty angielskiego „Upadek i rozruśnienie Brytyjskiej Imperii”.

Stary profesor polubił mnie szczerze i śmiał nawet twierdzić, uważał mnie po trosze za swego ucznia, ja zaś jeszcze dzisiaj — choć niewiele przecież mogłem się od niego nauczyć w obozie — zaliczam go z wdzięcznością w poczet mistrzów mojej młodości. Bywało, że po nocnej zmianie oczekiwał mnie na wartowni jak zniecierpliwiony profesor w seminarium i nie dając mi skończyć porannej zupy, ciągnął mnie w słoneczne dnie na małą ławeczkę w pobliżu drutów. Siadaliśmy wówczas obok siebie — on drżący z przejęcia, a ja półżywy ze zmęczenia — i wpatrzyliśmy w białą kartę zaśniewanej równiny, poliniowaną długimi szeregami drutów i poprzecinaną co parę metrów kluczami wiolinowymi słupów, śpiewaliśmy jak z nut nasze poranne colloquium. Musiałem powtarzać wolno wszystko, czego się nauczyłem na poprzednich lekcjach; ilekroć się pomyliłem, starszy poprawiał mnie rozdrażnionym głosem, a gdy udało mi się przebrnąć zwycięsko przez wilcze doły, najeżone nazwiskami, faktami i jego ulubionymi powiedzeniami, dawał mi „atliczno”, wszystkie drobne potknięcia kładąc na karb klejących się oczu i „nocznowo truda”. Czasem, ku mojej radości i dumie, nasze role na lekcjach się zmieniały i profesor wysłuchiwał uważnie wszystkiego, co działo się w literaturze europejskiej i polskiej w czasie jego pobytu w więzieniu. Pamiętam jak jego zgazowane daremną walką z głodem oczy zapłonęły na chwilę, a na obwisłe policzki wystąpiły ceglaste wypieki, gdy mu opowiadałem o tomistycznej teorii sztuki Maritaina, którą poznałem na Uniwersytecie Warszawskim w przeddzień wybuchu wojny. Ta idylla trwała zaledwie trzy miesiące. W marcu 1941 roku profesora N. odesłano etapem do Mostowicy — w sam czas, bo w Jercewie zaczynał się straszliwy głód, a na bazie coraz trudniej było o parę pieczonych kartofli.

Pierwsze oznaki wielkiego głodu pojawiły się z końcem zimy 1941 roku, a na wiosnę już cały obóz zmartwiał i przyszedł do oczekiwanego ciosu. Zupa w kuchni zrzędała, chleb był coraz częściej niedoważony, znikły zupełnie śledzie, które dodawano niekiedy na „trzeci kocioł” (stachanowski) ku nieopisanej radości starego Dimki. Skutki nie dały na siebie również długo czekać. Brygady wracały z pracy coraz powolniejszym krokiem, wieczorem ledwie się można było przepchnąć na ścież-

kach w zonie przez grupki błędzących po omacku „kurzych ślepców”, w poczekalni lazaretu czekały — przygotowane już zawczasu na oględziny lekarskie — spuchnięte kłody obnażonych nóg, pokryte ropiejącymi ranami szkorbutu, duże sanie przewoziły codziennie z lasu jednego lub dwóch „lesorubów”, zemdlonych z wycieńczenia. Głód nie kończył swego władania w nocy, przeciwnie niewidzialnym swym orężem atakuje skryciej i celniej. Jeden jedyny Iganow, stary Rosjanin z brygady ciesielskiej, modlił się do późnej nocy, ukrywając twarz w dłoniach. Reszta spała w martwej ciszy baraku gorączkowym snem agonii, łapiąc ze świstem półotwartymi ustami powietrze, przewracając się niespokojnie z boku na bok, mającąc i szlochając rozdzierającym szeptem przez sen. Mnie samemu śniły się wówczas sceny erotyczno-ludożercze; miłość i głód wróciły do swego wspólnego pnia biologicznego i wyzwoliły z najgłębszych zakamarków podświadomości kobiety ulepione z surowego ciasta, pokasane w niesamowitych orgiach, ociekające krwią i mlekiem, oplatające rozpaloną głowę ramionami pachnącymi jak świeże pędy. Budziłem się zły potem i zaczadzony zazwyczaj o tej porze, gdy w odległości dwóch kilometrów od zony mknął jak świetlista strzała dźwięku express z Moskwy do Archangielska. Iganow modlił się jeszcze, a Dimka — mimo że pop — przyglądał mu się z nienawistną pogardą, wystukując drewnianą łyżką swoje świeckie godzinki głodu na wyciągniętej sztywno protezie. Od paru dni Dimka zgodził się za dodatkowy talerz zupy pomagać trzem niedołężnym asenizatorom, i wracał przed północą kuszykiem do baraku mokry i prześmierzły jak szczur klozetowy. Stary nałóg kazał mu jeszcze czasem zajrzeć do cebra pomyj, ale na czystym dnie nie było już od dawna ani jednej główki od śledzia. Raz wrócił z niezmiernie tajemniczą i rozradowaną miną, i wyciągnąwszy zza pazuchy kawał krwistego mięsa, przypiekał go długo na wygasającym ognisku. „Niech on się tu modli — śmiał się szeptem, gdyśmy szarpali zębami łykowatą pieczeń — a my sobie tymczasem w czwórkę, haps, zabłąkanego pieska do latryny”. „Naturalnie — odpowiedziałem, śmiejąc się również — psy Panaboże pilnują na łańcuchach królestwa niebieskiego i nie zawieruszają się nigdy do obozu”. W baraku, niby w kostnicy, sen wyciskał z dwóch leżących nieruchomo szeregów żywych trupów coraz słabsze west-

chnienia, bulgocące jak bańki na powierzchni zatrutego bajorka cichym płaczem.

Zwykło się mówić że „potrzeba jest matką wynalazków”, ale trzeba mi było aż dwóch miesięcy, aby się zorientować że z mąki zmiecionej po wyładowaniu każdego wagonu można gotować papkę, która świetnie zakleja dziury w żołądku. Odtąd chodziliśmy na bazę z małymi blaszankami i w przerwie obiadowej, wystawiwszy przed stróżówką wartę, mieszaaliśmy patykami na gorącej blasze lekarstwo na głód. W drugiej połowie maja udoskonaliłem tę technikę jeszcze bardziej, i na pół godziny przed zakończeniem dziennej pracy i powrotem do zony miesiłem w kociołku duży kawał zaczynu, aby zaraz potem cienką i równą warstwą surowego ciasta oblepić w najciemniejszym rogu cerowni worków nagie piersi p. Olgi. Tak wywątowana, przechodzi ona obronną ręką przez wszystkie rewizje na wartowni, drząc jedynie na myśl o dniu, w którym strażnik u wrót obozu, poprzestający wobec kobiet na pobieżnym tylko macaniu, zastąpiony zostanie przez ospowatą dozorczynię Nadzieję Michajłowną. Spotykaliśmy się po zmroku w składzie starych ubrań, dzieląc ugotowane kluski na cztery równe części: jedną dla magazyniera szmaciarni za „lokal”, jedną dla Dimki i dwie dla nas. Bywa że i w obozie zićić można najśmielsze sny.

Z Mostowicy nadchodziły tymczasem smutne wieści. Więźniowie przechodzący etapem przez „peresylny” opowiadali mi, że stary profesor umiera z głodu, nie myje się i nie goli, nie wychodzi z „trupiarni” poza godzinami posiłku i żebrząc na pomoście przed kuchnią, dostaje często ataków obłądzenia głodowego. Z brudnego skrawka papieru, jaki p. Olga otrzymała od niego przez okazję na parę dni przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej, wyczytaliśmy jednak zdanie z którego wynikało, że nie ze wszystkim jeszcze rozluźniły się władze jego umysłu.

„Skażi, pażałsta, Gustawu Iosifowiczu — pisał — czto ja ponimaju tepier wielikolepno kak charoszyj socrealist był Knut Gamsun”.

WACŁAW GRUBIŃSKI

Urodzony w r. 1883. Dramaturg i nowelista. Autor kilkunastu sztuk teatralnych, przeważnie komedii, m.in. sztuki pt.: „Lenin”. Aresztowany w styczniu 1940 r. we Lwowie jest sądzony i skazany na śmierć „za kontrrewolucyjną działalność i bluźnierczą sztukę o Leninie”. Na skutek kilkakrotnych podań do Najwyższego Sądu w Kijowie i w Moskwie wyrok śmierci zostaje zamieniony na „10 lat zamknięcie i 4 lata pozbawienia praw obywatelskich” (!). Więzienia oraz etapy kolejowe i piesze doprowadzają go do Magnitogorska, Wierchnieurska, wreszcie do łagru pod Sośwą. Stan zdrowia i wiek zwalniają go od najcięższych robót i pozwalają mu doczekać wyzwolenia, w marcu 1942. Obecnie mieszka w Londynie, gdzie współpracuje z „Wiadomościami”. Ostatnio wydał zbiór esejów pt. „Listy Pogańskie”.

Swoje wspomnienia z przeżyć obozowych opisał w książce „Między młotem a sierpem”, która ukazała się w Londynie w r. 1948, nakładem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Przedstawia w niej całą galerię typów, spotykanych w więzieniach i w wędrownych. Książka pisana jest żywo, z temperamentem i humorem kome-diopisarza i felietonisty. Z książki tej wzięte są poniższe fragmenty.

MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM

Miejsce moje sąsiadowało z miejscem drwała po lewej stronie, z miejscem staruszka lekarza po prawej. „W głowach” miałem Estończyka, również drwała, nade mną — na „pierwszym piętrze” — mieszkał Niemiec nadwołżański. Za osiemdziesięciodwuletnim lekarzem gnieździł się przed-

stawiciel plemienia Mordwa, człowiek pięćdziesięcioletni, podobny do prymitywnych bałwanów, wykutych w kamieniu.

Mordwa był milczący. Na kwadratowych barkach nosił głowę, jak kulę, ogromną i nieruchomą. Przystawał u mojego miejsca, wpatrywał się we mnie kamiennymi oczami koloru sepia, i odchodził. Pewnego razu powiedział mi, że dają zupę, co znaczyło: — „Weź miskę, idź do szopy, bo później możesz nie dostać”.

Miski były po prostu małymi pniakami, wyłobionymi toporem. Tak, toporem. Wyglądały obrzydliwie. Niektórzy więźniowie wyrąbывali sobie z pniaków małe jak gdyby baryłki. Nazywano je „kociołkami”. Zabierało im to około dwóch tygodni „konspiracyjnej” pracy. Naczelnik konfiskował te naczynia, stanowiące komfort katorżniczy, i posiadał je „kociołków” skazywał na karcer. Pewnego razu Niemiec nadwoźński, specjalista od łyżek, polerował właśnie piaskiem taki cacany „kociołek”, gdy do szopy wszedł naczelnik. Rozległ się okrzyk triumfującego Irokeza. To wrzasnął naczelnik, wyrwał „kociołek” z rąk Niemca, rzucił na ziemię i rozwalił obcasami.

Mordwa pracował w lesie. Po robocie, idąc na swoje miejsce, przystawał przy moim legowisku i milczał. Dwie małe wypukłości jego oczu, zlewające się z jednostajną niemal wypukłością jego policzków, czoła i nosa, patrzyły na mnie mętnie swoją brunatną nieprzeźroczystością. Ale nie zawsze milczał. Kiedyś mi powiedział, że ma syna, i że dawno nie dostał od niego listu. Kiedy indziej dał mi drewniany kubek, bo zauważył, że nie mam kubka.

Raz się rozgadał. Zresztą, i wówczas mówił wolno, cicho i niewiele. Opowiedział mi historię swojego aresztowania. Komisarz potrzebował posady dla swojego szwagra, więc wygryzł Mordwę, oskarżając go o sabotaż na stanowisku kierownika transportów drzewnych.

Uderzyło mnie wtedy w Mordwie coś, czego nie podejrzewałem: niepospolita inteligencja. Wyrażał się jasno, a myśl jego była gibka. Za tymi sennymi oczami, w tej kamiennej głowie, ogromnej jak dynia, wibrowała chłonna emocjonalność i wprawiała w ruch skomplikowany aparat myślowy.

W ciągu następnych kilku dni znów milczał, zamieniał ze mną spojrzenia, lub monosylaby. Spostrzegłszy, że moja miska jest mała i pęknięta, powiedział mi leniwie (nie umiem inaczej określić jego sposobu mówienia), że zrobi mi „kociołek”. W cztery dni później powiedział mi sennie, że znalazł pieniek właściwych rozmiarów.

Życzliwego mi Gruzina odwiedzałem co parę dni w jego „miejscu”. Wszystkie nasze miejsca były dwuosobowe, (prawdopodobnie z powodu przeładowania obozów tłumami skazańców). Współlokator Gruzina miał zajęcie nocne, więc wieczorami Gruzin rozporządzał i miejscem nieobecnego. Wyjmował dwie środkowe deski, przez co boczne deski stawały się ławkami.

Siadaliśmy na tych ławkach i gawędzili „beztrosko”. Gośćmi Gruzina bywali Gruzini. Wszyscy wysokiego wzrostu, ładni, o orlich rysach twarzy, wszyscy uprzejmi. Gdy powiedziałem kiedyś, że ich epopea narodowa, którą znam z rosyjskiego przekładu Balmonta, posiada fragmenty równie piękne, jak „Iliada”, zaczęli cytować na pamięć długie ustępy poematu Rustaweli. Cytowali przekład rosyjski, istotnie zachwycający, potem oryginał, który dla mnie brzmiał niezrozumiale, a ich rozmarzał.

Przyszło mi wówczas na myśl, że nie ma większego nonsensu, niż biblioteka literacka w więzieniu. Jest to bowiem wplatanie wolności w niewolę. Więzień, czytający literackie dzieło twórcze, czuje się wolny. Pozwalać w więzieniu na przeżywanie wolności, znaczy unicestwiać więzienie. Dopuszczenie bibliotek literackich do więzienia jest aktem najhumanitarniejszym i najnielogiczniejszym jednocześnie.

Co prawda w więzieniach sowieckich, przynajmniej w tych, które ja przechodziłem, biblioteki literackie istniały „zasadniczo”, nie istniały praktycznie. W obozie Tretia Kamandirowka wcale nie było książek, w obozie Wtoroj Punkt były trzy, czy cztery tomy a i tych nie wydawano do czytania w obawie przed naczelnikiem. Zresztą, nikt się o książki nie upominał ze zmęczenia. Rąbano las, budowano drogi, odpoczywano, i umierano. Co dzień ktoś umierał: na zapalenie płuc, na suchoty... Biblioteką, z której czerpali Gruzini, była ich pamięć.

Pewnego wieczora w „salonie” Gruzina zastałem Gruzinkę. Nigdy jej przedtem nie widziałem. Była ładna urodą gruzińską: kruczne włosy, płonące oczy. Chciałem zawrócić, ale „dniwalnyj” mnie zatrzymał. Przedstawił mnie Gruzince, ją zainteresowało, że jestem Polakiem. Z ożywieniem powiedziała, że w obozie, z którego przybyła, poznała Polaka nazwiskiem Kisielowski. Nie mogąc dać sobie rady z rąbaniem polan, płakała. Wówczas odezwał się człowiek, rąbiący obok. Zapytał o co chodzi, potem „zrobił za nią normę”. Co dzień jej pomagał. Mówiła o nim z admiracją. Wydawał się jej półbogiem. Był słusznego wzrostu, spokojny, silny, lat czterdziestu kilku.

— Został w tamtym obozie?

Gruzinka posmutniała.

— Skazany na dwanaście lat, ale... Przysłali do niego z Moskwy, żeby napisał memoriał. Żeby szczerze wyłożył, co myśli o systemie rządów sowieckich.

— Szczerze?

— Jako ekonomista.

— I napisał?

— Napisał obszerny traktat, w którym dowodził, że komunizm nie ma przyszłości. Naczelnik więzienia odesłał tę pracę do Moskwy. Po kilku miesiącach przyszła odpowiedź. Dwanaście lat obozów zmieniono Kisielowskiemu na karę śmierci. Zaraz go zaprowadzono do karceru. Wyrok miał być wykonany w dziesięć godzin później, przed wieczorem. Postawiono dwu ludzi pod drzwiami karceru. Kazano im ciągle do niego zaglądać. Był spokojny, jak zawsze. Kiedy go o zmroku prowadzili na stracenie, opowiadał anegdoty.

.....

Nad naszą nędzą katorżniczą, nad dziurawymi dachami naszych baraków, wysoko i szeroko rozpościerało się niebo, przeważnie bezobłoczne i bezchmurne. W dzień wyglądało, jak tafla z cienkiego szkła o seledynowej przeźroczystości; pod wieczór rzadkie obłoczki zabarwiały się kolorem pomarańczowej skórki, przechodzącej w ognistą malinowość; w nocy strop niebieski iskrzył się wielkimi brylantami gwiazd tak jasnych, jakby przed chwilą wyszły z rąk szlifierza.

Napatrzyłem się tych gwiazd uralskich i nigdy nie miałem ich dosyć. Blask od nich bił taki, że aż szumiało! Leciały na ziemię, nigdy niedolatującą ulewą. Wydawały się majestatyczne i wesołe zarazem. Gdyby nie mróz, szarpący, jak kostropaty nóż, stałoby się na ślizgawicy godzinami z głową zadartą, z upojeniem w sercu.

Prawie wszyscy katorżnicy mieli poprzeciebiane pęcherze. Dziwna to była dolegliwość. Bezbolesna. Uczuwało się nagle kategoryczną potrzebę wybiegnięcia z baraku. Ta kategoryczność spędzała nas z naszych desek barakowych kilka razy w ciągu nocy. Wybiegaliśmy kłusem na złodowaciałą zonę. Trzeba było biec z pięćdziesiąt kroków do odpowiedniego miejsca. Prawie nikt nie mógł zdążyć. Przyłapani na niesubordynacji, dostawali się do karceru. Zimno w baraku wydawało się upałem, kiedy się z rozpędem wpadało w mróz, nieosłonięty ścianami. Te wypadki nocne nazywałem wybieganiem pod Oriona. Człowiek się dostawał w uścisk chłodu, jak w przemocne garście zbója. Aż oddech zamierał! Naokoło cisza. Czarne budynki i obszar zony w poświacie nocnej, niby w pleśni.

Kiedys wybiegł za mną, dysząc, chłop wielkich rozmiarów, Uzbek. Minał mnie. Dudniły pod nim deski. Był tylko w koszuli i to rozdartej i rozchełstanej. Ujrzałem ciemne plecy, muskularne, świejące. Poślizgnął się, skoczył, zniknął w latrynie, skleconej z tarcic. Podniosłem głowę: granatowa nieskończoność, woal białego obłoku, i gwiazdy! Tu Wielka Niedźwiedzica, tam Orion. Mróz zapuszczał we mnie swoje zęby, i ostre, i tępe zarazem, ale się ociągałem z powrotem do baraku. Fascynowało mnie niebo. Patrzyłem w gwiazdy, zaśłuchany. Tak, wyteżając słuch! Przybyszewski mówi o stropie niebieskim, usianym gwiazdami: „słyszysz się ruchy i obroty światów”.

Wypadając z baraku kilka razy w ciągu nocy, widziałem ten ruch światów i prawie słyszałem ten międzyplanetarny chrobot. Orion był niżej i na lewo, teraz jest wyżej i na prawo. Później znów się zniżał nad tajgę. Ośnieżone drzewa wydawały się czarne, oddalająca się konstelacja Oriona iskrzyła się gwiazdami jak gdyby mniejszymi. Wielka Niedźwiedzica mierzyła „dyszlem” prosto w ziemię.

Nie można dłużej wytrzymać na dworze! Z żalem wracam do baraku. Tuż za drzwiami ogarnia mnie zaduch, jakbym z kryształu wpadł w pomyje.

ANDRZEJ STOCKI

Prawdopodobnie pseudonim. Poniższe opowiadanie drukowane było po wojnie w „Wiadomościach” londyńskich. Bliższych danych o autorze nie udało się ustalić.

Relacja odtwarza jedną z najbardziej nieludzkich metod transportu więźniów w Związku Sowieckim na rzekach syberyjskich. (O warunkach tych wielodniowych podróży po rzece Amu-Darii, w płaskodennych barkach, wyladowanych po brzegi miazgą ludzką, piszą Beata Obertyńska, Melchior Wańkowicz i Józef Czapski).

„BARŻA”

Codziennie rano przyglądam się sobie w lustrze. Później zaczynam się golić. I wtedy właśnie przychodzi pora na mój rejestr poranny.

Więc zębów nie mam. Wybili mi w śledztwie — trybem przyspieszonym. Resztę zjadła cynga — już wiecie, co to jest. Na skroniach trochę siwych włosów. To nic; ktoś pomyśli, że jestem starszy. Poza tym serce nawalone, wątroba, nerki, żylaki, zeszywniałe ścięgno... wszystko to głupstwo, ważne jest, że żyję. I jeszcze jak Nyję! Mam czystą bieliznę, całe ubranie, jem bacon, jajka, ser, cukier — piję codziennie mleko. Kąpię się. W ogóle żyję! („żyję” — czasownik, trudno napisać przez duże Ż).

A jednak tak niedawno... nie, to niemożliwe! A przecież... Sam zaczynam sobie nie wierzyć! Wobec wzbudzonych wątpliwości, ładuję luźne kartki do kieszeni. Później

pytam tych, którzy również *tam* byli. Ci mają zastrzeżenia. Że za mało „u mnie” trupów, za dużo jedzenia. Za mało nienawiści, za dużo serca, Że nie spodziewali się po mnie, iż będę *ich* gloryfikował. Bo to co piszę, jest gloryfikacją w zestawieniu z rzeczywistością.

Kładę im do uszu wszystkie możliwe oportunistyczne argumenty... Rzeczoznawcy wzruszają ramionami, odchodzą bez pożegnania: „To sobie pan pisz, my nie przykładamy do tego ręki. Za układnie napisane”.



Milczący tłum stał na wybrzeżu. Rzeka była bezdenna, szeroka, woda wyglądała w niej jak skroplony tlen. Błado-niebieska, beznamietnie zimna, kosmiczna ciecz. Na rzecz-nym grzbiecie płynęły ku swemu polarnemu przeznaczeniu grube ziarna lodowej kaszy. Jasny, ohydnie wykrzywiony księżyc odbijał się w każdym ziarnie. Miliony małych księ-życów śledziły podejrzliwie każdy nasz ruch. Może dlatego staliśmy nieruchomo. Przyrody, która również łatwo two-rzy jak niszczy, baliśmy się piekielnie. Mniej baliśmy się strażników i psów za naszymi plecami. Była w nas wszy-tkich i poza nami cisza taka, jaka panować musiała przed stworzeniem ruchu w wszechświecie. Prawda — rzeka pły-nęła, więc był ruch. Ruch zegara, który mierzył nam czas wyrwany z życia.

Nagle ciszę przerwał krzyk. To nie był właściwie krzyk, to był histeryczny śmiech kobiety. W skutkach ten śmiech był hasłem. Zaczęliśmy się wszyscy drzeć, wydzierać wniebo-głosy. Wrzucaliśmy powietrze do gardła, by stamtąd je wy-wrzeszczyć na zewnątrz. Staraliśmy się cały nasz wysiłek zamienić w dźwięk. Dźwięk — wrzask, chichot, jazgot i gwizd — symbole nienawiści, które wyrugowały przekleń-stwo. Bo skoro przekleństwo jest w tym kraju oznaką przyjaźni i drużby — jakże je można znieważać symboliką nienawiści?

Gdyby ktoś wtedy spróbował nas zapytać, dlaczego wrzeszczymy, nie umielibyśmy odpowiedzieć. Nie było żad-nego konkretnego powodu — po prostu była okazja. Kiedyś, znacznie później, przypomniałem sobie, że człowiek-poeta często szuka okazji, by w rymach wyrazić wdzięczność Stwórcy. Myśmy mieli właśnie taką okazję. Tylko wszystko

odwrotnie. Nie w rymach, lecz w jazgocie, nie wdzięczność, lecz śmiertelną nienawiść, i nie jednemu Stwórcy, lecz milionom diabłów.

Przez hałas tłumu przedarły się krótkie, urwane chłaśnięcia. Strzały. Gdzieś za plecami parę kłębow nerwów zadrgało po raz ostatni i połączyło się z ciszą martwej ziemi, księżycą i rzeki. Na zawsze.

Wrzask przeszedł w staccatto. Znowu chłaśnięcia. Hałas przemienił się w pojedyncze, urywane szepty. Głupia i niezrozumiała reakcja — ludzie mimo wszystko więcej kochali życie od dobroczynnej śmierci. Gdzieś w ostatnich drobinach ciepłej krwi tliła się beznadziejna nadzieja.

Z góry rzeki pokazała się najpierw grzywa dymu. Czarne pasmo wyraźnie odcinało się od niebieskiego nieba, niebieskiej wody — wśród niebieskiej nocy. Później spłynął z prądem statek, a za nim holowana barka. „Barża”. Statek, pracowicie uderzający łapami swych kół o wodę, coś mi dziwnie przypominał. Tylko co? Aha, już wiem, żuka. Żuka wodnego, który biegał w Polsce po stawach i zjadał słabsze owady-ofiary. W Polsce... To było chyba tysiąc lat temu. Nie ma Polski, pewnie nie ma także żuków na stawach. I stawy prawdopodobnie wyschły.

O czym ja myślę? Majacze, idiota, a tutaj trzeba działać. Ochrana gotuje się do wybrania ludzi w związku z robotą przyciągnięcia „barży” do brzegu, postawienia trapów. To będzie praca, a więc także i ruch. A ruch przypomina nam, że jesteśmy śmiertelnie zmęczeni i słabi. Więc każdy z nas robi się dziwnie mały i nikły. Maleje w oczach — tylko, że to nie pomaga, bo cały tłum proporcjonalnie maleje. Do pustego mózgu wraca myśl szalona, pulsująca: jak tu się schować?

Tymczasem ochrana wybiera bezlitośnie ofiary. I ludzie idą, nie zdobywszy się nawet na odruch protestu. Raby z nas, raby przeklęte, które jedno tylko wiedzą: należy słuchać.

Ktoś z boku rzuca pytanie:

— *Jest’ li Boh, ili Jewo niet?*

Pytanie rzucone półgłosem i nawiasowo. Myśl jednak kielkuje i rośnie, pęcznieje w oczach. Czy naprawdę jest Bóg, czy naprawdę On stworzył ten świat i takich ludzi, jak oni i my?

Liny, rzucone na brzeg, wyprężają się. „Barża” się zbliża, powoli lecz nieuchronnie. Ludzie, strzępy ciał i kostne badyle pracują, i to, wbrew logice, pracują skutecznie. Czasem wprawdzie ktoś zwali się na ziemię, ale liny nie puszczają. Lina, to jego chwilowy obowiązek, bez względu na to, czy umarł, czy żyje. Więc sterczą od ciała ku górze żałosne kikuty, dopóki ich ktoś inny nie oderwie. Inny znów, obok, rzyga właśnie krwią. Skręca się w bólach przedśmiertnych. Może teraz chce tej kuli, której się bał kilka chwil temu? Już jej nie dostanie, nie potrzebna, skoro i tak umrze.

Wszystko w końcu gotowe. „Barża” stoi z rozdziawionymi pyskami włazów, gotowa do wchłonięcia więźniów. Teraz ustawiają nas w długie szeregi. Ustawiają dziesięć razy, przeliczają dwadzieścia razy. Każdy gruby drab, musi nas dotknąć swoją łapą, musi kopnąć każdego trupa — inaczej nie doliczy się.

Idziemy po trapach. Połyka nas dno samo, piwnica „barży”. Dwa i pół metra głębokości, to stanowczo za wysoko dla więźnia. Wystarczy równo połowa, będą w ten sposób dwie kondygnacje, więcej miejsca dla ładunku. Tłum dzieli się na dwie części. Na parter i pierwsze piętro. Stać nie można — za nisko — trzeba od razu siadać. Wyciągnąć nóg nie można — za mało miejsca.

W końcu siedzimy wszyscy. W kuczki. W godzinę później dno „barży” zaczyna grzechotać o kamienie rzeczne. Za chwilę jeszcze słyszymy już tylko niemy bełkot wody. Płyniemy. Ktoś obok zaczyna nagle kląć i szamotać się:

— Ty tam, taki owaki, wszystko można, tylko nie za kołnierz!

Sprawa prosta — pasażer z pierwszego piętra „jest niegrzeczny”, ale psiakrew, tak wycelować! Prosto za kołnierz, no, no! Tak... z fizjologią w ogóle gorzej. Od czasu do czasu słychać wrzask:

— Zdejmuj buty, draniu!

Bo już jeżeli musi iść, stapać po twarzach, plecach i nogach — niech przynajmniej robi to miękką, nieobutą stopą! Gdzieś w rogu stoi to tradycyjne naczynie — pękata obrzydliwa parasza. Bardziej pożądana, niż zapomniany porcelanowy klozet z pięknym łańcuszkiem do spuszczenia wody.

Dojść do paraszy nie oznacza już chwili szczęścia — trzeba stać w zgiętej pozycji w kolejce, która jest oczywiście odpowiednio długa, jak wypada z ułamka: jedna parasza podzielona przez połowę transportu siedmiuset ludzi.

Ktoś komuś w innym miejscu życzy nagłej śmierci. Patrzymy tam i pytamy, dlaczego. Klnący jest bardzo zirytowany — też nie miał miejsca gdzie! Pytamy znowu, o co chodzi. Wyobraźcie sobie, sąsiad zdechł! Myślimy sobie, dobre słowo „zdechł” — śmierć jest przecież inna. Tylko trochę niekonsekwentnie z życzeniem nagłej śmierci temu, który już to właśnie zrobił.

Jakoś to jednak trzeba załatwić. Wrzeszczymy, „Pomierł! padoch!” — odpowiedzi nie ma. W końcu, zamiast odpowiedzi, rzucają nam liny zakończone hakami. Krótkie rzeczowe objaśnienie spływa do nas z górnej luki. Trupa przyczepić do haków. Ewentualnie trupy. Wyjeżdża do góry coś co było przed chwilą życiem. W kilka sekund później z jednej burty „barży” dojdzie nieco głośniejszy plusk.

Mimo wszystko jesteśmy głodni. Wrzeszczymy znowu. Słyszymy zapewnienia, że wnet dostaniemy zupę i chleb.

Zjeżdża do nas na tych samych „trupich” linach zupa w wiadrach i chleb związany w pęki. Że paru ludzi, siedzących pod otworem, oberwało wrzątkiem po głowie, przyjęto pomrukiem zazdrości. Mają niektórzy, psiakrew, szczęście! Mogą się oblizać!

Naczyń nie ma. Pije się przy pomocy rąk, złożonych w czerpak, lub po prostu psią metodą: pyskiem zanurzonym w wiadrze. Tylko że druga metoda jest bardziej egoistyczna: więcej niż dwie gęby nie wchodzi. Wiadra transportowane są w głąb poprzez grzbiety. Tak samo chleb. Wszystko zostaje rozdzielone stosunkowo sprawiedliwie. Trudno by było inaczej — dzielących śledzi siedemset par czujnych oczu. Każdy odruch się liczy. Jeżeli ktoś skradnie, to tak, aby najserdeczniejszy przyjaciel nie widział. Zabijają przecież, a może jeszcze kiedyś warto będzie żyć?

Znowu krzyk. Tym razem jesteśmy lekko przejęci. Krzyk kobiecy. Ach, prawda, jedzie z nami dwieście kobiet — o co tu chodzi? To nie jest krzyk — to rżenie konia... Już rozumiemy, ona chce odpocząć, chce przerwy choć najmniejszej... Czy czujesz, człowieku, wtedy wstyd, litość, współczucie? Nie! Po prostu nie stać nas na takie

uczucia. Fizycznie jesteśmy tylko słabi, psychicznie martwi. Nie mamy już krwi w żyłach, mamy wodę, akuratnie taką samą zimną wodę, od której przedzieleni jesteśmy jedną deską.

To był jeden dzień. Razem wszystkich było dwadzieścia jeden. W głębi „barży” nie znaliśmy czasu; nie odróżnialiśmy ani nocy, ani dnia. „Posiłki” nie były dla nas zegarem — były fantazją ochrony i jej kucharza. Później powiedziano nam, jak długo to wszystko trwało. Były pewne różnice między pierwszymi i ostatnimi dniami. W trzecim tygodniu wyrzucaliśmy po kilkadziesiąt trupów dziennie.

Wyszliśmy na górny pokład. Obejrzeliśmy się po sobie. Spuściliśmy oczy — poculiśmy wstyd. Wstyd łachmanów, wszy, brudu, ropiejących ran. Później wzniesiliśmy oczy ku górze. Wysoko nad nami płonęło słońce. Wielkie ognisko, w którym grzaliśmy kikuty...

Więc jest jednak Bóg na tym świecie! Przecież nikt inny, tylko właśnie bezgranicznie dobry Bóg stworzył słońce. Oni — zbudowali dla nas „barżę”.



Transport na rzece T. w maju 1941. Załadowano na barkę 1400 ludzi, w tym 200 kobiet. Dojechało do punktu etapowego, po 21 dniach podróży, 710 ludzi, w tym 27 kobiet. Z Polaków pozostał przy życiu podpisany.

WITOLD OLSZEWSKI

Prawdziwe nazwisko Kempieński. Urodzony w Rosji i władający językiem rosyjskim na równi z polskim. Jego dzieje „łagierne” nie są znane. Po „amnestii” wstąpił do tworzącego się w Związku Sowieckim Wojska Polskiego. Odbył całą kampanię wojenną wraz z 2 Korpusem w randze kapitana, w oddziale rozbrajania min. Po wojnie wyemigrował do Ameryki Południowej. Dalszych jego losów nie udało się ustalić.

W wydanej w Rzymie, 1947 r., przez Polski Dom Wydawniczy książce pt.: „Budujemy Kanał” on jeden zdobył się na taki dystans, aby, z wisielczym humorem, operując „łagiernym” językiem, sięgnąć do dna ludzkiego upodlenia i wypaczenia psychiki ludzi sowieckich i skreślić fantastyczną groteskę egzystencji, już nie tylko w Związku Sowieckim, ale na całej skomunizowanej kuli ziemskiej, egzystencji doprowadzonej do koszmarnego absurdu.

Z książki tej podajemy poniższe rozdziały.

BUDUJEMY KANAŁ

Wielkiemu Stalinowi — ура!

Druga Wojna Ojczyzniana została chwalebnie zakończona. Wyzwolone Ludy całego świata, ogarnięte powszechną radością, zanurzyły się w Oceanie Stachanowskiego Ruchu. Murzyni i Malajowie codziennie przewyższają normy połowu ostryg i dostawy małych skór...

Elewatory naszej Kochanej Ojczyzny, opromienione blaskiem wszechświatowej wolności są napełniane co dzień w 300, 400 i więcej procentach daktylami, rodzajnikami i innymi produktami młodych Republik, które weszły obecnie do żywej, Stalinowskiej Rodziny Narodów.

Wyczynowcy Pendżabu zobowiązali się dostarczyć przedterminowo dwa i pół miliona wieżyczek wartowniczych z mahoni i słoniowej kości dla straży obozów na Dalekiej Północy, w których niedojrzałe elementy Cejlony, Argentyny no i, rzecz oczywista, wielu innych krajów, z zachwytem przebudowują swą psychikę i coraz pewniej stają na szynach sowieckiego szlaku.

W takich okolicznościach stało się wreszcie rzeczą możliwą spełnienie marzenia dziesiątków pokoleń warstw pracujących całego świata, drogą przystąpienia do budowy drugiego kanału sueskiego. Już sama nazwa wskazuje, że nikt, prócz Sowieckiego Narodu, nie powinien był go budować. Wszyscy dobrze rozumiemy, że w rzeczywistości nazwiemy go nie „Sueskim”, tylko „Sowieckim” Kanałem. W brzmieniu wielkiej różnicy nie można zauważyć, natomiast symbolika w pełni zostaje zachowana! Podli kapitaliści i reakcjoniści zdawali sobie z tego sprawę i nie poważyli się sięgnąć po święte miejsce pracy w ciągu całych stuleci.

Dziś, w czasie Nadzwyczajnego Posiedzenia Najwyższej Rady i Rady Narodowości, zapadła uchwała otwierająca nową kartę w Dziejach Świata:

„Najwyższa Rada i Rada Narodowości, zebrane na Nadzwyczajnym Posiedzeniu, jako Jedyni Przedstawiciele warstw pracujących całego Świata, jednogłośnie postanawiają:

1. W jak najszybszym tempie opracować projekt i przystąpić do budowy Sowieckiego Kanału, celem zapewnienia dostawy cejlońskiej herbaty i innych dóbr, z Krajów Produkcji ku pożytkowi Socjalistycznego Budownictwa i Sowieckiej Ojczyzny.

2. Zażądać niezwłocznie, by NKWD natychmiast dostarczyło do rejonu Śródziemnego i Czerwonego Morza, od dwóch do trzech milionów robotników (to tymczasem, na początek).

3. Nakazać sowieckim robotnikom, inżynierom, uczonym i architektom, natychmiastowe przystąpienie do roz-

pracowania projektów i propozycji w odniesieniu do budowy Kanału (Rzecz jasna, w drodze socjalistycznego współzawodnictwa kolektywów i stalinowskich laureatów).

4. Narkomowi Handlu poleca się natychmiast zlikwidować sklepy odzieżowe na całym świecie, wobec tego, że w warunkach tropikalnych, odzież jest szkodliwym balastem.

Ostatni punkt Uchwały, został powitany z ogromnym zrozumieniem, nawet, można powiedzieć, entuzjastycznie! Huk oklasków i nie milknące okrzyki ku czci Wielkiego Stalina, zaaprobowały uchwałę, po czym najlepsi ludzie całego świata, a byli wśród nich kołchoźnicy Tahiti, górnicy Anglii, pasterze Argentyny, zasłużone dojarci Holandii, Kawalerowie Orderów, kopacze guana z Chile i wielu, wielu innych, przy dźwiękach Hymnu Sowietów i okrzykach ku czci Narkoma Kanalizacji Świata, tow. Asenizjana, szybko wyszli z sali obrad, aby zdążyć zająć miejsce w kolejce po zupę w stołówce Pałacu Sowietów.



Mnie aresztowano dzisiejszej nocy. Stało się to tak: wieczorem wybrałem się do Siergieja Pietrowicza; długo waliłem w drzwi, zanim mi otworzono — cała rodzina miała blade, przstraszone twarze.

— Aleś nastraszył!

— Jak to „nastraszył”?! Dla czego? Uczciwego sowieckiego człowieka nie można nastraszyć! Zawróciłem i wyjść chciałem — jasna rzecz! — „Nastraszył!”, więc nie ma czystego sumienia. Taki już naród teraz: Konstytucję Stalinowską na pamięć umie i Krótki Kurs Historii WKP (b) na wyrywki, a jak przechodzi obok Kina, w którym kiedyś, za przedhistorycznych czasów, podobno, knajpa była, — westchnie... Ot i wszystko — westchnął znaczy współczucie się w nim obudziło, a z kim współczuje? Odpowiedź przecie jasna!

Zawracam i wyjść z podejrzanego mieszkania chcę — a Sierioża mnie za rękaw! Zastygło we mnie wszystko — za rękaw złapał! Przecież teraz na pewniaka 54-2 przyszyją... Jednak szkoda mi się starego towarzysza zrobiło: razem w dietdomie byliśmy, razem dziesięciolatkę kończyliśmy, razem do poboru stawaliśmy, razem wreszcie w łagrach

siedzieli — nie wypada takiemu przykrości robić, zaszedłem do mieszkania. Teraz dopiero wszystko się zaczęło!

— Pietia, ty — powiada — przemówienie Asenizjana słuchał?

— Słuchałem.

— No i — co?!

— Jak „co”?!

— Jak ty myślisz, ile?

— Przestań! Nie o to chodzi, przecież on z rozkazu mowę miał, za co go mają wsadzić, ty powiedz ile zawierują?

— Aa, to! — To przecież całkiem jasna sprawa, powiedział „dwa do trzech milionów”, znaczy z pięć wyciągną — przecież roztrzęsie się narodu po drodze! Odległość ogromna, krokodyli i szakali spotkać można, prawdziwych szakali! — Mówią, bardzo straszny zwierz i złyyy!

— No, a powiedz, słyszałeś, że tym razem starsowieckich, podobno, ruszać nie będą; z Australii i Eskimosów tylko mają brać, żeby zapoznały się ludy i żeby według zasady „Stalinowskiej Przyjaźni Narodów”, nową budowę zorganizować...

— Nie wiem, kochany, a ja, pewnie już do domu pójde, trzeba graty zebrać na wszelki wypadek...

Przychodzę na swą powierzchnię mieszkalną, patrzę, co by na drogę wziąć? Spakowałem wreszcie walizeczkę, a potem zastanowiłem się: chyba lepiej worek wziąć — jakoś ono przyzwoiciej wygląda, a i przyzwyczaił się już człowiek. Wreszcie i znajomych sporo — walizkę zobacz — zaraz powiedzą: „Nosa drze!”, a woreczek ujrzą, starego druha poznają no i, poza tym, na nerwy trzeba uwagę zwrócić — worek rozwiążą i ich wszystko, a jeśli walizka — przecież zamki łamać trzeba, niewygodnie...

Przełożyłem drobne ruchomości do worka; gaci dwie pary wzięłem, koszulę jedną tylko — wszystko jedno, nie sprzedasz jej tam, gorąco, kto ją kupi?

Siedzę i czekam. Transmisja z radiowęzła zakończyła się. Pewnie zaraz będą — pomyślałem sobie. Rzeczywiście, raptem maszyna koło domu się zatrzymała. Koło mojego domu. Maszyna przycichła, za to w drzwi ktoś wali.

— Kto tam? — pytanie zadaje, a mnie w mojej mowie rodzimej odpowiadają:

— Cóż ty sobie, blad', myślisz? Widzicie go! Pytania formułuj! A nu, otwieraj niezwłocznie!

Odetchnąłem i uspokoiłem się — od razu widać, że swoi chłopcy przybyli. Drzwi otworzyłem. Weszli. Gapią się wszędzie, ręce do góry kazali podnieść, obmacali całego i dopiero się pytają:

— Biegołosow, Piotr Nikołajewicz, tu zamieszkuje?

A ja z przyzwyczajenia:

— 19... 54-2, 10 lat.

Popatrzyli się na mnie, nawet gwiazdki na łudionowkach się uśmiechnęły i tak mówią:

— Omyłka! My teraz metodą liter operujemy i żadnych „54-2” więcej nie ma i nie będzie, same litery, a jeśli o dziesięć lat chodzi, wiesz, chyba zgadłeś, pewnie tak ono i wyjdzie! No! Zbieraj graty!

Wziąłem worek, wyszedłem i do auta się pakuję, pa-trzę — Sieriożka w nim siedzi!

— Sieriożka, powiadam, coś ty, Eskimos?

— A ty, Australijczyk?

Dogadaliśmy się. Jedziemy. Jak przyjechaliśmy ażeśmy się ucieszyli — przecie całkiem znajome miejsce! Kiedyś w tym gmachu Cze-Ka się mieściło; potem NKWD go zakontraktowało; wreszcie, jak te podłe, padliną karmione faszysty opanowały Kochaną Ojczyznę, zbezczescili, swoloczce, sowiecką architekturę i „Gestapo” w gmachu umieścili. Skończyła się wojna. Przepędziły stalinowskie orły to krwiożercze stado i — znów NKWD na starym miejscu się zainstalowało: powiększyli budynek odrobinę, piwniczkę z celami o jedno piętro pogłębili i pracują chłopcy, nie zostają w tyle, nawet normy przewyższają, choć i doku-cza ciasnota czasami... Krótko mówiąc, nie da się gwałtownych zmian zauważyć — drzewa dookoła gmachu urosły trochę, a jak do celi się weszło — chyba tylko pluskiew jest więcej, niż przedtem, no i jakby — przytyły trochę. I jeszcze jedno: ściany pięknie ozdobiono — baby, chłopcy w różnych pozycjach i tak umiejętnie, ładnie wszystko narysowane, prawie jak w Tretiakowskiej Galerii w Moskwie. I to wszystko...

Siedzimy i czekamy. Ktoś wystukuje depeszę przez ścianę, ale nic zrozumieć nie mogę, zapomniałem, okazuje się, alfabetu więziennego. Szkoda!

Rano zupkę przynieśli, 600 gramów chleba dali, jak

zawsze, normalnie. Minęło jeszcze dni kilka i do łaźni nas zaprowadzili.

Łaźnia, rzecz jasna, wozzobojkę posiada. „Taka!” — wozzobojka. Samo piękno! Na całym świecie takiej nie znajdziesz. Prawdę powiedział Narkomzdraw w swym sprawozdaniu:

„Mija już kilkadziesiąt lat, od kiedy w fundament naszych poczyniń położyliśmy zasadę: „FRONTEM DO WSZY!” Najtężsi uczeni całego świata, najbardziej genialni ludzie naszej epoki, najlepsi mistrzowie wysokich temperatur, oddali swą pracę i wiedzę na stworzenie sowieckiej wozzobojki. Warstwy pracujące Amerykańskiej ASSR z zachwytem spędzały długie godziny w Pawilonie wozzobojek na Wszechzwiązkowej Wystawie w Rio de Janeiro. Ich opinie były pełne podziwu i uznania...”

Konstruktor jest obecnie laureatem stalinowskim i bohaterem Związku Sowieckiego. Powiedział on: — „Wes — to mój najlepszy przyjaciel. Dzięki niej jestem otoczony szacunkiem całego świata i darzy mnie zaufaniem Ojciec Uczonych, towarzyszy Stalin. Jestem szczęśliwy, towarzysze!” — Powiadają, że on też gdzieś tu jest — czy to w ósmej, czy to w dziesiątej celi — przyjemnie będzie razem popracować!

Siedemnastego dnia, raczej siedemnastej nocy podnosi ktoś judasza:

— Na literę „Ha”, jest ktoś?

— Od razu odpowiadam: Bezgołosow...

— Właśnie... Imię i jak z ojca?

Powiedziałem.

— Dawaj! Wychodź!

Wyszedłem. Patrzę, na korytarzu już stoi z piętnastu. Twarze wszyscy mają radosne, od razu widać, że zdają sobie sprawę: „Na nową budowę jedziemy, walkę z przyrodą stoczyć, ku chwale Partii i Ojczyzny!”. Prawda, dzieł szkoda każdemu, no i żony w domu zostały ale, to ostatnie nie takie już ważne — w obozach bab ile chcesz, a w więzieniu przecież sto lat nie będziesz siedział!

Rozglądam się dookoła — sami znajomi: Główny Mięsokombinatu, dyrektor „Czerwonego Stalinowca”, towarzyszy Bezlądny, pomydny dyrektor restauracji „Uczciwy Proletariusz”, hydromistrz Sowchozu „Droga do Marksa”, kom-

bat, major Czernych, kawaler orderów — wspaniały chłop! — Powiadają że podczas drugiej wojny w Obronie Ojczyzny on własnoręcznie 23 faszystowskie czołgi z nagana rozstrzelał!

Sprawdzili nas według wykazu. Poszliśmy na dół; po drodze jeszcze ze cztery razy przeliczali, nareszcie doszliśmy do bramy. „Czarny Kruk” na nas już czekał. Załadowaliśmy się w sposób zorganizowany. Trochę ciasno było i gorąco, ale to nic, trzeba się przyzwyczajać. Na Sowkanale cieplej będzie!

Przyjechaliśmy do Okręgowego NKWD. Gmach piękny i nowy całkiem; styl mieszany, ozdób różnych dużo — przed wjazdem zauważyłem, czaszki ludzkie na słupkach — podobno komsomolcy — Maorysi z Nowo-Zelandzkiej ASSR przysłali. Niby w charakterze zaproszenia do Socjalistycznego Współzawodnictwa w dziedzinie wykonywania galanterii kościanej, dla towarzyszy-komsomolców, co to odrobinę bardziej na północ od nich zamieszkują. Pięknie tam — podobno — w tej Zelandii całej! Mówią powietrze tam jakieś mocne... Nawet jakby spirytusem je czuć...

Siedzimy w poczekalni. Zimno! Dawaj my do drzwi walić i dyżurnego wołać. Przyszedł wreszcie:

— W czym rzecz?

— Jak „w czym” — zamarzamy, w tym właśnie...

A on:

— Prędko odtopniejesz! A tymczasem spróbujemy trochę ciszej się zachować, podrzucą opa! — napalimy!

Zatrzasnął judasza.

Element w celi okazał się pojętny, tłumaczenie dyżurny dał dostępne, zrozumieli wszyscy i uspokoili się, tak, na minut dwadzieścia, potem zimno swoje zrobiło — dobrze, mnie do śledczego zawołali, jak wyszedłem, podobno w poczekalni nawet bardzo duża nieprzyjemność wyszła.

Do śledczego trzeba było iść na górę. W kontrolce kazali w jakiejś dużej książce się podpisać i minutę zanotowali — pewnie śledczemu wykonanie normy według tych godzin i minut zaliczają. Poszedłem korytarzami i schodami. Gmach i wewnątrz ładny i czysty nawet. Korytarze długie, a jeśli gdzie korytarz się załamuje chłopaczek stoi umundurowany — koszula gabardynowa, pasek taki ładny, stoi, pogląda i jednocześnie głód zaspokaja: śledzik i herbatka, mocna widać herbatka i nawet kawałek cukru każdy w

ręku trzyma — wyraźnie w dziedzinie wyżywienia żadnych trudności nie odczuwają!

Doszliśmy do jakichś drzwi. Zapukał do nich dozorca, co mnie prowadził.

— „Tak!” — spoza drzwi ktoś odpowiedział; dozorca drzwi kluczem otworzył, mnie wpuścił i znów drzwi z zewnątrz zamknął.

Pokoik przytulny. Naprzeciw drzwi stół stoi, cały papierami zavalony, moc papieru! Od razu zrozumiałem, dlaczego u nas, w Związku Sowieckim, w dziedzinie papieru, nie bardzo można, choć i z przewyższaniem norm Bumkombinaty pracują. Lampa na stole elektryczna i klosz na niej zielony — działa energia elektryczna! Telefon też jest — bardzo kulturalnie! Zegarek na stole leży, wprawdzie kieszonkowy, ale zawsze zegarek i bogato nawet wygląda! Śledczy — chłopaczek młody, widać wykształcony, zauważył, że na zegareczek spoglądam i od razu do mnie:

— Ty co, zegarmistrz z zawodu, albo może gwizdnąć chcesz? Nie, bracie! Z tej sprawy nic nie będzie! Popatrzeć możesz jednak, zegareczek u mnie od ojczulka — w 39 r. zachodnią kontrrewolucję niszczył i ten zegarek i wieczne pióro od niego mam — zdobyczne — właśnie tym piórem zaraz działać zaczniemy. Nazwisko?...

— Bezgołosow...

— „Bezgołosow!” — A na dyżurnego kto się darł? — Wszyscy wy tacy! — Jak o nazwisko zapytasz — „Bezgołosow”, a w razie czego, nikogo nie słyhać, za to „Bezgołosow” się drze! Ale to nic nie znaczy, pohłasujesz trochę i przestaniesz. U nas, rozumiesz, klinika taka jest, kurort, dla tych, co zanadto się drą, zaraz właśnie skierowanko tobie tam napiszemy... Znaczy Bezgołosow się nazywasz?

— Tak.

— Piotr Mikołajewicz?

— Tak.

— Rok urodzenia?

— 19...

— Gdzie zamieszkiwałeś?

Też powiedziałem; zapytał mnie śledczy jeszcze o to i o tamto, wszystko jak prawo przewiduje; trzy arkusze zapełnił i wreszcie, dawaj mnie przyciskać:

— Ty z robotników?

— Tak, z robotników...

— A dlaczego postanowiłeś spekulacją się trudnić, a?

Ciarki mnie przeszły. W żaden sposób takiego oskarżenia się nie spodziewałem!

— Ja, obywatelu i śledczy, spekulacją się nie zajmowałem, pewnie nałgał obywatelowi ktoś...

— Jak to: „nie zajmowałem się”? A w 19... kto na rynek chodził.

Zaczynam przypominać. Trzy lata minęło od daty, którą śledczy wskazał, prawda, może nawet byłem wówczas na rynku — lepiej się przyznać.

— Tak — powiadam. — Byłem na rynku...

— A po co uczciwemu człowiekowi po rynkach się pętać, co? Może powiesz, że w Uniwermagach nic nie było i wolny handel ciebie z tego powodu zainteresował, tak też możemy zapisać — widzisz, jaka ty swołocz! — Ale to nic! — Popracujesz latek 10-15, i do Uniwermagu nie zechcesz iść, nie tylko na wolny rynek. Więc jak napijemy? „Poszedłem na rynek, dlatego, że w Uniwer...”.

Nagle przestał pisać, spojrzał do notatnika, zaklął i powiada:

— Omyłka się wytworzyła! — Takie pytanie osiemnastej kategorii stawiamy, a ty według drugiej idziesz.

Arkusze podarł, zgniótł, pod stół cisnął, nowy wziął i znów pytanie zadaje:

— Ty sowiecki inteligent?

— Tak — powiadam. — Z alfabetem jestem obeznany...

— A przyrodę? studiowałeś?

— Naturalnie! W dziesięciolatce w programie nauczania figurował taki przedmiot, więc...

— Przestań mi dziesięciolatką głowę zawracać! Nie o to chodzi, ty powiedz, w 19... w Ogrodzie Zoologicznym byłeś?

Przypominam, rzeczywiście, byłem! Junnaci wycieczkę urządzali, trzeba było iść.

— Byłem, — powiadam.

— Hipopotama widziałeś?

— Widziałem.

— No i co?

— A nic; ciekawy zwierzę...

— Aha, ciekawy powiadasz zwierzę! A dlaczego on tobie taki „ciekawy” się wydaje, a?

— A bo chłopaki mówili: „*Afrykański hipopotam — dwa pudy jem, trzy pudy sr...!*” — i pomyślałem, że zwierzę ciekawe, u nas takich nie wytworzono dotychczas...

— A wiesz ty, że w Związku Radzieckim nie ma pudów?

Zrozumiałem wszystko! Ja w swym zacofaniu poszedłem na znowę ze zgniłą przeszłością, przeciw systemowi metrycznemu wystąpiłem, a przecież właśnie system metryczny w podwalinach techniki sowieckiej się znajduje. — Wyraźne — odchylenie prawicowe!

— Tak, obywatelu śledczy, nie uwzględniłem, popełniłem błąd...

— No, a teraz powiedz, pomyślałeś kiedykolwiek, jak by to wszystko w systemie metrycznym wyglądało?

Nie wiem co odpowiedzieć — puda w życiu nie udało się zobaczyć, a i hipopotamów nie przyszło się wychowywać; a ten mi od razu:

— Widzisz, wtedy szczeniakiem byłeś, a w wieku dojrzałym, z braku twojej odpowiedzi wnioskuje, też według pudów obliczeń dokonywałeś, wszystko teraz rozumiemy! Więcej pytań nie będzie. Podpisz!

Zadzwoiłem, odprowadzili mnie do poczekalni, po drodze znów trzeba było ze dwa razy się podpisać w jakichś książkach, poczekałem na dole ze dwadzieścia minut i znów „Czarnym Krukiem” przez miasto podróż odbyłem.

Powróciłem do celi, spać się położyłem i śni mi się, że jeżeli trzy pudy — 300 kilogramom to się równa, a dwa pudy, zaledwie 20 wynosi, i tak we śnie myślę: proporcja całkiem niby sowiecka — 20 kilo żre, 300 kilo nawozu dostarcza, wychodzi takim sposobem, że normę na 1500% wykonuje. — Dobry zwierzę!

W celi co dzień ciśnie; zupka też trochę gorsza się zrobiła, ale za to dwa pudełeczka domino dodali. Naczelnik Korpusu dobry chłop:

— Zabawiajcie się — powiada. — Prędko wasza sprawa się wyjaśni, a tymczasem — zabawiajcie się!

Wczoraj była szmonka. W nocy raptem słyszymy hałas jakiś, otwierają drzwi — o co chodzi? — myślimy. Wszyscy dyżurni, dwaj fryzjerzy, sklepikarz, kasjer i cały personel

z łaźni: „Wychodzić!” — wrzeszczą — „Tylko ciszej!”. Pewnie jakaś druga w nocy była.

Wychodzimy na korytarz, dawaj nas obmacywać — mnie ostatni guzik od portek obcięli i więcej absolutnie nic nie znaleźli podejrzanego, a ot, na przykład, Siemianow, wielką szkodę poniósł: brzytwę mu odebrali! Wspaniała brzytwa była — jako surowiec, na wykonanie jej, klamerka od kombinezonu zużyta została — przy pierwszej rewizji jakoś nie zauważyli, a on skombinował od razu: „Brzytwę wyprodukujemy!”. Trzy tygodnie klamerkę o betonową podłogę szlifował, przyjaciel jego, Wańka, przy judaszu cały czas stał, żeby dyżurny z korytarza nie zauważył, za to golił go za darmo, a od innego pół pudełeczka machorki brał — taką cenę ustalił i warto było! Dużej wartości narzędzie było! Przez trzy szmonki udawało mu się ją zachować — on ją w tyłku chował, a ot, podczas wczorajszej — nie wyszło! Przyszła na niego kolej, dyżurny ogląda go i każdy szew — obmacuje, a on w tym momencie jakoś niegrabnie z nogi na nogę przestąpił, brzytwa, widać, ukłuła, a on, dureń skrzywił się — ot i przyczepili się do niego:

— Czego się krzyczysz?

— Odcisk boli!

— To znaczy ty chcesz powiedzieć, że w tyłku masz odcisk, tak? A no, nachyl się!

— Nie mogę!

— A to dla czego nie możesz?

— Zes... się, brzuch trzeci dzień dokucza, na rozwolnienie cierpię...

— Obes... się — posprzątasz, nachyl się!

Zrozumiał Siemionow, że nie wykręci się, wyjął brzytwę, oddał. Posadzili jego do karceru na trzy dni — „żeby odcisk sobie wygoił” — powiedzieli... Mołczanow też wpadł, ołówkę z nosa mu wyciągnęli, też do karceru poszedł. A za igły nic nie mówili. — Z miedzianego drutu, co go podczas spaceru znaleźli chłopcy, robione były i choć uszko bardzo trudno było zrobić — szkiełkiem je trzeba było przedrapać — jednak trzeba było oddać:

— Komendant Korpusu da, jak kolejka na waszą celę przyjdzie — powiedzieli...

Znamy takie sprawy! Samym igiełeczki nasze się spodobają — „Kolejka przyjdzie!”.

Wróciliśmy do celi, kurzu — chmura! Materace popruły, z poduszek wióry wytrzęśli, czort wie czego szukali — pewnie cała sprawa w brzytwie była. Właściwie nic ważnego nie znaleźli, tylko jeszcze szachy, co ich Zeka Duniajew z chleba wylepił, korytarzowy odebrał.

— Tobie pajką — odżywiać się należy, a nie w szachy grać! Przestań ty, wreszcie choć w więzieniu szkodnictwem się trudnić. Widzisz go! Kołchozną pracę trwonić jemu się spodobało! Ech!

Szachy, jednak, wziął ze sobą: — „Ciekawy wyrób” — powiedział, i nawet zapytał, ile, można powiedzieć, trudności, na ich wykonanie, zużył?

Celę jakoś posprzątał, położył się każdy, zasnął, ale jak na złość pobudkę o pół do czwartej zrobili:

— Dawaj do ustępu! (Nasza cela dziś pierwsza na kolejce była).

W ustępie też śmieszna rzecz miała miejsce — tylkośmy posiadali, a tu nagle zahuczało coś w kanalizacji! Okazało się, że na czwartym korpusie sprzątanie robili, stąd ten hałas; ale że hałas to głupstwo, rzecz w tym, że ciśnienie duże się wytworzyło i kanalizacja nacisku nie wytrzymała — uszczelka w rurze pękła i na naszego starostę — Kowalenko się nazywał — cała fontanna z rury pękniętej się skierowała... całego obrobiło!

Dyżurny stoi w drzwiach, patrzy, śmieje się i tak mówi: „To dobry znak — w ustroju kapitalistycznym na pewniaka do klasy posiadającej byłbyś trafił!”.

Kowalenko wymyśla po cichu, tak żeby sobie ulżyć, a jednocześnie aparatu państwowego nie obrazić, ale nic to nie pomaga: wymyślaj, nie wymyślaj wszystko jedno, że dwa tygodnie będziesz śmierdzieć — zresztą i to nie straszne, — przykre, że chłopaki się śmieją...

Znów do śledczego mnie wołali. Przyprowadzili do gabinetu, patrzę — inny jakiś siedzi i wilkiem patrzy.

— Siadaj!

Siadłem. Znów wszystko od początku. Nazwisko, imię, jak z ojca i w ogóle, a potem znów pytanie o hipopotamie i wreszcie:

— Powiedz, kto z tobą na tej wycieczce był i kto tobie wyjaśnień dotyczących zagranicznego zwierzęcia, udzielał?

Ja, dureń, z głupoty swojej powiadam:

— Wszystkie chłopaki tak żartowały...

A on na mnie:

— „Wszystkie chłopaki!”, znaczy ty już i wówczas do organizacji przeciwnymetrycznej należałeś. U ciebie plan zniszczenia systemu metrycznego, z tego widać, dawno dojrzał, ty mnie nie powiadasz: „Wszystkie chłopaki”, nie ma potrzeby na chłopaków winę zwać, nas nie oszukasz! Ja ptaszek ostrzelany, mnie w pole nie wyprowadzisz! Ty wiesz co to jest NKWD? Widzisz, teraz tobie dokładnie wiadomo, z kim do czynienia masz, nie takich widywałeśmy! Przyznawaj się, kto do organizacji przeciwnymetrycznej należał?

— Dajcie spokój, obywatelu — powiadam — jaka tu organizacja może być? Chłopcy, z jednej klasy koledzy, junnaci...

A on nagan z szufladki wyjmując i mnie pod zęby podtyka:

— Ta sztuczka prędko ciebie odzwyczai personel NKWD w błąd z rozmysłem wprowadzać. Powiadasz nazwiska, resztę sami uzupełnimy!

— Żle! — myślę. Zaczynam przypominać. Pamiętam Wańka Kowyr był, Geniek Szaposznikow, Alosza Wergun, Witia Sosnkowski... naliczyłem z piętnastu, więcej ani rusz przypomnieć nie mogę, a on:

— Posiedzisz sobie — przypomnisz. Masz tu karteczkę, Komendantowi Korpusu oddasz, arkusz papieru i ołówek od niego dostaniesz, ażeby przypominać ci nie przeszkadzali, my ciebie tymczasowo do pojedynki przeniesiemy, tam chłodniej i hałasu nie ma takiego, wyżywienie też specjalne otrzymasz...

Znamy to wyżywienie „specjalne” — 300 gramów chleba i wrzątku dwa kubki. „Wyżywienie specjalne otrzymasz!”

Nic nie zrobisz! Zadzwonił śledczy, przyszedł jak zawsze dozorca, sprowadził na dół; znów „Czarnym Krukiem” po mieście się przejechałem.

Powróciłem do celi, chłopcy rozpytują, a ja nie wiem co mówić — przecież taka sytuacja się wytworzyła, że wyjścia znaleźć nie można!

Dziś rano otwierają celę i od razu:

— Bezgołosow, dawaj z rzeczami!

Graty zebrałem i ruszyłem schodami na dół. Przyszedłem do karceru, rzeczywiście i papier i ołówek dyżurny dał. Papier wprawdzie z tapety, ale zawsze — papier i między kwiatkami i ptaszkami sporo jeszcze miejsca na pisanie jest.

Siedzę przez cały dzień, zreć się chce, ale nie ma co, pluskwy, natomiast, owszem, robią swoje, mimo że lampka przez cały sowiecki dzień oczy pali. Położysz się — podłoga kamienna, wilgotna, łamie wprost całego, a i smród, jak w stajni — parasza przecieka, przedziewała już widać. Posiedziałem jeden dzień, potem i drugi minął, trzeciego dnia dyżurny pytanie zadaje:

— Wykaz napisałeś?

— Nie ma wykazu — powiadam — i nie będzie! Uśmiechnął się dyżurny, patrzy się na mnie i powiada: „Będzie wykazik, będzie!”

Dziś, w obiad, dwa śledziki przynieśli, tłuste — sama rozkosz. — Podjadłem nareszcie uczciwie, dyżurny jeszcze główkę cebuli podrzucił, jednym słowem dobrze posiłem się chyba i na wolności mało kiedy lepiej się zdarzało, tylko że po obiedzie straszne pragnienie poczułem; zużyłem kubek wrzątku — jeszcze gorzej pić się chce. Stukam:

— Dyżurny, pozwól po wodę schodzić... A ten do mnie: — „Coś ty, zwariował? — Przecież wiesz, że rozwolnienie od wody może być!”. Zatrzasnął judasza.

Męczyłem się przez cały dzień, pod wieczór się uspokoiłem. Nazajutrz — to samo; postanowiłem nie jeść, ale nie wytrzymałem i znów żarłem, a potem znów przez dzionek cały bez wody. Na rano przychodzi do karceru Naczelnik Korpusu:

— Dawaj wykaz!

Pomyślałem małą minutkę, przypominałem sobie celę i powiadam: Za godzinę będzie gotów. Naczelnik tylko głową pokiwał: I po co tobie było przez sześć dni w karcerze sterczeć, napisałbyś od razu i tyle, czego tę swołocz żałować?

Pomyślałem sobie, że słusznie właściwie mówi — przecież na pewniaka ktoś spośród nich, kolegów moich, mnie sprzedał, czemu ja, w takim razie, się rozczulam?

Za godzinę zapukałem, spis oddałem; za jakie dziesięć minut karcer otworzyli i ruszyłem do celi. Przyszedłem

— wprost jak do nieba człowiek trafił! Sucho, światła prawie nie widać i — wody pełny kubeł!

Chłopakom prawdy nie ujawniłem — niby to że ze śledczym nieporozumienie wyszło, no i posadzili mnie, nawet współczucie mi objawili; wstyd mi początkowo się zrobiło, a potem zapomniałem i właściwie z tego powodu prawie bohaterem celi się stałem.



...normę wykonaliśmy, wesoło więc do baraków się wracało, potem ze trzy godzinki pod oknem kuchennym staliśmy, żeby zupeć otrzymać. Zimno było i prawie w śnieg ze zmęczenia każdy się walił, ale jaglanka z tłuszczem roślinnym na kolację była i kwitek tym razem bardzo się przydał. Położyliśmy się spać, ale nie na długo, bo alarm w zonie urządzili, okazało się, że taka rzecz zaszła: Jeszcze w dzień, jak na robocie byliśmy, jakiś krzyk koło baraku, gdzie *urki* mieszkają, powstał. Dyżurny leci zobaczyć — a tu na spotkanie wylatuje ktoś z baraku — cała morda we krwi — „Zarżnęli!” — na całą zonę się drze! Gawriłow na dyżurnego zawołał i uspokaja go:

— Nie przejmuj się! Nikt go nie zarżnął, ja przy tym byłem i dokładnie wiem, to on tak tylko się drze!

— Jak nie zarżnęli? Patrz! Cały człowiek we krwi!?

Jednak Gawriłow prawdę powiedział — nikt go nawet nie myślał zarżnąć, po prostu w jego baraku w karty grali, a ten „zarżnięty” — Łukin jego nazwisko było — zęby w mordzie złote miał, jeszcze na wolności sobie zrobił — jakaś robota mu się udała. Takim sposobem grają Szaszkow z Szorochowym już parę godzin. Ograł Szaszkow Szorochowa do reszty i więcej już grać nie chce — „Na co z tobą grać będę...” — bo Szorochow w kalesonach już tylko na pryczy siedzi — byłby na te kalesony grał, tylko dziurawe już były i nie prane z pół roku... Raptem przypomniałem, że Łukin zęby złote ma i zgodził się Szaszkow na te zęby zagrać. Grali ze dwie godziny — znów Szorochow przegrał. Takim sposobem, jak grać skończyli, idzie Szaszkow do Łukina i powiada: — „Ty, pederasto, wyjmuj zęby, wygrałem je od Szorochowa...”. Łukin tłumaczy, że w celach zdrowotnych zęby potrzebne mu są i że wyjąć ich nie można... Pogadali tak z pięć minut, nie dogadali się, wziął,

tedy Szaszkow nóż i sam Łukinowi zęby wyjął — podrapał go trochę przy tym, bo tamten jednak nie chciał zębów swych, złotych oddawać — dlatego i miał mordę pokrwawioną”. Nie trzeba było się sprzeciwiać! Przegrali twoje zęby — oddaj! — A zarżnąć nikt jego i nie myślał!” — Gawriłow jako świadek naoczny dyżurnemu tak wyjaśnia.

Zabrali jednak Szaszkowa do karceru, ten iść nie chce: — „ja prawidłowo grałem! Czego on sprzeciw stawiał?! Nie pójde ja do karceru, wy, faszyści!”. — Siłą go zabrali prowadzą, a on wszystko z siebie pozrzucał, na śnieg się kładzie i znów krzyczy: — „Zemszczę się, zemszczę się!”. Prawdę powiedział, zemścił się, dlatego i alarm był — podpalili karcer. Pobudzili nas wszystkich na wypadek, jeśli skry do zony lecieć będą. Myśleliśmy — karcer ratować pójdziemy, ale nie: — „Karcer już stary, niech się pali, jutro nowy stawiać zaczniemy!”. — Spalił się karcer i Szaszkow razem z nim. Ale zemścił się jednak, honorowy chłop był, wszyscy go żałowali, Łukinowi *urki* przyobiecali że jak tylko okazja będzie, na pewno go zarżną, tylko już naprawdę. I zarżną, ciekawa rzecz tylko, kiedy to zrobią, nie wiadomo, czy zdążę jeszcze zobaczyć — może przedtem do innej zony przeniosą?

Na ogół jednak nieźle było, na robotę się chodziło, żarcie, jakie takie dawali, nawet, jak dopiero co opowiedziałem, rozrywki się zdarzały i jakoś dzień po dniu schodził...

„Józef Stalin”

Nadszedł, wreszcie, dawno oczekiwany dzień. Przybyli delegaci Rządu Centralnego i wszystkich Republik i Autonomicznych Okręgów Związkowych.

Eskimosi i Patagończycy, Hindusi i Japończycy, Amerykanie i Australijczycy, mieszkańcy najmniejszych Republik Wyspiarskich z Oceanu Spokojnego, obok delegatów Szczęśliwych, Starych Republik Związku, zajęli miejsca na olbrzymich trybunach zbudowanych wzdłuż Kanału. Na jednej z nich, wydało mi się, że zauważyłem wśród delegacji Republiki Buszu Południowo Afrykańskiego, coś zanadto

obrośniętych towarzyszy, nawet zapytałem sąsiada, czy nie goryle to, przypadkiem, są?

— Ale skąd! Przecież wiesz, że Kanał ma zapewnić wyjście małych skór z ośrodków produkcji do Republik zbytu, nie może to być, żeby delegacja ich tu była, niby bezpośrednich producentów. Przekonał mnie — ale nie całkiem, pomyślałem sobie, że udział w delegacji swoją drogą, a dostarczanie skór swoją... Ale przestałem o tym myśleć, bo głośniki zaczęły nadawać dźwięk syren fabryk całego Świata. — Starosowieckie specjalnie dobrze można było odróżnić — nawet chłodek taki lekki, po plecach przeciągnął, jak odgłosy z Ojczyzny Ukochanej człowiek usłyszał, przyjemnie się zrobiło — bardzo gorący dzień był!

Czerwone sztandary powiewały na wietrze. Wzdłuż całego Kanału ustawiono olbrzymie portrety Drogiego Wodza i Jego najbliższych współpracowników. Pomiędzy portretami umieszczono hasła i wyjątki z dzieł Lenina-Stalina, Marksa-Engelsa. — W zupełności odtwarzały one wszystkie zasady, którymi kierowaliśmy się podczas tworzenia Kanału i wyjaśniały dokładnie całą Wielkość i Potęgę dokonanego osiągnięcia. Byliśmy dumni, że w naszych sercach panuje taka jednomyślność i zgoda — co nie spojrzysz na hasło — zaraz, jakbyś siebie samego w różnych okolicznościach życiowych zobaczył.

Oczekujemy na otwarcie. Na ścieżkę co ją od rozbieranych piramid, do Kanału wydeptali, pogłębiamy i żeby się nie nudziło, właśnie hasła czytamy. Na głos, albo po cichu — jak kto sobie życzy... zupełna swoboda pod tym względem była zapewniona!

A hasła — wspaniałe! — Ot, choćby takie na przykład: — „*Uczciwą pracą osiągniesz przedterminowe zwolnienie!*”. — Przeczytasz takie, zaraz ci na sercu radośniej się robi: przecież łatwiej z taką nadzieją pracować! — A że trochę „zasuszki” przy tym powstaje, to już co innego! — Zagadnienie do pewnego stopnia drugorzędne — trzeba było, albo odporność większą wykazać, albo pokombinować trochę, blatu poszukać takim sposobem zamiast w danej chwili grunt pod techniczną kulturę, czyli kok-sagyz, ulepszać, stałby taki, w chwili uroczystej i na swoje dzieło spoglądał...

— Albo takie hasło: — „*Niech żyje Szczęśliwa, Wolna, Sowiecka Ojczyzna!*”. — Słusznie! Szczęśliwa nasza

Ojczyzna — pomyśl tylko: jaki inny naród, prócz sowieckiego, taką gigantyczną Budowlę i w takim tempie, wykonać mógł? Żaden! Przecież żaden naród i żaden ustrój nie byłby w stanie choćby samą żywą siłą zapewnić w potrzebnej ilości, a gdzie pomoc w materiale i technice? Radiowęzły chociażby? Wychodzi wyraźnie, że „Szczęśliwa nasza Ojczyzna, Sowiecka...”. Albo: „Wolna” — też głęboka prawda w tym się zawiera. — Jeśli jesteś uczciwym człowiekiem i dobrze pracujesz, zawsze ciebie wysłuchają i co byś nie powiedział pod rozwagę wezmą, w wypowiedaniu myśli nie przeszkodzą, nawet zachętę usłyszysz i nagrody masz prawo się spodziewać. — A jako przykład wziąć, choćby i moją sprawę: żal i skrucbę naczelnik Działu Planowania przede mną objawił, uczciwie się przyznał: „Szkodnik — powiada — jestem! Tępić takich trzeba, więz mnie, zakuj w kajdany, Narodzie Sowiecki! Usunąć mnie ze środowiska uczciwej masy pracującej trzeba!”.

— No i co? Małeńki raport tylko napisałem, zaraz go zabrali — uwzględnili, że człowiek w nieskrępowany sposób najskrytsze swoje myśli wyjawiał i faszystowskie plugawe oblicze świata pracującemu okazał, — a ja na jego miejscu przez cały czas pracowałem zupełnie dobra robota była, w chłodku... U nas zawsze tak jest, możesz swobodnie wszystko powiedzieć, nikt ci nie przerwie i zaraz we właściwe miejsce skierują.

— „*Hańba leniom i odmawiającym pracy!*” — Też takie hasło było — bardzo dodatnio na masę podczas całej budowy wpływało, pomyśli który: — „Nie wyjdę dziś na robotę, jako chory się zgłoszę!”. — Już do Lekpoma idzie, a u Lekpoma na drzwiach hasło: — „*Hańba leniom!*”... Popatrzy, poczyta i choć boli wszystko, w oczach ciemno i stać na nogach nie może, rozmyśli się: — „Trzeba pracować!”. Zda sobie sprawę, że to właśnie on i jemu podobni w hasła są przewidziani, że sam siebie, z własnej woli, hańbą chce okryć i — rozmyśli się. Rozmyśli się i do wachty biegiem kusztyka, żeby na wyjście nie spóźnić się. Wieczorem po robocie, do stołówki pod okienko przyjdzie, kwitek odda i strawę otrzyma — a byłby rano się zapisał i zwolnienie dostał — pojutrze na czystą wodę trzeba byłoby sięść, no i — hańba! Za dwa trzy dni z tej hańby,

do Sanmiasteczka trzeba byłoby przejechać się, na bezpośrednie zapoznanie się z silosami...

Albo takie jeszcze hasło: — „*Niech żyje Stalinowska Przyjaźń Narodów*”. — Piękna przecież myśl — „*Przyjaźń Narodów!*”. — I nawet nie zwykła, tylko „*stalinowska*”. Pamiętam w ten wieczór, kiedy zawierbowali mnie, my z Sieriożą (on w trzecim rządzie „*zasuszki*” leży), omawiali tę zasadę. Nie chcieliśmy wierzyć, że w pełni ta zasada na budowie zachowana będzie — a tu patrz — nawet z Buszu Południowo Afrykańskiego towarzysze we współzawodnictwie udział wzięli, a teraz delegacja ich na otwarcie przybyła. W czasie samej roboty, nawet duże trudności z tego powodu bywały — takie nazwiska się trafiały, że nawet zgadnąć nie można było w jakim języku do takiego przemawiać. Specjalnie Medpersonel to odczuwał. — Przychodzi taki *nacmien*, niewiadomego pochodzenia i gada coś po swojemu. — Nie rozumie go Lekpom — zielonym posmaruje, albo fioletowym i już, dodatkowo do bramy na robotę skieruje, a jak który trochę gorzej wygląda — na wielbłąda i do silosów takiego, a tam, tylko numer na plecach napiszą, żeby porozumienie obsłudze ułatwić.

— Tak, dużo przykrości z tego powodu było! — Czasem całkiem na odwrót wychodziło i tylko dla tego, że taki, staro-sowieckiego języka we właściwym czasie nie opanował. W ten sposób i rodziło się złe zrozumienie zasady „*Przyjaźni Narodów... Stalinowskiej...*”. — Nie zdał sobie sprawy jeden z drugim że w żytej Rodzinie się znajduje i filologii należytej uwagi nie poświęcał — a byłby ze trzy, cztery wyrazy staro-sowieckie opanował — może by i oglądał dzisiejszą uroczystość.

Głośniki nadały umówiony sygnał — oznaczał on, że wszystko jest do wypuszczenia wody do Kanału przygotowane i że, ostatnie brygady wyszły z wykopu.

Cisza zapanowała śmiertelna. Zastygli wszyscy w oczekiwaniu przełomowego momentu w *Dziejach Świata*. Zdaje się, że spośród wszystkich zebranych, ja sam jeden się w tym momencie odwróciłem. — Wydało mi się, że piaseczek nad „*zasuszką*” zaszeleścił i ruszył się trochę. — Najpierw pomyślałem, że towarzysze nasi, co pod nim leżą, też razem z nami bezpośredni udział w Obchodzie wziąć chcą, ale szybko sobie zdałem sprawę, że przesąd

to jest. — Skąd tam „*zasuszcze*” do udziału w Uroczystości: kiedyś nieżywy, gadać nie możesz, a nie możesz gadać, znaczy i okrzyku nie wzniesiesz, a jaka uroczystość bez okrzyku? A gadać na pewno nie mogą — nawet Iljicza nie przywieźli, jak przedtem mówili. „*Nie nadaje się nasz wynalazek do publicznej demonstracji*”. Taki komunikat biuro badań naukowych przy NKWD SSSR, ogłosiło. — Przestałem myśleć o „*zasuszcze*” i dalej na Kanał się patrzeć.

Wszedł towarzysz Asenizjan na trybunę. Naczelnik, włącznik co z ładunkiem wybuchowym w tamie utrzymującej wodę połączony był, mu podał. Zagrała orkiestra.

— Ku Chwale wielkiego Stalina i wielkiej Sowieckiej Ojczyzny i w Ich Imieniu, otwieram Sowiecki Kanał! Nacisnął włącznik.

Rozległ się grzmot, huk poszedł wielki, ziemia jakby się uniosła i opadła; uniósł się słup burego kurzu i raptem w pobliżu trybuny i trochę dalej od niej, zaczęły spadać ogromne kamienie. — Poznaliśmy, że to te same, co nasi towarzysze z piramid dostarczali i w brzegi Kanału kładli. — Wyjaśniło się później — brygada minerska zobowiązała się zadanie na 175% wykonać i ładunek w takiej samej proporcji za duży wyszedł... Rozwaliło trochę brzegi, prócz tamy, z brzegów kamyczki na nas poleciały, ale nic się nie stało — *nacmeńską* trybunę trochę tylko nimi przysypało. Nie było czasu dłużej na to patrzeć, bo jakiś inny szum zaczął nadchodzić — okazało się, że to pierwsza fala z Czerwonego Morza do Kanału szła.

Znów zdziwienie w nas powstało — woda z Czerwonego Morza, mówili czerwona ma być, a tymczasem — nieprawda! Całkiem zwyczajna, nie czerwona — pomyśleliśmy chwilkę i postanowiliśmy, że to też nic nie szkodzi — postoi trochę w Kanale, „*zasuszka*” namięknie odrobinkę musi woda kolor zmienić. Koniecznie!

Woda szybko wypełniała wykop i kiedy szum pierwszej fali ucichł i już przystąpiono do zlewania do Kanału wody przywiezionej przez delegację, ze wszystkich mórz sowieckiego świata, raptem słyszymy, przez głośniki ktoś ni to płacze, ni to wymyśla?! — Wyłączyli głośniki zaraz, ale zdążyliśmy usłyszeć, że ktoś coś o ormiańskiej mordzie gada (Asenizjana, niby to miało dotyczyć). O kontrikach coś wspomniał, a o Ormianach bardzo brzydko się wyraził, w

ogóle o chłopaczkach małych coś mówił, ale już całkiem nie można było zrozumieć o co chodziło...

Później dopiero nam powiedzieli, że czas wybuchu trochę innym miał być. — Mieli wysadzać według miejscowego czasu, a wysadzili według moskiewskiego — w ostatnim momencie taki rozkaz z Kremlu przyszedł i nie zdążyli prorabowi, czy nawet zapomnieli, o nim powiedzieć. W ten sposób, choć to wszystkiego parę minut różnicy było, nie zdążył on brygad z południowego odcinka wyprowadzić i wybuch, a potem woda trochę ich uszkodziła. — Wszystkiego ze dwadzieścia tysięcy w wykopie zostało, przez to i wymyślał, a i mnie przykro się zrobiło: nie przewidywałem tego w planie rozchodów żywej siły, teraz przerabiać już nie wypada, duże mogą mieć przykrości!

Asenizjan kazał proraba tymczasowo uspokoić, a sam przemówienie wygłasza:

— Witam Cię największe Osiągnięcie, w Imieniu Naszego wspólnego Ojca, Wielkiego, Genialnego Stalina, Największego Budowniczego, niczym nie zachwianego Szczęcia mas pracujących całego Świata.

Witam was, pełni poświęcenia pracownicy, robotnicy, inżynierowie i admtechpersonel Sowkanałstroju.

Jestem dumny z waszej wzorowej, stalinowskiej pracy. Wyście udowodnili Światu, że Stalinowski Rozkaz — to dźwignia, która jest w stanie zatrzymać ziemię i ruszyć słońce, jeśli tego zażąda nasz Kraj i Partia... Nasze zwycięstwo nie ulega wątpliwości i my jesteśmy gotowi, ze zdecydowanym okrucieństwem zniszczyć każdego, kto odważy się postawić nam zarzut, niepełnowartościowości naszego powodzenia, które osiągnęliśmy w walce o najwyższe wykładniki wydajności w warunkach niskich szerokości geograficznych, sowieckiej kuli ziemskiej. Myśmy w pełni opanowali warunki pracy w tutejszych, niewątpliwie bardzo ciężkich, okolicznościach. Myśmy udowodnili, że sowiecki człowiek nie zatrzyma się przed jakimikolwiek przeszkodami. Myśmy umieli pracować w czasie najstraszniejszych burz piaskowych, obywając się całymi dniami bez kropli wody (to był przeważnie piąty rząd „zasuszek” — przypominałem sobie). Udowodniliśmy, że wstrętne pomniki niewolnictwa, jakimi były piramidy staroegipskich, faszystowskich Faraonów, nie umiały ostać się przed zapalem naszych Znakomitych Tragarzy, Bohaterów Związku Sowieckiego,

którzy systematycznie, kamień po kamieniu przenosili je w brzegi Sowieckiego Kanału. Piramid więcej nie ma! Tylko świadomy sowiecki *Zeka* był w stanie dokonać ich zniszczenia!

— Wielkiemu Stalinowi — Ura! — Krzyknął ktoś, masa okrzyk podchwyciła i długo nie milkły oklaski, i okrzyki wzdłuż całego Kanału...

— Teraz odczytam Ustawę uchwaloną przez Najwyższą Radę Światowego Związku Sowieckiego, zwalniającą, przedterminowo, Najlepszych Ludzi Budowy — mówił dalej Asenizjan, gdy nieco ucichły okrzyki i wrzawa.

Tłum się zaniepokoił — „A nuż, trzeba będzie na słońcu jeszcze ze trzy godziny stać?” — Tylko patrzmy się, a sekretarz Asenizjanowi zaledwie maleńki świstek papieru daje. Podszedł on z tym papierkiem do mikrofonu i czyta:

Według Ukazu Rady Najwyższej zwalnia się przedterminowo obywatela Bezgołosowa...

Tu ja, z przyzwyczajenia: — „Piotr Nikołajewicz, 58-2, 4, 7, 13 — 10 lat...”

Uśmiechnął się Asenizjan, popatrzył na mnie dobrotliwie — całkiem, jak ten agent, co mnie dwanaście lat temu zawerbował, i powiada:

— Nie trzeba już tak mówić teraz, kochany, przecież jesteś już znów wolnym obywatelem Związku Sowieckiego, nie *Zeka* — i dalej, do mikrofonu, gada:

— ...obywatela Bezgołosowa, Piotra Nikołajewicza, byłego Naczelnika Działu Planowania Głównego Zarządu Sowkanałstroja. Obywatel Bezgołosow został zwolniony przedterminowo i odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, za wybitną pracę i najlepsze wykładniki wydajności, które dał osobiście i których danie umożliwił wszystkim pracującym pod jego kierownictwem, czy według jego wskazówek. Towarzysze, proponuję wznieść okrzyk na cześć Obywatela Bezgołosowa, Piotra Nikołajewicza...

— Ura! Ura! Ura! — zakrzyknęli wszyscy, a mnie do serca, jakby ciepła fala sowieckiej radości weszła — pomyśleć tylko, mnie, byłemu *Zeka*, cała masa okrzyki wznosi! Znów wolny jestem! Może nawet do Ochrony Obozowej mnie przyjmą?

Tymczasem Asenizjan dalej mówi:

— Obywatela Bezgołosowa, prócz Orderu, zaszczycono mianem „Bohatera Budowy”, według Ustawy pozwała mu to, na zameldowanie się w rejonie Kanału. W dalszym ciągu, dla dania wyrazu swemu uznaniu, Państwo zapewnia Bohaterowi Budowy dostawę przedmiotów pierwszej potrzeby i wysokokalorycznych produktów spożywczych, w szczególności zobowiązanie dotyczy tłuszczów i mąki. Dodatkowo Bohaterowi Budowy i Kawalerowi Orderu, zezwala się na zbliżanie się bez specjalnej przepustki na odległość 500 metrów do brzegów Kanału. To ostatnie w celu umożliwienia mu zrozumienia gigantyczności przedsięwzięcia, w którym brał udział, do gruntu. On udowodnił nam wszystkim, że zasługuje na zaufanie i udowodnił nie słowami, tylko czynem, on udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że jest wiernym i oddanym Synem swej Wielkiej, Sowieckiej, Ojczyzny. Towarzysze, proponuję okrzyk na cześć Bohatera Budowy i Kawalera Orderu...

— Ura! — znów masa krzyczy, rozculiłem się bardzo, choć przez chwilę pomyślałem, że krzywdę mi tym prawem zameldowania się na stałe w rejonie Kanału towarzyszył Stalin wyrządził. — Strasznie mi się chciało do umiarkowanego pasa klimatycznego się przenieść, ale na czas przypomniałem, że przedmioty pierwszej potrzeby i tłuszcze mi Wielka Ojczyzna zapewnia i przestałem się martwić — postanowiłem na okrzyki odpowiedzieć i na trybunę poszedłem:

— Towarzysze! To prawda, pracowałem uczciwie. Zapłaciła mi Ręka Stalinowska i Nasza Wielka Ojczyzna szczerze i wielkodusznie. Nie jestem tego godzien, towarzysze! Uczciwie to wam powiadam, towarzysze Narkom niech też to słyszy. Żądam kategorycznie, jako świadomy obywatel (obywatel!), żeby każdy, któremu jest cokolwiek wstrętnego wiadome o mnie, natychmiast o tym głośno powiedział. Ja czuję, że nie wszystko podłe i plugawe poszło ze mnie precz! Kto wie, może znów jestem gotów do wszczęcia walki z systemem metrycznym? Może znów, i tego jestem prawie pewien, kiedy zjawi się przy mnie cudzoziemskie zwierzę — hipopotam, zacznę pastwić się nad nim? Towarzysze, jeszcze raz błagam was wszystkich na klęczkach — pomóżcie mi stać twardą i pewną stopą na platformie skrucy i samokrytycyzmu, to jest obowiązkiem honoru każdego z was...

Oklaski masa dała, ale jakoś nikt oskarżeń nie zgłasza,ostałem więc chwilę, pomyślałem, że może ja na prawdę nie jestem taki swołocz i wróg klasy robotniczej, krzyknąłem do mikrofonu — „Wielkiemu Stalinowi — ura!” — i złączę z trybuny, ale tu Asenizjan mnie zatrzymuje — „Poczekaj chwilę! — „Aha! — pomyślałem — pewnie jemu moja skrucha do przekonania trafiła!”. — Czekam co mi powie, a on tak gada: — „Czekaj chwilę, według programu, razem mamy pierwszą podróż przez Kanał obserwować z trybuny....”. Powiedział mi to, a ja zdziwienie wyrażam.

— A kiedy, towarzyszu, pozostałych przedterminowo zwolnionych czytać będziecie?

— Widzisz, na razie więcej takich nie ma, to jest byli, tylko oni przeważnie w południowym rejonie się znajdowali, jak ten wybuch przedwczesny nastąpił, fala ich spółkała, przykro... ale cóż! Nic nie poradzisz! Nie gniewaj się, samemu tobie przyjdzie w tym rejonie osiedlić się.

Z daleka ukazał się Atomchod „Józef Stalin”. Majestatycznie i powoli wchodził on w brzegi Kanału.

— „Witać pierwszy Atomchod na wodach Kanału!”. — Taki rozkaz przez głośniki podali.

Wspaniale powiewał na wietrze Arabskiej SSR ogromny czerwony sztandar na rufie Atomchodu. Na dziobie stał ogromny posąg Wielkiego Stalina — Patrona statku, pierwszego Atomchodu Świata. On, jak Lenin, wyciągniętą Lewicą wskazywał drogę, pracującym całego Świata, do Czerwonego Szczęścia, do Nowych Zdobyczy.

Masa padła na kolana i wyciągnęła ręce przed sobą — trzeba przecież było powitanie socjalistyczne w swej istocie i narodowe w formach zewnętrznych urządzić...

„Józef Stalin” majestatycznie płynął między Brzegami Sowieckiego Kanału.

Holował za sobą cztery krypy — to chłopcy z północnego odcinka Kanału, co jeszcze wczoraj się załadowali płynęli na Cejlońskie plantacje herbaty, walczyć o zwiększenie powierzchni uprawy.

Strzelcy stali na krypach — łuskali ziarenka na dzisiejszą uroczystość. Ukraińska Republika przysłała, od Narkoma Spraw Zagranicznych, dla wolnonajemnego personelu i ochrony prezent. Cały wagon przyszedł — widać dobry urodzaj słoneczniki dały w tym roku.

Przepłynął „Stalin”.

Zeszliśmy z trybuny. Masę do zon pozapędzali, kazali z rzeczami się przygotować, a ja do biura powlokłem się, paszport trzeba było wziąć, no i o miejsce zamieszkania dokładnie się dowiedzieć. — Niech się zdarzy, że w pasie zakazanym Kanału człowiek zacznie się urządzać — znów przykreść gotowa! — Posadzą, a najważniejsze, że Order odebrać mogą i miana Bohatera pozbawić...

— Tu jest wasz paszport. Dom sobie, naturalnie, drogą osobistej pracy wzniesiecie — tylko o normach nie zapomnijcie! Choć wy i wolny teraz, ale to nie oznacza, że czas macie marnować, do widzenia!

— Do widzenia, ale jeszcze jedno — co się tyczy właściwego zużycia czasu, bądźcie spokojni towarzyszu Komisarzu, tylko powiedzcie mi jeszcze, kiedy mam po przedmioty pierwszej potrzeby się zgłosić i po tłuszcze przyjść?

— Przedmiotów pierwszej potrzeby, tymczasem nie dostarczyli, a jeśli o tłuszcze chodzi — jak tylko będą, zaraz wydamy.



Wyszedłem. W Biurze agencji z prorabem zatopionego odcinka rozmowę prowadzą i Naczelnika całej budowy też poprosili.

— Omyliłem się co do czasu — zegarek mój strasznie stary już — od czasów Drugiej Wojny Ojczyźnianej z jego pomocy nie korzystałem. — Ojciec mój w faszystowskim kraju go zdobył, może nawet pochodzenie tego zegareczka reakcyjny wpływ na zdarzenie miało... Oszukał sowieckiego człowieka!

— Nie szkodzi! Dawaj no zegarek tu, a sam — nie martw się! Twoja sprawa prędko się wyjaśni, a tymczasem — zbieraj się z rzeczami! Chodźmy!

W Sowieckim Kanale, za oknami biura, prawda — wolniutko, ale bez przerwy przepływa drobniutka fala z Śródsowieckiego do Czerwonego Morza...

LEO LIPSCHÜTZ

Pseudonim Leo Lipski. Urodził się w r. 1917 w Zurichu. Wychował się i kształcił w Krakowie. Studiował psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Aresztowany wraz z młodszym bratem we Lwowie w czerwcu 1940 r. wywieziony wprost do obozu w pobliżu Uglicza, bez rozprawy sądowej i wyroku zatrudniony był początkowo przy robotach leśnych, następnie jako lek-pom (pomocnik lekarski) w ambulatorium przy budowie tamy w Wołgostroju. Zwolniony w 1941 r., przyjęty do Armii Polskiej przechodzi zapalenie płuc, następnie, już po ewakuacji, w Teheranie, bardzo ciężki tyfus plamisty. Z powodu złego stanu zdrowia zwolniony z wojska. Dzięki stypendium rządu polskiego w Londynie wznawia przerwane studia na Uniwersytecie w Bejrucie. W r. 1945 zostaje porażony prawostronnym paraliżem. Odtąd mieszka w Tel-Avivie. Cała jego rodzina została wymordowana przez Niemców, jedyny brat, z którym był razem na zesłaniu, poległ pod Monte Cassino.

Zaczął pisać już w latach studenckich, ogłaszając nowele, eseje i recenzje muzyczne.

W roku 1953 dostał nagrodę „Kultury” za opowiadanie „Dzień i noc”, które w całości drukujemy poniżej. Ukazało się ono w zbiorze, w serii „Biblioteka „Kultury””. W tejże serii ukazało się w r. 1960 jego opowiadanie „Piotruś”. Drobniejsze utwory ogłasza w czasopiśmie polskich oraz w tłumaczeniach angielskich i niemieckich.

„Dzień i noc” to wspaniała w swojej grozie wizja apokaliptycznego świata sowieckiego niewolnictwa. Szereg obrazów, doskonale oszlifowanych, przypomina zwartością i tempem projekcję wstrząsającej taśmy filmowej.

„...Niech będzie pochwalony
obywatel Jezus Chrystus”.
(Z listu górnika polskiego
Francji do konsulatu w X).

Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Razem z waszymi obłąkaniami i wściekliczami. Pozwólcie mi nachylić głowę, pomału, jak nad strumieniem, który płynie. On odbije mój zmienny obraz wraz z majakami sprzed wielu lat. Pozwólcie mi go na chwilę zobaczyć.

Więc nie zbudowaliśmy Wołgostroju. W każdym razie nie nasza to wina, że na wiosnę, wraz z tajaniem lodów, rozleciał się i odpłynął betonowy port. Nie my budowaliśmy go. Naprawdę. Ale za to męczyliśmy się bardzo. Zwłaszcza w zimie.

W latrynach paliły się stuświecowe żarówki, ale one nie grzały. Rano w czasie pobudki, było jeszcze ciemno. I niewiarygodnie zimno poza barakiem. Wyjść głodnym na mróz, to jest straszna próba. I nieodzianym. To wszystko już znacie, z tego będziecie zaraz rzygać. Ale zaczekajcie.

Przypominam sobie, przed wojną, prowadzili policjanci człowieka i bili go po pysku. Nie mogłem od tego wzroku oderwać. A za nimi szedł tłumek. I ja musiałem patrzeć. Może wy też znajdziecie coś takiego na co będziecie musieli patrzeć.

Byłem pomocnikiem lekarza i dostawałem czasem pensję: 50 rubli. To nie było mało. Kończyłem dyżur nocny. Telefonowałem do karceru, że za 15 minut przyjdę. Kuchnie nie miały telefonu. Nie mogłem telefonować, że przyjdę zjeść, niby próbować, czy dobre. Blakła zmore, że któraś z kobiet w nocy zechce rodzić. Ja o tym pojęcia nie miałem. Mówił Grisza:

— Ty tylko tam pójdziesz. One same między sobą.

Wiedziałem, co one same, między sobą, ale to było co innego.

Elektrownia żarzyła się białym światłem. Uzbegy mówili „Faro”.

To znaczyło „Faraon”. I bali się. Obwieszona spawaczami wyglądała z daleka jak brylant. Już dwie turbiny

szły ale tego nie było słychać. Stuświecowe żarówki, przyrządy elektryczne w kuchni. Podnosiły się powoli mgły i Ona, czworokątna, olbrzymia, bez okien, jednym ramieniem obejmująca Wołgę, unosiła się w górę i opadała, wśród błysków elektrosprawaczy. Uzbegy mruczełi:

— Faro.

Mówili potem tak cicho, że można to było wziąć za złudzenie:

— On.

Szliśmy z leśnego obozu. 60 kilometrów dziennie. Poprzez zmęczenie ciężkie, miazdzące, przebijająca ciekawość. Bezustanny zbliżający się grzmot. Złudzenie ze zmęczenia? Weszliśmy do miasta, gdzie należało krzyczeć, gdy się coś miało do powiedzenia. Mieszkańcy byli przyzwyczajeni. Porozumiewali się na migi. Pracowali w niewidocznej, podziemnej fabryce motorów do samolotów. W każdej chwili próbowano 700. Pani żywotów.

Dwukrotny sygnał świetlny. Pod kuchnią awantura. Trzy zupy na ziemi. Gwar, jak w ulu przed wylotem. Na mojej pryczy siedzi mały krawiec z K. Patrzy w jeden punkt i mówi coś do siebie. Grisza jest chory. Przyjdzie dopiero po południu, gdy będzie więcej pracy. Nie będę spał w dzień ani w nocy. Z wielu powodów. Trzy sygnały świetlne. Mały krawiec siedzi na pryczy. Boi się zimna. Najdzielniejsi płaczą gdy wychodzą na robotę. Łzy nie kapią. Zamarzają zaraz. Ten mały nigdy. Ale boi się wyjść. Dopiero brygadier musi go wyganiać. Niektórzy jeszcze śpią, mimo że chodzą. Przedłużają sen do wyjścia. To nic wam nie pomoże, braciszku, ja wiem. Obudzi was wiatr znad Wołgi z którym mówiłem w nocy. Obudzicie się ze szronem na rękach. Biada tym, co nie jedzą zupy.

15 minut na karcer. Bieg kilometrowy. Nastawienie wewnętrzne. Tak, jakby się we mnie coś kurczyło. Twardniało i uczuła się.

Pytam. Stan: 76 ludzi. Widziałem ich, z wyjątkami, wczoraj, przedwczoraj itd. Na korytarzu stoją szeregiem, pod ścianą, na spocznij. Naczelnik karceru:

— Zobaczycie.

— Gdzie?

— W celi.

Potakuje.

W ciągu piętnastu minut mam zobaczyć, jak jest ze zdrowiem tych ludzi. Miesiąc w spec-kolonie, to rok obozu. Tak mówią. I trzeba uważać, żeby nie wpaść. To nie jest takie proste, kiedy wszyscy cherlają. Jestem napięty. I nagle spada na mnie przeraźliwy spokój. Nie słyszę co mówi dalej naczelnik, rusza tylko wargami, jak ryba, widzę i słyszę tylko 76, tylko.

— No co, dzieci? Mówcie.

Zaczynam pierwszą twarz, chłopska, znośnie blada.

druga: — nie, naciągacz;

trzecia, pierwsza woła: — gorączka, biorę za puls — nie, równocześnie widzę podniesione spodnie szóstej, flegmona: — wystąp;

czwarta, piąta, siódma;

siódma: — jak ja cię bracie dostanę;

ósma;

pierwsza histerycznie: — gorączka, pakuję termometr;

dziewiąta;

siódma mówi — ja mam tylko trzy dni;

dziesiąta, jedenasta, dwunasta, trzynasta, czternasta;

piętnasta — nóż, uśmiecham się czarująco, pomaga, nie zawsze;

pierwsza robi podejrzone ruchy termometrem, daje znak że widzę;

szesnasta;

siedemnasta, przekonywujące, goły tyłek, skrzepły strumyczek krwi, znany hemoroidnik;

osiemnasta, dziewiętnasta;

dwudziesta, zostawić, chłopak biały, puls 130; — wystąpić;

nagle siedemnasta, obróć się, pokaż pysk, więcej nie trzeba, pokaż gardło, krwotok, tbc, żołądek, nie wiem, dlaczego pokazałeś tyłek... bo... bo..., telefon do szpitala, położyć się;

dwudziesta pierwsza, dwudziesta druga;

dwudziesta trzecia: noga otwarta w bardzo nietypowym miejscu, musiał całą noc trzeć, wystąp;

pierwsza, biorę termometr, normalna;

dwudziesta czwarta;

dwudziesta piąta, złodziej moskiewski, nigdy mi się

nie podobał, nic nie mówi, podgorączkowy rano, wystąpić, NO WY...;

siedemnasta, całą noc z krwotokiem, a może nie, zmyliła mnie świeża krew;

dwudziesta szósta, dwudziesta siódma, dwudziesta dziewiąta;

trzydziesta, trzydziesta pierwsza: zgarbiony, symulacja, połów się, twardość brzucha, lepiej nie, wystąp;

trzydziesta druga, trzydziesta trzecia;

trzydziesta czwarta, milczy, ale pelagra, krańcowe opuszczenie się, nie może symulować tego, już czas... wystąp;

z lekkim niepokojem patrzę ilu jest już zwolnionych;

trzydziesta piąta, trzydziesta szósta;

trzydziesta siódma: brzuch, jęczy, połów się, macam brzuch, twardy, stosuję trick, łechnięcie, brzuch miękki, uśmiechnął się typ, dziś idzie;

trzydziesta ósma, trzydziesta dziewiąta;

uważać, uważać;

czterdziesta, czterdziesta pierwsza;

czterdziesta druga: olbrzymi, rzuca się na mnie, gryzie podeszwę, kaftan, prawdopodobnie symulant, podnoszę się;

czterdziesta trzecia;

czterdziesta czwarta: mijam nieruchome źrenice, jeszcze raz, nieruchome, zakrywam, odkrywam, nieruchome, wystąp;

czterdziesta piąta, czterdziesta szósta;

czterdziesta siódma: opuchnięte nogi jak ciasto, wyżej też, wystąp...

W końcu dojechałem do siedemdziesiątej czwartej.

O jednym wiedziałem, że leży.

— A drugi?

Siedzi na dolnej pryczy. Członek przybity grubym gwoździem do nar. Wcale nie udaje, że boli. Krwi nie ma. Idę do telefonu.

— Grisza, będziesz musiał wstać. Do karceru. Jeden gość przybił sobie tego do nar.

Podpisuję. Ci których zwolniłem idą do lekarza pod konwojem. Tamten w kaftanie na psychiatryczny. Elektryczno-dębowe drzwi otwierają się. W tej chwili cztery sygnały świetlne. Do pracy.

Jeszcze 10 minut. Zwalam się na śnieg. Całe zmęczenie skoczyło na mnie jak pies i przygniotło mnie. Teraz jestem całkiem bezsilny, wypłuty. Oni by chcieli żebym zwolnił cały obóz, 70 tysięcy ludzi. Chcieliby mnie dostać do spec-kolony. Nie. Chcieliby, aby każdy z osobna był jakimś cudem zwolniony. Przynajmniej na dziś. Nie troszczą się o resztę. Podnoszę się ze śniegu. Tutaj jest nienaruszony, błyszczący jak jedwab. O sto metrów dalej są już druty kolczaste i wyżki. Słychać z daleka orkiestrę. Orkiestra gra. Na takim zimnie. No — no. Poprawiam kitel, robię kilometr i jeszcze pół.

Defilada. Na podium stoję ja, jako przedstawiciel sancaści, zastępca komendanta obozu, ktoś z rachunkowości, czy ja wiem jak się to nazywa. Orkiestra gra u szerokiego wejścia. Kolumny formują się czwórkami. Jest siódma godzina. Wzniesienie dla orkiestry jest oświetlone. Zaczyna się.

Od Wani pożyczam walonki, żeby nie marznąć w nogi. To trwa, przemarsz 30 tysięcy ludzi. Idą, idą. Stachanowcy, łamagi, spryciarze, symulanci. Formują się jeszcze w mroku, wypełzają w jaskrawe światło orkiestry, potem giną w тумanie. Zaczyna sypać śnieg. Fufajki podarte, buty z opon, łapcie. Krzyki formujących. Wołania. Naczelnicy brygad. Cofanie się, potem: Naprzód. Palce owinięte szmatami. I tak zgrabieją, braciszkanie. Mam policzek zmarznięty. 40 stopni. Wiatr i śnieg. Ten policzek od strony Wołgi. Trę. Im leją się łzy. Tym najdzielniejszym z wyjątkiem małego krawca. Idą pod wiatr, tworzy się im lód na twarzy, szron na powiekach; oddychają.

Nie potrzeba bojów. Wokoło jest wielkie kolisko wyżek i drutów. Kilkadziesiąt kilometrów. Nie uciekną, bo dokąd? Choćby znali Rosję jak własne palce, to i tak nie. Jest to tak oczywiste, że nawet nie próbują. Chyba wariaci. Nawet kierownik żarcia szpitala. Ma poza obozem ładne tyśiączki. Chodzi jak baryń. Ale on też nie.

Odrywa się od brygady jakaś twarz i prosto do mnie. Ja mam jeszcze w tej ostatniej minucie prawo łaski. Ci, którzy w nocy zachorowali, mieli czas. Ci, którzy w czasie wyjścia — Wania. Ci, którzy w ostatnim momencie — ja. Twarz zakryta, owinięta po oczy, tylko oczy błyszczą. Staje. Nic nie mówi. Oczy błyszczą. Biorę za rękę. Puls niewyczuwalny na mrozie. Widzę młode czoło,

żółte, Chińczyk? Odchylam dolne powieki: żółtaczka? W końcu łapię. Drobną niteczką szamoce się pod skórą, szybko, zanika, szybko. Zostawić. Siada na podium, nogi zwi-sają.

— U kogo byłeś wczoraj?

— Aleksander Aleksandrowicz — odpowiada cicho. Tymczasem mój krawiec przeszedł. Aleksander mówi do mnie przed rozpoczęciem przyjęcia:

— Ja zwalniam tylko co drugiego, jak jest chory. Nie mogę więcej.

— To obciążacie szpital.

— Niech oni się martwią.

Chory opowiada mi, że mówił mu Aleksander.

— Ty, bratku, masz zdaje się zapalenie płuc. Ale cóż robić? Poprzedni miał złamaną nogę. Przyjdź jutro.

I zapisuje kamforę, środek wykrztuśny. Wtedy ja do tego chorego:

— Idź do Olgi Pietrownej.

Olga to jest 20-letnia smarkula. Ona tu jest naczelnikiem. Ale.

Defilada. Znów stachanowcy. Jeśli mieli walonki, przehandlowali na jedzenie, mają onuce. Onuce, to wspa-niałe odkrycie.

Gdy szedłem z brygadami rąbać drzewo w leśnym obozie ratowały mnie onuce. Osiem kilometrów w jedną stronę. Przez dwa miesiące nie widziałem, jak wygląda prycza na której śpię. Wychodziłem przed świtem, wracałem w nocy. Po omacku. Pomału przychodziły piły, siekiery, miseczki, lampki. Było wtedy lato i tyle borówek. Na grzybach się nie znałem. Zdarzały się maliny. Dopóki nie nadeszły piły miałem spokój. Wybierałem sobie polanę w lesie i kładłem się na ziemię. Rzucąłem liście do strumyka. Tak urocz. Zapominało się. Świerszcze. Bzyki unoszące się nad ziemią. Potem ciemniejszy las. Hubka. Rozpalałem ognisko i przypiekałem chleb. Zaczęły przychodzić piły. I siekiery. Zaczęły się krzyki, wołania.

Przechodzi jedna brygada Uzbeków. Wymierają masami. Na gruźlicę w różnych postaciach. Całe osiedle inwalidów w naszym obozie. Płatając się tam można zarobić na chleb. Sami homo. Ooo, salute Dżafer. Nie płacz. Nie gniewam się. Z tobą to było. Bandażowałem ci wrzód

i ty mnie pocałowałeś. I chciałeś. Przeszli, utonęli w zadymce. Orkiestra gra. Nie wiem jak, przecież palce.

Elektrownia szarzeje. Czasem niknie w śniegu. Ciągłe nowe kolumny. Już nie widać ludzi, tylko śnieg i poruszającą się masę. Jest mi zimno, zimno. Myśli mi zamazają. Stoję, stoję. I stoję. Nowe kolumny. I jeszcze. Idą prosto na mnie, idą przeze mnie. Widzę tylko ich nieogolone wklęsłe twarze. Próbuję ich zatrzymać. Ale oni nie spostrzegają mnie. Idą tak, jakby mnie nie było. Widzę ich, jak umierają.

Zamknęły się olbrzymie wrota. Uciekam do kuchni. Do pierwszej z brzegu. Przez pięć minut nie mogę odtańczyć. Kapie ze mnie. Potem kosztuję i kosztuję. To też należy do moich obowiązków. Kosztuję pierwszy kocioł, drugi, stachanowski, czwarty. Podpisuję, że się zgadza ze wzorami wystawionymi w witrynie. Potem druga kuchnia, czwarta, w piątej oglądam tylko.

Raz mi dali tu pudełko konserw. Myśleli, że jestem pies, że będę bruździł. Ale już od tego czasu nic nie dali, bo nie jestem pies. Niedołęga jestem. Tylko dają trochę chleba, czasem. A nuż, myślą? Tymczasem idę się golić.

Fryzjer jest dobrze zaopatrzony. Poznaje rzeczy, które są od nas. Wazelina, środki dezynfekcyjne. U fryzjera jest dziesięć krzeseł. Czysto wymalowane. Białe chałaty. Flakoniki z których pachnie. Lustro. Naśladuje, stara się. Dla mnie jest woda kolońska, dobre mydło.

Każdy może iść do fryzjera. Tylko nie wielu ma na to siły, ochotę. Inwalidzi, którzy by tu ciągle siedzieli, bo jest przyjemnie, mają wyznaczone godziny, zresztą nie częste. Więc odprężenie zupełne. Tacy sami tu pracują, jak na wolności. Gaduły. Tam na wolności gołą przeważnie kobiety, a tu nie. Więc gadają. A że on przyjdzie, bo ma czyrak na tyłku. Przyjąć oddzielnie. Szef mówi, że potrzebuje dla lepszych gości lanoliny. Zwłaszcza dla naczelnika policji obozowej. Były prokurator moskiewski. Mam dziś z nim spotkanie. Nie lubię go. A że czterech nurków zostało przygniecionych do siatek i że ich próbowali ratować trzy dni, ale w końcu dali spokój. Musieliby zatrzymać elektrownię. Potem, że przyszły nowe maszyny do odmrażania ziemi, ale ich jeszcze nie wyładowano. Stoją na torach i rdzewieją. Aha, bo nie ma do nich przewodów,

czy tam czegoś. Że teraz będą przywozili betonowe kafle do wykładania kanału. I że i że.

Próbuję trochę spać. Ale budzi mnie woda kolońska. Biegnę do ambulatorium. O 9,30 przyjęcia. Sekretarz jest przy pracy. Nazywa się Buehler i mówi po niemiecku. Naturalnie 58-my paragraf. Jest młody, porusza się z dziwnym wdziękiem ciężko chorych na serce. Ma ładne dłonie. Pytam o Griszę. Jest u naczelniczki, 20-letniej smarkuli. Referuje sprawę tego przybitego członka.

Grisza to jest czterdziestoletni człowiek z kołchozu. Zdefraudował coś. Skazali go na trzy lata. Powrócił, znów zdefraudował. Skazali na pięć lat. Tu, w obozie, nauczył się felczerstwa. Zresztą podczas wojny był sanitariuszem. Dużo wie. Na łysinę to najlepiej zgolić głowę, a potem smarować jodyną. Podobno skutkuje.

Więc z tym członkiem. Wychodzi Olga Pietrowna, za nią Grisza. Olga ma niebieskie, skośne oczy, nieładny nos. Zgrabna. Miłe łydki i kolana. Uśmiechem całą bandę trzyma za pysk. Siedemdziesiąt tysięcy. Jest taktowna i opanowana. Dobiera dobrze ludzi. Stanowcza i mądra. I przy tym dobra. Jak powie: — Nie, to tak jakby inny powiedział: — Tak.

Nie było mi się łatwo dostać do ambulatorium. Musiałem mieć zatwierdzenie naczelnika obozu. Nie wiadomo dlaczego spodobałem się jej. Wiedziałem, że będę przyjęty. Poddawała mnie z uśmiechem egzaminowi. Gapiła się na mnie, wpatrywała, nie spuszczała oczu, ukośnych, niebieskich. Siedziała w skórzanym fotelu, ja na krześle. Oddzielało nas biurko. No i to, że ona była „wolna”. Dawkowanie pantoponu. Objawy zapalenia płuc itd. A potem z małym przejściem:

— Zagwizdaj jakieś wasze szlagiery. — Znieruchomiałem, jak owad. — No, zagwizdaj, nie bój się, ściany są izolowane.

Zagwizdałem jej „Chłopców z Albatrosa”, „Błękitne niebo”. Gwizdałem może piętnaście minut.

— A umiesz tańczyć?

— Nie.

— Dlaczego?

Zrobiłem się dla niej trochę nieinteresujący, ale uśmiechnęła się i powiedziała:

— No, teraz możesz pracować.

Podawała mi rękę. Jak dobrze to dziś pamiętam. Co robisz po tylu latach Olgo?

Teraz byłem na prawach wyjątkowych. Nawet naczelnik obozu nie mógł mnie usunąć łatwo.

Zapomniałem, że ona już weszła, a za nią Grisza. Grisza prycha, kaszle, ma czerwoną twarz. Więc ja z czerwieniłem się, że oni idą do tego członka. Myślę: — Dobrze, że nie muszę tam być. Ale ona mówi:

— Może ty pójdziesz. Ty byłeś w karcerze? No to dobrze. Pójdziemy.

Ona jest w walonkach, przyjemnie ubrana. Idziemy w stronę śniegu, który jest jak jedwab. Ona pyta:

— Czy to prawda, że zwolniłeś pijanego?

— Prawda. Ale on był z milicji. Zastępca naczelnika.

— Powinieneś bardzo uważać.

— Jak mam uważać?

— Słuchaj, ty nie jesteś u nas długo. Sowiecki człowiek wie, nawet w obozie, jak się zachować. A ty nie. Chcesz pracować w szpitalu?

— Chcę, tylko...

— Ja wiem. Tylko nie będziesz mógł... Tak?

— Tak.

— No to zostań w ambulatorium. Tylko nie rób idiotyzmów. Dobrze, że o tym pijanym opowiedział mi Fied'ia.

Dmie znad Wołgi.

— Czy to prawda, że wolna siostra Natasza ma się ku jakiemuś Ze Ka?

— Prawda. Wszyscy o tym mówią. Że to odbywa się na stole w ambulatorium. Na bardzo niewygodnym...

— Dość. Mówmy o czymś innym. Będę musiała zwolnić Buehlera.

— Dlaczego?

— Rozkaz z góry, że wszyscy z 58... Bardzo go lubiłam. Dość.

Popatrzyłem na nią. Dziewczyna z liceum w szkolnym płaszczu. Granatowy z futerkiem na brzegach. Z kołnierzem barankowym. Tylko na głowie skórzana czapka na uszy. Skośne, niebieskie oczy.

— Aha, asenizatorzy sprawują się dobrze? Podczas twoich dyżurów?

— Dobrze. Teraz jest... — nie wiedziałem jak po

rosyjsku powiedzieć „kał” — zamrożnięty i tylko trzeba go odrąbywać.

— „Gówno”, chciałeś powiedzieć.

— Tak.

— Ja nie mam czasu chodzić do latryn. Polegam na tobie. A baraki 132, i 133 zostały wygazowane?

— Tak. Inwalidzi musieli się skupić.

— Naturalnie, że musieli. Chodzą przynajmniej porządnie do łaźni?

— Niektórym w zimie się nie chce. Uzbegy marzną strasznie.

— Niech marzną, ale muszą. Powiesz dziennemu dyżurnemu.

— Oni dostają po łaźni często zapalenia płuc.

— Niech dostają. U mnie nie śmie być wszy, ani pluskiew.

Inwalidzi, którzy nago marzną w łaźni. Czekają na ubranie w dezynfekcji. Czują, że mam jakieś zastrzeżenia.

— Czy ty myślisz, że mnie nikt nie pilnuje? I tak powinno być. Ja mówię tak z tobą, bo ty jesteś zachodni.

Podeszliśmy pod wrota karceru, które się elektrycznie otworzyły. Naczelnik:

— Melduję, że Achmatow odmówił pójścia do pracy i przybił sobie...

Ona machnęła ręką:

— Prowadźcie.

Ponura cela, oświetlona żarówką. Z judaszem. Ten Achmatow — brodaty chłop. Potężny i chudy.

— No Achmatow, co ty wyczyniasz?

Achmatow milczy, kiwa głową jak wahadłem. Porusza grdyką. To nie jest kanciarz, ooo, nie.

— Achmatow, obywatelka naczelniczka...

Olga przerywa karcerowemu. Widać, że Achmatow jest jeszcze nieprzytomny z myślenia. Że myślał całą noc. I jeszcze wiele innych. I przybił sobie. Groźbami nic się nie wskóra. Dałby się posiekać. Mruga oczami. Ona wskakuje na prycę, na drugie piętro. Siada obok niego. Mówi karcerowemu:

— Wyjdź!

Po tym bierze do ręki jego olbrzymią głowę. Przestaje nią kiwać, jest zbudzony. Patrzy na nią nieprzytomnie. Ona mówi:

— Jak ci nie wstyd?
On zakrywa członkiem ręką.
— Za co tu siedzisz?
— Pajdkę chleba skradłem. Nie chciałem wyjść do pracy.

— No, wyciągnij ten gwóźdź.
On wie, że jak wyciągnie to wszystko się zacznie od początku. Ona, zgadując myśli, pyta:

— Na jak długo?

— Trzy lata. Kułak, kułak.

— Jak długo siedzisz?

— Dwa lata.

— Durniu, za rok wyjdiesz.

Ale w nim jest chłopski upór. Ona dodaje:

— Ja sama wyciągnę.

On chwytając pryczę w dłoń i zaczyna ryczeć. Nie z bólu. Prycza trzaska pod jego rękami. Ryczy jak bawół. Ona tymczasem wyciąga gwóźdź. Patrzy jak bardzo zranione jest miejsce. Potem zeskakuje z pryczy. Do mnie:

— Zrób opatrunek.

On dalej ryczy, aż karcer się trzęsie. Ile miesięcy jego powolnego buntu poszło na marne. I bezcelowego w gruncie rzeczy. Olga woła:

— Achmatow! Milcz!

Achmatow pierwszy raz patrzy na nią przytomnie. Spojrzenie jego mięknie. Zaczyna płakać bezgłośnie. Ona mówi:

— A następnym razem tylko milicja ci pomoże!
Achmatow!

— Pamiętaj!

I wychodzi z celi. Nie, wraca.

— Zajodnyj mi...

Pokazuje trzy palce głęboko zranione. On postarał się aby gwóźdź był dobrze wbity. Zrobiłem opatrunek i wychodzę. Ona mówi do karcerowego:

— Ja już sama z milicją...

Potem wychodzimy na śnieg. Marszczy dziecinnie czoło:

— Przynieś mu sulfamidy.

Interesują ją nadal asenizatorzy. Czy dostają mleko? Nawet nurkowie nie dostają mleka. Jest stado krów w naszym miasteczku-obozie. Elektrownię znów pokry-

ły mgły. Już jest 9-ta. O 9,30 — przyjęcia, dla zwolnionych i nocnych brygad. Przechodzimy koło baraku stachanowców. Żłudzenie? Gramofon. I Scherzo Mendelsohna z Flierem. Postanowiłem tu wrócić jak będę miał czas. Ale nie miałem go nigdy. Więc nie dowiedziałem się, czy to była halucynacja. Znów zadymka, ale taka, że się nie widzi na dwa metry. Wróciła do ambulatorium, jak lalka: czerwone od mrozu policzki, biała skóra, usta nieprawdopodobnie purpurowe. Wróciła do gabinetu, w którym mnie egzaminowała i poprosiła Buehlera. Na drugi dzień już go nie było. Został przeniesiony do wszystkich z 58, których wysłano na etap.

Mamy pięciu internistów i jednego wenerologa. Dentysta jest też. Wania, Pietia i dwóch innych przygotowują opatrunki. Ja i Griszka Nr 2 przygotowujemy lekarstwa. Dentysta służy przeważnie do robienia złotych zębów na przodzie. Jest taka moda, która przyszła z Moskwy. I dostojnicy łagrowi dają sobie robić złote zęby. Na przykład kierownik od żarcia szpitala. Przychodzi kobieta z dzieckiem, aby dać jej wate. Przychodzi od fryzjera, aby mu dać wazeliny. I trochę spirytusu, który jest tak potrzebny. Denaturatu, naturalnie. Przychodzi lek-pom ze szpitala, aby mu dać kodeiny. Narkotyzuje się i jest bardzo sympatyczny. Robi małe operacje sam. Nawet nieskomplikowaną ślepą kiszkę. Po trzech dniach chory już chodzi. Wtem posłaniec od Olgi, żebyśmy przyszedł. Grzebie się w jakichś statystykach. Mówi, nie podnosząc głowy:

— Był telefon z punktu 126. Coś się stało, tam gdzie pracują Polacy. Najlepiej będzie, jeśli ty pójdziesz.

Znałem punkt 126. Tam była sympatyczna, ciepła chatynka i lek-pom, który częstował zawsze herbatą. I czasem chlebem.

— Ale szybko — dodaje Olga.

Chleb dostawał za zwolnienie od przychodzących na robotę. Miał prawo. Więc biegnę do punktu 126, który był po drugiej stronie Wołgi. Tam, gdzie kopano kanał i miały być służby. Daleka droga. Ciągłe szyny kolejowe, rozplatające się jak dłonie. Potem traktor. Ciągnie olbrzymie drzewo. Potem znów szyny. Dużo szyn. Z wagonikami. Biegnę i myślę, że nie zdążę dziś do naczelnika obozu. Będę musiał znów czekać tydzień, a każdy dzień jest tu napięty. Wreszcie jestem nad brzegiem

Wołgi. Tu kursuje kolejka linowa, która przewozi ziemię. Spieszę się, więc proszę lek-poma tutejszego, aby mi zorganizował kolejkę. Z hukiem wlatują wagoniki do hali. Przewracają je. Wysypują ziemię. Ja mam też jechać takim. Wsadzają mnie. Rrrr. Gwałtowne szarpnięcie. Wszystko maleje jak przy jeździe samolotem. W końcu znajduję się nad Wołgą. Wagoniki jadą szybko. Nie są obliczone na ludzi. Przy tym kołyszą się. Trzymam się ścian i poręczy. W górze jest wiatr. Nie oddałem walonek Wani. Przejeżdżam nad elektrownią, wysoko. Gdyby nie było zadymki, to bym się napatrzył. Jestem otulony mgłą. Wtem wagonik staje. To może trwać godziny, jak jest poważna naprawa. Wiszę pośrodku Wołgi. Chcę robić gimnastykę, ale wagonik jest za mały. Można w nim jechać w pozycji embrionalnej. Tylko. Na górze jest wiatr. Zamarzną. Tre sobie policzki. I uszy. I nos. Nareszcie rusza. Tak gwałtownie, że o mało nie spadłem. Robi zzzzz i zatrzymuje się w hali. Nie mogę wysiąść. Muszą mi pomóc. Jestem trochę nieprzytomny. Prowadzą mnie do punktu 126. Przed punktem widzę co się dzieje.

Nie dostali łopat i rydli. Rozpalili ogień. Z przodu jest zbyt gorąco, a z tyłu za zimno. Skakali jak małpy. Duże ognisko. Jest zimniej i zimniej. Chciałoby się wejść do ognia. Mój krawiec to zrobił. Najpierw zaczął tańczyć wokół ogniska. Potem wszedł. I zapaliło się na nim ubranie. On dalej tańczył. Płonąc. Elektrownia była nie-realna, nakreślona ołówkiem. Tańczył na tle elektrowni swój ognisty taniec. Mały krawiec z miasteczka. Potem lano na niego wodę. Potem zamarzł, jak żona Lota. Nie mógł wykonać ruchu. Ale był ogień. W lodowej skorupie, w ogniu, niczym święty. Spacerował. A cała brygada dostała bzika i wokół niego. Tańczyli taniec Bum-bum, jak Murzyni. Wchodzę do ogniska i cap za krawca. Przysmolilo mnie trochę. Krawiec, który nigdy nie płakał. Teraz nie płacze też. Ma skupioną minę, jakby szukał czegoś w ognisku. 126. Dostaję czaj, mój krawiec je śnieg. To lepiej niektórym zaspakają pragnienie. Wani zabrałem walonki węglem i ziemią. Polecam go opiece lek-poma 126 i wracam. Niech sobie poleży biedaczek. Tu jest ciepło. A brygada tańczy dalej wokół ognia. Znów wsiadam do wagonika, do kolejki linowej i wlatuję z gwizdem do hali. Wypadam z wagonika, jak ziemia. Leżę. Jestem bardzo śpiący i chciał-

bym tak leżeć. Ale mnie podnoszą. Widziałem maszyny do odmrażania ziemi. Jest 9,30. Muszę spać. Widziałem kobiety na robocie. Kuchą. Jest trochę jaśniej. Elektrownia jest wyrysowana pastelą. Pani życia. Kanał nie będzie gotowy przed wiosną. I olbrzymie betonowe kafle. Zajmują cały wagon na którym jest napisane 12 ton. Nikt tego nie podniesie. Chyba amerykańskie dźwigi. Idę, kiwając się, do ambulatorium. Idę zdać sprawozdanie Oldze. Ale już telefonowali i nie potrzeba. Olga mnie zwalnia na dwie godziny. Do baraku. Tam generał mówi o Niemcach. Jest chory. Wokół niego wielu ludzi zwolnionych z pracy. Nie ukrywa swej nienawiści do tej Rosji. Ma „Prawdę”. Nie wiadomo skąd. Naturalnie 58. Ufa Niemcom. Cała nadzieja w nich. Chodzi na chirurgiczny. Robi strategiczne plany. Od razu usypiam. Mam się dziś zobaczyć z wieloma ludźmi. Przez sen myślę, że generała tu już jutro nie będzie.

W obozie ludzie spotykają się, jak meteory. Ludzie mieszeni, jak piasek. Jest. Jutro nie ma. I w obozie jest swobodniej niż na swobodzie. Trochę swobodniej. Nie musi się tak uważać. A ile lat się siedzi to prawie nieważne. Dla nas to tylko ważne. Dla nas — Europejczyków.

Za pół godziny wstaję. Muszę. Złazę z mojego 2-go piętra i przemycam oczy wodą. W baraku jest dość ciepło. Zbudowany z desek, między które nasypuje się piasku lub ziemi. Ciepły i ciemny, co się kojarzy. Zresztą pali się żarówka, która mówi o elektrowni. Staram się wyglądać możliwie. Idę do kobiecego baraku. Myję zęby mydłem. Włosy mi trochę odrosły. Mam polski szynel. Wkładam go. Odchylam nauszniki. Z walonek Wani, okazuje się, można zeszkrobać sadzę. I niosę prezent: błękit metylowy, który farbuje na piękny, niebieski kolor.

Kobiety do dwóch miesięcy mogą karmić dziecko. Potem idą do roboty. I w czasie ciąży mają pewne ulgi. Niektóre starają się być w ciąży. Niektóre trują się jodyną. Niektóre wywołują chininą poronienie. Skakaniem, diabli wiedzą czym. Ta, którą mam odwiedzić, poroniła. Baraki żeńskie są otoczone wysokim drutem kolczastym. Wartownik przepuszcza bez trudności.

Wchodzę do baraku. Pierwsze wrażenie: Papużki w klatkach. Są oddzielone kocami. Mają pryzce trzypiętrowe. I co za konkurs barw, wycinanek. Jak drzewko. Wielkie wciągnięcie oddechu. Inny świat. Życie nieprzeczuwalne

tuż obok. Tylu kolorów dawno nie widziałem. Każda ma małą witrinę. Z papieru, ze szmat kolorowych. Jest tak ciepło, że kręcą się nie bardzo ubrane. Tego bardzo dawno nie czułem, kobiecego świata.

Nie umiem jakoś żyć wśród mężczyzn. Na ogół nie mam znajomych. Najlepiej rozmawia się z kobietami. Z każdej da się wydobyć jakąś historię. Choćby była najgłupsza. A tu nagle, sami, sami mężczyźni. I dotykają. Wytworzyła się warstwa ochronna: Otepienie.

Ta, którą miałem odwiedzić:

— Natasza, Natasza.

Natasza wychyla się z jednej z klatek na 2-gim piętrze i pyta:

— Co?

Ma na sobie zieloną kombinezkę. Więcej nic. Jest jeszcze osłabiona. Schodzi pomału i uśmiecha się.

Była w ambulatorium pomywaczką i z nią Wania. W małym pokoiku, w nocy. W pokoiku, w którym mogło stać tylko łóżko. Nic więcej.

Więc ona schodzi ostrożnie. Jak dawno nie widziałem ramion i ud kobiet? Nie, to nie jest pożądanie. Tylko, tylko... Już wiem, Uchwyciłem zachwianą równowagę. Renoir. Dégas.

Ona ma 22 lata, chłopięce włosy i zdziwione usta. Podaje prezent. Właściwie nie wiem po co przyszedłem.

— Wania kazał cię pozdrowić. I odwiedzić. I prosił spytać, czy go jeszcze lubisz.

— Lubienie... Serca nikt nie zmieni. Mnie dobrze bez niego. Za to dziękuję. Czy ty wiesz, że mamy dostać nowe koszule? Będzie taka błękitna...

— Mnie pożyczysz na szalik, dobrze? — wysunęła się jakaś głowa z kłitki. Całkiem młoda.

— Wania będzie się bardzo martwić. Co mam mu powiedzieć?

— Że... że skończyło się samo.

— Nie chcesz wrócić do nas?

— Nie... Robota była dobra... Ale nie. Bo wszystko zaczęłoby się od nowa. Nie, zresztą ja będę pracować w kuchni.

Tkwiał za tym jeden szewc z Polski. Szewc to była figura. Dwieście kilometrów jeżdżono do niego.

— A więc?

Nie chciało mi się wychodzić.

— Zostań jeszcze.

Różowe światło. Wycinanki w oknach. I kobiety przeglądające się w szybach. I kobiety, myjące się w balii. Wysuwają się głowy z papierowych zasłon, z rolet przezroczystych, żółtych (atebryna), niebieskich (błękit metylo- wy), zielonych (brylant gruen) i czerwonych, które jest trudno zdobyć (czerwona asseptyna). I wstążki. Jak na jarmarku. Tylko kobiety. Myją się. Przebierają. Oczekują kochanków, kochanków możliwych, którzy je zwalniają od pracy. Zamykam oczy. Pomału otwieram. Jestem chłonny jak gąbka. Wszystkimi porami — wchłaniam.

— A jaki to jest płaszcz.

— Szynel polski.

— Dowiozłeś go tu.

— Dowiozłem.

Wywołuje zawsze zainteresowanie.

— No dzieci, muszę już iść.

Wyszedłem. Dałem pająkę chleba wartownikowi. Był inwalidą i Kałmukiem. Miał inne zainteresowania. Nie kobiety. Wracalem przez szary świat. Pozbawiony koloru i wpadnięty. Starałem się nie myśleć o papużkach.

Wróciłem na przerwę. Grisza z gorączką. Bandaże porzucane. Nieład. Pusto. Tylko telepie się stara Aleksiewna Pietrowna. Lekarka. Grisza jest chłopiec-roztropiec. Siadam obok niego. Leży na tapczanie, gdzie leżą chorzy.

— No i jak?

— Jak się nażrę, to mi będzie lepiej. Idź do kuchara dziewiątego, tego z jednym okiem, i powiesz mu, że ja, Grisza, leżę chory. I ty się przy tym pożywisz. Idź młódziec. A jak nie, to tu zdechnę. Tylko żarcie pomaga.

Kuchnia dziewiąta jest blisko. Wchodzę i szukam szefa. Jest. Świdruje mnie jednym okiem. Tracę rezonans. Jeszcze bardziej świdruje. Mówię mu:

— Grisza chory...

— Co?

Udaje, że głuchy. To mu sprawia przyjemność. Podchodzę bliżej:

— Grisza chory...

— Coś tu tak, ale nie...

Jeszcze się bardziej zmieszałem.

— Coś tu tak, ale nie...

Podniósł swoją białą mykę i odkrył łysinę ogromnych rozmiarów, z myszką. Potem usiadł i ukazuje to wnętrze, to górę swojej dłoni. Wyraża w ten sposób wątpliwość. Ja po raz trzeci:

— Griszka chory, może jakieś jadło.

Odsunął mnie od siebie.

— Przecież nie jestem głuchy. Słyszałem. Słyszałem. A to się coś wykombinuje.

I dał mi puszkę z mięsem. I makaron kazał zagrzzać.

— Na. Griszce polepszenia.

Robi kiks.

Patelnia z makaronem o średnicy metra. Puszkę czuję w kieszeni. Makaron tłusty, przyrumieniony. Griszkę poderwało. Lancetem otwiera puszkę. I całą patelnię. Mruczy, jak niedźwiedź. Kicha. Kaszle. I dalej mruczy. Jak dotarł do połowy patelni, to zamyślił się:

— Tak to, tak.

I ze smutkiem w oczach zaczął dalej. To oznaczało, że dla mnie nic nie zostanie. W sterylizatorze ugotowałem ziemniaki. Okrasilem tranem. Sól mam zawsze przy sobie. I jadłem. Grisza spojrzał na mnie i wykrztusił:

— No, przecież.

Skończył jeść i musiałem nosić patelnię z powrotem. Griszka odwrócił się do ściany i śpi. Sanitariusze sprzątają. Myją podłogi. Podnoszą bandaże z ziemi. Zamykają pudełka. Zakorkowują flaszki. Jeden, patrząc na mnie, pije *f e r r u m p o m a t u m*.

— Dobrze, słodkie, jak wino — mówi.

Grisza nagle odwraca się, spogląda jednym okiem, potem buch, śpi.

— Dość, mordo — mówię.

Przestał, popatrzył na mnie:

— Ja na woli elektrotechnik — powiada.

Szoruje podłogę.

— Ja na woli elek...

— To cóż z tego?

Wybuch śmiechem.

— Zgadnij na ile mnie zasądzili? Zgadnij. Za dwa i pół metra drutu. A ja jeszcze dołożyłem swojego metra.

Poza tym przewraca gałami.

— Wiesz, ile ja metrów nakradłem?

Oblicza, oblicza.

— Trzy kilometry, może cztery. Sam nie wiem.

I szoruje podłogę.

Zaczynam pomału przygotowywać bandaże, mikstury. Na różnej wielkości gazy kładę stereotypowe maści. To się robi tysiącami. Przychodzi Pietia. Robi to samo, co ja. Potem Wania. Przygotowuje lewatywę, próbówki do opadania krwi, sterylizuje strzykawki. Na morfologię. Analiza moczu. Schodzą się lekarze. Cztery kobiety. Zaczyna być gwarno. Lekarze wypisują zlecenia na skrawkach papieru. Potem chory przychodzi do mnie. Ja mu robię to i owo. Nauczyłem się robić opatrunki szybko i żeby nie spadły. 300, 400 opatrunków w ciągu wieczora. To jest coś. Wania robi byle jak. Podłogi wyszorowane. Wszyscy w białych kitlach. Jak toreadorzy. Tam, w poczekalni, szum, gwałt, kłótnie, bójkę. Grisza śpi.

— No — mówię — wstawaj do roboty.

Olga przechodzi przez poczekalnię. Poczekalnia uspakaja się, jak morze. Potem znów pryska do góry. Idę do Anny-lekarka, aby zwolnić jednego. Aby go posłać do szpitala, że niby ma świerzb.

— Dobrze — powiada.

Jest to mała i, młoda. Skończyła przed miesiącem akademię medyczną. Nie dużo umie. Jest pełna najlepszej chęci. Ma śliczne walonki.

— Już na mnie czas — mówię.

Wracam. Olga wchodzi do nas.

— Wszystko w porządku?

— Tak, tak. Otwierać drzwi.

Wpada hurma. Jak byki. Grisza:

— Tylko z kartkami, tylko z kartkami.

Teraz zaczyna się robota błyskawiczna. Bandaże na pachwinę. *A d o n i s v e r n a l i s*. Środek ręciovny na opuchliznę. *D i g i t a l i s* tylko leżącym. (Ci co twierdzą, że leżą). Różne rozmiary bandaży. *U n g . H y d r . P r e c . A l b i*. Zamiast jodiny, brylantgruen. Czasem sulfa. Rzadko szpital. Odmrożenia. Gnijące palce, nosy. Lewatywa. Zastryk arsenu. „No, spuszcza spodnie”. Zanim tamten, robię dwa opatrunki. Sanitariusze gotują strzykawki. Uwaga, zastryk dożylny. Na szczęście ma żyłę. Trafiam z łatwością. Opatrunek-czapka. Z bandaży. Cuchną ciała. Pot. Lewatywa znów. Ten myśli,

że to się bierze doustnie. „Spuszczaj spodnie”. Patrzy na mnie zdziwiony. Nie wie, co mu chcę zrobić. Równocześnie robię opatrunek łokcia. Łokieć i kolano. Żeby się trzymało. Przez cały dzień pracy. Tego z lewatywą muszę uczyć pozycji na boku, kolana zgięte. Opadanie krwi. Nakręcam zegar. Wbiega kobieta i ryczy. Trzyma się za brzuch. Z nią Wania. Dalej ryczy. Robię bandaże stopy. Najczęściej otarcia. Dalej ryczy. Wania pantopon. Mówię: — Zaczekaj. Ale Wania już. Bismut na biegunkę. Nic nie pomaga. Poznaje pismo Anny-lekarza. Ta, która ma posłać na wagary. Daję do picia rivanol. F e r r u m p o m a t u m . Ulubiony napój chorych i zdrowych. Po starych bandażach się już chodzi. Coraz to bardziej czuć ropą. Wyciągam z karbunkułu czop. P a r a m e t r i - t i s . Odsyłam do wenerologa. Pod koniec jest się zaczadzonym. Karbunkuł duży, jak dłoń. Potem jodynuje. Podskakuje do góry, syka. Za to robię bardzo ładny opatrunek na tyłku. Załatwiony. Tymczasem coraz mniej widać, coraz bardziej czuć. Grisza wymiotuje. Kurza ślepotą. Dajemy dużo witamin z jodeł. Tak trzy, cztery, pięć godzin.

W międzyczasie widzę pana, starannie ubranego. Czeką. Chce czopki i chce, abym go odwiedził. Jeszcze dzie. Barak techników Nr 226. Mówi inaczej po rosyjsku. Prawdopodobnie lepiej. Żegna się.

— Mam nadzieję, że jeszcze dziś poczęstuję pana herbatą. Zapewniam, że jest dobra.

Zabiera swój wyjątkowo porządny kociołek. Kłania się. To rzecz niezwykła. Zakrywa go znów tyłek proszący. Zapamiętuję pana. Zwykle poznaję ludzi po częściach ciała. Zapalają światło. Czuję, że moje ręce robią skomplikowane ruchy. Precyzyjne nawet. Ambulatorium jest pełne oparów, smrodu. Chciałoby się położyć na bandażach i usnąć. Byłe spać. Nie ma się nawet siły do krostowatych, opuchłych, śmierdzących. Do porwanych i żółtych. Jeszcze jeden i jeszcze i jeszcze. W końcu Wania zamyka drzwi i mówi:

— Dość.

Grisza natychmiast kładzie się na kozetkę. Mówię:

— Posuń się.

Leżę i myślę. O tym, jak to było w obozie leśnym. Było bez porównania ciężiej niż tu. A jednak. Chodzili

pod latrynę zbierać główki od śledzia. I ssali je. Do szpitalika nie można było wejść. Tak cuchnęło sześciu chorych na flegmonę. Nie było sulfy. Byli beczkowaci, coraz bardziej puchły kończyny. Przypominało e l e p h a n t i a s i s . A jednak. Zwłaszcza jesienią. Wpadłem do jamy w lesie na bagniskach. Psy mnie odszukały. Nie mogłem złapać kierunku. Tonąłem w błocie. Potem przyszły mrozy. Zrywałem owoce dzikich róż. Były słodkie. Bałem się, że zapomnę jak się nazywam. Zapisałem sobie na korze brzo-zowej. Poprzednio spytałem kilku znajomych: Jak się nazywam? Ich odpowiedzi były zgodne. Z wyjątkiem jednej. Korę nosiłem przy sobie. Ludzie pili słoną wodę litrami. Puchli i byli zwolnieni. Ale umierali często. Na ostre zapalenie nerek. Już, już wstaje. Idę do baraku techników. Pan mieszka na drugim piętrze. Zauważa mnie.

— Zaraz proszę. Nie mogę pana przyjąć. Muszę włożyć czarne ubranie.

I zmienia szare ubranie, związane sznurkami, na czarne. To czarne jest bardzo stare. Pan ma lat sześćdziesiąt i jest w jego zachowaniu jakaś inność. Przedstawia się:

— Jestem Igor Aleksandrowicz Jasienin.

Potem zaprasza mnie na górną pryczę. Przygotował kekсы z serem. Biegnie po gorącą wodę. Zaparza czaj. Grzebie w kieszeniach czarnego ubrania (które okazuje się smokingiem) i wyjmuję małą fotografię:

— Oto moja mamusia.

— Gdzie mieszka?

— W Leningradzie.

— Czy żyje?...

Przestraszona twarz, że mogłaby nie żyć.

— Żyje, żyje, chwalić Boga.

Nagle przejście.

— Ja nie miałem kobiety w swoim życiu. Czytałem „Śmierć w Wenecji”. To ostatnia książka, jaką mogłem dostać. Wasili ze szpitala zdradził mnie. Pamiętam... pamiętam, gdy byliśmy razem w łaźni. On ma takie ładne ciało. Wtedy nie był lek-pomem. Dopiero potem, gdy ja prosiłem za niego. Inteligentny chłopak. Ma maturę.

— W jakim języku czytał pan...

— Po niemiecku. Znam też francuski.

Rozmawiamy po niemiecku.

— Co pan tu robi?

— Dostaję kocioł szpitalny, uprawiam w lecie ogródek. Poza tym nic. Ale teraz ma się zmienić naczelnik obozu. Przyjdą ciężkie czasy. Bo on mnie nie zna.

Milczenie.

— Słuchaj, chłopcze... Czy... czy nie znalazłby się chętny? Może ty? — Zaprzeczyłem głową.

— A inni?

— Spróbuję.

— Bardzo proszę. Ja nie miałem w życiu kobiety.

Zaczął opowiadać o przyjęciach z poprzedniej wojny u księżnej Czerkaskiej... I tam grał na fortepianie mały chłopak, syn księżnej.

— To on zdaje się występował w Polsce...

— Tak??

Zamyślił się.

— No ja muszę iść — powiedziałem. — Mam dziś dyżur nocny. Aha, czy uważa pan za możliwe zdeformowanie stosunków w Rosji?

Namyślił się.

— Nie.

Pauza.

— Nie, nie. Wiem o co panu chodzi. Tak, jak Kafka. Nie wyobrażam sobie. To jest kraj wymyślony. Można deformować tylko to, co istnieje. Wymyślonego nie da się deformować.

— A pan istnieje?

— Z punktu widzenia teorii poznania — nie. Z punktu widzenia „zdrowego rozsądku” — mało, zaledwie zarys cienia. Ci wszyscy ludzie — zrobił gest ręką — nie zdają sobie sprawy z tego, jak mało istnieją...

— A o co chodzi?

— Jak wyjdę kiedyś na wolność...

Machnął ręką.

— Opowiem panu zdarzenie. Pracowałem na północy, przy statystykach. Odbierałem telefony: że taki a taki odcinek kolei został zrobiony. Układałem raporty i na podstawie tych raportów wysłano zaopatrzenie. Pewnego razu komisja z Moskwy. Oglądali obozy. Okazało się, że od roku w dwudziestu punktach nic się nie robi, że w ogóle nie ma żadnej kolei, że jest tylko tundra, a w tundrze obozy z ludźmi, którzy od roku śpią...

— Ja muszę naprawdę iść.

— W takim razie, dobrej nocy. Proszę pamiętać o mojej prośbie.

Złazłem z pryczy. Na pierwszym piętrze siedział człowiek, któremu Igor Aleksandrowicz, przechyliwszy się, powiedział: „Dobry wieczór, inżynierze”.

Wyszedłem z baraku.

Wieczór. Znow wiatr znad Wołgi, który uspokoi się nazajutrz. W różnych kierunkach biegają ludzie. Nie widać twarzy. Kulą się. Bronią się przed mrozem. Jak bezbronni są. Trą sobie w biegu nos, policzki. Zatykają się szmatami. Tylko oczy, aby nie upaść.

Im bardziej zbliża się pora wyjścia na pracę, tym bardziej jesteś sam. Potem zamknięty z własnym losem. Oczy w oczy. Idziesz, jak w szklanej kuli. Nikt, jeśli upadniesz, nie pomoże wstać. Ty drugiemu też nie. Nie masz zbędnych sił. Ani niezbędnych.

Wstępuję do latryny. Tu parują żywi. Starają się nie odmrozić tyłka. Ale nie zawsze to się udaje. Szewcy pracują dzień i noc. Krawcy też. Czarnopracujący stoją na apelu. Czwórkami. Nie zgadza się. Stoją dwie godziny. W końcu wynoszą chorego, który upadł w latrynie. Inwalidzi sprzedają pomarańcze. Za pajkę chleba. Uzbęcy. Dostają paczki. Wszyscy chodzą szybko. Z jednego baraku w drugi. Jak najszybciej. Robią postoje. Brygada idzie się kąpać. Rezygnuję ze spotkania z naczelnikiem policji. Ma własny pokój i sprowadza kobiety. Mam mu dać cywilne spodnie. Jeszcze z Polski. Rezygnuję z naczelnika łagru. Baraki się zataczają. Widzę jaskrawe światło ambulatorium. Mam dyżur nocny.

Grisza śpi. Wania śpi. Pietia śpi. Ja też usnę na kwadrans. Sanitariusze sprzątają, jedzą witaminy. Nie zwracam uwagi. Olga poszła do domu. Jeszcze dziś siedzi Buehler. Wenerolog przyjmuje jeszcze kobiety. Zasypiam przerywanym snem. Przychodzi jeden, ma temperaturę. Zwalniam. Przedtem muszę zapisać do księgi. Dodaję parę kresek, żeby lepiej wypadło. Przychodzi drugi. Temperatura. Trzeci, czwarty, dwudziesty, sześćdziesiąty pierwszy — wszyscy mają niewielką temperaturę. W końcu rozbieram jednego do naga. Pcham termometry gdzie popadnie: w usta, pod pachę, w odbył. Czasem symulują. Lokalne zapalenie w ustach i mają temperaturę. Albo w odbycie. Albo pod pa-

chą. Oglądam te miejsca. Mają znajomych w szpitalu: zastrzyk mleka. Rana, która cuchnie naftą. Niegojąca się. 167 chorych zwolnię. Jeszcze nigdy. Zbliża się ósma. Zamykam. Tylko nagłe wypadki. Moja księga idzie do Buehlera. Po pół godzinie wraca. Spokój. O jedenastej budzą się Wania, Grisza, Pietia. Sanitariusze poszli spać.

Wania przeciąga się i mówi:

— Może by my się czego napili? Pietia?

— A czego?

— Denaturatu, naturalnie. Ale go będzie trzeba troszki przesaczyć.

— Sącz.

— Już idę.

I leży.

— Ale na ząb coś położyć, to także warto.

— Warto.

— Więc?...

— Grisza, marsz do kuchni.

— Ja mam gorączkę.

— Symulujesz bracie, zdaje ci się tylko. Marsz. A ty. Pietia, zabierz się do sączenia. Tylko trzeba będzie zrobić pięć sączków. A zresztą ja mogę pić niesączony.

Cisza.

Wrzeszczy:

— Ja wam sukinsynom zęby powybijam, powieszę...

Teraz nie należało żartować. Pietia zabrał się do sączków. Grisza — do kuchni.

— A ty — ty do mnie chodź.

Niby ja. Zupełnie zmieniając barwę głosu, prawie pieszczotliwie:

— Co z Natią?

— A nic. Kazała ci się kłaniać. Powiedziała, że więcej tu nie przyjdzie.

Chwila ciszy. Zupełnej ciszy. Mówię:

— Masz walonki.

— Nie będą mi potrzebne. A płaszcz, ten twój granatowy, pożyczysz mi?

— Tak.

— No, to dobrze.

Zamknął oczy. Uduje że śpi. Minuta, dwie, trzy. W końcu:

— No to kurwa.

I już nie udaje. Patrzy w powałę. W milczeniu Pietia cedzi denaturat. Przez pięć sączków. Czas się wlecze. Wracą Grisza:

— Będzie za pół godziny.

Spirytus kapie, kapie. Nikt nic nie mówi. Wania patrzy w powałę. Grisza kładzie się na podłodze. Ja też. Pod głową fufajki. Grisza wstaje, wychodzi do kuchni. Spirytus kapie. Wania patrzy w powałę. Jakby czegoś szukał. Wania?

— Ile tego będzie?

Z drugiego pokoju:

— Jakie trzy litry.

I znów cisza. Wchodzi Grisza. Niesie kartoflane łatki i konserwę mięsną. Zrywamy się wszyscy. Trącamy się. Jemy z patelni. Popijamy spirytusem. Trzeba umieć pić spirytus. To jest łatwo. Przed wypiciem robi się wdech. Wania pije, że aż strach. Z szklanki. I żre. My też żremy. Wania, zwracając się do mnie:

— Jaka szkoda, żeś ty Żyd.

Żre dalej.

— Aleksiej nie-Żyd, a drań. Stepan nie-Żyd, a do d...y, Sieroża nie-Żyd, a drań, Kossowski nie-Żyd, a drań, tyłu tyłu jest drani.

Żre dalej.

Wania, z pijacką czułością:

— A ty jesteś Żyd, Żyd, pomyśleć tylko, o Boże...

Kiwa głową i wzdycha. Pietia ośmiela się, pod wódką:

— Ja raz wykończyłem jednego parcha...

— Milczeć. On jest przecież trochę Żyd. Zresztą, to mnie nie obchodzi. Pożyczasz mi granatowy płaszcz?

— Tak, już mówiłem.

— Idę do babskiego.

— Zamknięty w nocy — mówi Grisza.

— Nic nie szkodzi przeleźć przez druty.

— Druty bardzo wysokie.

— Przeleżę. Zresztą, co wam do tego?

Żre dalej, popija spirytusem. Wania.

— Dajcie bracia eteru, nie z waleriany, czyściuteńkiego eteru.

Grisza wstaje, podaje dużą flaszkę. Wania z lubością wacha. Potem pije. Wstaje nagle.

— Czy dobrze chodzę?
— Dobrze. Ale milicja, ani chybi, cię zamknie.
— Ja wdziewam granatowy płaszcz i idę. Idę wprost na druty.

Grisza ukradkiem pokazuje, że Wania zwariował. Wania pod nosem:

— Pomówię, pomówię, uhołubię.
Uśmiech się wałęsa po jego szerokiej twarzy. Wdziewa mój płaszcz. Ostatnie słowo:

— ...uhołubię.
Znika. Teraz ja:
— No, marsz spać, dzieci.

Godzina druga, trzecia, czwarta. O czwartej wchodzi Olga, naczelnny lekarz okręgu, dwóch ludzi z N.K.W.D. Olga do mnie:

— Ilu zwolniłeś ludzi?
— Sto sześćdziesiąt siedem.
— Nie wiedziałeś o szczepieniach przeciw-tyfusowych?
— Nie.

Olga mówi coś do ludzi z N.K.W.D. Jeden z nich:
— Pójdźmy przecież.

I musiałem z nimi łązić po wszystkich barakach, gdzie znajdowali się zwolnieni. Olga zabrała termometry. Chorzy mieli teraz o wiele wyższą temperaturę. To mnie uratowało. I Olgę też. Ten drugi, milczący bełkotał coś o sabotażu. Potem weszli do gabinetu Olgi. Przysłali po spirytus. Pomyślałem: „Już dobrze”.

Naczelnny lekarz okręgu powiedział:

— Gorączka po szczepieniach nie jest chorobą. I nie masz prawa zwalniać.

Wyszedł. Olga już nie poszła spać. Boczyła się na mnie. Musiałem obudzić Pietię, żeby dyżurował za mnie. W końcu zagwizdałem jej, w gabinecie izolowanym, szlagiery, wybijając rytm dłonią, palcami. Wtedy przestała się boczyć. Powiedziała:

— O mało mnie nie zamknęli. I mieliby słuszność. I dostałabym 58. Byłoby za ciebie. A teraz się wynoś.

Położyła się na biurku i usnęła. Ja za to nie spałem, mimo, że Pietia. Leżałem na podłodze, tak jak Wania, z szeroko otwartymi oczami. I myślałem. O tym, również,

jakbym odwiedzał Olgę w kobiecej części obozu. Że Wania tam poszedł na druty. I tak dalej.

Wani nie znalazłem podczas wizyty w karczerze. Może gdzieś po pijanemu usnął. Może go Natia przytuliła. Może wstąpił do nieba, ponieważ tak mało istniał.

Defilada w ciemności. Jakiś przewód się zepsuł. Widać tylko zarysy idących. Wznoszą się, im dalej od bramy. Elektrownia żarzy się. Ma wszystkie cechy boskości. Nawet utopiła 50.000 ludzi, gdy zerwała się tama. Módl się za nami! Przebacz nam, jako i my nie przebaczymy naszym winowajcom! Tuż obok jest godzina śmierci naszej. Huuu!

ANATOL KRAKOWIECKI

(1901-1950) literat i dziennikarz, współpracownik krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Aresztowany pod zarzutem usiłowania przekroczenia granicy (rumuńskiej) 7 października 1939 r., osadzony w więzieniu w Stanisławowie, przechodzi przez więzienia Horodni, Czernichowa, Kijowa i Charkowa. Skazany na 3 lata obozów poprawczych i 3 lata pozbawienia praw obywatelskich, przejeżdża etapem w więziennym pociągu około 10 tysięcy kilometrów przez Kujbyszew, Czelabinsk, Krasnojarsk, Irkuck, Bajkał, Czytę, Birobidżan, Chabarowsk do Władywostoku. Ogółem 43 dni ładem, potem 7 dni morzem do Magadanu pod Kamczatką, stamtąd ciężarówką do kraju Kołymskiego, do kopalni złota — „Białego krematorium”, gdzie pod wulkanicznymi wzgórzami, tzw. „sopkami”, leżą tysiące ofiar mrozu i głodu. Z kraju Kołymskiego na ogół nikt nie wraca, chyba jako zupełnie niezdolny do żadnej pracy kaleka.

Czterdziestu kilku Polaków „amnestiowanych” w 1941 r. — rzecz na Kołymie niebywała — przed odpłynięciem z Magadanu zeszło się na cmentarzu miejscowym, żeby się pomodlić za pozostałych tu towarzyszy. Na pustym wzgórzu, szeregi kołków opatrzonych numerami, bez nazwisk ani dat, oznaczały groby zesłańców. Reprodukcję fotografii tej grupy znajdujemy w książce Krakowieckiego, jak również nuty pieśni kołymskich katorżników do słów:

*„Ja żywu bliz Ochotskawo Moria
Gdzie kanczajetsia Dalnij Wostok,
Ja żywu biez nuždy i biez gorja
Stroju nowyj w stranie gorodok...”*

„Książka o Kołymie” (Veritas, Londyn, 1950 r.) była pisana w latach 1943-1945 w Bagdadzie, Teheranie, Ispahanie i Jerozolimie. Krakowiecki zmarł na serce w roku jej wydania. Z tej książki pochodzą poniższe fragmenty.

We Władywostoku

Jedynym pięknym szczegółem wśród wszystkiego, co nas otacza jest chyba tylko słońce, które wisi nad ciemno granatową, prawie czarną płachtą brudnej cieczy. Ta ciecz — to Ocean Spokojny. Ale i to słońce wygląda, jak oko wśród kataru spojówek, otoczone szarą mgłą i postrzępionymi chmurami koloru wody, leżącej poniżej o kilka tylko odcieni brudniejszymi jeszcze.

Patrząc na wschód. Za moimi plecami wzgórze: „sopki mandżurskie” — powiadają. Z prawej strony także same wzgórza, rosnące jednak szybko i zuchwale pod nieboskłon: „te najdalej, sine góry, to Korea”. Więzień uznaje jedną tylko geografie: geografie wolności. Te dwa słowa: Mandżuria i Korea oznaczają wolność, ale w tej chwili nie oznaczają nic.

Z lewej — zatoka władywostocka i port. Wiem o ich istnieniu, ale ich nie widzę: zasłaniają wzgórze. Na wzgórzach setki, tysiące baraków. Tysiące baraków, a setki łagrów — to byłoby trafne określenie. W jednym z takich łagrów, w baraku numer 13, grzebiemy nasze nadzieje wolności. Jak w bardzo złej powieści kryminalnej, barak musi nosić numer 13. Ale rzeczywistość, która nam towarzyszy, jest gorsza od najgorszego banału powieściowego.

..

...Nie znam tego głosu. To mówi obcy człowiek. Obcy, kulturalny człowiek, kresowiak o akcentie śpiewnym, ale już stonowanym na skutek długiego przebywania na zachodzie Polski.

Nie patrzę w bok, nie oglądam się. Wiem, że usiadł obok mnie na nasypie podpierającym barak, jak na przyzbie.

— Czy to prawda, że pan jest dziennikarzem?

Odpowiadam niechętnie:

— Tak. Czy pan chce zapytać o książkę André Gide’a?

— Choćby i o nią, ale skąd pan wie?

— Odpowiadałem na to pytanie niezliczoną ilość razy.

Opowiadam, jak pozytywka. Nie przerywa. Kończę, coraz bardziej się streszczając.

— Dziękuję. Kiedy czytałem „recenzję” w naszych pismach, nie trudno było się domyślić, co Gide napisał. ...Czy Monna Lisa wisi na dawnym miejscu?

— Nie wiem — odrzekłem i dopiero wtedy popatrzyłem.

Twarz schudzona do ostatecznych granic schudzenia. Wystające policzki, oczy głęboko osadzone, szare, jasne, stanowcze. Ręka wyciągająca się ku mnie, jest piszczelą, okrytą skórą. Na ciele łańchmany. Tak więc mniej więcej wyglądamy wszyscy? Zmobilizowany 24-go sierpnia 1939 ważyłem 94 kg. Wczoraj ważono nas — 59 kg.

— Nie wiem, proszę pana, nic o Monnie Lisie. Ukradziono ją, odnaleziono, ale w Wersalu nigdy nie byłem...

Pewnie mówię jakieś niedorzeczności, ale nie peszę się tym. Zarzucono jestem pytaniami, na które w olbrzymiej większości odpowiedzieć nie umiem. Pytania są pośpieszne, łąkające i zachłanne. Dotyczą jedyne go tematu: dzieł sztuki i nie znają przestrzeni: latają z Europy do Ameryki, z Ameryki do Afryki, nie znają też czasu: latają po różnych wiekach.

— Nigdy nie miałem złudzeń co do tego, że bardzo mało wiem o tym temacie, ale dopiero dzisiaj widzę jak kompletnym jestem ignorantem — tłumaczę się pokornie, bo człowiek, który pyta, coraz bardziej mnie interesuje i coraz dotkliwiej boli mnie, że nie mogę zaspokoić jego pośpiesznej zachłanności, jego łąpczywego głodu.

— I tak mi pan masę rzeczy powiedział...

Mówi to przez grzeczność — odczuwam wstyd. Żałuję że ruchliwe życie oddaliło mnie tak bardzo od tych spraw.

— Bo widzi pan, byłem profesorem historii sztuki na polskim uniwersytecie w Kijowie, dopóki uniwersytet nie został zamknięty, a ja nie pojechałem kopać Białomoraka... Dziękuję panu, masę rzeczy wiem już teraz...

...Tyle lat upłynęło od owego poranka i przedpołudnia władystockiego, takie nastąpiły zdarzenia, tyle krwi się polało, tylu ludzi spalono w krematoriach, tylu „poszło pod sopki”, że nie mam obaw — wymienię prawdziwe nazwisko człowieka, z którym rozmawiałem. Już mu nikt

nic zrobić nie potrafi. Już go nikt nie schwyta trzeci, czy czwarty raz, nikt nie będzie bił i kopał przy przestuchaniach, pluł w twarz, głodził i zamykał w izolatorze o lodowatej podłodze i płaczących ścianach — nagiego.

Gdzieś ktoś może przeczyta słowa, które teraz piszę, pomyśli, przypomni sobie o nim, dowie się, jaki los był tego człowieka... Nieposób, aby profesor uniwersytetu w Kijowie, który studia odbył we Włoszech i we Francji, był człowiekiem nieznanym. Trzeba go wydobyć na jaw, skoro przed laty zaginął...

Uderzyło go jakby to słowo: „pan” — dopiero w tej chwili. Mówi pomału:

— Jestem księdzem. Nazywam się: ks. Arkadiusz Rudenko Rudnicki... Dziwne — powiada uśmiechając się — imię: Arkadiusz...

— Jestem wytrzymały na dziwne imiona — powiadam nierozsądnie chyba i po to, aby zasłonić zaskoczenie — sam mam cudaczne imię...

Stoimy naprzeciwko siebie, a słońce jest ponad nami. Toż to już południe.

— Muszę iść. Wrócę wieczorem. Powinienem z panem porozmawiać. Etapy za etapami odchodzą — za kilka godzin możemy się rozstać na zawsze...

Zniknął między barakami. Wszystko szło normalnym trybem. Rozdano „zupę”, a jeden z pracujących poszedł po dodatkową porcję dla ochotników: otrzymał pełne wiadro.

Słońce spływało ku mandzurskim wierzchołkom. Chociaż zbliżała się połowa maja, chłód obsuwał się na ziemię, nieobudzoną jeszcze. Drzewa zaledwie zaczęły puszczać pąki, ziemia szarzała wielkimi łysinami, gdzieś gdzieś błado zieleniła się nowa trawa. Ale wiosna szła wyraźnie i gwałtownie.

— I pomyśleć, że teraz we Włoszech wiosna już dobiega ku końcowi, ku latu się zbliża...

— Ba, we Włoszech — powiada ktoś nieopatrznie...

Wkrótce bowiem ukazuje się mapa. Kto by tam pytał o tłumaczenie, skąd się wzięła? Dość, że jest, chociaż w olbrzymiej skali. Mimo tej skali w środku Europy spostrzegamy zamalowany fioletowo skrawek z miniaturowym napisem rosyjskim: „Obszar państwowych interesów Nie-

mieć". Mapa jest nowiuteńka, wprost spod prasy, obsługa geograficzna szybka i rzetelna: Polski już nie ma w Europie, ani oczywiście nigdzie indziej na świecie — „państwowe interesy Germanii” pochłonęły ją, usłużni geografowie serdecznie zaprzyjaźnionych Sowietów, zamalowali ją na fioletowo...

A zarazem dla niektórych — rewelacyjne „odkrycie”. Władystok leży na linii równoleżnikowej, przebiegającej gdzieś między Neapolem a Rzymem. Więc rozmowa o Saharze, Golfstromie i Kuroszowie.

Równocześnie jednak mapa odsłania nam — teraz wszystkim już bez wyjątku — inną tajemnicę:

Henryk, chowając przede mną mapę zapytuje:

— Odpowiedz: co to jest „Kołyma”.

— Wyspa chyba nie, bo o takiej słyszałbym. Pewnie półwysep?

Ktoś inny jest jednak zdania, że musi to być malutka wysepka.

— Wysepka? Malutka? Przecież tam od kilku lat wywożą po kilkaset tysięcy ludzi. W tej chwili tutaj, na punkcie przesyłkowym we Władystoku, ma być do 70 tysięcy ludzi i to wszystko pojedzie na Kołymę...

Albowiem los nasz jest nam już omal że wiadomy. W każdym razie coraz mniej zostało nadziei, że ominą nas jeszcze może — to najgorsze: Kołyma.

— A ilu jeszcze pojedzie do końca sezonu żeglarskiego?

Henryk objaśnia:

— Ani wyspa, ani półwysep, ani w ogóle ziemia! Kołyma, to jest rzeka, która wpada do Oceanu Lodowego. — (Pokazuje na mapie). Okolice rzeki i dorzecza Kołymy nazywają się Krajem Kołymskim, która to nazwa nawet na tej mapie nie jest oznaczona. „Kołyma” jako nazwa, to po prostu skrót...

Jednakże wieczorem z księdzem Rudnickim o Kołymie nie mówimy. Zresztą w ogóle jak najmniej przeskadzam swoimi słowami. Słucham całym sobą i całą swoją pamięcią:

— Po rozpędzeniu uniwersytetu polskiego w Kijowie, niedługo cieszyłem się wolnością. W pół roku później zostałem aresztowany przez ówczesne GPU. Śledztwo, bicie, śledztwo, karcery — to pan już zna...

— Znam — skinałem głową bezradnie.

— Nie myślę o tym opowiadać, jak również i o następnym okresie. Kiedyś pan o tym napisze...

— Nie wiem, czy przeżyję. Ale już teraz wiem, że gdybym napisał to, co już dotychczas, co zaledwie dotychczas przeżyłem i na co patrzyłem, to by mi w Europie, w świecie nie uwierzono...

— „Zaledwie?”. Jeśli nie uniknie pan Kołymy, to przysłówki ten będzie aż zanedo uzasadniony... Więc potem oczywiście łagier — jeden, i drugi. Potem praca przy Białomorkanale. Nie potrzebuję panu opowiadać, sam pan to zobaczy — gdzie indziej, to samo... Ale pewnego razu uciekłem...

Słyszałem już o takich wypadkach...

— Uciekałem kilka razy, kilka razy: śledztwo, bicie itd. Ale ostatecznie udało mi się — zwałem. Pół roku trwało, zanim dotarłem w swoje strony...

Ksiądz mówi jakie to strony, nazywa miasta, wsie i sioła. Nie, widzę powodu, aby za nim powtarzać, tyle powiem: okolice Kijowa, dalsze okolice...

— Powróciłem do wsi, w której byłem przed laty proboszczem. Wieś duża, było zbyt niebezpiecznie, za bardzo narażałem ludzi. Wobec tego przeniósłem się do niedalekiego osiedla, złożonego z kilkunastu gospodarstw chłopskich. Mieszkałem na strychu i nie schodziłem z niego... Kilka lat to trwało... Nie schodziłem, znaczy się, w dzień, schodziłem nocami. Czasami nieobecność moja trwała kilka dni. Chrzciłem, spowiadałem, udzielałem komunii św., błogosławiłem związki małżeńskie, Ludzie zwiadywali się i zjeżdżali dziesiątkami i setkami mil. Zorganizowano dla mnie ucieczkę zagranicę, nie poszedłem...

Podniosłem się aż:

— Dlaczego, księżo?

— Moje obowiązki nie były zagranicą...

Chwila milczenia.

— Patrzę na te zamglone gwiazdy, słucham szumu niedalekiego oceanu... Bardzo się w ostatnich latach postarałem, ale będę jeszcze raz próbował ucieczki, przy okazji... A wtedy, to mnie wydał mój własny organista, oczywiście organista z tych dawnych, dobrych czasów. Przyszedł do mnie, dotarł do mnie i bardzo się cieszył, że mnie wreszcie odnalazł. „Ksiądz, mówią, jest w okolicy. Chrzci, spo-

wiada, śluby daje. Nasz ksiądz. Coś mnie tknęło, czy to przypadkiem nie dobrodziej. Poszedłem śladem. I oto, proszę jegomości, jestem...". I płakał z radości. Potem ludzie, którzy mnie chronili, ostrzegali mnie przed nim. „Płakał” — mówiłem. „Cóż z tego, że płakał, ale jest przewodniczącym sełsowietu”. Zrozumiałem, że się bali, narażałem ich tyle lat. Zapowiedziałem, że następnej nocy przeniosę się gdzie indziej, ale już nie zdążyłem. Przyszli za kilka godzin i oto znów kilka lat siedzę...

Przydługa chwila wahania się, czy namysłu:

— Wygląda pan na sceptyka i ironistę...

Musiałem odpowiedzieć, bo milczenie trwało:

— Nie wiem, czy jestem sceptykiem, ale wiem, że ksiądz jest nielada psychologiem. Albowiem, zawołany na wojnę, wstałem od „stołu szyderców” i poszedłem. Byłem ironistą i satyrykiem...

— Wygląda pan na człowieka, który wyjdzie z tego.

(A ja już w to coraz mniej wierzyłem...).

— Wobec tego, chcę powierzyć pewną sprawę... Czy słyszałeś o głodzie na Ukrainie?

— Słyszałem. Nie słyszałem nigdy w Polsce, ani w Europie, chociaż jestem zawodowym dziennikarzem. Gdybym był wtedy słyszał, nie uwierzyłbym.

— Rozumiem. Ale ja byłem księdzem, chodzącym nocami po cmentarzach i ugorach, i święcącym groby. Chodziłem tak po krainie mogił i święciłem. Dziw, że umysł mój zachował równowagę... I trwało to trzy lata, prawie cały okres mojej wolności. Czy można liczyć mogiły — mogiły byle jak usypane, zwłoki ledwie pokryte ziemią, rumowiskiem, śmietniskiem? Dziewięć milionów ludzi umarło wtedy, w tych latach na Ukrainie, na najżyźniejszej ziemi świata, na czarnoziemiu, na glebie ogrodniczej... Psy włóczyły po polach części ciał. Psy się truiły i wściekały. Smród ciał bił z ziemi pod niebo...

— Europa nic o tym nie wiedziała, a jeśli i wiedziała, wołała milczeć.

— Musiałem być bardzo grzesznym człowiekiem, jeżeli kazano mi na to patrzeć i przeżyć to i wyjść...

— Księżę...

— Już prawie nie widzę pańskiej twarzy. Ale musi mi pan przyrzec, że jeśli pan wyjdzie, to pan o tym napisze. Poświęciłem sto tysięcy mogił, czy pół miliona — któż

policzy? Chcę panu powierzyć tajemnicę spowiedzi i proszę, żeby pan napisał, o ile pan wyjdzie, ale chyba wyjdiesz, synu...

Oto jego słowa, tak, jak się ich nauczyłem na pamięć:

— Spowiadałem ludzi z grzechu ludożerstwa. Czy dużo jest takich kapłanów w świecie? Ludzie, nie tylko psy, wygrzebywali zwłoki i jedli. Ludzie zabijali ludzi, ażeby ich zjeść. Niektórzy bardzo nieliczni, bliscy obłędu, szukali mnie i spowiadali się. A teraz posłuchaj...

— Odszukała mnie jakaś szalona kobieta i wyspowiadała się. Dziecko jej, niemowlę, umarło z głodu. Pokarmu nie miała, bo skąd? Wraz z inną kobietą zaniósła zwłoki na cmentarz, wygrzebały rękami dołek i pochowały. Dołek grzebały umyślnie nie głęboki. W nocy zaś przyszły, wydobły zwłoki i zjadły. Matka zjadła zwłoki własnego dziecka. Wyspowiadałem ją i...

Głos w mroku załamał się.

— ...i udzieliłem jej rozgrzeszenia. To napisz i napisz to wyraźnie.

Reflektor gonił po niebie i po okolicy. Co kilka sekund oświeślał stoki wzgórz.

— Czy pan widział ten czarny barak, tam na południu?

Poza miastem baraków, w odległości kilkuset metrów, oddzielony przestrzenią i osobnymi zasiekami z drutów, stał na zboczu wzgórza „koreańskiego” olbrzymi barak. Zbudowany w stosunku do zamieszkałych przez nas baraków poprzecznie, ciągnął się czarną plamą — jednolitą i nieprzerwaną — na przestrzeni chyba kilometra. Barak gigant był martwy; dookoła pustka. Jakże mogłem nie spostrzec tego baraku?

— Jeśli będą panu mówić, że w baraku tamtym umarło w jesieni 1938 roku 50 tysięcy ludzi, należy wierzyć, bo to prawda.

Mówiono mi już o tym wielokrotnie, ale — wierzyć? Uwierzyłem dopiero w tej chwili...

Następnego dnia spotkałem księdza kilkanaście razy. Rozmawiał coraz to z innym człowiekiem. To siedział w baraku na pryczy, to chodził uliczkami łagru. Mało się odzywał. Zawsze człowiek towarzyszący mu, coś żywo opowiadał. Przecież nie trudno odgadnąć — spowiadał.

Wieczorem wśród dalszej rozmowy zapytałem wprost:
— Księżu. Boję się, że nikt nie uwierzy. Mnie samemu trudno uwierzyć.

Niech pan mimo to napisze. Nie moja rzecz i nie pańska, ale mój obowiązek i pański, skoro pan wie.

— A ten organista, czy pan wie? — dodał z ożywieniem. — On był tutaj. Widziałem, jak z sąsiedniego oddziału prowadzono więźniów. Szedł wśród innych w stronę portu — pewnie na Kołymę. Jeżeli i pana wywiozą tam, możecie się spotkać...

— I ani nie będę wiedział...

— Nie, nie będzie pan wiedział, bo po co? To jest sprawa zupełnie ostatniorzędna, niech pan tym sobie głowy nie zaprzęta. Niech pan wszystko, co się stanie dzieli na dwie grupy: na to co pamiętać trzeba i na to, co tylko balast dla pamięci stanowić może.

Lasciate ogni speranza...

.....

Dwa tygodnie koczowaliśmy we Władywostoku w obozie przejściowym.

A potem do mola więziennego podpłynął wielki prom. Nasza grupa polska, zorganizowana osobno, znajdowała się w samym końcu „pochodu”. Morze szalało pastelami, które brzmiały, jak pierwsze tony nokturnu. Zgęstniała czernią noc, kiedy wreszcie nasz prom odbił od mola.

Mężczyźni są jak dzieci. Czyż bowiem jest to położenie życiowe, w którym dorosłemu człowiekowi chce się śpiewać? A jednak na promie zabrzmiał chór:

*...Choć burza huczy wkoło nas,
do góry wzniesmy skroń!
Nie straszny dla nas burzy czas...*

Wykonane było to dla „fasonu”, a efekt przeszedł oczekiwania. Wszyscy byli zdumieni tym chórem, tym śpiewem, tym „fasonem”.

Rozpoczęła się podróż. Siedem dni i osiem nocy siedzieliśmy w lukach pod pokładem. Jeżeli w pociągach były awantury o wodę, to tutaj było bez porównania go-

rzej. Na pokładzie wznosił się drewniany szałas. Ażeby się do niego dostać, trzeba było wystawać w ogonku po dziesięć godzin w dzień. W nocy ta zabawa trwała krócej — dwie lub trzy godziny. Do tego kilkadziesiąt osób z naszego luku cierpiało już na tzw. „ponos” czyli biegunkę.

Pewnego dnia, zaalarmowani przez przyjaciół, ustawiliśmy się w ogonku tylko po to, aby zobaczyć brzeg i japoński okręt. Wąska i długa, prawie czarna plama, to ziemia. Druga pękata, biała i lśniąca srebrzyście, to japoński pancernik. Wpływaliśmy przez cieśninę La Perousa na Ocean Spokojny. Następnego dnia pod wieczór z lewej burty można było zobaczyć ląd. To brzeg Sachalinu. Aż wreszcie wypłynęliśmy na Morze Ochockie, ciche, gładkie, spokojne, potulne. Jak czarne świnie, płynęły za statkiem — delfiny.

Te godziny w ogonku! I wyjące głosy ludzi, którzy chorowali na „ponos”. Nie wytrzymywali i byli za to katanowani!

Aż wreszcie — zatoka Nagajewo. Prymitywny port. Na okazałej wyniosłości „gród”, „miasto”, „stolica”: Magadan. Centralny mózg „Kraju Kołymskiego”.

Na wybrzeżu, w porcie, nie było żadnego pomnika. A powinien tam stać!

Wryty na cokole napis powinien brzmieć:

...„Lasciate ogni speranza”!

„Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wstępujecie”...

Et nihil humani...

.....

Po śmierci Henryka mała grupka tak zwanych „dochodiaków” szła wśród mrozu, który rozszalał się na dobre. „Dochodiaga” bardzo piękne miejscowe wyrażenie, określa człowieka, który „dochodzi” do kresu sił i gaśnie nie na skutek jakiejś zdecydowanej, złośliwej choroby ale z braku witamin, z głodu, nędzy i wyczerpania.

Szliśmy pół-żywi, obok kopalni złota, a popędzał nas strażnik, który całymi latami był dobrze odżywiany i całymi latami nic nie robił, któremu zaś spieszyło się, bo marzył w swoim kożuchu...

Minęliśmy osadę Frończ i przechodzili obok najstraszniejszych ze strasznych obozów pracy, mianowicie obok kopalni złota.

Oparte o drogę olbrzymie zbiorowiska baraków, otoczonych drutami kolczastymi. Charakterystyczne „wyżki”, to jest wzniesione na kilkumetrowej wysokości słupach budki strażnicze. Dziesiątki bram, zaczerwienionych od setek hasel i sloganów, które niewolników zachęcić mają do pracy.

„RODINA TREBUJET METAŁŁA!”

— Ojczyzna potrzebuje metalu! Ojczyzna potrzebuje metalu! — ciągle, co kilkadziesiąt, co kilkaset metrów.

Krzyczały dziesiątki innych wezwań, widniały potwornych rozmiarów tablice z nazwiskami rekordzistów, ale wołanie, że „ojczyzna potrzebuje metalu” (a metalem tym jest akuratnie złoto) wybijało się ponad wszystkie inne. W jaki zaś sposób „ojczyzna...” wydobywa złoto, będziemy mówić w odpowiednim miejscu.

Opodał jednej z bram — zamarzamy psychicznie co najmniej tak, jak jesteśmy zamrożeni fizycznie. Sielankowy obrazek:

„Robociagi” wychodzą z łagru na robotę. Pełny szablony: pierwsza, druga, trzecia, — dozorczy — psy. Wyprowadza ich orkiestra! Koło bramy kilkunastu oberwańców, trzymających w rękach instrumenty muzyczne — zaczynają grać.

Jest nie więcej jak 35 stopni mrozu, ale to chyba wystarczy? Czy można grać na takim mrozie? Muzykantom lży kapią z oczu na instrumenty, a my drżymy, widząc gołe, bosc ręce przytulone do metalowych trąb.

Wzdycham. Przynajmniej tych drwin nam oszczędzono, orkiestra, to dla mnie zupełna nowość...

Ścigają nas dychawiczne dźwięki jakiegoś marsza. Mróz je ścina w przczystym powietrzu.

Jeszcze łagry i łagry — (w tej sławnej dolinie Czan-Uriańskiej pracuje około stu tysięcy ludzi) — a potem wreszcie szpital.

Szpitalom — na tle tej beznadziejnej nędzy — muszę napisać pochwałę. Obojętne, jaki to jest szpital-nora w więzieniu, czy barak-stajnia na kole podbiegunowym. Czy leży się na nie przykrytych niczym deskach, czy też — bo i takie niewiarygodne zdarzają się wypadki! — na łózkach

„prawdziwych”. W tym rzecz, że zmaltretowany człowiek kładzie się i przestaje myśleć.

Nie znęcają się dozorczy, nie ma zbiorów porannych i wieczornych, mało się krzyczy, mało klnie, nie ma opryszków, uganających się z drągami i przetrącających kości.

Lekarstwa w tych szpitalach się nie liczą. Cisza, spokój, względna czystość i lepsze jedzenie — różne w różnych szpitalach — bo w tym jednym jedynym miejscu nikt nie pyta o normy.

Jeśli zaś w dodatku felczerem jest Polak, jak w tym właśnie szpitaliku na trzecim prorabstwie! Ten sam, który w Polsce omal nie ukończył kursu dla sanitariuszów, a w Kadak-Czanie został „profesorem medycyny”. Porządny chłop! Zaledwie mnie położono, przyniósł konserwę rybną, a ja nie przypuszczałem nawet, że takie istnieją. Potem — naleśniki z cukrem, garść cukierków, a pod poduszkę wsunął 20 rubli. Można tu było bowiem codziennie dokupić kilogram chleba tzw. „łarkowego” („łariok” — sklepik).

Ten szczęśliwiec był, jak ja, więźniem, ale więźniem „życiowym” („bytowik”), albowiem okradał wagony. Na dobitkę naczelniczka zdrowia była jego kochanką — równocześnie zresztą dżarząc względami kilku innych „zakluczonych” (więźniów) i niezakluczonych.

Pokój jasny, ciepły i duży, a szpitalik w ogóle najbardziej szpitalny ze wszystkich, jakie widziałem.

Leżało ośmiu chorych: trzy łóżka po jednej stronie, pięć po drugiej. Po „mojej stronie” leżeli: Tadżik, Polak (to ja), Holender (Salomon Derksen) — po drugiej: Ukrainiec, Grek, Kazach, Gruzin i „ruskiej człowiek”. Miniaturowa wieża Babel. Najgorzej było z Grekiem, bo nie było nadziei na jego wyleczenie, najlepiej z Ukraińcem, który symulował trachomę, cierpiąc jedynie na zapalenie spojówek, których w żaden cudowny sposób nie dało się wyleczyć.

Ale i w tej oazie spokoju trwała męczarnia. Zaczynała się każdego dnia rano po umyciu się i śniadaniu:

— Czy już dziś wypiszą mnie ze szpitala? Czy dziś mnie wyrzucą? I czy będę musiał wrócić na tę samą komandówkę, na której umarł Henryk?

Codziennie udręka na ten temat i niepokój. Aż wreszcie przychodzi ten dzień, bo przecież przyjść musi nieuchronie.

Trzeba znowu włożyć na siebie łańchmany i iść z powrotem koło kopalni złota, drogą budowaną na złocie.

Dziesiętnik stwierdził:

— *Wot, charaszo!* Wróciliście z remontu!

Może to oznaczać, że liczysz się tyle, ile maszyna, istotnie — liczysz się mniej. Nie ma już w tobie człowieczeństwa i milion razy mniej wart jesteś niż maszyna, a tysiące razy mniej niż zwierzę. Ile razy na komandirówce zabraknie żywności, tobie odbiorą chleb, aby konie mogły otrzymać po półtora bochenka trzy razy dziennie. Albowiem człowiek jest zwierzęciem najbardziej spośród wszystkich zwierząt wytrzymałym — co jest refleksją tanią, ale prawdziwą, wypróbowaną i potwierdzoną.

Potem — ten sam zabój, w którym umarł Henryk. Nie pomagają protesty. Śmierć człowieka w ogóle się nie liczy. Ciągłe pracuje nas trzech Polaków: Wiktor Piotrowski, Jan Kruszyński i ja. Jest oczywiście i Salomon Derksen i nowy nabytek, jakiś opryszek imieniem „Kola”.

Interes czysty jak złoto...

Dosyć częste widowisko: patyk sterczący w tajdze niedaleko drogi i biała szmata, powiewająca na wietrze. To znak, że wywiad górniczy dokopał się tutaj złota. Ani trochę nie było szacunku w gestach, którymi pokazywano tę szmatę. Był raczej strach i odraza. Przecież cała Kołyma istnieje tylko po to, ażeby dostarczać złota.

W mojej brygadzie pracuje inżynier Jakowlew, który na wolności był kierownikiem kopalni złota w Ałtajskim Kraju. Wyśmiewa on się z tamtych kopalni, mówiąc, że szkoda zachodu. Natomiast tutaj, powiada, złoto leży na wierzchu.

— Zasypujemy teraz jamki na drodze. A gdybyśmy kilka kilometrów tej drogi przemycili na własny rachunek, wszyscy mieliby — cała brygada — majątek, wystarczający do końca życia.

Muszę mu wierzyć, jest fachowcem. Tłumaczył mi, w jaki sposób wydobywa się tu złoto i mówił ile go się wydobywa. Jest chyba agitacyjna propagandowa przesada w tym, co mówił. Jednakże twierdzi:

— Na kopalni złota „Bolszewik” w dolinie Czan-Uriańskiej wydobywa się w sezonie osiemdziesiąt kilogramów złota dziennie.

Próbuję dyskutować, czy owa produkcja złota w normalnych warunkach opłacałaby się? Nie umie mi na to odpowiedzieć. W ogóle nie rozumie, co to są normalne w świecie demokratycznym warunki pracy. Tłumaczy mi tuższy system wydobywania złota, który w sposób najbardziej popularny można scharakteryzować następująco:

— Na kopalni „Bolszewik” pracuje dwanaście tysięcy ludzi...

Ci „ludzie”, to są więźniowie.

W ziemie zrywają przy pomocy metaliaków wybuchowych grunt, w którym znajduje się złoto i zwożą do hałdy. Nie ma bowiem mowy o produkcji złota, jak długo rzeki są zamrożone. Tak zwane żyły złota, czy też „samorodki” zdarzają się bardzo rzadko. Natomiast cały żwir i piasek w dolinie rzeki Czan-Uria zawiera złoty pył, a nawet grudki. Taczki wywożą ziemię na maszyny płuczkarskie, z których spływa woda. Woda przemywa grunt, zmywa kamienie i piasek, pozostaje złoto.

Dwanaście tysięcy ludzi, samych więźniów, pracuje na kopalni złota „Bolszewik” — za supę, kaszę i porcję chleba. Norma dla człowieka, to przeciętnie sto dwadzieścia tacek dziennie, a taczki są pełne i kopiaiste, tak, że dwanaście takich tacek, a nawet i mniej, wystarczy na wywiezienie jednego metra kubicznego ziemi. Szycha trwa dwanaście godzin. Następnie robotnik — mniej więcej dwie godziny stoi w ogonku po chleb i dwie dalsze po supę. Zanim jednak staną w ogonku, muszą pod konwojem iść do lasu po drzewo dla opalenia baraku, ponieważ zaś lasy dookoła są wytrzebione, trzeba chodzić do dziesięciu kilometrów. Na sen zostaje 3-4 godziny!

W maju, gdy rzeki zaczynają tajać i rozpoczyna się okres powodzi, maszyny płukarki rozpoczynają pracę. Wagoniki wywożą, przygotowaną w hałdach ziemię i wsypują do maszyny. Nieraz zdarza się, że przy kopaniu robotnik natrafi na mniejszą lub większą grudkę złota, za to bywa premiiowany w pieniądzu, które zresztą nic nie znaczą, oraz w produktach, które znaczą wszystko.

Istnieją również pomocnicze brygady, które przemy-

wają złoto ręcznie. Norma dla człowieka — sto dwadzieścia gramów złota dziennie.

— Czy zdarzają się wypadki kradzieży złota?

Ciągle powtarza się pytanie, ile razy zechce mi się mówić o tych sprawach. A ja, przyznam się, nie mogę zrozumieć tego pytania, bo co komu po złocie, jeśli nic tam za nie nie można kupić? Zwłaszcza u Jakutów. Jakuci wiedzą o takich pokładach złota, o jakich pojęcia nie mają wszyscy razem inżynierowie, ale lekceważą ten metal.

Dookoła kopalni złota, na komandirowkach leśnych, drożnych, górniczych żyje trochę szczęśliwie ocalałych ludzi, którzy tam byli i opowiadają, co widzieli. Jeśli nasze położenie robotników drogowych jest dnem w nieszczęściu ludzkim, to niedola robotników na kopalniach złota sięga poniżej dna.

Właśnie stamtąd, z kopalni złota, nadciągnął pochód widm. Goni tam się ludzi do pracy przez cały sezon gorzej niż zwierzęta. Zwierzę zbuntowałoby się i padło, człowiek wytrzymuje o wiele więcej. A więc zamęczano tych ludzi przez kilka miesięcy, przez cały sezon płukania złota. I ludzie ci zmienili się w szkielety. Widz dziwi się, że te postacie, podobne tylko do ludzi, żyją jeszcze? Skóra i kości — nie ma w tym żadnej przesady. Ci byli ludzie, o organizmach kompletnie wyniszczonych, nie są już potrzebni na kopalni złota, ponieważ wydajność ich pracy jest żadna; wobec tego najbardziej zdeklarowanych półumarłaków posyła się do robót drogowych.

Takich to stu pięćdziesięciu wyniszczonych do ostateczności ludzi, przyszło na naszą komandirowkę. Śnieg leżał dookoła, ale godziny południowe były słoneczne i prawie ciepłe. Gromada cieni, stojących przed barakiem wygląda jak koszmara. Posłużyło to naczelnikowi do wygłoszenia przemówienia pod adresem robotników drogowych:

— Popatrzcie na nich! Jak wy wyglądacie, a jak oni? I jeszcze narzekacie, że wam źle przy pracach drogowych.

Prerażająca konfrontacja! Jesteśmy chyba zawstydzeni, że istotnie trochę lepiej wyglądamy. Wprawdzie nie wyglądamy aż tak dobrze, jak naczelnik, który do nas wygłasza to przemówienie, ale w każdym razie lepiej, niż te upiory.

Ledwie to przyszło na naszą komandirowkę, a już zaczęło umierać. Chociaż trudno to nawet nazwać umie-

ranie. Ci ludzie po prostu wygasali, jak wypalone świece. Śmierć na nich nachodziła na górnych narach, na dolnych i pod narami.

Na żadnej komandirowce nie odbywa się bez bicia. Często dziesiętnik uderzy więźnia, częściej strażnik. Ale to, co się działo tutaj, na owej widmowej komandirowce, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Oto wyniszczeni do dna więźniowie prawie w stu procentach nie byli zdolni do pracy. Ale to nie przemawiało do władz miejscowych, które postanowiły wyeksploatować te jeszcze najostatniejsze ostatki sił.

Ogółem zgromadziło się przeszło dwustu ludzi, a z tego do pracy nadawało się może pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu? I to tylko do najłżejszej. A poza tym jedna banda zdechłaków. Ja sam wtedy jeszcze wyglądałem wśród nich na Herkulesa, chociaż nogi ugięły się pode mną.

Co ranka odbywały się makabryczne sceny. Wpadał tak zwany „starosta”, były oficer kozacki, zdecydowany pół-wariat i sadysta, który do pomocy dobierał sobie drugiego takiego samego zboczeńca, zezowatego Gruzina. Wpadali od razu z drągami w rękach. Kiedy ludzie opierali się przed wyjściem z baraku, drągi szły w ruch, a w pomoc oprawcom przychodził również „dniewalny”, to jest człowiek, do którego rzekomo należało przeprowadzanie i pilnowanie porządków w baraku. Bardzo często wkraczał na ochotnika tak zwany „kosy Waniuszka”, lombrozowskiego typu zwierzę w ludzkim ciele: czuma, dzuma, zaraza.

Każdego ranka drągi szły w ruch, a przecież był dopiero początek zimy. Walono na prawo i na lewo. Ściągano ludzi z nar, lub wyciągano spod nar. Zrzucano z nar ludzi, którzy się tam rzekomo „ukrywali”, a ci upadali na podłogę sztywni, bo martwi. To znów wyciągano trupy spod nar. Jakiś Rosjanin wyszedł po drzewo do lasu i nie wrócił: znaleziono go na ścieżce leśnej, obok drzewa, które niósł — martwego. Kilkunastu ludzi umarło w zabojach. A na komandirowce bili, nie tylko starosta i jego pomocnik „dniewalny”, ale również i strażnicy oraz własnoręcznie sam pomocnik prorabstwa.

Wówczas to pewnego razu zapytano mnie, czy nie zgodziłbym się „opieczetować” trupowi palców? Poszedłem. Zwłoki leżały w izolatorze. Zmarznięte na kość. Palce u ręki, widocznie poprzednio odmrożone — nadgnite.

Zdjęcia daktyloskopijne się nie udały... Należało poprzednio zmyć z palców ciepłą wodą pokąsną warstwę brudu, następnie każdy palec wysmarować farbą drukarską i odbić na odpowiednim formularzu. Każdy palec po pięć razy, na pięciu formularzach z osobna, a potem całą dłoń. Tak samo z prawej ręki, jak i lewej. Człowieka, któremu pieczętowałem palce, nie zauważyłem poprzednio w naszym baraku. Nie wiem skąd się wziął? Prawdopodobnie przysłano go do naszego izolatora dla odbycia jakiejś dodatkowej kary. I tu zmarł.

Nadszedł wstrząsający dzień dziesiątego października. I minął. Zacząłem wtedy coś w rodzaju biernego oporu. Zacząłem głodówkę, ale mi ją wyperswadowano:

— Zamkną do izolatora i nie tylko, że nie będą namawiać do jedzenia, w ogóle nie dadzą wam jeść i zamarnieć na śmierć.

Październik 1941 roku był wyjątkowo życzliwy. W godzinach południowych było prawie ciepło. Naszą brygadę zatrudniono na dziwnych pracach: podbieraliśmy zbocza drogi i uzyskanym w ten sposób gruntem wyrównywali nawierzchnię. Zastrajkowałem. Wychodziłem na robotę, ale zajmowałem się tylko ogniskiem. To znaczy przynosiłem z baraku w kociołku żar, potem rozpalałem ognisko, a następnie krążyłem po okolicznych zagajnikach i wyszukiwałem suche drzewo.

I dzisiaj nie rozumiem jeszcze, w jaki sposób mi to uszło? Przecież były trzy czynniki, które mnie strzegły, a więc: dziesiętnik, brygadier i moi własni towarzysze pracy.

Ci towarzysze pracy strzegą o wiele surowiej i bezwzględniej, niż brygadier i dziesiętnik. I skutecznie. Zawsze tak bywa i wszędzie, że brygada, czy zwienio wspólnie wypracowują normę. Stąd w brygadzie, czy zwienie wszyscy pilnują wszystkich. Tam ludzie są zazdrośni o każdą łopatę nie dorzuconą do taczek, denuncjują, szykanują i grożą:

— My za ciebie pracujemy, ty jesteś na naszym utrzymaniu!

To są bardzo poważne słowa w każdych ludzkich warunkach, a coś dopiero w tamtych!

Nad tym wszystkim jest jeszcze naczelnik prorabstwa, a nad nim naczelnik okręgu. A więc w jaki sposób zdołano

zataić mój strajk? Brygadier o nim wiedział, dziesiętnik też. Współtowarzyszom pracy potrafiłem wkupić się wyłączenie moim dbaniem o ognisko i suche drzewo. Najwidoczniej jednak dziesiętnik zataił ten fakt przed naczelnikiem prorabstwa, inaczej nie obyłoby się bez wielkiej awantury.

Dzień jakoś mijał, ale nerwy zaczynały grać w miarę tego, jak się zbliżał wieczór, czyli czas powrotu do baraku. Barak stał się lodownią nie do opalenia. Beczka po benzynie była czerwona, a po baraku wiał mróz. Spałem jeszcze wtedy w szczęśliwym miejscu, tuż koło pieca, chociaż na dolnych narach, na których jest chłodniej. Obok mnie Wiederlenk. Podkładaliśmy pod głowę kawałki drzewa, które w nocy sami wydobywaliśmy spod głów i dorzucali do pieca. Rano na włosach i na rzęsach mieliśmy szron, a przed oczyma codzienne widowisko:

Najpierw wrzask „dniewalnego”, że czas wstawać. Rekordziści, lepiej odziani, wyjdą pierwsi i staną na podwórzu koło baraku. Za nimi zwolna, ociągając się, nasza brygada. A potem rozpoczyna się w baraku taniec. Dzikie bicie na prawo i na lewo. Wyrzucane, wykopywane z drzwi baraku, zaczęły wypadać na dwór postacie potworne w swoim wyglądzie. W łachmanach, z twarzami brudnymi i niegolonymi, — w obuwiu, które w żaden sposób i w żadnym najłagodniejszym klimacie, obuwiem być nie może — jęczące, krzyczące, płaczące, trzymające ręce na miejscach dopiero co uderzonych. Jest w tych gestach zarówno zgroza prawdy, jak i okropność niewolniczej hysterii ludzi, zagnanych na samo dno nieszczęścia ludzkiego.

Byli robotnicy kopalni złota nadają naszej komandiorowce upiorne kontury. Gdy tylko barak usnie, oblegają dookoła piec i stoją przy nim, zasłaniając dopływ ciepłego powietrza na barak. Chwilami obejmują wątko umocowany komin od pieca, czasem kładą się na piecu, zwłaszcza kiedy już przygasł. Bywają wypadki, że usypiają stojąc i przewracają się.

Łamakin robi to umyślnie. Staje koło pieca i stoi tak długo, dopóki nie przewróci się z wycieczenia.

Czasami obudzi się w nocy dniewalny, lub też którykolwiek z rekordowych robotników. Widzę jak się skrada z drągiem i ostrzegam! Mimo to drąg zaczyna szaleć bo

ludzie ci nie reagują na ostrzeżenia tak długo, jak długo nie spadnie na nich uderzenie. Rozpryskują się w kąty baraku, a człowiek z drągiem spogląda dookoła, potem wchodzi na swoje miejsce na narach i usypia. Ja nie śpię, patrzę. Oto już do pieca skrada się postać, a wkrótce za nią druga i trzecia. To są ci sami ludzie, którzy przed chwilą byli bici.

Takie bywają noce i takie bywają poranki.

Widownią innych scen staje się drewniana buda, szumnie nazwana stołownią. Wieczorem przy świetle kaganka bywa wydawany chleb. Coraz częściej zdarzają się kradzieże chleba. Wystarczy porcję położyć na stole — lecz to już zrozumiałe, bo co za idiota kładzie chleb na stole? Zdarzają się jednak wypadki, że chleb bywa wprost wyrwany z rąk, a sprawca niknie w ciemności i w tłumie.

Jak zawsze i wszędzie, jedynymi ludźmi, którzy mają jakieś dodatkowe produkty, są członkowie „żulia”. Według specjalnej etyki członków tego bractwa, nie kradną oni nigdy chleba współtowarzyszom niedoli. Zresztą nie potrzebują tego, mają stosunki z kucharzem i kaptiorem, oraz wiele innych bardziej rozgałęzionych i bardziej tajemniczych. Mają jakąś tajną organizację. Zapasy swoje i skarby chowa żulio na posłaniach w baraku. Mają one być uważane za święte. Nikomu nie powinno przyjść na myśl, aby je naruszyć! A jednak zachodzi taki wypadek. Wówczas członkowie żulia we własnym zakresie przeprowadzają śledztwo.

Widzę trzech młodych ludzi, (młodych wiekiem, strasznych z wyglądu) stojących pod narami. Naprzeciw kilku „błotarów”. Oczywiście z drągami w rękach. I zaczyna się bicie.

— To nie my, to nie my! — skomlą wśród razów bici.

— To nie wy, ale worek z kaszą musi się znaleźć!

Przy ustawicznym biciu i akompaniamencie obelg, następuje dokładne określenie miejsca, gdzie skradzioną rzecz ma być podłożona jeśli oczywiście skradzioną rzeczą nie był chleb, który w tej chwili spoczywa już w czyimś żołądku. Bici krzyczą, jęczą i opierają się, a jednak w godzinę czy dwie później, któryś z żulia przynosi woreczek. Kaszy ubyło, resztę jednak podłożono we wskazanym miejscu.

Kiedy przyjdzie listopad i grudzień, takie sądy, w najróżniejszych zresztą wariacjach, odbywają się raz po raz.

W łagrze jest tylko dwóch Polaków, ja i Stefan Wiśniowski z Grodna. Z początku Wiśniowski zbliżył się do mnie, jak to było normalne wśród Polaków, ale potem zaczął nosić drzewo dla strażników, obsługiwał ich, a nawet został ich kucharzem. I wtedy wolał mnie unikać i stronić ode mnie.

Czuję się samotnie, a rozgrywające się przed oczyma sceny przerastają moją wyobraźnię. Przeżywam je bardzo mocno, chociaż współczuję z nimi tylko pośrednio. Mnie osobiście nikt teraz nie gnębi, ani prześladowe, nawet szykany są rzadsze. Wszyscy dookoła zwracają nienawistną uwagę jedynie na tych, którzy już w ogóle pracować nie mogą. Na kopalniach złota wyciągnięto z nich ostatnie soki żywotne, a teraz stali się niepotrzebnym strzępem ludzkim. Walka z nimi trwa nieustanna i zawzięta. Nikt nie zwraca uwagi, że mało pracuję i że nie wyrabiam normy, codziennie bowiem wychodzę na robotę i wracam z roboty. Nie siedzę w baraku i przynoszę drzewo każdego wieczora.

Tymczasem zaś barak staje się coraz bardziej podobny do ruchomego cementarza, tyle w nim żywych szkieletów. Są to ludzie tak wyniszczeni, że nie może tego nie dostrzec felczer. Przyjeżdża też jakaś lekarka. Coraz więcej uwolnionych od pracy snuje się po baraku. Dla „zabawy” strażnicy, wypędzają ich na poranne zbiórki; to zupełnie niepotrzebne okrucieństwo.

Trwa potężna zima i barak musi być opalony. Ci, którzy wychodzą jeszcze na pracę, buntują się, że nie będą nosić drzewa po to, by ogrzewać „nierobów”. Zawsze drzewa jest za mało i nigdy nie wystarcza do rana. Oprócz tego powstaje tak zwana „suszyłka”, instytucja, którą rządzi „kosy Waniuszka” a która pochłania soki drzewa. A więc strażnicy i starosta po kilka razy na dzień wypędzają zdechlaków do lasu po drzewo. I tu znowu jest okazja do bicia.

W łagrze stworzono mały „stacjonar”. Ludzie w nim leżą ciasno, jak śledzie. Czterdziestu leżących chorych, a dalszych przeszło czterdziestu zwolnionych od pracy, przebywa w baraku. Około pięćdziesięciu zdołało już umrzeć. Są dni, kiedy umrzyka nie ma gdzie przechować, bo izolator jest pełny i leżą tam trupy warstwami...

...Minęły dwa lata i wybrałem się z Bagdadu do Kadimein, aby obejrzeć sławny meczet. Wąską ulicą prowadził nas Arab w stronę jakiegoś domu, gdzie wspieiliśmy się na płaski dach. Przewodnik ukazał nam złote kopuły meczetu i złote minarety. Ujrzałem lśniące w gorących blaskach irackiego słońca — złoto!

Krew mi uderzyła do oczu i bardzo się tego zawstydzilem. Pomyślałem, że to histeria, cikliwość i poza. I starałem się, aby osoby towarzyszące nie zauważyły mego wzruszenia.

Pewnie tylko dla zatarcia śladów własnego wzburzenia wyrzekłem coś bardzo banalnego w rodzaju:

— Jeśli wrócę do normalnego życia, nie będzie w moim domu, ani dookoła mnie żadnego złotego przedmiotu.

Śluchacze pojęli to jako żart i uśmiechnęli się.

Bo przecież nikt z tych słuchaczy, nie był na szóstej komandirówce, gdzie niewolnicy wielu narodowości umierali, wyszani przez złoto. Umierali niechęlnie, brudno, bez żadnego dostojęstwa: gorzej, niż zwierzęta...

Dedykacja...

Bóg po to pozwolił niektórym ludziom
oglądać piekło za życia i wrócić, by
dali świadectwo Prawdzie.

(Zofia KOSSAK: „Z Otchłani”, str. 6)

Wspomnienie to posyłam nad wszystkie kołymskie groby! Niech spłynie nad pryiskami, drogami, fabrykami, nad złotem, ołowiem i węglem. Nad śniegami i nad potopem wzburzonego czerwcowego lub sierpniowego rozszałiska wód.

Kiedy ktoś umrze, mówi się na Kołymie:

— Poszedł pod sopkę — został pod sopką — leży pod sopką...

Są to synonimy na określenie człowieka, którego pożarła Kołyma, białe krematorium. Polskich grobów pod sopkami są tysiące, ludzkich grobów — wielokrotne setki

tysięcy. Jak kłątwa, wisi nad tym krajem przeświadczenie, że nie można z niego wydostać się żywym.

Legendarnymi stają się rzadkie wypadki, kiedy kogoś zabiorą na „piesledstwię” (powtórne badanie) i odsyłają na kontynent, czyli jak się tam mówi: na „matierik”. O takich wypadkach głośno na całej Kołymie w ciągu długich miesięcy. Są to tam bardziej zdumiewające wypadki, niż w innych krajach i w innych społeczeństwach główne wygrane na loterii.

Złoto! Złoto kosztuje setki tysięcy istnień ludzkich. Nad tajgą huczy motor samolotu. Robotnicy, pracujący tu i ówdzie, podnoszą głowy i patrzą. Samolot nadlatuje, przelatuje i znika na horyzoncie.

„Powieźli złoto”.

Tak wszyscy myślą, nikt jednak nic nie mówi. Bo i po co? Wszak wszyscy wiedzą, że samoloty pojawiają się nad tajgą tylko w trzech wypadkach:

— dla transportu złota:

— aby śledzić zbiegów w wypadku zbiorowej ucieczki:

— w razie pożaru tajgi.

Czasem w pogodny dzień nad światem zawiśnie mgła. Jakże ta mgła z wyglądu jest podobna do irackiego czy egipskiego chamsinu! Jest bura, szara, brudna, gęstnieje lub rozwiewa się. Niekiedy w ciągu kilku dni wisi w powietrzu.

— Pali się tajga! — mówią niewolnicy.

Mgła jest rzadka i przezroczysta:

— Tajga pali się daleko. Może dwieście, może trzysta kilometrów od nas.

Mgła gęstnieje, ciemnieje, brudnieje; świat się mroczy — wśród polarnego dnia, w samym jego środku, robi się zmierzch. Dymy nad tajgą!

— Pożar przybliży się! Jest nie dalej, niż sto kilometrów od nas.

I na serca pada strach! Praca przy gaszeniu pożaru tajgi jest bowiem najstraszniejszą z prac! Niekiedy tysiące ludzi spędzonych w tajgę — idą z łopatami, kilofami, rwą mech, wygrzebuja rowy. A pokłady mchu i torfu palą się i palą, dymią i zaduszają smrodem. Nie było pożaru tajgi bez wielu ofiar w ludziach.

Lecz cóż znaczy ludzki pomiot na Kołymie? Mniej niż gnój! „Ojczyzna żąda metalu”, tylko to jest ważne! Cóż więc mogą znaczyć jednostki ludzkie? Cóż znaczy jeden czło-

wiek, stu ludzi, tysiąc ludzi, sto tysięcy ludzi? Złoto jest potrzebne! Złoto opłaca szpiegostwo, złoto buduje rewolucję światową!

A człowiek? Jedna „czystka”, jedna rozsądna akcja NKWD a więzienia wypełniają się ludźmi i w miejsce tych, którzy poszli pod sopkę, przybywają nowi niewolnicy.

Wina? Kara?

Nie ma winy, jest tylko kara. Jest niewolnictwo, potrzeba niewolników... Cóż łatwiejszego niż ich zdobyć i dostarczyć. Łowcy niewolników zaciągają obławę.

.. . . .

Największym staraniem autora było usunięcie do najbardziej możliwie odległych granic osoby, która wszystko to co jest zawarte we wspomnieniach przeżywa — która patrzy i zapamiętuje — która widzi i stwierdza — która wreszcie, przeżywszy, ujrzawszy i stwierdziwszy, zapamiętała. Nie udało się, niestety, tej osoby usunąć i ona to jest (jeszcze bardziej niestety) więzią, która poszczególne rozdziały w jakiejś takiej utrzymuje dyscyplinie. Ale: jakże usunąć osobę, która składa zeznanie? Zeznanie składa się przecież w pierwszej osobie.

Autor stara się uniknąć najgorszej w tego rodzaju opisach konieczności, a mianowicie makaronizmów. Stwarzało to trudności wręcz nie do pokonania. Jakże bowiem da się usunąć wszystkie makaronizmy rosyjskie? Już nie z rozmów potocznych, ale ze specyficznego żargonu „łagierniczego”, określającego najróżniejsze urządzenia, czy to więzienne, czy też tzw. „wychowawczych obozów pracy”?

Jest w tym świecie sporo wyrażań, pojęć których nie można znaleźć w żadnym innym języku na świecie i których nie podobna zastąpić.

Skoro na zachód od Rosji nie istnieją (teraz, po pokonaniu Niemiec) pewne specyficzne formy „rzeczywistości”, jakże znaleźć dla nich określenia?

Skoro nigdzie na kuli ziemskiej nie istnieje niewolnictwo, jakże znaleźć nazwy na określenie charakterystycznych dla rosyjskiego, nowoczesnego niewolnictwa: urządzeń, instytucji, zakładów, czy chociażby osobliwej hierarchii?

To samo dotyczy gwary typowego świata przestępczego. Taka gwara istnieje w każdym kraju, a w Rosji przede wszystkim!

Ponieważ jednak w Rosji tzw. „świat przestępczy” jest, nawet w zakresie odbywania kary, uprzywilejowany w stosunku do przestępców politycznych, reprezentujących ponad 80% więźniów, powstaje zjawisko, nie mające równego sobie w świecie. Brak określeń, pojęć, równoznaczników — żadne słowo, w żadnym języku, nie oddałoby istoty rzeczy.

Albowiem w żadnym ustroju państwowym owi „przestępcy polityczni” po prostu nie byłiby przestępcami, nie byłiby skazani, nie siedzieliby.

Może pewna ilość z tych „przestępców” zyskałaby rozgłos i powodzenie jako na przykład dobrotliwi satyryczni felietoniści w prasie opozycyjnej?

Wreszcie najprzykrzejsza sprawa.

Nie podobna w żadnym języku oddać tej odchłani plugastw, w jakiej człowiek-więzień żyć musi!

Każde wypowiedziane zdanie jest otoczone plugastwami. Na początku zdania świństwo, na końcu świństwo, a w środku kilka świństw.

Istnieje mnóstwo talentów retorycznych, które każde słowo przemówienia potrafią przegrodzić świństwem. Gdyby jakaś Akademia Nauk chciała ułożyć słownik tego rodzaju wyrazów, określeń i ich niezliczonych wprost odcieni musiałaby pracować dziesiątki lat.

Nie podobna odtworzyć tego w książce, którą czytać ma czytelnik Zachodu. Ale, niestety, brak tych plugastw zniekształca opisy, odbiera życiu bardzo — bez najmniejszej przesady — istotny i charakterystyczny koloryt.

Mówione po setki razy dziennie przekleństwa oznaczać mogą wszystko i potrafią określać każdy stan duchowy mówiącego. To samo plugastwo może być użyte na oznaczenie najwyższej ekstazy estetycznej lub patriotycznej, jak i na wyrażenie współczucia, bólu, radości, obojętności wobec losu, czy też patologicznej wściekłości.

Akademia Nauk, która zabrałaby się do rejestrowania tych, tak bardzo zasadniczych wyrażań, musiałaby posługiwać się nie tylko samym słowem, musiałaby notować chyba również ich melodie.

Jest w tej książce kilka wyrazów ryzykownych. Tylko psychopatolog mógłby odpowiedzieć na pytanie dlaczego, po co są i skąd się wzięły? Musiały jednak być! Musiały pozostać i nie dały się wykreślić. Z tego rodzaju wyrażań

składać się powinny cztery piąte książki — a wtedy byłby wierniejszy koloryt i praca nabrałaby wartości dokumentalnej. A tak jest tylko — opisem.

(Jak zaś wygląda i czym jest w gruncie rzeczy „Kraj Kołymski”, obrazuje mapka zamieszczona na str. 135-tej książki Krakowieckiego).

— Ach, jak pięknie zabudowany i jak gęsto zaludniony kraj! — powie nieświadomy rzeczy Czytelnik.

Zabudowany? Zaludniony? Należy się więc krótkie wyjaśnienie:

— Proszę spojrzeć jeszcze raz, dokładnie!

Te wszystkie czarne punkty na mapie, to łagry! Małe, zupełnie mikroskopijne, większe i olbrzymie. „Podpierewalna” — trzech robotników. „Pocztowaja” — dwunastu. „Gorełoje” — ponad stu „Smirnowaja” i „Karanda” około dziesięciu, a „Arkagałah” — ok. trzech tysięcy. „Podkomandirówka” siódmego „prorabstwa” — najwyżej dwudziestu, ale na „pryisku” „Bolszewik” — dwanaście tysięcy...

A jasny kwadrat z niewinnym napisem: „Elektrownia”. To także łagier! Zaledwie jeden tysiączek...

Dookoła zaś dziesiątki, setki kilometrów tajgi. Skały, przełęcz, przepaści, góry, czyli sopki kołymskie. Na sopkach, pod sopkami cmentarze, które trudno nawet cmentarzami nazwać: po prostu hałdy umarłych.

MARIAN CZUCHNOWSKI

Urodzony w 1909, w zamożnej małopolskiej rodzinie chłopskiej. Studiował prawo i filozofię w Krakowie, usunięty z uniwersytetu za działalność polityczną. Pierwszy zbiór młodzieńczych utworów pt. „Poranek gorzcy”, wydał w 1930. Następnie ukazywały się rokrocznie dalsze tomy poezji lub prozy. Współpracował z wielu pisarzami przed wojną w kraju, a po wojnie na emigracji, gdzie od 1944 wydał kilka dalszych książek i zbiorów poezji.

Przeszedł podobnie jak inni przez łagry północy. Po amnestii dotarł do Taszkientu, gdzie przebył ciężki tyfus plamisty i zapalenie płuc, po czym wstąpił do wojska. Po wojnie osiadł w Londynie. Książka pt. „Tyfus a teraz słowiki” (Modern Writing Ltd., London 1951) to powieść, którą cechuje brutalny realizm sowieckiego bytu, spleciony z żywiołem zmysłowej miłości i poezją uzbeckańską wiosny.

Z powieści tej drukujemy poniższe fragmenty.

TYFUS, TERAZ SŁOWIKI

III

Praca we fryzjerni należało do najcięższych i najbardziej przykrych w szpitalu. Chyba tylko cmentarnicy i grabarze w kostnicy mieli gorszą robotę.

Stosy włosów różnej maści, kłęby siwych kłaków, zmierzwionych, nie mytych nieraz wiele dni i wiele tygodni walały się po kilku ostrzyżynach obok stołka i zaścielały posadzkę. Łaziło po nich obrzydliwe robactwo, rozpełzało się wszędzie, wlokąc ze sobą zarazę.

Toteż przedsięwzięcie ten był rozpaczliwie brudny i posępny. Sama zaś siostra dyżurna, mimo wieloletniego oswojenia się z nędzą i chorobami, wzdrygała się niejednokrotnie, kiedy tępe nożyce trafiały na naciekle ropą guzy wrzodów ukrytych we włosach. Lecz była niezmordowana w pracy, a ludzi zamiast ubywać, przybywało.

Zegar w hallu na górze wybił już szóstą wieczorem. Dudnił głucho jego dźwięk i odbijał się wielokrotnym echem pod sklepieniami. Cienie skupiły się znowu gęsto pod na wpół ślepą żarówką, żarzącą się krucho w środku sufitu.

Przez drzwi zajrzała Katiusza i spojrzała znacząco na fryzjerkę.

— Dużo jeszcze?

— Oho, chyba ze trzydziestu — odparła fryzjerka.

— Ten przeklęty prysznic znowu się zepsuł, muszę myć *dochodzących* w starej kamiennej wannie — skarżyła się Katiusza. — Cóż za męka myć takich brudnych ludzi! Jak oni mogą przysyłać ich w takim stanie?! Uf, spać mi się chce ogromnie z tego wszystkiego.

Fryzjerka milczała. Powiedziała dopiero po chwili.

— Mnie ręce też już mdleją. Ileż oni mają na sobie robactwa!

— Ha, ha, *barinia* z ciebie. Ja wiem o tym najlepiej, bo ich przecież myję. *No, podi sa mnoj, milenkij* — zwróciła się do nowo ostrzyżonego.

Podniósł się ciężko ze stołka i wszedł wolno do łazni.

W łazni nie było wcale czystiej, niż we fryzjerni. Było może tylko nieco jaśniej od sinawego blasku trzech żarówek wmurowanych wysoko w ścianie, właśnie nad zepsutym prysznicem. W rogu stał kamienny basen, dość płytki, o wyszlizganych, szarych ścianach, z białym, porysowanym, obtłuczonym dnem.

— Rozbieraj się — powiedziała do przybyłego łaziebna. — Co, nie masz sił? Zaraz pomogę.

Szybkimi, zręcznymi rękami zdjęła z niego watowaną, podartą *fufajkę*, i zobaczyła, że chory nie ma koszuli. Nie zdziwiło jej to, ale jednak ofuknęła go gniewnie:

— Bez koszuli łazisz?

— Od pół roku już nie miałem koszuli na sobie — odpowiedział. — Wiesz sama, jak trudno dostać koszulę

bez raboczej karteczki. A zresztą zachorowałem, i chyba czeka mnie koniec.

— Nie narzekaj, nie narzekaj. Wyzdrowiejesz, koszulę kupisz.

Kazała mu usiąść na posadzce. Jednym nagłym ruchem ściągnęła z niego grube, więzienne spodnie, rzuciła w kąt lipowe łapcie, chwyciła za węzełek, który trzymał kurczowo w ręce.

— Daj to. Tu wszystko musisz zdać. Co to masz?

— Trochę sucharów chlebowych.

— Suchary, nie suchary, wszystko musisz oddać. Z sucharami nie będę cię przecie kąpała.

— Wolałbym dla pewności, żebyś mnie z nimi wykąpała.

Wyrwała mu węzełek i rzuciła go również w kąt na tę samą kupę różnych szmat i innych, poprzednio rzuconych węzełków.

— Marsz teraz do wanny!

Chory próbował wstać, lecz nie mógł. Katiusza objęła go swymi czerwonymi, ciężkimi, splekanymi od wody łapami i zawlokła do basenu. Opadł bezsilnie na zimnym, kamiennym dnie.

Zardzewiała rura, przez którą ciekła dotychczas woda, nie funkcjonowała. Łaziebna zakłęta, zakręciła ze złością kurek, złapała drewnianą putnię i podeszła do kranu obok. Woda z ogromnym hałasem lała się do wiadra. Gdy wiadro było pełne, Katiusza chlusnęła całym strumieniem na leżącego w basenie.

— Woda z kranu — mówiła — jest wprawdzie letnia, lecz dla ciebie to wszystko jedno. Byle cię z wody opłukać.

Zakasała jeszcze wyżej rękawy, chwyciła z miski opodal garść sody i zaczęła trzeć ostro głowę, szyję, pierś, brzuch i biodra leżącego. Chory jęczał i skarżył się, lecz Katiusza nie miała już ani siły, ani czasu słuchać jego narzekań.

Wylałszy sodą z wierzchu, przewróciła go potem przodem na drugą stronę, wzięła tym razem garść wapna z drugiej miski i szorowała nim plecy, pośladki, aż woda zasyczała, kipiąc od gorącej wapiennej pary.

— Ot, ciepło tobie teraz, ha? — wołała, trąc z zadowoleniem skórę, która poczerwieniała.

Kąpiel trwała tylko kilka chwil. Katiusza podniosła potem chorego i owinęła workiem. Stał tak przez jakiś czas. Potem postawiła go pod ścianą, by nie upadł, i wychodziła szybko szorstkim, grubym płótnem.

— No, teraz idź do ewidencji!

Popchnęła go naprzód, lecz on nie wiedział, dokąd iść.

— Na wprost, idź na wprost siebie! — wołała.

Szedł, utykając, prosto przed siebie. Stanął wreszcie pod ścianą i czekał.

Katiusza tymczasem podeszła do rogu izby, otworzyła małe, ślepe okienko, w którym tkwiła w dolnej futrynie osadzona rura, i krzyknęła prosto do rury:

— Hej, ewidencja! Zabierajcie następnego!

W chwilę potem, raptem ściana się otworzyła, tuż przed samym nosem stojącego człowieka, i uchyliły się wąskie drzwi, a w nich stanęła śnieżnie, czyściutko ubrana, malutka, pulchna, różowa blondynka.

— Proszę iść tędy — usłyszał niski, melodyjny głos.

Zrobił krok w tę stronę, idąc za tym słodkim głosem, i upadł nagle na progu, tracąc przytomność.

Wąskie, ściennie drzwi zamknęły się bez hałasu za nim.

Łazienka myła wannę, mruczając pod nosem, czyściła szmatą ściany. Spróbowała znowu kurka, właśnie akurat kurek teraz ciekł, puściła wodę, otworzyła zlew i nachyliła się patrząc uważnie na obtłuczone, kamienne dno. Splunęła z obrzydzeniem i przywiązawszy szmatę do długiego kija, zgartywała nią rojowisko wszy do zlewu. Potem przysypała dno cieniutką warstwą tego samego wapna, którym myła chorego, i ciężko, długo oddychała, wsparta na tym kiju.

Obmyła ręce, wytarła w fartuch i krzyknęła do fryzjerki gromko:

— Dawajcie następnego!

Po ostrzyżeniu i pośpiesznym umyciu, nieraz tylko w letniej wodzie, chorzy wędrowali po jednym, nadzy, przez te wąskie, ściennie drzwi do specjalnej izby, gdzie podlegali lekarskiemu rozpytywaniu, badaniu i przeglądowi.

Właśnie te trzy przedśionki, zanim wstąpili do prawdziwych piekieł szpitalnych, decydowały o ich przyszłości, życiu, wyzdrowieniu czy kalectwie. Nie było to jeszcze nic nadzwyczajnego, gdy liczba przywiezionych do szpitala nie wynosiła więcej niż stu ludzi dziennie. Natomiast kiedy

zdarzały się rozpaczliwe, czarne dni, pracowite sanitarki, auta ciężarowe, furmanki, maleńkie biedki zaprzęgnięte w człowieka, zwały ich na podwórzu pięciuset; szpital wyglądał wtedy, jak brudne, beznadziejne obozowisko szaleńców.

Wydatnie wpływała na to również pogoda. Także pora dnia.

Jeśli na dworze pryskały gwałtowne, zimne, styczniowe czy lutowe ulewy, popędzane bardzo często nagłą, burzliwą śnieżycą, podwórzec ociekający od błota i jęków ludzkich, przedstawiał widok grozy. Gdy zaś słońce oplusnęło czasem kapryśnie i słodko nagie, ponure mury i zabłysło przez chwilę na zgasłych, szarych twarzach, szpital wyglądał weselej i życzliwiej.

Najwięcej transportów zwalano tu zazwyczaj wczesnym rankiem. Od razu też oddzielano na podwórzu trupy od żywych czy umierających i wleczono je za nogi na drugą stronę do wielkiej, płaskiej szopy, nakrytej brezentem, lub gdy szopa była pełna, spychano je przez otwarte okno po desce do ciemnych, piwnicznych suteryn.

Tam już grabarze sortowali nieboszczyków, obdzierali trupy z resztek łańchmanów, wyciągali z zaciśniętych kurtczowo dłoni nędzne węzełki i ustawiali wysoki stos z nagich zwłok, gotowy do transportu na cmentarz. Maszyny ciężarowe podjeżdżały pod okno suteryny, i stamtąd znowu po desce wyciągano zwłoki i zwalano na samochodzie jedne na drugich, gęsto, ściśle, aż podeszły do góry. Otwierano wówczas po bokach rezerwowe, drabiniaste oparcia, składano zwłoki do wysokości możliwej do utrzymania, zapinano druty na wierzchu, rozścielano zieloną płachtę na górze i przykrywano wóz.

Potem szofer pełnym gazem wyjeżdżał z podwórza.

Najzdradliwsze i najniebezpieczniejsze były wieczorne lub nocne transporty, kiedy obsługa szpitalna, lekarze i siostry, wszyscy byli zmęczeni ciężką pracą dnia i chcieli jak najszybciej zamknąć tragiczny bilans, umyć ręce, zjeść posiłek i pójść spać.

Nocą przeważnie przywożono chorych, których nie przyjąłby żaden inny szpital chorób zakaźnych. Szoferzy wiedzieli o tym znakomicie, tak samo dyżurujący na stacjach kolejowych lekarze z lotnych patroli sanitarnych. Dlatego czekali z takimi chorymi do pierwszej ciemności i pchano

ich potem do trzeciego szpitala chorób zakaźnych, gdyż miał on sławę szpitala bezdomnych ludzi; wszelakiej biedoty z kołchozów, *liszeńców*, włóczęgów bez dokumentów, najbiedniejszych robotników z różnych fabryk, jak też i byłych więźniów, zwolnionych obecnie z łagrów.

Tu nikt z nadto nie przejmował się życiem ludzkim. Nie troszczono się o jego cenę, ani nie miano czasu myśleć o jego wadze. Ludzie leżący w tym szpitalu nie mieli nikogo bliskiego w mieście. Jeśli by zaś nawet mieli, to ze względu na ciężką chorobę przyznać się nie mogli. Dopiero później podczas rekonwalescencji, zgłaszali się niekiedy jacyś wynędzniali krewni, przeważnie przeraźliwie chude, zapłakane, zniszczone kobiety; często starcy i wiekowe, na wpół głuche babiny.

Chorzy, których odwiedzały nieśmiało te strzępy ludzkie, należeli do szczęśliwców. Mieli bowiem kogoś bliskiego w tym obcym, trudnym świecie i w tym nie mniej straszliwym kraju.

W daleko gorszym położeniu byli ci, co nie mieli ani tutaj, ani w pobliżu nikogo bliskiego. Świadectwem ich przynależności do świata był zazwyczaj tylko brudny, wymięty świstek „udostowierenia” z łagrów czy więzienia, lub karta pracy uprawniająca jedynie do ludzkiego trudu.

Personel szpitalny, wszyscy starzy i młodzi lekarze — Nikitiny, Fominy, siostry — Natasze, Osipowe, telefonistki — Marfy, Sasze, cmentarnicy, grabarze, felczerzy, kamfoterki, kucharze, służba, byli zajęci, zagonieni, przywaleni nadmiarem żywych i zmarłych, chorych i wyzdrowieńców, skuci obowiązkami, rozpaczą czy nadzieją, kolejnymi burzami i deszczami, śnieżycami i zimnymi wichurami, ponurym gmachem, twardym jak oni, lecz jak oni zmęczonym i smutnym.

O każdej porze dnia pchano do tej brudnej fryzjery i łaźni Polaków i Rosjan, Tatarów i Chińczyków, Uzbeków i Ukraińców, Czechów i Hiszpanów, Węgrów i Sartów, Mordwinów i Kazachów, Białorusinów i Żydów.

Ciężkie ręce Katiuszy myły niezmordowanie szorstkim wapnem wszystkie zakażone tyfusem ciała i po wyciągnięciu z kamiennego basenu, popychały je dalej, w głąb szpitala, bez względu na wiek, klasę społeczną, religię, narodowość, szczęśliwe, czy nie, życie w przeszłości. Popychały one tak samo skolektywizowanych chłopów jak ro-

botników, byłych żołnierzy czy więźniów, byłych szlachciców czy artystów; ludzi białych, brunatnych czy żółtych.

Złota, pulchniutka blondyneczka brała za rękę każdego nagiego człowieka i prowadziła do stołu ewidencyjnego. Tam siedziała cierpliwie, siwa, energiczna pani i pytała drobiazgowo o wszystko.

Nie wszyscy chorzy mogli przytomnie odpowiadać i zeznawać o okolicznościach zapadnięcia na febrę tyfusową, albo mówić o swej pozycji cywilnej. Ślania się na nogach i mdleli.

Wówczas złota blondyneczka wołała cicho:

— Iwan Wasiljewicz, *dawajcie siuda!*

Z bocznej komórki wyskakiwał natychmiast rośli, szpakowaty mężczyzna w felczerskim stroju i podnosił zrzęcznie zemdlonego, układając go na długiej, wiecznie mokrej słomiance opodał, gdzie było nieco cieplej niż na posadzce kamienniej.

Siwa lekarka pisała tymczasem swój zwykły, krótki raport w książce. Gdy skończyła, brała ciężki, ręczny dzwonek ze stołu i potrząsała nim. Otwierały się zaraz drzwi na wprost; dwu ciemnych, chudych Uzbeków w kolorowych maleńkich czapeczkach na gładko wygolonych czaszkach wchodziło do środka, wlokąc nosze za sobą.

Uzbegy brali chorego ze słomianki, przykrywali go szarym grubym płótnem, które leżało na marach, narzucali na to burą derkę, i cicho, jak prawdziwe cienie, wynosili pacjenta na oddział.

Przy ściąganiu danych zdarzały się oczywiście różne wypadki. Czasem chory odpowiadał bardzo rezolutnie i po złożeniu długiego, szczegółowego zeznania, szedł na górę do szpitala, padając dopiero po drodze. Nieraz chorzy dostawali napadów ciężkiej trwogi po wyczerpaniu nerwowym, często również ataku epileptycznego.

Doświadczona oczy starej lekarki widziały wszystko dokładnie. Rzadko można było coś ukryć przed nimi. Również cudzoziemców poznawała od razu. Od razu tak samo orientowała się, kto z jakiej wyszedł warstwy społecznej, komu w życiu było dobrze a komu źle. Nieraz chory z różnych względów chciał ukryć coś ze swego życia. Uśmiechała się wówczas łagodnie i jednym zręcznym pytaniem przecinała wątpliwości.

Były wypadki, że w sąsiedniej izbie musiano stosować doraźne, radykalne środki. Nie było częstokroć czasu na namysł, nie można było odsyłać pacjenta na górę. Gdy stan jego był ciężki, a chory oprócz normalnej przeciwtfusowej kuracji, wymagał jakiegoś innego zabiegu, przechodził w ręce Iwana Wasiljewicza. Iwan Wasiljewicz był uprawniony do wykonywania doraźnych, nieskomplikowanych zabiegów chirurgicznych. Robił to zimno, spokojnie, z wprawą zawodowego wojskowego felczera.

W tej właśnie kamiennej izdebce bez okna, oświetlonej ostrą, przeraźliwie jasną żarówką, stał drewniany tapczan nakryty siwą ceratą, z podwyższeniem pod głowę, zarzucony białym, złożonym we dwoje prześcieradłem. Obok tapczanu zionął smrodem czarny, brudny otwór zlewu, koło którego niedaleko błyszczała blaszana puszką na odpadki. W rogu stał niewielki stół z narzędziami i podręczną, niebiesko pomalowaną apteczką.

Często wzywano Iwana Wasiljewicza do ewidencji, aby pomógł w nieznośnych, dokuczliwych wypadkach. Zdarzało się to teraz częściej, bo niektórzy chorzy mieli w drodze z Uralu odmrożone palce, szerniałe już i zgniłe, cuchnące ropą, które szybko i bez pardonu trzeba było usunąć. Felczer obcinał je od razu, mimo krzyków pacjenta, i wrzucał z hałasem, jak martwe patyki, do blaszanej puszkę. Jeśli miał jodynę, to ranę jodynował, jeśli nie miał, to zalewał karbolem okrwawione kikuty, wiązał je prowizorycznym bandażem i oddawał pacjentów Uzbekom, do transportu na górę.

Podobnie rzecz się miała z wszelkimi owrzodzeniami, lokalną gangreną, skorbutowymi wypryskami, czy z zaślimaczonymi starymi ranami. Iwan Wasiljewicz pracował dużo, szybko, nie miał zresztą czasu zastanawiać się nad tym wszystkim. Gdy blaszanka na odpadki była pełna, zesypywał jeszcze do niej popiół z glinianej miski, zawalonej niedopałkami papierosów z machorki, i wołał kamfoterkę, by to wyniosła.

Znowu wezwano Iwana Wasiljewicza. Tym razem nie była to sprawa odmrożeń, czy oczyszczenia ran poszkorbutowych, lecz rzecz daleko poważniejsza.

Na kamiennej posadzce, tuż przed siwą lekarką, leżał, dysząc, wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna, o tak

nabrzmiącej krwią, że aż fioletowej twarzy. Felczer spojrzał uważnie na niego, podniósł i ułożył na słomiance.

— Tyfus? Serce? Atak apoplektyczny? — mówił, jakby do siebie, wyprowadzony z równowagi, co mu się na ogół zdarzało rzadko.

— Atak apoplektyczny; typowy atak apoplektyczny podczas zakażenia kręgów szyjnych i stałego nacisku krwi na mózg — mówiła spokojnie siwa lekarka. — Natychmiast należy puścić krew, ulży mu szybko.

— Puścić krew? — wykrzyknął felczer. — Ależ on nam zaśnie na rękach! To przecież niemożliwe.

— Niemożliwe? — zawołała. — A cóż jest niemożliwego w tym wypadku? W takim razie polecam postawić mu natychmiast pijawki.

— Ależ on ma tyfus; szkoda pijawek! Skąd my weźmiemy potem nowe pijawki? — błagalnie wołał Iwan Wasiljewicz.

— To już wasza sprawa — powiedziała — wasza sprawa, nie moja, Iwan Wasiljewicz. Róbcie co każe!

— Czy mogę wobec tego wziąć go do siebie?

— Zabierajcie i to szybko. Wiecie, co macie zrobić?

— Wiem. Doskonale wiem! Wiem.

Chwycił go za bary, lecz nie mógł udźwignąć.

Pulchna blondyneczka podleciała ochoczo i próbowała pomagać, lecz też nie mogła dać rady. Felczer, nie zastanawiając się długo, złapał go za nogi i włókł po posadzce do swej komórki.

Tymczasem Katiusza zaryczała przez tubę:

— Przyjmijcie nowego!

Blondyneczka podskoczyła do drzwi zrećnie, jak małutki ptaszek. Wprowadziła pacjenta i jak zawsze, stanęła obok stołu w pogotowiu.

Nagle Iwan Wasiljewicz krzyknął z komórki:

— Olga Andrejewna, pomóżcie; prędko, prędko!

Mała wpadła do środka i stanęła zdziwiona.

Na tapczanie, stękając, leżał chory martwo i bezwładnie, ciężki i zwalisty. Twarz jego była prawie czarna w świetle lampy. Żył na szyi napęczniały, zbierając się i pogrubiając pod brodą w purpurowe krechy. Felczer trzymał już w ręce lancet i nachylając się, patrzył na błyszczące ostrze.

Olga Andrejewna podeszła do wezglowia, ujęła rękami szyję chorego, zaciskając na niej swej blade, malutkie paluszki, jak wianuszek.

— Uważajcie, Iwan Wasiljewicz, na arterię. Uważajcie bardzo. Proszę, bądźcie ostrożni z arterią — szeptała.

Felczer spojrzał na nią obco, szybko zbliżył lancet do szyi i jednym ruchem, drapieżnym i dzikim, naciął skórę.

Zmartwieli oboje. Lancet zgrzytnął, lecz nawet nie drasnął skóry. Chory poruszył się gwałtownie i zaczął charczeć. Wówczas Iwan Wasiljewicz zawołał:

— Olga Andrejewna, przytrzymajcie z obu stron żyłę; o, tu, w tym miejscu; tylko mocno przytrzymajcie.

Ciachnął teraz lancetem twardo, aż zaskrzypiało, i z otwartej żyły, zamiast ciec powoli i leniwo, trysnął niespodziewane: ciemny, gęsty strumień, i siknął wysoko na ścianę, zalał szyję leżącego oraz objął ogromną plamą białe prześcieradło pod głową.

Dziewczyna trzymała kurczowo przyciśniętymi palcami szeroko otworzoną żyłę, a Iwan Wasiljewicz podwiązywał ją twardo, ciężkim, płóciennym bandażem, spocony i obryzany krwią. Bezwiednie maznął ręką po twarzy, i czerwona plama została na niej jak ruda, mokra pieczęć.

Chory uspokoił się od razu. Nie wiadomo było jednak, czy ulżyło mu naprawdę. Krew tylko wsiąkała nadal w płótno prześcieradła, ale już nie spalona i czarna, lecz różowa i delikatna.

Chory niedługo wypoczywał. Zawinięto mu szyję i skropiono twarz kilkoma chlustami wody. Iwan Wasiljewicz przed odesłaniem go na górę naciął mu jeszcze dwukrotnie ramiona lancetem, pochłapał rany karbolem i zaczął myć skrwawione ręce.

Olgi już wtedy tam nie było.

Gdy felczer wrócił do ewidencji, Uzbegy czekali z noszami.

— No, co? W porządku? — powiedziała lekarka.

— Och, tak! — westchnął z ulgą. — Jakież ten miał stwardniałe żyły! Aż się spociłem.

Uzbegy wynieśli się niespostrzeżenie.

Iwan Wasiljewicz wrócił niedługo potem do swej izdebki, zdjął poplamione prześcieradło z tapczanu, złożył je z powrotem we czworo i zarzucił tak jak było przedtem. Potem stał ścierką krew ze ściany, zadeptał krwawe skrze-

py na podłodze, przesunął blaszaną na odpadki, otworzył kurek i długo zmywał zlew z brudnego, ohydneho cienia. Skończył pracę, włożył lancet do słoika z karbolem, skręcił wolno papierosa z machorki i zapalił z rozkoszą. Zaciągał się dymem z coraz większą przyjemnością i smakując dziki, słodki jad nikotyny, wdychał.

Nosze z chorymi tymczasem wędrowały na półpiętrze. Stamtąd, po krótkim wypoczynku, skręcały w boczny korytarz, gdzie świeciły w drzwiach szklane, mętne okienka separatek z kobietami i dziećmi. Korytarz dochodził do hallu między pawilonami i przebiegał się następnie na oba piętra budynku.

Na pierwszym we wszystkich pięciu pawilonach leżeli chorzy wyłącznie tylko do kryzysu, czasem jeszcze kilka dni potem; na drugim przebywali ozdrowieńcy i ci, którzy wprawdzie tyfusu już się pozbyli, lecz wymagali dalszego leczenia z powodu innych dolegliwości.

Na obu zaś piętrach bez żadnej różnicy, we wszystkich pawilonach, sąsiadowały wspólne sale kobiece z takimi samymi wspólnymi salami męskimi.

Trupy wyniesione ze sal leżały często obok siebie porzucone niedbale całymi godzinami, na tych właśnie korytarzach, bez różnicy płci, samotne, zimne, obdarte z wszelkiej odrębności zarówno przez śmierć jak i przez ludzi.

Pawilony stanowiły pięć wielkich bloków, z których centralny, położony od ulicy, był najdłuższy i podłużny; inne cztery rozbudowane w sześciany, z zewnętrznymi korytarzami, przylegały do niego od strony szerokiego, koszarowego podwórza. Między pawilonami, obok ich własnych wewnętrznych korytarzy prowadzących do centralnego, były osobne przejścia wiodące bezpośrednio z każdego podwórza, a oba piętra łączyły ponadto specjalne, otwarte, napowietrzne, wąskie galeryjki.

Tak czy inaczej, chorzy wyniesieni z podziemia, a przeznaczeni do bocznych pawilonów, nie byli oddawani na pierwszy blok, lecz dźwigani przez podwórza bezpośrednio na parter albo kierowani napowietrznymi, otwartymi galeryjkami między pawilonami, wprost na piętra.

Często wiatr, deszcz, czy śnieg nagle i niespodzianie padający na podwórza, osnuwał ich twarze, i krzyczeli wtedy z trwogi, zawieszeni w przeraźliwych ciemnościach, unoszeni nie wiadomo dokąd przez obcych, milczących lu-

dzi. Prawie wszyscy przytomnieli wówczas i próbowali uciec z noszy. Jednak szybkie nogi łapiduchów pięły się zrećnie po schodach, sunęły prędko po wysokich galerijkach. Potem nosze leżały bardzo cicho w jaskrawym świetle korytarza.

Nie podobna było uwierzyć, by tylu ludzi mogło się zmieścić tutaj. Bardzo często leżeli oni pokotem na korytarzach; nieraz po dwóch na rzuconych niedbale siennikach, przykryci różnego gatunku derami, burkami, łachmanami, pstrymi strzępami materaców i kołder.

Wszędzie, a zwłaszcza na korytarzach ozdrowieńców, tłoczyło się wiele wychudłych kobiet z ogolonymi do skóry, straszliwie nagimi czaszkami. Snuły się smutnie, drobne, kościste, tatarskie dziewczęta, którym z całej urody zostały nadmiernie rozrośnięte kości bioder, sterczące nienaturalnie wysoko pod długą, szpitalną koszulą. Wśród nich stapały na cienkich nóżkach Uzbeczki z maleńkimi twarzyczkami, jak lalki; sztywne, drewniane, o skórze szarej, ciemnej lub brunatnej. Wysokie Rosjanki o piersiach niegdyś obfitych i zdrowych, przechodziły teraz potrząsając nimi, jak opadłymi tykwami zakończonymi wielką, suchą płamą sutek.

Chore płatały się niezgrabnie w koszulach; zbyt długich na dziewczęta, za krótkich, na ongiś rosłe i krzepkie, dojrzałe kobiety, którym parę tygodni temu obfite jeszcze, mięsiste uda, wyssała gorączka, a tęgie, sprężyste brzuchy wyzarł bezlitośnie tyfus.

Najgorsze jednak było położenie karmiących matek. Ciała ich strawiła nie tylko choroba, lecz wyniszczało je nadal, okrutne, barbarzyńskie, szpitalne macierzyństwo.

Ze względu na to, że kobiety musiały same karmić maleńkie dzieci, urodzone tuż przed tyfusem, lub w czasie tyfusu, przydzielono z polecenia lekarzy każdej po pół litra krowiego, wielbłądziego, lub koziego mleka dziennie. Dawka ta była jednak nie wystarczająca. Przynoszone oseski płakały częstokroć rozpaczliwie z głodu, a piersi kobiet nie mających pokarmu, wisały puste, jak skórzane naczynia. Płakały też wówczas również i matki, przeklinając swe życie i głośno zawodząc.

Dzieci przynoszono do karmienia dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Rano piersi kobiet nabrzmiewały lekko po nocy, bardziej wypoczęte, i dzieci ssały spokojnie, mrużąc jak małe kociątka, ściągając mleko do ostatniej

kropli. Później, po karmieniu, pielęgniarki obmywały bardziej zmęczone kobiety, smarowały im plecy i piersi olejem lnianym, dawały do picia przyznaną porcję mleka.

Wieczorem było znacznie gorzej z karmieniem. Oseski krzyczały głośno na wszystkich korytarzach; chorzy kłeli i wymyślali na hałas, siostry biegały zdenerwowane, a tylko rodziny, które z miasta przynosiły dzieci, czekały cierpliwie w hallu na ich odebranie. Wieczorem przeważnie kobiety nie miały mleka. Nawet chłopki z okolicznych państwowych osad i majątków, niskie, o grubych, czerwonych kolanach, Chinki i Koreanki, które posiadały nisko osadzone, najlepiej ze wszystkich zachowane, pękate piersi, traciły wieczorem mleko. Wyjmowały wtedy z rosnącym żalem z ust krzyczących dzieci, ogromne, zaczerwienione jak gruby koral, sutki, otoczone dużym, ciemniejszym purpurowym pierścieniem, i zapinały koszule uroczyście i poważnie, jakby przy spełnianiu religijnego obrządku. Tylko jedna maleńka piętnastolatka, Tatarka, była szczęśliwa.

Ona zawsze miała mleko i karmiła swe dziecko, śpijąc cichym, czystym głosem dzikie, czarowne piosenki. Nakarmiwszy je, obciągała skrupulatnie koszulę zesuniętą z kolan, chowała szczupłe, maleńkie piersi, wycierała ostrożnie i powolutku gałgankiem usta dziecka, i oddawała maleństwo pielęgniarence. Długo jeszcze potem siedziała i nie ruszała się ze swego siennika, wciąż nucąc pod nosem. Wyglądała wtedy szczęśliwie; uśmiechnięta, czyściutka, młodziutka i piękna pomimo przebytej choroby.

Chińskie i koreańskie kobiety patrzyły na nią z zazdrością i podziwem. Pytały ją w łamanym, trudnym dla nich rosyjskim języku, czy bardzo kocha dziecko i męża. Odpowiadała wesoło, że nie ma jeszcze męża, lecz gdy tylko wojna się skończy, to weźmie ślub z Achmedem, bo był zawsze dla niej dobry.

Nie chciała nigdy nic więcej powiedzieć o Achmedzie, ani chińskim, ani tym koreańskim, rosyjskim, czy żydowskim kobietom.

Dzisiaj, jak zawsze dotychczas, przyniesiono o siódmej wieczorem dzieci. Karmicielki czekały już na korytarzach; niektóre spóźnione myły jeszcze po kolei piersi w dużej, blaszanej miednicy, stojącej w kącie na stole, smarowały je łagodnym, lnianym olejem, a potem brały do rąk, jakby ważąc, czy są dość ciężkie. Czekały na karmienie bez pod-

niecenia, spokojnie, dojrzałe i poważne tak samo jak bez radośnie czekały w ubogim kołchozie na udój wieczorny, czy na spanie z mężczyzną.

Właśnie pielęgniarki wniosły dzieci. Matki rozpięły natychmiast koszule i karmiły. Słychać było pierwsze krzyki i płacz osesków. Wszystkie kobiety dostały swoje dzieci, tylko maleńka, wesoła, piętnastoletnia Tatarka czekała jeszcze.

— Może już przynieśli? — pytała niecierpliwie.

— Zaraz, zaraz przyniosą, nie bój się, zaraz przyniosą ci dziecko — odpowiadała monotonicznie stara pielęgniarka.

Upłynęło jednak więcej, niż pół godziny i mała Tatarka była ogromnie podniecona. Chodziła niespokojnie po korytarzu. Wciąż czekała.

Rozpłakała się nagle i wybiegła do hallu, lecz nie spotkała tam siostry swego przyszłego męża, która jej regularnie przynosiła dziecko dwa razy dziennie do szpitala. Wróciła więc znowu do pawilonu tak wzburzona, że jej piersi nabrzmiały do tego stopnia, iż sprawiały jej ból; brocząc, przesączały pokarm przez koszulę.

— Powiedzcie mi prawdę! Chcę wiedzieć prawdę, co się stało z moim dzieckiem? — krzyczała na starą pielęgniarkę.

Ta spojrzała na nią, i skinąwszy palcem, zaprowadziła do kąta i powiedziała mroźnym, bezdźwięcznym głosem:

— Musisz mieć rozum i odwagę.

— Cóż to znaczy? Cóż to znaczy? Wy tłumaczcie!

— Czy mogę liczyć na twój rozum?

— Oczywiście, że możecie! Co się stało? Mówcie!

— Powiem ci. Dziecko twoje umarło dziś w południe z ciężkiego zatrucia pokarmem. Ot, co! Nie wolno ci więcej karmić, mała!

— Umaar-łoo?

Dziewczyna stanęła przez chwilę, jakby życie uciekło z niej, oniemiała, potem się nieco ocknęła, zamrugła oczami, lecz oczy jej były suche. Ani jedna łza nie pojawiła się w nich. Stała szara, nawet bardziej malutka, niż zwykle, tylko jej piersi pełne pokarmu stężały jeszcze więcej.

Stara patrzyła na nią uważnie, lecz bez żadnego wzruszenia. Spojrzała na jej ostrzyżoną głowę.

— Muszę ci ściągnąć pokarm — powiedziała oschle — bo będzie cię bardzo bolało. No, teraz ani słowa, już wiesz wszystko. Siadaj tu, zaraz przyniosę miseczkę i ściągnę pokarm.

Posadziła ją na pierwszym z brzegu sienniku, poszła do stołu, aby wziąć miszkę. Wróciwszy, rozpięła jej koszulę, wyjęła pierś i podsunąwszy miszkę, zaczęła sprawnie ściągać pokarm. Mała z początku jakby nic nie czuła, siedziała spokojnie; koszula zesunęła się jej z kolan tak samo jak podczas karmienia dziecka. Stara ściągnąwszy zrećnie pokarm z jednej piersi, schowała ją i wyjęła drugą. Dopiero teraz po kilku strzyknięciach pokarmu na miseczkę. Tatarka ocknęła się i zawołała:

— Co wy robicie? Nie ściskajcie tak mocno, przecież mnie boli!

Stara nie zważając na skargę ściągała dalej mleko, a gdy skończyła, obtarła jej piersi chustką. Zamoczyła potem gałganek w lnianym oleju, i masując delikatnie skórę, smarowała obolałe sutki. Skończywszy, klapnęła ją przez plecy ręką i powiedziała:

— Nie przejmuj się, urodzisz jeszcze tyle dzieci, że ci to obrzydnie.

Odchodząc, pielęgniarka popatrzyła na nią po raz drugi uważnie, i kręcąc głową, poszła na salę.

Było już po ósmej. Dzieci wyniesiono. Kobiety myły się, albo gromadnie odwiedzały wspólny z mężczyznami ustęp, lub siedziały po umyciu zmęczone i otępiałe na siennikach. Zbliżała się znowu ciężka, koszmar na noc szpitalna.

Nikt też oczywiście nie myślał o małej Tatarce. Siedziała na tym samym sienniku, oparłszy ręce na kolanach. Gdy zrobiło się zbyt rojno na korytarzu, zerwała się z siennika i pobiegła do hallu. Pędziła przez korytarze, aż dopadła przejścia na pierwszy blok.

Było tam zresztą tak samo tłumnie i krzykliwe. Mała nie zauważona przez nikogo zatrzymała się przed dużym, szerokim oknem wychodzącym na ulicę. Stojąc, śpiewała monotonna, niezrozumiałą, dziką piosenkę. Kobiety przechodziły koło niej obojętnie, śpiesząc tak samo do wspólnych ustępów, jak w jej pawilonie.

Tatarka patrzyła, jak zahipnotyzowana, w ogromne okno, i wciąż śpiewając swoją dziką, żalosną kołysankę,

wspięła się nagle na palce i całym ciałem uderzyła gwałtownie o szyby.

Głuchy trzask szkła, a potem nagły jego dźwięk, niedawny jej śpiew, to wszystko rozległo się jakby równocześnie; okno pękło z brzękiem, i dziewczyna, gdy uciszyło się pierwsze hłaśliwe wrażenie, skoczyła z drugiego piętra w ciemność cicho i miękko, jak plusk światła i kłaśnięcie w dłoń.

Nikt później nie słyszał, ani uderzenia ciała o ziemię i o mur w pobliżu, ani krzyku; tylko szkło już po jej wyskoczeniu, sypało się długo jeszcze, dzwoniąc o ściany spóźnionym, żalosnym jękiem.

Z góry nic nie było widać na dole, prócz białego obszaru śniegu. Może tylko owa nieduża, również biała plama, odrzucona na jakie dwa metry od muru, trochę bielsza od śniegu, to były właśnie zwłoki dziewczyny w długiej, szpitalnej, ubogiej koszuli.

IV

Wchodząc na oddział trzynasty, Natasza błysnęła w drzwiach jak pyszna, wielka, złocista świeca. Z kątów sali wionął półmrok niebieskawy tuż przy ścianach, siwy pod sufitem, czerwonawy na posadzce. Otuleni w koce, chorzy kulili się w łózkach, jedni rozpaleni nadchodzącą, wieczorną gorączką, drudzy, ci po kryzysie, szcękali zębami od przejmującego zimna wiejącego z okien.

Rawa na pół spał, na pół drzemał. Nowe miejsce, gdzie stało teraz jego łóżko, wydawało się stanowczo wygodniejsze. Nie dochodził tu ostry, jaskrawy podmuch od szyb i nie włożyło tyle rażącego światła. Zresztą lepiej było w kącie choćby dlatego, że każda zmiana miejsca w szpitalu sprawia choremu ulgę.

Gdy Natasza nachyliła się nad jego łóżkiem, oczy Rawy zachodziły już pierwszymi błyskami gorączki, które zapalają się z początku maleńkimi ognikami, potem pokrywają źrenice metalicznym blaskiem i tkwią w nich tak długo, aż zapłoną suchym żarem pozbawionym barwy, smutnym i żalosnym.

Gorączka tyfusowa rozwija się według groźnych praw gwałtownymi skokami. Tajemnicze siły raz zasilają i natężają jej napięcie, potem je zrywają, zmieniając wysokość. Skok temperatury może być tak wysoki w przeciągu kilku minut, że schną wargi, pękają niektóre maleńkie, bardziej kruche, podlegające zwapnieniu naczynia krwionośne, a serce, kurcząc się w dzikiej furii, walczy z naciskiem, nie chcąc się dać zatrzymać w ruchu. Szybki i nierówny oddech, nieznosny zapach żaru, zęby zaciśnięte w dżasłach gorących i jakby obcych, drażniąca czczość w żołądku, wszystkie te objawy występują równocześnie. W kilka minut potem przychodzi gwałtowny spadek sił, serce męczy się, cichnąc, walcząc z nadchodzącą słabością, z niebezpieczną i trującą sennością, wszystko boli; bolą mięśnie, skóra, czasem przychodzą mdłości a nieraz potem gwałtowne wymioty. Obie skrajne, górna i dolna, granice gorączki, są zawsze bardzo wyczerpujące. W obu tych granicach śmierć puka najchętniej do serca i puka do mózgu. Często serce lub mózg ulegają wielkiej pokusie; przestają bić i myśleć. Skóra traci wrażliwość i sprężystość. Jest obłą, wiotka, martwa. Oczy mętnieją, gasną; przed samym tylko końcem zapalają się w nich na krótko nieśmiałe ogniki, te ostatnie, potem i te ogniki zastygają, jak odrębne promienie, świecące zimno w siwej, wodniście niebieskawej szklaności gałki.

O tym wszystkim wiedziała Natasza. Była ona typem wzorowej pielęgniarki, chcącej i umiejącej posiąść wiedzę lekarską oraz te dodatkowe doświadczenia, z którymi lekarz i zawodowa, doświadczona siostra muszą się liczyć w ciężkiej pracy szpitalnej. Nie robiła też nigdy różnicy między chorymi. Wszystkim starała się pomóc. Miała jednak, jak każdy normalny człowiek, swe prywatne namietności i bardzo lubiła walczyć z trudnościami, aby uratować jakiegoś chorego, który bądź interesował ją bardziej od innych, bądź jej zdaniem zasługiwał na szczególną opiekę. Oczywiście, możliwości leczenia takich wybrańców miała przeważnie bardzo nikłe. Trzeci szpital epidemiczny ogłocony był dawno ze wszystkich skutecznych środków. Poza tym był przepełniony. Przyjmował wszelkich pacjentów ze wszystkich szlaków. Życie ich mogło być cenne dla społeczeństwa, nie mówiąc o tym, że mogło ono być cenne dla nich samych, lecz ani społeczeństwo nie dbało wiele o to,

ani oni sami, będąc bezradni i złożeni chorobą, nie mogli nic w tej sprawie zrobić.

O tym też wiedziała dokładnie. Bujna jej natura stawała się coraz bardziej wrażliwa na ludzkie cierpienia. Na szczęście osobista inteligencja umiała wartościować wypadki i dla każdego z nich znaleźć właściwe określenie.

Korzystając obecnie z niedużej gorączki Rawy, a chcąc się upewnić, czy nie nękają go nadal stare, ponure widma, nachyliła się jeszcze niżej nad nim i położyła mu miękko rękę na głowie.

— Czy czuje się pan lepiej? Ma pan teraz więcej spokoju na tym miejscu?

— Owszem, zdaje mi się, że czuję się lepiej. Chciałbym o coś siostrę zapytać. Czy mogę?

— Proszę. Zawsze jestem rada, gdy pan pyta o cokolwiek.

— Siostro, czy ja jestem tu całe cztery dni?

— Cztery dni? Dlaczego cztery dni? Skąd pan to wywnioskował?

— Dobrze pamiętam, że widzę siostrę po raz czwarty. Ach, jakież długie były te cztery dni i cztery noce!

— Niech się pan niczego nie obawia... To co powiem, może pana zdziwi, lecz chcę wyprowadzić pana z błędu. Jest pan u nas już siódmą dobę, a nie cztery dni. Dziś właśnie mamy siódmego lutego, a pan przyszedł pierwszego. Nieprawdaż?

— Siódmego lutego?

Nie rozumiał. Zamrugał nerwowo rzęsami, potem zaczął kaszlać.

— Boli mnie prawe płuco. Czuję wyraźnie ostry ból. O, tu, w górze.

— To drobnotka. Z pewnością opłucna pana boli; płuc nie mógłby pan czuć, gdyby „bolały”.

— Prawda! Przepraszam; powiedziałem głupstwo.

Natasza uśmiechnęła się, jak mogła najbardziej spokojnie i łagodnie.

— Nie jestem pewna, czy pan wie, gdzie się pan znajduje, w jakim mieście... Czy to pana interesuje? Chciałabym poza tym pana zapytać... — skąd pan przyjechał tu na południe?

— Bezpośrednio z Uchty. — Wyjechałem transportem z Kotłasu. Jechaliśmy przez cały Ural aż do morza Aral-

skiego. Pamiętam, choć może niezbyt dokładnie pamiętam, zielone pasma; morze Aralskie — gdzieś daleko, daleko od toru. Byłem już wtedy chory. Jechaliśmy kilkadziesiąt nocy i dni. Może zresztą zdawało mi się, że to było tylko kilka dziesiąt nocy i dni? Chyba to trwało całe wieki... Naprawdę, całe wieki.

— Niech pan chwilę odpocznie. Dokończy pan później — szepnęła; mamy dużo czasu.

Wyjęła termometr spod pachy, oglądała długo i uważnie, potem zaczęła strząsać wolno i dokładnie.

— Ile? — zapytał.

— O, lepiej, znacznie lepiej. Ma pan tylko trzydzieści osiem stopni Celsjusza. Może nie skoczy wyżej.

Leżał spokojnie i później zapytał raptem:

— W jakim mieście jestem? Czy mogłaby mi coś siostra o tym mieście powiedzieć?

Mówiła bardzo powoli:

— Miasto, w którym jest nasz szpital, to Taszkient.

— Taszkient?

— Tak. Jest pan w Taszkientcie, stolicy Uzbekistanu.

Umilkł na chwilę i potem gorączkowo mówił naiwnie i bez związku:

— Taszkient, Taszkient!... Całe moje dzieciństwo marzyłem, aby żyć kiedyś w Taszkientcie. Wypadło jednak inaczej. Może będę tylko mógł umrzeć w Taszkientcie? Taszkient! Hm, Taszkient!

Słuchała, ale nie chciała przedłużać rozmowy. Może przeczuła instynktownie, że dla Rawy pobyt w Taszkientcie miał jakieś szczególne znaczenie? Chciała odejść, i to możliwie jak najciszej, spokojnie, by nie wzbudzać żadnych nowych wzruszeń, a tym bardziej podejrzeń. Poprawiła mu koc i poduszkę, zabierając się do odejścia.

Spostrzegł to i chwycił ją za rękę.

— Niech siostra jeszcze posiedzi ze mną. Proszę mi opowiedzieć o Taszkientcie, ślicznym mieście. Może to jest już inne dziś miasto, nie podobne do tego, które pamiętam z opowiadań stryja?

Rozumiała, że trudno będzie jej teraz odejść; wzięła więc krzesło i usiadła. Położyła rękę na czole chorego i zaczęła opowiadać.

Słuchał, a słowa jej trochę go uspokoiły. Przymknął oczy i jakby usypiał. W pewnym momencie pomyślała, że

może wkrótce usnie naprawdę i że będzie mogła wówczas odejść.

Rzeczywiście usypiał. Kończyła coraz ciszej fragment o życiu taszkienckiej ulicy:

— Rwać, stepowe koniki z białymi, miękkimi grzywami, szybko przelatują przez Stare Miasto. Zatrzymują się tylko przed zielonymi ogrodami, których strzegą stare, z kutego żelaza bramy. Poważnie, wolno, jeden za drugim kroczą później środkiem ulicy wielbłądy i dzwonią w maleńkie, mosiężne dzwoneczki, jak w kryształowe kulki...

Usnął. Podniosła się i cichutko usuwając krzesło, zamierzała odejść. Lecz otworzył niespodziewanie oczy i wpatrywał się w nią niespokojnie.

— Siostro! Siostro, zajrzałem teraz śmierci w oczy — powiedział dziwnie chrapliwie — i przeraziła się śmierć moich oczu...

Natasza słuchała milcząc. Pamiętała jeszcze swój cichy, melodyjny głos, rozwijający koniec opowieści, powstałej dopiero co: — „Dzwonią w maleńkie, mosiężne dzwoneczki, jak w kryształowe kulki”... gdy Rawa nagle powiedział, jakby dalszy ciąg swego poprzedniego zdania, głosem już cichym i głuchym:

— Jestem w nieszczęściu cięższym niż woda z Donu.

Potem zamknął oczy. Wtedy Natasza stąpając lekko, na palcach, odeszła od łóżka ku stolikowi, i nakrywszy ciemną, grubą chustką wierzch lampy, zaświeciła ją nagle, jakby w tym mroku i smutku specjalnie obnażyła gorący, szklany nerw.

XII

— Obywatele, dostaniecie chleb. Nikomu chleba nie odmawiam, ale nie mieliśmy nakrojonych pajek. Uspokójcie się!

Wydawanie szło dużo sprawniej. Prawie już podchodzili do okienka i Rawa chciał zapytać o tę znajomą brodacza, ale ten skinął mu, by nic nie mówić.

Spojrzał na niego zdziwiony. Brodacz świdrował oczą-

mi jakiegoś nieznajomego. Potem przysunął się, zaczął drzeć. Wybełkotał:

— Widzisz tego w granatowym berecie? Udaje uchodźcę. Ten pierwszy na skraju.

— Widzę. Kto to?

— Widziałem go w szpitalu, w mundurze. Jeden z tych co spisywali nocami umrzyków. Ja mam dobrą pamięć. Strzeż się tych... Myszkuje za żerem. — A teraz wiem o co chciałeś zapytać. Powiem ci, bo ci ufam. Ufam ci bardzo. Myślę, że mnie nie zawiedziesz. Zawiedziesz? — Dobrze. Ja wiem, że nie zawiedziesz. — Pamiętasz tę śliczną siostrę? Ona była u ciebie przecież, także na trzynastym, złotowłosa, złotostronna, piękna od dziecka, piękna, bardzo piękna.

Rawa chciał krzyknąć, złapał go za łokieć, tamten syknął — „kości mi połamiesz”, — po czym powiedział znowu szeptem — „nie wymawiaj jej imienia”.

— Jej koleżanka w centrali telefonicznej, Marfa Nikołajewna, także urodziwa dziewczyna, jest młodsza od niej — mówił cicho i zgaszonym głosem — ochrania ją. Pomaga jej. Lubią się bardzo. Męki przechodziłem, by zobaczyć Marfę Nikołajewnę. Chciałem z nią choć kilka słów zamienić, nacieszyć się, że tak piękna, że tak wyrosła. Rozsądek doradzał co innego. Widziałem ją z daleka. Podchodziłem na pierwszy blok, by sylwetkę chociaż zobaczyć, uśmiechnąć się. Przyjechały obie z Nataszą do Taszkientu i trzymają się razem. Hm, Marfa. Małutka Nat. Ojciec Nataszy, to kryształ. Dlatego rozkruszyli.

Byli już pod oknem. Rawa puścił brodacza pierwszego. Złapali za chleb, wbili zęby, zawstydzieli się i odłożyli go obaj od ust. Brodacz nie mógł powstrzymać się i, jakby do siebie, powiedział: — „Głupstwo, a jednak byt określa świadomość”. — Szli środkiem placu koło umorusanych dzieci rzucających na siebie spróchniałymi kośćmi, okrucami węgla, śmieciami i starymi gazetami. Zatrzymali się w milczeniu na skrzyżowaniu. Przed nimi wyrósł Błękitny Meczet. Wysoki, pyszny budynek, zbudowany z niebieskiej, drobnej, jak urodziwe zęby, perskiej cegły, oblanej szklistą glazurą, górował nad innymi gmachami, domami, drzewami, murami idącymi we wszystkich kierunkach. Niebieska polewa lśniła w słońcu, migotała tysiącami prostokątów, jak łuska na pancerzu. Dwie olbrzymie wieże otoczone

białą koronką minaretów, z maleńkimi, jak zabawki balkonikami, pokryte miedzią, zieloną od starości, dźwigały się z godnością i mocą. Meczet rozciągał się w długich blokach na placu i zagarniał ogrody w tyle, wchodził na boczne ulice, przeświecając lazurowymi ścianami przez osypane młodą zielenią drzewa.

Nędzny placyk z biednym bazarem, straganami, wózkami, wielbłędami, osłami, końmi, gromadami ludzi, wyglądał na profanację. Z małych, krętych uliczek wypadały co chwila wojskowe lory i gnały placem, jak rozwścieczone. Tłum złożony z biedaków snuł się to w jedną, to w drugą stronę, dźwigając tobołki, węzłki, torby naładowane szmatami, starymi garnkami, dywanami, matami, blaszankami.

Meczet stał w środku tej nędzy, jak wyniosły olbrzym, który usnął snem kamiennym, zapomniał o sobie i stracił rachubę wieków. Promienie otrząsały jego koronkowe minarety, odbijały się od białych balustrad, więzły w zielonej śniedzi, zbiegając potem w błękitnych konwulsjach po zgrabnej cegle perskiej, wynajdowały złote litery na niektórych ceglach, zapalały je niespodzianie, że strzelały w powietrze, wylatując, jak cieniutkie groty.

Portal świątyni wyrzezany w siwym, jędrnym marmurze, obwiedziony wieńcem z różowego granitu, grubym na parę łokci, zapraszał do wnętrza trzema bramami. Każda miała dwa słupy ze złotego, ziarnistego piaskowca. U samego wejścia rozłożyli się przekupnie, siedząc na zielonych dywanach, albo na żółtych, barwionych ostrą ochrą matach. Ofiarowywali na sprzedaż różne przedmioty, nawoływali do kupna wszystkimi możliwymi językami i narzeczeniami wschodu. Słysząc było uzbecki, kazackie dialekty, ormiański, rosyjski, perski, gwary kaukaskie, afgański, chiński, żydowski, ktoś śpiewnie wzywał w narzeczu Sartów, po kurdyjsku, nawet odważny Mordwin próbował szczęścia w ugrofińskim. Przechodnie rzucali się, jak jastrzębie, na te strzępy, targowali się, swarzyli, wdychali, potrząsali w powietrzu brązowymi lichtarzami pamiętającymi jeszcze Dariusza i Aleksandra Wielkiego, żelaznymi, jak rzymskie, lampami oliwnymi, miedzianymi dzbanami z opowieści królowej Saby, kubkami z drzewa jabłoniowego, drobiazgami, jak srebrne kolczyki, pierścienie z lanego żelaza broniące przed nieszczęściem, wytapiane w Mongolii z rudy darniowej, w

ogniu z wielbłądziego nawozu i ziołowych korzeni, amulety ze skóry, z rtęcią w środku, noszone przeciw chorobom miłosnym, pasy, sztylety, krzywe noże, mieszki na wodę i mleko kobyle.

Szedł pośród targujących się przekupniów, omijał stragany, a potem po niebieskich, jak morska woda, schodach, wszedł do wnętrza. Tu dopiero zobaczył targowisko. Pod ścianami wyłożonymi złotą i czerwoną majoliką, wokół filarów z czarnego i różowego marmuru, pod ogromną kopułą, ze stropem usianym srebrnymi i zielonymi gwiazdami, kłębiło się ludzkie mrowisko. Jacyś wyrobieni, z długoletnią praktyką barbarzyńcy wyłukiwali latami majolikę ze ścian. Panoszyli się tam wielkie, puste liszaje i wyrwy.

Mozaika na posadzkach tak samo potrzaskana, jakby obozowały tu stada bawołów, błyszczała resztkami świetności. W kątach, gdzie niegdyś wisiały lub stały lampy oliwne, sikali na ściany mali chłopcy, bawiąc się koło matek, które sprzedawały, siedząc na ziemi z nogami podwinętymi pod siebie, kwaśne mleko, ser, suszone owoce, pestki dyni, cebulę i czosnek.

Dalej, na środku meczetu, pod rzęsim deszczem światła wpadającego z góry kwadratowym otworem, sprzedawały wstążki, haftowane koszule, kościane grzebyki, małutkie ciżemki o zakrzywionych noskach, paciorki, korale z brzostowego drzewa, a ukradkiem stare półksiężce, wybijane ręcznie przez majstrów w miedzianej, nie śniedziejacej blasze. Otaczał ich rój dziewcząt, kobiet i chłopców. Kupcowe cierpliwie zachwalały towar, brały pieniądze, jak talizmany, biły się w piersi, przewracały oczyma, młaskały, potrząsały głowami z bujnym włosiem, zaplecionym w niezliczoną ilość maleńkich warkoczyków.

W tłumie Rawa zauważył Norę i Waśkę. Podbiegł do nich z radością. Nora przymierzała ciemny, aksamitny kaptanik.

— Dobrze, że jesteś. Popatrz, jak mi w tym? — wołała. — A to wypociła pod pachami jakaś miłośnica. Aksamitu nie umie nosić! No, jak mi w tej katance? Wasia, nie gap się na kobiety, tylko spytaj przyjaciela, czy warto kupić.

Chodzili pod majolikowymi ścianami. Wasia spluwał rezolutnie i regularnie na każdą wyrwę, każdą plamę na murze. Przegonił chłopców sikających w kącie, skłął matki,

gdy się za nimi ujęły, włożył ręce do kieszeni i stanął przed Rawą.

— Będziesz się musiał obejrzyć za jakąś babą — powiedział nieoczekiwanie. — Trudno ci będzie oprąć się samemu, rozumiesz, tu u nas dzicz, życie wspólne, obco ci będzie, nie umiem ci tego powiedzieć namacalnie. Bab w Azji zatrzesienie, chłopcy po łagrach i w wojsku. Byłeś tam niedawno, to wiesz. Potem możesz prysnąć, jak się trochę wyjaśni.

Uśmiechnął się i odpowiedział tym samym tonem:

— Wasia, mnie mleka potrzeba, nie bab.

— Otóż to — wykrzyknął — o tym myślę. Baby tu zaradne i mleko będziesz miał. Mówię ci po przyjaźni, w dwójkę łżej, w pojedynkę śmierć.

Przybiegła Nora z koszulą. Błada twarz promieniała zadowoleniem i radością. Prędko, z podnieceniem niezwykłym, opowiadała, jak tanio i dobrze kupiła. Wasia się cieszył i śmiał:

— Widzisz nasz kraj radosny? Koszulina jest skarbem. Jakżeż nie nazwać nasze życie wesołym? — No, teraz napijemy się mleka potem jazda, rzniemy do Trzech Sióstr.

— Do Trzech Sióstr? — zawołała. — Mówiłeś mi, że w mieście zostaniemy.

— Wrócimy do miasta, wrócimy. Jeszcze ci obrzydnie.

Kupili kwaśne mleko, popijali, stojąc pod wyrwaną majoliką.

— Kto to tak porozbijał? — spytał Rawa.

— Porozbijał? Mówisz o tych obrazach na ścianie? Wcale nie porozbijał. Ochronił.

Patrzył zdziwiony na Wasię. Wasia mówił chłodno, spokojnie:

— Jak ogłosili, że jest wolność religii i swoboda wszystkich wyznań, to od razu skorzystali z tych praw nasi umiłowani kawalerzyści budiennowcy, którzy stali w garnizonie, uchwalili, że w koszarach ciasno i wprowadzili kilka szwadronów do meczetu, koniska wypoczęły, bojcy mieli dość miejsca. Uzbęcy zaś jakby chcieli się koniecznie i uparcie pomodlić, mogli też skorzystać z ustawy i zbierać się w stajni garnizonowej. Cóż, ochrona była! Potem niewygodnie już było bojcom leżeć na kamiennych posadzkach i dzięki temu możemy dziś pić mleko w meczecie.

Nora spojrzała na Waśkę rozniewana.

— Cóż ty, Waśka, za głupstwa opowiadasz, przecież wiadomo, że oni umyślnie meczet na końską stajnię zamienili.

— Nie może być! — zawołał z udanym zdziwieniem. — Ja myślałem, że...

Obaj zaczęli się śmiać. Waśka mrugnął porozumiewawczo i Nora zrozumiała, że kpił, przytuliła się do niego, spuściła oczy. Wasia pił mleko i oglądał się wciąż za nagięciem.

— Jest — krzyknął. — Fiodor Matwiejewicz, chodźcie tutaj — wołał — my tu czekamy.

Krępy mężczyzna, o muskularnej, pokrytej zmarszczkami, młodej jeszcze twarzy, podszedł, przywitał się i szybko, jednym tchem wyrecytował:

— Warunki znacie, jedziemy od razu. Mam szczęśliwy dzień. Całe wiosenne roboty obsadzone. Mam ludzi, ile mi trzeba. Chodźmy do maszyny. Muszę podwieźć jeszcze innych i podrzucić przed naszym kołchozem. Chodźmy, nie mamy czasu.

...

Wstawali wcześniej, w dzień pracowali, wieczorem Zoja rozpałała przed kibitką ogień pomiędzy dwoma kamieniami. Warzyła mleko, gotowała zupę, jajka, smażyła rybę, wszyscy jedli, było wesoło. Śpiewała często piosenki. Przychodzili do nich niektórzy kołchoźnicy, Kostia, z którym razem pracowała, mówiący głębokim basem, jaskający się, cichy Aleksiej, wysoki Sasza o smutnych oczach, pochodzący z Połtawy i inni. Potem to tylko bywali Kostia, Sasza, Aleksiej. Także kobiety ich odwiedzały ze schorowaną Anką, która urodziła się w Wiedniu, dzieciństwo i młodość spędziła w Charbinie, a po wyjściu z poprawczego obozu kobiecego w Semipałatyńsku, wędrowała po Taszkencie, Bucharze, Samarkandzie, aż tutaj zbłądziła...

...

Zapadał już zmierzch. Osada leżała miękko w płaskiej dolinie, świecąc z dala stawem, strumieniem i oknami posterunku milicji.

— Na milicji się świeci, jakby bał był — zauważyła Nora.

Wasię ścisnęło pod sercem. Nie lubił światła, a zwłaszcza światła na milicji. Weszli boczną ścieżką do wsi. Kiedy przyszli do kibitki, wdowa powiedziała współczująco:

— Milicja tu była. Pytali o was, Wasia, i o Rawę.

— Czego chcieli? — burknął Wasia.

— A bo ja wiem? — odpowiedziała.

W parę sekund później zjawiała się milicja. Widocznie czekali zaczajeni za strumieniem.

— Wy jesteście Rawa — spytał komendant. — Wasze dokumenty?

Podał mu udostowierzenie. Czytał długo, jakby uczył się czytać na tym dokumencie. Potem oddał udostowierzenie i powiedział:

— Waśka, twoja sprawa jest prosta. Zbieraj się i dzisiaj cię odeślemy do wojska, na komisję. Wasza — teraz dopiero zwrócił się bezpośrednio do Rawy — też jest prosta. Macie się wynieść stąd w ciągu trzech dni. Mamy rozkaz aresztować wszystkich Niemców i odstawić do Taszkientu.

— Lepiej nie odstawiaj durnia, naczelnik — przerwał mu Wasia. — On nie jest żadnym Niemcem. — „Wszystkich Niemców odstawić do Taszkientu” — przedrzeźniał go z gniewem. — Cóż, wy już powariowali ze strachu?

— Nie stawiaj się, Wasia, bo zamknę — zjadliwie warknął milicjant.

— Mówić mi nie wolno? — syczał Waśka.

— Nie wiem co ci wolno, ale wiem czego ci nie wolno — zimno ciągnął milicjant. — Zbieraj się, a wy, wam daję trzy dni. Jak nie wyjedziecie, odstawię do Taszkientu na centralę śledczą.

Tymczasem na milicji siedzieli wszyscy cudzoziemcy, Rumuni, Węgrzy, Żydzi, Polacy, przestraszeni, rozgorączkowani. Mówili na wyścigi. Nie wiedzieli co będzie z nimi. Naczelnik kołchozu był w rozpacz. Cały jego plan wiosenny wziął w łeb. Prosił komendanta o pozostawienie choć połowy robotników, aż się sprawa wyjaśni.

— Ty kto? — pytał komendant.

— Rumun — odpowiadał zapytany.

— A ty?

— Węgier.

— Czy Germania zajęła Węgry i Rumunię?

— Nie — odpowiadali.

— A czy rządzą w Rumunii i na Węgrzech Germanicy?

— Rządzą.

— To wy wszyscy Niemcy po mojemu. Pojedźcie do Taszkientu. Niech oni się tam martwią.

Nora płakała. Krótkie było jej szczęście.

XIII

.....

Maszyny odjechały wśród łoskotu i pędziły z fantazją po szosie. Szoferzy prowadzili wozy doskonałe. Przydrożne osiedla osaczone przez zielone sady, pokropione kwieciami i słońcem, z glinianymi ścianami ogrodzeń, przez które przeskakiwały zgrabnie cienkie rzeczki i świetliste aryki, albo wijąc się naokoło budynków, opasywały je, skrząc się w trawie, jak fosforyczne linie rozpuszczone delikatnie w zieleni. Powiew idący częstokroć z gościńca od samochodów omusnął raptem płaskie dachy, na których skakały beztrząsco dzieci, podnosząc lekkie, perkalowe zasłony, za którymi widać było łóżka i domowe sprzęty.

Długie pasy ogrodów warzywnych, z grzędami skopanymi równo z zachodu na wschód, wydzielały cierpki zapach surowizny, miazgi drzewnej, świeżego, młodego listowia i zgniecionego czarnoziemiu o wilgotnym lśnieniu. Uwijały się tam liczne gromady kobiet i mężczyzn w kolorowych grupach; dziewczęta w słomianych, sutych kapeluszach, chłopcy w okrągłych, filcowych myckach.

Błyskały szklarnie; szerokie pola inspektowe zasłane szybami na kilometry; potem znów wyłaniały się kwadraty truskawczarni, maliniaki, kępowiska jagód, winnice z złocistymi, młodziutkimi liśćmi winogrodów, jak zwoje jedwabnej przędzy, naścielone miejscami jasną słomą, pnące się terasami w głąb dalekiego horyzontu. Wrzynały się w nie tory kolejowe; mosty żelazne, rozpanoszone potężnymi konstrukcjami w powietrzu, huczały od pociągów. Dymy snuły się nad krajobrazem. Potem wynurzały się hardo kominy fabryk na przedmieściach, bloki domów, a dalej, wśród parków, ogrodów, podmiejskich lasków miasto i zbiegowisko kamienic, ulic, placów, meczetów i koszar.

W górze strzeliste minarety, jak białe, rozsiane wykrzykniki, potem niebieska toń powietrza, a pod nią ogromne morze płaskich dachów, z wystającą gdzieś tam wyspą gmachów publicznych, więzień, wojskowych szpitali, szkół i teatrów.

Ciężarówka stanęła za mostem kolejowym na obszer-
nym, jak plac targowy, wjeździe do Taszkientu.

— Do swidania — krzyknęli żołnierze. Zoja i Rawa zeszedli z samochodu. — Życzymy wam szczęścia, chłopcy! — zawołali w odpowiedzi, po czym prosto szli ku remizie tramwajowej, ukrytej w kępie bujnych drzew, skąd dochodził na cały plac szczeł żelastwa, trzask elektryczności, dudnienie wagonów, skrzypienie kół i zgrzyt szyn.

Jechali w zatłoczonym, jak ul, wozie. Na ulicach ob-
zowały setki tysięcy ludzi. Słychać było wszystkie języki i dialekty wschodu, zachodu, południa i północy, nawet najbardziej egzotyczne i niezwykle. Nie było rasy, której ludzie nie błakaliby się w tłumie w poszukiwaniu za chlebem, noclegiem, kobietami, szpitalem, pracą lub wsparciem. Smukły Nigeryjczyk w łagiernych łachmanach, o policzkach gładkich, jak heban, siedł tuż obok płowej Eskimoski z złotawymi policzkami, nakrapianymi centkami czerwonych piegów, jak skóra młodego pstraga złowionego w Ładodze. Afganki w watowanych katankach, strzepach i resztkach spłowiałego jedwabiu, ocierały się o wychudłą postać amerykańskiego inżyniera w rogowych okularach. Rosjanie, Polacy, Ukraińcy i Chińczycy targowali się o każdą błahostkę, sprzedając lub wymieniając stare szmaty, podarte buty, koszule, sprzączki od skórzanych pasków, pierścionki, zegarki, puste puszki po konserwach, stare butelki, koce, bundy, wysypy i poszwy na pierzyny, kapelusze, nożyczki, nawet używane guziki, igły i nici. Miasto było zupełnie cudzoziemskie, zalane uciekinierami, wojskiem i wszelaką biedotą, która spłynęła tu pod ciśnieniem wojny z Rosji, Uralu i Syberii, Kaukazu i Mandżurii, Korei i Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii i Mongolii.

W tłumie uwijały się bystre, jak szczupaki, beczelne indywidua, tajni agenci, wywiadowcy, przebrani po cywilnemu milicjanci i doili tę nędzę z resztek pieniędzy, obdzierając ją z mienia, szmat i dokumentów. Kto się im mógł okupić, płacił; kto nie płacił, siedł do więzienia. Nie pozostało więc nic innego, gdy się nie można było okupić,

jak przebić natręta nożem lub zgnać sztyletem. To było tańsze, nie trudne, i dawało satysfakcję, czasem korzyść.

Zoja patrzyła beznamiętnie na ulicę i czekała chwili, gdy tramwaj przepchnie się wreszcie przez centrum, przejdzie przez środek długich skomplikowanych alej ludzkiego nieszczęścia i dojedzie nareszcie do spokojnego pasa ogrodów i glinianych murów Starego Miasta. Przypomniła sobie nagle opowieści Kostii i Saszy z ich wędrówek po Taszkencie i gorzkich doświadczeń. Podobnie, jak inni, tułali się oni po ulicach ograbiani systematycznie ze wszystkiego co mieli przez tajnych agentów, głodni, bezsilni. Odtechnęli dopiero, gdy dołączył do nich Aleksiej ze swą inteligentną i rozsądną metodą życia i walki w tej ponurej dżungli. Od tego czasu powodziło się im znacznie lepiej, choć musieli zniknąć na wsi przynajmniej na kilka tygodni, by w mieście wyparowały po nich ślady. Metoda Aleksieja była prosta i niezawodna, jak proste i dzikie było uliczne życie. Kiedy widzieli, że tajniacy byli już porządnie obładowani po obdarciu innych, kusili ich nowym zyskiem, wierząc się im na oczach tak długo, dopóki nie zostali przez nich wylegitymowani i ściągnięci do bramy. Tam dopiero rozgrywała się oryginalna pantomina wystudiowana do ostatniego aktu przez rozumnego Aleksieja. Po przetrząśnięciu kieszeni zatrzymanych, lub ich zawiniątek, tajniak rozwodził się przeważnie potem nad ich niemoralnością i nieużytecznością społeczną, jako rzekomych przestępców prowadzących złe życie, nie szanujących przepisów i zarządzeń władzy, niezbyt skwapliwych do pracy w fabrykach czy kołchozach; po czym zgodnie z reżyserią Aleksieja w najciekawszej chwili swych wywodów walił się na ziemię z przerażonymi oczami, pchnięty tak zręcznie nożem, że nie mógł oczu zamknąć nawet na cmentarzu. Obdzierali go potem do bielizny, a jeśli miał całą bieliznę na sobie, to do naga. System ten był odżywczy, jak higiena, choć niebezpieczny.

Tramwaj zgrzytnął i zatrzymał się w podobnej, jak pierwsza, remizie ukrytej także w gęstej, ślicznej kępie wiosennych drzew. Zoja ocknąwszy się z zamyślenia, dotknęła ramienia Rawy:

— Wysiadamy. To tutaj.

Szli cienistymi, długimi alejami, aż do muru. Stara, z marmurowym sklepieniem, brama dzieląca dwa miasta, pyszniła się wysokimi basztami, w których okienka prze-

świecały na wylot. Już kilka metrów za bramą był inny świat. Tak ulice, jak i styl domów, barwa budynków, wygląd sklepów, jadłodajni, tłum, wszystko było inne. Tylko tramwaj wlokący się powoli środkiem wąskiej, wybrukowanej drewnianymi kostkami jezdni był taki sam, jak w nowym mieście, odrapany i czerwony.

Na płaskich dachach czajchan siedzieli Uzbegy na trzcinowych matach, albo na maleńkich krzeselkach zrobionych z drzewa granatu lub jabłoni, pijąc czaj z kolorowych talerzyków lub maleńkich miseczek, grzejąc się do słońca, grając w kości albo w szachy. Na ulicy snuły się zakwefione, smukłe kobiety w szczelnych i długich do ziemi czarczafach. W owocarniach i w sklepach warzywnych sprzedawano rodzynki, białą rzepę, młodą kapustę, kwaśne mleko i śnieżne, maleńkie jak piastka dziecinna, gomółki zaprawione młodym szczypiorkiem. Tylko chleba nigdzie nie można było dostać.

Przepychali się przez tłum mrowiący się na ulicach, do przystanku. Wsiadli w dwudziesty ósmy numer wozu, który stał akurat przed głównym wejściem do trzeciego szpitala. Jechali w milczeniu. Rawie serce biło mocno. Patrzył na znajome miejsca, na gęstwą płaskich dachów, drewniane ganki i werandy, wreszcie poznał ogród i mury pałacu stojącego naprzeciw szpitala. Jeszcze jeden zakręt!

Zbladł ze wzruszenia, gdy zaczęły się wynurzać wielkie, szare budynki szpitalne. Zoja obserwowała go uważnie i z sympatią.

.....

Weszli do bramy. Z szklanej centrali wyjrzała ku nim stara wiedźma z chorymi, czerwonymi, jakby napuchniętymi od płaczu oczami.

— Czego? — spytała cierpko, jakby z gniewem.

— Chcielibyśmy zobaczyć siostrę Natalię Karolewnę.

— Wy też ją chcecie zobaczyć? — tak samo, jak przedtem, niezycliwie warknęła stara.

— Tak, bardzo chciałbym ją widzieć, — powiedział z przejęciem Rawa, — chciałbym jej podziękować za dobroć, — dodał gorąco.

— Nie macie za co dziękować, — mruknęła, — nie potrzeba jej tego.

Torby pod oczami staruchy wydały mu się ociężałe, grube, omal śmieszne. Poczuł złość do niej.

— Chodźcie za mną. Zaprowadzę — powiedziała ochryple.

Szli w milczeniu korytarzami. Wszędzie było pusto i głucho. Mętne okienka separarek kobiecych migotały po drodze. Schodzili na dół. Zatrzymali się w samym końcu mrocznego tunelu przed dużą separatką z drzwiami otwartymi na oścież. Ze środka słychać było na korytarzu strzępki głośniejszej rozmowy.

Gdy się już zatrzymali, Rawie zrobiło się gorąco. Serce mu łomotało i puls bił mocno w skroniach. Szukał w myślach słów, którymi miał przywitać Nataszę. Wszystko kołowało mu się w głowie. Czuł, jak wzruszenie zapiera mu oddech. Starucha, postawszy chwilę pod drzwiami, powiedziała sucho: — możecie wejść do środka. — Po czym odeszła z powrotem.

Głosy z wewnątrz zatrzepotały, jak listki. Naraz uciły. Cisza szarpnęła powietrzem. Zawahali się więc oboje. Rawa ośmielił się pierwszy. Wyprzedzając Zoję, wszedł do środka i cofnął się natychmiast, krzyknawszy gwałtownie, jakby posadzka usunęła się nagle i zapadła pod ziemię. Usta miał białe.

.....

...Natasza leżała na podłodze na wprost drzwi w wielkiej trumnie zbitej z desek takich samych, jakie służyły na rusztowanie. Wydawała się w niej zatopiona, nikła i drobna; tylko pyszna głowa, ozdobiona czerwonym wieńcem ciężkich włosów, złożona nieruchomo na jasnej podściółce z wiórów rysowała się bardzo wyraźnie. Błada, wychudła twarz, z ustami zaciętymi boleśnie, zastygła w nie-ludzkim zdziwieniu i przerażeniu. Oczy, na które jakiś miłośnik człowieka położył stare, miedziane monety, zapadły się w głąb omal niebieskich oczodołów, tak że widać było tylko te ślepe, okrutnie zimne miedziaki.

W izbie czuć było karbol i wapno. Kilka wianków świeżego kwiecia, jakie zrywają i układają dzieci, leżało koło jej kolan na sztywnym, szpitalnym fartuchu. Obok trumny, na posadzce, w na pół uciętych butelkach i w blaszankach po konserwach, tkwiły zielone gałązki, trochę

fiołków i pierwiosnków. Zapach wapna z podłogi żarł w oczy...

U wezgiłowia zmarłej płakał głośno wysoki, może trzydziestoletni kapitan broni pancерnej, o czerwonych powiekach i szarej, postarzałej twarzy. Strumień ostrego, jaskrawego światła parł z otwartego okna wprost na głowę zmarłej, obejmując bokiem także twarz płaczącego oficera.

.....

...Weszła ta sama starucha, która ich wpuściła. Przyłożyła fartuch do oczu, wytarła je i powiedziała twardo:

— Maszyna przyjechała. No, dzieci, dosyć tego żalu. Zabierajcie na cmentarz Natalię Karolewną. Macie nie wiele czasu. A i inni jeszcze dzisiaj czekają na odwózkę.

Mężczyźni wzięli posłusznie trumnę i zaczęli ją wynosić. Gdy podnieśli zmarłą do góry, miedziaki spadły z hałasem z jej oczu i ostro zabrzękły przy uderzeniu o deski. Zatrzymali się na progu i stuknęli trzy razy w drzewo na pożegnanie. Szli potem hałaśliwie przez półciemne, puste korytarze, skręcili koło szklanej centrali i wyszli na słońce. Ciężarówka czekała na rogu. Podźwignęli nieboszczkę na platformę. Szofer zapuścił motor.

Gdy wchodzili na wóz i usadowiali się koło trumny, stara dyżurna podeszła do Rawy.

— Odprowadzisz ją na miejsce? — Biedne dziecko. Tak chciało żyć.

Westchnęła.

— Dobra była dla ciebie? — Dobra była dla wszystkich. I nie ma jej już.

Odruchowo podniosła fartuch do oczu. Rawa słuchał starej i patrzył odrętwiale na szpital, rusztowania, głuche okna, na krzątających się robotników, na plac zalany śmiałym, młodym, wiosennym słońcem. Wszystko wyglądało zagadkowo i niezrozumiale.

— Co się tu stało? Gdzie są ludzie, chorzy, lekarze, siostry i służba? Miesiąc temu wszystko tu było. Ona żyła. Gdzie Fomin, Nikitin, Marfa Nikołajewna, Iwan Wasiljewicz, wyzdrowieńcy, kobiety, gdzie oni wszyscy? Dlaczego pracują ci nieznani robotnicy? — pytał starą, wzburzony, rozgorączkowany, przestraszony.

— Fomin? Fomin pojechał na front. Tak samo Iwan

Wasiljewicz, Marfa Nikołajewna. Trzy tygodnie temu pojechali.

— A doktor Nikitin?

Stara się zawahała. Spojrzała podejrzliwie. Jej zmęczone, zapłakane oczy zaświeciły się trwożnie.

— Doktor Nikitin? Doktora Nikitina nie ma.

— Jakto go nie ma? Umarł?

— Jeśli ci mówię, że go nie ma, to znaczy się, że go nie ma. Nie umarł — powiedziała. — Nie. Nie umarł. Nie ma go. Szpitala też nie ma!

— Wsiadajcie — krzyknął szofer. — Jedziemy!

.....

Drewniane, lekkie dachy domów, wąskie galerie, plecione werandy, ślepe uliczki wystające z ogrodów, gromady ludzi wysiadujące pod smukłymi, zgrabnymi mostkami przerzuconymi ponad brukiem, jezdnią i ścieżkami, kępy młodych drzew granatu zasnutych tłustym listowiem, uciekały w tył wraz z całą dzielnicą. Pojazdy ustępowały z drogi cmentarnemu samochodowi. Woźnice tylko oglądali się trwożnie.

Wyjechali wkrótce na główną szosę. Z lewej strony pozostawili Stare Miasto, z prawej towarzyszyło im brudne nędzne przedmieście pełne domów ulepionych z błota i gliny. Od pędu maszyny nieboszczka poruszyła się w trumnie i jedna z kobiet zdjęła chustkę z głowy i nakryła jej twarz. Jechali szeroką szosą środkiem glinianego przedmieścia, wśród niskich szałasów z trzciny i gałęzi, opodal których ziały głębokie doły i rozpadliny, a dalej leżały placyki zawalone gruzem, stertami kamieni, nawozu, z bajorami, w których nurzały się gromady półnagich, ruchliwych dzieci.

Za przedmieściem szosa wygolona jak szkło, rozlała się szeroką rzeką szarego betonu. Nadchodzący wieczór dotykał jej powierzchni, jak delikatny osad. Widać było już z daleka maszty i hangary lotniska wojskowego. Samoloty lądowały w strasliwym huku. Z głównej bramy wyjechały w kierunku kwater kolumny żołnierzy i pilotów w zakurzonych kombinezonach i mundurach. Dolatywał ich monotony, zgłuszony śpiew, którego refren wybijany wrzaskliwie i melancholijnie kładł się na betonie, jak ścięty kosą. Za lotniskiem, w dolinie, załśniły w promieniach zachodu szklane dachy państwowej cieplarni. Kilka nieśmiałych

obłoczków podchodziło w powietrze i puściło na dół, na łąki, cieplarnię i winnice parę odnóg mlecznej, lekkiej mgły. Słońce zachodziło. Pęk długich promieni zawadził o mgłę, pośliznął się na cieplarni, załaskotał liście winogrodu, znikając za pagórkami, na którym rósł las, jeszcze młody i rzadki, ze śmigłymi kijkami.

.....

Zmierch włóczył się w dalekich laskach, dymiąc pomiędzy gałązkami i w czubkach drzew. W kwaterze, gdzie stanęli, było bardzo cicho. Żółty piasek, twarda, jałowa glina jeszcze tłusta po niedawnym rozkopaniu, ordynarne, bure kamienie, ani drzew, krzewów, listków, mchu czy trawki; nic, prócz tej surowizny, pustki i ciszy; parę samotnych kozłów z drutem kolczastym obok rowu opasującego kwaterę, to było wszystko. Groby w sąsiedztwie w nieładzie. Sterczało na nich trochę wbitych prostych kijów i walało się trochę palików, coś co przypominało prymitywne krzyże i podpórki pod tabliczkę z napisem, jakieś dwie czy trzy gwiazdy wycięte z prostej deski, pochłapane czerwona farbą, też kilka mahometańskich półksiężyców wystругanych w deszczu. Były to groby siostr, lekarzy, znamienitszych osób i urzędników szpitalnych, którzy pomarli w zimie lub wiosną.

Mężczyźni zdjęli Nataszę z samochodu i nieśli ją pod nasy, po czym szofer wyciągnął z budki łopaty, kilof i dwie deszczułki zbite na krzyż z tabliczką. Łopaty wręczył mężczyznom a sam złapał za kilof.

— Pomóście podsunąć bliżej Natalię Karolewnę, trzeba ją złożyć do dołu. Nie mamy czasu. Już późno — mówił spokojnie, prosto i szczerze. — No, rebiata, żegnajcie ją, bo zaczynamy pochówek. A i ziemię trzeba będzie ubić, by nocne stworzenia nie grzebały za ciałem.

Po tych słowach cisza na cmentarzu nastała jeszcze większa. Rawie znowu łyzy napłynęły do gardła. Mąż Nataszy nachylił się nad nią i wybuchnąwszy płaczem pogłaskał ją po głowie. Potem wszyscy po kolei dotykali trumny, albo ciała zmarłej, i żegnali ją. Duszac się od płaczu Rawa dotknął skostniałych rąk nieboszczki. Zoja też płakała. Wszystkie kobiety i mężczyźni głośno chlipali.

Szofer złapał za przód trumny, zawołał na mężczyzn,

by się zakrzętnęli, wlaź do grobu, i kazał opuszczać na dół trumnę. Wygramolił się i krzyknął rażno:

— Gotowe. Możemy zasypywać.

Strasliwy huk ciężkiej gliny, jak ryk wodospadu, szum piasku; grudy, kamienie zahurgotały okropnym łoskotem, waląc się w dół spychane łopatami, po czym spadały już coraz bardziej głucho, aż wypełniły grób i wyrosły w pagórek. Było to tak straszne, szybkie, niespodziane, okrutne, że chociaż spoceni od wysiłku mężczyźni ubijali już pagórek nogami i narzędziami, Rawa słyszał jeszcze wciąż to pierwsze łomotanie grud i kamieni, które waliły się ciężko, druzgocąco na otwartą trumnę, na twarz, policzki, ręce i ciało Nataszy.

Skończyli pracę i odpoczywali. Szofer tylko się krzątał i wbił na środku grobu, przywieziony z miasta, w budce, krzyż z napisem:

Natalia Karolewna Miller Miedwiediewa

Był już wieczór i wielki księżyc wschodził. Stali jeszcze wszyscy chwilę wokół grobu, patrząc to na usypany pagórek to na srebrną jamę księżycy. Szofer zapuszczał motor.

— Wsiadajcie, wracamy!

.....

Wszyscy już wsiedli, tylko kapitan stał jeszcze nad grobem. Czekali na niego. Szofer się niecierpliwił; było późno. Oficer stał wyprostowany i szeptał coś do siebie, lub może do Nataszy leżącej w ziemi. Albo może się modlił lub cicho płakał. Wymarł potem nos chusteczką, desperackim, ruchem odpiął order bojowy z bluzy i wetknął go szybko w glinę, po czym ukląkł, pocałował grób, włożył czapkę, zasalutował, i nie oglądając się, ostrym krokiem podszedł do wozu.

Wracali w milczeniu. U podnóża pagórka, pod jasną skałą, gdzie wyłuskiwał się, połyskując, pierwszy pierścień Srebrnego Strumienia, Zoja i Rawa wysiedli, skinęli odjeżdżającym i poszli wolno na szczyt, gdzie czerniał młody las.

Naprzeciw skały o białym, chropowatym odcieniu, świecił na wschodzie wielki księżyc w pełni. Dźwigał się wolno w górę, świecił poważnie, wciskając gęste światło w wąskie skrety Srebrnego Strumienia, który wytrysnąwszy z pagórka,

wił się w siedmiu zakosach, opływając pola czerni i kępy cieni, wyskakując znowu za nimi, jak węzowy jęczyzek.

Wyszli na pagórek. Lasek przeświecony na wskroś księżycem pachniał liśćmi i kwiatami krzewów. Widać w nim było każdy pień, gałązkę i listek. Na ziemi też leżało w obfitości światło księżyca. Zoja wyszukała wysoką gruszę, koło której stało kilka pięknych uriuków tak gęsto obsypanych różowym i białym kwieciem, że nie znać było gałęzi. Usiedli.

— Tu przenocujemy — powiedziała.

.....

Rawa z początku myślał, że widzi ten lasek, Zoję, Srebrny Strumień we śnie. Tak samo zdawało mu się, że we śnie słyży szep, widzi światło księżyca, czuje ciepło dziewczyny i noc wiosenną.

Księżyc zatrzymał się w zenicie. Gdy stanął u szczytu nieba, wtedy, jak na znak, zaszeleściły w lasku owady, woda w strumieniu zadygotała żywiej, kwiaty uriuków mocniej zapachniały; w dole na łągach i w rozlewisku odezwały się dobrotliwie ciepłe głosy i rechotanie żab. Nie wiadomo skąd, w lasku, na całym wzgórzu, rozległ się nagle wstrząsający dźwięk, a potem cichy, słodki płacz ptaka, któremu odpowiadały inne. Głos wychodził z gęstwiny kwiecia uriuków pachnących nad nimi. Był to żałosny jęk skargi i krzyk triumfu zarazem, po którym toczyły się elektryczne fale odpychane na całe wzgórze i dalej, na rzeczkę, na Srebrny Strumień. Gdy na chwilę ucichły, Rawa słyszał, jak z dołu z kęp nad Srebrnym Strumieniem, trysnęły trele, dźwięczące jak kryształowe młoteczki, dolatujące echem odniesionym przez skałę i powtórzonym przez wodę wielokrotnie. Dźwignął głowę. Zoja spała głęboko, oddychając niewinnie, jak dziecko.

Wzgórze zalane było grubo księżycem. Słowiki śpiewały wszędzie, w całej okolicy, w uriukach, winnicach, w laskach, nad szosą, w ciemnych kępach nad Srebrnym Strumieniem. Odpowiadały im dalsze, i te koło lotniska, i te na cmentarzach; tysiące głosów, diamentowe chóry, jakby się zeszły tu z Taszkientu i z Buchary, z Samarkandy i z pustyń, znad granicy Persji, Armenii, Chin i Afganistanu, jakby zeszły się i płakały tu razem słowiki całego Uzbekistanu w pierwszą wielką noc wiosenną na pożegnanie Nataszy.

KAZIMIERZ ZAMORSKI I STANISŁAW STARZEWSKI

Pod pseudonimami „Stanisław Mora i Piotr Zwierniak”, na podstawie zeznań ludzi, którzy w 1941 roku spływali z obszarów Związku Sowieckiego do ośrodków tworzącej się tam Armii Polskiej opracowali i wydali w r. 1945, we Włoszech, „Sprawiedliwość sowiecką”. Jest to więc jak gdyby praca zbiorowa. Składają się na nią zeznania dziesiątek tysięcy Polaków, Żydów, Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, które dały materiał do poznania prawodawstwa Rosji Sowieckiej, materiał bezsprzecznie wiarygodny i w takiej ilości zgromadzony chyba po raz pierwszy.

Praca dzieli się na dwie części. Pierwsza zawiera analizę sowieckiego prawa karnego, procedury sądowej, organizacji więziennictwa i obozów poprawczych. Druga zaś to relacje byłych więźniów i łagierników, podzielone na zagadnienia, dające obraz praktycznego stosowania tejże sowieckiej „sprawiedliwości”.

Książka ilustrowana jest fotografiami ludzi wypuszczonych z łagrów i więzień, dzieci z odmrożonymi i amputowanymi palcami, zagłodzonych kobiet. Są w niej także reprodukcje rysunków, odtworzonych już na wolności, z mikroskopijnych szkiców, przedstawiających sceny w łagrach, transporty więźniów, ich pracę w lesie, na drogach i torach kolejowych, bójki, bunty, wnętrza baraków itp. Dołączono do książki mapę Związku Sowieckiego z oznaczeniem rozmieszczenia łagrów.

Z tego ogromnego materiału, przeznaczonego dla badaczy rzeczywistości sowieckiej, który pokrywa się zresztą z innymi zamieszczonymi tu relacjami i opowiadaniem — wybraliśmy mały, charakterystyczny epizod na temat nie poruszony przez innych autorów.

SPRAWIEDLIWOŚĆ SOWIECKA

„Łagier, szkaradne baraki, zasypane śniegiem. Za drutami bezkresna, biała przestrzeń. Po śniegu brną ludzie w

ciężkich walonkach, ubrani w watowane spodnie i *tielogrejki*... To „zakluczeni”¹.

Ja też znalazłam się wśród nich. Wprost z więzienia przysłali mnie tutaj, do łagieru, do Maryjska (Nowosybirskaja obł.).

Siedząc wysoko na narach pod sufitem, myślałam sobie: co dalej? do jakiej roboty mnie przydzielą?

Wtem drzwi się otworzyły. Wszedł gruby naczelnik, za nim przyboczna świta. Bezczelne gęby, wojskowe czapki. Przechodzą obok nar. Przegląd. Zatrzymali się przy mnie.

— *Wy kto?*

— *Polka.*

— *Kakaja spiecjalnost’?*

— *Chudożnica.*

— *Charaszo, budietie rabotat w chudożestwiennom cecchu.*

I tak się stało. Tego samego dnia jeszcze, z bijącym sercem stanęłam przed barakiem. Pchnęłam drzwi i oto znalazłam się w malutkim, ciepłym pokoiku. Najpierw rzucił się w oczy tygrys, rozpięty na wielkim płótnie. Był wielki, przegowany z szeroko rozwartą krwawą paszczką.

Przed tygrysem, z pędzlem, stał wysoki mężczyzna. Na skrzygnięcie drzwi odwrócił się i wówczas ujrzałam błądą, nerwową twarz.

Na wysokie myślące czoło spadały ciemne, faliste włosy.

— Wygląda zupełnie jak artysta filmowy — pomyślałam sobie. Wyglądu artystycznego dodawała mu jeszcze aksamitna szaro-zielona kurtka. To co uderzało w nim najbardziej, to jego „europejskość”. Pierwsza „ludzka” twarz. *Wolni grażdanie*³, których dotąd spotykałam, to byli po prostu barbarzyńcy o ordynarnych gębach i jeszcze ordynarniejszym głosie. Zdawało mi się, że wszyscy bolszewicy tak wyglądają.

Anatol Michajłowicz był pierwszym cywilizowanym człowiekiem — ale był „zakluczonym”. Później zrozumiałam, że nieomal cała kulturalna Rosja siedzi w łagierach i więzieniach.

Zaczęła się moja praca w *chudożestwiennym cecchu*.

1. Więźniowie.

2. Malarka.

3. Wolni obywatele.

Kierownikiem był Anatol Michajłowicz, człowiek wszechstronnie utalentowany, aktor i malarz zarazem.

Koledzy moi, to byli malarze różnego pokroju i zdolności. Najzdolniejszym wśród nich był Aleksander Wasilewicz, który znał świetnie historię sztuki i zachwycał się impresjonizmem francuskim.

Tragedią tych ludzi było to, że musieli malować wciąż te same obrazy dla *zakazczyków* (na zamówienie). Gdy jeden z głównych *naczelników* zamówił sobie obraz, to wówczas wszyscy mniejsi *naczelnicy*, nie chcąc pozostawać w tyle, zamawiali to samo. Stąd więc w całej okolicy Maryjskiej, wszyscy potentaci, od największego do najmniejszego, mieli ściany zawieszane samymi „kawiorami”.

Kawiozem nazywali wielkie płótno z jakimś bohomażem, które się zawieszało zamiast dywanika nad łóżkiem.

Jak wyglądała nasza praca malarska?

W pracowni był komplet kolorowych pocztówek, zbieranina dzieł różnych znanych i nieznanych malarzy rosyjskich. *Zakazczyk* oglądał najpierw te pocztówki, a potem wybierał sobie jedną i kazał z niej zrobić wielką kopię mającą niekiedy rozmiary „kawioru”.

Tematy, cieszące się największym uznaniem, można było podzielić na dwie grupy: dziko-krwawe i sentymtalno-bajeczne. Specjalistą od dzikich był Aleksander Wasilewicz. Spod jego ręki wyskoczyło chyba ze 30 „tygrysów” i niezliczona ilość „Iwanów Groźnych” (scena przedstawia cara, mordującego własnego syna, dywany, pełno krwi).

Na widok *tigra* lub „Iwana Groźnego” *zakazczyk* stawał w zachwycie i wietrząc krew nozdrzami wykrzykiwał: *zameczatielno* lub *krasota!* (oszałamiające, piękne).

Większą popularnością jednak cieszyły się tematy bajeczne. Obraz pt. *Skazka*⁴ nigdy nie schodził ze sztalugi. Wszyscy go malowali, ja też musiałam (niestety). Na tle dzikiego boru, pochylony nad źródłem stoi biały koń ze strusią grzywą i strusim ogonem. O szyję konia oparła się młoda dziewczyna, w powłóczystej szacie, z obnażonymi piersiami. Rozpuszczone włosy, perły, klejnoty... Po zielonej wodzie pływają białe jak papier nenufary. Bajka, *skazka*...

4. Baśń.

Nie mogliśmy już na to patrzeć! Ale powodzenie miała ogromnie! Każdy stawał przed tym, jak urzeczony i szeptał w zachwycie: *Krasota!*

Wasia, mistrz od *skazki* dokazywał cudów. W ciągu dnia obraz był gotów. Nimfa obwieszona dokładnie klejnotami. Każdy włos grzywy i ogona rumaka — zafryzowany. Wasia malował i śpiewał całą pierś pieśń o *brodziadzie*⁵. W pieśni tej często powtarzał się motyw *daliok, daliok bradiagi put*⁶. Wciąż nowe nimfy poły konia u źródła; tylko czasem miały suknie niebieskie, a czasem czerwone, zależnie od natchnienia młodego malarza. Wasia nie miał żadnego pojęcia o sztuce. Ale malował z fotograficzną dokładnością i *czysteńko*⁷, a to było najważniejsze!

Na drugim miejscu obok *skazki* stał obraz pt. *Żenszczyzny s lebiediem*. Temat nadawał się najbardziej na „kawior”. Scena rzymska. Dwie Rzymianki w rozkosznych półleżących pozach, w przeźroczystych tunikach, obserwują łabędzia, który pływa po sadzawce, wyłożonej różowym marmurem. Dokoła panuje atmosfera zbytku i słodkiego rozleniwienia. Obie kobiety mają śliczne, różowe paluszki, są wypieszczone i wypielęgowane, wyglądają na to, że całe życie nic nie robiły i nic nie będą robić.

Ten „kawior” przypadał najwięcej do gustu, jeszcze więcej od *skazki*. *Zakazczyk* już nic nie mówił, tylko bez słowa zamawiał olbrzymich rozmiarów kopię.

Pewnego dnia przyszedł pewien młody *naczalnik* i zamówił sobie *żenszczyzny s lebiediem*, aby je zawiesić nad łóżkiem. Gdy były gotowe, zabrał je na sanie i pojechał. Po pewnym czasie zjawił się i znowu obstałował taki sam bohomaz. Pytamy zdziwieni, po co mu dwa kawior? Powiedział, że jeden dla niego, a jeden dla matki. W tym samym mieszkaniu aż dwa płótna z Rzymiankami i łabędziem!

Nigdy nie zapomnę malarza Andrejewa. Starszy już, zasuszony, mały człowieczek, przez szereg lat siedział nad *żenszczyznami s lebiediem*. Był to widok komiczny i żaloszny zarazem. Andrejew malował je czasem z ponurą nienawiścią, a czasem z cichą rezygnacją, a na jego wąskich wargach pojawiał się dziwny, prawie obłądny uśmiech.

5. Włóczęga.

6. Daleka, daleka jest droga włóczęgi.

7. Tu w znaczeniu: wiernie.

Andrejew był coraz smutniejszy i chudł coraz bardziej, ale za to coraz więcej różowych Rzymianek z białym łabędziem wychodziło poza kolczaste druty łagieru w świat wolnych *grai*dan.

Z początku śmiać mi się chciało z dziwnych zamiłowań nabywców takich właśnie tematów.

Ale potem zrozumiałam.

Ludzie zmęczeni ciągłą szarżyzną dnia, kraszzonego jedynie *łozungami* (hasłami), tęsknili do czegoś innego. Te bajeczne, nierealne obrazy, te wypieszczone kobiety były zaprzeczeniem ich ciężkiego, roboczego życia. *Kto nie robotajet, tot nie kuszajet* (kto nie pracuje ten nie je).

A te śliczne kobiety żyły bez hasła i miały pałac marmurowy i delikatne, do pieśczoł stworzone ręce, ręce, które nigdy nie dotknęły traktora. To nieważne, że obraz był brzydki, jak oleodruk, mdły i kolorowy, ważny był temat, który na chwilę dawał iluzję innego życia.

Nimfa z dzikiego lasu nie widziała nigdy kominów fabrycznych i nie rzucała dyskiem na zawodach, ale miała faliste, rozpuszczone włosy, złotą aż do ziemi suknię, a na smukłej szyi perły...

Malowali te bohomazy *zakluczeni*, ludzie głęboko nie-szczęśliwi, którzy może już nigdy nie wrócą do domu. Ludzie, których pożywieniem był chleb i *bałanda* i którzy dla tego chleba i *bałandy* musieli malować. Bo gdy ktoś nie wymalował normy, przechodził na drugi kocioł, a to znaczyło — głód.

Norma! Zdawałoby się, że nie można malować „na tempo”. A jednak, tu trzeba było *wyrabotać* normy.

Tygrys, Iwan Groźny itd. musiały być wykonane w ciągu tyłu a tyłu dni. Gdy nie mogłam czasem nadążyć z jakąś kopią (a chciałam to zrobić mniej więcej po ludzku) — dobry przyjaciel Aleksander Wasilewicz zasiadał na kwadrans do mojej sztalugi i paru wprawnymi ruchami pędzla wykańczał dzieło. Chodziło o to, by obraz *dietał wid* (robił wrażenie) wykończonego.

Tu *blik*, tam *blik*, kopia niby to jest gotowa i czeka na okrzyk *zakazczyka*: *krasota*. Gdy miałam czasami skrupuły Aleksander Wasilewicz machał ręką, mówiąc: *prajdiot*⁸.

8. Przejdzie.

Obraz ceniło się według rozmiarów, oraz ilości dni zużytych na jego malowanie.

Wśród malarzy byli też stachanowcy, którzy przewyższali normy, wypuszczając w świat nadprogramową ilość olejnej tandety.

Gdy przychodził *zakazczyk* w walonkach oblepionych śniegiem i z policzkami wyszczypanymi od mrozu, kierownik oprowadzał go po pracowni, mówiąc: *żeńszczyzny s le-biediem* — trzy dni — 30 rubli, *tigr* — 5 dni — 50 rubli itd.

Biedny Aleksander Wasilewicz! Tego mi było żal najwięcej! Zdolny utalentowany rysownik, który naprawdę kochał i rozumiał sztukę. Z prawdziwym obrzydzeniem malował tigr i krwawych Iwanów.

Siedzieliśmy nieraz sztaluga przy sztaludze i malując różne paskudztwa, rozmawialiśmy o wielkich malarzach o Rembrandcie, o Giotto i o Van Gogh'u.

Zapominaliśmy wtedy na chwilę o łagierze i normie.

(11682-R.M. - malarka).

STANISŁAW SKRZYPEK

Małopolanin, z wykształcenia prawnik, autor kilku prac z dziedziny ekonomii i zagadnień państwowości ukraińskiej, członek Stronnictwa Narodowego. Zmobilizowany jako oficer rezerwy w 1939 wrócił po klęsce wrześniowej do Lwowa, gdzie był aresztowany 19 października. Przeszedł przez więzienia Zamarstynowskie we Lwowie, Łubiankę i Butyrki w Moskwie. Akt oskarżenia zarzucał mu przynależność do organizacji „mającej na celu zbrojną walkę przeciwko Związkowi Sowieckiemu”, został skazany na 10 lat obozów pracy, konfiskatę majątku i dalszych 10 lat pozbawienia praw obywatelskich. 14-dniowy transport w stołypinkach dowiózł go do 4-go uczastka Wiatłagu. Na bramie tego obozu widniał napis: „Czerez trud na swabodu”.

Dzięki ciężkiemu zapaleniu płuc z wysiękiem Skrzypek trafił od razu do szpitala, gdzie doczekał się „amnestii”. Wypuszczony na wolność 2 września 1941 r. po szeregu dalszych pobytów w szpitalach, którym, jak inni więźniowie i wyzwolenicy polscy, poświęca wdzięczne wspomnienie, dociera do Buzułuku, przyjęty do wojska, odkomenderowany do Kujbyszewa, obejmuje pracę w referacie interwencji przy Ambasadzie Polskiej.

Wspomnienia Stanisława Skrzypka z lat 1939-1942 pt. „Rosja jaką widziałem” (Montgomeryshire Printing Co. Ltd., Newton, Mont. 1949) są połączeniem pamiętnika z reportażem. Rzetelność autora i umiejętność logicznego myślenia pozwoliła mu z niezliczonych rozmów z współwięźniami, urzędnikami NKWD i „śledowatielami” wyciągnąć szereg cennych spostrzeżeń o metodach „wychowawczych” systemu sowieckiego, czyli o deprawującej atmosferze kłamstwa i podwójnego myślenia, jak również o „praworządności” sowieckiej procedury sądowej. Tej procedurze przeciwstawiał się Skrzypek do końca przewodu sądowego, nie przyznając się do żadnej winy.

Drukowany poniżej fragment wyjęty jest z tych „Wspomnień” poświęconych pamięci ojca, Henryka Skrzypka, zamęczonego w bolszewickim więzieniu i brata, Józefa Skrzypka, zamordowanego w Katyniu.

ROSJA JAKĄ WIDZIAŁEM

Ambasada Polska miała siedzibę w małym pałacyku przy ul. Czapajewskiej — w centrum miasta. Budynek ten był za mały, aby pomieścić wszystkie agendy Ambasady, toteż ścisk był wielki. Ambasador Kot mieszkał w małym skromnie urządzonej pokoju; obok mieścił się pokój konferencyjny, bardzo gustownie umeblowany. Reszta urzędów gnieździła się w kilku innych pokojach, z których jeden — największy — był równocześnie jadalnią. Urzędowanie odbywało się początkowo w ten sposób, że każdy z urzędników sadowił się ze swymi papierami na pierwszym lepszym krześle w sali jadalnej i załatwiał sprawy. Tylko nieliczne grono urzędników miało swoje stałe miejsca.

Ambasada Polska była prawdziwą Mekką dla wszystkich wybitniejszych Polaków. Ściągali tu działacze polityczni różnych ugrupowań, pisarze, profesorowie wyższych uczelni i różne ciekawsze postacie z życia kulturalnego Polski. Wszyscy oni doznawali gościny, stołowali się razem z personelem Ambasady i mieszkali we wspólnych kwaterach razem z urzędnikami — w osobnym budynku przy ul. Lwa Tołstoja 50. Przybywali tu również rozmaici ludzie, świeżo zwolnieni z obozów, którym udało się tu dotrzeć pomimo zaostrzonej kontroli na kolejach, lub których trasa podróży szła przez Kujbyszew. Te pielgrzymki Polaków do Ambasady sprawiały wiele kłopotów władzom sowieckim. W Rosji poselstwa obce są ściśle inwigilowane i urzędnicy tych poselstw znajdują się stale pod nadzorem sowieckiej policji, która śledzi każdy ich krok na zewnątrz. Każdemu urzędnikowi — choćby się nawet udawał na spacer lub do kina — towarzyszy z dala jego sowiecki anioł stróż, za każdym autem wyjeżdżającym z poselstwa — jedzie auto sowieckie z agentami N.K.W.D. Władze sowieckie dokładnie „opiekują się” swymi gośćmi. Polaków inwigilować było nie łatwo. Za dużo przychodziło ich

do Ambasady i trudno było policji sowieckiej zorientować się, kto należy do personelu Ambasady, a kto jest tylko interesantem lub gościem. Denerwowało również władze sowieckie to, że personel Ambasady Polskiej był liczniejszy niż jakiegokolwiek obcego przedstawicielstwa, nie wyłączając ambasad amerykańskiej i angielskiej.

Ta duża ilość urzędników — pomimo że wielu z nich pracowało od godz. 8-mej rano do godz. 8-mej wieczór z jednogodziną tylko przerwą na obiad — nie wystarczała jednak na załatwienie wszystkich spraw. Milionowa rzesza Polaków deportowanych do Rosji oczekiwała opieki władz polskich. Co dnia napływały tysiące listów z różnych zakątków Rosji. Samo ich segregowanie wymagało liczego personelu, a cóż dopiero mówić o merytorycznym ich załatwianiu.

Dużym problemem była sprawa niezwolnionych dotychczas z obozów pracy obywateli polskich, sprawa zorganizowania sieci opieki społecznej w różnych okręgach Rosji europejskiej i azjatyckiej, sprawa zwolnienia Polaków zmobilizowanych w latach 1940-1941 do armii sowieckiej, którzy teraz powinni być odesłani do wojska polskiego, i wiele innych spraw wykraczających poza zakres czynności placówek dyplomatycznych. Na obszarze całej Rosji nie było ani jednego konsulatu polskiego, toteż do Ambasady należały także czynności konsularne, co znowu musiało pociągać za sobą powiększanie agend. Władze sowieckie zdawały się początkowo rozumieć tę sytuację i nie czyniły przeszkód w angażowaniu coraz to nowych pracowników kontraktowych, później jednak ograniczyły wzrost Ambasady w drodze zmniejszenia ilości racji żywnościowych dla personelu przez odmowę zezwoleń na stały pobyt w Kujbyszewie oraz ograniczenia prawa korzystania z restauracji i pomieszczeń w hotelu „Grand”, który był jedynym dostępnym dla cudzoziemców i zarazem przyzwoitym hotelem w mieście.



Referat interwencji, do którego zostałem przydzielony, zajmował się przygotowaniem materiałów do not w sprawie wykonania amnestii dla obywateli polskich. Ogólnikowe interwencje nie pomagały. Ambasador nasz

stale otrzymywał odpowiedź, że wszyscy obywatele polscy zostali zwolnieni. Zadaniem moim było z korespondencji napływającej do Ambasady oraz z zeznań przeprowadzanych ze zwolnionymi niedawno z obozów i więzień ludźmi ustalać nazwiska osób, przebywających jeszcze w różnych więzieniach i obozach. Na podstawie tych materiałów przygotowaliśmy listy więzionych jeszcze obywateli polskich, oraz nazwy obozów i więzień, w których przebywali. Listy takie były co jakiś czas przedstawiane Ministerstwu Spraw Zagranicznych Związku Sowieckiego z prośbą, by spowodowano natychmiastowe zwolnienie tych bezprawnie więzionych osób. Przestuchując setki ludzi i czytając tysiące listów wytworzyłem sobie dość wszechstronny obraz rozlokowania więzień, obozów pracy i stosunków panujących w tych zakładach. Powoli rosła kartoteka obozów i więzień oraz kartoteka osób przebywających w nich w różnych czasach. Ponieważ skuteczność interwencji często zależała od ustalenia rozmaitych okoliczności faktycznych, aby w razie potrzeby móc na żądanie udzielić bliższych informacji, sporządzałem krótkie charakterystyki poszczególnych obozów, więzień, spisywałem nazwiska ich komendantów itd. Praca ta była dość ryzykowna, bo zbieranie tego rodzaju informacji jest uważane w Związku Sowieckim za szpiegostwo. Nie posiadając paszportu dyplomatycznego mogłem być w każdej chwili aresztowany. Szczególnie niebezpieczne było zbieranie informacji od byłych więźniów na kujbyszewskim dworcu kolejowym, gdzie z natury rzeczy zapiski moje musiałem sporządzać publicznie. Kartoteka referatu interwencji oraz zapiski przez nas sporządzane dotyczyły oczywiście tylko tych obozów i więzień, w których przebywali obywatele polscy — niemniej jednak pokrywały one kilkaset obozów pracy i dawały dość szczegółowy obraz warunków egzystencji, jakie tam panowały.

Obozami koncentracyjnymi pokryty jest niemal cały obszar Rosji. Nie ma „*obłasti*” lub republiki, w której nie byłoby tzw. „poprawnych obozów pracy” (*Isprawitielno-Trudowych Łagierej*). Są one koło Jarosławia, Penzy, Kujbyszewa („*Bezimien-łag*”), Ufy („*Usol-łag*”), w Mordowskiej ASSR („*Temnikowskijskie I. T. Ł.*”), obóz olbrzymich rozmiarów, głównie kobiecy, jest w Karagandzie („*Kar-łag*”), największe jednak zgrupowanie obozów koncentra-

cyjnych znajduje się w północnej części Rosji europejskiej, na Syberii i na Dalekim Wschodzie. Właściwie cały kraj na północ od linii kolejowej Wołogda — Kirów aż do Uralu i na północ aż po Ocean Lodowaty — to jedno wielkie państwo N.K.W.D., w którym więcej niż trzy czwarte ludności stanowią więźniowie i ich straż. Cały ten obszar jest podzielony na szereg jednostek organizacyjnych, które dzielą się na „*uprawlenja*”, te zaś na oddziały („*oddielenia*”) — które znowu z kolei dzielą się na „*łagpunkty*”, „*kołony*”, „*uczastki*” lub „*toczki*”. Na wspomnianym wyżej obszarze znajduje się na północnym Uralu „*Siewural-łag*”, nad rzeką Peczorą „*Peczor-łag*”, w okolicach Workuty i nad Oceanem Lodowatym „*Workutstroj*”, w Republice Komi „*Siewżeldor-łag*”, na północ od Kotłasu jest „*Ustizm-łag*”, nad rzeką Ust-wim „*Ustwim-łag*”, nad jeziorem Onega „*Oneg-łag*”, pod samym Archangielskiem „*Kutaj-łag*”, w północnej Rosji i w tzw. Karelo-Fińskim Przesmyku „*Siewdwin-łag*”, „*Sorok-łag*”, „*Kargopol-łag*” i parę jeszcze innych. Poza tym obszarem są wielkie obozy pracy na wyspie Nowa Ziemia, gdzie — według relacji zwolnionych z tamtych obozów Polaków — w roku 1942 przebywało około 160 tys. ludzi, oraz na Syberii — szczególnie w okolicach Krasnojarska („*Kras-łag*”), Nowosybirskiej („*Syb-łag*”), koło Norylska („*Noril-łag*”), nad dolnym Jenisejem oraz na Dalekim Wschodzie („*Dalnowostocznyjskie I. T. Ł.*”, „*Niżnoamurskije I. T. Ł.*”, „*Bur-łag*”, „*Bam-łag*” i inne). Z niektórymi z tych obozów komunikacja jest możliwa tylko rzekami, skutkiem czego zimą są one niedostępne. W obozach tych ludzie pracują przy wyrębach lasów, budowie kolei, dróg, kanałów, osiedli, w kopalniach węgla, ołowiu, miedzi, żelaza, ropy, cynku, rtęci i złota. Na specjalną uwagę zasługują obozy na Kamczatce („*Kamczatskije I. T. Ł.*”) i nad rzeką Kołymą, uchodzące powszechnie za najstraszniejsze. Ludzi przeznaczonych nad Kołymę przewożą zwykle do Bucht Nachodka, położonej niedaleko Władywostoku, a stamtąd statkami wiozą ich na północ — wzdłuż Sachalinu — do położonego u podnóża Kamczatki portu Magadan, gdzie też mieści się centralna administracja „*Kołym-łagu*”. Poszczególne „*uprawlenia*” i „*oddielenia*” tego obozu są rozrzucone wzdłuż szosy wybudowanej przez więźniów, a biegnącej od Magadanu nad brzeg rzeki Kołymy. „*Łagpunkty*”, zależnie od ich odległości od Magadanu, mają zamiast nazw numery: „100

kilometr”, „450 km”, „600 km” itd. Głównym przemysłem dla którego obozy te powstały jest poszukiwanie złota, które znajduje się tam w piaskach rzeki Kołymy i jej dopływów, oraz w płytkich, prymitywnymi sposobami eksploatowanych odkrywkach. Reżym w tych obozach jest bardzo surowy — klimat zaś zabójczy. W czasie krótkiego lata chmary komarów żywcem prawie jedzą ludzi, a zimą dziesiątkują ich mrozy, dochodzące do 60^o Celsjusza. Całe szczęście, że zima jest tam sucha i bezwietrzna, gdyż inaczej człowiek nie mógłby w okolicach tych w ogóle wytrzymać. Na jednym z takich „*tagpunktów*” jesienią 1940 było 2.000 Polaków — na wiosnę 1941 pozostało z nich przy życiu tylko 230. W obozach tych — według relacji więźniów — mało kto (poza szczęśliwcami, którym udało się dostać pracę w kancelarii, szpitalu, kuchni itp.) wytrzymuje więcej niż dwa lata. We wrześniu 1941, jak opowiadał mi jeden ze zwolnionych Polaków, zjechała do Magadanu komisja, która miała „brakować” niezdolnych do pracy więźniów. Informator mój widział, jak więźniów tych (było ich około 5.000) ładowano na statek. Na skutek odmrożeń większość tych ludzi była pozbawiona nosów, uszu, a wielu także rąk lub nóg. Nie był to pochód ludzi, ale jakieś czołganie się ludzkich kadłubów.

Nie wszystkie obozy, o których wyżej mowa, są dostępne za pomocą dróg czy kolei. Do wielu z nich dotrzeć można tylko w czasie letnim, kiedy rzeki są wolne od lodów, do niektórych zaś tylko zimą, kiedy bezpiecznie można przechodzić przez zamrożone błota i trzęsawiska. Więźniowie, którym udało się opuścić te pozbawione kontaktu ze światem obozy, opowiadali mi, że po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej wszystkich, nie wyłączając strażników obozowych, opanował strach, że w razie wytworzenia się chaosu i dezorganizacji systemu komunikacyjnego, czekać ich będzie śmierć głodowa. W razie przerwania dopływu żywności z dalekich baz zaopatrywania obozów obawy te mogły być bardziej niż uzasadnione. Śmierć głodowa stałaby się nieuniknioną koniecznością. Miejscowe możliwości zdobywania środków żywności są tam wręcz znikome, wydostanie się zaś z tych obozów do najbliższych ludzkich osiedli poprzez olbrzymie pustkowia, błota i tundry nawet w dogodnych komunikacyjnie porach roku — byłoby bardzo trudne.

Jeśli kiedyś w przyszłości miał przyjść moment tzw. „*pośledniej schwatki*”, w której według przeświadczenia wszystkich komunistów po jednej stronie walczyć będzie Związek Sowiecki, po drugiej zaś świat kapitalistyczny, to nie należałoby w walce tej zapominać o losie owych milionów zagnanych w pustkowia europejskiej i syberyjskiej Rosji ludzi i zawczasu należałoby obmyśleć środki i sposoby ratowania ich od niechybnej śmierci głodowej, jaka w razie klęski Sowietów czekać ich będzie.

HANKA ORDONÓWNA

(Anna z Pietrusińskich Tyszkiewicz 1904-1950), ulubiona warszawska pieśniarka i aktorka.

Okupacja sowiecka zastała ją w Wilnie. W latach 1940-41 występowała w szeregu miast rosyjskich z repertuarem swoich piosenek i skeczów. Następnie dołączyła do Wojska Polskiego formującego się po tzw. „amnestii” w Azji Środkowej, gdzie podjęła się gorliwie opieki nad osieroconymi dziećmi polskimi.

Po wojnie osiadła z mężem w Bejrucie i tam zmarła na gruźlicę.

Poniżej drukowane fragmenty pochodzą z książki pt. „Tułacze dzieci”, wydanej pod pseudonimem „Weronika Hort” (Instytut Literacki, Bejrut, 1948).

TUŁACZE DZIECI

Bajka z tysiąca i jednej nocy

Od chwili, w której wszystkie naczelne władze miasta Taszkientu, stolicy „Uzbeckiej Republiki”, obiecały swą pomoc w celu polepszenia bytu obywateli polskich, którzy przejeżdżali przez stację lub koczowali na dworcu, zaczęła się zabawa w „ciu-ciu-babkę” pomiędzy urzędami sowieckimi, a polskim kierownictwem transportowo-dożywieniowej placówki. Od tej chwili termin przybycia pociągów z Polakami z północy stał się zagadką.

— Zgaduj zgadula — chichotały lokomotywy, — na który tor wjadę? W nocy? W dzień? O świcie lub o

zmierzchu? Czy zatrzymam się na dworcu? Przed? Za? Lub wcale nie! — łącznicy tracili głowy i nogi. Dyżury trwały całe doby bez wytchnienia. Pociągi „widma” przelatywały przez stację, zatrzymując się na jakimś „wygwizdowie”. Ludzie, jadący w nich, dopiero stamtąd przysyłali gońca do Taszkientu z wiadomościami, że stoją na stacji parę dni i nikt się nimi nie zajmuje, że nie mają co jeść, oraz nie wiedzą dokąd ich posłać, że w pociągu są dzieci i chorzy i pomoc natychmiastowa jest konieczna.

Przeważnie stacyjki takie znajdowały się poza zasięgiem polskich placówek, które zresztą miały bardzo ograniczoną możliwość działania, gdyż nie były chętnym okiem widziane przez miejscowe władze sowieckie.

Szły więc polskie interwencje za interwencjami do centralnych władz sowieckich, naciskał Sztab Polski z generałem Andersem na czele, Ambasada Polska w Kujbyszewie, wreszcie Londyn i generał Sikorski. Chociaż obietnice władz sowieckich dawane były gładko, jednak sytuacja Polaków w Rosji z dnia na dzień się pogarszała.

Pan Naczelnik N.K.W.D., prawdziwy władca Taszkientu — Władimir Władimirowicz Glinoszczokow, rozplątywał się w uprzejmościach.

— Da, da — kończył swoje długie przemówienie na temat przyjaznych stosunków z Polakami i zrozumienia ich potrzeb. — Da, miejsca do których przedtem kierowano transporty są złe, ale teraz będzie inaczej, teraz damy inne, doskonałe. O, wot zdieś! — wskazał palcem na mapie.

Kierowniczką polskiej placówki pochyliła się nad mapą.

— Farab? — zapytała ze zdziwieniem.

— Da — potwierdził naczelnik, — Farab-Nukus, tam dobrze, bardzo dobrze.

— Ależ Nukus to najgorsza miejscowość, a poza tym płynie się tam rzeką, bo pociąg dochodzi przecież tylko do Farabu. A co będzie zimą, gdy rzeka zamarźnie, ludzie będą odcięci od świata?

Zgaśł ujmujący uśmiech pana naczelnika Glinoszczokowa. Patrzył teraz na Annę spod przymrużonych ukośnych powiek. W oświetleniu elektrycznym twarz jego wyglądała jak ulepiona z gliny, była jak nieruchoma maskara, nie ożywiał jej żaden wyraz.

— Farab i Nukus są niemożliwe — mówiła nie zrażając się Anna. — Władze polskie nie zgadzają się na wysy-

łanie tam ludzi. Proszę przydzielić nam inne, naprawdę dobre miejscowości, nie brak ich tutaj, na południu. Pan dobrze o tym wie, że na dworcu taszkienckim koczują aż trzy tysiące Polaków, którym nie pozwalacie zamieszkać w mieście. Odsyłacie ich gdzie bądź, skąd znowu wasze władze odsyłają ich tutaj. Ludzie ci są wymęczeni, głodni i chorzy, nie pozwalacie nam jednak zorganizować własnego szpitala, chociaż wasze szpitale nie chcą przyjmować Polaków, tłumacząc się przepełnieniem. O te 1,200 kilo chleba, któreście nam od niedawna przydzielili, musimy co dzień walczyć od nowa, bo albo nie dostajemy chleba, albo zabieracie lokal w którym się go składa. Ludzie muszą tu znaleźć lepsze warunki. Pan wie, że transporty jadą z północy bardzo długo, a dzieci w pociągach masowo umierają. Wypuściliście Polaków z łagrów i więzień nie po to, by ich tutaj wtłaczać w to samo. Obiecaliście żywić ich po drodze, tak jak żywicie swoich uchodźców wojennych, a nie robicie tego. Jadą oni głodni i sponiewierani, aresztujecie ich pod byle pozorem, na domiar złego jeszcze ten Farab i Nukus. Zakładam protest w imieniu władz polskich, przeciwko posyłaniu naszych ludzi do Farabu i Nukusu.

Twarz naczelnika Glinoszczokowa nie zmieniła ani na chwilę swojej bezwyrazowości.

— Nukus to dobre miejsce, — powiedział z uporem — prawda, że rzeka tam zamarza, ale możecie transportować ludzi aeroplanami, jeśli będziecie chcieli.

— Ależ — zachnęła się Anna — to fantazja, panie naczelniku, pan najlepiej wie, że nie mamy takich możliwości.

Naczelnik Glinoszczokow poruszył się:

— Proszę przyjść jutro. Porozumiem się z towarzyszem przewodniczącym sownarkomu¹, co można zrobić w tej sprawie.

Suchym skinieniem głowy dał znak, że audyencja skończona. Na zegarze biła godzina trzecia w nocy, — normalna pora przyjąć naczelnika N.K.W.D. Glinoszczokowa.

Nazajutrz, jak to było do przewidzenia, oświadczono Annie, że naczelnik wyjechał „po diełam” i wróci za trzy dni. Po trzech dniach naczelnik oznajmił jej, że przewod-

1. Rada Komisarzy Ludowych.

niczący sownarkomu, z którym miał rozmawiać, wyjechał do Moskwy i radził zadzwonić za tydzień. Po tygodniu gdy zatelefonowała, odpowiedziano jej z urzędu, że naczelnik i przewodniczący wyjechali, ale zostawili dyspozycje, by transporty z Polakami kierować do Fergany i Buchar. Gdzie i komu zostawili te dyspozycje, informujący nie wiedział.

Sprawozdanie złożone przez łącznika, wysłanego przez władze polskie w celu wybadania warunków egzystencji Polaków w Bucharze, brzmiało:

„23. X. 41 wyjechałem do Buchar. Po przybyciu późnym wieczorem (godz. 20) do Samarkandy udałem się do wojennego komendanta, u którego dowiedziałem się, że nie będą nas więcej prowiantować. Po wysłaniu depeszy do Kaganu i Buchar udaliśmy się dalej. Rano 24-go przybyliśmy na miejsce, gdzie sowiecki ewak-punkt oświadczył, że do Buchar żadnych pociągów nie będzie, gdyż tam jest przepełnienie. Skierowano nas do Farabu. Za parę godzin przybyliśmy na miejsce wyznaczone, gdzie dano nam chleb i zarejestrowano na wyjazd do miejscowości Nukus. Na przystani w Farabie o Nukusie krąży rozmaite wersje — mówią, że ludzi wysyła się tam do budowy kanałów na bardzo złych warunkach, że wszyscy są tam pod opieką N.K.W.D. i że stamtąd drogi powrotnej nie ma, co jest prawdą, gdyż dotąd nikt nie wrócił. Sam rozmawiałem z palaczem, który pracuje na statku i otrzymałem potwierdzenie tej wiadomości. Przypadkowo usłyszałem kłótnię barżowego² z Polakiem, w której barżowy powiedział po rosyjsku: „Poczekaj, jak cię wsadzę na moją barżę³, będziesz chodzić pod sztykami”⁴. W drodze powrotnej zatrzymałem się w Samarkandzie, gdzie dowiedziałem się, że jest tam tymczasem przepełnienie i dopiero po rozesłaniu ludzi po „kołchozach” będzie można zorientować się w ilości wolnych miejsc. Warunki pracy w kołchozach są beznadziejne. Na całej linii od Taszkientu do Farabu na stacjach spotyka się grupki większe i mniejsze Polaków, bez pracy i bez dachu nad głową. Droga powrotna z Farabu jest bardzo utrudniona nawet wtedy, gdy się ma pieniądze”.

2. Prowadzący barkę.

3. Barka.

4. Pod bagnetami.

Tak wyglądała prawda. Tak wyglądały realizacje sowieckich obietnic.

A listy Polaków z kołchozów, w których miało im być jak w raju, brzmiały:

„Dnia 10. X. 1941 opuściliśmy swój posesłek Dziabryna, nad rzeką Dżwiną północną, do stacji Kotłas. Tam za sprzedane rzeczy, wykupiliśmy wagon towarowy za 1558 rubli do stacji Buzułuk, gdzie tworzy się Armia Polska na terenie Rosji Sowieckiej. Z Buzułuku zostaliśmy już bezpłatnie wysłani na Taszkient do stacji Wrewskaia, zgodnie z ogłoszeniem komendanta Garnizonu W.P., lecz i tutaj nie zatrzymano nas, a skierowano dalej do Samarkandy, Kaganu, Farabu a w końcu do Kramowej, stacja Kitab. Tam zatrzymano nas, nie wypuszczając z wagonu przez dwa dni, po czym skierowano eszelon do Kazachstanu — na stację kolejową Ahyrtyde w Dżambulskiej oblasti. Tam nas wyładowano i grupkami po drodze na Ałma-Atę, rozmieszczono po kołchozach. Nasza grupa 170 ludzi umieszczona została w kołchozie Kzyl-ly — w nędznych lepiankach, pod górami okrytymi śniegiem. Otrzymaliśmy ostatnio po 500 gr. mąki na pracującego, a 200 gr. na niepracującego, oraz po 1 kg. kartofli na głowę i to wszystko. Niezbędna jest pomoc, przede wszystkim w mydle, w bieleźnie, tłuszczu, cukrze dla dzieci, oraz pieniądze, bowiem po blisko dwumiesięcznej podróży jesteśmy zupełnie wyczerpani, a w warunkach w jakich się znajdujemy, nie długo będziemy mogli wytrzymać bez pomocy”.



„Zwracam się z gorącą prośbą o pomoc. Zostałam wywieziona przez N.K.W.D. dnia 13.IV.1940 z Brzeżan, woj. tarnopolskie, do Kazachstanu, obłaść Aktiubińska, rejon Dziwien, do planchozu Nr 12. Jestem żoną podoficera zawodowego WP., który został aresztowany przez N.K.W.D. w Brzeżanach dnia 9. XII. 1939 i stamtąd w głąb Rosji wywieziony. Co z nim dalej się stało, nie wiem. Od drugiego dnia przybycia do kołchozu, przydzielili mnie do ciężkiej fizycznej pracy w polu. Z tą pracą nie mogłam sobie poradzić, gdyż jestem po niebezpiecznej operacji kołbiej i cierpię na kamicę żółciową, dlatego też w plan-

chozie dłużej pozostać nie mogłam. W zimie innej tam pracy nie ma, chyba przy tak zwanym „zadzierzaniu śniegu”, a ja ani zdrowia, ani odzieży do tego nie posiadam. Czy chory, czy zdrowy, musiał iść codzień do roboty — i choć ja na przykład miałam „sprawkę lekarską”, nic to nie pomagało i z temperaturą 39, wyganiano mnie na pracę. Mieszkaliśmy po 18 osób w jednej izbie bez szyb i nieopalaney. Spaliśmy na gołej ziemi i robactwo nas straszliwie żarło.

Za 12 godzin dziennej pracy otrzymywaliśmy po kilkanaście kopiejek wynagrodzenia i „pajok” 600 gr. chleba na dobę, jako całe pożywienie. Gdy nam ogłosili wolność, wszyscy ludzie wyjechali dalej — a ja i kilka rodzin, które nie miały za co wyjechać — pozostaliśmy jeszcze przez trzy miesiące w planchozie, w tej nadziei, że Opieka Społeczna pomoże nam wydostać się stąd. Przed kilku dniami wyjechaliśmy do Dziurunia, oddalonego od planchozu o 90 km., środków do życia nie mamy i żadnej nadziei wyjazdu. Kwater wolnych tu nie ma, bo ewakuowanych obywateli sowieckich jest dużo i nas zewsząd wyrzucają. Chleba tu nam nie dają, opału i pracy dostać też nie można. Nikt się o nas nie troszczy. Ja osobiście nie posiadam niczego, co można by sprzedać, przyjechałam tu w tej nadziei, że znajdę jakąś pomoc. Chciałabym pracować wśród swoich, słyszałam, że w Buzułuku potrzebują praczek, kucharek, pracownic biurowych. Warunki bytu tutaj stały się całkiem niemożliwe. Mimo zaświadczenia lekarza chleba otrzymać nie mogę, miejscowe N.K.W.D. odsyła mnie z powrotem do kołchozu i nie słucha żadnych tłumaczeń. Proszę więc bardzo o jakąś pomoc. Poza tym w imieniu wszystkich proszę, aby Opieka Społeczna postarała się u władz miejscowych aby nam tu chleb wydano, jak innym „bieżeńcom”¹⁵, i żeby nas nie wyrzucano jak psów z mieszkań”.



Wojsko Polskie i Ambasada Polska w Kujbyszewie robiły wszystko, by zorganizować jak najskuteczniejszą pomoc dla swych obywateli, ale gdy tylko coś zmontowano, gdy któraś z placówek zaczynała sprawnie działać — jakaś

5. Uchodźcom.

tajemnicza siła rozbiła te poczynania i paraliżowała pracę, którą trzeba było zacząć od nowa.

Był to sowiecki system, którego celem było znużyć i zmęczyć organizatorów i zniechęcić tych, którzy nie mogli od nich otrzymać na czas pomocy.

„Władze wasze nie dbają o was” — mówiono im wtedy. „Wojska Polskiego nie ma” — tłumaczono w dalekich posiadłościach. „Wstępujcie do Armii Czerwonej, tam tworzą się polskie pułki, — polskie, litewskie, łotewskie, ukraińskie. Tam się wami zaopiekują, będzie wam dobrze”.

Gdy tylko pojawiły się transporty z żywnością i darami dla Polaków, przesłane z Ameryki i Anglii, i zaświtała nadzieja wydatniejszej pomocy, natychmiast władze sowieckie zaczęły przetrzącać ludność polską z południa do północnego Kazachstanu bez jakiegokolwiek uprzedzenia o tym polskich placówek, by utrudnić wszelką planową organizację opieki. I znów ludzie marzli i umierali z głodu, a dzieci, które w tym kraju są otaczane rzekomo najczulszą opieką, ginęły jak muchy. Miarodajne sowieckie czynniki nie miały ani odrobiny dobrej woli przyjsia z pomocą Polakom, zagnanym za ich przyczyną w tak tragiczną sytuację.

Ale im bardziej pętla sowiecka zaciskała się na polskich szyjach — tym więcej ludzi stawało do ofiarnej pracy, i chociaż wysiłek ten zaspakajał tylko kropelkę z morza ludzkich potrzeb, ale spełniał jedno wielkie zadanie — budził nadzieję i zagrzewał do przetrwania.

.....

Przez stację Taszkient, która była stacją węzłową, przechodziły wszystkie transporty z Polakami, jadącymi z północy na południe, lub z południa do Buzułuku, na północ, do wojska. Według przybliżonych danych, przejeżdżało przez nią miesięcznie do czterdziestu pięciu tysięcy Polaków. Małe placówki polskie cywilne i wojskowe, rozsiane po różnych miastach na południu, miały bardzo niewielkie możliwości załatwienia takiej, lub innej sprawy. Wobec nieprzychylnego ustosunkowania się władz sowieckich, potrzeba istnienia centralnej placówki wzrastała z dnia na dzień. Ambasada w Kujbyszewie była za daleko, Buzułuk i wojsko także. Komunikowanie się w kwestiach, które wymagały natychmiastowej decyzji, trwało tygodnie i oczywiście

sprawa na tym cierpiała lub stawała się wręcz nieaktualna. Dlatego też ambasada polska, po porozumieniu się z władzami sowieckimi, przysłała swojego delegata do Taszkientu dla załatwiania ważniejszych spraw, dotyczących tego okręgu i wydawało się, że tym samym wiele trudności będzie mogło być rozwiązanych na miejscu. Delegat rozpoczął urzędowanie w hotelu National, w którym mieszkał, gdyż o pozwoleniu na lokal biurowy nie mogło być mowy.

Jak woda z gór po topniejącym na wiosnę śniegu — lała się teraz fala ludzka, płynąca z północy, po ratunek, z nadzieją i wiarą, że nareszcie los ich polepszy się.

Ale... ale pewnego słotnego ranka po kilkudniowym zaledwie urzędowaniu delegata w hotelu National, zjawił się groźny funkcjonariusz N.K.W.D. z rozkazem, by delegat natychmiast zaprzestał przyjmowania interesantów w hotelu, gdyż jest to wbrew prawu. Dano do zrozumienia delegatowi, że ludzie, którzy będą się zbierać pod hotelem, mogą być aresztowani, a on wydalony. Na potwierdzenie tych słów dały się słyszeć krzyki z ulicy. Kogoś już aresztowano — oczywiście Polaka, którego jedyną winą była chęć skomunikowania się z polskimi władzami.

— Proszę ich nie aresztować — nalegał zdenerwowany zająciem delegat.

— To proszę im powiedzieć, aby odeszli i nie zbierali się przed hotelem. Niech czekają na dworcu — rzucił lakonicznie funkcjonariusz policji.

Delegat wyszedł na ulicę.

— Rozejdźcie się, proszę — przemówił do tłumu czekających nędzarzy, — bo inaczej będą was aresztować. Idźcie na dworzec, ja tam przyjdę do was.

Tłum, szemrząc niechętnie, rozszedł się.

Gdy delegat zjawił się na dworcu, skupili się koło niego Polacy, łaknący wiadomości, instrukcji, dowiedzenia się jaki będzie ich los i jak długo będzie trwała ich tułaczka.

Zanim zdążył odpowiedzieć na parę pytań, zjawili się przedstawiciele dworcowego N.K.W.D. i kazali zebranyemu rozejść się.

— Dworzec nie jest na zebrania i wiece.

— Ależ ja muszę moich rodaków poinformować o rzeczach, które ich interesują, które decydują o ich losie — tłumaczył delegat.

— To niech pan robi to w swoim biurze, zgromadzenia publiczne na dworcu i na ulicach są wzbronione.

— Ależ odmówiono mi zezwolenia na wynajęcie lokalu biurowego, a w hotelu zabroniono mi przyjmować — mówił poirytowany delegat.

— A zdiess nielzia⁶ — lakonicznie zakończył enkawudzista i zabrał się do rozpędzania ludzi.

Oczywiście, oburzony konsul-delegat udał się natychmiast do przedstawiciela M.S.Z. republiki Uzbeckiej z protestem przeciwko takiemu traktowaniu jego osoby przez władze N.K.W.D. Jako dyplomata w specjalnej misji, żądał od ministerstwa odpowiedniego napomnienia N.K.W.D., oraz udzielenia mu najdalej idącej opieki i ułatwień w sprawach związanych z urzędowaniem.

Sekretarz „Inostrannowo oddieła”⁷ (bo szef, jak zwykle w takich sprawach bywa — wyjechał) wysoki, chudy, mówiący cichym, spokojnym głosem, bardzo dobrze ułożony pan, z ubolewaniem rozkładał ręce — bo nie może „Inostranny oddieł” nic w tym koledze pomóc.

Sprawa, niestety, przedstawia się nieprzyjemnie, „Inostranny oddieł” niepodległej republiki Uzbeckiej nie został powiadomiony przez swoją władzę centralną o otwarciu w Taszkencie dyplomatycznej Polskiej Konsularnej Placówki, wobec czego „pan wybacz” — ale do czasu otrzymania instrukcji należy się wstrzymać z rozpoczęciem urzędowania; wchodząc jednak w drażliwe położenie kolegi konsula, sekretarz obiecał, że pośle natychmiast telegram do Kujbyszewa do centrali, z zapytaniem w tej sprawie. Tymczasem jednak prosi kolegę, by nie urzędował do czasu przyścia odpowiedzi. „Inostranny oddieł” wyrobi u władz miejscowych N.K.W.D. pozwolenie na dalszy pobyt delegata w Taszkencie, ale na razie — jako osoby prywatnej.

— Ach, rozumiem, że to mało, — tłumaczył się, rozkładając ręce sekretarz, — ale niestety to wszystko co na razie możemy tutaj zrobić.

— Komisariat Spraw Zagranicznych w Kujbyszewie wyraził jednak zgodę na mój wyjazd do Taszkentu, w charakterze delegata i obiecał Ambasadzie Polskiej, że powiadomi tutejsze władze, prosząc je o opiekę i poparcie — bronił się polski konsul.

6. A tutaj nie wolno.

7. Wydział zagraniczny.

— Nie wątpię — odpowiedział z uprzejmym skłonieniem głowy sekretarz, — ale to zawiadomienie, ani żadne instrukcje w pańskiej sprawie do nas nie doszły. Mam jednak nadzieję, że sprawa prędko się wyjaśni i wtedy będziemy mogli panu służyć wszelką pomocą.

Konsul wyszedł, kwaśno pożegnawszy się z usłużnym sekretarzem „Inostrannowo oddieła” niezależnej Uzbeckiej sowieckiej republiki i siedział odtąd w Taszkencie jako osoba prywatna.

Upartych nędzarzy, przychodzących pod hotel często aresztowano. O aresztowaniach nie powiadamiano delegata. Interwencje nie pomagały.

Tymczasem agenci sowieccy przenikali w polskie środowiska, szerząc oszczercze wiadomości o wojsku, placówkach polskich i ludziach, stojących u steru spraw polskich w Rosji i w Londynie. Komuniści różnego autoramentu wyteżali siły, by zniechęcić Polaków do wszystkiego co polskie, by odebrać im nadzieję na lepsze jutro i by urobić ich na biernych obywateli przyszłej sowiecko-polskiej republiki. Oficerowie N.K.W.D. starali się namowami, obietnicami, wreszcie groźbami, zmusić aktywniejsze jednostki polskie do współpracy na rzecz Związku Sowieckiego. Męty szły na takie propozycje, prawi jednak Polacy wzmacniali czujność i pracowali ze zdwojoną siłą dla dobra polskiej sprawy. — Sowieckie agentury rozpuszczały wersje o rzekomej współpracy tych upartych z N.K.W.D. — by podważyć do nich zaufanie u rodaków.

Zaczęły się donosy, swary i nieufność — przy nędzy, głodzie i chorobach. Przewyciężyć to piekło mogła tylko wielka wiara w odrodzenie Ojczyzny i nadzieja w ostateczne zwycięstwo słusznej sprawy, a tej wiary i nadziei Polakom nie brakowało. Najboleśniejszym faktem było to, że w tym Danteskim piekle były dzieci. Tragiczny ich los wzruszyłby chyba i kamienie.

Wędrowali mali męczennicy w mrozy poprzez śniegi, o głodzie, pożerani przez wszy i dziesiątkowani chorobami, gasnąc po drodze, jak zdmuchnięte na wietrze świeczki. Sierocieli, samotnieli. Nieufność do wszystkich i wszystkiego stawała się ich najważniejszym rysem charakteru. Wytęchną życia było zdobycie jedzenia za wszelką cenę. Ani kradzieży, ani oszustwa nie poczytywano już w regulaminie dzieci-tułaczy, za grzech. Litość została wyeliminowana, soli-

darność podniesiona do zenitu, instynkt był ich przewodnikiem.

Kaziunia

Przywiał ją.

Bo jakże by inaczej te malutkie nożyny przebrnęły te wielkie śniegi. Buran¹ chyba chwycił ją w swoje białe łapy i rzucił aż tu, pod drzwi sierocińca.

Weszła opatulona szmatami, wyglądając jak lalka zrobiona z gałganów, która za niewiadomą przyczyną porusza się i mówi.

— Jeść — były jej pierwsze słowa.

— Pani, jeść — molestowała głosem, przypominającym do złudzenia zawodowych żebraków. Uczepiła się pierwszej napotkanej sukni.

— Jeść — skamlała.

Dali jej. Malutkie łapiny z trudem podnosiły do ust kubek z herbatą, a szczerbate zęby łapczywie wgryzały się w chleb. W miarę jedzenia poczuła przyjemne ciepło, rozchodzące się po żołądku. Powoli, niepewnym ruchem, zaczęła odkręcać łańchmany z głowy. Oczy rozpalonym złotem spojrzały dookoła nieufnie, badając, czy można zawierzyć otoczeniu. Trzymała szmaty swoje co prawda przy sobie, ale cóż to znaczyło wobec przeróżnych sztuczek złodziejskich. Czyż w Barnaule pocziwie wyglądająca staruszka nie ściągnęła jej ciepłej chustki z głowy, pod pozorem wyiskania wszy z włosów? I co? Czy odnalazł kto staruchę, odebrał jej chustkę, ulitował się nad nią, gdy płakała, lub dał jej w zamian jakąś szmatę? Nie. Zostawili ją samej sobie. Odmrożone uszy bolały przeokropnie.

— Och, — westchnęła ciężko na przykre wspomnienie.

— Kto cię tutaj przyprowadził? — pytały ciekawe dzieci.

— Siama przysła — odpowiedziała, dumnie podnosząc głowę.

— Ale jak?

1. Zamieć śnieżna.

— Tak — i zaczęła w susach przeskakiwać salę, to zatrzymuje się zmęczona, to znów dalej skacząc, jakby przez zaspy śnieżne.

— Tak.

— A jak ci na imię?

— Kaziunia.

— A nazwisko?

— Kaziunia.

— To imię, ale nazwisko? — indagowała ubawiona

Basia.

— Kaziunia — odpowiadała mała, bliska płaczu.

— Niech ci będzie Kaziunia. A gdzie twoja mamusia? Kaziunia wzruszyła ramionkami na znak, że nie wie.

— A tatuś?

Powtórzyła ten sam ruch.

— A babcia?

— Babcia, och, — jęknęła, — umarła, umarła... babcia umarła tam... tam... daleko. — I łyzy gradem potoczyły się po jej twarzyczce.

Dzieci od razu przestały się nią interesować. Płacz po stracie bliskich był tu powszednim, nudnym zjawiskiem.

Całą swą uwagę skierowały teraz na Krystynkę, zwaną powszechnie „akrobatką”. Miała ona niesłychanie giętkie kości i robiła „mostek” bez wysiłku, ku zazdrości innych dzieci. W tej chwili właśnie próbowała zrobić tak zwany „szpagat”, ale nie udawało jej się to, nie mogła sięść na ziemi.

— To nic, za to umiem „Mačka” — powiedziała i dumnie popatrzyła na zebranych.

— Jak umiesz, to zaśpiewaj — odezwała się krzątająca się przy piecu pani Marcinowa, karmicielka sierocińca, kobieta o złotym sercu i góralskim sentymencie.

— Umarł Maciek, umarł i leży na desce — zaczęła z ferworem Krystynka.

— Żeby mu zagrali, — podchwyciła Basia — podskoczyłby jeszcze!

Bo w Mazurze taka dusza,

Że choć umrze to się rusza,

Oj dana, dana, dana, daaana... — darły się dzieciaki, przekrzykując się nawzajem.

Wypogodziła się buzia Kaziuni, a w oczach zapaliły się złote iskierki.

— Może i ty co umiesz? — zachęcała ją Marcinowa, która rada by dzieckom nieba przychylić, a dla tej kruszyny poczuła od razu wielką serdeczność.

Kaziunia walczyła ze sobą przez chwilę, wreszcie zaczęła pośpiesznie rozwijać się z gałganów, — a było tego na niej co niemiarą, to w poprzek, to na krzyż zawinięte, i stare nogawki od spodni, kawałki spódnicy i worków. W końcu ukazała się chudziutka postać z buzią jak piastka, o ziemistej, pergaminowo przeźroczystej cerze, w połataney spódnicy i starym serdaczku, nałożonym na gołe ciało. Na nożynach miała coś przedziwnego, ni to buty, ni to łapcie, ni to nie wiadomo co.

Sprężyła ciało, podniosła główkę, a rączyny osadziła na bioderkach, — chwilę mruczała niepewnie coś pod nosem, potem mruczando przeszło w głośniejsze nucenie, nucenie, w śpiew, — i popłynęła sprawnie góralska melodia. Nożyny przytupnęły z dziwną siłą i Kaziunia ruszyła najprawdziwszym „dreptanym”.

Hej, coraz szybciej, coraz większe brała tempo. Hej, wykręcała się, podskakiwała, przytupywała!

Przestała już śpiewać — tańczyła teraz pod muzykę już przez siebie tylko słyszaną. Rumieńce oblały jej twarzyczkę.

— Już, — powiedziała, przystanawszy nagle — już, Kaziunia nie może. — I opadła na ziemię tak bezkrotnie, jak nie człowiek, a suknia, która spada z wieszaka.

— O mój Ty Jezusieńku, — zachlipała pani Marcinowa. — Tyle років nie widziałak „dreptanego”! — zaczęła z góralska. — Aj, pokarał Pan Bóg człowieka, że to ani chałupy, ani swoich ni mo. A tyżesz czyja, niebożatko ty moje? — pytała, podchodząc do dziewczynki i porwała ją na ręce, tuląc do siebie.

Ze wstrętem i bojaźnią odchyłała Kaziunia na wszystkie strony główkę, broniąc się przed wylewnością pani Marcinowej, wyszarpnęła się wreszcie z jej objęć i pobiegła szybko do swoich szmat, już z daleka przeliczyła je oczyma, a teraz dotykała jeszcze każdej z osobna. Nie miała żadnego zaufania do ludzi, ani do ich łez, ni do pocałunków. Gdy Marcinowa, nie dając za wygraną, ponownie zbliżyła się do niej, Kaziunia zgarnęła prędko szmaty w kupę, przycisnęła do siebie i spojrzeniem osadziła w miejscu idącą.

— Tfy, czary, czy co, — przeżegnała się Krzyżem Świętym Marcinowa, — zły chyba przemienił dziecko?

Zabobonny strach obezwładnił ją, wyraźnie patrzyły na nią rozwścieczone, wilcze ślepia.

— Odeńć stara, — warczał mały odmieniec, — odeńć!

— Mię Ojca i Syna, — powtarzała w kółko Marcinowa, trzępiąc rękami jakby dla odpędzenia czarów. — Mię Ojca i Syna. — Poczuła nagle pustkę w głowie.

Dzieciarnia, wyczuwszy słaby punkt Kaziuni, zaczęła droczyć się z nią, próbując wydrzeć jej łachmany. Mała dwoiła się, troiła, gryzła, drapała, kopała w obronie swego dobytku, czerwona z pasji, łypała złym okiem, warcząc:

— Odeńcie, odeńcie... nie dam... won...

Nie powstrzymało rozszalałej gromady stuknięcie drzwiami, ani zdumiony głos powracającej z miasta pani Stefani, opiekunki dzieci w przejściowym sierocińcu polskim we Wrewnskoje. Słowa jej zginęły w pisku i krzyku.

Plomień gniewu przeleciał po jej twarzy:

— Cóż to za nielitościwa zabawa? — krzyknęła.

Dzieci, przyłapane na gorącym uczynku, w mig rozbiegły się po kątach pokoju.

— Mogłaby pani Marcinowa mieć więcej rozumu i skarcić dzieci, a nie przyglądać się tak okrutnej zabawie — zwróciła się do stojącej bez ruchu Marcinowej.

Marcinowa wybuchnęła babskim, głośnym, zawodliwym płaczem, pociągając przy tym mocno nosem, czuła bowiem słuszność tych wyrzutów i zła była na siebie, że się tak niewłaściwie zachowała.

— Ej, nie wydziwiałyby pani Marcinowa, a wzięłyby się lepiej do przygotowania dla dzieci kolacji — pojednawczo powiedziała pani Stefania.

Marcinowa uznała tę uwagę również za słuszną i zniknęła za przepierzeniem.

Przez ten czas Kaziunia ubrała się już w swoje szmatki i zdążyła teraz do drzwi.

— Dokąd idziesz? — spytała ją pani Stefania.

— Tam — odpowiedziała, pokazując ruchem ręki nieokreśloną przestrzeń za drzwiami.

— Czy masz tu gdzie swój dom?

Kaziunia w odpowiedzi roześmiała się przykrym,

chrapliwym śmiechem i otworzyła drzwi. Zimno buchnęło do środka sierocińca.

— Czekaj, dokąd idziesz?

— Na foksal² — odpowiedziała poważnie mała.

— Masz tam rodzinę?

Kaziunia zaśmiała się tym samym śmiechem. Pani Stefania poczuła się nieswojo.

— Zostań, damy ci jeść — próbowała zatrzymać wychodzącą.

Kaziunia zawahała się.

— Ale zara? — zapytała, wpijając badawcze spojrzenie w oczy pani Stefanii.

— Tak, zaraz — odpowiedziała opiekunka, spokojnie wytrzymawszy wzrok małej, chociaż serce z niewiadomej przyczyny skakało jej do gardła.

Kaziunia weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Usiadłszy na ławce, z niepokojem odprowadziła oczyma znikającą za przepierzeniem panią Stefanię. Przy stole zaroilo się od dzieci, na które niechętnie popatrzyła. Pachnąca owsianka i chleb, rozdawane przez Marcinową, ożywiły nastrój i wnet Kaziunia, zapominając o urazie, weselszymi oczkami spoglądała na otoczenie. Po tym, nie wiadomo, — czy gorąca kolacja, czy zmęczenie towarzystwem tylu naraz dzieci, a może przyjemne ciepło w pokoju sprawiły, że Kaziunia zasnęła w miejscu, na którym siedziała. Jak ptaszek wtuliła główkę w ramionka i spała. Dzieci, za przykładem pani Stefanii, po cichu wstały od stołu i na palcach odeszły, by przygotować sobie posiłek.

Sierociniec we Wremskoje, a raczej tymczasowy punkt zborny dla opuszczonych dzieci, przedstawiał się tak samo żałośnie jak sieroty, które doń przyprowadzono z kołchozów, transportów i stacji. Po prostu była to duża szopa, przepierzona na dwie części, po środku której stał żelazny piecyk pokaźnych rozmiarów. Na tym to piecu, służącym zarazem do ogrzewania i gotowania, warzyła pani Marcino-wa w przedziwnych naczyniach, które kiedyś musiały być kotłami, trochę gorącej strawy. Szopę ozdabiała podłoga drewniana, na której w braku łóżek spały dzieci. Kilka stołów i ław, stojących pod ścianami, stanowiło całe umeblowanie. Szopę oświecała wisząca, kopczą lampą naftowa.

2. Dworzec kolejowy.

Dzieci przebywały tam w tych samych łachmanach, w których je przyjmowano, oczywiście po uprzednim przedezynfekowaniu w miejskiej „bani”³. Dwadzieścia ich gnieździło się tymczasem pod opieką pani Stefanii, oczekując łada dzień wyjazdu do sierocińca w Aszhabadzie, który według nadchodzących pogłoszek miał opływać wszelką obfitością.

Kaziunia oparta na stole spała tak smacznie, że pani Stefania postanowiła nie ruszać jej z miejsca, nakryła ją tylko kocem, a na wypadek zimna położyła obok niej drugi zapasowy.

Świt dopiero obudził małą, która przetrąwszy oczy, zaczęła się badawczo dookoła rozglądać.

— „Dietdom”⁴ — skonstatowała, patrząc na śpiące dzieci.

„Dietdom”. Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Prędko zwinęła jeden z koców w rulon, wsadziła go sobie pod pachę i cichutko zsunęła się z ławki, zdążając na palcach ku wyjściu.

— Kaziuniu, — zawołała cicho pani Stefania.

Mała stanęła jak wryta. Szybko odmierzyła oczyma odległość do drzwi. — Nie łapie mnie — pomyślała.

Dała susa, chwyciła za klamkę, szarpnęła, ale drzwi nie otworzyły się. Spróbowała jeszcze raz, lecz bez rezultatu. Zamknięte były na klucz. Przywarła do nich.

Puść — warknęła, patrząc dziko na wychowawczynię.

— Puść zara, puść! — krzyczała, tupiąc nogami — zara puść!

— Dam ci Kaziuniu najpierw jeść, a później, jeśli ci z nami było źle, pójdziesz sobie gdzie chcesz.

— Nie chcę jeść, puść pani, puść! — skamlała.

Dzieci zbudzone hałasem, ziewając siadały na posłaniu, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi, patrzyły na Kaziunię, która dziko wodziła po wszystkich oczyma, coraz mocniej przyciskając się do drzwi.

— Jak zostaniesz z nami, dam ci dwa kocyki i będzie ci ciepło, będziesz miała co jeść i z kim się bawić — namawiała ją pani Stefania.

— Nie chcę — upierała się mała i rzuciła na ziemię trzymany pled.

3. Łaźnia.

4. Sierociniec.

— Puść, puść, ojej, puść! — zaczęła prosić jęklonie
— puść, otwórz, otwórz.

— Dobrze, zaraz cię wypuszczę. Jeśli nie chcesz do-
browolnie zostać z nami, siłą nie będziemy cię trzymać.

— Alinko, pójdziesz za nią, — szepnęła do starszej
dziewczynki. — Jeśli ma rodzinę, to ją zostaw z nią, —
a jeśli nie ma nikogo, to przyprowadź ją tutaj z powrotem.
Zrób to umiejętnie, bo mała jest dzika. — Po czym pani
Stefania spokojnie podeszła do drzwi, wyjęła z kieszeni
klucz i otworzyła je.

Zimno, wpadające z dworu, na moment zatrzymało
Kaziunię w progu, ale tylko na moment. Opatuliwszy się
dokładniej szmatami, puściła się pędem biegnąc ile sił star-
czy przez drogę pełną kałuż, śniegu i błota. Biegła długi
czas nie oglądając się za siebie, aż wreszcie zmęczona przy-
stanęła i rozejrzała się dookoła. Niedaleko widać było bu-
dynek stacyjny, nie namyślając się ruszyła więc w jego
kierunku. Szła teraz wolno i ociężale. Głód zaczął jej doku-
czać, było zimno, łapcie jej przemokły i dreszcze wstrząsały
nią co chwila.

Stacja Wrewnskoje była małą stacją, na której daleko-
bieżne pociągi nie zatrzymywały się. O tej porze była pusta.
Zawiedziona w swoich nadziejach Kaziunia siadła na ławce,
stojącej przed dworcem i postanowiła czekać na jakiś po-
ciąg. Nadeszła Ala i przysiadła się. Kaziunia obserwowała ją
w milczeniu.

— Jedziesz? — zapytała wreszcie.

— Tak.

— A kiedy będzie kulej?

— Nie wiem, chyba nie prędko, bo stacja pusta.

Rozmowa się urwała. Kaziunia podkurczyła pod siebie
zmoczone nogi, mocniej zawiązała chustkę pod brodą i
próbowała drzeć. Zimno i głód nie pozwalały jednak
jej zasnąć.

— Zimno, — powiedziała, jakby w przestrzeń.

— Bardzo. — Przytaknęła Ala, chuchając w zmarz-
nięte ręce.

— Ni mas chleba?

— Nie mam.

— Jak psydzie esalon, to dadzom, — pocieszała się.

— Nie wiadomo, może dziś wcale nie będzie pociągu.

— Będzie, będzie, — ze strachem w głosie zawołała
Kaziunia.

— Tu zimno czekać.

— Zimno — przytaknęła, trzęsąc się.

— To wróćmy.

— Nie! — krzyknęła — nie puńdę w dietdom.

— Jaki dietdom?

— Oj, zeby kulej przysed, zeby przysed — lamento-
wała.

— Na pewno dziś nie przyjdzie, ja pójdę już z po-
wrotem — oznajmiła Alinka, wstając z ławki.

— Cekaj, cekaj, będzie esalon, będzie.

— No a gdzie pojedziemy, jak będzie esalon?

— Tamuj, tam — pokazywała rączką przed siebie
mała. — Nie idź, nie idź.

— Kiedy jestem głodna.

— Ojeja, ojeja, — skamlała czepiając się jej ręki
Kaziunia — nie idź, nie idź!

— Jak nie chcesz zostać sama, to chodź ze mną.

Kaziunia wahała się.

— Będą bili.

— Gdzie?

— W dietdomie.

— Ależ nasz to nie dietdom, to polski sierociniec,
z którego wyjedziemy do Aszchabadu, a z Aszchabadu do
Indii.

— Ojeja, ojeja — jęczała mała.

— Ty byłaś w dietdomie?

— Tak.

— Tam biją?

— Biją. Nie pónde, nie pónde.

— U nas nie biją. Kaziuniu. Chodź najesz się, ogrze-
jesz i zobaczysz. Jak ci się nie będzie podobało, to sobie
pójdziesz. Tutaj zimno tak czekać.

Kaziunia powtarzała „nie pónde, nie pónde”, ale szła,
trzymając się ręki Ali. Gdy otworzyły drzwi sierocińca,
buchnęło z nich przyjemne ciepło i zapach jedzenia.

Kaziunia prędko podbiegła do pani Marcinowej, usta-
wiającej na stole kubki i ciągnąc ją za spódnicę krzyknęła:

— Jeść, pani, jeść!

— W imię Ojca i Syna — przeżegnała się Marcinowa
— a ty się skąd wzięłaś znów przy moich kieckach?

— Jeść, — powtarzała w kółko Kaziunia — jeść.

— Zaraz dostaniesz, ale zdejmij najpierw mokre łapcie i postaw je koło pieca. Masz tu tymczasem suche — odezwała się pani Stefania, podając jej nowe buty.

Nie wzięła ich, wahała się. Zimno było co prawda w mokrych łapciach, ale jak je zdejmie, to nie będzie mogła uciec z tego dietdomu. Lepiej niech będzie zimno — pomyślała.

Pani Stefania postawiła buty przy piecu i odeszła.

Buty są duże — szacowała wzrokiem Kaziunia — ale ładne, prawdziwe. Że duże to nic, można nogi owinąć szmatami i już. Tylko czy mogłaby w nich uciec? Czy nie przewróciłaby się? Muszą być ciężkie — rozmyślała. Urzekły ją te buty. Podeszła do pieca, siadła na podłodze i zaczęła zdejmować łapcie, zrobione z opony gumowej, które były w strzępach. Troskliwie ustawiła je koło ognia, rozkładając przy nich mokre onuce. Nożyny jej przedstawiały widok bardzo żałosny. Pięty miała poobcierane do krwi, palce odmrożone, pokaleczone i opuchnięte.

— Bardzo cię nóżki bolą? — zapytała, podchodząc do niej współczująco pani Stefania.

— Oj bardzo, — jęknęła Kaziunia i jednocześnie złapała za buty, przyciskając je do siebie kurczowo.

— Ależ ja ci butów nie zabiorę — roześmiała się wychowawczyni. — Chcę zobaczyć tylko twoje nóżki.

— Tu boli — pokazała na ropicającą ranę na paluszku Kaziunia.

— Zaraz ci pomożemy. Basiu, przynieś apteczkę — zarządziła pani Stefania.

Basia, jak fryga, zawinęła się po pokoju i przyniosła małą walizeczkę, oraz torbę ze znakiem Czerwonego Krzyża.

— Nie kce, nie kce — wołała przerażona Kaziunia, biegnąc z butami w ręku do drzwi.

— Czemu uciekasz? — powstrzymała ją Ala. — To nic strasznego, nie będzie bolało. Ja też miałam chore nóżki i pani mi je wyleczyła. Nie bój się.

Kaziunia nie wiedziała co robić. Nogi rzeczywiście bolały ją. Bała się jednak poddać zabiegom.

— Ale najpierw jeść — rzekła, aby się wyłgać.

— Dobrze — zgodziła się pani Stefania, — usiądź, na ławce, bo się zaziębisz, stojąc boso.

Kaziunia posłusznie usiadła. Marcinowa postawiła przed nią kubek z gorącą owsianką i położyła sporą pajdę chleba.

— Niech ci będzie na zdrowie — powiedziała, znikając za przepierzeniem, by przyszykować śniadanie dla pozostałej gromadki, która tymczasem urozmaicała sobie oczekiwanie na posiłek w swoisty sposób.

— Wijo, wijo! — poganiał Zbyszek jego braciszek.

— Wijo, wijo! Bęc! — i Zbyszek przewrócił się jak długi. Leżał teraz na ziemi, wierzgając i rżąc jak konik.

— Wijo, wijo! — krzyczał Tadzik, ciągnąc go za sznurki.

— Wijo, wijo, — zawtórowała, zanosząc się od śmiechu Kaziunia. — Wijo, wijo, — podniecała ich do zabawy, waląc łyżką w stół.

— Smakowało? — zapytała pani Stefania podchodząc do niej.

— Tak, — nie odrywając oczu od bawiących się chłopców, odpowiedziała w roztargnieniu.

— To można opatrzyć nóżkę.

— Nie teraz — skrzywiła się.

— Im prędzej się nóżka zagoi, tym prędzej bawić się będziesz z dziećmi.

— W kunie?

— I w konie także.

— Gorąco — powiedziała mała kręcąc się na ławce.

— To zdejmij fufajkę — zaproponowała Ala.

— Nie! — tyle zaufania nie miała jeszcze do otoczenia, ale było jej bardzo gorąco. Po chwili namysłu zdjęła chustkę z głowy.

— Przeniosę cię do drugiego pokoju, bo tutaj dzieci muszą jeść śniadanie — i pani Stefania bez oporu wzięła ją na ręce.

— Buty — krzyknęła nagle przerażona mała, wyrwając się z objęć, — buty!

Krystynka, akrobatka, z zabawną minką wyłowiła spod ławki cenny skarb i podała go właścicielce.

— Ojeja, ojeja — jęczała za chwilę Kaziunia, patrząc ze strachem na palce pani Stefanii, przygotowującej bandaże i watki z maścią — ojeja, ojeja.

— Czego jęczysz? — zaśmiała się Alinka, — przecież pani jeszcze cię nie dotknęła.

— Ojeja, ojeja — trzęsła się mała. — Nie kce! — wrzasnęła, gdy zobaczyła, że mają jej rozpocząć opatrunek. — Nie! — szarpnęła się, ale pani Stefania przytrzymała mocno nogę obmyła ranki, przyłożyła masę i zabandażowała stopę.

— Bolało? — zapytała pacjentkę po skończonym zabiegu.

— Nie.

— No widzisz, a tak się bałaś. A teraz poleżysz sobie do obiadu i prześpisz się trochę. Alinko, zajmij się małą, ja tymczasem pójdę na dworzec i sprawdzę, czy będzie obiecany na jutro wagon.

— A właśnie, proszę pani — wtrąciła się Marcynowa, — warto by i o ten chleb na drogę pogadać żeby dzieciśka nie były głodne. Bo to obiecują, obiecują, a potem nic z tego nie ma. Niech lepiej tutaj dadzą chociaż 60 kilo, to starczy na całą drogę.

— Zeschnie się.

— Suchy nie suchy, ale zawsze to chleb i jak się jest głodnym, to zjeść go można.

— Proszę pani, a o której wyjazd? — zaciekawiła się Basia.

— O ósmej rano.

— Czy wszyscy jedziemy? — zapytała Krystynka.

— Wszyscy, poza panią Marcinową, która zostaje i będzie tutaj karmić nową gromadkę.

— A kiedy przyjadą nowe dzieci?

— W tych dniach, zaraz po nas.

— Oj będzie mi bez was, robaczki moje, smutno — zafrasowała się, wycierając końcem fartucha oczy, Marcynowa.

— I nam bez pani Marcinowej, i nam! — krzyczały dzieci, rzucając się na szyję uszczęśliwionej tym kobiecie.

Alinka i Basia w czasie mojej nieobecności będą pilnowały porządku — zadysponowała wychodząc pani Stefania.

Kaziunia usłyszała trzask zamykanych drzwi. „Eszalon — kulej — foksal” kołowało w jej głowie. Może pojedą, a ją tu zostawią? Zerwała się prędko z posłania, złapała buty i ciągnąc za sobą pled, stanęła u progu pokoju. Na jej widok dzieci gruchnęły śmiechem.

— Co się stało? Dokąd idziesz? — spytała zdziwiona Ala.

— Na foksal.

— Ależ jutro wszyscy pójdziemy na foksal.

Kaziunia patrzyła na Alę niedowierzająco.

— Słyszałaś przecież, — tłumaczyła Alinka — pani tak mówiła.

Nie przekonało to jednak małej, która stała, nie wiedząc co robić. Dzieci przestały się nią interesować i wróciły do porzuconych rozmów, zabaw i zajęć.

— Wio, wio! — krzyczał teraz Zbyszek na Tadzika.

— Wijo, wijo! Do Aszchabadu! — i latali po pokoju jak zwariowani.

— U... u... u... — naśladując lokomotywę biegała, bawiąc się sama i zderzając się co chwila z innymi dziećmi, mała Marcelka, siostra Ali.

Kaziunia wróciła na swoje posłanie i usiadła zamyślona. Twarzyczka jej posmutniała, zmęczonym ruchem odgarnęła spadające na oczy włosy. — Na foksal, och! na foksal — ciągnęła ją jakaś magnetyczna siła... na foksal.

Spróbowała nałożyć na bandażę but, ale syknęła z bólu.

— Czemu to robisz? — zapytała, siadając przy niej Alinka.

— Na foksal, na foksal, — z maniackim uporem powtarzała Kaziunia. Na foksal ciągnęło ją, pędziło ją, a nie miała sił.

— Ach, — westchnęła ciężko, jak dorosły człowiek.

Alinka współczująco objęła ją za szyję, ale mała wyszarpnęła się z jej ramion i rozpłakała się.

— Cicho, cicho kochanie, — tuliła ją Ala — cicho, cicho, uspokój się. Biedne malutkie serduszko, jak to bije niespokojnie, Kaziunia słyszy? O, bum, bum, bum, bum, — mówiła, kładąc rękę na piersiach dziewczynki. Kaziunia powoli uspokajała się.

— Marcelciu, Marcelciu, chodź tutaj i przynieś swoje kuleczki — zawołała Ala na siostrzyczkę.

U... u... u... — zadudniło i jak bomba wpadła Marcelka, udając wciąż lokomotywę.

Buch! — i padła raczej, niż siadła na posłanie. Kaziunia cofnęła się nachmurzona.

— Odeńć, — burknęła, — odeńć.

Marcelka nie zrażona, trzęsła piąstkami przed oczyma Kaziuni wykrzykując:

— Mam kulecki, mam kulecki.

— Odeńć, odeńć, — powtarzała coraz łagodniej Kaziunia.

— Mam kulecki, mam kulecki, — przekrzywając główkę i marszcząc przy tym przezabawnie zadarty noseć, wykrzykiwała Marcelka.

— Mam kulecki, mam kulecki. O! — zawołała. Otworzyła piąstki i posypały się kolorowe kuleczki.

— Sariki⁵ — wyszeptała z zachwytem Kaziunia — sariki. Hi, hi — zachichotała z jakiejś wewnętrznej uciechy. Brała kolejno kuleczki w ręce, głaszcząc je i oglądając w zachwycie. — Sariki, sariki.

Ani się spostrzegła, jak Marcelka wciągnęła ją do zabawy. Ach, bo kuleczki stanowiły niewyczerpane źródło uciech: kolorowe, można je oglądać, sprzedawać, kupować, tocząc się zabawnie z hałasem i bez.

— Bęc! — wykrzykiwała Marcelka, rzucając kuleczką w Kaziunię.

— Bęc! — odwzajemniała się Kaziunia, rzucając kolorowym „szarikiem” w Marcelkę. Marcelka nie umiała chwytać kuleczek, które uciekały nieraz aż na środek pokoju.

— Ha, ha, ha, — śmiała się Kaziunia, trzymając się obydwoma rączkami za brzuszec — ha, ha, ha! Marcelka niezgrabia!

A Marcelka na czworakach goniła niesforne kuleczki, krzywiąc groźnie noseć. Czas mijał, zabawa trwała.

— Dzieci, obiad gotowy — oznajmiła pani Marcynowa. Ale one nie słyszały, pochłonięte zabawą.

— Jakże się Kaziunia miewa? — spytała małą pani Stefania, wróciwszy z miasta. — Jak nóżki, bolą jeszcze?

Spojrzały na nią zachwyczone, dziecinnie rozbawione oczy.

— Sariki, sariki, — radowała się Kaziunia pokazując kolorowe kuleczki, — sariki.

Ciepło spłynęło do serc kobiet, wypełniła je tklivość. Poczuły nagle, że kochają to dziwne maleństwo, idące w obcy, nieznany świat samo, z bagażem swego imienia tylko.

5. Szariki — szklane, okrągłe paciorki.

— Sariki, sariki, — upajała się Kaziunia, — sariki, sariki.

— Skąd znasz „szariki”? — spytała ją pani Stefania, której zaświtała nagle myśl, że pewnie mała była z rodziną na Uralu, gdzie więźniowie pracowali w fabrykach koralików, zwanych „szarikami”. — Skąd znasz szariki?

— Wuniek dawał — odpowiedziała z rozjaśnioną twarzą Kaziunia.

— Wuniek? — powtórzyła pani Stefania, nie bardzo rozumiejąc co to znaczy.

— Acha, — potwierdziła Kaziunia — wuniek doubly, bardzo doubly.

— „Wujek” — przyszło do głowy pani Stefanii — a gdzie jest twój wujek?

— Tam — pokazała przed siebie rączką Kaziunia.

— Nie wiesz jak się nazywa to miasto, posesiołek lub łagier?

— Tamuj, — odpowiedziała znów i twarzyczka jej posmutniała, — tamuj, — powtórzyła już jakby do siebie. — Tamuj — westchnęła.

— Biedactwo, — ze współczuciem szepnęła pani Stefania do Marcynowej. — Może z czasem będzie można natrafić na jakiś ślad jej rodziny, tymczasem zapiszę ją do ksiąg sierocińca tylko z imienia „Kaziunia”.

Marcynowej łyzy zakręciły się w oczach, wyszła prędko z pokoju, by się nie rozpłakać.

— Obiad gotowy — rzuciła na odchodnym.

Kaziunia poderwała się, by iść za nią.

— Nie, nie — zatrzymała ją pani Stefania — ty i Marcysia dostaniecie obiadek tutaj. Muszą się nóżki wyleczyć, bo jutro jedziemy.

— Na foksal, — ucieszyła się Kaziunia, — na foksal.

Zjadła grzecznie obiad; po obiedzie, tak jak ją proszono, spała. Przez resztę dnia była idealnie posłuszna. Za to w nocy co chwilę budziła to panią Stefaninę, to Marcynową, to Alinkę, a wreszcie i małą Marcelkę, mówiąc, że czas na foksal, na kulej, na eszalon. Czekwała niecierpliwie ranka, śniadanie zjadła prędko i już stała przy drzwiach. Oczy miała rozszerzone i nienaturalnie lśniące. Och, żeby drzwi nie były zamknięte na klucz, dawno by już sama pobiegła na dworzec.

— Boże, co się z tym dzieckiem dzieje — myślała ze smutkiem pani Stefania.

— Mam kulecki, mam kulecki, — przyskoczyła Marcelka, trzęsąc piąstkami.

— Gupia — z pogardą burknęła Kaziunia, wykręcając się do niej tyłem — gupia.

Gdy w końcu ruszono w drogę, biegnąc na dworzec wyprzedziła wszystkich. Gnał ją dziki strach, że „kulej” może odejść. Wpadła na peron zdyszana podbiegła prędko do towarowego wagonu i stanęła przy nim. Dopiero wtedy odetchnęła z ulgą. Eszalon jest... kulej jest... to było najważniejsze. Będzie jechać. Dokąd? Po co? — takich pytań nie zadawała sobie. Tam gdzie przebywała dłużej na miejscu, z wyjątkiem dni, gdy jeszcze była z wujkiem i z babcią, było jej zawsze bardzo źle, bili ją, i była głodna. Jeżdżąc, żywiła się jakoś i była swobodna.

— Eszalon tu, eszalon tu, — krzyczała, widząc wsiadające dzieci do innego wagonu. Pobiegnęła do pani Stefani. — Eszalon tam, eszalon tam, — wskazywała ciągnąc ją za rękaw.

— My jedziemy w wagonie osobowym, tam jest wygodniej, niż w towarowym — tłumaczyła jej Ala.

— Eszalon tam, eszalon tam, — upierała się Kaziunia, nie rozumiejąc dlaczego nie chcą jej słuchać. Eszalon, wagon towarowy, był jak na jej wymagania bardzo wygodny, wszyscy Polacy nim jeżdżą, ona przecież wie najlepiej.

— Pojedziesz tym wagonem, co i my — zdecydowała pani Stefania.

Kaziunia rozpaczliwie powiodła oczyma po eszelonie, wszystkie drzwi były pozamykane. Niechętnie dała się zaprowadzić Ali do wagonu.

Pociąg ruszył, na stacji została, ocierając łzy, Marciniowa. Dzieci z okien machały do niej na pożegnanie rękami, przesyłając całusy i serdeczne słowa.

— Proszę teraz siadać każde na swoim miejscu. — Zarządziła pani Stefania, gdy już minęli stację. — Kaziuniu, twoje miejsce będzie tutaj przy oknie.

Dzieci rozlokowały się. Kaziunia przycupnęła na ławce obok Marcelki.

— Kulej jedzie, kulej jedzie — cieszyła się pokazując małej sąsiadce znikające budynki.

Marcelka z przejścia wysunęła koniec języka. — U... u... u... — wrzasnęła wreszcie, — u... u... u...

— Wijo kulej, wijo kulej, — popędzała pociąg Kaziunia.

— Wijo kolej, wijo kolej, — zawtórowali Tadziki i Zbyszek.

— Wijo, wijo, do Aszchabadu! — rozkrzyczały się dzieciaki.

Pani Stefania rada była każdej wesołości dziecięcej, tym bardziej, że była ona u nich nieczęstym zjawiskiem. Smutek i przygnębienie przeważały w ich życiu, łyły były stałym towarzyszem, a śmiech tylko rzadkim gościem. Nie sądzonym jednak jej było odbyć tę podróż w spokoju, bo gdy pociąg zatrzymał się na dużej, węzłowej stacji, a dzieciarnia rzuciła się do okien, — zanim ktokolwiek się spostrzegł, Kaziuni już nie było w wagonie. Zniknęła w niewiadomy sposób, nikt nie widział jej wysiadającej.

— Uciekła, jednak uciekła — smuciła się pani Stefania. — I co z nią będzie? Zginie z głodu, lub choroby. Mój Boże! — łyły napłynęły jej do oczu, robiła sobie wyrzuty, że może nie dość serdecznie opiekowała się małą. Przeszukała wagon i stację bez rezultatu. Może jeszcze wróci, — pocieszała się — może wróci. — I w tej nadziei stała w otwartych drzwiach wagonu, wypatrując dookoła zguby.

Nagle z daleka zobaczyła figurkę przeskakującą tory, serce zaczęło jej bić gwałtownie. Kaziunia z zaciętością pokonywała przeszkody, za duże buty utrudniały jej bieg. W jednym ręku niosła naczynie blaszane, z którego wychłapywała się woda, drugą ręką przytrzymywała bochen chleba.

— Na, — powiedziała, cała czerwona z wysiłku, stając przed nauczycielką. — Na, — i postawiła przed osłupiałą panią Stefanią naczynie.

— Co to?

— Kipiatok, — chytrze uśmiechnęła się Kaziunia, — na i toto, — dodała, podając chleb.

— Kto ci to dał?

— Wzienam — odpowiedziała.

— Skąd?

— Tam — pokazała na stację.

— U kogo?

— U baby — zachichotała.

— A baniak?

— Tes.

Nie było czasu na dalsze indagacje. Pani Stefania wsadziła dziewczynkę do wagonu i pociąg ruszył. Kaziunia z pośpiechem zajęła miejsce przy oknie, z zainteresowaniem wpatrując się w mijany budynek stacyjny.

— Foksal, foksal — mamrotała pod nosem.

Nagle zachichotała złośliwym, charkotliwym śmiechem, z lubością przeżywając raz jeszcze scenę oszukania staruchy, której ukradła baniak i chleb.

Dobrze się spisała — była zadowolona z siebie.

A przecież Kaziunia miała nie więcej niż pięć latek.

JÓZEF CZAPSKI

Urodzony w 1896, w Mińszczyźnie, artysta-malarz i pisarz.

Zmobilizowany w 1939 jako oficer kawalerii w rezerwie, wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną 27 września, wraz z dwoma spieszonymi szwadronami 8-go pułku ułanów, wywieziony do obozu jeńców wojennych w Starobielsku na Ukrainie. Wiosną 1940 obóz został partiami ewakuowany w niewiadomym kierunku. Czapskiego przerzucono przez obóz przejściowy w Pawliszczew Borze do obozu w Griazowcu pod Wołogdą, gdzie przebył rok następny, aż do „amnestii”, w towarzystwie 400 kolegów, wybranych z trzech jenieckich obozów. Na 3.920 jeńców starobielskich pozostało przy życiu około 70, reszta zginęła, a miejsca ich przypuszczonego stracenia dotychczas nie odkryto. Generał Anders, dowódca formującej się w Rosji Armii Polskiej, zlecił Czapskiemu poszukiwania zaginionych wojskowych z trzech obozów: Starobielsk, Kozielsk i Ostaszków, których losy zostały po części wyjaśnione dopiero po odkryciu, przez Niemców w 1943, grobów katyńskich, pod Smoleńskiem.

Podjęte w celu zleconych mu poszukiwań wędrówki po Rosji opisał Czapski w książce pt. „Na nieludzkiej ziemi” (Instytut Literacki, Paryż 1949, drugie wydanie 1962), tłumaczonej na francuski i angielski. Pamięci zaginionych kolegów poświęcił „Wspomnienia Starobielskie”, tłumaczone na włoski, francuski, hiszpański, portugalski i angielski. Po wojnie osiadł we Francji.

Poniższe opowiadania były drukowane w „Orle Białym” i w londyńskich „Wiadomościach”.

ARTIEM

„Dosyc mam tych swiatow i tych widokow” — powiedzial mi z irytacja, jeszcze w 1943 roku, sympatyczny

pułkownik w kabinie wznoszącego się samolotu, kiedy mu pokazywałem „skaczący” w okienku brunatny Bagdad, turkusowe kopuły meczetów, niezmierny horyzont pustyni i wielką, coraz to inaczej ukośnie do okna ustawioną taflę Tygrysu, w haszczach szarych palm.

„Udławić się można, ciągle te parszywe figi i figi” — skarżyli się żołnierze w Persji, a w Palestynie z namietnością urągali na pomarańcze, żaląc się ciągle na brak kartofli.

Ogromna większość rzuconych na wschód obywateli polskich w 1939/40 r. nigdy głodu przygód nie odczuwała. Ci ludzie, przeważnie z kresów, wrosnięci głęboko w swój skrawek ziemi, w swoje miasteczka i wioski, lasy, łąki i niskie niebo kresowe, w nieustanny trud, inny o każdej porze roku, ci ludzie nie wybiegali pragnieniem poza świat jedynie sobie znany.

My, którzy marzyliśmy o podróżach, o egzotyce, wbrew tragicznym warunkom, miewaliśmy przeżycia, nawet olśnienia, pamiętam prof. Ralskiego, botanika, który nawet w październiku 1939 r., pędzony bydlęcym wagonem do Starobielska umiał zapomnieć o wszystkim, wpatrując się z pasją w badyle sterczące spod śniegu na stepach ukraińskich. Ale tym ludziom, których marzenia nie wychodziły poza horyzont, w którym się urodzili, poza ziemię, na której od zawsze pracowali, wyrывая ich z korzeniami z ich gruntu zabierano *wszystko*.

Odczułem to z całą siłą, spotykając w 1944 roku we Włoszech Artiema.

Artiem, gajowy spod Pińska, znalazł się razem z wojskiem polskim zimą z 44 na 45 pod Forlì, gdzie wtedy szła linia frontu, w Predappio, mieście rodzinnym Mussoliniego, zdobytym przez naszą Piątą Dywizję w rocznicę marszu na Rzym.

Sypał gęsty śnieg. Była odwilż. Gruba warstwa śnieżnego puchu, pokrywała głębokie lepkie błoto i kałuże. Dobrnąłem do zbocza górskiego, gdzie kwaterował ze swoim PAL'em major S. Nakarmił mnie gościnnie z menażki obiadem żołnierskim, poczęstował winem, zapalił na kominku. Wyglądał dobrze, nawet zażywnie. Był pełen humoru i dobroduszości. Patrząc w jego sympatyczne, siwe oczy, widziałem go w myśli, jak mi się ukazał po raz pierwszy, w styczniu 1941 roku, w Turkiestanie. Miał

wówczas na sobie fufajkę w strzępach, płamy cyngi na całym ciele, i był chudy do śmieszności. Zgłosił się do wojska, jadąc prosto z Kołomy, przez Buchtę-Nachotkę. Opowiadał mi pierwszy dokładnie to, co potem o tym kraju nieszczęsnym słyszałem gdzie w kopalniach złota i miedzi pracują setki tysięcy zesłańców, dokąd się wysyła takich, którzy już więcej stamtąd nie mają wracać, gdzie w niektórych obozach 70% wymiera przez jedną zimę, gdzie zima trwa 10 miesięcy i już we wrześniu dochodzi do 40 stopni mrozu i trzeba budować tunele w śniegu... tysiące kilometrów dróg, utrzymywanych przez tysiące zesłańców, by mogły kursować auta wielkorzędców tamtejszych, dostojników NKWD. Wybrałem się do niego z daleka, bo chciałem, żeby mi więcej opowiedział o tym kraju, o którym poza Rosją, poza zesłańcami, (bo *wyłącznie* zesłańcy żyją w tym kraju wzdłuż rzeki Kołomy, ostatniej wielkiej rzeki na wschodzie Syberii), nikt nic nie wie, o którym ja sam z imienia dowiedziałem się dopiero wtedy, kiedy nasi stamtąd bardzo szczupłą garstką zaczęli wracać.

Major S. jednak nie był usposobiony do opowiadania: „Cóż ja Panu będę opowiadał? Co wiem o Kołymie, już Panu opowiadałem, spisałem nawet. Zapoznam Pana lepiej z Artiemem, on Panu powie o wędrówkach po Amu-Darii, których Pan nie zna. Jest on żołnierzem naszego PAL'u, Białorusinem, wszyscy go bardzo lubimy i cenimy, niech on Panu *swoje* wędrówki opowie. Jest on chłopem prawosławnym spod Pińska” — ciągnie dalej major — „dobry rzemieślnik, wykonuje u nas całą potrzebną stolarską robotę, on również zrobił ten stołek, na którym Pan siedzi. Dobrze pracuje, jest spokojny, zrównoważony, tylko czasami napada go straszna chandra. Wtedy koledzy spod ziemi gotowi by mu wydostać szklanekę wódki czy spirytusu. Artiem wtedy wódkę pije, a nasi chłopcy dają mu do rąk harmonię, wówczas przez parę godzin gra na harmonii, zawsze te same białoruskie piosenki, i to go uspokaja”.

Po chwili siedział już Artiem razem z nami przy kominku i każdy z nas miał w ręku szklanekę wina. Było ciepło, choć śnieg padał poza oknami. Artiem miał twarz bardzo białoruską, ciężkie rysy, ciemne zwisające wąsy i czarne oczy pod gęstymi brwiami. Wieś jego była 60 km odległa od Pińska. Miał 3 ha ziemi, jeden ornej,

dwa łąki, poza tym był gajowym, mistrzem od podchodzenia cietrzewi i głuszców. Rozmowa potoczyła się zaraz i bez trudności. Czuć było, że Białorusin mówi z zupełną prostotą i zupełną ufnością. Ta historia była bardzo prosta, podobna do historii tysięcy Polaków, Białorusinów, Żydów i Ukraińców, wyrwanych ze swej ziemi i spod swego nieba, jedna z tych historii, o której nikt na kuli ziemskiej wiedzieć nie chce, bo pono opowiadanie tych historii świadczy o wstecznictwie i utrudnia nastanie na świecie ostatnich i najbardziej nowoczesnych form demokracji.

Patrzałem na spokojną twarz Artiema, tego człowieka „bez zdrady”, i myślałem sobie, że Białorusini, ten etnicznie najczystszy szczep słowiański, dlatego może odgrywali w historii rolę mniejszą niż ich sąsiedzi i nigdy świata nie próbowali zdobyć, bo byli najcichsi, najmniej drapieżni i najmniej pyszni ale serdeczni i bliscy jak ten pejzaż białoruski z czarnymi niskimi chatami o rzeźbionych ramach okiennych z traktami wśród starych brzoź, gęstymi lasami, łąkami pełnymi różowych smółek, żółtych pełników i białych wełnianek.

„Jak bolszewicy do nas przyjechali w 39 roku to byli z początku bardzo grzeczni” — rozpoczyna swoją opowieść Artiema. „I tak byli trzy miesiące z nami, tylko broń zabrali. Ale 10 lutego to przyszli do nas w nocy do domu i zabrali wszystkich na stację. Mnie zapakowali do wagonu z żoną i czwórką dzieci, najstarsza córka została, bo była zamężna, i wywieźli nas do Archangielska. Kiedy moja siostra dowiedziała się, że nas wywożą (ja był wywieziony, bo ja gajowy), to biegła na stację, żeby z nami pożegnać się, ale ten bolszewik powiedział, że podejść nie wolno i mocno pchnął kolbą; nu, ona upadła w śnieg, jak potem dowiedział się w Archangielsku, to na miejscu umarła tam na rozryw serca. Zamknęli do wagonu i tak my jechali 3 tygodnie. Dojechalśmy do Archangielska, a potem po Dźwinie na lesopunkt Orlecy 200 km. Tam byli my półtora roku. Córka 17-letnia zmarła, leczenia nie było, a musiała chodzić co dzień ładować pale w wielki mróz”.

„Czy żona pana także chodziła na te roboty?”

„Nie, ja sobie powiedział: niech ja sam będę w tiurmie, ale żony nie puszcze, i ona tak była w domu za gospo-

dynię. Było nas tam sto jedenaście tysięcy: osadniki, leśniki, nawet jakiś starosta, zapomniał jego nazwisko”.

„Skąd pan zna tę cyfrę?”

„Nu, tam wszyscy mówili i nawet w gazetach pisało, że nas jest tyle. W sierpniu 1941 roku my stamtąd wyjechali, stali nie dawać chleba, przedtem to dawali 600 gramów chleba na pracującego, a 300 na dziecko”.

„A co dawali poza tym?” — pytam.

„Nu, poza tym, to była sama woda, tylko zupa. Tłuszcz żadnego my nigdy nie dostali”.

„Tam my pracowali, aż powiedzieli, że jest amnistia, że jest wojsko polskie i że wolno wyjeżdżać do tego wojska. To my i wyruszyli wtedy. Z początku do Kotłas, aż tam udało się nam dojechać bezpłatnie. Jakoś weszli na parostatek, nu i nie zapłacili, a tam już był polski punkt. I nam tam powiedzieli, że trzeba jechać w Orenburh, co teraz nazywa się Czałow. Kupcie wahon, powiedzieli to wam będzie taniej, nu i my taki wahon kupili, i zapchali jak najwięcej ludzi, żeby tańsze wyszło. Było nas w wahonie 109 i zapłacili po 42 ruble. I tak my jechali 100 dni, stojali wszędzie, ale na Sybir nas powieźli, wcale nie do Orenburha, a potem z tej Sibiry powieźli do rzeki Amu-Darii”.

Był to okres, kiedy wojsko polskie formowało się na stepach nadwołżańskich, bez sprzętu, w letnich namiotach.

Fala ludzka płynęła zewsząd z żywiołową siłą ku wojsku. Tysiące i tysiące wynędzniałych, wyniszczonych, wśród których było wielu starców i dzieci, przybywały na step nadwołżański, gdzie nie było ani warunków sanitarnych, ani nawet dachu, gdzie był nawet brak letnich namiotów a przedwczesne mrozy i śniegi chwyciły już od początku października. W grudniu zapadła decyzja przerwania wojsk do Turkiestanu. Eszelony ludzi płynących ku wojsku zaczęły władze sowieckie kierować na południe, nie licząc się z tym, że tam w ogóle *nic* nie było przygotowane, i że wojska polskiego jeszcze tam nie było ani śladu. „Uwolnionych” z dalekiej Północy nawet po przybyciu do Turkiestanu nie dopuszczano do jakichś większych ośrodków, a rozpychano po przeważnie najgłodniejszych i najgłodniejszych kołchozach turkietańskich i uzbekistańskich. Tysiące gnano barkami ku morzu Aralskiemu, na tę dziką od Boga i ludzi zapomnianą pustynię.

„Na Amu-Darii to nam kazali jechać po tej rzece. Naładowali nas wszystkich do barek, a parostatek nas ciągnął aż do Nukusa. Na drogę dali nam jedzenie na 4 dni, a my jechali dni 16. W nocy barki stali na środku rzeki i dużo ludzi stało umierać. Z pięćdziesiąt wyrzucili do wody, Raz w nocy to nam udało się przybliżyć do brzegu i dobrać się do kołchozu. Nu, my tam zabili dwa iszaki (osły po uzbecku), parę baranów i zaraz tam zaczęli piec i jeść. NKWdzisty poprzylatywali, hałasu narobili, ale bali się ruszyć. Tylko, że już na drugi raz to na noc barki zatrzymali na środku rzeki, a pod brzeg nie dopuszczali. Codziennie z 15 ludzi umierało z głodu, a jak głód, to i choroba”.

Artiem opowiada dalej matowym głosem, bez pośpiechu już pewnie wiele razy opowiadaną historię swego życia.

„Co pan robił, pytam, że nikt z was z głodu nie umarł?”.

„Ja to w jednym miejscu nakradł kapusty, my w tej barce robili ogień i gotowali tę kapustę, były na tej barce sznury, to my cięli te sznury na kawałki, moczyli ropą i robili ognisko. Barki były żelazne, deski wszystkie pozrywali, tak że nie było ani jednej. Tak to my przyjechali do tego Nukusa. Potem wzięli nas na pływaki do miasta Czymbaju, na południe od morza Aralskiego, a stamtąd po czterdziestu rozesłali po kołchozach. Jechało nas na tych barkach 7.000. Do nas wtedy też przyszedł jeden żołnierz obdarty, ja mu dałem ubranie i córki buty, tej co zmarła. Nu i tak my żyli. Czasami w nocy ukradli worek kartofli, kota, psa, w nocy upiekli i zjedli. Te Uzbeki, co tam żyli, to się jakoś inaczej nazywali. Dawali nam do jedzenia dzugał, po kilogramie dziennie, gotowali my to, bardzo twarde, jak duże proso”.

„Czy otrzymywaliście jaki tłuszcz?” — pytam.

„Może niektóre w Rosji gdzie tłuszcz jedli, ale ja ani jednego grama tłuszczu przez całą Rosję jak był, to nie dostałem, tylko jeden raz, jeszcze na lesopunkcie my same robotnicy trzy konie zastrzelili i zjedli, bo już wytrzymać nie mogli”.

„Jakżeście to mogli zrobić?”.

„Nu to my mieli na to specjalny sposób, wjeżdża się z koniem w lesie w taki gąszcz i w takie miejsca, gdzie koń musi nogę złamać, to my brali takiego co tłustszy, nu i on łamał nogę. A potem trzeba było zastrzelić. Oni potem straszili komisją, ale nic nie zgodli kto i jak.

Gdzie tylko my byli, wszystkie psy i koty były wymordowane, bo my ich zjadali, a także jedli mięso iszaka, nawet taki mieli sposób na iszaków, jeden do mnie przyszedł, żeby ja jemu przygotował długi szpic, to jemu z przeproszeniem iszakowi ten szpic w dupę pchali, tak że iszak zdychał, a Uzbek nic nie wiedział i wyrzucał zdechłego na śmieci, a my jego wtedy brali i jedli.

Po jakimś czasie te Polaki, co byli zdadne do wojska, to ich odesłali z tych kołchozów do wojska. Wtedy wyjechał ten żołnierz, co był z nami, wtedy ja się dopiero dowiedział, że jest on oficer i jest w 7 dywizji.

Ale my, znaczy się ja z rodziną, wyjechali z kołchozu dopiero w grudniu i znowu nam dali jedzenia na 4 dni. I znowu my jechali 16. Dali chleb, ryby, i każdemu mąkę po białym kubku na dzień. W tej drodze powrotnej umierało jeszcze więcej, jak dojeżdżali do Faraby, to w jednej barzy samej było 85 trupów niewyrzuconych, bo przedtem to co dzień z każdej barzy wyrzucali trupów kilkanaście. Moje dzieci strasznie osłabli, żona też, ja sam był tak opuchnięty, że ledwo z barzy mogłem wyjść. Wiater, zimno — wyszedł ja z barzy, żadnego dachu nie było. I tak my leżeli koło niej zgłodnieli, przeziębli, był deszcz, potem śnieg padał dwa dni, i tu żona mi umarła”.

„Z głodu?”.

„Nu pewno z głodu mówi Artiem spokojnym, matowym głosem. Wtedy stali dla nas czasy najgorsze, jak żonę pochował, to nas zawieźli do Karakulu, bucharińskiej oblasti. Tam po kołchozach rozwieźli 85 rodzin. Tam strasznie stali umierać, bo tam ludzie nic nie siejali, odnu watu¹, przedtem to dawał rząd za tu watu po 400 gramów mąki, a potem po 100 gramów, a potem po 50. I wtedy pod ta

1. Wata-bawelna.

*Pamięci Karoli Uniechowskiej
poświęcam.*

Rzym 1944. Upalne, duszne popołudnie. Do małego pokoiku srebrnoszare długie i wąskie listki eukaliptusu przepuszczają przez okno zielonkawę światło z pełnego kwiatów podwórka.

Siedzę na wąskim tapczanie u studentki Karoli na via dei Fiori. Jej rodzice sąsiadowali z nami na Białorusi. Znałem ją dziewczynką. Pamiętam jak przez mgłę Karolę z tamtych czasów — miała rude, starannie zaczesane loczki i piegi na bladej twarzyczce. Bawiła się grzecznie, by nie pobrudzić sukienki na tarasie naszego domu.

Ale całkiem inne wspomnienia łączą mnie z nią dzisiaj — nasz pobyt w Związku Sowieckim między 1939 a 1942. Ta „masoneria”, nieraz drażniąca innych, masoneria tych, którzy opuścili Rosję. Z nikim nie jesteśmy w stanie się podzielić naszymi wspomnieniami, nie tylko dlatego, że nam przeważnie nie wierzą („to wszystko przesady”), ale dla nas samych świat tamten jest ciągle jeszcze zagadką, przerastającą nasze moralne miary i oceny. Jest jakieś jądro ciemności, którego nie umiemy zanalizować do końca, ale które czujemy, dławii ono nas i dzieli od innych, dla których to co opowiadamy to tylko jeszcze garść przygód okrutnych, których pełno w historii dzisiejszej, albo wprost „polskie uprzedzenia”. Wystarczy, aby się dwoje z nas spotkało: byłeś w Komi? — nie, w Karagandzie?... i zaraz płynie potok skrótów: gułagi, lesogotowki, sanczasti; potok dat, miejscowości. I już łączy nas wspólny świat *przeżyć*. Na ogromnych przestrzeniach ZSSR, wśród Rosjan, Kałmuków, Uzbeków, wśród urków, fanatyków czy ludzi najzwyczajniejszych, pokaleczonych życiem, a nieraz bardzo dobrych, braterskich. Są tacy wśród nas, którzy osobiście wcale tak wiele nie ucierpieli, poza głodem i oddarciem od kraju. Tu nie chodzi o znęcanie się, zniewagi. Chodzi o co innego, o pewien niczym we wspomnieniu niezatarty klimat *przeżyć*.

Ilu z nas, którzy przed 1939 rokiem, żyjąc z Sowietami

o miedzę, czytali o Rosji co się dało; wiedzieliśmy jakby wszystko, wiedzieliśmy mózgiem tylko. To chyba przesada, myśleliśmy, i szybko przechodziliśmy do innych spraw. Każdy z nas żyjąc w Związku Sowieckim musiał odkrywać na nowo ten świat koszmaru i zgrozy dla jednych, świat nadziei i wiary w „śpiewające jutra” dla innych.



Kiedy po tylu latach spotkałem Karolę po raz pierwszy u wspólnego przyjaciela prałata watykańskiego, miałem natychmiastową, bardzo rzadką w życiu pewność, że patrzę na istotę wyjątkowej wartości. Biła od niej milcząca i dogłębna ludzkość. Czy była piękna? Chyba nie, wysoka, szczupła, z głową o mocnych, prawie mongolskich kościach policzkowych, wąskiej bardzo szczęce i zmysłowych ustach. Pod hełmem rudych włosów jej oczy zielone patrzyły tak prosto, że aż onieśmiały.

Dziś Karola częstuje mnie u siebie mocną amerykańską kawą w malutkich białych filiżankach. Patrzę jak się porusza lekko i szybko w swym studenckim pokoiku, jak przy każdym uśmiechu leciutka siatka zmarszczek rysuje jej policzki o delikatnej cerze. Potem siada przy mnie i zwraca do mnie swą bardzo bladą, o nieustannej grze wyrazu, a przecie tak bardzo spokojną twarz. Wszystko co mi mówi, zdaje mi się przeźroczyście niechybne. Ma rzadki dar cieniowania i precyzji, bez śladu patosu czy sentymentalizmu.



Karola była pielęgniarką w szpitalu krzemienieckim we wrześniu 1939 r., w roku wybuchu wojny. Tam ją zaarrestowano i dopiero w czerwcu 1940 przeniesiono do więzienia w Tarnopolu, potem do Charkowa, a potem do jeszcze czterech kolejnych więzień. Wreszcie trafiła na stację rozdzielczą w stepach Karagandy, w południowej Syberii.

„Nie robiliśmy tam nic w przeciągu całej zimy — opowiada mi Karola — ale kiedy nadeszła wiosna zjawili się *wahabi*, ludzie którzy przybyli wybierać niewolników, takie było moje wrażenie. Brali wśród nas kobiety na przeróżne prace: do krów, do baranów, do drenowania, do prac

w polu. *Wahabi* przechodzili wolno od pryczy do pryczy i wybierali nas „z twarzy”. Nie chciałam opuszczać baraku, iść znowu w nieznane, nauczyłam się uciekać od *wahabów*. Jak tylko któryś z nich wchodził, kryłam się za pryczami”.

„Któregoś dnia dostałam zawiadomienie, że będę od jutra użyta jako pielęgniarka i będę miała sporo pracy. Miał przyjść transport więźniów z obozu karnego. Mówiono, że wybuchła tam epidemia i że przybędą również dziesiątki ludzi zatrutych miedzią, ponieważ pracowali w kopalniach miedzi, gdzie nie mieli innej wody do picia, jak tę, która się w kopalniach sączyła. Inni znów zapadali na ciężką awitaminozę.

„Na początku przywieziono paru. Zniesiono ich z ciężarówek, nie mogli chodzić. Leżeli na korytarzu jak trupy, lub wlekli się po ziemi, półżywi. Było ich czterech, pięciu. Mężczyźni? Kobiety? Na pierwszy rzut oka nie mogłam rozróżnić — szkielety. Nie mogli nawet mówić. Pielęgniarki zaczęły się gorączkowo krzątać, grzać wodę. Chorzy byli pokryci warstwą brudu, pełni wszy. Nie było wan, tylko parę cebrów i miednic. Próbowaliśmy podnieść jednego z nich — starca. Spytałam go o jego wiek. Odpowiedział mi ledwo dosłyszalnym szeptem... osiemnaście!

„Na drugi dzień zaczęli chorzy napływać, ale ci już byli mniej wyczerpani i bezsilni, przeważnie urki — kryminaliści. Urki tworzyli w obozach grupy świetnie zorganizowane, terroryzując wszystkich więźniów. W sali, którą musiałam dozorować, byli wyłącznie bandyci. Nie było nawet złodzieja. Tylko mordercy, skazani na dziesięć, piętnaście lat przymusowych robót”.

„Przypominam sobie jak przed ich przybyciem wyściarkowaliśmy baraki, które po dwóch dezynfekcjach zachowały jeszcze tysiące pluskiew.

Najciężej chorych wysłano do innego szpitala, w moim baraku była sala dżyntyryków, chorych na awitaminozę i tych zatrutych miedzią. Ci ostatni byli spuchnięci i zaledwie mogli się ruszać. Jeden z nich umarł w nocy. Potem wyprowadzono kobiety, zostałam z samymi mężczyznami”.

„Szef NKWD wyjaśnił mi, że życie ludzkie w Związku Sowieckim nie jest nic warte. Nie powinnam się wzruszać losem tych bandytów, ani ich zdrowiem, mam tylko jeden raz w nocy robić obchód, zresztą mogę się nie

ruszać, niech krzyczą, niech hałasują. Jeżeli by krzyczeli zbyt głośno mam prawo wezwać strażnika z wyżki. Dodał mi jeszcze jedną radę: muszę koniecznie odkryć, kto jest ich wodzem. — „Jeżeli z nim się dogadasz, wszyscy będą cię słuchać”.

„Miałam z nimi bardzo wiele trudności, umieli genialnie kraść racje żywnościowe, porcje obiadowe, nieraz na 200 porcji udało im się ukraść pięćdziesiąt. Kradli koce, okradali się wzajemnie. Ale, co gorzej, grali w karty co było w Rosji kategorycznie zakazane; wiem, że nie jeden raz grali o życie ludzkie. Z daleka wskazywali palcem chorego: było umówione, że ten kto przegra będzie musiał zamordować chorego, wygrywający zaś „dziedziczył po nim” jego dobytek, jego łachy.

„Pytali o moje pochodzenie. Powiedziałam im, że byłam złodziejką kieszonkową. Zadowoleni poklepali mnie po plecach ‘ty jesteś z naszych, nie skrzywdzimy ciebie!’ ”.

„Pierwszego dnia zginęły wszystkie papiery z temperaturą chorych, spisywaną przez moją koleżankę. Była w rozpacz, to były papiery oficjalne, wiedziała, że jeżeli tych papierów nie znajdzie, przedłużą jej okres zesłania. Poszła na salę, błagała by jej te papiery oddano, chwilę potem papiery zostały odniesione. Ja miałam inne ciężkie przejście z termometrami — niosłam je po sali, dwaj więźniowie pchnęli mnie umyślnie tak silnie, że termometry spadły na ziemię i rozbiły się. Rtęć rozsypała się po podłodze, bandyci błyskawicznie ją zgarnęli i zabrali. Wiedziałam do czego im służy: rtęcią właśnie truli jedni drugich”.

„I nagle nie wytrzymałam. Dziwiono się mojej wytrzymałości po więzieniach, ale było coś, co we mnie wyszło w niewoli. Pierwszego dnia mego uwięzienia płakałam dwanaście godzin z rzędu, a potem nie wylałam już ani jednej łzy. Teraz poszłam w kąt pustej klitki obok izby chorych i twarzą do ściany wybuchnęłam płaczem. Naraz poczułam za sobą czyjąś obecność. Stał za mną mężczyzna trzydziestoparoletni. Dotknął mego ramienia i spytał czy jestem Polką. ‘Ja także jestem Polakiem’. Już nie mówił po polsku”.

„Dlaczego płaczesz, z powodu tych głupich termometrów? Nie bój się oni mi są wszyscy posłuszni, oni ci tę rtęć oddadzą. Tylko nie płacz — czekaj, ja z nimi pogadam’ ”.

„Poszedł, i było jasne, że to on był ich wodzem. Ządał, by rękę oddano, i oddano mi ją. Zaręczył mi, że włos z głowy mi nie spadnie. I tak było. Nazywał się Karol. Mówił, że jeszcze pamięta jak matka jego mówiła po polsku, opowiedział za co jest zesłany, miał narzeczoną, zabił człowieka — skazano go na 5 lat. Wrócił po pięciu latach i dowiedział się, że go narzeczoną zdradziła.

„Czy mogłem jej nie zabić? Skazano mnie znów, ale na 10 lat”.

„BOH WIELIEL”¹

Znowu jest duszne rzymskie popołudnie, znowu siedzę u Karoli na Via Dei Fiori. Prowadzimy dalej rozmowę urwaną wczoraj.

— Czy pani jest wierząca? — pytam nagle.

— ...tak... no, po swojemu.

— Ale pani jest katoliczką, — nalegam, — pani praktykuje?

Znowu cień wahania:

— ...Jak wszyscy... tak, okresami.

— To niejasne dla mnie, choć, zdaje się, bardzo rozumiały. Niech mi pani pomoże zrozumieć głębiej.

Karola opuszcza głowę i mówi jakby z trudem, ociągając się, ważąc słowa:

— Bo niech pan zrozumie, uczono nas w katechizmie, że Bóg jest jeden i że Bóg jest sprawiedliwy, więc ja wierzę całkowicie, ale odrzucając jedno z tych twierdzeń. Jeżeli Bóg jest jeden, Bóg *nie* jest sprawiedliwy, nikt, kto patrzył na ludzi, nie może wierzyć w jednego sprawiedliwego Boga, nie może wierzyć, że wszyscy ludzie są stworzeni na obraz i podobieństwo boże i tylko boże... Ale jeżeli Bóg jest *sprawiedliwy*, jak możemy wierzyć by był *jeden*! Nie, panie, jest Bóg i jest szatan, i ludzie są stworzeni *nie tylko* na obraz i podobieństwo boże.

Milczymy. Mówię po namyśle:

— Tak, zdaje się, wierzyli zoroastryci, tak wierzą mazdeści, których spotykaliśmy w Iranie.

— Ja nie wiem, jak wierzą ci ludzie — odpowiada w zamyśleniu Karola.

1. „Boh wieliel” oznacza z „woli Boga”.

Pytam po chwili milczenia, czy zaobserwowała w Rosji odruchy religijne. Karola się ożywia.

— Opowiem panu kilka scen, które zapamiętałam. Nie zaobserwowałam ich wiele. Były to odruchy przeważnie nieśmiały, zaledwie zarysowane, nie wychodzące poza zakres zdziwienia, tłumionego wzruszenia, dawnego nawyku lub zaskoczenia, zaskoczenia ludzi, dla których ten świat wcale, albo prawie wcale, nie istniał. Zetknięcie się z Polakami, którzy religijność swą ujawniali prawie że prowokacyjnie, budziło nieraz bardzo sprzeczne reakcje.

Mnie się w tamtej chwili przypomniało moje pierwsze tego rodzaju w Sowietach wrażenie. Kiedyśmy przejechali granicę sowiecką, wywożeni do Starobielska w pierwszych dniach października 1939, utknęła mi w pamięci twarz starego wąsatego kolejarza, który przechodził nad ranem koło naszego wagonu, gdyśmy śpiewali „Kiedy ranne wstają zorze”. Żółta twarz kolejarza aż się skrzywiła: „*I eto nazywajetsja intieligietnyj narod*”. Opowiadałam tę scenkę Karoli.

— Nie, proszę pana, ja widziałam wiele reakcji zupełnie innych. Jeszcze w krzemienieckim więzieniu w r. 1939 mieliśmy dyżurnego Saszę. Miał 28 lat, chyba nie więcej. Nie wiem, czemu zawdzięczałyśmy jego bardziej ludzkie do nas podejście. Podobno był zakochany w córce policjanta w Polsce. Ale jako N.K.W.D.-ysta nie mógł dostać pozwolenia na małżeństwo z nią. Był to czas, kiedy strzeżono nas mniej dokładnie. W sali, w której siedzieliśmy, znajdował się łuczik do ubikacji. Naturalnie najciekawsze dla nas było skakanie do tego łuczika i badanie, kto tam wchodzi. Stamtąd jedynie mogliśmy otrzymać jakieś wiadomości z zewnątrz. W naszej celi śpiewałyśmy także chórem religijne pieśni. Wiele z nas się modliło. Siedziała z nami młoda Żydóweczka, która raz tak samo skakała do tego łuczika w chwili, kiedy dozorca wszedł do celi. Spytał ją, dlaczego wbrew zakazowi to robi, Żydóweczka zaczęła się wykręcać, że to nie ona, że ona nie skakała. Sasza podszedł do niej bardzo blisko, i półgłosem ją spytał: „Dlaczego kłamiesz, jeżeli w Boga wierzysz?”.

„W tym więzieniu modliłam się kiedyś wieczorem, klęcząc. To już tak jest, że wielu z nas modliło się w Rosji jawnie, tacy nawet, którzy w Polsce nie bardzo się modlili. Właśnie zmienili nam korytarzowych Ukraińców na rdzen-

nych Moskali i pół-Tatarów, prędzej pocziwych. Jeden z nich wszedł raz, kiedy klęczałam, i stanął za mną. Czułam, że ktoś stoi, nie odwracałam się. Ale nareszcie nie wytrzymał: wziął mnie za ramię i spytał z najwyższym zdziwieniem: „Czto ty diełajesz?”.

„W innym więzieniu w Charkowie mieliśmy nad sobą całą męską. Oni zawsze o ósmej śpiewali „Pod Twoją Obronę”. Na naszej sali wiele Polek śpiewało również pieśni religijne. Namówiliśmy potem Rosjanki, i także one cichutko, cichutko zaczęły śpiewać swoje pieśni. W Krzemieńcu było to zakazane, ale tu nie przeszkadzano, nawet korytarzowi otwierali judasza i słuchali.

„Jeszcze w więzieniu krzemienieckim siedziała z nami miła staruszka Rosjanka. Wszyscy nazywali ją „babuszka”. Po zajęciu terenów polskich przez Rosję, przeszła granicę polsko-sowiecką, wciąż jeszcze strzeżoną, po to aby synowi kupić buty. Może by jej nie wykryto, ale była nieostrożna i z całą naiwnością mówiła o tym co się dzieje w Rosji. Dla nas wówczas były to rzeczy nowe. Opowiadała, jak wywieziono jej rodzinę, jak poza synem ma tylko małą wnuczkę, o masowych wywożeniach w okresie głodu na Ukrainie, gdzie w niektórych okęgach ludożerstwo było rzeczą powszednią, opowiadała z całym spokojem o sąsiadce, która miała dwie córeczki, 16-letnią i 10-letnią, i jak pewnego dnia już nie zastała tej młodszej, bo matka i siostra ją zjadły. Staruszka ufała Panu Bogu, modliła się i biła pokłony. Mówiła, że w Sowietach modlą się starzy, nie mówiąc o tym dzieciom, bo się boją, by dzieci nie doniosły. Ale nie wszędzie jest tak samo. Widziałam wieś, gdzie w każdej chacie były ikony i gdzie także dzieci się modliły i gdzie nie tylko rodzice ale i dzieci żegnały się przed każdym posiłkiem.

„Mówiłam Panu, że pracowałam również przy pielieniu ogrodów. Słyszmy zawsze pod konwojem, z karabinami. Wracałyśmy o dziewiątej wieczorem do śpiącego baraku, śmiertelnie zmęczone. Pomimo to Polki zaczęły śpiewać. Kiedyśmy podchodziły do baraku, „bojec” zażądał abyśmy przestały. Straszyl nas karabinem. Ale w żaden sposób nie mógł przerwać śpiewu. Wtedy zaczął nam wymyślać najostatniejszymi i najordynarniejszymi słowami, które naturalnie pan zna. Aż wypowiedział najgorsze przekleństwo... z Matką Boską. I nagle się zatrzymał i rzekł z wyrzutem:

„Czego wy mnie do grzechu doprowadzacie” — i wtedy wszystkie przestałyśmy śpiewać.

„W Akmolińsku mieszkałam z kobietą, która miała dzieci. Była młoda i modliła się. Ale wyznała, że ukrywa to przed dziećmi, bo się boi donosów. Tak samo w drodze do wojska na jednej ze stacji podeszła czterdziestoletnia kobieta do jednej z polskich dziewczynek, która otrzymała od księdza kilka medalików i krzyżyków, i wzruszonym głosem prosiła usilnie o jeden krzyżyk. Przyjęła go z największą radością. W chwilę potem podeszło do niej jej dziecko, pytając, z czego tak się cieszy. Rosjanka nie pokazała mu krzyżyka. „Ty tego i tak nie zrozumiesz” — dodała.

„Raz w Turkiestanie miałam zabawną rozmowę w szpitalu kołchozowym. Siedziałyśmy z kilku Mordowkami przy „kopcilce” (strzępek knota zanurzony w nafcie). Taką kopcilką trochę świeci i trochę grzeje. Jedna z Mordówek zaczęła mówić. Pamiętam jej miłą twarz o szeroko rozstawionych kościach policzkowych i bardzo czarnych oczach, oświetloną słabym blaskiem płomyka: „My was Polek nie możemy zrozumieć — powiedziała. — Wy wierzycie i mówicie o tym, a u nas to też wierzą ludzie, ale nie mówią, bo za to się karze. Ja byłam w szpitalu w dużym mieście i zobaczyłam, że tam i lekarze wierzą. Jednego złapałam na tym, że się żegnał przed operacją”. Inna dziewczyna słysząc to dodała półgłosem: „E, pewno i Stalin wierzy, tylko boi się powiedzieć”.

„Wszyscy obserwowaliśmy tego rodzaju reakcje na sprawy religijne, ale w ostatnim obozie, w jakim się znalazłam, pamiętam rzecz, której nie zapomnę.

„Był to proces zakonnic. Opowiadano, że są zakonnice, które nie chcą pracować, które się buntują. Opowiadano, że żadne kary na nie nie działają. Były one chyba czymś w rodzaju prawosławnych tercjarek, bo wzięte były nie z klasztorów już dawno zlikwidowanych, ale z domu. Jeśli chodzi o odmowę pracy, zna pan Rosję. Wie pan, że ustawy są często zmieniane, a w różnych miejscach różnie stosowane. U nas w obozie było jeszcze stosunkowo liberalnie. Trzeba było trzydzieści razy wymówić się od pracy, żeby być sądzoną. Ale już po trzech dniach odmowy zmniejszano porcję chleba, a potem prawie przestawano karmić. Zainteresowałam się tymi „monaszkami”. Wi-

działał jedną z nich, staruszkę. Nie wiem, z czego żyła. Tylko z tego, co jej z łaski dawano, bo nie karmiono jej od dłuższego czasu. Ubrana była w łachmany, ale zawsze w długie spódnice. Pracowały przedtem w świecie normalnie, pono wychodziły nawet za męża, ale nie zgadzały się pracować dla rządu, bo uważały, że jest to praca dla diabła.

„Dziesięć takich zakonnic zamknięto w karcerze, obok naszego baraku. Ale jeszcze przedtem, kiedy nie wiadano, co z nimi począć, oddano je do urków, którzy mieszkali w osobnym baraku. Bandyci ci wszystkich niebandytów, którzy próbowali do nich przeniknąć, okradali rozbierając do naga. Ale te kobiety jakoś i u urków potrafiły żyć. Wysłano je przymusowo na roboty do pielęgnia ogrodu warzywnego. Prowadzono je pod konwojem w pole. Kiedy dochodziły do ogrodów, siadały na grzędach i żegnały się, ale żadna z nich nic nie robiła. Przetrzymywano je cały dzień na palącym słońcu, o zmierzchu odprowadzano z powrotem. Potem zamknięto je do karceru. Widocznie musiały coś jeść, bo by umarły z głodu. Nie wiem, co jadły. Wiem na pewno, że przestano je wówczas zupełnie karmić. Czasami tylko więźniowie przrzucali im przez okno jakieś jedzenie.

„Wtedy rozeszła się wieść, że zjeżdża do nas na te zakonnice sąd i że każdy może przyjść na rozprawę. Było to w parę dni po naszej amnestii w r. 1941. Sądziłi nie tylko zakonnice. Sądzone także jedną kobietę, która po wybuchu wojny z Niemcami wlaźła na stóg i patrzyła w kierunku zachodnim, czy nie idą „biali”. W ogóle dla ludzi tam, to nie byli Niemcy, ale to byli „biali”, których wyczekiwano. Asystowałam przy sądzie. Przyjechał prokurator i dwóch sędziów, sekretarka i adwokat.

„Z jednego z baraków zrobiono salę sądową. Długi, ciemny barak był zapchany ludźmi z obozu, którzy słuchali rozprawy. W głębi znajdował się stół pokryty czerwonym suknem. Na stole świece i smugi czerwonego światła od oświetlonego czerwonego sukna. W środku prokurator (jąkał się, i to psuło wrażenie) i dwaj sędziowie. Za nimi komendant obozu z wielką brodą, a na końcu stołu sekretarka w czerwonym berecie. Na drugim końcu stołu — ten niby adwokat. Prokurator rozpoczął przemówieniem, że władza sowiecka, pomimo swojej dobroci, była

zmuszona wytoczyć sprawę tym kobietom; stosowano wobec nich naprzód najdelikatniejsze, a potem ostre metody i kary, ale nie zdołano pozyskać zgody żadnej z nich na najłatwiejszą chociażby pracę. Potem zaczął czytać nazwiska mniszek i pytał każdą z nich z osobna, jak się nazywa. Każda z nich po kolei wstawiała i drewnianym, tępym głosem na całą salę odpowiadała: „W imia Ota i Syna i Ducha Boh wielieł, że się nazywam tak i tak”.

„Na każde zapytanie każda z zakonnic odpowiadała, zaczynając od zdania: „Boh wielieł”. Nie było żadnej dyskusji. Były to kobiety proste, o twardym uporze i nieugiętej wierze. Wie pan, wysłuchać tak dwanaście osób po kolei, które się zupełnie ze sobą nie porozumiewały, nic ze sobą nie rozmawiały, ale tylko powtarzały jedna za drugą te same zdania i to samo imię Boga w przepełnionym i grobowo cichym sowieckim baraku, robiło niesamowite wrażenie.

„Trzecią z kolei spytał prokurator, dlaczego nie pracuje. I znów „Boh wielieł, żeby nie pracowała”. Na to spytał prokurator: „Czyście pracowały dawniej?” — „Boh wielieł, że pracowałam”. — „A więc dlaczego teraz nie pracujesz?”. — „Boh wielieł nie pracować na szatana”.

„W ogóle mówiły zawsze *ja*, zawsze jednoosobowo, nigdy *my*. Prokurator starał się dotrzeć, która z nich jest inspiratorką, kierowniczą, lecz nie można było tego z nich wydrzeć, bo nawet przedtem te kobiety podobno nie rozmawiały ze sobą, lecz tylko się modliły. Przy którejś z rzędu prokurator spróbował wywołać dyskusję o władzy. Spytał jedną ze starszych zakonnic, czy ona uznaje władzę. Odpowiedziała, że uznaje władzę Boga. Wtedy się spytał, czy uznaje władzę w ogóle. Potwierdziła. „Ale przecież u was jest powiedziane, że każda władza pochodzi od Boga?”. Na to staruszka donośnie odpowiedziała: „Waża władza pochodzi od szatana”.

„W końcu spytano je, czy będą pracowały. Odpowiedziały, że nie. Przyszła kolej na przemówienie adwokata. Adwokat zapytał czy rzeczywiście kobiety te zostały dostatecznie przez ustrój sowiecki wychowane, „*pierewospitany*”. Spytano wówczas komendanta baraku, czy przeprowadzał z nimi rozmowy wychowawcze. Komendant, stary brodac, przestraszył się i zaczął zapewniać, że cho-

dził do nich, starał się je wychowywać, mówić, że one zawsze milczały, i nawet nie mógł zgadnąć, która tą akcją kieruje. „Starałem się im mówić o wartości pracy i nawet, że w Ewangelii powiedziano: „Kto nie pracuje, ten nie je”².

„My Polki — dodaje Karola — przypomnieliśmy sobie Ewangelię, ustęp o liliach i o ptakach, które nie sięgają ani orzą, ale prokurator uchwycił się tego tekstu i jeszcze potwierdził: „Wot widitie, więc i u nich w Ewangelii jest to powiedziane”.

„Adwokat uważał swoją rolę za skończoną. Zresztą cóż można mówić o adwokatach w Rosji dzisiejszej? Jednej z moich towarzyszek więziennych, której zarzucono szereg zbrodni w więzieniu sowieckim, adwokat powiedział wyraźnie: „Jeżeli pani nie przyzna się do winy, ja pani bronić nie będę”. Mnie w Krzemieńcu powiedział adwokat: „My mamy inne prawodawstwo niż na Zachodzie, gdzie lepiej stu zwolnić, niż jednego niewinnego skazać. U nas nie tak; lepiej stu niewinnych skazać, niż jednego winnego wypuścić”.

„Sędziowie wyszli na naradę, nas więźniów wprowadzono pod pretekstem, że jest późno. Zostało tylko parę osób, które chodziły bez konwoju, i od nich dowiedziałam się na drugi dzień o rezultacie.

„Trzy skazano na śmierć, resztę na więzienie od 10 do 15 lat.

„Opowiadano mi jeszcze, że po odczytaniu wyroku zakonnic wstały, przeżegnały się i donośnym głosem podziękowały Bogu za wyrok.

„Na drugi dzień wszystkie wywieziono „czarnym krukiem”.

Urwała swoje opowiadanie. Zmierzchało. Resztką kawy wyziębła w białych filiżankach. Do pokoju przenikało światło wieczornego nieba przeciętego złotymi smugami. Czerniały na tle tych smug, jak małe szabelki tatarskie, gięte, śpiczaste liście eukaliptusu.

Patrzałem na cichą twarz Karoli w ciemniejącym pokoju.

— To były męczennice — dodała bezdźwięcznie.

2. Tekst z Listów Św. Pawła: „*Bo gdy byliśmy u was, tośmy wam przykazywali: że jeśli kto nie chce pracować, niechaj też nie je* (II do Tess. III. 10).

CZESŁAW STRASZEWICZ

Urodzony w 1904, powieściopisarz.

W latach 1942-44 pracował w polskiej rozgłośni radiowej „Świt” w Anglii. W 1944 odbył kampanię wojenną we Francji. Po wojnie osiadł w Montewideo, gdzie zmontował i kierował polską rozgłośnią radiową dla Polonii Ameryki Południowej. Współpracuje z „Kulturą”.

„Turyści z bocianich gniazd” (Instytut Literacki, Paryż 1953) to powieść o dziejach polskich marynarzy, łazików po wszystkich portach świata, o ich talentach przemytniczych i innych, ich swoistym patriotyzmie na tle egzotyki dużego portu Ameryki Południowej — pisana w żywym, makaronizującym języku tego środowiska.

W ciszy obowiązującej rybaków nad iskrzącym się oceanem wracają wspomnienia. Fragment poniższy to refleksje jednego z tych „turyistów” — Kostka Napierskiego.

TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD

Sytuacja jest taka: Forsy w kieszeni zero. Dwa banany, zabrane z łajby, będą na obiad. O tej porze wszystkie morskie Polusy, jacy mogą się znaleźć w porcie, odsypiają swoje z dziewczynkami. O własnej żonie też dopiero wieczorem będzie można pomyśleć. Na ryby w międzyczasie wartołoby pójść! No to pójść! W malowaną pogodę ryby łowić idea prima, gastronomiczna. Wędkę nie ma! Poszukać nie szkodzi. Zatem — punkt pierwszy programu: Mysz, hajda po wędkę!

Mysz, czyli Kostek, tak od siebie prywatnie a przez innych publicznie był nazywany dla puszystości skóry i dla

uszu jak u myszy co lata. Z 50 walk i bójek i rżniętek za tę „Mysz” odbył po barach i pięści sobie przy tym nazbijał i krwi sporo stracił — albowiem myszą nie był, ojciec Napierski, a matka Marianna Kurek.

Kostka życiowy kuszt ujawnił się w całej pełni, gdy prowadził starania o wędkę. Języka nie znał, nikogo nie znał, zatokę portową widział za mgłą — jednak od razu znalazł molo wpuszczone w morze, kamieniami podmurowane, a na tych kamieniach po obu stronach wielkie zgromadzenie rybaków i rybaczek w kucki siedzących i zadowolonych. Kostek szedł sobie po molo, z Książką pod pachą, zygzakiem, od krawędzi do krawędzi, zrobił 10 kroków, zrobił 20, nigdzie się nie zatrzymał, krótkim spojrzeniem każdego rybaka taksował i szedł dalej. Szedł i szedł, bo molo miało kilometr długości, na końcu była mała latarnia morska. Aż stanął. Kucnięty rybak-murzyn palcami w przynęcie przebierał.

Skąd Kostek wiedział, że to jego murzyn? Musiał wiedzieć, bo stanął, i stał nad nim, nie nad innymi, może minutę, może dwie, nachylił się z mola ku kamieniom i pisnął kunsztownie: pii!

Właśnie mewa przelatywała i skrzydłem skroiwszy wodę, pisnęła podobnie.

Murzyn, w prążkowanym łaszku na grzbiecie, podniósł kościsty łeb, łypnął na mewę, ale nie złapał, bo już była po drugiej stronie — więc w Kostka wlepił oczy i na nim trzymał. Jednocześnie przynęte rwał w palcach na dzwonka dość powoli. Minutę to znowu trwało, albo dwie. Nagle zaśmiał się szczęśliwie: pii!

Kostek oczywiście natychmiast z mola zeskoczył na kamień. I do murzyna: Okej? Ty pi i ja pi! Okej? — Głową kiwał. Murzyn głową kiwnął. Na co Kostek: — Błat?!

I zaraz najbezzwłoczniej w świetle chwycił za wędkę. Na dwie wędki murzyn łowił ryby swoje, trzecia leżała na kamieniu w zapasie, i tę trzecią Kostek miał na oku, mówiąc: blat!

— Błat! — powtórzył murzyn, dzwonko krewetki nadziewając na kostkową wędkę. Ty blat, a ja — wskazał na siebie — *Julio César*...

Kostka na razie przestała obchodzić dalsza amicyja. Przeskoczył trzy kamienie, znalazł płaski kamień i z tego kamienia świsnął linką w morze. I kucnął. Książkę położył

przy sobie. Między nim a murzynem nastała święta, rybacka cisza.

W tej ciszy słońce smażyło w oczy, mewy to skrzydłem to dziobem krajały wodę, Julio César łowił, inni łowili, Kostek też ryby swoje na wędkę pogodnie łowił.

I — bracie Polaku — z morskiego przyzwyczajenia samemu sobie podgadywał — a rusz-że mózgiem, bracie Polaku i zgadnij: jakie łowić się będą rybki tutejsze, południowo-amerykańskie? Czy pierzaste będą, jak japońskie, czy w kolorze bzu jak na Madagaskarze, czy jeszcze będą inakwsze? Czy do smażenia lepsze, czy do gotowania w jarzynie, a może która z rodzynekami ujdzie w smaku za karpia? Ryby w każdym kraju są inne, i żony w każdym kraju są inne... E...

...e, bracie Polaku, a rusz-że wędką — a pociągnij!... pociąg! — cyk! jest rybka! Cyk, cyk, malutka! Srebrniusienska, jak paperek od czekoladki, smuklutka — co się tak trzepoczesz, jak nasza płotka? No pokaż się maleńka, nie wstydz się, nie fyrgaj — tuś mi mała, z prążkiem czarnym na grzbiecie, ślicznym bardzo. Dla urody twojej, dla cudności twojej zrobić cię najlepiej na patelence z masłem rumianym, a na grzbiecik dać trochę siekanej pietruszki!

W trakcie tego doskoczył Julio César, palcem na rybę wskazał i nauczył: — *Pejerey!*

Kostek zrozumiał, że jego cudo nazywa się peherej, powtórzył kilka razy dla pamięci: peherej, i wędkę oblaźwiwszy, dalej łowił.

— I, bracie Polaku, słoneczko cię tu grzeje, banany masz w kieszeni, dobrze ci — lepiej niż w Krywej Dierewni, gdzie nie wiedziałeś co to jest słońce i banan. Skąd mogłeś wiedzieć? jeśli słońce tam w uszy cię tylko szczypało zdradliwie i w nos!

I — po śmierci matki, w tej Dierewni, Józefka, siostrzyczka lat pięć, na jego piersi szukała ciepła. Nakradł dla tej Józefki maki i kaszy nie mało, a raz ukradł dla niej buty z cholewami i raz chustkę szaro-buro-malinową, ciepłą bardzo. Nigdy mu się tak sprawnie nie kradło, ani później, ani teraz, jak wtedy, gdy miał lat 14, w drodze wielomiesięcznej, kolejowej i pieszej z Dierewni, z Józefką w butach wypchanych szmatami, w kierunku Polski... E...

— Cyk! I cyk! Jest rybka! Jak pędzelkiem malowa-

na! I większa niż pierwsza, piersista, z noskiem szerokim. Kogut, nie rybka, bażant cały!...

Juliusza Cezara ciekawość wzięła i doskoczył. — *Bagrey!* — Lypnął okiem: — Błat?

— Bagrej — powtórzył Kostek dla pamięci — w sosie cytrynowym pycha będzie, — i dalej łowił... Czemu właściwie Józefka przy końcu wędrówki umarła, trudno wiedzieć, miała zawsze czaj ciepły i jabłka jesienne i brukiew z pola wygrzebaną, oskrobaną i ugotowaną, z cebulą — mleko dla niej nie raz wyżebrał i kukurydzę słodką ukradł — a ona, z siwymi oczkami, nic nie mówiąc, nocy jednej pod gołym niebem wzięła Józefkę i umarła. Niósł ją długo na rękach, myśląc, że śpi. Zaś tam! Budził ją w rowie i budził, trawką ją muskał po policzkach, nie chciała się obudzić za nic w świecie. Potem nożyk, który na stacji kiedyś ukradł, ostrzył na kamieniu drogowym i ojca i matkę Mariannę w śniegach zagrzebanych wspomniął, na Józefki twarzyczkę zamysloną i serio — patrząc. Potem wziął ją na ręce i szedł w pole dzikie, gdzie rosły wilgotne krzewy i gdzie drzewa były do wierzb podobne. Tam w dolince, w jamce, na kretowiskach — dołek wygrzebał rękami i nożykiem. W chustkę szaro-buro-malinową, siostrzyczkę lat 5, której do Polszy nie doniósł, owinał i tak ją otuloną, w butach z cholewami, włożył w wilgoć. Dzień jeszcze przetrwał, nim przy zachodzącym słońcu ośmielił się zsunąć na nią trochę mokrej ziemi...

— E! Cyk! Raz, dwa, trzy, jest rybka! Aj, jaka tłusciutka, z brzuszkiem wydętym, z centkami na skrzelach... *prelest'* nie rybka...

Ma się rozumieć Julio César 3 kamienie przeskoczył i nauczył: *Palomiya!*

— Palomiża — z centkami — na zupę rybną — albo na majonez! Palomiża! — powtarzał Kostek dla pamięci i dalej łowił... — Na Józefkę w ten czas rzucił ziemię mokrą, a potem się przeraził i odgrzebał. Albowiem matka przed śmiercią prosiła, żeby jej ręce złożyć na krzyż. Zatem Józefce rączki, co pod chustką tak i siak sobie leżały, też wypadało złożyć na krzyż... — A czemu, do jasnej cholery, łowiąc amerykańskie ryby, na mewy rybojady z ukosa patrząc — na Józefkę dawno umarłą wysila pamięć?! Cholelra jasna! Czemu? Bo taka dobra była dziecina i do piersi jego się tuląc, tak mówiła: Tu ciepło, Kostku, tu dobrze,

i chciałabym, żeby tak było zawsze. Więc kiedy ją zostawił w krecich norach, to mu było żal. Z tego żalu wyrokrobał nożem z kory wierzbowej deszczułkę a na niej napis: Józefa Napierska, Polka, ur. w r. 1940 w Krywoj Die-rewni. Zmarła tu w drodze do Polski. Brat. Korę wbił w ziemię i nocą odszedł.

Cyk! I znowu cyk; Julio César coraz częściej skakał przez kamienie i nauczał: *pejerey, bagrey, boriquta* i — blat! — *anchoa!*

Tak dzień spływał. Przyszła pora obiadowa, zrobiło się goręcej i puściej. Z portu odchodził Grek, dymiąc silnie. Murzyn dał znak, że musi odejść, ale że wróci i zostawił Kostkowi wszystkie wędki. Kostek zjadł banany i dalej łowił. W porcie był jeszcze jeden Grek, dwa Angliki, Czilińczyk „Arica”, no i ten jego blindowy Mac-Cormack. Jakim okrętem i w jaką podróż do jakiej części świata wypadnie znowu Kostkowi wyrwać z Punta Chata? Wrócił murzyn. Dalej łowili. Różowo, różowością morskich muszli, zaczęło się robić w Punta Chata.

Rybacy wędki na dobre zwijali korbką. Mewy przed snem wydawały leniwsze piski. Kostek policzył złowione ryby: jedenaście ich było na kamieniu, jak byki. — Ej, bracie Polaku, blat!

SPIS TREŚCI

Maria Czapska: <i>WSTEP</i>	7
Beata Obertyńska: <i>Z domu niewoli</i> (fragmenty)	
<i>Prolog</i>	17
<i>Kolchoz pod Bucharą</i>	23
Maria Czapska: <i>Nim kur zapieje...</i>	36
Maria Czapska: <i>Harcerka z Pińska</i>	42
Hermina Naglerowa: <i>Dunia</i>	50
Hermina Naglerowa: <i>Kazachstańskie noce</i>	58
Melchior Wańkowicz: <i>Dzieje rodziny Korzeniewskich</i> (fragmenty)	70
Jerzy Gliksman: <i>Powiedz Zachodowi...</i> (fragmenty)	124
<i>Moi towarzysze niedoli</i>	136
<i>Wyjazd z obozu</i>	149
Gustaw Herling-Grudziński: <i>Inny świat</i> (fragment)	153
<i>Głód</i>	154
Wacław Grubiński: <i>Miedzy młotem a sierpem</i> (frag- menty)	167
Andrzej Stocki: „ <i>Barża</i> ”	172
Witold Olszewski: <i>Budujemy Kanał</i> (fragmenty)	
<i>Wielkiemu Stalinowi — ura!</i>	178
„ <i>Józef Stalin</i> ”	193

Leo Lipschütz: <i>Dzień i noc</i>	203
Anatol Krakowiecki: <i>Książka o Kołymie</i> (fragmenty)	230
<i>We Władystoku</i>	231
<i>Lasciate ogni speranza...</i>	238
<i>Et nihil speranza...</i>	239
<i>Interes czysty jak złoto...</i>	242
<i>Dedukacja...</i>	250
Marian Czuchnowski: <i>Tyfus, teraz słowiki</i> (fragmenty)	255
Kazimierz Zamorski i Stanisław Starzewski: <i>Sprawie-</i> <i>dliwość sowiecka</i> (fragment)	291
Stanisław Skrzypek: <i>Rosja jaką widziałem</i> (fragment)	298
Hanka Ordonówna: <i>Tulacze dzieci</i> (fragmenty)	
<i>Bajka z tysiąca i jednej nocy</i>	304
<i>Kaziunia</i>	314
Józef Czapski: <i>Artiem</i>	331
Józef Czapski: <i>Via dei Fiori</i>	340
Józef Czapski: „ <i>Boh wieliel</i> ”	344
Czesław Straszewicz: <i>Turyści z bocianich gniazd</i> (frag- ment)	351

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 4 JUIN 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1963

POLACY W ZSSR (1939-1942)

Cena egz. 16,50 F. (24/6 sh.; dol. 3,50)